

MICHEL BUSSI

Uwielbiany w Polsce mistrz
francuskiego kryminału.
Pięć milionów sprzedanych egzemplarzy.

Czas jest mordercą

Świat Książki

MICHEL
BUSSI

Czas jest mordercą

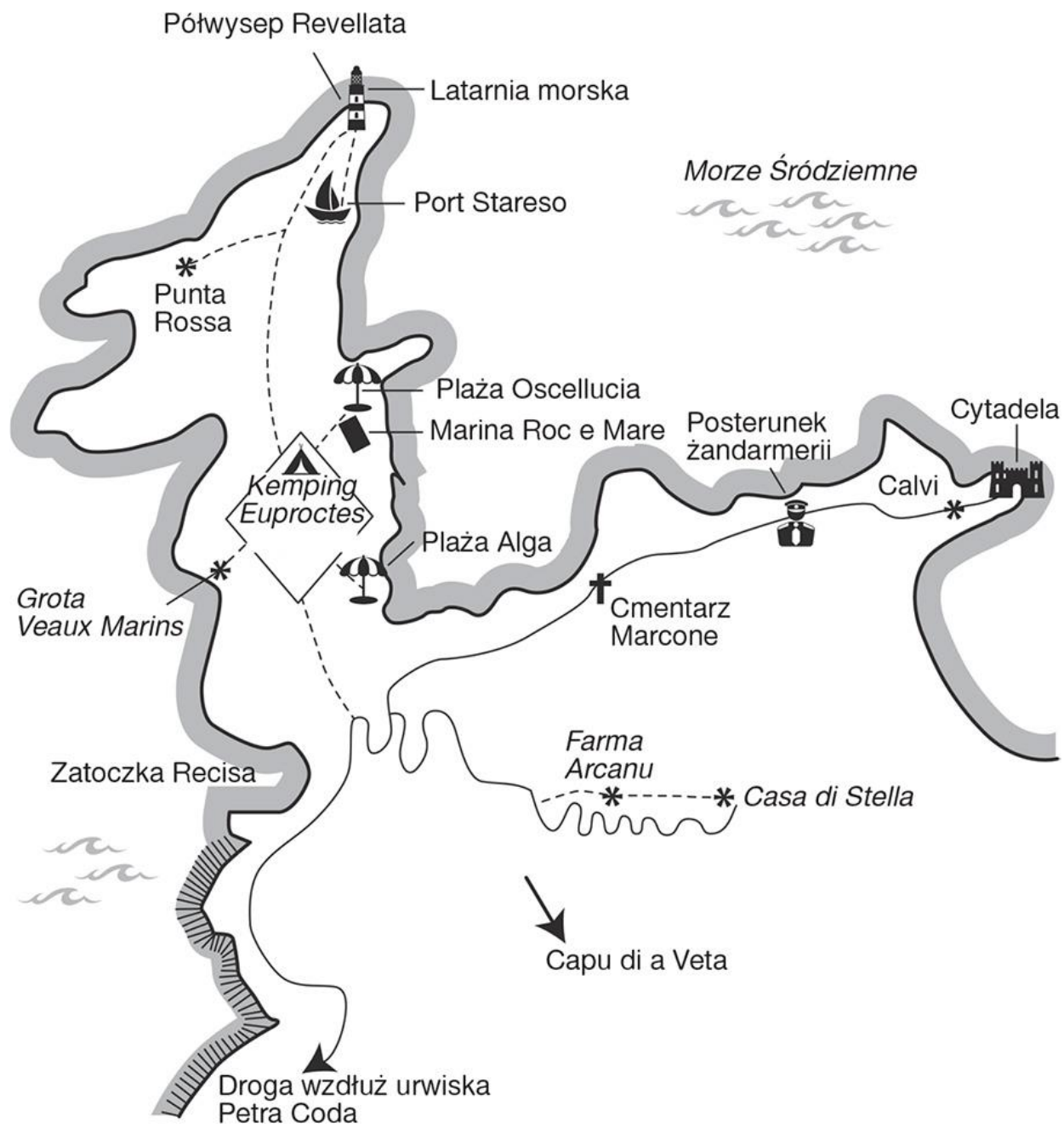
Z francuskiego przełożyły

Maria Braunstein

Natalia Krasicka


Świat Książki
wydawnictwo

*Przyjaciółom z wczesnej młodości,
którzy nam towarzyszą przez całe życie.*



Farma Arcanu, 23 sierpnia 1989 roku

– Clo? Clo?

Tú me estás dando mala vida[1].

– Clo?

Clotilde zdjęła powoli słuchawki z uszu. Niezadowolona. Głos Manu Chao i talerze zespołu Mano Negra zaćwierkały w ciszy pośród ciepłych kamieni raptem trochę głośniej niż świerszcze za murami farmy.

– Tak?

– Idziemy...

Clotilde westchnęła, nie ruszywszy się z ławki, na której siedziała; był to zwykły pień przecięty na pół, który wrzynał jej się w pośladki. Nie zwracała na to uwagi. Lubiła tę rozluźnioną pozycję, na granicy prowokacji, kamienie, które wbijały jej się w plecy pod płócienną sukienką, korę i drzazgi, które drapały ją w uda za każdym razem, kiedy jej noga wybijała rytm fanfary Mano. Na kolanach zeszyt, w palcach pióro. Siedziała skulona. Myślami gdzie indziej. Wolna. Całkowite przeciwieństwo rodziny teściów, sztywnej, korsykańskiej, jak wciśniętej w gorset. Nastawiła głośniej.

Se la traga mi corazón[2].

Ci muzycy byli jak bogowie! Clotilde zamykała oczy, otwierała usta, wszystko by dała, żeby za sprawą błyskawicznej teleportacji znaleźć się w tej chwili w pierwszym rzędzie na koncercie Mano Negry, starsza o trzy lata, wyższa o trzydzieści centymetrów, z biustem o trzy rozmiary większym. Poruszać wielkim biustem pod czarnym T-shirtem mokrym od potu, pod nosem gitarzystów w transie.

Otworzyła oczy. Nicolas wciąż stał koło niej. Z niezadowoloną miną.

– Clo, wszyscy na ciebie czekają. Tato nie będzie...

Nicolas miał osiemnaście lat, trzy lata więcej od niej. Kiedyś będzie adwokatem. Albo działaczem związkowym. Albo mediatorem Grupy Operacyjnej Żandarmerii Narodowej, GIGN, facetem, który negocjuje z napastnikami w banku, żeby wypuścili zakładników. Nicolas uwielbiał zgrywać twardziela. Przyjmować ciosy, brać wszystko na siebie. Pewnie dawało mu to złudzenie, że jest silniejszy od innych, rozsądniejszy, bardziej wiarygodny. Na pewno przyda mu się to

w życiu.

Clotilde odwróciła wzrok i przez chwilę obserwowała bliźniacze księżyce w oddali na pełnym morzu za cyplem Revellaty, jeden, który wpadł do wody, drugi wiszący na ciemnym niebie; można by rzec, że to dwaj uciekinierzy ścigani przez latarnię morską półwyspu, pierwszy trzęsący się, a drugi wystraszony. Zawahała się, czy znowu przymknąć oczy. W gruncie rzeczy tak łatwo było przenieść się na inną planetę.

Koordinacja obu powiek.

Raz, dwa, trzy... kurtyna!

Ale nie, musi je mieć otwarte, wykorzystać ostatnie minuty, pisać w zeszyt leżącym na kolanach, póki jej marzenie senne się nie ulotni. Wyryć słowa na białej kartce. Konieczność. Absolutna.

Mój sen rozgrywa się tuż obok, ale w bardzo odległej przyszłości, na plaży Oscelluccia, rozpoznałam skały, piasek, kształt zatoki, wciąż są takie same. Ja nie, ja się postarzałam. Staruszka!

Trwało to ile? Dwie minuty? Tyle żeby Clotilde zdążyła jeszcze napisać z dziesięć linijek, tyle ile trwa *Rock Island Line*. Piosenki Mano Negry nie są długie.

Tata wziął to za prowokację. To jednak nie była prowokacja. Nie tym razem. Schwycił ją za ramię.

Clotilde poczuła, jak jej słuchawki unoszą się, potem jak prawa słuchawka zahacza o pasmo jej czarnych włosów posklejanych żelem. Pióro spadło w kurz. Zeszyt został na ławce, nie zdążyła go schwycić i wsunąć do torby, a przynajmniej ukryć.

– Tato, to boli, weź...

Tatuś nie zareagował. Spokojny. Zimny. Niewzruszony. Jak zwyk... Jak kawał ławicy lodowej, co osiadła na mieliźnie na Morzu Śródziemnym.

– Pospiesz się, Clotilde. Jedziemy do Prezzuny. Wszyscy na ciebie czekają.

Owłosiona dłoń taty uwięziła jej nadgarstek. Pociągnęła go. Jej gołe udo sparzyło się na drewnianej ławce. Mogła już tylko mieć nadzieję, że to babcia Lisabetta zgarnie zeszyt i położy go gdzieś wraz z resztą jej rzeczy porzucanych w obejściu, nie otwierając go i nie czytając. Odda go jutro. Babci może zaufać.

Tylko jej...

Tato ciągnął ją tak kilka metrów, potem pchnął przed siebie, tak jak puszcza się rękę niemowlaka, który zaczyna chodzić, zostawszy kilka kroków za nią, z założonymi rękami. Na podwórzu cała święta rodzina siedząca przy dużym stole patrzyła na nią, zastygłe woskowe twarze, opróżnione butelki po winie, bukiety zwiędłych żółtych róż. Papé, dziadek Cassanu, Mamy, babcia Lisabetta, klan... Zupełnie jak filia muzeum figur woskowych Grévin. Sala Korsykanów. Nieznani kuzyni Napoleona.

Clotilde siłą powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Tata nigdy by nie podniósł na nią ręki, ale zostało pięć dni wakacji. Nie powinna za bardzo przesadzać ze swoim zuchwalstwem, jeśli nie chce, żeby jej walkman, słuchawki i kasety skończyły na pełnym morzu między skałami półwyspu Revellata, jeśli chce odnaleźć swój zeszyt, jeśli chce zobaczyć jeszcze Natalego i może nawet spotkać Orophina, Idril i ich dzieci delfinki, jeśli chce mieć pełną swobodę, żeby poszpiewać bandę Nicolasa i Marii-Chjary...

Zrozumiała przekaz. Clotilde podreptała, nie powłócząc nogami, aż do fuego. A więc zmiana planów, jedziemy do Prezzuny? OK, pojedzie grzecznie z tatusiem, mamusią i Nicolasem posłuchać tego polifonicznego koncertu w tej zagubionej w chaszczach kaplicy. Jeden wieczór może poświęcić, niech będzie. Trudniejsze do przełknięcia było pozbycie się miłości własnej.

Właśnie zobaczyła, jak jej dziadzio Cassanu wstaje, patrzy na tatę, a tata daje mu znak, że wszystko w porządku. Spojrzenie dziadka ją przestraszyło. No, znaczy, bardziej niż zwykle.

Fuego było zaparkowane niżej, na drodze, która schodziła aż do Revellaty. Mama i Nicolas już siedzieli w samochodzie. Nicolas się przesunął, żeby zrobić jej miejsce na tylnym siedzeniu, tym razem z porozumiewawczym uśmiechem. On też nie był zachwycony tym koncertem w zagubionym w chaszczach kościele, tą obsesją taty.

Jeszcze mniej nawet niż ona; o wiele mniej niż ona. Ale Nicolas był przecież bardzo silny, więc nic po sobie nie pokazywał. Później, kiedy zrobi licencjat z twardzielstwa, będzie może nawet prezydentem Republiki tak jak Mitterrand, nauczy się inkasować wszystko przez siedem lat bez mrugnięcia okiem, żeby na koniec, dłubiąc palcem w nosie, zostać wybranym na następną kadencję... Dla samej tylko przyjemności dostawania w kość przez kolejne siedem lat.

Tata jechał szybko. Tak jak robił to często, odkąd kupił sobie to czerwone fuego. Tak jak robił to często, kiedy był zdenerwowany. Niema wściekłość. Mama kładła od czasu do czasu rękę na jego kolanie, na jego palcach, kiedy zmieniał bieg. Tylko on chciał jechać na ten cholerny koncert. Pewnie kłębiło mu się w głowie – niewdzięczne dzieci, żona, która ich broni, zapomniane wyspiarskie korzenie, ich kultura, nazwisko, które należy szanować, jego tolerancja, jego cierpliwość; to „choć raz”, „jeden jedyny wieczór, chyba nie żądam od was zbyt wiele, do cholery!”

Jeden wiraż po drugim. Clotilde znowu włożyła słuchawki na uszy. Zawsze trochę się bała na tych korsykańskich drogach, nawet w dzień, zwłaszcza w dzień, kiedy mijali autobus, przyczepę kempingową; te drogi nad urwiskiem na tej wyspie to było szaleństwo. Pomyślała, że przy prędkości, z jaką tata jedzie, żeby uspokoić nerwy czy żeby się nie spóźnić, czy żeby siedzieć w pierwszym rzędzie w swojej kaplicy pod kasztanami, gdyby spotkał kozę, dzika czy innego zwierzaka na

wolności, to byłby koniec...

Nie było żadnego zwierzaka. Przynajmniej Clotilde żadnego nie widziała. I nikt nigdy nie znalazł najdrobniejszego śladu zwierzaka. Chociaż taka była jedna z hipotez przedstawionych przez żandarmerię.

To był ostry zakręt na końcu długiej prostej drogi za półwyspem Revellata; zakręt nad urwiskiem głębokim na dwadzieścia metrów. Usypiskiem nazywanym Petra Coda.

W dzień widok był oszalamiający.

Fuego wpadło prosto na drewnianą balustradę.

Trzy deski oddzielające drogę od przepaści zrobiły, co mogły. Pod wpływem uderzenia wygięły się; rozbiły oba reflektory fuego; porysowały zderzak.

W końcu ustąpiły.

Tylko trochę zwolniły pęd samochodu. Jechał dalej, prosto, dokładnie tak jak na filmach animowanych, w których bohater biegnie w próżni, wreszcie się zatrzymuje, spogląda, zdziwiony, na swoje nogi, nagle wpada w panikę... i leci w dół jak kamień.

Clotilde poczuła to. Że fuego nie dotyka już ziemi. Że realny świat właśnie znika. Jak luka w rozumie, coś, co nie może się zdarzyć, nie naprawdę, nie im, nie jej.

Pomyślała o tym przez ułamek sekundy, tuż przed tym, kiedy rzeczywistość runęła. Zanim fuego najpierw roztrzaskało się o skały, a potem dwa razy przeokoziółkowało.

Klatka piersiowa i głowa taty rozbiły się na kierownicy, kiedy samochód uderzył pionowo w kamienne bloki. Głowa mamy została zmiażdżona przy drugim dachowaniu na skale, która przebiła drzwi. Przy trzecim dach otworzył się nad nimi niczym stalowa szczeka.

Ostatnie uderzenie.

Fuego zatrzymało się, zachowując chwiejną równowagę, dziesięć metrów nad spokojnym morzem.

Po czym wszystko ucichło.

Nicolas siedział koło niej. Wyprostowany. Przypięty pasem.

Nigdy nie zostanie prezydentem, nawet delegatem związkowym w jakiejś głównianej firmie. Zabity w zarodku. Twardziel, jak mówił. Gadanie! Skorupka pisklęcia, chrząstka ptaszka w paszczy potwora. Jego ciało lalki zadźgane przez kawałki rozbitego dachu.

Zamknięte powieki. Stąd do wieczności, odpłynął na zawsze.

Raz, dwa, trzy. Kurtyna!

Co dziwne, Clotilde nie czuła żadnego bólu. Żandarmi wyjaśnili później, że trzy dachowania wywołały trzy uderzenia, po jednym na pasażera. Tak jak zabójca, który by miał tylko trzy kule w bębenku.

Clotilde ważyła nie więcej niż czterdzieści kilo. Przepisnęła się przez zbitą szybę, nie poczuwszy nawet, jak odłamki szkła szarpią jej ręce, nogi, sukienkę. Przeczłoła się odruchowo, zostawiając czerwone ślady na zsuwających się śliskich kamieniach, kilka metrów od fuego.

Nie posunęła się już dalej. Usiadła po prostu i patrzyła na mieszaninę krwi i benzyny, która kapała z ciał i z blachy, na mózgi, które wydostawały się z ich czaszek. To tam właśnie znaleźli ją jakieś dwadzieścia minut później żandarmi, następnie strażacy, potem kilkudziesięciu innych ratowników.

Clotilde miała złamany nadgarstek, pęknięte trzy żebra, skręcone kolano... w sumie nic takiego.

Cud.

– Nic pani nie jest – potwierdził stary doktor, pochylając się nad nią w niebieskawej poświacie kogutów policyjnych.

Nic.

Dosłownie!

Nic.

Tylko to jej zostało w tamtej chwili.

Ciała mamy, taty i Nicolasa zostały zapakowane do wielkich, białych plastikowych worków na śmieci. Po czerwonych skałach chodzili faceci ze spuszczonej głowami, tak jakby szukali ich brakujących kawałków porzucanych dokoła.

– Trzeba żyć, panienko – powiedział młody gliniarz, kładąc jej na plecach srebrzystą płachtę, koc termoizolacyjny. – Trzeba żyć dla nich. Żeby ich nie zapomniano.

Popatrzyła na niego jak na idiotę, jak na księdza, który mówi o raju. A przecież miał rację. Nawet najgorsze wspomnienia w końcu się zapomina, jeśli nakłada się na nie inne, dużo innych. Nawet te, które zraniły człowieka w samo serce, te, które zmroziły człowiekowi mózg, nawet te najbardziej intymne. Zwłaszcza najintymniejsze.

Ponieważ inni mają je gdzieś.

1 Po hiszpańsku: Rujnujesz mi życie (przyp. tłum.).

2 Po hiszpańsku: A moje serce musi się z tym pogodzić (przyp. tłum.).

Dwadzieścia siedem lat później

I

Revellata

– To tutaj.

Clotilde położyła bukiet fioletowej macierzanki na brzegu żelaznej balustrady. Poprosiła Francka, żeby się zatrzymał kilka zakosów wyżej, bo chciała nazrywać kwiatków wśród janowców rosnących między skałami Petry Cody.

Wystarczy dla trojga.

Franck też zbierał, ani na sekundę nie spuszczał z oczu drogi. Passat stał zaparkowany na zboczu, z włączonymi światłami, które migotały.

Valentine schyliła się jako ostatnia, okazując wyraźnie złą wolę, tak jakby zgięcie stu siedemdziesięciu centymetrów własnego ciała stanowiło nadmierny wysiłek.

Stali tu wszyscy troje nad dwudziestometrową dziurą. Morze buzujące między podwodnymi rafami usiłowało niezmordowanie zabarwić na fioletowo czerwone skały, zawieszając w szczelinach skalnych drobne brązowe wodorosty, jak starcze plamy na pomarszczonej skórze.

Clotilde odwróciła się do córki. Piętnastoletnia Valentine przewyższała ją już o piętnaście centymetrów. Miała na sobie dzinsy rozcięte nad kolanem i T-shirt z napisem *House of Cards*. Strój niezupełnie odpowiedni do tego, żeby wejść do mauzoleum, złożyć kwiaty i zachować minutę ciszy.

Clotilde nie zwróciła na to uwagi. Jej głos stał się łagodny.

– To tutaj, Valentine. Tutaj zginął twój dziadek i twoja babcia. I twój wujek Nicolas.

Valentine patrzyła gdzieś dalej, wyżej, wpatrywała się w skuter wodny, który podskakiwał na morskich falach nieopodal cypla Revellaty. Franck, oparty o balustradę, zerkał to na urwisko, to na migacze passata.

Czas się wydłużał, jakby osłabiony przez upał. Słońce skraplało sekundy w powolnym kapaniu. Jakiś samochód przejechał tuż obok nich w upalnej aureoli świetlnej. Kierowca z nagim torsem spojrzał w ich stronę zdziwiony.

Clotilde nigdy tu nie była od lata 1989 roku.

Tysiące razy myślała jednak o tym miejscu, o tej jednej jedynej chwili. O tym, co powie, co pomyśli nad tą pustką. O wspomnieniach, które będą powracać co jakiś czas. O sposobie przedstawienia tej pielgrzymki. Jako hołdu. Jako czegoś, czym chciała się podzielić.

A oni wszystko jej udaremnił!

Clotilde wyobrażała sobie duchowe porozumienie, delikatne pytania,

wspólne emocje, wzruszenie, które dzieli z Franckiem i Valentine. Razem, połączeni, jednomyślni. A oni stali przyciśnięci do barierki w palącym słońcu, tak jakby im nawaliła opona passata i jakby czekali na pogotowie drogowe, nudząc się, zerkając na zegarek albo wznosząc oczy do nieba, wszystko jedno gdzie, byle nie zatrzymać wzroku na tych wulkanicznych kamieniach koloru krwi.

Clotilde usiłowała zainteresować córkę.

– Twój dziadek miał na imię Paul. Twoja babcia miała na imię Palma.

– Wiem, mammo...

Dziękuję, Valentine! Po prostu super!

Córka trochę za często powtarzała swoje „wiem”, można to było porównać do jej standardowych odpowiedzi na codzienne polecenia.

Uporządkuj ubrania. Wyłącz komórkę. Rusz pupę.

Do jej zwyczajowego minimalnego wysiłku, by ją udobruchać...

Wiem, mammo...

OK, Valou, pomyślała Clotilde. OK, to nie jest najfajniejsza chwila tych wakacji. OK, zawracam wam głowę tym wypadkiem sprzed prawie trzydziestu lat. Ale, do diabła, moja Valou, piętnaście lat czekałam, żeby cię tu przywieźć! Żebyś była już duża, żebyś mogła zrozumieć, żeby ci wcześniej nie zatruwać tym życia.

Skuter wodny zniknął. Albo zalała go fala i utonął.

– Jedziemy? – zapytała Valentine.

Tym razem bez zwyczajowego minimalnego wysiłku. Nawet nie starając się ukryć znudzenia pod maską melancholijnej zadumy.

– Nie!

Clotilde podniosła głos. Franck po raz pierwszy oderwał wzrok od passata, który wciąż mrugał do niego porozumiewawczo.

Nie! – powtórzyła Clotilde w myśli. – Od piętnastu lat wytrzymuję to wszystko, od piętnastu lat cię ochraniam, moja mała, od dwudziestu lat odgrywam kumpelkę cool, mój Frankie, taką, co nigdy się nie skarży, taką, co się uśmiecha od ucha do ucha, trochę szaloną, wesołą, tę, co wszystko łagodzi, tę, co skleja rozsypane kawałki, naprawia sytuację, tę, co chroni, daje radę, tę, co jedzie prosto drogą, trzymając kierownicę dnia codziennego, podśpiewując, żeby podróż wam się nie dłużyła. I czego żądam w zamian? Raptem piętnastu minut! Piętnastu minut z waszych piętnastu dni wakacji! Piętnastu minut z twoich piętnastu lat życia, moja mała! Piętnastu minut z naszych dwudziestu lat miłości, kochanie!

Piętnastu minut wobec całej reszty, kwadransa współczucia za moje dzieciństwo, które się tutaj rozbiło, tu, na tych skałach, które mają to gdzieś, które o wszystkim zapomniały i które będą tu jeszcze za tysiąc lat. Piętnaście minut z życia to zbyt wygórowane żądanie?

Poświęcili jej dziesięć.

– Jedziemy, tato? – dopytywała się znowu Valentine.

Franck kiwnął głową i dziewczyna ruszyła w stronę passata, idąc wzdłuż balustrady, postukując sandałami po asfalcie, przeszukując oczami każdy zakątek drogi aż po trzy zakosy wzwyż, jakby szukała jakiegoś śladu życia na tej kamiennej pustyni.

Franck odwrócił się do Clotilde. Głos rozsądku, jak zawsze.

– Wiem, Clo. Wiem. Ale zrozum Valou. Ona nie знаła twoich rodziców. Ja też nie. Zmarli dwadzieścia siedem lat temu. Kiedyśmy się poznali, nie żyli już prawie od dziesięciu lat, a prawie od piętnastu, kiedy Valou się urodziła. Dla niej oni są... – Zawahał się, wytarł czoło wierzchem dłoni. – Oni... oni nie należą do jej życia, nie są jego częścią.

Clotilde nie odpowiedziała.

Ostatecznie wolałaby, żeby Franck się zamknął i poświęcił jej ostatnie pięć minut milczenia.

Teraz już przepadło. Po głowie chodziło jej małostkowe porównanie z babcią Jeanne i dziadkiem André, rodzicami Francka, do których jeździli raz na miesiąc w weekend, u których Valou spędzała wszystkie środy, wolne od szkoły, aż do dziesiątego roku życia i do których jeszcze teraz uciekała, kiedy rodzice nie chcieli zaspokoić jakiegoś jej kaprysu.

– Ona jest za młoda, żeby zrozumieć, Clo.

Za młoda...

Clotilde skinęła jednak głową, co miało znaczyć, że się zgadza.

Że słucha Francka. Jak zawsze. Często. Coraz rzadziej.

Że podziela jego łatwe, proste rozwiązania przy każdej okazji.

Franck spuścił oczy i też pomaszerował w stronę passata.

Clotilde się nie ruszyła. Jeszcze nie.

Za młoda...

Sto razy ważyła wszystkie za i przeciw.

Czy lepiej nic nie mówić o wypadku, nie wciągać córki w tę starą historię? Zachować to dla siebie? Nie ma problemu, Clo już się przyzwyczaiła do przeżywania rozczarowań.

Ale na drugiej szali leżały opinie psychologów, ilustrowanych pism dla dziewcząt, dobre rady przyjaciółek: nowoczesna mamusia powinna grać w otwarte karty, wyklądać na stół rodzinne sekrety, eliminować wszelkie tabu. Bez zastanawiania się wszystko ujawniać.

Widzisz, Valou, kiedy byłam w twoim wieku, miałam bardzo poważny wypadek. Postaw się przez sekundę na moim miejscu. Wyobraź sobie tylko, że wszyscy troje mamy wypadek, że my oboje, tatuś i ja, ginimy. Że zostajesz sama.

Pomyśl tylko o tym, córeczko... Może to ci pomoże zrozumieć, kim jest twoja matka. Dlaczego od tamtej pory robi wszystko, żeby życie prześlizgnęło się po niej, nie ubrudziwszy jej.

Jeśli to cię w ogóle interesuje.

Clotilde ostatni raz popatrzyła na zatokę Revellaty, na trzy bukietki fioletowej macierzanki, potem zdecydowała się dołączyć do rodziny.

Franck siedział już za kierownicą. Wyłączył dźwięk radia samochodowego. Valentine opuściła całkiem szybę w drzwiach i wachlowała się *Przewodnikiem autostopowicza*. Lekkim ruchem dłoni Clotilde potargała włosy córce, która coś burknęła. Zmusiła się do uśmiechu, weszła do samochodu i usiadła obok męża.

Siedzenia były tak rozgrzane, że aż parzyły.

Clotilde uśmiechnęła się do Francka przepraszająco; to była jej maska pojednawcza, którą odziedziczyła po bracie. Jedyna rzecz, którą zostawił jej w spadku Nicolas. Razem ze swoim sercem twardziela i grabiami do zgarniania przegranych historii miłosnych.

Samochód ruszył. Clotilde położyła rękę na kolanie Francka. Tuż przy jego szortach.

Passat mknął spokojnie między morzem a górami. Słońce było w zenicie, kolory wydawały się niemal zbyt intensywne, nasycone, jak na jakiejś dawnej widokówce.

Wymarzone wakacje na panoramicznym ekranie.

Wszystko już poszło w niepamięć. Jeszcze w nocy, przed nastaniem świtu, wiatr zmiecie bukiety macierzanki.

Nie odwracać się, myślała Clotilde. Naprzód.

Zmusić się do kochania życia; zmusić się do kochania swojego życia.

Opuściła szybę i wystawiła na podmuch wiatru długie czarne włosy; słońce pieściło jej gołe uda.

Rozumować tak jak w magazynach ilustrowanych, tak jak koleżanki, jak sprzedawcy przepisów na szczęście w dziesięciu lekcjach.

Szczęście, to takie proste, wystarczy w nie wierzyć!

Wakacje do tego służą, bezchmurne niebo, morze, słońce.

Żeby w to wierzyć.

Żeby zatankować bak do pełna złudzeniami na resztę roku.

Ręka Clotilde przesunęła się trochę wyżej po udzie Francka, podczas gdy jej kark się obracał, wystawiając szyję do zbyt niebieskiego nieba, jakby sztucznej dekoracji. Zasłony. Kurtyny zaciągniętej przez Boga kłamcę.

Franck zadrżał, kiedy Clotilde zamykała oczy. Automatycznie. Odłączając swoje palce od swoich myśli.

Wakacje służą również do tego.

Opalone skóry, gołe ciała, ciepłe noce.

Żeby podtrzymać złudzenie pożądania.

*Poniedziałek 7 sierpnia 1989 roku,
pierwszy dzień wakacji, letnie niebieskie niebo*

Jestem Clotilde.

Przedstawiam się, bo to minimum grzeczności, nawet jeśli mi jej nie odwzajemnisz, ponieważ nie wiem, kim jesteś, ty, który mnie teraz czytasz.

To będzie za kilka lat, jeśli wytrzymam. Wszystko, co piszę, jest supertajne. Całkowite embargo. Niezależnie od tego, kim jesteś, zostałeś uprzedzony! Zresztą kim ty możesz być, ty, który mnie czytasz mimo wszystkich moich ostrzeżeń? Kim ty możesz być?

Moim ukochanym, jedynym, tym, którego wybrałam na całe życie, któremu powierzę rano, trzęsąc się po moim pierwszym razie, swój dziennik intymny z lat dojrzewanania?

Jakimś palantem, który go znalazł, bo skoro jestem bałaganiarą, musiało mi się to przydarzyć?

Jednym z tysięcy fanów, którzy rzucają się na to arcydzieło nowej genialnej gwiazdy literatury? (to ja!!!).

Czy ja... Ale ja stara, za piętnaście lat... No, powiedzmy, nawet bardzo stara, za trzydzieści lat. Odnalazłam ten stary dziennik intymny w głębi szuflady i czytam go znowu, jakbym wsiadła do wehikułu czasu. Jakbym stała przed odmładzającym lustrem.

Jak to odgadnąć? A więc mając wątpliwości, a nie mając pewności, piszę na czuja, nie wiedząc, w jakie ręce, w jakie oczy wpadnie ten zeszyt.

Pfff pfff...

Masz, mam nadzieję, mój przyszły czytelniku, piękne oczy, piękne dłonie, piękne serce. Nie zawiedziesz mnie? Obiecujesz?

Zaczynam od kilku słów o sobie, coś w rodzaju przedstawienia się. Na zwierzenia przyjdzie czas, mój czytelniku z innego świata, z tamtej strony.

A więc Clotilde. W trzech punktach:

Małe 1. Mój wiek. Już stara... Piętnaście lat. No, no, wow, można dostać zawrotu głowy!

Małe 2. Mój wzrost. Jeszcze niski... metr czterdzieści osiem, a to, to grozi chandrą!

Małe 3. Mój *look*. Według mamy zabójczo przerażający. To proste,

pożądany efekt to wyglądać jak Lydia Deetz w *Soku z żuka*. Jeśli nie od razu kojarzysz jej *look* w stylu *goth*, mój czytelniku z planety Mars, nie przejmuj się: w tym zeszycie co trzy linijki będę ci zawracać głowę Lydią Deetz, jako że jestem absolutną fanką tej dziewczyny. Powiem jasno: to nastolatka najbardziej *cool* na świecie, ze swoimi czarnymi koronkami, kosmykami włosów jak zęby smoka, wielkimi oczami pandy... a na dodatek ona rozmawia z duchami! Dodam jeszcze, piękny nieznajomy, że gra ją Winona Ryder, która nie ma jeszcze osiemnastu lat i jest po prostu najpiękniejszą aktorką na świecie. Chciałam zdjąć wszystkie jej plakaty wiszące w moim pokoju, żeby je powiesić w pokoju na wakacjach, ale mama postawiła weto pineskom wbijanym w ścianki bungalowu.

Dobrze, dobrze, mój czytelniku, zauważyłam, że moje małe 3 to było duże 3. Wracam więc do mojego pierwszego dnia wakacji... Wielka przygoda Idrissich z Tourny w czerwonym fuego taty. Tourny, żebyś wiedział, położone jest w regionie Vexin, na wielkiej buraczanej równinie, wciśniętej między Normandię a Paryż, z dziwną rzeką Epte, o której miejscowe pleciugi opowiadają, że wywołała więcej wojen i uśmierciła więcej ludzi niż Ren. My mieszkamy powyżej, pośród małych pagórków wysokich jak trzy jabłka, które miejscowi zarozumialcy nazwali *le Vexin bossu*, garbatym Vexin. Ale wymyślili!

Długo się wahałam, w jaki sposób mam ci opowiedzieć o wielkim wyjeździe na Korsykę, o bagażach upychanych w bagażniku, kiedy w Normandii była jeszcze noc, o niekończącej się drodze, kiedy siedziałam z tyłu razem z Nico, który przez dziesięć godzin oglądał samochody, drzewa i tablice rejestracyjne i wcale nie wyglądał tak, jakby się nudził. O tunelu pod Mont Blanc i rytualnym obiedzie w Chamonix, tarta i sałata, o przejeździe przez Włochy, dlatego że, tata *dixit*, Genua nie leży dużo dalej niż Nicea, Tulon czy Marsylia, ale Włosi nigdy nie strajkują. Tak, mogłabym ci opowiedzieć to wszystko ze szczegółami, ale daruję sobie. To mój wybór narracji, drogi międzygalaktyczny czytelniku. Tak to jest!

Skupię się na promie.

Ten, kto nigdy nie płynął promem na wyspę, nie wie, co to pierwszy dzień wakacji.

Słowo Lydii Deetz!

Udowodnię to za pośrednictwem czterech żywiołów.

Najpierw woda

Olbrzymi prom, żółto-biały z czarną głową Maura, flagą wyspy, początkowo robi wrażenie. Ale kiedy otwiera swoją paszczę, to już robi się mniej zabawnie.

Przynajmniej tacie. Trzeba przyznać, że prowadzić dziesięć godzin, żeby dotarłszy do celu, zostać zwymyślanym przez bandę podnieconych Włochów, rozumiem, że to może człowieka zdenerwować.

Destra

Sinistra

Włosi, którzy wrzeszczą i wymachują rękami, tak jakby tato pobierał pierwszą lekcję nauki jazdy.

Avanti avanti avanti

Tato, który musi manewrować pośród kilkudziesięciu innych przerażonych kierowców z ich przyczepami i skuterami wodnymi na dachach, w sportowych kabrioletach z wystającymi deskami surfingowymi, w renault espace załadowanych, że o mało nie pękną, kołami ratunkowymi, materacami, ręcznikami, prawie pod sam dach, tak wysoko, że przez tylną szybę nic nie widać.

Avvicina avvicina

Cieżarówki, samochody, przyczepy kempingowe, motocykle. Wszystko się mieści! Zawsze. Co do centymetra. To pierwszy cud wakacji.

Stop stop stop

Włosi od promów, kiedy one były jeszcze małe, osiągnęli mistrzostwo w upychaniu rzeczy. Wprowadzić na statek trzy tysiące samochodów w niecałą godzinę to jak zabawa gigantycznymi klockami lego.

Włoch uśmiecha się, podnosi kciuk.

Perfetto

Fuego taty jest jednym z trzech tysięcy elementów układanki. Otwiera drzwi, próbując nie zadrasnąć corsy przyklejonej do niego z lewej strony, i wciąga brzuch, żeby do nas dołączyć.

Potem ziemia

Prawdziwe rzeczy dzieją się między tą chwilą, kiedy zrzucacie ubrania, żeby położyć się spać w kabinie, a tą, kiedy cztery czy pięć godzin później wstajecie; to trochę tak jak przeobrażenie. Jak wąż, który zmienia skórę.

Ja często pierwsza wsuwam swoje klapki; szorty, T-shirt z napisem *Van Halen*, ciemne okulary i siup... na pokład.

Ziemia! Ziemia!

Wszyscy stoją już przy barierce, podziwiając wybrzeże od stawu Biguglia do przylądka Capicorsu. Słońce zaczyna strzelać swoimi laserowymi promieniami do wszystkiego, co się porusza poza strefą cienia, a ja pędzę po korytarzach statku, żeby wdychać nieznane wonie. Przechodzę nad wielkim niedobudzonym blondynem, leżącym w korytarzu na swoim plecaku. Ale ciacho! Przyklejona do niego dziewczyna jeszcze śpi z gołymi plecami, z potarganą grzywą, z ręką wsuniętą pod rozpiętą koszulę swojego Szweda.

Kiedyś to ja będę dziewczyną z gołymi plecami. I ja też będę miała swojego źle ogolonego autostopowicza, który będzie mi służył za materac, z blond zarostem na torsie, który mi posłuży za przytulankę.

No, życie, nie zawiedziesz mnie, obiecujesz?

Na razie zadowolam się jodowym zapachem Morza Śródziemnego. Opierając się plecami o barierkę górną częścią mojego metra czterdzieści.

Oddychając wolnością, na paluszkach.

Niestety ogień

Wszyscy państwo proszeni są o powrót do swoich pojazdów.

Piekielny ogień!

Prawdę mówiąc, mój czytelniku z kresów galaktyki, myślę, że piekło przypomina chyba właśnie to: ładownię promu. Upał, co najmniej sto pięćdziesiąt stopni, a jednak wszyscy się pchają na schodach, żeby tam zejść. Tak jakby wszyscy ludzie, co umarli na ziemi o tej samej godzinie, wchodzili gęsiego do płynnego wnętrza wulkanu. *Subway to Hell!*

Hałasują łańcuchy, głośno pojękuje metal; Włosi wrócili, jako jedyni są ubrani w spodnie i kurtki, jako jedyni się nie pocą, podczas gdy wszyscy wczasowicze już w krótkich spodenkach spływają potem i się wycierają.

Tkwimy tu całą wieczność, w tym piecu, zablokowani, bo może jakiś mądrała, który zaparkował przy drzwiach, się nie obudził. Ten, co przybył wczoraj w ostatniej chwili. Możliwe, że to blondyn, szwedzki autostopowicz, który nas wszystkich wkurza do tego stopnia, że ja już go uwielbiam i chcę mieć później takiego jak on.

Włosi wyglądają jak diabły, brakuje im tylko bata. To była pułapka, wszyscy tu wykitujemy w dwutlenku węgla, bo jeden kretyń uruchomił silnik i cała reszta zrobiła to samo, a jednocześnie ani jeden samochód się nie ruszył.

W końcu wrota promu spadają z hałasem roztrzaskującej się blachy. Opada most zwodzony.

Cała armia żywych trupów wyrzywa się do raj.

W końcu wolni!

Wreszcie powietrze

Tradycją w rodzinie Idrissich jest śniadanie na tarasie pod palmami na placu Saint-Nicolas koło portu w Bastii.

Tato funduje nam wypasiony zestaw, rogaliki, sok z wyciskanych owoców, konfiturę z kasztanów. Nagle mamy wrażenie, że jesteśmy rodziną. Nawet ja z moim wyglądem najeżonego Gotha. Nawet Nico, który przed wyjazdem zakręcił globusem i wycelował na chybił trafił palcem, żeby dowiedzieć się, w jakim języku będzie mówiła dziewczyna z kempingu, z którą będzie randkował.

Tak, rodzina, przez dwadzieścia jeden dni, trzy tygodnie w raj.

Mama, tata i Nicolas.

I ja.

W tym dzienniku będzie mowa zwłaszcza o mnie, wolę cię od razu uprzedzić!

Wybaczysz mi? Lecę wciągnąć kostium kąpielowy.

Zaraz do ciebie wrócę, mój gwiazdny czytelniku.

* * *

Zamknął delikatnie dziennik.

Zakłopotany.

Od lat go nie otwierał.

Niespokojny.

A więc wróciła...

Po dwudziestu siedmiu latach.

Dlaczego?

To było tak oczywiste. Wróciła, by odgrzebać przeszłość. Poszperać. Podrażnić. Poszukać tego, co tu zostawiła, w innym życiu.

Przygotowywał się na to. Od lat.

Ale nigdy nie udało mu się odpowiedzieć na to pytanie.

Jak głęboko chciałyby zejść? Do którego poziomu chciałyby opróżnić szambo? Na jaką głębokość chciałyby dotrzeć w przesiąkniętych zgnilizną podziemnych galeriach tajemnic rodziny Idrissich?

22.00

– Ojciec nie skręcił.

Clotilde odłożyła książkę i siedziała dalej na krześle, grzebiąc gołymi stopami z czerwonymi paznokciami w piasku zmieszonym z ziemią i trawą. Lampa zawieszona na gałęzi drzewa oliwnego nad ogrodowym salonem z zielonymi plastikowymi meblami rozpraszała noc. Dysponowali miejscem wielkości piętnaście metrów na dziesięć, dość oddalonym od pozostałych, raczej ocienionym, co miało rekompensować brak urządzeń sanitarnych w pobliżu i śmieszna wielkość bungalowu wynajętego przecież dla trojga dorosłych. Tutaj się mieszka na zewnątrz, pani Idrissi, zapewniał ją uniżonym, służalczym tonem zarządca kempingu Euproctes[3], kiedy robiła rezerwację w zimie. Cervone Spinello najwyraźniej się nie zmienił.

– Co? – odpowiedział Franck.

Znajdował się w niewygodnej pozycji i nie zadał sobie trudu, by się odwrócić. Na tylnym siedzeniu rozłożył gazetę, żeby postawić na niej gołe stopy; jego lewa ręka trzymała się jednego z uchwytów passata, podczas gdy prawa z trudem odkręcała śrubę bagażnika na dachu.

– Mój ojciec – ciągnęła Clotilde. – Na zakręcie nad urwiskiem Petra Coda nie skręcił. Pamiętam to dokładnie. Długa linia prosta, ostry zakos, a mój ojciec wali prosto w drewniane bariery.

Jedynie szyja Francka się obróciła. Jego dłoń w dalszym ciągu na oślep odkręcała kluczem śrubę.

– Co chcesz powiedzieć, Clo? Co masz na myśli?

Clotilde przez chwilę nie odpowiadała. Obserwowała Francka. Pierwszą rzeczą, którą robił jej mąż pierwszego dnia wakacji wieczorem, było demontowanie bagażnika na dachu samochodu. Potrafił uzasadnić swoją gorliwość, dostarczając całą listę absolutnie racjonalnych argumentów, większe zużycie benzyny, większy opór powietrza, uchwyty mocujące, które rysują karoserię... Clotilde widziała w tym przede wszystkim dodatkowe zagrącenie ich wakacyjnych czterech ścian. A w gruncie rzeczy nawet nie, miała w nosie, ten bagażnik z dachu, który trzeba gdzieś umieścić, przykryć plandeką. Uważała tylko, że to idiotyzm! Męczyć się z tym, wyjmować jedną po drugiej małe śrubki i chować je do małych

torebek wraz z numerkami odpowiadającymi ich otworom.

Valou nie była z tych, co w takich chwilach grają rolę rozjemcy, ich dorastająca córeczka wyruszyła już na zwiedzanie kempingu, szacowanie średniej wieku wczasowiczów i sprawdzanie ich narodowości.

– Nic, Franck. Nic nie chcę powiedzieć. Nie wiem.

Clotilde odpowiedziała trochę znużonym głosem. Franck wziął się do kolejnej śruby i wyrzekał na tego kretyna, co za mocno je powkręcał.

On sam, wczoraj.

Humor według Francka.

Clotilde pochyliła się do przodu, przekartkowała swoją książkę, *Temps glaciaires*, ostatni tytuł Freda Vargasa. Pomyślała głupio, że *Temps glacières*[4] to byłby bardziej odpowiedni tytuł na bestseller lata.

Humor według Clotilde.

– Nie wiem – ciągnęła. – To tylko jakieś dziwne doznanie. Patrząc przed chwilą na drogę, odniosłam wrażenie, że mój ojciec, jadąc nawet za szybko, nawet w nocy, zdążyłby nacisnąć hamulec, skrócić. I to wrażenie jakoś dziwnie wiąże się ze wspomnieniem, które chodzi mi ciągle po głowie od czasu wypadku.

– Miałaś wtedy piętnaście lat, Clo.

Clotilde odłożyła książkę. Nie odpowiedziała.

Wiem, Franck.

Wiem, że to są tylko ulotne wrażenia; że wszystko rozegrało się w ciągu dwóch czy trzech sekund... Ale posłuchaj tego, Franck, jeśli mnie słyszysz, w głębi swojego mózgu. Jeśli umiesz jeszcze czytać w moich oczach.

To pewność. Pewność!

Tato nie skręcił. Popędził prosto ku przepaści. Z nami wszystkimi w środku!

Clotilde zapatrzyła się przez chwilę w lampę, która huśtała się delikatnie nad jej głową, w rój ciem, które się przypiekały błyskawicznie na żarówce.

– Chodzi mi o coś innego, Franck. W chwili wypadku tato ujął rękę mamy.

– Przed zakrętem?

– Tak, tuż przed. Tuż przed uderzeniem w barierę, tak jakby zrozumiał, że pofruniemy nad przepaścią, że on nie może temu zapobiec.

Lekkie westchnienie. Trzecia śruba ustąpiła.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Clo? Że twój ojciec miałby popełnić samobójstwo? Z wami wszystkimi w samochodzie?

Clotilde odpowiedziała pospiesznie. Może zbyt pospiesznie.

– Nie, Franck. Oczywiście, że nie! Był wściekły, bo mieliśmy opóźnienie. Wiózł nas na koncert muzyki korsykańskiej. To była też rocznica poznania się rodziców. Wyszliśmy właśnie ze spotkania z całą rodziną, jego rodzice, kuzyni, sąsiedzi. Nie, to nie było samobójstwo, oczywiście że nie...

Franck wzruszył ramionami.

– No to wszystko jasne! To był wypadek.

Zmienił klucz.

Głos Clotilde przeszedł w szept. Jakby nie chciała obudzić sąsiadów. Z miejsca obok dochodził daleki dźwięk serialu telewizyjnego po włosku.

– Było też spojrzenie Nicolasa.

Franck przerwał swoje dłubanie. Clotilde dodała:

– Nicolas nie miał zdziwionej miny.

– Jak to?

– Tuż przed tym, zanim przelecieliśmy przez barierę, sekundę wcześniej, kiedy już wiedzieliśmy, że to koniec, że nic już nie może zatrzymać fuego, wyczytałam w oczach brata jakąś dziwną ekspresję, tak jakby on wiedział coś, czego ja nie wiedziałam, jakby wcale nie był zdziwiony. Jakby zrozumiał, dlaczego wszyscy umrzemy.

– Ty nie umarłaś, Clo.

– Owszem, trochę...

Zakołysała swoim plastikowym siedzeniem, odchylając je nieco do tyłu. W tej chwili zapragnęła, żeby Franck zszedł i wziął ją w ramiona. Żeby ją przytulił, żeby jej powiedział cokolwiek. Albo nawet żeby milczał, ale żeby ją pocieszył.

Wyrwał czwartą śrubę, po czym wziął na plecy bagażnik z dachu, szary i pusty.

Zupełnie jak Obeliks, pomyślała Clotilde.

Ten obraz wywołał jej uśmiech. Nigdy nie dramatyzować.

Tak, niosąc swój plastikowy menhir na plecach, z gołym torsem, w płóciennych niebieskich spodniach, Franck był zadziwiająco podobny do Obeliksa.

Bez brzucha.

Czterdziestoczteroletni Franck był wciąż przystojnym mężczyzną, miał szeroki tors, podłużne mięśnie. Prawie dwadzieścia lat temu Clotilde uległa, powalił ją ten jego szczery uśmiech, kojąca pewność siebie, ale również barczyste plecy zapalonego pływaka; pomogło jej to wytrzymać, pokochać go, przekonać się, że to ten właściwy. To znaczy, że są gorsi, o wiele gorsi.

Ciekawe, ale teraz, kiedy rok w rok przybierał pół kilo, centymetr po centymetrze w talii i urósł mu taki brzuch, jaki w końcu robi się nawet najprzystojniejszym facetom, ona w ogóle się tym nie przejmowała. To nie miało tak naprawdę żadnego znaczenia, ciało jej faceta, podczas gdy Franck okropnie się przejmował tą górą, no, może wzniesieniem, ładnym wzniesieniem, które się uwypuklało wokół jego pępka.

Obeliks odstawił delikatnie swój menhir.

– Nie powinnaś psuć sobie wakacji tą starą historią, Clo.

Tłumaczenie.

Nie powinnaś nam psuć wakacji tą swoją starą historią, kochanie.

Clotilde leciutko się uśmiechnęła. W końcu to Franck miał rację. Wszyscy, całą rodziną wyruszyli na tę jej przygnębiającą pielgrzymkę.

Pańszczyzna.

Hop, załatwione.

Siup i z głowy!

Pozwoliła tylko na ostatni instruktaż. Franck miał przynajmniej tę zaletę: można było z nim rozmawiać bez końca o wychowaniu dzieci. A więc o Valentine.

– Myślisz, że nie powinnam była mówić o tym Valou? Pokazywać jej miejsca wypadku?

– Ależ tak. Oczywiście, że tak. To są jej dziadkowie. To ważne, żeby ona...

Zbliżył się do Clotilde, wycierając ręce ręcznikiem, który zdjął z drutu.

– Wiesz, Clo, jestem z ciebie dumny. Że byłaś taka dzielna. Po tym, co przeżyłaś. Wiem, kim jesteś. Nie zapominam o tym. Ale teraz...

Wytarł sobie plecy, pachy, klatkę piersiową, rzucił ręcznik, pochylając się ku Clotilde.

Za późno, pomyślała Clotilde. Za późno, kochanie.

Zaledwie kilka sekund za późno, żeby współczucie jej męża nie zajeżdżało samcem podnieconym pierwszymi upałami. Cywilizowanym samcem, który jednak zdąży wymontować bagażnik z dachu i zabezpieczyć karoserię swojej gabloty, zanim się dobierze do swojej samicy.

– Teraz co, Franck?

Franck położył rękę na talii Clotilde. I on, i ona byli skąpo ubrani. Ręka przesunęła się w górę pod bluzkę.

– Teraz... się położymy?

Clotilde wstała i cofnęła się o krok. Łagodnie. Żeby go nie urazić. Ani nie robić mu nadziei.

– Nie, Franck. Nie teraz.

Zrobiła krok do przodu, ściągnęła, teraz ona z kolei, ręcznik z drutu, zgarnęła swoje przybory toaletowe.

– Muszę wziąć prysznic.

Tuż przed tym, zanim wyszła na ścieżkę, Clotilde odwróciła się ostatni raz w stronę męża.

– Franck... Nie wierzę, że przeżyliśmy wypadek.

Popatrzył na nią głupio, jak lew, który pozwolił gazeli odejść od wodopoju, nawet za nią nie goniąc.

Nie rozumiejąc, skąd się to zdanie znalazło w rozmowie.

Kemping był słabo oświetlony. Clotilde minęła jedyną latarnię w alei B, tej, w której sześć miesięcy temu ustawiono pięć szaletów fińskich, i przeszła obok ostatniego pola namiotowego zajętego przez grupę motocyklistów leżących w kole

z piwem w ręce, z kempingową lampą gazową Lumogaz jako totemem, ich motory były zaparkowane pod drzewami, stały niczym stado arabów czystej krwi.

Jak absolut wolności.

Zapach zaprawiony melancholią.

Clotilde przeszła wzdłuż parceli; z dziesięć głów obróciło się, w powolnym zsynchronizowanym geście żeby pozdrowić przechodzącą pięknotkę.

Spódniczka Clotilde sięgała jej do połowy uda, a trzy odpięte guziki od bluzki odsłaniały zarys piersi.

W wieku czterdziestu dwóch lat Clotilde wiedziała, że jest pociągająca.

Niska, to na pewno. Wiotka, wątła. Ale kształtna tam, gdzie trzeba, dokładnie tam, gdzie mężczyźni lubią. Odkąd ukończyła piętnaście lat Clotilde przybyło zaledwie cztery kilo. Po jednym kilogramie na każdą pierś, po jednym na każdy pośladek! Ładniejsza dziś niż wczoraj. Przynajmniej w jej własnym mniemaniu; często w spojrzeniach. Nie potrzebowała żadnych ćwiczeń w klubie czy na basenie, żeby zachować swoją sylwetkę, zachowała ją wyłącznie dzięki codziennemu doskonałemu treningowi... Zdrowa mama w zdrowym ciele! Pchanie wózka sklepowego załadowanego po brzegi, sprint do szkoły, zginanie-prostowanie przy zlewie, przy pralce, przy suszarce...

Pełna forma!

Łączyć przyjemne z pożytecznym nic nie kosztuje, co, Franck.

Po kilku minutach Clotilde wyszła spod prysznicza owinięta w ręcznik kąpielowy. Była sama w łazience, nie licząc bardzo ciemnowłosej nastolatki zajętej depilowaniem nóg maszynką elektryczną, która wydawała odgłos przypiekania komarów. Z drugiej strony wykafelkowanej ściany głośne śmiechy chłopców towarzyszyły niekończącemu się rytmowi techno.

Clotilde przez dobrą chwilę przeglądała się w ogromnym lustrze zajmującym całą ścianę. Gładziła swoje długie czarne włosy sięgające aż poniżej piersi. Ten kemping cofał ją o dwadzieścia siedem lat do tego samego ciała, tej samej twarzy przed tym samym lustrem, kiedy miała lat piętnaście.

Do tego ciała smarkuli, które dźwigała wówczas jak kulę u nogi; do tej fantazji, która była wówczas jej jedynym atutem przy spotkaniach z chłopcami, jedyną bronią. Śmieszna, żalonna... ot, pistolet na wodę!

3 *Euproctes* (fr.) – traszki (przyp. tłum.).

4 Gra słów, brzmi tak samo, a oznacza: *Temps glaciaires* – epoka lodowcowa, *Temps glacières* – epoka przenośnych lodówek (przyp. tłum.).

*Środa 9 sierpnia 1989 roku,
trzeci dzień wakacji, niebo granatowe*

Przepraszam, mój tajemniczy czytelniku, podróżniku międzygalaktyczny, opuściłam cię na dwa dni i nie mogę nawet się wykręcać tym, że jestem osobą przepracowaną: cały dzień leniuchuję. W najbliższych dniach będę bardziej punktualna, obiecuję. Wezmę tylko swój sprzęt, ustalę położenie, poobserwuję, usytuuję się, jak drobna szpiegówka, antropolożka na misji badawczej, podróżniczka z roku 2020 zrzucona na spadochronie w 89.

Incognito...

Halo, moja galaktyko? Tu Lydia Deetz. Dziennik pokładowy na żywo z nieznannej planety, na której jest ponad trzydzieści pięć stopni w dzień i tubylcy chodzą po niej prawie nago.

Prawdę mówiąc, jeśli cię trochę porzuciłam, to dlatego, że nie wiedziałam, od czego zacząć.

Gdzie wetknąć pióro?

W środek naszego kempingu, jak suszarka do bielizny, dokładnie na tarasie bungalowu C29, tego, do którego przyjeżdżamy co roku, odkąd się urodziłam?

U dziadka i babci, jak korsykański sztandar z czarną głową Maura, dokładnie na środku podwórka farmy Arcanu?

Pośrodku plaży Alga, jak parasol?

Pif-paf...

To będzie plaża Alga! Namaluję wam obraz w stylu kartki pocztowej, którą wysłała się z czystej złośliwości, żeby rozdrażnić koleżanki, zmuszone tkwić w wieżowcach dzielnicy Boutardes w Vernon.

Biały piasek. Turkusowa woda. Opalone ciała.

I tylko jedna czarna plamka.

Ja!

Mała Lydia-Winona w moim T-shircie galernika, moimi nastroszonymi jak u jeża włosami i w moich klapkach z głową zombie. Kompletnie zwariowana dziewczyna, która została w T-shircie, podczas gdy na plaży jest czterdzieści stopni! Co? Przyznaj się. Myślisz właśnie tak jak moja matka. Postrzelona ta mała...

Ale tobie, tylko tobie, mój tajny konfident, chcę wytłumaczyć.

Nie będziesz sobie kpił? Przysięgasz?

W kostiumie, przy moim wzroście metr czterdzieści i małych cymbałach, wyglądam na dziesięć lat. Toteż jedyne, na co wpadłam, żeby się trochę postarzyć, to paradować w T-shircie. To żeby odstraszyć dziewczynki, które mogłyby wpaść na pomysł, żebym się z nimi pobawiła w stawianie babek z piasku. Ale choć nie wyglądam na te swoje piętnaście lat, to nie znaczy, że ich nie czuję, w głowie, w głębi serca, między udami...

No więc wciągam swoją zbroję.

Wiem, co powiesz, zaraz mi wygłosisz tę śpiewkę o małej rozpieszczonej dziewczynce, która ma takie szczęście, że spędza wakacje w tym rajskim zakątku, a patrzy tu na wszystko z obrzydzeniem, nic jej się nie podoba – góry, plaże, morze.

No to nie zgadłeś. Nic z tych rzeczy.

NIC z tych rzeczy!

Uwielbiam tu wszystko, uwielbiam plażę, uwielbiam wodę!

Na basenie w Vernon zasuwam jak szalona, przepływam kilka długości, aż padam i idę na dno, tak jak Adjani w swoim granatowym sweterku.

Napiłam się wody, chin chin.

Zachłysnąć się, co mnie obchodzi, że

Póływią ktoś znajdzie mnie[5].

Podobają mi się te słowa Adjani i Gainsbourga, są ładne. On to facet nieśmiertelny... Kurzy jednego peta za drugim, podrywa sobie jedną dziewczynę za drugą i będzie jeszcze pisał piosenki do upadłego, aż do pomroki dziejów.

A propos wody, to zwierzę ci się z czegoś... Od kilku miesięcy zdarza mi się dziwna rzecz. Nachodzi mnie ochota, żeby wymienić czerń Tima Burtona na błękit. Spadło to na mnie tak przypadkiem, dziesięć miesięcy temu. Bez uprzedzenia. W kinie.

Wielki błękit. Morze Śródziemne sfilmowane w przyspieszonym tempie tuż nad wodą, muzyka Erica Serry, białe i turkusowe fasady greckich domów.

Paf! Po niecałych dwóch godzinach oszalałam na punkcie delfinów, no i może też trochę na punkcie ich kumpla człowieka, nie Sycylińczyka w okularach, tego drugiego, co szybuje na głębokościach, co ma oczy jak morska toń...

Jean-Marc Barr...

Jak tylko pomyślę, że nurkując w Morzu Śródziemnym, kąpię się w tej samej wodzie co on, to mi się coś dzieje. Zdaje się, że film został nakręcony tutaj, na pełnym morzu nieopodal półwyspu Revellata.

Czerń jako pancerz, ale serce pomalowane na błękit!

Nie powtórzysz tego nikomu, mój powierniku? To ważne, mam do ciebie zaufanie. Powierzam ci swoje życie.

Teraz piszę na piasku. Na piasku plaży Alga. Wygląda jak rogal księżycy, który zapomniał, że dzień już wstał, i pozwala się chrupać soczyście błękitnemu pluskotowi morza-brodzika, w którym ryby przelatują człowiekowi między rękami i palcami stóp.

Z całej rodziny Idrissich na plaży jest ze mną tylko mama. Tato pojechał, nie wiem dokąd. To dziwne, tutaj, kiedy wraca do swoich korzeni, staje się bardzo ruchliwy; podczas gdy z dala od nich, w domu, nie wstaje z kanapy. Nico na pewno włóczy się otoczony tabunem dziewczyn. Nie będę się zresztą nad tym rozwodzić, muszę iść rzucić tam okiem. Lubię wiedzieć na bieżąco, co mój starszy brat kombinuje.

Na plaży jest ze mną tylko mama, a wokół nas mnóstwo innych obcych ludzi. Uwielbiam siedzieć tak na piasku ze swoim zeszytem i podglądać życie innych. O, na przykład, trzy ręczniki ode mnie jest kobieta, bardzo ładna, ze sterczącym biustem, ale nie żeby go pokazywać: do piersi ma przyssane zgłodniałe niemowlę. Uważam, że to zarazem superwzruszające i superodrażające. Jakby dziwaczna mieszanina jednego i drugiego.

Mama też na nią patrzy zazdrośnie.

Mama leży na ręczniku obok mnie, jednak dobrych pięć metrów ode mnie.

Tak jakbym nie była jej córką.

Tak jakby się mnie wstydziła.

Tak jakbym była wadą, jedyną wadą mojej doskonałej mamy.

Poczekaj sekundę, odwracam się, ciało jako parawan, chodzi o to, żeby mama nie mogła tu podejść i przeczytać mi przez ramię dalszego ciągu. Naszkicuję ci jej portret w trzech punktach. Od najmilszego do najgorszego.

Punkt 1. Mama ma na imię Palma, to imię pochodzenia węgierskiego, moi dziadkowie są stamtąd, z Sopron, kilka kilometrów od granicy austriackiej. Czasami mówię na nią Palma Mama.

Punkt 2. Mama jest wysoka i piękna. Mówi się również smukła, dobrze zbudowana, zgrabna, dorodna... Ma dobry metr siedemdziesiąt pięć w kłapkach, więc możesz sobie ją wyobrazić wieczorami na szpilkach, z długimi jak u bociana nogami, z talią kolibra, łabędzią szyją, z wielkimi zdziwionymi oczami sowy.

Zdaje się, że czasem geny przeskakują jedno pokolenie.

Potwierdzenie!

Lekarze, którzy zajmowali się moim przypadkiem, twierdzą stanowczo, że już prawie przestałam rosnać, nigdy nie przekroczę metra pięćdziesiąt pięć, tak jak miliony i miliony innych kobiet, tak powiedzieli doktorzy, żeby mnie uspokoić, i dodali jeszcze, ponieważ geny bawią się w przeskakiwanie pokolenia, że jeśli kiedyś będę miała córkę, będzie ona może wybujałą rośliną jak moja mama. To obiecujące! Wolę nawet o tym nie myśleć i przejść od razu do punktu 3.

Trzymaj się mocno.

Mama jest wkurzająca. Mama jest złym człowiekiem. Mama jest upierdliwa. Mama siedzi na swoim ręczniku pięć metrów ode mnie i czyta *A diabeł wciąż się śmieje* Régine Deforges, a ja chciałabym jej wychłapać wszystkie te słowa, które chowam w swoim zeszytcie. No więc przysięgam ci na wszystkich moich korsykańskich przodków, którzy leżą na cmentarzu Marcone, składam ci przysięgę na plażę Alga, jesteś tego świadkiem, mój czytelniku przyszłości...

Nie chcę później stać się taka jak ona!

Nie chcę stać się taką matką jak ona. Taką kobietą jak ona. Staruszką taką jak ona.

Łał!

Byłam daleko stąd. Podnoszę głowę i zdaję sobie sprawę, że naprawdę nie miałam co wpadać w panikę. Mama śpi na brzuchu. Z gołymi plecami. Rozpięła swój zielony stanik, który spadł z niej jak meduza, przygnieciony przez jej spleśzczone piersi. Może mi suszyć głowę à propos mojego T-shirtu, nie różni się ode mnie w tym swoim przebraniu. Z tą swoją skąpą górą od kostiumu, którą zapina, udając wstydliwą skromnisię, jak tylko się podnosi, na wypadek gdyby jakiś facet mógł zobaczyć kawałek piersi. I kiedy odkłada książkę. I kiedy pędzi drobnymi kroczkami do morza i mówi do mnie, idziesz, kochanie? I kiedy wraca, ociekając wodą; ale dobra woda, kochanie, nie za ciepło ci w tym wszystkim? I kiedy kładzie się z powrotem i udaje, że jest zainteresowana swoją książką, która zajmie jej całe wakacje. I kiedy znowu ściąga górę, żeby opalić tylną część ciała, nie odrywając od ręcznika przedniej.

Mama wolałaby raczej wykitować, niż mieć ślady ramiączek. Ja, ze śladami T-shirta, już sobie wyobrażam dowcipy na początku roku szkolnego w liceum Aragona: „Hej, Clo, brałaś w lecie udział w wyścigu Tour de France?”

Ach, ach, ach... Dosyć na dzisiaj, przerywam pisanie, bo już widzę, jak robisz mi tandetną analizę psychologiczną... No już, proszę bardzo, powiedz to, przyznaj się, skoro tak właśnie myślisz...

Jestem zazdrosna o swoją matkę!

Pff... Jak ci to sprawi przyjemność.

Gdybyś wiedział, co ci mówi ta zbuntowana czarnulka. Jest podstępna, sprytna, ma swój plan. Ona nie da się nabrać. Znajdzie sobie ukochanego, z którym będzie się bawić przez całe życie! Urodzi dzieciaczki, które będzie rozśmieszać aż do chwili, kiedy zaczną się jej wstydzić. Będzie miała taką robotę, która zawsze będzie jakąś walką: bokserka, treserka niedźwiedzi, tancerka na linie, egzorcytka.

Moja przysięga z plaży Alga!

To ci odpowiada? Następnym razem opowiem ci o tacie.

Ale teraz muszę cię zostawić, mama schowała biust pod skąpą górą z miękkimi ramiączkami i zbliża się do MOJEGO ręcznika. Waham się, czy mam być milutka, czy gryźć. Jeszcze nie wiem. Będę improwizować.

Bye...

* * *

Zamknął zeszyt.

Tak, bezsprzecznie Palma była piękną kobietą. Bardzo piękną kobietą.

Nie zasłużyła na to, by umrzeć. Na pewno nie.

Ale skoro najgorsze się stało, skoro nie może zmartwychwstać, pozostaje tylko działać tak, żeby nikt nigdy nie dowiedział się prawdy.

5 Fragment *Pull marine (Granatowy sweter)*, Isabelle Adjani i Serge Gainsbourg, MELODY NELSON PUBLISHING, 1983.

9.00

Clotilde poszła po bagietkę, trzy rogaliki, litr mleka, które trzymała w jednej ręce, litr soku pomarańczowego w drugiej, i zgubiła się.

Rozmyślnie.

Valou jeszcze spała. Franck pobiegł aż do semafora w Cavallo.

Clotilde pamiętała, że w lecie 89 roku codziennie rano była dyżurną od śniadania, zwlekała się i szła po świeży chleb do recepcji, krążyła po alejkach Euproctes w nadziei, że spotka kogoś, ale żaden jej rówieśnik tak wcześnie nie wstawał, więc w drodze powrotnej wybierała skomplikowaną trasę po labiryncie kempingu. Dzisiaj odwrotnie, poszła na skróty, żeby dojść do bungalowu C29. Tego, w którym spędziła piętnaście pierwszych letnich wakacji swojego życia.

Rozpoznawała tylko bryły. Wielkość bungalowu. Powierzchnię terenu. Drzewa urosły, wielkie oliwki, które skręcały swoje pnie, tworząc sklepienie nad domkiem. Jego powierzchnia przy gruncie się podwoiła: elektryczna roleta, taras, grill, meble ogrodowe. Wszystko zostało zmodernizowane staraniem nowego kierownika. Cervone Spinello, obdarzony wyostrzonym zmysłem biznesowym, przejął kemping od swojego ojca Basilego. Każda nowość, kort tenisowy, wodna zjeżdżalnia, miejsce na przyszły basen, utwierdzała Clotilde w przekonaniu, że prawie nic nie zostało z naturalnego kempingu z jej dzieciństwa, tego ocienionego terenu, który oferował tylko łóżko do spania, wodę do mycia, drzewa do chowania się za nimi.

Przyglądając się bardziej szczegółowo miejscu, na którym stał C29, Clotilde uzmysłowiła sobie, że nigdy go nie widziała od czasu wypadku. W dniach, które nastąpiły po dramacie, Basile Spinello przywiózł jej rzeczy do Calvi, do pokoju w szpitalu. Wielką torbę z ubraniami, kasetami magnetofonowymi, książkami. Wszystkie jej przedmioty osobiste z wyjątkiem tego, co było dla niej najważniejsze: jej zeszytu. Tego niebieskiego zeszytu, w którym zapisywała swoje nastroje przez cały ten letni miesiąc. Tego zeszytu zostawionego na ławce w Arcanu.

Zapomniał go albo posiał gdzieś na szpitalnym korytarzu. Nie ośmieliła się o niego poprosić. Dużo o tym wtedy myślała w samolocie, który przewoził ją bezpośrednio ze stacji Pogotowia Ratunkowego regionu Balagne do Paryża, potem

Conflans, do Jozsefa i Sary, rodziców jej matki, którzy ją wychowywali aż do pełnoletności. Z biegiem lat ona też zapomniała o tym zeszycie. Przyszła jej do głowy zabawna refleksja, że zapewne czekał gdzieś na nią przez cały ten czas, od prawie trzydziestu lat, w szufladzie jakiejś szafy, wsunięty za jakiś mebel czy wciśnięty na półkę pod stos pożółkłych książek.

Clotilde podeszła do bungalowu C29, odsuwając gałęzie oliwki, mniejszej niż inne rosnące na wprost tarasu. Pamiętała, że w 1989 roku przed jej oknem była już taka oliwka, tej samej wielkości. Może Cervone kazał wycinać stare drzewa i sadzić nowe?

– Pani czegoś szuka?

Z bungalowu wyszedł facet w czapce drużyny futbolowej New York Giants wciśniętej na siwiejące skronie, z filiżanką kawy w ręce. Uśmiechnięty, zdziwiony.

– Nie...

Trochę dalej, na ścieżce, dwaj chłopcy grali w piłkę.

– Wrzuciła pani piłkę pod bungalow? – spytał Giant.

Po jego uśmiechu Clotilde domyśliła się, że byłby zachwycony, widząc, jak na czworakach przed tarasem kołysze pośladkami wciśniętymi w legginsy, żeby wczougać się pod bungalow. Pomyślała, że tego też nie cierpi na kempingach, tego braku barier. Przekraczania zwyczajowych granic. Ordynarnego pożądanego.

– Nie. Raczej wspomnienia. Byłam tu kiedyś na wakacjach, mieszkałam w tym bungalowie.

– Naprawdę? To chyba niezły kawał czasu temu? Rezerwujemy tę chałupę rok w rok od ośmiu lat.

– To było dwadzieścia siedem lat temu...

Giant zaśmiał się, a jego zdumione spojrzenie wyrażało zapewne niemy komplement.

Nie wygląda pani.

Z tyłu za nim pojawiła się kobieta. W dwóch palcach trzymała kubek z herbatą, kręcone włosy miała spięte drewnianą klamrą, na ramiona narzucone kolorowe pareo. Też uśmiechnięta.

Stała koło męża i zwróciła się do Clotilde:

– Dwadzieścia siedem lat? A więc ten bungalow C29 to był wtedy pani adres? Przepraszam, ale tak sobie pomyślałam: czy pani może się nazywa Clotilde Idrissi?

Clotilde najpierw nic nie odpowiedziała. W jej głowie kłębiły się idiotyczne myśli. Przecież chyba nie powieszono na bungalowie tablicy pamiątkowej: *Tu mieszkali Paul i Palma Idrissi*. Przecież od dziesiątków lat nie opowiadano chyba z pokolenia na pokolenie wczasowiczom z kempingu o wypadku jej rodziców?

Przeklęty bungalow...

Kobieta dmuchnęła w filiżankę i wsunęła rękę pod T-shirt swojego Gianta.

Przekaz podprogowy, ale wyraźny.

On jest mój.

Uniwersalny język ciała i gestów, które żyją na wolnym powietrzu przez jedno lato. Ekspozowanie się, podglądanie, mijanie się, muskanie... ale bez dotykania, nawet jeśli to jest tutaj, w zasięgu ręki.

Wypiła powoli herbatę, po czym wesoło mówiła dalej. Zachwycona, że odgrywa tajemniczą zwiastunkę, wysłanniczkę.

– Pani Clotilde, mam dla pani list. Czeka na panią dobry kawał czasu!

Clotilde o mało nie padła na miejscu drugi raz w ciągu niecałej minuty. Złapała się najwyższej gałęzi młodej oliwki.

– Od... dwudziestu siedmiu lat? – wybełkotała.

Żona Gianta parsknęła śmiechem.

– Nie, no jednak nie! Dostaliśmy go wczoraj. Fred, przyniesiesz mi go? Jest na lodówce.

Giant wszedł do środka, po czym wyszedł, trzymając kopertę. Żona znowu się do niego przykleiła, odczytując adres.

Clotilde Idrissi

Bungalow C29, kemping Euproctes

20 260 La Revellata

Clotilde po raz trzeci zainkasowała przyspieszone bicie serca. Przyspieszenie bardziej gwałtowne niż dwa poprzednie, tak że o mało nie złamała gałęzi oliwki.

– Nie będziemy żądali okazania dokumentów – powiedział ze śmiechem Giant. – Mieliśmy go zanieść do recepcji, ale skoro pani tu jest...

Wilgotne palce Clotilde zacisnęły się na liście.

– Dziękuję.

Poszła chwiejnym krokiem po piasku. Jej balerinki zostawiały za nią kręte linie, tak jak łyżwiarz, który ślizga się po zamrożonym jeziorze. Jej oczy wpatrzone były w nazwisko, imię i adres na kopercie. Rozpoznawała pismo, ale to było niemożliwe. Wiedziała, że to niemożliwe.

Bez zastanowienia, wcale tego nie zamierzając, Clotilde przeszła przez cały kemping. Musiała być sama, żeby otworzyć ten list, a знаła tylko jedno sekretne miejsce, które się do tego nadawało. Sekretne i uświęcone. Grota Veaux Marins. Dziura w klifie, do której wchodziło się od strony morza; jaskinia, w której jako nastolatka zaszywała się tysiące razy, żeby poczytać, pomarzyć, pisać, płakać. Uwielbiała pisać w młodości, była nawet dosyć uzdolniona, tak jej mówili nauczyciele, krewni. Potem słowa gwałtownie uciekły i zniknęły. Ten talent nie przeżył wypadku.

Bez trudu zeszła do swojej kryjówki. Piaszczysta kamienista droga została zastąpiona kamiennymi cementowanymi schodami. Ściany groty Veaux Marins ozdobiły miłosne graffiti i obsceniczne frazesy zaprawione wonią piwa i uryny.

Nieważne. Widok na Morze Śródziemne z wnętrza jaskini pozostał identyczny, oszałamiający, dający człowiekowi złudzenie, że jest on morskim ptakiem gotowym runąć jednym uderzeniem skrzydła na zdobycz, która wychynie na powierzchni wody.

Clotilde postawiła torbę z zakupami, weszła trochę głębiej do groty, usiadła na zimnej skale, prawie wilgotnej, i powoli rozdarła kopertę. Trzęsąc się, tak jak w chwili kiedy się otwiera list od ukochanego, chociaż ona, jak daleko sięgała pamięcią, nigdy nie dostała żadnych namiętnych oświadczeń drogą listowną. Urodziła się o kilka lat za późno. Jej wielbiciele podrywali ją za pomocą esemesów, mejli. Numeryczne zwierzenia to było wtedy coś nowego i ekscytującego... a dzisiaj nic jej z tego nie zostało. Ani jedna linijka, ani jedna karteczka wsunięta do książki.

Kciuk i palec wskazujący Clotilde wyjęły z koperty niedużą białą kartkę złożoną na czworo, rozprostowały ją. To był list pisany ręcznie, starannym pismem, takim jak pismo starych nauczycielek.

Moja Clo!

Nie wiem, czy jesteś dzisiaj równie uparta jak wtedy, kiedy byłaś mała, ale chciałabym cię o coś poprosić.

Jutro, kiedy będziesz na farmie u Casanu i Lisabetty, postój kilka minut pod zielonym dębem, zanim się ściemni, żebyśmy mogła cię zobaczyć.

Mam nadzieję, że cię rozpoznam.

Chciałabym bardzo, żeby twoja córka też tam była.

Nie proszę cię o nic więcej. Tylko o to jedno.

Czy może jedynie, żebyś spojrzała w niebo i popatrzyła na Betelgezę. Gdybyś wiedziała, moja Clo, ile nocy patrzyłam na nią, myśląc o tobie.

Całe moje życie to camera obscura.

Całuję cię.

P.

Fale uderzały w próg groty tak, jakby jakiś bóg wyłobił ją dokładnie na takiej wysokości, żeby była jedynie ochlapywana przez mżawkę, a nie zatapiana. Kartka w ręce Clotilde trzęsła się bardziej niż grotżagiel katamaranu.

A przecież nie było wiatru. Zwyczajny spokojny i już ciepły poranek, słońce, które powoli zaczynało zapuszczać swoje inkwizytorskie oko w głąb jaskini.

Całuję cię.

To było pismo jej matki.

P.

To był podpis jej matki.

Któż inny niż jej matka mógł nazywać ją „moja Clo”? Kto inny niż jej matka mógł pamiętać o tych szczegółach? O jej stroju dziwacznej punkówki, którego nigdy więcej nie włożyła od czasu wypadku.

O *Beetlejuice*, Soku z żuka. Pod tytułem *Bételgeuse*, Betelgeza, w wersji frankofońskiej. Clotilde powiesiła sobie wtedy w pokoju plakat. Podarowała go jej mama na czternaste urodziny, zamówiła go bezpośrednio w Québecu. Tłumaczenie kanadyjskie było o wiele bardziej poetyckie niż wersja amerykańska.

Clotilde poszła naprzód i spojrzała na drogę, która schodziła do morza, potem wyżej, na drogę, która szła nad urwiskiem aż do plaż Alga i Oscelluccia. Na końcu ścieżki spacerowała samotnie jakaś nastolatka z komórką w ręce, może szukała zasięgu albo chciała przeczytać spokojnie wiadomości z dala od rodziców, żeby nie zaglądali jej przez ramię.

Clotilde znowu spuściła wzrok na list.

Kto inny niż jej matka mógł pamiętać to zdanie, które prześladowało Lydię Deetz? To kultowe zdanie z jej kultowego filmu, to zdanie, które Clotilde rzuciła matce w twarz, żeby wreszcie dała jej spokój, podczas intymnej i brutalnej kłótni tego wieczoru, kiedy były same, tylko we dwie?

Ich tajemnica. Matki i córki.

Matka chciała ją nazajutrz zaciągnąć do miasta, żeby kupić jej ładne ubrania, to znaczy wygodne, kolorowe, kobiece; Clotilde, zanim zatrzasnęła matce przed nosem drzwi do swojego pokoju, rzuciła jej rozpaczliwe słowa zapożyczone od Lydii Deetz. Tę replikę streszczającą jej życie nastolatki.

Całe moje życie to camera obscura. Duża... przepiękna... camera... obscura.

*Piątek 11 sierpnia 1989 roku,
piąty dzień wakacji, niebo koloru niebieskiej lucerny*

Lubię mojego ojca.

Nie jestem pewna, czy dużo jest ludzi, którzy lubią mojego ojca, ale ja tak, trzy razy tak.

Moje koleżanki mówią mi czasem, że się go boją. Uważają, że jest przystojny, na pewno, ma czarne oczy, kruczoczarne włosy, krótko przyciętą brodę na kwadratowym podbródku. Ale właśnie, może to jego pewność siebie tworzy dystans.

Wiesz, co chcę powiedzieć?

Mój ojciec jest z rodzaju tych pewnych siebie, tych, co wyrażają swoje zdanie jednym dosadnym słowem, swoją przyjaźń dwoma słowami, a może i trzema, z tych, co piorunują spojrzeniem i nie znają litości. To typ profesora, który wzbudza strach, szef, przed którym się drży, którego się szanuje, a jednocześnie nie cierpi. Taki mniej więcej jest mój ojciec, dla wszystkich... Oprócz mnie!

Ja jestem jego ukochaną córeczką, a więc wszystkie jego chwytaki, które udają mu się z innymi, pałeczka dyrygenta, która każe wszystkim grać w jego rytmie, ta ta ta, na mnie to nie działa.

O, proszę, weźmy na przykład jego robotę, mówi, że pracuje w ochronie środowiska, agronomii, ekologii, że chroni zielone płuca Ziemi... A naprawdę sprzedaje trawniki! 15% produkcji francuskiej przechodzi przez jego ręce, wydawałoby się, że to oznacza tysiąc miejsc pracy we Francji i w dziesięciu innych krajach świata, toteż nikt się nie odzywa, kiedy on to mówi, kiedy opowiada, że zaopatrywali tylko 12% rynku, kiedy zaczynał w Fast Green, i że liczy na wzrost do 17% przed rokiem 2000. Ludzie są pod wrażeniem, kiedy tata wylicza, że w każdej upływającej minucie we Francji wykłada się murawą teren wielkości boiska piłki nożnej i że, dodaje z kamienną twarzą, pod koniec dnia daje to teren wielkości lasu Fontainebleau. Robią nawet osłupiałe miny, kiedy mówi, że teraz nie zwraca już uwagi na wiechlinę łąkową czy twardawą kostrzewę owczą, tę z trawników przy podmiejskich willach, jako że aktualnie zarządza całym rynkiem terenów golfowych Ile-de-France i sprzedaje już wyłącznie mietlicę rozłogową, czyli najlepsze źdźbła trawy.

Mnie to tylko bawi!

Tatuś, który sprzedaje trawniki!

Straszny wstyd. Mnóstwo razy mu to mówiłam. Mógłby przecież znaleźć coś lepszego, żeby jego ukochana córeczka miała o czym pomarzyć! Więc wskakuję mu na kolana i mówię, że dobrze wiem, że te historyjki z roślinami trawiastymi to tylko takie bałamutne przechwałki i że naprawdę on jest szpiegiem albo dżentelmenem włamywaczem, albo tajnym agentem.

My name is Grass.

Ray Grass.

No tak, taty jak zwykle nie ma. Nikogo nie ma oprócz mnie.

Piszę tu sama, w bungalowie C29 pod oliwką. Nicolas jest gdzieś z koleśkami z kempingu, mama wsiadła do fuego i pojechała na zakupy do Calvi, tata jest w Arcanu ze swoimi rodzicami, kuzynami, tutejszymi przyjaciółmi.

Pielęgnuje swoją korsykańskość...

Z korsykańskości taty to nikt nie żartuje!

Paul Idrissi.

Zagubiony w Normandii, w swoim garbatym Vexin.

Nikt z tego nie żartuje... oprócz mnie!

Bo naprawdę to korsykańskość taty od września do czerwca sprowadza się do żółtego prostokąta przyklejonego na tylnej szybie samochodu. Kabalistyczny znak więzi Korsykanów zagubionych na kontynencie. Masoni mają trójkąt. Żydom narzucono gwiazdę.

Dla Korsykanów, którzy się schronili na Północy, jest prostokąt.

Naklejka *Corsica Ferries*.

Muszę wyjaśnić, że korsykańskość taty daje o sobie znać, kiedy jego żółta naklejka z tyłu samochodu zaczyna się odklejać, co oznacza, że dni są coraz dłuższe i że zbliżają się wakacje. Mój tata jest trochę jak dzieciak, który w grudniu zaczyna wierzyć w Mikołaja, jak staruch, który zaczyna wierzyć w Boga, kiedy mu się powie, ile miesięcy życia mu zostało. Rozumiesz?

Och! Zaczekaj, mój nieznany czytelniku, zostawiam cię na jedną chwilkę, żeby podnieść wzrok, bo coś tu się rusza koło mnie na kempingu, właśnie zobaczyłam, jak Nicolas i Maria-Chjara idą w stronę plaży Alga, a za nimi Cervone i Aurélia, i cała banda, Candy, Tess, Steph, Hermann, Magnus, Filip, Ludo, Lars, Estefan... Przedstawię ci ich, bądź spokojny. Wszystko w swoim czasie.

Poszłabym z nimi, ale nie, zostanę z tobą. To miło z mojej strony, nie uważasz, że wolę pisać dla ciebie, tak jak się odrabia lekcje w wakacje, niż pędzić za bandą dorosłych? Dorosłych, którzy mnie olewają, traktują z góry, zostawiają, porzucają, poniżają, zapominają... Mogłabym tak wymieniać, zapisując trzy strony, cały słownik synonimów, ale oszczędzę ci tyrady i wracam do rozdziału o moim tacie.

Jego ostre stadium korsykańskości, jego pęd do *maquis*, makii, który się w nim budzi w czerwcu, tak jak łapie się katar sienny, przedstawię ci w trzech etapach, które staną się też trzema rodzinnymi pyskówkami.

Pierwszy nastąpi na autostradzie za Paryżem, kiedy tata wyciągnie nie wiadomo skąd kasety z piosenkami korsykańskimi, żeby je nastawić we fuego. Drugi będzie już na wyspie, pierwsze posiłki, regionalne wędliny, miejscowe sery i owoce – należy się zaopatrywać w małych sklepikach, kupować *la coppa*, *le lonzu*, *le brocciu*, wymawiając brucz, twierdzić, że cała reszta, wszystko, co przez cały rok ładuje się do wózka, to same świństwa. Trzeci etap to niekończące się wizyty rodzinne, dziadkowie, kuzyni, sąsiedzi, rozmowy w obcym języku i tato, który się męczy, bo dobrze wiem, że dzisiaj lepiej mówi po angielsku ze swoimi big bossami z Fast Green niż po korsykańsku ze swoimi kumplami, ale się ich trzyma, ten mój tatuś. To rozczulające, chociaż my z Nicolasem nic nie rozumiemy, może tylko ciut, mgliście, kiedy gadają o polityce, o świecie, który pędzi coraz szybciej i który się kurczy, tak jakby po drodze odpadały mu kawałki, i o swojej wyspie, która z kolei nie rusza się, będąc w oku cyklonu, która obserwuje tylko ze zdziwieniem krzątającą się ludzkość. Tata stara się nadażać za nimi, tak jak wyznawca jakiejś religii, który myśli, że aby pójść do raj, wystarczy nauczyć się modlitw i odmawiać je raz w roku. Ale ja, która go widzę codziennie, tego mojego Grassa, Raya Grassa, mojego tatusia, mogę cię zapewnić, że on nie jest bardziej korsykański niż ja, bardziej korsykański niż muzułmaninem jest muzułmanin, który pije alkohol, niż katolikiem jest katolik, który modli się do Matki Boskiej tylko w dniu swojego chrztu, ślubu i pogrzebu.

Tata to Korsykanin w szortach.

Nie chciałby, żeby mu to mówić. Nawet ja. Mimo że jestem jedyną osobą, która mogłaby się ośmielić.

Ale nie.

Poczułby się urażony.

A tego nie chcę.

Kocham mojego tatę bardziej niż mamę. Może dlatego, że on też mnie bardzo kocha. Może dlatego, że nigdy nie powiedział nic złego o moim stroju à la Goth Lydia. Może dlatego, że podoba mu się mój czarny strój, może dlatego, że mu przypomina strój korsykańskich kobiet.

Tu się kończy porównanie...

Dla starych Korsykanek czarny ubiór oznacza poddanie, uległość. Dla mnie to strój buntu. Zastanawiam się zresztą, który rodzaj kobiety w czerni woli mój ojciec. Oba, mój kapitanie? Podległość w sferze publicznej i bunt w sferze prywatnej. Sposób na posiadanie skarbu, który zachowuje się dla siebie. Ptak, którego wsadza się do klatki.

Myślę, że tak jak wszyscy mężczyźni.

Chcieć mieć matkę, gospodynię, kucharkę... ale nienawidzić was za to, że się nimi stałyście.

Takie wrażenie odnoszę w wieku piętnastu lat, gdy patrzę na życie pary małżeńskiej.

No to tyle na dzisiaj. Myślę, że wiesz już dosyć o tacie. Zastanawiam się, czy pójść do innych na plażę, czy usiąść z książką. Książka to coś dobrego... uważam, że czytanie książki dodaje lat.

Wszystko jedno, gdzie się czyta, na plaży, na ławce, przed namiotem.

Intryguje.

Wystarczy, że masz otwartą książkę na ręczniku, zmienia się twój status, już nie jesteś samotną-smarkulą-która-nie-ma-przyjaciół-i-strasznie-się-nudzi, tylko małą-buntowniczką-spokojną-w-swojej-bańce-i-która-was-wkurza.

Trzeba jeszcze wybrać dobrą książkę.

Mam zawsze chęć na książkę kultową, jak w wypadku moich dwóch filmów, *Sok z żuka* i *Wielki błękit*, widzisz, taki rodzaj książki, którą czyta się tysiąc razy i którą daje się do przeczytania chłopakom, żeby sprawdzić, czy się nadają, czy mają tę samą wrażliwość.

Wzięłam takie trzy do walizki.

Trzy szalone rzeczy, zdaje się.

Nieznośna lekkość bytu

Niebezpieczne związki

Niedokończona historia

OK, wiem, co powiesz, wszystkie trzy zostały już sfilmowane. To prawda, przyznaję, wzięłam je właściwie specjalnie, bo podobały mi się filmy... a jak je przeczytam, będę zawsze mogła opowiadać, że POTEM widziałam film i że byłam POTWORNIE ZAWIEDZIONA adaptacją! Ale przewrotna dziewczyna, co?

Którą z tych trzech biorę jako pierwszą?

No, no...

Zdecydowałam, lecę na plażę z *Niebezpiecznymi związkami* pod pachą.

Doskonale!

Zabójczy są, ten Valmont i markiza de Merteuil. Do schrupania ten potworny John Malkovich i mały Keanu Reeves.

Do szybkiego, mój czytelniku z zaświatów.

* * *

Palcem wskazującym wytarł łzę, która perliła się w kąciku jego oka, po czym zamknął dziennik.

Nawet po tylu latach nie potrafił czytać tego imienia, nie będąc wstrząśnięty.

Tego imienia, które pętało się po tym dzienniku jak zjawą.

Bezbronna zjawą.

Tak wszyscy myśleli.

14.00

– To jej pismo!

Clotilde czekała na odpowiedź.

Jakąkolwiek.

Na próżno.

Wargi Francka były zajęte ssaniem plastikowej szyjki butelki wody Orezza, litrowej, prawie tyle, ile wypocił wszystkimi porami skóry.

Zadowolił się w końcu opróżnieniem trzech czwartych, a resztę wody wylał na swój nagi tors.

Franck pobiegł aż do semafora w Cavallo, dziesięć kilometrów tam i z powrotem. Nieźle jak na powtórny rundę, zwłaszcza przy trzydziestu stopniach. Zdążył już rozłożyć swoją mokrą od potu koszulkę.

– Skąd możesz być tego pewna, Clo?

– Wiem to, i tyle.

Clotilde oparła się o skrecony pień oliwki. Wciąż trzymała w ręce kopertę, wbijając oczy w swoje nazwisko.

Clotilde Idrissi

Bungalow C29, kemping Euproctes

Wcale nie miała ochoty mówić Franckowi o kartkach pocztowych z dzieciństwa wysyłanych przez jej matkę, kartkach, które czasem sobie czytała, o plikach korespondencji opatrzonych komentarzami i podpisanymi, które przechowywała od czasów gimnazjalnych, o dawnych zdjęciach z zapiskami na odwrocie. O tych upiorach, które pozostawiają tylko pazury. Wyszepiała jedynie przez zęby:

– Całe moje życie to camera obscura. Duży... przepiękny... czarny... pokój...

Franck podszedł do niej na odległość metra, tors ocieka wodą. W słońcu błyszczały jego jasne ostrzyżone włosy. Wszystko dzieliło Francka od nocy, ciemności, cienia. Właśnie to tak w nim pokochała przed laty. Że prowadzi ją do światła.

Przysunął plastikowe krzesło i usiadł naprzeciwko, patrząc jej prosto w oczy.

– Okej, Clo, okej... Opowiadałaś mi, niczego nie zapomniałem. Byłaś fanką

tej aktorki, jak miałaś piętnaście lat, ubierałaś się tak jak ona, dziwacznie jak Irokez, w stosunku do rodziców zachowywałaś się jak najgorsza niewdzięcznica. Kiedy się poznaliśmy, pokazałaś mi ten film *Sok z żuka*, pamiętasz? Zatrzymałaś obraz na tym zdaniu rzuconym przez tę dziewczynę „Moje życie to camera obscura”, nawet się do mnie uśmiechnęłaś, mówiąc, że odmalujemy go razem we wszystkie kolory tęczy...

Franck to pamiętał?

– Myślę, że twoja Winona Ryder tkwiła tak prawie dwie godziny unieruchomiona niczym statua na ekranie, patrząc, jak się kochamy na kanapie.

Zwłaszcza to...

– Okej, Clo, osoba, która ci wysłała ten list, zrobiła ci ohydny kawał.

Kawał? Franck naprawdę powiedział „kawał”?

Clotilde przeczytała jeszcze raz słowa, które najbardziej nie dawały jej spokoju.

Jutro, kiedy będziesz na farmie u Cassanu i Lisabetty, postój kilka minut pod zielonym dębem, zanim się ściemni, żebym mogła cię zobaczyć.

Mam nadzieję, że cię rozpoznam.

Chciałabym bardzo, żeby twoja córka też tam była.

Nie proszę cię o nic więcej. Tylko o to jedno.

Ta wizyta u jej dziadków ze strony ojca była planowana na następny dzień wieczorem. Franck upierał się, chcąc wyjaśnić coś irracjonalnego.

– Tak, Clo. Jakiś facet robi ci ohydny kawał. Nie mam pojęcia, kim on jest ani dlaczego to robi, ale...

– Ale?

Tym razem Franck położył dłoń na kolanie Clotilde, po czym znowu zaczął się w nią wpatrywać. Partner już zniknął, teraz znowu mówił kaznodzieja udzielający lekcji, ze swoim różańcem morałów i argumentami nie do odparcia. Nauczyciel okazujący cierpliwość wobec swojej tępej uczennicy. Nie mogła już dłużej znieść tego zarozumiałstwa.

– Okej, Clo, powiem inaczej. Tego wieczoru, kiedy był wypadek, dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, jesteś pewna, że byliście w samochodzie wszyscy czworo, ty, twój ojciec, matka i Nicolas?

– Tak, oczywiście.

– Nikt nie mógł wyskoczyć, zanim fuego runęło w przepaść?

Clotilde zobaczyła w wyobraźni obrazy utrwalone na żywo w chwili dramatu. Fuego wystrzelone jak bomba w linii prostej. Ostry zakręt. Ojciec, który nie wykręca.

– Nie, nikt, niemożliwe.

Franck zdążył prosto do celu. To była jego siła. Wierzył tylko w dwie zalety:

racjonalność i skuteczność.

– Clo, jesteś absolutnie pewna, że twój ojciec, matka i brat zginęli w tym wypadku? Wszyscy troje?

Clotilde pierwszy raz podziękowała mu w myśli za brak taktu.

Tak, była absolutnie pewna.

Rozczłonkowane ciała w szkielecie fuego prześladowały ją od niemal trzydziestu lat. Ciała jej rodziców zmiażdżone w stalowych szczękach, smak krwi zmieszany z wonią benzyny, ratownicy, którzy przybywają na miejsce wypadku i identyfikują trzy trupy, przetransportowane następnie do kostnicy i ułożone w szufladach, żeby zdruzgotana rodzina mogła im złożyć ostatnią wizytę... Śledztwo w sprawie wypadku... Pogrzeb... Czas, który wszystko unicestwia, niczego nie ożywia, nie pozwala na nowo rozkwitnąć, nigdy...

– Tak, zginęli wszyscy troje, nie ma żadnych wątpliwości.

Franck położył drugą rękę na drugim kolanie i pochylił się ku niej.

– Okej, Clo. Czyli sprawa jest zamknięta! Jakiś dowcipniś płata ci niezbyt śmiesznego figła, były ukochany czy zazdrosny Korsykanin, wszystko jedno, ale nie wbijaj sobie do głowy niczego innego.

– Jak to niczego innego?

Clotilde czuła się jak obłudnica, ułomna, fałszywa do tego stopnia, że sama siebie okłamuje.

Czasami szczerłość Francka upraszczała sprawy.

– Nie wbijaj sobie do głowy, że twoja matka może żyje. I że to ona do ciebie napisała.

Bum!

Mleczna skóra Clotilde, błyszcząca od kremu do opalania, stawała się jednak czerwona.

Oczywiście, Franck.

Oczywiście.

Co sobie wyobrażasz?

– Oczywiście, Franck. – Usłyszała swój głos. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Obłudnica! Hipokrytka! Kłamczucha!

Franck więcej nie nalegał.

Wygrał, głos rozsądku zwyciężał, nie trzeba przesadzać.

– No to zapomnij, Clo. To ty chciałaś przyjechać na Korsykę. Przyjechałem z tobą. Więc teraz zapomnij i korzystaj z wakacji.

Tak, Franck.

Oczywiście, Franck.

Masz rację, Franck.

Dziękuję, Franck.

W następnej minucie Franck zaproponował wypad do Calvi. Do miasta-cytadeli było niecałe pięć kilometrów, niecałe dziesięć minut jazdy, o ile nie zablokuje drogi stado osłów lub przyczepy kempingowe.

Franck poszedł włożyć czystą koszulę, Valou przyklaskiwała, wystarczyło, że usłyszała słowo Calvi, synonim handlowej ulicy z tłumem turystów, portu ze stojącymi w szeregu jachtami, plaż z przyklejonymi do piasku ręcznikami. Obserwując Valou, jak wpada do bungalowu, żeby wciągnąć obcisłą sukienkę, uczesać się, odsłaniając czoło, kark i smagłe ramiona, promieniejąc na myśl o spotkaniu z cywilizacją i to nie byle jaką cywilizacją, tą opaloną i kasiastą, która ją fascynuje, Clotilde nie mogła się powstrzymać, by nie zadać sobie pytania, co się między nimi popsuło.

Valentine i ona były przyjaciółkami do jej dziesiątego roku życia. Dziewczynka – szalona księżniczka – i jej zwariowana mamusia. Dokładnie tak, jak sobie przyrzekła.

Ich kretyńskie zabawy, wybuchy śmiechu, wspólne tajemnice.

Przysięgła sobie, że nigdy nie stanie się zgorzkniałą mamusią, mamusią władczą, mamusią czarno-białą. I wszystko diabli wzięli, zanim się spostrzegła. Nie patrzyła we właściwą stronę. Clotilde spodziewała się, że stawi czoło zbuntowanej nastolatce, takiej, jaką sama była; przygotowała się na to, nie odpuszczając żadnej ze swoich wartości, żadnego ze swych marzeń. Pozostała taka sama.

Niesłusznie!

Dzisiaj miała do czynienia z mądrą i nowoczesną nastolatką, która postrzegała ją jak staruszkę wyznającą ideały z innych czasów. Dzisiaj ta wesola mama w najlepszym razie była jej obojętna, w najgorszym przynosiła wstyd.

Valou złapała szmaragdową torebkę z frędzlami dobraną do spódniczki i czekała koło passata. Franck usiadł już za kierownicą.

– Mamo, jesteś gotowa?

Bez odpowiedzi.

Głos zirytowanej nastolatki. Przyzwyczajonej. Jednak zirytowanej.

– Mamo! Jedziemy!

Clotilde wyszła z bungalowu.

– Franck, wzięłeś moje dokumenty?

– Nie ruszałem.

– Nie ma ich w szafie.

– Nie ruszałem – powtórzył Franck. – Jesteś pewna, że nie położyłaś ich gdzie indziej?

OK, pomyślała Clotilde, jestem tu brzydkim, bezrozumnym kaczątkiem, ale nie straciłam jeszcze całkiem głowy.

– Tak!

Clotilde pamiętała dokładnie, że zanim poszła wziąć prysznic, włożyła swój portfel do małego żeliwnego inkrustowanego sejfu w szafie przy wejściu.

Franck wsunął okulary przeciwsłoneczne na czoło, bębnił nerwowo palcami w kierownicę, mało brakowało, żeby naciskał frenetycznie klakson.

– Jeśli ich tam nie ma – zagrzmiał – to na pewno ty...

– Włożyłam je do tej przeklętej kasetki wczoraj wieczorem i potem już jej nie otwierałam!

W przypiływie zdenerwowania Clotilde się odwróciła, wtaszczyła walizkę na łóżko i wysypała jej zawartość.

Nic.

Otworzyła szufladę, przejechała ręką po najwyższych półkach, zajrzała pod łóżko, pod krzesła i inne meble.

Nic.

Nic.

Nic w bagażniku zdjętym z dachu, nic w schowku samochodowym.

Franck i Valou milczeli teraz.

Clotilde wróciła do kasetki.

– Włożyłam je do tej cholernej pancерnej puszki na konserwy. Ktoś je wziął...

– Słuchaj, Clo... Jest klucz, kod, i tylko my...

– Wiem! Wiem! WIEM!

»

Clotilde nie lubiła uśmiechu Spinella juniora. Nigdy go nie lubiła. Pamiętała, że nie cierpiała już Cervonego, kiedy był dzieckiem, nastolatkiem i chciał być szefem ich paczki pod pretekstem, że jego ojciec jest zarządcą kempingu.

Kłamczuch. Pyszałek. Wyrachowany.

Kilka lat później, gdy miał wszelkie pełnomocnictwa do zarządzania zacienionymi osiemdziesięcioma hektarami z widokiem na morze, dawało to coś w rodzaju:

Służalczy. Pretensjonalny. Bezczelny.

Zupełne przeciwieństwo jego ojca Basilego.

– Przepraszam, Clotilde! – usprawiedliwiał się Cervone. – Nie miałem jeszcze kiedy do ciebie przyjść. Musimy znaleźć jakiś moment, żeby...

Przerwała jego próby umówienia się na aperitif, rzewne wspominki o jej rodzicach i przywoływanie wspomnień sprzed dwudziestu siedmiu lat, opowiadając o zniknięciu swojego portfela, czego według niej nie można było tłumaczyć inaczej niż kradzieżą.

Cervone zmarszczył swoje szerokie czarne brwi.

Rozdrażniony. To już coś...

Złapał pęk kluczy i wychodząc z recepcji kempingu, zawołał wysokiego faceta, który podlewał klomb z kwiatami:

– Orsu, chodź ze mną.

Cervone opatrzył ten rozkaz gestem ręki, wskazując palcem aleję, tak jak się robi, by pokazać swoją władzę nad zwierzęciem, nawet posłusznym. Taki gest zakompleksionego szefa. Tamten bez szemrania poszedł za nim. Clotilde aż się cofnęła, kiedy się odwrócił.

Orsu mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt. Jego szeroka, źle przycięta broda i gęste, długie kręcone włosy przesłaniały mu twarz, ale nie na tyle, żeby ukryć kalectwo całej lewej strony: jedno oko nieruchome, policzek zapadnięty, prawie w zaniku, sflaczała skóra od podbródka do szyi, wykręcone ramię, ręka zwisająca wzdłuż ciała niczym pusty rękaw, do którego przyszyto różową plastikową rękawiczkę, sztywna noga.

Clotilde jakoś dziwnie była bardziej zmieszana niż przestraszona. Początkowo wzięła tę swoją empatyczną reakcję na tego niepełnosprawnego olbrzyma za formę litości, może zboczenie zawodowe, ale coś innego ją niepokoiło, jakieś odczucie, którego nie potrafiła zidentyfikować. Kiedy Orsu wyprzedził ich trzy metry, Cervone szepnął Clotilde na ucho:

– Nie myślę, żebyś mogła go pamiętać. Orsu miał zaledwie trzy miesiące tamtego przekłętego sierpnia. Nie powiodło mu się później. Zaopiekowaliśmy się nim, tutaj tak jest, nie zostawia się kozy na trzech nogach. Na kempingu zajmuje się on wszystkim po trochu, nazywamy go Hagrid. To ma być bardziej miłe niż złośliwe.

W tych wynurzeniach Cervonego wszystko Clotilde przeszkadzało.

Tykanie jej, choć nie widziała go od dwudziestu siedmiu lat.

To, że mówił o Orsu jak o psie, którego się przygarnia.

Ta mina dobrotliwego papieża, podczas gdy ona nie mogła pozbyć się obrazu małego kretyna przesładującego jaszczurki, żaby i wszystkie inne niewinne żyjątka, które wpadły w ręce tego przyszczatego oprawcy.

Wkrótce pochylali się czwórka nad malutkim sejfem w bungalowie. Tylko Valou ze słuchawkami na uszach usiadła na krześle i malowała sobie paznokcie u nóg. Cervone nie krępował się zerkać na jej uda.

Bezczelny. Służalczy. Pretensjonalny, poprawiła się w myśli Clotilde. Dobrze obstawiała, ale po bałaganiarsku. Orsu ze swoim ogromnym cielskiem zgiętym przed stalowym sześcianem próbował klucze swoją jedyną sprawną ręką, oglądał zamek, sprawdzał rygiel zamka, zasuwkę, cylindry. Cervone kontrolował go przez ramię.

– Przykro mi, Clotilde – zawyrokował w końcu kierownik kempingu. – Nie ma żadnego śladu forsowania. Naprawdę jesteś pewna, że twój portfel znajdował się wewnątrz?

Mózg Clotilde się gotował. Umówili się? Franck i Cervone, jej mężczyzna i facet, do którego czuła największe na świecie obrzydzenie. Clotilde poprzestała na kiwnięciu głową. Cervone się zastanawiał.

– Były tam pieniądze?

– Trochę...

– Wasza córka zna kod?

Również bezpośredni ten Cervone. W porównaniu z nim Franck to dyplomata.

– Tak, ale...

Clotilde miała zaprotestować, ale Valou, za nimi, wstała.

– Gdybym chciała ukraść forszę rodzicom, to podwędziłabym portfel taty.

Cervone parsknął śmiechem.

– Dobra odpowiedź, panienko. Uznamy, że jesteś niewinna.

Clotilde najbardziej zbrzydził porozumiewawczy uśmiech, który Valou wymieniła z szefem kempingu. Franck, za ich plecami, wydawał się po prostu zdenerwowany.

– No więc, co robimy? Skoro moja żona mówi wam, że portfel był w tym cholernym sejfie?

Dzięki, Franck!

Cervone wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, jeśli wam zginęły dokumenty, powinniście zgłosić to żandarmerii. I jak chcesz, Clotilde, możesz złożyć skargę...

Rozjaśnił twarz dwuznacznym uśmiechem i dodał:

– Nie spodziewaj się, że w żandarmerii w Calvi spotkasz Cesareu. Twój stary kumpel przeszedł na emeryturę dobrych kilka lat temu. Nie wiem, na kogo tam trafisz, teraz gliniarze odbywają tu służbę przez trzy lata, zanim wrócą na kontynent.

Hagrid wciąż obserwował sejf. Z zapałem. Sprawdzał każdy mechanizm zamka. Wydawał się nie rozumieć. Clotilde podziękowała mu w myśli, że nie zadowolili się pozorami.

Była przekonana o jednym.

Ten portfel został tam włożony wczoraj.

Ktoś go wziął.

Dlaczego?

Kto?

Ktoś, kto znał kod albo miał klucz od tego sejfu.

*Sobota 12 sierpnia 1989 roku,
szósty dzień wakacji, niebo granatowe*

Wiesz co?

Wreszcie coś się dzieje w moim zagubionym zakątku Korsyki. Mam coś nowego do opowiedzenia ci w moim dzienniku! Coś nowego i bombowego... Mam nadzieję, że spodoba ci się mój sposób opowiadania.

Jesteś gotowy, mój nieznany czytelniku?

Wszystko zaczęło się od wielkiego BUM. Dokładnie o 2.23 w nocy. Wiem to, bo wybuch mnie obudził i natychmiast spojrzałam na zegarek. Wyjrzałam na zewnątrz, w stronę morza, półwyspu Revellata, w kierunku Balagne po najwyższy szczyt, Capu di a Veta. Nic! Więc z powrotem zasnęłam.

Od samego rana na kempingu wrzało. Żandarmi przepytывali turystów, bardziej zdziwionych niż przerażonych, udając, że nie widzą szerokich uśmiechów na twarzach tutejszych Korsykanów.

W nocy kompleks hotelowy, marina Roc e Mare, wyleciał w powietrze.

Podam ci kilka szczegółów geograficznych, żebyś się mógł zorientować: Revellata to mały półwysep, ma pięć kilometrów długości i kilometr szerokości, prawie całkowicie dziki, jeśli nie liczyć latarni morskiej na końcu świata, małego portu Stareso, dwóch czy trzech białych willi, kempingu Euproctes usadowionego w samym środku, pod oliwkami, z bezpośrednim zejściem małą urwistą ścieżką na dwie kieszonkowe plaże, od południowego wschodu na plażę Alga, od północnego wschodu – na Oscelluccię. Od zachodu nie ma nic poza klifem. Schodzi się bezpośrednio prosto do grotty Veaux Marins i zatoczki Recisa, pełnej kamieni, zawładniętej przez windsurferów.

I kilka szczegółów gospodarczych, prawie cały ten rajski zakątek należy do jednego człowieka. Mojego dziadka! Cassanu Idrissiego. Chociaż on z całą rodziną mieszka na farmie Arcanu w górach, na odludziu, gdzie jest tylko stroma ścieżka lub asfaltowa droga, którą się wchodzi, duża antena telewizyjna, stare kamienie, ogromny zielony dąb na środku podwórza i wszelkie zapachy makii, które wnikają w mury. Żadnej sztuczności, żadnego basenu ani kortu tenisowego, jedyny luksus to niesamowity widok na zatokę koło Revellaty. Nawet kemping należy do mojego dziadzia Cassanu. Szef, Basile Spinello, to jego kumpel, zajmuje się nim, stosując złotą zasadę: żadnych murów lub prawie żadnych, tylko prysznic i toalety, puste

miejsca do stawiania namiotów, garść drewnianych bungalowów, tyle tylko, żeby było gdzie ulokować w lecie kuzynów, którzy wracają z kontynentu, przyjaciół, kilkoro znajomych turystów. Mój Papé, dziadek Cassanu zajmuje się swoją ziemią, swoimi osiemdziesięcioma hektarami, troszczy się o nią jak o kobietę, którą nie chce się z nikim dzielić, którą można się zachwycać, ale nie posiadać, która nigdy nie będzie miała ani jednej zmarszczki; pachnąca czystkiem i cytronem, umalowana na kolor indygo dzikich orchidei, tych, które uwielbia Mama, babunia Lisabetta.

Tylko że...

Jeśli czytałeś uważnie, może zauważyłeś, że powiedziałam „prawie”, kiedy mówiłam, że cały zakątek należy do dziadka Cassanu. „Prawie” znaczy, że brakuje mu kilku zakątków skał od strony morza nad plażą Oscelluccia, a szczególnie czterech tysięcy metrów kwadratowych, które dostał w spadku kilka wieków temu jakiś daleki kuzyn. Nagle ta enklawa w posiadłości mojego dziadka stała się jedyną strefą budowlaną na całym półwyspie. Przetargi leciały w górę jak strzała i pewien deweloper zaczął wznosić kompleks hotelowy pośród czerwonych skał. Podobno Włoch z Portofino. Bardzo luksusowa budowla wkomponowana w koloryt kamieni, z tarasem na Morze Śródziemne, mały prywatny port, trzygwiazdkowe pokoje, jacuzzi i *tutti quanti*. Zaczęli budować w marcu, tylko że korsykańskie organizacje ochrony środowiska wniosły zaraz skargę w związku z prawem ochrony nadbrzeża. Muszę się przyznać, że nie wszystko skumałam, ale dziadek Cassanu potrafi całymi godzinami rozmawiać o tym z tatą; pozornie enklawa nadaje się do zabudowy, ponieważ położona jest ponad sto metrów od morza, ale obrońcy środowiska natychmiast powołali się na ochronę tych przestrzeni naturalnych ze względu na walory krajobrazowe, ich znaczenie ekologiczne, procedurę wpisywania do rejestru obszarów objętych ochroną, prawo pierwokupu przez Inspektorat Ochrony Wybrzeża... Słowem, totalny bajzel.

Ta marina, ten port jachtowy, nadaje się do zabudowy czy się nie nadaje? Nikt nic na ten temat nie wie. Sprowadza się to do batalii adwokatów, dziennikarzy, urzędników i zapewne też do grubych paczek banknotów na stole lub pod stołem. Ale przez ten czas cegły pod budowę Roc e Mare zostały ułożone jedne na drugich na betonowej płycie wylanej przez włoskich robotników. Po cichutku, nie czekając na decyzję sądu, który być może po latach stwierdziłby, że budowa jest nielegalna, i to prawie pod nosem dziadka, Papé Cassanu. Nosem, który jest dość spiczasty i drażliwy, mogę to potwierdzić.

Aż do tej nocy, do godziny drugiej. BUM!

Wielka dziura w betonowej płycie czy w tym, co z niej zostało. Nad ranem robotnicy znaleźli tam tylko wielki stos gruzu.

Dalszy ciąg opowiedziała mi Aurélia. Jest ona córką Cesareu Garcii, adiutanta żandarmerii w Calvi. Między nami mówiąc, nie można powiedzieć,

żebym bardzo lubiła Aurélię. Jest dwa lata ode mnie starsza i trochę się wymądrza, strojąc te swoje poważne miny mówiące coś w rodzaju: takie jest prawo i tak ma być, bo inaczej powiem to mojemu tacie. Można pomyśleć, że ona nie miała dzieciństwa, że wyrzuciła podwójną szóstkę w grze swojego życia i od razu poszła dalej. Współczuję jej przyszlęmu mężowi, jeśli w ogóle go znajdzie. Nie udało się tej Aurélii, chłopcy oglądają się za nią jeszcze mniej niż za mną, rozumiesz! Również Nicolas, a przecież gotowa jestem się założyć, że biedaczka traci głowę dla mojego braciszka. Nie można właściwie powiedzieć, żeby była brzydka, ma okrągłe czarne oczy jak oliwki i grube brwi prawie stykające się nad nosem, co jej nadaje jeszcze surowszy wygląd... Jest raczej upierdliwa. Moje przeciwieństwo, można powiedzieć: ja jak na swój wiek wydaję się młodsza, ona wygląda starzej. To nie dlatego się tworzy między nami solidarność, och, nie, wierz mi, to raczej rywalizacja, powiedziałabym. Dwa sposoby przystosowywania się... Może jeśli spotkamy się po latach, to zobaczymy, która wygrała.

Ale w tamtym momencie, tego ranka po wielkim BUM!, byłam bardzo zadowolona, że Aurélia powiedziała mi tym swoim oschłym głosem i z wielkopańską miną:

– Mój ojciec poszedł do twojego dziadka Cassanu. Wszyscy wiedzą, że to on wysadził marinę.

– ???????????

– Ale oczywiście nikt nic nie powie. Omerta... Omerta, mówi mój tata. Wszyscy tutaj zawdzięczają coś twojemu dziadkowi, przede wszystkim Basile, szef kempingu, chodzili razem do szkoły. Masz pojęcie, podkładają bombę, wiadomo że to on, a nikt nic nie mówi.

Bawiło mnie, kiedy sobie wyobrażałam, jak jej ojczulek (no, to znaczy jej potężny ojciec, bo trzeba zobaczyć tego Cesareu, waży tyle, co korsykański byk) wsiada do swojej furgonetki żandarmerii i jedzie pogadać z moim Papé, dziadkiem, zlany potem, na trzęsących się nogach, jak myszka, która idzie wynegocjować z domowym kotem kącik w stodole.

Utarłam jej nosa.

– Nie ma dowodów przeciwko mojemu Papé. Twój ojciec chyba ci to powiedział.

– Tak, powiedział mi.

Dowaliłam jej jeszcze.

– A w ogóle to ci, co podłożyli bomby, mają rację, no nie? Korsyka jest ładniejsza bez betonu. Jak będziemy czekać na zakończenie procesu, kombinatorzy, administracja zdąży tysiąc razy oszpecić Revellatę i resztę wyspy, nie sądzisz?

Aurélia nie ma zdania. Nigdy.

Ale teraz jednak mi odpowiedziała.

– Tak. Mój ojciec też mi to powiedział, że Cassanu miał rację, że to zrobił. Nawet jak nie miał prawa.

Teraz to ona utarła mi nosa.

Myślałam o tym przez cały dzień. Spotkałam nawet dziadka, kiedy prowadził długą rozmowę z Basilem Spinellem przy wejściu na kemping; wyglądali jak spiskowcy, których jednak nikt się nie boi. Jeździło kilka samochodów żandarmerii. Mówiono trochę o tym wybuchu w radiu. I pod koniec dnia wszystko się potwierdziło. Nikt nic nie widział, nie słyszał. Sprawa załatwiona! Zatoka Revellaty wróci do mew, kóz, osłów, do dzików i do miejscowych traszek (*Euproctus montanus*). Tamtego wieczoru długo siedziałam w grocie Veaux Marins, patrząc na morze i słońce zachodzące nad zatoką Revellaty.

Bardzo piękną, czerwono-złotą.

Bardzo dumna byłam.

Dopóki mój Papé tu będzie, moja zatoka będzie taka.

Dzika, chroniona, zbuntowana.

Tak jak ja!

Na zawsze, co?, mój przyszły czytelniku, na zawsze, obiecaj mi to.

* * *

Na zawsze...

Jaki z niej głuptas!

Zamknął zeszyt.

16.00

Robotnicy z nagimi torsami źle znosili upał. Nieruchomi, zgięci nad szuflą, siedzący za kierownicą zatrzymanego buldożera; a niektórzy szczęśliwcy kurzyli papierosa w cieniu. Zdawało się, że wszyscy obserwują z niedowierzaniem fundamenty betonowych murów w skałach, tak jakby chodziło tu o jakieś szalone przedsięwzięcie, o dzieło tytana. Pałac wymyślony przez króla szaleńca, którego nie sposób zbudować, chyba że w zimie, w nocy, a nie w tym upale.

– To przysły czterogwiazdkowy hotel – powiedziała Valou siedząca z tyłu passata, uderzając rękami jak podekscytowane dziecko.

Franck prowadził spokojnie, skupiony na drodze, mrużąc powieki. Słońce oślepiało go fleszem prosto w oczy na każdym nowym zakręcie. Clotilde odwróciła się do córki.

– Co?

– Przysły czterogwiazdkowy hotel. Przystań Roc e Mare. Stary projekt, który Cervone Spinello odkurzył. To będzie jakby przedłużenie kempingu Euproctes. Wszystkie plany są w recepcji. Powinni go wybudować do lata przyszłego roku. Będzie super! Basen, spa, fitness, pokoje po trzysta euro za noc, z osobnym tarasem i bezpośrednim zejściem do morza.

Clotilde przez chwilę wodziła wzrokiem po placu budowy. Na ogromnej tablicy zasłaniającej część placu, na której widniały logo Europy, regionu i departamentu, umieszczono fotografię wspaniałego kompleksu hotelowego cztero- albo pięciopiętrowego. Chociaż usadowiony w skałach, tylko on miał być widoczny z odległości kilku kilometrów od strony morza czy z nadmorskiej drogi.

Dziwne uczucie zawładnęło Clotilde, nie potrafiła go tak naprawdę określić. Od lat starała się zapomnieć o tym niezamieszkanym skalistym wierzchołku, o tej niebezpiecznej drodze, o tej śmiertelnej przepaści. Bez rezultatu. Dziwne, ale kiedy wróciła w te miejsca, gdzie rozegrał się dramat, każdy zakręt, każda nowa perspektywa, widok na tę rajską scenerię oddalały ją od wypadku; dokładniej mówiąc, przenosiły ją w czasy sprzed wypadku. W te wszystkie lata, wszystkie wakacje sprzed dramatu, chociaż jej wspomnienia zatarły się, chociaż z wakacji w dzieciństwie pozostała jej tylko pewność, że uwielbiała tę wyspę, te krajobrazy, zapachy, tę przyrodę, która przecież miała ją zdradzić. Korsyka była jak ona,

sierotą. Piękna i samotna. Została oderwana od swojej rodziny dwadzieścia milionów lat temu, od kontynentu, od Alp, od Masywu Estérel, żeby dryfować po Morzu Śródziemnym.

Valou mówiła dalej, wykręcając sobie szyję, żeby obejrzyć pierwsze fundamenty przyszłego pałacu-hotelu.

– Cervone powiedział mi kilka słów, kiedy zobaczył, że mnie to interesuje. W przyszłym roku skończę szesnaście lat, może nawet będę mogła tam pracować.

Cervone...

Clotilde doznała bolesnego elektrowstrząsu. Jej córka mówi już o tym draniu zarządcy kempingu, nazywając go po imieniu! Ten betoniarz-gracz-podrywacz, który jest starszy od Valou o dwadzieścia pięć lat.

Bez namysłu przypuściła kontratak.

– Nie rozumiem w ogóle, jak można pozwolić na budowę takiego horroru.

Valentine skapitulowała, nie ripostując, przebiegła tylko wzrokiem z tablicy na dziewczyną przyrodę, tak jakby sobie już wyobraziła hotel wychodzący z ziemi.

Najgorsze nastolatki są te, które nie chcą stawiać czoła.

Clotilde nie dała za wygraną. Ponura.

– Będiesz mogła zapytać Papé Cassanu, swojego pradziadka, co o tym myśli. Jutro idziemy do nich na kolację.

– Dlaczego?

– Dla niczego.

– To jest stary Korsykanin niepodległościowiec, podkładacz bomb? Tak jak w serialu *Mafiosa*?

– Zobaczysz.

– A ile lat ma pradziadek?

– Jedenastego listopada skończy osiemdziesiąt dziewięć.

– I wciąż mieszka w swojej owczarni na końcu świata? Na Korsyce nie mają domów starców?

Clotilde zamknęła oczy.

Dojeżdżali do urwiska Petra Coda, miejsca, w którym fuego wypadło z drogi.

Nikt już się nie odzywał. W radiu szła jakaś melodia disco. Franck zawahał się, czy ściszyć, ale nie zrobił tego.

Na poboczu nie było już ani śladu trzech bukietów macierzanki.

»

Okręgowa brygada żandarmerii w Calvi, z siedzibą przy wjeździe do miasta, miała wyjątkowo piękny widok na Morze Śródziemne i półwysep Revellata. Można by pomyśleć, że żony żandarmów potrzebowały mieszkań służbowych godnych rezydencji o wysokim standardzie, z widokiem panoramicznym nad samą

wodą, by bez oporów podążyć za swoimi mężami do tej krainy pełnej wszelkich niebezpieczeństw.

Clotilde weszła sama, Franck pojechał dalej, żeby dowieźć Valentine do portu w Calvi. Zadzwoń do niego, żeby po nią przyjechał, jak załatwi sprawę, co nie potrwa długo. Musi tylko zgłosić utratę dokumentów.

Żandarm, który ją przyjął, był młodym, wysportowanym blondynem ogolonym na łyso. Jego gabinet ozdabiały proporczyki i szaliki klubów rugby.

Auch. Albi. Castres...

Żadnego klubu korsykańskiego.

– Kapitan Cadenat – powiedział żandarm, podając rękę Clotilde.

Wysłuchawszy relacji, gliniarz położył przed nią zgłoszenie kradzieży dokumentów tożsamości z miną przeproszającą za nadmiar papierów do wypełnienia. Jego szczery uśmiech nie był uśmiechem żołnierza. Raczej wojaka przydzielonego do żandarmów i zadowolonego, że uniknął służby wojskowej.

Clotilde opisała mu okoliczności kradzieży, że kasa była zamknięta, a jednak portfel zniknął, ale brak śladów włamania. Znad tego ulotnego uśmiechu żandarma odfrunęło dwoje oczu, dwa motyle z niebieską tęczówką i latającymi powiekami.

Żandarm wstał, spojrzął na latarnię morską Revellaty, która znajdowała się na wprost jego okna. Kapitan żandarmerii miał posturę zawodowego skrzydłowego gracza rugby.

– Cervone Spinello nie będzie zadowolony, jak się u niego zjawimy. Na ogół sam woli załatwiać sprawy swojego kempingu. Ale jeśli pani zależy, żebym przeprowadził śledztwo...

Clotilde kiwnęła głową.

Tak, chciała. Choćby po to, żeby Cervone się wkurzył.

Żandarm przemiescił maniakałym gestem wiszący na ścianie proporczyk CA Brive.

– Muszę pani wyznać, że pracuję na tym stanowisku dopiero od trzech lat i ciągle jeszcze trudno mi zrozumieć, jak to tutaj funkcjonuje. A przecież pochodzę z południa... Cadenat... Śmieszne nazwisko dla gliniarza, wiem, ale nie dla kogoś z Biterrois. Jules Cadenat, mój pradziadek, był przed wojną najsilniejszym zawodnikiem drugiej linii we Francji. Nie skarzę się, że zostałem przydzielony do Calvi, wie pani, teraz stałem się nawet czterojęzyczny: francuski, angielski, oksytański i korsykański! To fajna wyspa. Fajni ludzie. Tylko jedna rzecz, nie mają pojęcia o rugby!

Wybuchnął śmiechem, przeglądając dokumenty, które Clotilde wypełniła.

Nazwisko

Baron

Nazwisko panięskie

Idrissi

Imię

Clotilde

Zawód

Adwokat. Prawo rodzinne

Prawie odruchowo zadał następne pytanie:

- Jest pani Korsykanką?
- Tak. Myślę, że sercem.
- Z rodziny Cassanu Idrissiego?
- Jestem jego wnuczką.

Cadenat zrobił krótką przerwę.

– Ach...

Motyl usiadł na kaktusie! Facet znieruchomiał jak gliniarz, przy którym wymawia się nazwisko Vita Corleone. Chwilę później pieczętował energicznie urzędowe dokumenty. Ostatnia pieczęć zawisła w powietrzu. Gliniarz podniósł powoli wzrok na Clotilde. Wzrok pełen współczucia. Motyl odfrunął z kaktusa i poleciał na różę.

- Kurczę, ale ze mnie kretyn.
- Słucham?

Kapitan wybełkotał, obracając w palcach poduszkę do stempli:

– Pani jest...

Szukał odpowiedniego słowa. Clotilde domyśliła się, czego nie chce wypowiedzieć.

Ta, co się uratowała.

Cudownie ocalała.

Sierotą.

– Pani jest córką Paula Idrissiego – udało się jednak żandarmowi wyartykułować. – Pani ojciec zginął w wypadku na drodze prowadzącej na Revellatę, tak jak pani matka i brat.

Myśli Clotilde się kłębiły. Ten południowiec pracował na wyspie dopiero od trzech lat. Wypadek zdarzył się dwadzieścia siedem lat temu... Od tamtej pory na tych krętych i nieprzyjaznych drogach wydarzyło się zapewne kilkadziesiąt innych wypadków, również śmiertelnych. Dlaczego więc ten młody gliniarz wie właśnie o tym...

Żandarm przerwał tok jej myśli.

– Czy sierżant wie, że pani jest tutaj?

Sierżant?

Cesareu?

Cesareu Garcia?

Clotilde pamiętała dość dokładnie tego żandarma, który prowadził śledztwo w sprawie wypadku jej rodziców. Cesareu Garcia. Jego dobrotliwy spokój, jego

delikatność, gdy zadawał jej pytania w szpitalu. Jego wygląd zewnętrzny, obfite kształty, a przy tym łagodny głos. Dwa krzesła, na których siedział, i całe pudełko papierowych chusteczek, którymi wycierał sobie czoło i szyję przez te trzy godziny rozmowy w pogotowiu regionu Balagne.

Pamiętała też oczywiście jego córkę, jedną z nastolatek z paczki na kempingu Euproctes, Aurélię Garcję, miejscową ponuraczkę.

– Nie – odpowiedziała w końcu. – Nie sędzę. Cervone Spinello powiedział mi, że on jest na emeryturze.

– Tak... od kilku lat. Przypuszczam, że pamięta go pani. Nie zapomina się takiego wyglądu! Byłby filarem drużyny, gdyby ci głupi Korsykanie wiedzieli, że piłka może też być owalna. Powiem pani, że od chwili przejścia na emeryturę wciąż tyje dziesięć kilo rocznie.

Facet przysunął się bliżej Clotilde. Motyl drżał, jakby się obawiał tej ładnej, ale mięsożernej rośliny.

– Pani Idrissi, musi pani pójść do niego.

Clotilde znowu spojrzała na żandarma, nie rozumiejąc.

– Mieszka w Calenzanie. To ważne, pani Idrissi. On dużo mi opowiadał o tym wypadku, zanim odszedł z brygady. W dalszym ciągu, po latach, prowadził śledztwo w sprawie tego dramatu. Musi pani z nim porozmawiać, pani Idrissi. Cesareu to porządny facet. O wiele sprytniejszy, niż uważają miejscowi. À propos wypadku... on ma... jak by to powiedzieć...

– Co? – zapytała Clotilde, po raz pierwszy podnosząc głos.

Motyl po raz ostatni zatrzepotał skrzydłami, po czym odleciał.

– On ma pewną teorię.

Otworzył zeszyt.
 Nie podobało mu się to, co miał przeczytać.
 Jednak musiał.
 Żeby podsycić swoją nienawiść.
 * * *

*Niedziela 13 sierpnia 1989 roku,
 siódmy dzień wakacji, niebo ciemnogramatowe*

Dziś wieczorem bal.
 Od razu uprzedzam, nie jestem jego królową!
 Siedzę trochę na uboczu, trochę w cieniu, na piasku, z książką na kolanach.
 Trzeba by to zobaczyć...

Ten bal to po prostu taka imprezka z głośną muzyką zaimprovizowana na kempingu z trzema girlandami i wielkim odtwarzaczem kaset, który Hermann pożyczył od swojego ojca i postawił na plastikowym krześle. Nicolas przyniósł kasety z piosenkami, pięćdziesiąt najlepszych na liście, które nagrał bezpośrednio z radia, były tam nawet dżingle i reklamy między przebojami.

Zwłaszcza jeden przebój.

THE tube!

Przebój, o którym szczęśliwie, mój przyszły czytelniku, nigdy nie słyszałeś, ponieważ zniknie on z pamięci wszystkich równie szybko, jak szybko nimi zawładnął tego lata.

Zupełne wariactwo. Nazywa się to lambada.

Jest to bardziej taniec niż piosenka. Dla chłopca polega to na tym, żeby wcisnąć swoje udo między uda dziewczyny. Pod jej cipkę, mówiąc wprost.

Najprawdziwsza prawda.

Niech tylko któryś spróbuje ze mną, no...

Ale zauważ, że to nie może się zdarzyć. Który chłopak w moim wieku mógłby mieć na to ochotę? Z taką karlicą jak ja... Nie podbrzusze by przysunął do mojej cipki, tylko kolano! No więc tkwię tu na swojej poduszce z piasku ubrana jak czarownica i czytam *Niebezpieczne związki*.

Wersję kempingową.

Przyszedł tu przed chwilą Basile Spinello i powiedział, żeby ściszyć trochę

muzykę.

– Tak, tato – powiedział Cervone, jego nadgorliwy synek.

Zgadzam się z Basilem.

Muzyka to zanieczyszczenie. Znaczy, ta muzyka marnowana w ten sposób, nie ta, która z uszu dociera bezpośrednio do mózgu kablem od walkmana. Muzyka, która rusza w pustkę, która ucieka na łono natury, która ją zanieczyszcza tak jak tłuste papiery, niedopałki papierosów czy nawet tak jak gruz mariny Roc e Mare. To jakby brak szacunku dla piękna, tego piękna, którego przede wszystkim nie należy psuć ani nawet dzielić się nim. Należy jedynie je podziwiać.

Jedynie.

Piękno to sekret. Mówić o nim to je gwałcić.

Dla mnie Korsyka to jest to...

Basile zrozumiał.

Tak jak mój dziadek Cassanu.

Mój ojciec też, może.

Ledwo Basile odszedł, jego syn zwiększył głośność.

Tańczymy lambadę, lambadę, lambadę...

W rytm.

Jest tu jakieś piętnaścioro nastolatków.

Mano Negra czy Nirvana, nawet tego nie znają, a najbardziej mnie wścieka, że za rok czy dwa uznają, że to genialne, bo wszyscy uznają, że to genialne.

Mój otwarty zeszyt leży na *Niebezpiecznych związkach*, ale nikt tego nie widzi. Mogę spokojnie pisać. Pomyślałam sobie, że dzisiaj przedstawię ci naszą bandę. Trzeba będzie czytać uważnie, bo to trochę skomplikowane. Każdemu przydzielę literę, żeby było prostsze.

Najpierw mój brat Nicolas, przykucnięty koło odbiornika radiowego, można powiedzieć, że to Valmont, bo jest dość ładnym chłopakiem i ma niesamowite powodzenie u dziewcząt, z tą swoją miną cool, no i z nikim nie zadziera. Mam nawet w związku z tym swoją teorię. Jeśli się kocha wszystkich, to znaczy, że nikogo się nie kocha. No więc tak, widzę mojego braciszka jako Valmonta, jak się zakochuje we wszystkich dziewczynach na świecie, szczerze, jak nieszczęśliwy aniołek niezdolny, by kochać tylko jedną z nich.

Nicolas, czyli N.

Obok dziewczyna, która się kręci w rytm *Billie Jean*, to Maria-Chjara. Przedstawię ci jej dokładny portret później, bo ta mała kokietka zasługuje na osobny rozdział. Ale na razie, tylko gwoli wstępnej prezentacji, widziałabym ją jako markizę de Merteuil. Kurtyzanę, która manipuluje ludźmi w powieści. Zrozumiałeś, nie muszę ci tłumaczyć, nie cierpię Marii-Chjary, ale musiałabym co najmniej całą białą noc dobierać odpowiednie słowa, żeby ci wytłumaczyć, do jakiego stopnia.

Maria-Chjara, czyli M.

Tę, co tańczy nie do taktu, sama, tak sama jak ja, ale ja tego nie okazuję, już znasz, to Aurélia Garcia, ponuraczka. Córka żandarma, u la la, muzyka za głośna, u la la, zawołam tatę, u la la, lambada, o Boże, o Boże, u la la, chłopcy, no nie, no nie... Drapie się w brwi, uśmiecha głupio i pewnie marzy o księciu z bajki, który w refleksach jej aparatu na zębach mógłby zobaczyć gwiazdy... Powodzenia, stara!

Aurélia, czyli A.

Są jeszcze inne dziewczyny, Véro, Candy, Katia, Patricia, Tess, Steph, ale pominię je, przejdę do facetów, przynajmniej do tych, którzy mnie inspirują do pisania brzydkich słów. Inni, Filip, Ludo, Magnus, Lars, Tino, Estefan, są tylko normalni, to znaczy mili, piją piwo, wesołkują, opowiadają ciężkie dowcipy i poskramiają normalne dziewczyny.

A więc nie widzą mnie.

Estefan, z jasnymi włosami, które upina w koński ogon, ze swoim południowym akcentem, marzy, żeby zostać Lekarzem Świata i działać w Etiopii, Magnus chciałby nakręcić czwarty odcinek *Star Wars*, Filip – wyruszyć z Cape Canaveral na pokładzie Columbi, ale od samego opisywania ci tych męskich ideałów ogarnia mnie chandra, więc pozwól, że się wyładuję na innych.

Przede wszystkim Cervone Spinello, który właśnie negocjuje z moim braciszkiem, żeby nastawić muzykę jeszcze głośniej. „Mówię ci, Nico, nie przejmuj się, tata nic nie powie”. Już trochę ci o nim mówiłam. Ten kretyn jest przekonany, że kiedyś to on będzie zarządzał kempingiem, więc zachowuje się już jak następca tronu, czyli delfin. Uwaga, nie mam na myśli delfinów z *Wielkiego błękitu*, za którymi szaleję, nie, mój przyszły niedouczony czytelniku, mówię o delfinie, który jest najstarszym synem króla i który czeka na swoją kolej, żeby rządzić. Na ogół ten delfin nie ma kompetencji i jest pedantycznym wałem. Obie te cechy często idą w parze, kiedy ma się władzę. Cervone jest właśnie taki. Będzie taki.

Cervone, czyli C.

Streszczam się i kończę na cyklopie. Nazywam go tak nie dlatego, że jest olbrzymem (cha cha cha), ale dlatego, że można na niego patrzeć, ile się chce, nigdy nie widać jego drugiego oka, tylko jedno. A więc ten cyklop, Hermann, zawsze się ustawia profilem i patrzy tylko w jedną stronę. W stronę Marii-Chjary.

Kiedy widzi się Marię-Chjarę, nie trzeba daleko szukać, zobaczy się zaraz profil Hermanna zwrócony w jej stronę. Gdyby Maria-Chjara była słońcem, Hermann byłby opalony tylko z jednej strony. Poza tym Hermann jest Niemcem, ale trzeba przyznać, że nie kaleczy za bardzo francuskiego i angielskiego. Tam u siebie to on jest pewnie *kolossal* zdolniacha, taki co to przez dziesięć miesięcy w roku robi za prymusa w liceum, a przez dwa miesiące letnie jest nieprzystosowany do społeczeństwa.

Hermann, czyli H.

Wszystko zrozumiałeś?

Podsumuję to wykresem geometrii miłosnej, rodzaj niebezpiecznych związków dla nieuków. Więc jest koło, no, dwa koła, w których centrum stanowią N (Nico) i M (Maria-Chjara). Normalni kumple, ci, których wymieniłam tylko z imienia, rozmieszczają się w tych kołach. Dziewczyny w kole N, chłopaki w kole M.

A (Aurélia) i C (Cervone) chcieliby wejść do koła. H (Hermann) chciałby wytyczyć bezpośrednio prostą w kierunku M (Maria). Ale nie tu tkwi główne pytanie. Główne pytanie brzmi: czy koła będą się przecinać, łączyć, nakładać się na siebie?

$N \cap M$?

$N \cup M$?

$N = M$?

Wkrótce będzie odpowiedź, nie wyłączaj się, lambadę zamienili teraz na *slow*. Gitary Scorpionsów płaczą, przysięgając, że *still loving you*. Słucham, podziwiam, kasety Nica są wzorem manipulacji. Zaprogramował ten zabójczy *slow* zaraz po *Wake me up*, nakręcony rock Wham!, jak na sprężynach. Dziewczyny są mokre, pot spływa im z pleców na pośladki, a bluzki przyklejają się do cycków. Sprytny ten mój braciszek!

Odsuwam się trochę, prawie w ciemność, potrzebuję tylko odrobiny światła, żeby móc dalej pisać.

Tworzą się pary.

Steph z Magnusem, Véro z Ludem, Candy z Fredem, Patricia waha się między Estefanem a Filipem, Katia czeka, aż jej kumpelka wybierze, zupełnie jak w letnim supermarkecie. Wybierajcie, mamy przecenę, pospieszcie się, wszystko się kończy z końcem sierpnia.

Moje pośladki cofają się jeszcze kilka centymetrów w ciemność. Gdyby któryś z tych facetów przyszedł mnie poprosić do tańca, posłałabym go do diabła. A potem bym płakała do rana.

Nie ma niebezpieczeństwa!

Znowu piękny George Michael z *Careless Whisper*.

W swoim ciemnym kąciku bawię się, bawię się. Słuchasz mnie, mój powierniku? BAWIĘ SIĘ! Tak jak mała myszka w swojej dziurze.

Pierwsze koło się oddaliło, mój Nico puścił właśnie Tess, Szwedkę, nie rzuciwszy nawet okiem na Aurélię, która wyciągała do niego ręce. Maria-Chjara tymczasem zostawiła pięknego Estefana. Król i królowa balu w końcu są gotowi, by się spotkać.

Ruszają, markiza de Merteuil idzie w stronę Valmonta.

Jeden krok, dwa kroki, trzy kroki pod lampionami.

Nie ma już kół, tylko po prostu pary nastolatków rozproszone przy rzewnych dźwiękach saksofonu.

Po prostu dwa punkty, które się łączą.

Maria-Chjara ma na sobie białą sukienkę, zmieniającą kolor przy każdej żarówce, pod którą przechodzi z wykalkulowaną powolnością.

Niebieski żółty czerwony niebieski żółty czerwony niebieski żółty czerwony

Nicolas stoi pod ostatnim czerwonym światełkiem girlandy, która faluje między gałęziami oliwek.

Niebieski żółty czerwony niebieski żółty

Maria-Chjara jest już dziesięć metrów od Nicolasa i nagle się zatrzymuje.

Żółty

Może wyczuła czyjeś spojrzenie.

Maria-Chjara oddała się od lampionów, jej sukienkę oświetla już tylko słabe światło księżyca.

Biały

Wszystkiego się spodziewałam, tylko nie tego, Maria-Chjara odwraca się plecami do mojego brata i wyciąga swoje gołe ręce, wilgotne piersi, mokrą talię, którą mogłyby otoczyć zaledwie dwie chłopięce dłonie... do Hermanna.

Cyklop nie wierzy własnym oczom.

12

14 sierpnia 2016 roku

18.00

Jutro, kiedy będziesz na farmie u Cassanu i Lisabetty, postój kilka minut pod zielonym dębem, zanim się ściemni, żebyś mogła cię zobaczyć.

Te słowa skreślone pismem, które tak bardzo przypominało charakter pisma jej matki, wciąż chodziły Clotilde po głowie.

Coraz szybciej.

Jutro... żebyś mogła cię zobaczyć...

Walczyła z dwoma sprzecznymi z sobą uczuciami, niecierpliwością i strachem, takim jak ten, który elektryzuje i paraliżuje w przeddzień pierwszej randki miłosnej.

Jutro... precyzowała wiadomość.

Czyli już za niecałe dwie godziny. Tego wieczoru byli zaproszeni na kolację do jej dziadków na farmę Arcanu. Kto będzie tam na nią czekał? Kto ją zobaczy?

Clotilde wahała się przed lustrem w łazience. Rozpuścić długie włosy na ramiona czy też upiąć je w kok? Nie śmiała sformułować trzeciej możliwości, uczesać je na czarownicę, potargać, nastroszyć na jeża, tak jak to robiła, kiedy miała piętnaście lat. Wszystko jej się mieszało w głowie. Próbowwała się skupić, żeby przypomnieć sobie farmę swoich dziadków, kurz na dużym słonecznym podwórzu, olbrzymi zielony dąb, który powinien był jeszcze wydłużyć swój cień, morze, które się chowało za każdym budynkiem z gliny stojącym na stoku z bocza... ale kolejne słowa listu nakładały się na strzępy wspomnień.

Mam nadzieję, że cię rozpoznam.

Chciałabym bardzo, żeby twoja córka też tam była.

Clotilde poprosiła Valou, żeby się postarała, włożyła długą spódnicę i górę z małym dekoltem, związała włosy, zrezygnowała z gumy do żucia i ray-banów. Zgodziła się, kwękając, nawet nie dociekała, z jakiego powodu ma zrezygnować ze swojego turystycznego stroju, idąc z wizytą do osiemdziesięciodziewięcioletniego pradziadka i osiemdziesięciosześcioletniej prababci.

Sanitariaty były puste, tylko Orsu przecierał ścierką podłogę. Przemieszczał się powoli, chwytając sprawną ręką olbrzymie wiadro, przechodząc do czyszczenia kolejnej kabiny prysznicowej. Clotilde zauważyła, że myje on każdy sanitariat co trzy godziny, w tym samym rytmie, w którym wykonuje inne swoje obowiązki,

takie jak podlewanie, grabienie, wrywanie chwastów, oświetlanie... Zniewolenie!

Clotilde posłała mu uśmiech, na który nie odpowiedział. Malowała sobie właśnie kąciki oczu eye-linerem, aby nadać im orientalną głębię, czarną, może jakiś akcent w stylu Goth, chociaż nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą, kiedy weszło za nią dwoje nastolatków.

W zabłoconych tenisówkach na nogach, z kaskami rowerowymi w ręce, z opaskami odblaskowymi na kolanach i łokciach, skierowali się prosto do ubikacji i po kilku chwilach wyszli. Spojrzeli z obrzydzeniem na swoje własne ślady błota na mokrych kafelkach. Wyższy z nich stanął, tak jakby znaleźli się przed ruchomymi piaskami nie do pokonania, i odwrócił się do Orsu.

– Ale syf!

Drugi poszedł dalej ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, omijając mokre ślady ziemi na posadzce i brudząc kolejne miejsca.

– Ale młot z ciebie, Hagrid. Dlaczego nie myjesz sraczy wcześniej rano albo w nocy, kiedy nikt nie musi tu przychodzić?

Wyższy dodał swoje. Miał najwyżej trzynaście lat, spod obcisłych szortów cyklisty wystawały mu markowe bokserki.

– No pewnie, Hagrid, tak się to robi. W szkole, w biurze mojego ojca, nawet na ulicy. Zbieranie śmieci, czyszczenie gówna, to się robi, kiedy ludzie śpią albo jak ich nie ma.

I znowu niższy, najwyżej dwanaście lat, T-shirt z napisem Waikiki XXL, który mu sięgał poniżej pośladków.

– Tak się to robi, Hagrid. W służbie użytkowników, z szacunkiem dla klienta, z wyczuciem. Rozumiesz, Hagrid, sracze mają lśnić, a ty masz być niewidzialny. Gówno musi znikać jak za sprawą magii. Ludzie nie powinni nawet wiedzieć, że istniejesz.

Orsu otwierał szeroko oczy, wystraszony. Clotilde nie dostrzegała w nich nienawiści, widziała tylko strach. Strach przed tymi dwoma głupimi małolatami, przed tym, co mogą nagadać, donieść. Może nawet strach, że ich zawiódł.

Clotilde zawahała się. Gdyby była młodsza, rzuciłaby się na nich bez namysłu, z głową do przodu.

Oszacowała czas swojej reakcji na trzy sekundy i odwróciła się do większego. Trzy sekundy... Zanim przystąpiła do ataku, zreflektowała się, że tak bardzo się nie postarzała.

– Jak się nazywasz?

– Ee... A bo co, proszę pani?

– Jak się nazywasz?

– Cédric.

– Cédric, jak dalej?

– Cédric Fournier.

- A ty?
- Maxime. Maxime Chantrelle.
- Okej, zobaczę jeszcze.
- Co pani zobaczy?
- Czy wniosę skargę...

Chłopcy spojrzeli po sobie. Nie rozumiejąc. Wnosić skargę na tego faceta, dlatego że nie wyciera ścierką jak należy? To chyba przesada. Nie chcieli, żeby to zaszło tak daleko...

– Czy wniosę skargę o znieważenie pracownika wykonującego swoje powinności, obrazę o charakterze dyskryminacyjnym – skierowała ostentacyjnie wzrok na sztywną rękę Orsu – nadużycie władzy wobec osoby trzeciej.

– Pani żartuje?

– Nie pani, tylko mecenas. Mecenas Baron. Adwokat od prawa rodzinnego, gabinet IENA i wspólnicy, w Vernon.

Obaj znowu spojrzeli po sobie. Skonsternowani.

– Wynoście się!

Zniknęli.

Orsu nie odwzajemnił jej uśmiechu. Trudno. Clotilde odwróciła się z powrotem do lustra, dumna, że napędziła stracha smarkatym kretynom, obserwując brodatego olbrzyma kątem prawego oka, tego już podkreślonego na czarno. Orsu na chwilę znieruchomiał, po czym zanurzył ścierkę w wiadrze i natychmiast wyjął inną, czystą.

Czarne oko Clotilde znieruchomiało, jakby było zatarte; dostała gwałtownego zawrotu głowy, obiema rękami przytrzymała się ściany bloku sanitarnego, upuszczając eye-linera do umywalki.

Po nieskazitelnie czystej glazurze płynęły czarne krople.

Clotilde próbowała odzyskać oddech, uspokoić się, przewinać scenę, której była świadkiem przed chwilą, i obejrzeć w zwolnionym tempie ten łagodny gest Orsu. Jak wrzuca brudną ścierkę do wiadra i wyjmuje drugą, czystą.

Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe.

Czarna kreska eye-linera schodziła powoli aż do dziury w niecce, tak jak wąż zdążający do swojej kryjówki.

Banalny gest.

Orsu zresztą odwrócił się już do niej plecami i wycierał miotłą trzymaną w jednej ręce ślady butów dwóch młodych kretyków.

Gest nierzeczywisty... pochodzący z zaświatów.

Ogarniało ją szaleństwo.

»

– Jesteś wspaniała, Valentine...

Cervone Spinello stał przy wejściu na kemping Euproctes z komórką w ręce, pozdrawiając wchodzących i wychodzących, jak wyluzowany dyżurny nadzorujący bramę liceum. Jego żona Anika, siedząca w okienku, w nieskazitelnym angielskim udzielała informacji skandynawskim turystkom, które postawiły koło kontuaru swoje plecaki dwa razy cięższe i szersze niż one same. Anika była wysoka, uśmiechnięta, elegancka; równie wyrafinowana i uprzejma, co zaaferowana. Anika była zarazem sercem i płucem tego kempingu, jego dodatkową duszą, jego świętą opiekunką, Cervone był tu tylko kapłanem.

Valentine zatrzymała się i odwróciła do zarządcy.

– Dziękuję.

Wskazała palcem swoje włosy schowane pod skromną chustką, swoją długą spódnicę, która sięgała jej do kostek, po czym szepnęła konfidencjonalnym tonem:

– To na zamówienie. Za dwie godziny idziemy na kolację do przodków.

– Do Cassanu i Lisabetty? Na farmę Arcanu?

Valentine potwierdziła niezadowolonym uśmiechem, przejechała dłonią po włosach, żeby upchnąć niesforny kosmyk pod łososiową tkaninę, i zaczęła się wpatrywać w plakat, który przedstawiał plany mariny Roc e Mare.

– A mama uważa, że przy dziadku lepiej nie mówić nic o waszym hotelu.

Z tyłu za nimi Anika wstała, żeby oprowadzić po polu namiotowym Szwedki zgięte w pół pod ciężarem swoich bagaży. Cervone schował telefon komórkowy do kieszeni, wziął Valou za ramię, tak że musiała wykonać lekki obrót, by znaleźć się na wprost wielkiej mapy Korsyki. Palec zarządcy kempingu przejechał po Morzu Śródziemnym i zatrzymał się pośrodku wielkiego błękitu.

– Wiesz, jaki jest trzeci port lotniczy Hiszpanii po Madrycie i Barcelonie?

Valou potrząsnęła przecząco głową, nie chwytając, do czego zmierza Cervone.

– Palma! Palma de Majorca. Stolica Balearów. Baleary, Valentine, to pięć tysięcy kilometrów kwadratowych, milion mieszkańców i dziesięć milionów turystów. Dwa razy mniejsze od Korsyki i cztery razy więcej zwiedzających... A przecież, mogę ci to powiedzieć, Baleary nie mają nawet jednej czwartej atutów naszej wyspy, dwie plaże i trzy grotty, jedną górę, która ma nie więcej niż tysiąc pięćset metrów. – Jego palec przesunął się wciąż po lazurowym obszarze mapy. – No to możesz mi powiedzieć, Valentine, dlaczego jedna wyspa na Morzu Śródziemnym przyciąga, tworzy miejsca pracy i bogactwo, a inna nic a nic?

– No... nie wiem.

– Dowiesz się wieczorem. Nie będziesz musiała o nic pytać. Będziesz tylko musiała słuchać swojego dziadka.

– Pradziadka.

– Tak... prawda. Wiesz, że Cassanu był jednym z najlepszych przyjaciół mojego ojca?

Odwrócił się w stronę wejścia na kemping, wyciągnął ramiona, podniósł rękę, skierował palec wskazujący na horyzont.

– Popatrz. Prosto przed siebie.

Valentine zmierzyła wzrokiem półwysep, który odcinał się od morza jak jeszcze jeden ogromny palec bez żadnej biżuterii.

– Co widzisz, Valentine?

Zawahała się.

– Nic.

Cervone nie posiadał się z radości.

– Dokładnie, nic! Korsyka to jest raj, jedna z najpiękniejszych wysp na świecie, dar niebios, a co z nią zrobili? Nic! Przyjrzyj się temu szlachetnemu półwyspowi. Co z nim zrobili? Nic. Poza tym, że go skonfiskowali tak jak starcy, którzy ukrywają swój skarb pod materacem. Straciliśmy przez nich pięćdziesiąt lat. Wiesz, jakie jest największe przedsiębiorstwo na Korsyce?

Valentine pokręciła przecząco głową i bąknęła:

– No... Nie.

Szef kempingu, podekscytowany, złapał ją za ramię.

– Supermarket! Wszyscy młodzi zwiewają stąd, a jednak zostaje jeszcze na wyspie ponad dziesięć procent bezrobotnych. Z powodu tych rzekomych obrońców Korsyki. Ci wygnańcy dostają robotę w Marsylii albo w regionie paryskim. Są uchodźcami ekonomicznymi, którzy przez cały rok czują się nieswojo i czekają, by przyjechać na swoją wyspę i spędzić jeden letni miesiąc z rodziną, a kiedy znowu muszą wyjechać, wylewają całe Morze Śródziemne łez. Czy to tak się pomaga Korsyce? Tak się kocha Korsykanów?

Ostatni raz podniósł wzrok w stronę półwyspu, po czym spojrzał na plakat przypięty pineskami w holu recepcyjnym kempingu.

– Marina Roc e Mare – wyjaśnił. – Stary projekt, który wygrzebaliśmy z pudeł. Straciłem kilka lat, żeby móc kupić ten teren. Trzydzieści stałych miejsc pracy, jak tylko się zakończy budowa. W lecie trzy razy więcej...

Cervone dotknął ręką policzka Valentine.

– To nie jest obietnica rzucona na wiatr, będzie też miejsce dla ciebie. Zasłużyłaś na nie, ty też jesteś uchodźczynią. I to nie byle jaką. Jesteś spadkobierczynią. – Nachylił się do jej ucha i prawie wyszeptał: – I obiecuję ci, tym razem twój przodek nic nie powie.

Valentine spróbowała się odsunąć, ale przytrzymał ją, dyskretnie naciskając jej ramię.

– Wszyscy tutaj boją się Cassanu. Jeszcze dzisiaj. To on jest szefem.

Puścił wreszcie dziewczynę, chuchnął w dłonie i poruszał palcami, tak jakby rozsypywał jakiś magiczny proszek, po czym ciągnął:

– Wszyscy się tu boją Cassanu Idrissiego. Wszyscy oprócz mnie. Wyznam ci

coś, Valentine: rzuciłem urok na twojego dziadka, twojego Papé. Spełnia każde moje życzenie, nawet najmniejsze.

»

Lepka smuga eye-linera zniknęła prawie w dziurze umywalki, zostawiając za sobą jedynie szary ślad śluzu długiego, pełzającego mięczaka. Clotilde z trudem dochodziła do siebie. Stojąc nieco z boku, mogła, wpatrując się w lustro, obserwować odbicie Orsu za swoimi plecami. Kiedy umył już toalety najbardziej oddalone od niej, ponownie wykonał swój rytuał.

Polegający na wrzuceniu brudnej ścierki do wody z mydłem i wyjęciu z niej drugiej, która moczyła się od kilku minut. Wyżęciu jej, ściśniętej między kolanami, jedyną sprawną ręką. Założeniu jej na szczotkę.

Clotilde zamknęła oczy. Obraz nie zniknął. Był tam wciąż, swojski obraz. Wiadro, szczotka-miotła, mokra podłoga.

Tylko że to nie był obraz sanitariatów na kempingu, lecz obraz kuchni w domu w Tourny w Normandii, w którym Clotilde spędziła pierwszych piętnaście lat życia.

Tylko że to nie Orsu pochylał się nad miotłą, lecz jej mama.

Palma przekazała im swoją technikę jako starą rodzinną tajemnicę. Synowi Nicolasowi, mężowi, niezbyt jednak zainteresowanemu porządkami domowymi, swojej córce Clotilde. Jej.

Sprzątać dwiema ścierkami! Zostawiać zawsze jedną w wodzie, żeby się moczyła przez ten czas, kiedy brudzi się drugą. Żeby je zmieniać, żeby nie tracić czasu na wyżymanie, aż czarny płyn stanie się jasnoszary. Ta stara technika odziedziczona nie wiadomo po kim stała się rodzinnym zwyczajem, naturalnym sposobem, prawie rytuałem.

Orsu znał ten rytuał; odprawiał go.

Clotilde otworzyła oczy, zmusiła się do racjonalnego myślenia.

Orsu stosuje tę technikę tak jak setki tysięcy mężczyzn i kobiet na świecie, którzy sprzątaję i znają tę sztuczkę. Nie powinna tracić głowy, dać się zwieść jakimś śmiesznym okolicznościom. Powinna panować nad sobą, zostawiać możliwie najmniej miejsca na emocje, tak jak wtedy, kiedy bada akta prowadzonej przez siebie sprawy, żeby uzyskać zasądzenie stosownych alimentów dla kobiety, która została sama z dziećmi, przekonać męża, żeby sprzedał dom, który zbudował własnymi rękami majsterkowicza, aby rozdzielić sumę na dwa przyzwoite mieszkania, następnie wynegocjować opiekę naprzemienną.

Będzie musiała się skupić.

Dzisiaj wieczorem podczas kolacji ze swoimi dziadkami na farmie Arcanu. Opanować emocje, stawiać odpowiednie pytania.

Jutro, kiedy spotka się z Cesareu Garcia. Kilka godzin temu Clotilde

rozmawiała przez telefon z emerytowanym żandarmem, ale nie chciał jej nic powiedzieć. „Jutro, Clotilde, jutro. Nie przez telefon. Przyjedź jutro, o której chcesz. Do mnie, do Calenzany. Nigdzie nie wychodzę. Już w ogóle nie wychodzę”.

Orsu oddalał się, kulejąc, ze swoim wiadrem i szczotką. Clotilde mimo starań wciąż nie mogła się uspokoić. Poza tym obłądnym skojarzeniem dwóch ścierek (każda z jej przyjaciółek słysząc to, zawyłaby ze śmiechu, usiłowała bagatelizować), w dalszym ciągu odczuwała obelgi chłopaków pod adresem Orsu niczym ukłucia sztyletu. Już sam fakt, że nazywali go Hagridem, wyprowadzał ją z równowagi. Może dlatego, że jest niepełnosprawny, że Cervone wyzyskuje go, żeby jego kemping prosperował; tutaj, w tej scenerii, na tej wyspie, wśród tych ludzi, których tak sobie wyidealizowała.

Clotilde spojrzała na zegarek.

Mają spotkanie na farmie za niecałą godzinę.

Ktoś tam na nią czeka. Ktoś, kto ma nadzieję, że ją rozpozna.

Kierując do lustra grymas, który, jak miała nadzieję, przypominał grymas nadąsanej, trochę zbuntowanej nastolatki, powtórzyła w myśli kilka linijek listu. Niczym modlitwę. Niczym instrukcje powierzone kobiecie-szpiegowi, których ona musi się nauczyć na pamięć, bo wie, że jej misja jest śmiertelnie niebezpieczna.

Nie proszę cię o nic więcej. Tylko o to jedno.

Czy może jedynie, żebyś spojrzała w niebo na Betelgezę. Gdybyś wiedziała, moja Clo, ile nocy patrzyłam na nią, myśląc o tobie.

Światło w sanitariatach wyłączyło się, pogrążając je w lekkim półmroku.

Całe moje życie to camera obscura.

We framudze drzwi ukazał się Franck.

– Idziemy, Clo?

Całuję cię.

P.

*Poniedziałek 14 sierpnia 1989 roku,
ósmo dzień wakacji, niebo jak niebieska róża*

To ja!

Pamiętasz, zostawiłam cię samego z moimi rówieśnikami tańczącymi lambadę.

Nie gniewasz się?

Mówię moi rówieśnicy, bo to moja banda, chociaż nie umieściłam swojej litery.

M, N, A, C, H, Maria-Chjara i Nicolas, Aurélia, Cyklop, Cervone, inni... Ważna sprawa, historie sercowe. Zapewniam, że nic nie straciłeś, na razie nic nowego, tylko nieśmiałe podchody. Jak się będzie coś działo, zawiadomię.

Ale może nie traktujesz tej mojej układanki flirtów zbyt poważnie? Tych miłostek, o których nawet sami zakochani nie będą pamiętać, kiedy dorosną.

Pomyślałam więc o tobie, opowiem ci pewną skomplikowaną, nieszczęśliwą, pokrętną historię miłosną. Z tych, jakie lubisz.

Historię dorosłych.

Mężczyzny i kobiety.

Mojego ojca i mojej matki.

Od początku wakacji było między nimi raczej dobrze, no, co nie znaczy, że zazwyczaj jest między nimi źle, nie znaczy też, że jest dobrze. Powiedzmy, że jest nijak. Tata wraca późno, mama na niego czeka, rozmawiają o sprawach domowych, o jutrzejszych zakupach, o wystawieniu pojemników ze śmieciami, czasem też idą gdzieś razem, zapewne w takie dni też się kochają. Ale od początku wakacji jest lepiej, w każdym razie z tego, co widzę, a to całus w szyję, a to drobne „ładna jesteś, kochanie”, jakiś krótki wybuch śmiechu, który nie rani. Jeśli mam wybierać, powiem, że to przede wszystkim tata stara się ładować baterie ich libido. I nagle paf...

Trach. Katast...

Już wyjaśniam, tata i mama poznali się na Korsyce przed wiekami. Mama zwiedzała wyspę na motorze, z koleżankami. Tata natomiast mieszkał tu z rodzicami, na wyżynie górującej nad półwyspem, na farmie Arcanu. Nie znam szczegółów ich romansu, wiem tylko, że poznali się na Revellacie 23 sierpnia 1968 roku, w dniu świętej Róży.

No i 23 sierpnia każdego roku obchodzą rocznicę poznania się. Tego dnia tato obowiązkowo funduje bukiet, zależnie od roku, albo czerwonych róż, symbolizujących namiętną miłość, albo białych, symbolizujących czystą miłość, albo pomarańczowych róż, symbolu pożądania... Ale żaden z nich, jak głosi legenda rodzinna, nie jest tak piękny, jak ten, który nazrywał dla mamy pierwszego lata, bukiet z kwiatów dzikiej róży, tej róży, którą mama tak lubi. *Rosa canina*, psia róża.

Każdego roku 23 sierpnia, jak daleko sięgam pamięcią, tata i mama fundują sobie labę i idą spędzić wieczór w Casa di Stella, najlepszej knajpie między Calvi a Porto, z romantycznym tarasem pod oliwkami, kuchnią, w której się pali drewnem, z duszoną cielęciną korsykańską, grillowanym stekiem z granika wielkiego, płynącym strumieniami muscatem Casanova. Można tam dojść bezpośrednio, na piechotę, stromą ścieżką nad Arcanu. Śpią na miejscu, przypuszczam, że rezerwują pokój małżeński, z łóżkiem z surowego drewna, marmurową misą na stoliku, starodawną wanną na środku i olbrzymimi oszklonymi drzwiami balkonowymi wychodzącymi na Wielką Niedźwiedzicę. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Przyznam ci się, że chyba byłabym zachwycona, gdyby mój kochaś zabrał mnie kiedyś tam na górę do Casa di Stella, czyli do domu pod gwiazdą... Czy zdarzy mi się to, powiedz, proszę, że mi się to zdarzy.

Koniec nawiasu.

Małżeńskie szczęście moich rodziców na balkonie z Drogą Mleczną to było przedtem.

W tym roku bach... bum...

Zaczął się od plakatów rozwieszonych prawie wszędzie na kempingu i na drodze. Koncert muzyki korsykańskiej. 23 sierpnia o godzinie 21.00. Grupa nazywa się A Filetta, zdaje się, że jest superznana. Jeżdżą po całym świecie, a tu występują bardzo blisko, w kaplicy Santa Lucia, w opuszczonym niemal miasteczku Prezzuna, powyżej Galerii.

Tata zafundował sobie niezdarne podchody.

Uno, stoję przed plakatami.

Deuzio, opowiadam, że to najlepsza grupa na świecie i puszczałam wam na okrągło ich kasety.

Tertio, przypominam, próbuję, sugeruję półgębkiem mamie Palmie, że w tym roku rocznicę poznania można by urządzić innego dnia, w przeddzień świętej Róży albo nazajutrz. Na świętego Fabrycego lub świętego Bartłomieja...

Tak jak mówiłam, katastrofa. Trach.

Palma Mama nawet nie powiedziała nie, rzuciła tylko: „Jak chcesz”.

Odpowiedź najgorsza ze wszystkich! Od tej pory ma niezadowoloną minę, zobaczysz. Odgrywa wymagającą różę, jak róża od Małego Księcia. Prosta, dumna i obrażona. Wszystkie kolce na zewnątrz.

Moja matka jest strasznie dumnym kwiatem.

No i dzisiaj, kiedy to opowiadam, ósmego dnia wakacji, znajdujemy się w wielkim zawieszaniu. Z grubsza widzę dwie opcje.

Pierwsza, prawdopodobna, Palmie Mamie udaje się wystarczająco wpoić tacie poczucie winy, żeby zrezygnował z koncertu. I choć nie powiem jej tego za nic na świecie, w tym względzie mamę popieram! Kobięca solidarność obowiązuje.

Druga, tata nie ustępuje i zaczynamy zimną wojnę, przynajmniej aż do promu, a może nawet i dłużej.

Dwie opcje, ale pisząc to, dostrzegam trzecią, jeszcze gorszą niż te dwie. Że wciągają mnie i Nicolasa w swoje historie. Że teraz z kolei tata się obraża i robi nam numer z rodzinnym wyjściem, z naszym pochodzeniem wyspiarskim, że należy o tym pamiętać, z naszą otwartością na kulturę korsykańską, wściekając się na zwyczajowe rzępolenie, które idzie w FM, a ty śpiewasz, śpiewasz, śpiewasz ten refren, który ci się podoba, podgłaśniając dźwięk gitary i głosów grupy A Filetta...

Może ci się ta sprawa wydać nic nieznacząca, że to prawie komiczna obsesja.

Ale nie śmieję się, mój przyszły czytelniku.

Idrissi są uparci.

W ten wieczór 23 sierpnia rozstrzygnie się los naszej rodziny... z powodu jednej głupoty!

* * *

Z powodu jednej głupoty, powtórzył.

Czworo zabitych.

Trzech mężczyzn i jedna kobieta.

Z powodu głupoty.

14

14 sierpnia 2016 roku

19.00

Franck prowadził powoli. Nie żeby się bał, że zabłądzi, bo była tylko jedna droga, która zapuszczała się w góry w stronę farmy Arcanu, lecz dlatego, że przy każdym dodatkowym zakosie przepaść, która podgryzała asfalt, była głębsza.

Clotilde, siedząca na fotelu pasażera z głową przy szybie, nie widziała ani asfaltu, ani balustrady, nic tylko pustkę, drzwi samochodu wydawały się oknem na nicość, jakby znajdowała się w kabinie podniebnej górskiej kolejki poruszającej się po niewidzialnym kablu zawieszonym między szczytami. Kablu, który w każdej chwili mógł się przerwać.

Farma Arcanu położona była jeszcze trochę wyżej. Można było dotrzeć do niej bezpośrednią ścieżką, niecałe pięćset metrów, natomiast droga wiała się na długości prawie trzech kilometrów.

– Prosto – powiedziała Clotilde Franckowi. – Nie przegapisz, to jedyny dom tutaj.

Franck wjechał na wąską asfaltowaną dróżkę na wprost, minawszy jedyny drogowskaz „Casa di Stella. 800 metrów”. Drewniana tabliczka z napisem stała na środku małego ziemnego parkingu, od którego odchodziło kilka szlaków turystycznych. Valentine opuściła szybę z tyłu; do samochodu wtargnął sosnowy zapach zmieszany ze zmieniającymi się woniami zarośli. Tymianku, rozmarynu, dzikiej mięty...

Do mózgu Clotilde napływały nieproszone obrazy, ona wcale ich nie wzywała, każdy nowy zakręt odsłaniał nowy krajobraz, tak przecież swojski, ogromna czarna sosna korsykańska, *pin laricio*, przerastająca o prawie dwa metry wszystkie inne drzewa, ruiny dawnego młyna mąki kasztanowej nadwieszzonego nad kamienistym korytem rzeki, samotny osioł skubiący trawę na nieogrodzonej łące. Nic się nie zmieniło od trzydziestu lat, tak jakby ludzie cierpliwie dbali o to, by zachować te miejsca w identycznym stanie. Czy wprost przeciwnie, opuścili definitywnie ten zakątek.

Z wyjątkiem rodziny Idrissich.

Trzy zakręty wyżej minęli pierwszą ludzką istotę. Stara kobieta szła skrajem drogi od strony gór, przygarbiona, ubrana na czarno, jakby nosiła żałobę po całym miasteczku, które runęło w przepaść, pozostawiając ją jako jedyną ocalałą. Franck

zwolnił, zjechał jeszcze bardziej w stronę przepaści. Zapewne niewystarczająco. Kobieta rzuciła im najpierw ponure spojrzenie, jakby zdumiona, że jakiś nieznany samochód mógł się tu zapuścić. Kiedy ją minęli, Clotilde zobaczyła w lusterku wstecznym, że stara celuje w nich palcem, mamrocząc przez zęby obelgi. Chyba że były to złowieszcze zaklęcia. W tym momencie Clotilde nabrała pewności, że czarownica nie wzięła ich za zabłąkanych turystów, zapuszczających się na jej terytorium; ona ich знаła od dawna, jej gesty i przekleństwa na pewno były skierowane do nich.

Do niej.

Wiedźma zniknęła z jej pola widzenia na kolejnym wirażu.

Kilkaset metrów dalej, za lekkim uskokiem, żwirowa aleja z lewej strony wchodziła prawie nieoczekiwanie na obszerne podwórze w Arcanu. Nowe obrazy odkleiły się od starego albumu ze wspomnieniami Clotilde i unosiły się przed jej oczami. Gospodarstwo, które wszyscy określali na ogół słowem owczarnia, składało się z trzech budynków z szarych i suchych kamieni, tworzących otwarte U na stokach Balagne: podłużnego domu, w którym mieszkali Idrissi, stodoły i sporej szopy, w której spały zwierzęta. Wszystkie okna wychodzące na północ roztaczały przed ludźmi, kozami i owcami widok panoramiczny na Revellatę i Morze Śródziemne. W środku farmy obszerne podwórze z utwardzoną ziemią ożywiało tylko kilka żywopłotów z krzewów dzikiej róży i kwietniki z dzikich orchidei, ulubionych kwiatów babci; miało się wrażenie, że nic innego nie może rosnąć w cieniu zielonego trzechsetletniego dębu królującego w centrum posiadłości.

Clotilde odwróciła głowę w stronę stodoły. Ławka nadal tam stała. Ten pęknięty pień, na którym słuchała muzyki owego wieczoru 23 sierpnia 1989 roku, zespołu Mano Negra wyjącego jej w same uszy, trzymając na kolanach otwarty zeszyt, zanim zawołał ją Nicolas.

Clo, wszyscy na ciebie czekają. Tata nie...

To dziwne, wśród tych wszystkich bąbelków, które wydobywały się z przeszłości, najdłużej pękał ten z jej zeszytem zostawionym na ławce. Kto go zabrał? Kto go stworzył? Nie pamiętała już prawie słów, zdań, nic z tego, co wtedy napisała; pamiętała tylko swoje zamiary, często wredne, cyniczne, okrutne. Przynajmniej zanim poznała Natalego. Jeżeli ktoś znalazł ten zeszyt, musiał ją uznać za wstrętą dziwkę! Z rozkoszą przeczytałaby to dzisiaj. Najbardziej się obawiała wtedy, w lecie 89 roku, tego, by jej ojciec czy matka go nie odkryli. Nie przeczytali. Przynajmniej tego wstydu udało jej się uniknąć... Po wypadku, po jej powrocie na kontynent każdy mógł pogwałcić jej intymność, zagłębiając się w zapiski tego intymnego dziennika. Każdy, oprócz jej rodziców!

Cassanu i Lisabetta czekali tuż przy drzwiach. Chociaż Clotilde nie widziała ich od dwudziestu siedmiu lat, nie wydali jej się dużo starsi, niż byli w jej

wspomnieniach. Zawsze wymieniała z nimi korespondencję, regularnie. Jakieś kartki pocztowe, zawiadomienie o narodzinach, jakieś zdjęcia, którym zawsze towarzyszyło kilka słów. Nic ponadto. Jej dziadkowie ze strony ojca od dawna przestali odwiedzać kontynent, a Clotilde potrzebowała czasu, zanim ośmieliła się wrócić na miejsce wypadku.

To Lisabetta ucałowała ich, przytuliła, wzięła w ramiona. Cassanu nie, on tylko podał rękę Franckowi, najpierw; następnie uścisnął Clotilde i Valou.

To Lisabetta poprosiła, żeby weszli, żeby się czuli jak w domu, wyrzucała z siebie nieprzerwany potok słów, Cassanu nie, wydawało się, że rozmowa już go męczy.

To Lisabetta oprowadziła ich po gospodarstwie, po wszystkich pomieszczeniach z takimi samymi kamiennymi ścianami, połączonych ze sobą ogromnymi belkami, Cassanu nie, on tylko czekał na nich, siedząc przy stole ustawionym pod pergolą na podwórzu.

W przymglonej pamięci Clotilde szybowały inne pożółkłe obrazki. Te schowki pod drewnianymi schodami, gdzie w lecie bawiła się z Nicolasem w chowanego, ten ogromny kominek, w którym nigdy nie widziała ognia, ale wyobrażała sobie, że można by w nim upiec całego rekina, ten widok na morze z każdego okna na każdym piętrze, i mama, która krzyczała, nie wychylaj się, strych wysoki niczym katedra, na którym chowali się wraz z kuzynami czy miejscowymi dzieciakami i urządzali go, zapełniając kocami, materacami i prześcieradłami, przypinanymi do belek. Raz był to pałac duchów, innym razem buduar do pieszczot.

Prawdziwe fotografie wiszące teraz w ramach na ścianach nie wisiały tam dwadzieścia siedem lat temu. Clotilde rozpoznawała Cassanu, Lisabetę, tatę, czasem na dużych portretach, czasem jako małe postacie na tle morza albo na tle góry. Rozpoznała też siebie z Nicolasem, ona w stroju do chrztu, on do pierwszej komunii; na innym wdrapywali się oboje na most genueński nad potokiem. Nie pamiętała ani miejsca, ani roku, w którym to zdjęcie zostało zrobione, nie przejmowała się tym, pozwalała po prostu, by ogarniały ją emocje.

Nie było zdjęcia mamy.

Żadnego, szukała.

Natomiast na wielu fotografiach, najczęściej z tyłu za Cassanu i Lisabetą, Clotilde rozpoznawała wiedźmę z zakrzywionymi palcami, tę, którą minęli na drodze, podjeżdżając na farmę. Trochę niżej trafiła na przypięte pineskami do ramki zdjęcia, które przysłała im przed laty, ona i Franck na moście Rialto w Wenecji, Valentine na trójkołowym rowerku, wszyscy troje w czapkach pozujący zimą na tle Mont-Saint-Michel. Clotilde patrzyła na te fotografie zahipnotyzowana, oglądając jedną po drugiej, przyklaskując w myśli międzypokoleniowym spotkaniom.

To Lisabetta kazała im w końcu zasiąść do stołu, bo zrobiło się późno. Kiedy wyszli z powrotem na podwórze, dziadek wydawał się drzemać na krześle. Jednak gdy już wszyscy siedzieli pod pergolą, to właśnie Cassanu przemówił, Lisabetta natomiast zamilkła i zaczęła krążyć między kuchnią a tarasem, kroić pieczywo i odkorkowywała korsykańskie wino, przynosiła wędliny i nalewała świeżej wody.

Kolacja wydawała się trwać w nieskończoność. Po zbyt pospiesznym przywołaniu wspólnych wspomnień, tematy rozmowy zmieniały się coraz rzadziej, dawki niczym skromne zasoby na wyczerpaniu. Clotilde nie mogła się powstrzymać, by nie patrzeć na schodzące do morza słońce, które wyglądało jak ogromny zegar wiszący na końcu stołu.

Postój kilka minut pod zielonym dębem, zanim się ściemni, żebym mogła cię zobaczyć.

Zanim się ściemni...

Niebo było coraz bardziej czerwone, ale nie tak jak Clotilde, kiedy wstała. Lisabetta właśnie sprzątała po deserze.

– Przepraszam. Przepraszam na chwilę – bąknęła Clotilde.

Wzięła Valou za rękę.

– Chodź, o nic nie pytaj. Chodź. Tylko na kilka minut.

»

Franck i Cassanu zostali sami przy stole.

Lisabetta uprzątnęła nakrycia i półmiski z niezwykłą szybkością, zostawiając mężczyzn z dwoma kieliszkami i butelką cytronowej wódki, po czym tajemniczo zniknęła. Cassanu uśmiechnął się pod nosem, patrząc na zegarek.

– Lisabetta wróci za dwadzieścia minut – oznajmił staruszek. – Moja żona jest doskonałą gospodynią, jak mogliście się przekonać. Ale gotowa jest zerwać z tradycją korsykańskiej gościnności od trzech pokoleń, żeby nie przegapić serialu *Plus belle la vie*, piękniejsze życie...

Scena wydała się Franckowi nieprawdopodobna. Zagubiony na wysokości pięciuset metrów, trzy kilometry od najbliższego domu, w sercu Korsyki...

Dziwniejsze życie.

Cassanu był inteligentnym facetem o zadziwiająco żywym umyśle i wydawał się jeszcze żwawy fizycznie. Takich lubił. I taki chciałby pozostać mimo upływu lat. Prawy, stanowczy, jak trzeba nieugięty; mocne ręce do zbudowania rodziny, kwadratowa twarz, żeby umieścić w niej swoje przekonania w odpowiednim porządku, twarda głowa, żeby nie trzeba było jej wymieniać.

Franck umoczył wargi w cytronowej wódce i obserwował Clotilde stojącą z Valou jakieś pięćdziesiąt metrów od nich pod zielonym dębem.

– Nie wiem, co ona kombinuje – wyznał staruszkowi.

Jego zakłopotanie brzmiało jak przeprosiny. Zdawało się, że Cassanu to

bawi.

– Odnajduje swoje dzieciństwo. I dalej jeszcze, swoje korzenie. Clotilde bardzo się zmieniła od ostatniego razu, kiedy ją widziałem.

Franck miał w pamięci surrealistyczne zdjęcia swojej żony jako nastolatki. Włosy nastroszone jak u jeża. Cały ten ponury strój. W tamtych czasach takiej zbuntowanej dziewczynie w stylu Goth zapewne trudno było się wtopić w lokalny wystrój.

– Przypuszczam.

Cassanu podniósł kieliszek. Między nami mężczyznami. Trochę tak, jakby chodziło o obrzęd wtajemniczenia, żeby zostać zaakceptowanym przez ród Idrissich.

– Franck, co pan robi w życiu?

– Pracuję w Evreux. Małe miasteczko godzinę drogi od Paryża. Koordynuję służby terenów zielonych.

– Zaczynał pan jako ogrodnik?

– Tak... No i piąłem się stopniowo. Przyczepiłem się tak jak jakiś gatunek glicynii, bluszczu czy jemioli... Zapewne tak mniej więcej myślą o mnie koledzy.

Cassanu znowu wbił wzrok w Clotilde i Valou, zdawał się zamyślony, może wspominał swojego syna, który też ukończył studia z agronomii, zanim został przedstawicielem branży trawnikowej. Stary Korsykanin mówił dalej:

– Czy wie pan, dlaczego prawie pięćdziesiąt lat temu ochrzciłem ten kemping, pierwszy w całej północno-zachodniej części wyspy, Euproctes?

– Nie mam pojęcia.

– To chyba pana zainteresuje. *Euprocte*, traszka, to mała jaszczurka, gatunek endemiczny na wyspie, która żyje w pobliżu wody, pod skałami, która lubi spokój, by móc spać w dzień. Dzisiaj ten gatunek jest pod ochroną. Jej obecność to sprawdzian jakości wody, ale nie tylko, to również wskaźnik spokoju danego miejsca, brak hałasu, ruchu, intruzów, wskaźnik pewnego rodzaju równowagi, można powiedzieć, od pomroki dziejów. Między Arcanu a kempingiem aż po zatokę Revellaty znajdowano setki traszek.

– A teraz?

– A teraz zwiewają stąd... tak jak wszyscy.

Franck się zawahał, opróżnił do połowy kieliszek, po czym postanowił przetestować trochę staruszka.

– Niezupełnie jak wszyscy. Ja mam raczej wrażenie, że w tej okolicy się buduje. Kemping, marina Roc e Mare.

Cassanu tylko się uśmiechnął. Nic mu nie zadrżało, ani ręce, ani głos.

– W ciągu siedemdziesięciu lat, Franck, cena gruntu w tej kamiennej okolicy położonej nad morzem wzrosła o osiemset procent. Z chwilą zapowiedzi budowy mariny jeszcze się podwoiła. Prawie pięć tysięcy euro za metr kwadratowy. No

więc tak, Franck, wszyscy zwiewają. I to się nie zmieni, dopóki Korsykanie nie otrzymają statusu rezydenta. Na jednego faceta, który wyda majątek na kupno apartamentu w tej marinie i będzie przyjeżdżał pomieszkać tu dwa miesiące w roku, przypada trzydziestu tutejszych młodych ludzi, którzy nie znajdują mieszkania. Za drogo! Nawet jak im się zaproponuje zmywanie naczyń w luksusowym hotelu przez dziesięć weekendów w roku.

Cassanu podniósł leciutko głos. Franck nie zgadzał się z rozumowaniem patriarchy. Korsyka nie ma monopolu na spekulacje gruntowe. A piękne domy, piękne samochody, jachty i prywatne samoloty pozostawały raczej w sferze jego marzeń, a nie narzekania, że nigdy nie będzie mógł sobie ich zafundować. Właśnie dlatego, że nigdy nie będzie mógł sobie ich zafundować.

Nie zareplikował jednak, nie miał ochoty kłócić się z dziadkiem swojej żony. Podobno najbardziej wpływowym facetem w okolicy.

Odwrócił się w stronę zielonego dębu.

– Idziesz, Clo?

– Tak, już idę.

Na horyzoncie ognista kula powoli wpadała do Morza Śródziemnego.

»

Valou narzekała.

– Co robisz, mamó?

– Postójmy tu jeszcze trochę.

– Jak długo?

– Aż się ściemni.

Lekceważąc ostentacyjnie westchnienia córki, Clotilde po raz kolejny omiotła powolnym panoramicznym spojrzeniem otaczający je krajobraz. Ponieważ stała na lekkim wzniesieniu, na pagórku, na którym rósł zielony dąb, jej pole widzenia obejmowało trzysta sześćdziesiąt stopni.

Postój kilka minut pod zielonym dębem, zanim się ściemni, żebyś mogła cię zobaczyć.

Czy autor(ka) listu obserwował(a) je, ją i Valou?

Kto?

Gdzie?

Mogła być widziana z miliona różnych miejsc; z każdego punktu góry, która tworzyła obszerny amfiteatr, od wschodu i od południa; przez każdego podglądacza ukrytego gdzieś w zaroślach i dysponującego lornetką. Chyba że podglądacz jest gdzieś bliżej, w którymś oknie na farmie, w stodole po prawej stronie, w szopie po lewej czy w jednej z pasterskich chat rozsianych na łagodnych zielonych zboczach Balagne.

Ktokolwiek.

Gdziekolwiek.

– Idziemy, mamó?

Słońce już definitywnie zatoneło. Zupełny klops, podglądacz już się nie pojawi. Może w dalszym ciągu będzie ją obserwował, jeśli dysponuje okularami na podczerwień.

Idiotyzm! Traciła głowę. Cassanu i Lisabetta pewnie się zastanawiają, co ona tam robi, po co tam stoi. Franck będzie jej wypominał przez cały wieczór, że zostawiła go przy stole sam na sam z dziadkiem.

– Tak, Valou, możesz iść.

W górach od strony półwyspu i wzdłuż zatoki Calvi zaczęły zapalać się światła. Clotilde była tylko wystraszoną przez robaczki świętojańskie mrówką na polu, które wydawało jej się bezkresne. Nagle jakiś cień przeszedł koło wejścia na farmę, zatrzymał się, wbił w nią wzrok, po czym zniknął w cieniu stodoły. Clotilde zdążyła tylko rozpoznać czarownicę, starą kobietę, która im urągała na drodze i która wychylna na zdjęciach w towarzystwie Cassanu i Lisabetty.

Nad górami świeciło już kilka gwiazd, niczym źle przytwierdzone do gruntu pasterskie szalasy, które wleciały do nieba.

Nie proszę cię o nic więcej. Tylko o to jedno.

Czy może jedynie, żebyś spojrzała w niebo na Betelgezę. Gdybyś wiedziała, moja Clo, ile nocy patrzyłam na nią, myśląc o tobie.

Która z tych gwiazd jest Betelgezą? Nie miała pojęcia.

Czy ktoś gdzieś rzeczywiście starał się wpatrywać w tę gwiazdę w tym samym czasie co ona? Łącząc się z nią duchowo, kierując spojrzenie w tę samą stronę, tak jak Saint-Exupéry wypatrujący planety swojego Małego Księcia?

Jej matka?

To zupełnie nonsens.

Trzeba się ruszyć, zreflektowała się Clotilde. Wrócić do Francka, przeprosić, porozmawiać jeszcze trochę, zmykać, zapomnieć.

Na drodze pojawił się pies i wszedł na podwórze dokładnie w tej chwili, w której Clotilde zaczęła schodzić z pagórka w stronę pergoli. W półcieniu nie potrafiła dokładnie rozróżnić koloru jego sierści, ale widziała, że zwierzę ma posturę labradora. Zapewne pies pasterski... Clotilde lubiła psy, tak jak wszystkie zwierzęta. Nie odczuwała w ogóle strachu przed nimi; w innym życiu uwielbiałaby być weterynarzem. Zresztą dlaczego by się miała przestraszyć tego psa, który biegł do niej? Cassanu zawoła swojego brytana, zanim wskoczy jej na kolana czy zaślini sukienkę. Jej dziadek narzucał swoją władzę wszystkim Korsykanom w promieniu trzydziestu kilometrów, to przecież niemożliwe, żeby pies go nie słuchał.

Cassanu Idrissi nie wypowiedział jednak ani słowa, nie wykonał żadnego gestu.

W chwili gdy pies podchodził do ręki, którą wyciągała do niego Clotilde,

przy wejściu na farmę zarysował się jakiś nowy cień. Cień masywny, który podniósł rękę w stronę psa. Jedyłą rękę wydającą ścisłe polecenia.

Orsu!

W następnej sekundzie Clotilde usłyszała jego głos.

– Pasza, stój. Tu, do nogi.

Pies zatrzymał się, nie dotknął jej. Wyglądał wyjątkowo łagodnie, miał figlarne oczy, którymi ogłupiał kozy. Jednak Clotilde bezwolnie, nie mogąc ustać o własnych siłach, oparła się najpierw o pień dębu, potem powoli, centymetr po centymetrze osunęła się, tak jakby nogi nie mogły już jej utrzymać, i usiadła na trawie, cała się trzęsąc.

Pasza ją obserwował, zdziwiony, wahając się, czy polizać ją po ręce albo po policzku, który znajdował się dokładnie na wysokości jego nosa.

– Pasza, do nogi – powtórzył Orsu.

Pasza.

To imię wciąż tłukło się po głowie Clotilde, ale to nie labrador je nosił, to był mały kundel o nieokreślonym rodowodzie, którego matka podarowała jej na jej pierwsze Boże Narodzenie. Nie miała jeszcze roku.

Pasza.

JEJ pies.

Przez pierwszych siedem lat życia Clotilde nosiła go na rękach, wozila w wózku na spacer, tuczyła po kryjomu tabliczkami czekolady i kostkami cukru. Pasza wszędzie z nią chodził, niczym żywa maskotka, która się z nią nie rozstawała nawet w porze sjesty czy w nocy, która spała na jej łóżku, która zwijała się w kłębek obok niej na tylnym siedzeniu fuego. Potem któregoś dnia Pasza przeskoczył przez barierkę. Pewnie tak to się stało. Nie było go, kiedy wróciła ze szkoły z mamą. Nigdy nie wrócił. Nigdy więcej go nie zobaczyła. Nigdy go nie zapomniała.

Orsu teraz gwizdnął i pies wreszcie przybiegł do swojego pana.

Zbieg okoliczności? – próbowała przemówić sobie do rozsądku Clotilde, aby uspokoić oszalałe myśli. Znowu zbieg okoliczności? Pewnie tysiące psów we Francji nazywają się Pasza...

Labrador, który się oddalał, nie miał więcej niż dziesięć lat. A więc urodził się wiele lat po tym, jak jej rodzina zginęła w wypadku. Prawie dwadzieścia lat później. Dlaczego zatem dano mu imię kundla z Normandii? Kundla, który zniknął w 1981 roku? Kundla, którego łapa nigdy nie powstała na Korsyce, ponieważ rodzice mamy brali go do siebie każdego lata? Kundla, o którego istnieniu Cassanu, Lisabetta i Orsu chyba nie wiedzieli?

Clotilde zauważyła, że Franck wstaje pod pergolą. Valou była trochę dalej, z odblaskowymi słuchawkami od komórki w uszach siedziała na drewnianej ławce.

– Idziemy, Clo?

Jaka matka, taka córka, pomyśleli sobie chyba Cassanu i Lisabetta. Jej babka wyszła w tym momencie z owczarni i ucałowała Orsu, tak jakby był jej synem.

– Idziemy – odpowiedziała Clotilde.

Niełatwo odmówić. Niełatwo się ociągać. Stojąc tak samotnie pod dębem, Clotilde nie wykazała się wybitnym zmysłem rodzinnym.

Cale moje życie to camera obscura.

W *Soku z żuka* młoda Lydia Deetz obdarzona jest mocą rozmawiania z duchami. Może Clotilde też miała ten dar?

Wcześniej. Jako piętnastolatka.

Dzisiaj już go utraciła. Tego wieczoru nie weszła w kontakt z żadnym duchem.

Poza duchem swojego psa.

Swojego kundla.

Który się wcielił w labradora.

*Poniedziałek 14 sierpnia 1989 roku,
ósmego dzień wakacji, niebo lnianoniebieskie*

Przyznaję. Rzadko się zdarza, żebym pisała dwa razy tego samego dnia. Na ogół chwytam za pióro rano, kiedy wszyscy jeszcze śpią, albo wieczorem, dobrze ukryta w mojej grocie Veaux Marins, przy świetle małej lampki, pożerana przez komary, robię to tylko dla ciebie, mój czytelniku z gwiazd.

Dziś rano, pamiętasz, pisałam, żeby ci opowiedzieć o wielkiej aferze – tata próbuje wynegocjować z mamą koncert polifonicznej muzyki korsykańskiej zamiast rocznicowej kolacji w Casa di Stella. Mama nic nie mówi. Nic a nic. To najgorsze ze wszystkiego. Nico i ja obserwujemy szkodliwe skutki uboczne.

Bum! Pierwsze bomby zostały zrzucone na naszą Wyspę Piękną.

Mam opowiadać?

No to zacznym! Cała święta rodzina Idrissich spotkała się tego popołudnia na ulicy Clemenceau w Calvi, dużej handlowej ulicy, żeby... jak by to można nazwać? Zagrać w pokera? Mam wrażenie, że życie małżeńskie to trochę to. Partia pokera.

Pokera zakłamanego.

Wyobraźcie sobie wąską ulicę na zboczu, zatłoczoną gorzej niż Mont-Saint-Michel w wielkanocny weekend.

To Calvi. Dziś po południu.

Mama się wlecze, rozgląda, ociąga się, przyspiesza, zawsze trochę z przodu albo daleko w tyle. Tylko trochę dłużej niż zwykle stoi przed wystawami. Trochę mniej rozmowna. Tata przez ten czas smaży się na słońcu na rampie Pardina pod schodami, które prowadzą na górę, do cytadeli, zabijając jak może czas z Nicolasem, robiąc kilka zdjęć portu w dole, oglądając jachty, podpatrując Włoszki. Mama przywarła jak magnes do sklepu z butami. Wreszcie odkleja się od niego z żalem i zatrzymuje się prawie naprzeciwko przed Benoą, sklepem z korsykańskimi ciuchami, klasa, superoryginalne. Szmutki, które zdaje się warte są majątek, nałożone na plastikowe manekiny, niekoniecznie lepiej zbudowane niż moja matka.

Ja obserwuję. W słuchawkach The Cure. Nastawiam na okrągło *Boys don't cry*, *Charlotte Sometimes* i *Lovecats*. Co tam. Mam swój cel, tam wysoko.

Chyba godzinę szliśmy na górę aż do murów obronnych, a mama nadal się

nie odzywała. Pierwsze słowa wypowiedziała dopiero przed wejściem na most zwodzony prowadzący do warownego miasta, pod kamieniem pamiątkowym, który głosi, że urodził się tu Krzysztof Kolumb (bardzo mnie czasem śmieszą ci Korsykanie!).

– Masz aparat fotograficzny?

Ale oko. Torba taty przewieszona na krzyż przez ramię jest otwarta. Ani śladu kodaka na szyi. Mój tatulek bąka coś, rzuca głupawe spojrzenia na dół w stronę rampy Perdina.

– Cholera!

Uwielbiam tatę, ale dzisiaj od rana nazbierało mu się. Mama wzrusza ramionami, a on już pędzi na dół, nie spuszczać oczu z kręcących się tam turystów, wypatrując, czy aby któryś z nich nie schyla się, żeby podnieść coś czarnego. Mama nie czeka na niego, robi krok naprzód, pod kamienne sklepienie, i odwraca się do mnie tuż przed wejściem do cytadeli.

– Chciałaś iść do Tao, Clo. No to go!

Podchodzi bliżej.

Go do Tao, już!

W tym momencie, mój bezradny czytelniku, udzielę ci kilku krótkich wyjaśnień: Tao to bar-restauracja i zarazem klub nocny w najwyższej części cytadeli w Calvi. Mega znany! Mega modny! Mega zatłoczony! No tak, już wiem, co chcesz powiedzieć... A z jakiego to kretyńskiego powodu zachciało mi się iść na sok z granatów czy zimną miętę do Tao?

Odpowiedź A: bo spotykają się tam wszystkie najfajniejsze i najbardziej nadziane dupki spędzające wakacje na Korsyce?

Odpowiedź B: bo największy, najbardziej odjazdowy piosenkarz na świecie, Jacques Higelin, napisał tam dla swojego kumpla najpiękniejszą piosenkę na świecie, *La Ballade de Chez Tao*?

To tyle, zgaduj.

Go do Tao!

Gdy siedzimy już na krzesłach z czerwonego skaju przy małym okrągłym stole, wraca tata, cały zdyszany.

– Znalazłeś? – pyta mama.

Zamówiła piña coladę.

– Nie, ani śladu...

Normalnie w takich chwilach mama przypomniaby markę aparatu, miesiąc i rok, w którym mu go podarowano, jego przybliżoną cenę, wartość sentymentalną, bo mama ma kod kreskowy zamiast mózgu.

Tylko że Nico ją uprzedził.

– Naprawdę jesteś pewny, tato, że nie ma go w twoim plecaku?

Tato szuka więc w plecaku, odsuwa szklanki, wysypuje na stół całą jego

bałaganiarską zawartość, klucze, długopisy, jakąś książkę, mapę, papierosy, torbę plastikową, aż na samym dnie wygrzebuje... aparat fotograficzny!

– Był w plecaku?

Mama nie może się nadziwić. Ale przecież nie grozi nam, że będzie przepraszać.

– No tak, w tym bajzlu.

Tata inkasuje. Mama taksuje spojrzeniem przedmioty rozrzucone na stole, klucze i całą resztę, i ze zdziwieniem dostrzega torbę plastikową między kremem do opalania a okularami przeciwsłonecznymi.

Torbę Benoa.

Otwiera ją, delikatnie odwija pakunek, odkrywa, nie wierząc własnym oczom, krótką sukienkę z dekoltem w kształcie V, bez pleców; na czarnej tkaninie nadrukowane są dziesiątki czerwonych róż. To jest dokładnie ta sukienka, przed którą się zatrzymała na dłużej! Tata wsunął nawet na dno torby dobrane do niej bransoletkę i naszyjnik rubinowego koloru.

– To dla mnie?

No, tak, oczywiście, dla ciebie, mamo! A tato odegrał to super, z klasą, udając, że zapomniał swojego kodaka, żeby pobiec ci to kupić.

Mama idzie do toalety, żeby włożyć sukienkę, wychodzi, cienkie czarne ramiączka są prawie niewidoczne na jej smagłych ramionach; jej biust, biodra, pośladki wypełniają lekką tkaninę, chyba z żorżety (jak ta staroświecka nazwa tkaniny może się stać taka ekscytująca, kiedy włoży ją seksowna kobieta?). Nawet kelnerzy baru w Tao oglądają się za mamą, chociaż na pewno widzieli tu niemało kobiet o ładnych kształtach w sukienkach mini-mini. Podśpiewuję sobie, tylko dla siebie, mantrę Tao, która stała się hymnem w cudowny sposób, za sprawą melodii Higelina.

Bądźcie szczęśliwi dzisiaj, jutro będzie za późno.

Mama, zanim usiadła i skrzyżowała pod stołem gołe nogi, wyszeptała półgębkiem „Dziękuję”. Żadnego całusa w policzek. Żadnego „Kochany jesteś”. Nawet niczego w rodzaju „Ale mi numer wyciąłeś!”.

Cholera!

Dobra jest Palma Mama.

Pełne opanowanie.

Ja, gdyby mi facet wyciął taki numer, to od razu pękam, rzucam mu się na szyję, nawet jak wcześniej by mi robił świństwa. Ona nie, ona tylko omiata spojrzeniem wiszące pod barem plakaty zapowiadające koncert, wpatruje się w ten z siedmioma śpiewakami zespołu A Filetta, w czarnych koszulach i z rękami na uszach.

Pełne opanowanie! Podsycanie požądania.

Robić nadzieję. Odsłonić trochę, dolną część nogi, górną część biustu, ale

rękę trzymać na pulsie, głowę mieć na karku. Zamrozić emocje. Nigdy nie oddawać się całkowicie. Nigdy. Nigdy nie oddawać się szczerze. Zmuszać drugą stronę do stawiania... coraz wyższej stawki.

Życie małżeńskie, partia pokera.

O, mój przyszły czytelniku, ja nigdy nie będę mogła tak pogrywać! Dam się wyrolować pierwszemu lepszemu ładnemu chłopakowi. Nie mam ani trochę tej pewności siebie, z którą obnoszą się inne dziewczyny, tego przekonania, że mogę pociągać za sznurki, na których, jak pajace, będą tańczyli faceci.

Ja nie jestem z tej samej gliny co Palma Mama, co Maria-Chjara, bo o niej muszę ci coś powiedzieć, są nowiny...

Kocham tatę, jeszcze bardziej po tym numerze z sukienką Benoa.

Ale mamę podziwiam... Nie wygadasz się nikomu, co, obiecujesz?

Strasznie by mi było wstyd, gdyby ona to przeczytała.

A więc zdradzę ci teraz, od razu, moje prognozy na dzień świętej Róży, na wieczór 23 sierpnia.

Korsykańskie pieśni polifoniczne czy romantyczna kolacja w Casa di Stella?

Stawiam wszystko na Palmę Mamę!

* * *

Podniósł oczy do nieba i utkwiał je w gwiazdach.

Oczywiście. Oczywiście, wszystko byłoby inaczej, gdyby Palma Idrissi wygrała.

15.00

Calvi się nie zmieniło, to pierwsza rzecz, którą pomyślała sobie Clotilde. Ta sama granitowa cytadela górująca nad zatoką, te same wioski przyklejone do wzgórz Balagne, ta sama kolejka na plaży aż do L’Ile-Rousse.

W Calvi było tylko więcej turystów niż w jej wspomnieniach. Uderzał kontrast między zagubionym w zaroślach kempingiem Euproctes, farmą Arcanu pośród gór a tym tłumem zgromadzonym nad wodą, tymi rodzinami jeżdżącymi w kółko po przegrzanych parkingach, decydującymi się w końcu zaparkować trochę dalej i wrócić tu na piechotę, tym ludzkim przypiływem sunącym uliczkami niczym żywa lawa spływająca z cytadeli i rozlewająca się po nabrzeżach, tarasach, plażach. Tak jakby przyjmowanie milionów gości na tej wyspie nie mąciło wcale jej błogiego spokoju, ciszy ustronnych zakątków, tak jakby ta wakacyjna inwazja nie przeszkadzała Cassanu i innym miłośnikom dzikiej Korsyki, bo im więcej było turystów, tym bardziej tłoczyli się w tych samych miejscach.

Clotilde na ogół nie lubiła tłumu, ale tego dnia dobrze jej robił. Duża liczba ludzi narzucała anonimowość. Harmider narzucał milczenie.

Od wczorajszego wieczoru tyle się nagadała. O sobie. O najbliższych.

Najpierw z Franckiem w drodze powrotnej na kemping Euproctes. Clotilde nie cierpiała jego triumfalnego uśmiechu. Przyznaj, Clo, niepotrzebnie wystawałaś z Valou pod dębem, a mnie zostawiłaś ze swoim dziadkiem, przecież nikt nie przyszedł. Twój tajemniczy korespondent wystawił cię do wiatru!

Ależ tak, Franck, oczywiście, mów dalej... Żaden latający talerz nie wylądował na podwórzu, żadna zjawa nie wychynęła z ziemi, nic, tylko ja i moja córka na wprost gołych gór.

Toteż Clotilde nie ośmieliła się nawet wspomnieć mężowi o kolejnym zbiegu okoliczności, który ją prześladował, dla którego nie znajdowała żadnego logicznego wytłumaczenia.

Pasza.

Imię psa Orsu.

Imię jej psa. Jej psa z dzieciństwa.

Imię, które, gdyby poszła dalej w swoim rozumowaniu, nienękana refrenem „Stara, to niemożliwe”, dał temu szczeniakowi jakieś dziesięć lat temu ktoś, kto

znał Paszę. I kochał go. Opłakiwał jego śmierć. A skoro to nie była ona, narzucało się tylko jedno rozwiązanie.

Tylko jej mama mogła ochrzcić tego psa imieniem Pasza.

Niecałe dziesięć lat temu. Dwadzieścia lat po wypadku, dwadzieścia lat po swojej śmierci.

Stara, to niemożliwe!

Franck zaparkował samochód przed zamkniętą bramą kempingu i pocałował Clotilde w policzek, przytulając ją przez chwilę. Żadnego uczucia w tym geście, pomyślała. Tylko zwykły uścisk graczy po meczu tenisa. Czy ich małżeństwo sprowadzało się do współzawodnictwa? Jeden do zera w tym secie dla Francka.

Clotilde nie cierpiała tej jego protekcyjności, tego ugrzecznionego tonu, do którego zmusza się przełożony w rozmowie z niezbyt bystrym podwładnym, ale jeszcze mniej podobał jej się sposób, w jaki Cervone Spinello uśmiechał się dziś rano w recepcji kempingu. Kiedy go zagadnęła, wieształ właśnie plakat zapowiadający wieczór przebojów z lat osiemdziesiątych na plaży Oscelluccia.

– Napijesz się kawy, Clotilde?

Nie. Dziękuję.

– Twoja córka jest super, Clo.

Palant!

– Przypomina mi twoją mamę, ma klasę, jak ona, ma...

Jeszcze jedno słowo, a...

Clotilde się uspokoiła. Jako adwokat z zawodu nauczyła się stopniowo powściągać swoje popędy, stawiać czoło trudnościom w najgorszych chwilach najgorszych procesów, kiedy to nieuczciwość klienta przekracza granice tego, co da się obronić, a przecież trzeba go bronić. Clotilde zwróciła się do Cervonego po ściśle określone informacje. Jeśli o to chodzi, nie miała mu nic do zarzucenia, szef kempingu udzielił jej informacji z fachową dokładnością. W sprawie Orsu...

Orsu był sierotą. Jego matka, niezamężna, zmarła z wyczerpania, samotności i wstydu, potem wychowywała go babka, Speranza, stara ubrana na czarno wiedźma, którą spotkali wczoraj na drodze, potem na farmie. Speranza od zawsze pracowała w Arcanu, zajmowała się sprzątaniami i kuchnią, dojeniem zwierząt i zbieraniem kasztanów. Należała niemal do rodziny Idrissich i Orsu dorastał przy jej spódnicy.

Sięgając głębiej do wspomnień z dzieciństwa, Clotilde przypominała sobie, że kiedy spędzali z Nicolasem cały dzień na farmie, jakiś cień podawał do stołu, zamiatał, sprzątał ich zabawki. Przypominała sobie, trochę dokładniej, kilkumiesięczne niemowlę, które prawie zawsze leżało nieruchomo w kojcu ustawionym w cieniu dębu, otoczone zniszczonymi pluszakami i brudnymi, poszarzałymi plastikowymi zwierzątkami. Milczące niemowlę. Chude. Dziwne.

Orsu?

Czy tamten wąty noworodek stał się tym olbrzymem, tym ogrem, tym niedźwiedziem?

Gdy skończył szesnaście lat, Cervone przyjął go do pracy na kempingu, bo nikt już go nie chciał, a zwłaszcza szkoła. Z czystej dobroci serca. Z przyjaźni dla Cassanu. Z litości, tak, jeśli wolisz, Clo, z litości, to dokładnie to, nazywając rzecz po imieniu.

Z litości.

Palant!

Clotilde nie miała już siły zmieniać wyzwick, które narzucały jej własne myśli, jej mózg był nasycony zadziwiająco precyzyjnymi wspomnieniami, które wynurzały się na każdym zakręcie, przy każdym spotkaniu, każdej rozmowie i zderzały się z tym wszystkim, co przeżywała od wczoraj, tak jakby kryła się za nimi jakaś utajona prawda, prawda, której nie umiała się domyślić w 1989 roku, kiedy miała piętnaście lat.

Dwadzieścia siedem lat później szła, drepcząc, ulicą Clemenceau. Tłum kłębiący się w handlowej arterii działał na nią kojąco. Jej spojrzenie błąkało się po wystawie z obuwiem firmy Lunatik, zatrzymywało się na naszyjnikach w sklepie z biżuterią Mariotti, na sukniach od Benoa. Na powierzchnię wypływały inne obrazy, jedno z tych zagubionych wspomnień, które początkowo przybrało formę mętnej reminiscencji, wrażenia, że już przeżyła podobną scenę, zanim zasłona się rozdarła i cała sekwencja przesunęła się wyraziście przed jej oczami. Ulica w Calvi, jej matka drepcząca tak jak ona dzisiaj przed sklepami, ukochany dający jej w prezencie czarną suknię w czerwone róże i biżuterię z rubinami, która tak bardzo jej się podobała.

Którą, które miała na sobie w dniu wypadku.

Clotilde dopiero dzisiaj mogła w pełni ocenić doniosłość gestu ojca, podarować żonie ubranie, w którym miała umrzeć, elegancki strój na podróż w zaświaty, najbardziej kusicielski ze wszystkich, by przyciągnąć ostatnie miłosne spojrzenie. Czyż nie był to najpiękniejszy dowód miłości? Wybrać razem ubiór na jej śmierć, tak jak się wybiera suknię ślubną.

Valou, która wciąż krążyła koło sklepu Benoa, dołączyła do matki. Rzadko się zdarzało, żeby Clotilde chodziła po sklepach, a jeszcze rzadziej, żeby robiła to w towarzystwie córki. Ale ten cudowny czas wakacji sprawił, że spotkała się z córką, bo obie wpatrywały się w tę samą antracytową sukienkę z wiskozy, jak współniczki, co wykluczają z gry swojego mężczyznę, Francka, który czekał oparty o mur na dziedzińcu przed kościołem Świętej Marii Panny, dziesięć metrów wyżej. To się nie zdarzało w ich rodzinie, ten podział według płci, tata na meczu ze starszym synem, mama na wyprzedaży z małą. Rodziny jednodzietne mają przynajmniej tę przewagę, pomyślała Clotilde, że nie dopuszczają do tego szkodliwego współnictwa w obrębie płci.

Zlani potem turyści z trudem szukali cienia na stoku cytadeli. Mimo tych nieustannych tłumów od lata 89 roku nikt nie wpadł na to, żeby zainstalować tu windę. Po przejściu mostu zwodzonego Clotilde zawahała się przez chwilę, czy nie zaproponować Franckowi i Valentine, żeby poszli się czegoś napić do Tao, ale natychmiast uznała, że to zły pomysł: pielgrzymka do miejsc jej wczesnej młodości ma jednak pewne granice, a Valou pewnie nigdy nie słyszała żadnej piosenki Higelina. Clotilde wolała zapaść się w labirynt ulic cytadeli. Aż zgubiła Francka.

Znalazł je dziewięć minut i siedem esemesów później w ogródku A Candella, na ocienionym placu z panoramicznym widokiem na port, który można było zobaczyć między listowiem drzew oliwnych. Kiedy Clotilde dostrzegła Francka, który pojawił się koło muru obronnego pod wieżą Solną z jedną ręką z tyłu ukrywającą niezręcznie torbę od Benoa, puściła na chwilę w niepamięć krąg tajemnic, które tańczyły wokół niej demoniczną salsę. Franck wykonał kurs tam i z powrotem do sklepu z damską konfekcją. Szybkim krokiem pokonał dwieście metrów różnicy wysokości. Tak jak kiedyś jej ojciec!

Pamiętała, że będąc nastolatką, nie umiała zaprowadzić ładu w swoich uczuciach, miotała się między poczuciem dumy z delikatnej uwagi ojca, podziwem dla subtelnej uwodzicielskiej gry matki a zazdrością rzucającą cień na wszystko, niczym wielki kapelusz. Marzyła wtedy, przypomniawszy sobie teraz, żeby prowadzić taką samą grę. Być dobrowolną ofiarą mężczyzny figlarza. Ostatecznie nie najgorzej jej poszło. Franck miał jeszcze czasem upodobanie do takich niespodzianek.

Umieć zaskakiwać drugą połowę, pomyślała Clotilde, to klucz numer jeden do trwałego małżeństwa.

Nawet jeśli Franck zrobił to mniej dyskretnie niż kiedyś jej tato, z mniejszą fantazją, mniej to wyreżyserował, nie tłumacząc się z tego pospiesznego oddalenia się, trzymając dość niezdarnie torbę Benoa z tyłu za plecami.

Nie grymasić, nie wybrzydzać, klucz numer dwa do trwałego małżeństwa.

Franck odsunął szklanki z sokiem z granatów i postawił torbę na stole.

– To dla ciebie, kochanie.

Jego kochanie, ta, w której stronę posunął torbę, to była Valou.

– Jestem pewny, że będziesz w niej ślicznie wyglądać.

Całkowite zaćmienie. Tak jakby nad cytadelą rozpętała się burza, jakby tsunami zmiotło jachty przycumowane w porcie, a gwałtowny wiatr wyrwał parasole i bandery...

Drań! Potrójny drań!

Clotilde przeklinała w milczeniu, a Valou już wracała z toalety w antracytowej sukience wciągniętej pospiesznie na kostium kąpielowy. Seksowna, kształtna, obcisła, doskonała.

– Dziękuję, tato. Uwielbiam cię.

Valou ucałowała tatę z pełnym przekonaniem. Clotilde musiała to przełknąć. Koniec końców, powinni byli mieć dwoje dzieci, jedynak czy jedynaczka to głupota, zasadzka dla małżeństwa. Tak, dwoje dzieci, po jednym dla każdego.

Dać sobie odebrać faceta przez własną córkę to przecież dno.

Gówniane życie! Po prostu zabić!

Valou stała na murku na tle falującej, tętniącej życiem zatoki Calvi, wyciągając przed siebie aparat fotograficzny. I robiła selfie, żeby koleżanki wściekły się z zazdrości! Prezent od mojego kochanego taty.

Czysty surrealizm. GŹ, GŹ, gówniane życie.

I ten cham Franck, który wciąż się uśmiecha, pożerając oczami córkę, ich córkę, który wsuwa rękę pod stół, tak jakby chciał ukradkiem podrapać się po jajach.

I który wyciąga stamtąd drugą torbę Benoa!

– Dla ciebie też, kochanie.

Drań. Uroczy drań!

Oczywiście Franck nie dorastał do poziomu jej ojca sprzed lat i jego numeru z aparatem fotograficznym, który gdzieś zostawił, ale ta jego reżyseria z podwójnym finałowym rozwiązaniem jednak mu się udała.

Clotilde poczuła się okropnie zmieszana. Dlaczego musi być taka przewrażliwiona?

Nie grymasić, nie wybrzydzać.

Oddawać się, ponętna, wilgotna, zmysłowa.

I całować swojego mężczyznę bez opamiętania.

Nie grymasić, nie wybrzydzać...

Uciszyć ten głosik, który jej powtarza, że wszystko odbywa się tak jak dwadzieścia siedem lat temu. To samo miejsce, ta sama historia, ta sama scenka rodzinna. Ta sukienka, którą jej mężczyzna właśnie jej podarował, tak jak ojciec wtedy podarował tamtą jej matce... jest może tą sukienką, w której ma umrzeć.

Kilka godzin później, gdy wróciła na kemping Euproctes, będąc sama w sanitariacie, nawet bez Orsu, który by przejeżdżał ścierką po podłodze, czy nastolatków, którzy by wywrzaskiwali raperskie kawałki, włożyła sukienkę z wiskozy i przejrzała się w lustrze. Stwierdzenie stanu rzeczy było bezapelacyjne. Jeśli ma chodzić w tej sukience ostatniego dnia swojego życia, nie będzie tak seksowną nieboszczką jak jej matka!

Naciągnięty materiał za bardzo się rozchyłał na wysokości nie dość wydatnego biustu, powiewał na nie dość zarysowanych, nie dość krągłych biodrach, zakrywał aż po kolana nie dość długie uda.

Zdecydowanie nie dorastała do swojej matki.

A Franck do jej ojca.

Za wcześnie umarli, nie zdążyli jej wychować. Podciągnąć do swojego

poziomu.

Dlaczego?

Dlaczego umarli?

Być może jutro się tego dowie.

Cesareu Garcia, emerytowany żandarm, który nie chciał jej nic powiedzieć przez telefon, będzie na nią czekał jutro przed południem. „Od dwudziestu siedmiu lat czekasz na ujawnienie prawdy, Clotilde – powiedział, zanim się rozłączył. – Możesz jeszcze poczekać kilka dodatkowych godzin”.

*Wtorek 15 sierpnia 1989 roku,
dziewiąty dzień wakacji,
niebo niebieskie jak meduza na piasku*

Halo, halo? Tu plaża Alga, na żywo.
Każdy na swoim ręczniku.

Mój jest czarny i czerwonoceglastoognisty w ładne białe krzyżyki i mogę wam powiedzieć, że wytropić ręcznik plażowy z *Master of Puppets* zespołu Metallica to nie lada wyczyn! Ręcznik Nica jest jaskrawoczerwony z żółtym emblematem Ferrari, prawie takie samo paskudztwo, tak samo tandetny jak ręcznik Marii-Chjary, z chińskim cieniem palmy i obejmującą się nagą parą na tle intensywnie pomarańczowego zachodu słońca. Ręcznik Hermanna, leżący między ręcznikami Nica i Chjary, jest biało-czarny z olbrzymim B i przecinającą całość na ukos nazwą nie do wymówienia. *Borussia Mönchengladbach*. Szczyt mody! Ale nie można tego wyrwać cyklopowi, jest szybki, natychmiast reaguje, bo nie tylko on chciał położyć swój ręcznik obok ręcznika pięknej Włoszki. Zabawa z ręcznikami na plaży to tak jak zawody o miejsca w klasie. W ruch idą łokcie, żeby zdobyć miejsce we właściwej ławce obok właściwej osoby.

Ja mam to gdzieś. Jak zwykle trzymam się z dala, siedzę trochę wyżej na plaży, tuż na granicy cienia rzucanego przez morskie sosny, kolana i pośladki mam ukryte pod T-shirtem, który jest na mnie za duży. Z tego miejsca góruję nad plażą, dostrzegam wszystkie odcienie niebieskości wody, która staje się idiotycznie przezroczysta, gdy się w niej zanurzyć, niesamowite turkusowe krople w ciemnoniebieskich koloniach posidonii, morskiej trawy. Nie mówiąc o obserwowaniu całego ekosystemu istot ludzkich.

Jeśli zwrócę oczy w stronę cypla Revellaty, widzę jeszcze ruiny mariny Roc e Mare, która wyleciała w powietrze trzy dni temu. Wciąż nie ma żadnej wiadomości ze śledztwa w sprawie wybuchu, niczego się nie dowiedziałam od Aurélii, córki żandarma, z której usiłowałam coś wyciągnąć, wciąż nic a nic! Zresztą ona ciągle mnie tak samo denerwuje, kiedy z tą swoją wyniosłą miną włóczy się po plaży kompletnie ubrana. To okropne, że można myśleć, że jesteśmy do siebie podobne. Że mam coś wspólnego z tą dziewczyną, która stąpa po piasku tak, jakby robiła obchód, tak jakby brzeg morza należał do niej, tak jakby obowiązywał na nim ograniczony czas stacjonowania dla ręczników, a ona to

kontrolowała, jakby sprawdzała, czy dzieci przed opuszczeniem plaży zasypują porządnie dziury po swoich zamkach z piasku, jakby wszystkich szpiegowała tymi swoimi oczami wędrownego sokoła. Zanim doniesie o wszystkim ojcu.

Przyznaj, że nie jestem do niej podobna! Jestem przeciwieństwem Aurélii, prawda?

Ja nie oceniam.

Ja nie potępiam.

Ja po prostu analizuję, uczę się. Zbieram informacje o przyjemnościach, do których jeszcze nie mam prawa.

Gromadzę przynajmniej teoretyczną wiedzę. Na później. Kiedy będę dorosła.

Dokładnie naprzeciwko mnie Maria-Chjara przekręciła swoje karmelowe ciało na pomarańczowym ręczniku i wyciągnęła rękę do Hermanna, na oślep, jakby nie wiedziała nawet, kto jest jej sąsiadem na plaży i jakby jej to nie obchodziło. W ręce trzyma tubkę kremu do opalania. Ani słowa, ani spojrzenia. Tylko ten gest, wyraźny, jednoznaczny, rozpinania na plecach góry kostiumu kąpielowego i przyklejania swoich dużych piersi do ręcznika, ukrywania cycków we frotowej tkaninie. Dokładnie tak jak mama, która leży trochę dalej z koleżankami z kempingu. Rodzice z jednej strony, młodzi z drugiej, takie jest prawo plaży.

Palma Mama przynosi zawsze wielką torbę, butelkę wody mineralnej Contrex, grubą książkę, bez której nigdzie się nie rusza, ciągle jest chyba na stronie 12, sprawdziłam, zakładka nie zmieniła miejsca od tygodnia.

Taty nie ma. Nie cierpi plaży. Pewnie przesiaduje w Arcanu ze swoim ojcem, kuzynami, przyjaciółmi, wśród samych Korsykanów... Niemniej jednak w poprzednich latach tata starał się postawić stopy na piasku, grał w piłkę z Nikiem, budował ze mną zamki (no, dobrze, tak, to było dawno temu), wskakiwał do wody, żeby popływać, spał godzinę, trzymając mamę za rękę.

Nie tego lata! Tata i mama ciągle się na siebie bczą z powodu koncertu pieśni polifonicznych w dniu świętej Róży; tak jakby tata miał za złe mamie albo jakby mama ciągle nie mogła tego przełknąć. Jeśli kiedyś będę miała ukochanego, nie chcę skończyć tak jak oni.

Odwracam głowę, plaża jest teatrem, sceną o powierzchni dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych z setkami aktorów w każdym wieku i wszelkiej maści...

Mój wzrok zatrzymuje się na młodej parze. Jeden ręcznik dla obojga.

Chcę być taka jak oni!

Para przypomina dziesiątki innych. Szczęście to nic trudnego! Wystarczy mieć dwadzieścia lat, co wszystkim się zdarza, przyznasz. Wystarczy mieć piękne ciało, co zdarza się prawie wszystkim dwudziestolatkom, a zwłaszcza z opalenizną. Dziewczyna i chłopak patrzą sobie w oczy jak w lustro i trzymają się za ręce, i pieszczą się, i jedno podziwia tyłek drugiego, kiedy to drugie wstaje, żeby pójść do wody, i uśmiechają się do siebie, nawet się śmieją, są dla siebie czuli, pewnie są

jakoś tam świadomi, że nie wolno psuć takich chwil, bo to najpiękniejsze chwile, które więcej już się nie powtórzą. Więc delektują się nimi, zakochują się, po prostu się kochają.

Moje spojrzenie sięga aż do końca plaży, tak jak się sięga pamięcią do odległych czasów.

Znajduję to, czego szukam. Para trzydziestolatków.

On niezły, wysportowany, na czworakach, prawie zagrzebany w ogromnej niecce z piasku, którą drąży ze swoimi dzieciakami nasmarowanymi kremem, w kapelusikach, dwa i cztery lata. Wygląda, jakby to uwielbiał, nawet bardziej niż dzieci. Ona czyta, niezbyt uważnie, i od czasu do czasu podnosi głowę i ich obserwuje. Szczęśliwa. Poprawia gumkę od kapelusza pod brodą małego blondynka, podaje mu butelkę ze smoczką, odpędza muchę.

Czuwa.

Seksowna w każdym geście. Czuje się, że ma to, co chciała mieć. Że dostała to, co chciała dostać. Apogeum. Szczyt.

Pilnuje.

Ponieważ chce zachować to wszystko, co ma, oddanego sobie męża, dobrze wychowane dzieci, ładne, kształtne, zgrabne ciało.

Tak jakby to wszystko było wieczne!

Żartujesz! Wróć na ziemię, stara!

Moje spojrzenie przesuwa się jeszcze trochę, mam tu do wyboru, do koloru, zatrzymuję wzrok parę metrów dalej.

Mają po czterdzieści lat. Może pięćdziesiąt.

Ona czyta, naprawdę. Skupiona. Ostatnie strony grubej cegły. On, obok, nudzi się. A przecież jest jeszcze całkiem niezły, wysoki, szpakowaty, w spojrzeniu ma coś władczego. Patrzy gdzieś. Na plaży nie brak ładnych obiektów, na których można zawiesić wzrok.

Albo inna para. Taka sama, w tym samym wieku, tylko odwrócone role. On leży na boku, plecami do słońca, w cieniu parasola, z tłustawym, wylewającym się spod niego jak sflaczały balon brzuchem. Ona obok, wciąż jeszcze wspaniała, ziewa z nudów. Wysmukła, elegancka; umalowana, zadbana. Patrzy w inną stronę. Jej spojrzenie zatrzymuje się na dzieciakach, które bawią się w oddali. Jej dzieci pewnie są już za duże albo jeszcze nie dość dorosłe, żeby im mogły zafundować wnuki. Ona umiera z nudów, zrezygnowana, pogodzona z tym, że będzie tak czekać przez resztę życia.

Długie będzie to zbrocze do zejścia, staruszeko.

Czas mija. Mój wzrok się przesuwa. Rozglądam się przez dłuższą chwilę i znajduję rzadkie okazy, jakich szukam.

Mają siedemdziesiąt lat, może osiemdziesiąt. Nie słyszę, co do siebie mówią, ale rozmawiają, to pewne. On chyba ją pyta, czy jej nie za gorąco, ona pewnie go

pyta, czy podać mu książkę, okulary, czapkę. I po chwili nagle wstają.

Nie podobają mi się ich nagie ciała. Ja, gdybym miała tak jak oni pomarszczoną skórę, sterczące kości, tak jakby miały ją zaraz przebić, ciało jakby zbyt ciężkie, obwisłe worki na podbródku, szyi, brzuchu, pośladkach, tobym się nie pokazywała.

Ręce mi się zaciskają na T-shircie.

Tych dwoje mnie fascynuje, patrzę z podziwem, jak się trzymają za ręce, wchodząc do wody, i ani przez moment nie wahają się brnąć dalej, jak nawet nie zadrzą w zetknięciu z zimną wodą, jak przywierają na chwilę do siebie ustami i jak oddalają się w stronę żaglowców, płynąc ramię w ramię doskonałym crawllem.

– Starych teraz podglądasz?

Podniosłam wzrok.

To Cervone. Cervone Spinello. Bermudy, koszula w kwiaty, tenisówki. Jego też nigdy nie widziałam w kąpielówkach. Plażę mam przez cały rok tylko dla siebie, słyszałam, jak się raz chełpił. Więc w lecie zostawiam ją frajerom.

Jak długo on tu był? Jak długo mnie obserwował? Mnie, matkę, inne matki, inne nastolatki? Moje spojrzenie, jakby złapane na gorącym uczynku, omiata całą plażę, tak jakbym mogła przewinąć wszystko, co przed chwilą zobaczyłam, i powrócić do punktu wyjścia.

Trzy ohydne ręczniki.

Nicolas wciąż siedzi tyłkiem na ręczniku Ferrari na stojącym dęba koniu, w okularach przeciwsłonecznych, bez kremu i bez nakrycia głowy, tak jakby miał w nosie szkody, jakie słońce może wyrządzić jego ładnemu umięśnionemu ciału. Maria-Chjara cały czas wygina się pod wpływem galaretowatych pieszczot Hermanna, wlepiając oczy w chłopaków z nagimi torsami, grających kawałek dalej w siatkówkę, Estefana z jego marzeniami, by zostać lekarzem, Magnusa z jego marzeniami o Oscarze, Filipa z marzeniami o gwiazdach. Młody Niemiec smaruje i smaruje plecy pięknej Włoszki kremem, rozprowadza już piątą warstwę, wahając się, czy nie zapaść się dalej, zjechać palcami aż na granicę złotawych wypukłości, pod naciągniętą gumkę dołu kostiumu kąpielowego, albo w kierunku miejsca, gdzie zarysowują się piersi tkwiące w rozpiętej górze kostiumu.

Biedny cyklopek...

Myślę, że najwyższy czas, żebym naprawdę z tobą porozmawiała. Żebym ci wyjawiała, kim jest Maria-Chjara.

Spodoba ci się to!

* * *

Zamknął zeszyt i przesypał przez palce garść piasku z plaży Alga. W końcu to było logiczne, żeby czytać ten dziennik na miejscu zbrodni. Przecież wszystko zaczęło się tutaj, tamtego dnia.

Clotilde niewątpliwie miała duży talent do odmalowywania uczuć. U piętnastoletniej dziewczyny było to nawet zadziwiające. Można by pomyśleć, że to nie ona napisała tę opowieść; albo ona, ale wiele lat później, cofając się w czasie, z dystansu dojrzałego wieku. Albo że jej opowieść została przepisana, tak jak się retuszuje zdjęcie, chociaż nie było w niej żadnych skreśleń, chociaż atrament, tak jak cała reszta, dawno już wysechł.

18

16 sierpnia 2016 roku

11.00

„Ulica de la Confrérie 19 – przypomniał przez telefon Cesareu Garcia. – Za kościołem w Calenzanie. Na pewno trafisz”.

Dziwne. Pod numerem 19 przy ulicy de la Confrérie wznosiła się budowla ze zniszczoną fasadą, od której odpadał poślizki tynk, odsłaniając dziury między szarymi, źle położonymi cegłami, prześwity w obramieniach okiennych, z trudem zasłaniane przez przybite gwoździami podziurawione okiennice.

„Nie pukaj, zanim wejdiesz – dodał emerytowany żandarm – bo i tak nie usłyszę. Pchnij drzwi i przejdź na drugą stronę domu, nie zważając na bałagan starego odludka, będę na ciebie czekał w ogrodzie z tyłu domu. W basenie”.

Basen...

Clotilde wyobraziła sobie wspaniałą willę nieco powyżej miasteczka, z nasłonecznioną werandą, parasolem i leżakiem. Trochę jak ta willa na plakatach wiszących wszędzie przy drodze, które informowały o koncercie muzyki z lat osiemdziesiątych nazajutrz wieczorem w dyskotecę Tropi-Kalliste na plaży Oscelluccia.

Clotilde skupiła się, przestała rozmyślać i pchnęła drzwi, przeszła przez dwa pomieszczenia, tyleż małe, co zagracone, zapyziała kuchnię, w której pachniało grillowanymi *figatelli*, i salon prawie cały zajęty przez rozkładane łóżko, tak nierówne, że wydawało się, że już nigdy nie będzie mogło służyć jako kanapa. Postrzępione zasłony fruwały przed drzwiami do ogrodu, na samym końcu pokoju, Clotilde odsunęła je z pewnym obrzydzeniem, tak jak się zdejmuje pajęczynę utkaną na starym, nieużywanym meblu.

– Wejść, Clotilde.

Clotilde spojrzała w dół w stronę głosu, który zdawał się dobywać z kratki ściekowej.

Ogródek był jeszcze mniejszy niż pokój, który właśnie opuściła, ogrodzony z trzech stron płotem, i sprowadzał się prawie wyłącznie do betonowej płyty, do której wiodły trzy schodki. W cemencie znajdowała się wywiercona dziura o średnicy jednego metra. Wielkości studni. A w studni moczył się Cesareu. Wystawały tylko jego bycze ramiona, gruba szyja i głowa w czapce z napisem *Tour de Corse 97*.

To ten jego basen?

Jak hipopotam, który utknął na wyschniętych mokradłach.

– Chodź bliżej. Weź krzesło, Clotilde. Ja nie wychodzę z tej dziury wodnej, dopóki to cholerne słońce nie schowa się za murami ogrodu.

Usiadła na plastikowym fotelu.

– Jestem jak kaszalot – ciągnął żandarm. – Wieloryb na mieliźnie. Gdy tylko temperatura przekroczy dwadzieścia pięć stopni, muszę się nawodnić. Jak najmniej ruszać, inaczej zdycham!

Clotilde obserwowała go z niedowierzaniem. Cesareu przejechał palcem po betonowym okręgu.

– To na miarę, ślicznotko... Wykopana dokładnie w rozmiarze mojej talii... No tak, moja miła, sierżant Garcia przybrał na wadze od ostatniego razu, kiedy go widziałas.

Uśmiechnęła się tylko. Tak, pamiętała. Oczywiście, wszyscy tutaj nazywali Cesareu Garcia „sierżantem”, nikt nigdy nie zwracał się do niego, tytułując prawdziwym stopniem. Kapitan? Porucznik? Adiutant?

– Dobrze, że przyszedł.

– Nie wiem...

– Właściwie ja też nie.

Dobrze się zaczynało. Cesareu nie wypowiedział ani słowa więcej, wydawał się zasypiać powoli w tej swojej kąpieli. Chyba że był to stary wybieg słonia morskiego. Pozwolić jej przyjść, żeby nie musieć samemu przełamywać lodów.

Ostatecznie, jeśli tego oczekiwał...

– Jak się ma twoja córka, Cesareu? Dziwnie by mi było się z nią spotkać. W mojej głowie Aurélia ma wciąż siedemnaście lat, a przecież musi teraz mieć ponad czterdzieści. Dokładnie dwa lata więcej niż ja.

– Dobrze się ma, Clotilde. Dobrze. Wiesz, wyszła za męża. Wiele lat temu.

Wyszła za męża?

Jaki facet mógł się zgodzić dzielić życie z tą sztywniaczką?

Wiele lat temu?

Biedny chłopak!

– Ma dzieci?

Kaszalot skropił wodą zaczerwioną twarz.

– Nie.

– Przepraszam.

– No, pewnie. Naprawdę strasznie mnie to wkurza, że nie jestem dziadkiem.

Cesareu trochę się wynurzył. Linia wody obniżyła się do poziomu jego piersi. Clotilde wyobraziła sobie, że siedzi on na dnie studni na czymś w rodzaju taboretu ze schodkami i że wspiał się pośladekami o stopień wyżej.

– No więc, Cesareu? To jaki jest ten twój wielki sekret?

Cesareu długo obserwował swój maleńki ogródek, płot, otwarte drzwi od domu i fruujące zasłony, tak jakby DST, francuska agencja kontrwywiadu i zwalczania terroryzmu, zainstalowała tam mikrofony.

– Wiesz, ślicznotko, no bo jesteś sakramencko ładna, Clotilde, myślę, że nie ja pierwszy ci to mówię, odkąd przyjechałaś znowu na wyspę. Już wtedy byłaś ładna, zauważ, ale jeszcze tego nie wiedziałaś. Urok dziewczyny to jak szczęście, cuda, talizmany i wszystkie te inne głupoty, wystarczy w to wierzyć, żeby działało. Wierzyć w to naprawdę, wierzyć głupio, tak jak fakirzy, którzy chodzą po ogniu i się nie parzą, rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Clotilde nawet się nie starała ukryć rozdrażnienia. Machnęła ręką tak, jakby chciała odpędzić niewidzialną muchę, wstała, obeszła dziurę i ustawiła się za plecami sierżanta.

– Dlaczego chciał pan, żebym przyszła, Cesareu?

Żandarm, unieruchomiony w swojej wodnej dziurze, mógł teraz tylko słyszeć Clotilde i domyślać się jej drobnego cienia, wystarczająco jednak dużego, by zgasić gwiazdy połyskujące na powierzchni studni. Spróbował się wykrzywić, ale ostatecznie zrezygnował z tego.

– Pamiętasz, Clotilde, to ja wtedy prowadziłem śledztwo. Ja sam. Byłem pod cholerną presją, możesz mi wierzyć. Troje zabitych w środku lata, nawet jeśli Korsykanie jeżdżą jak wariaci, to jednak rzadko się zdarza. Bardzo rzadko. W dodatku nie zapominajmy, że twój tata to nie był byle kto. Syn Cassanu Idrissiego. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. W tamtym czasie Cassanu był właścicielem połowy naszej komuny, a komuny na Korsyce, wiesz, co się mówi, są większe niż kantony na kontynencie, ciągną się od linii grzbietu górskiego po linię horyzontu, w zimie można w nich jeździć na nartach jak w Alpach, a w lecie na nartach wodnych.

Clotilde przerwała mu szorstko.

– To był wypadek, prawda?

– Tak, wypadek, oczywiście. Wypadek i już, wszyscy zadowoleni.

Nagle sierżant się podniósł. Jego olbrzymie cielsko ochlapało cement, kiedy wchodził po drabince przymocowanej do ściany studni, w której poziom wody gwałtownie się obniżył, sięgając prawie dna. Małe czerwone slipy zniknęły pod fałdami jego brzucha, jakby miał na sobie stringi włożone tył na przód, szerszą stroną na pośladkach, a tą cienką z przodu. Nawet się nie wytarł, wszedł do domu, zaczął zrzędzić, chyba przesuwając meble, „Gdzie znowu Aurélia przełożyła te cholerne akta?”, a po kilku sekundach wyszedł stamtąd w zarzuconym na ramiona peniuarze, z tekturową teczką w ręce. Wziął plastikowe krzesło, pociągnął je w stronę cienia rzucanego przez płot i podał Clotilde dokumentację.

– Otwórz.

Clotilde położyła teczkę na kolanach, otworzyła ją, przewróciła pierwszą

kartkę.

Nazwa. Numer rejestracji. Data narodzin.

Fuego. Model GTS. 1233 CD 27. Dopuszczone do ruchu 03/11/1984.

Zdjęcia szkieletu samochodu.

Kolorowe.

Dach rozpruty. Opony zwęglone. Zbliżenia rozbitych szyb.

Clotilde powstrzymała mdłości.

– Dalej, Clotilde. Obejrzyj dalej, potem ci wytłumaczę.

Jeszcze sporo kartek.

Czerwone skały. Trzy trupy leżące na skałach. Krew. Wszędzie krew.

Następna strona.

Nazwisko, Paul Idrissi, urodzony 17 października 1945 roku, zmarły 23 sierpnia 1989 roku.

Z dziesięć fotografii, detale z poprzednich zdjęć, powiększenia, obrzmiała twarz, ręka wykręcona pod kątem prostym, serce zmiażdżone jak w imadle.

Kolejna strona, Nicolas Idrissi, urodzony 8 kwietnia 1971 roku, zmarły 23 sierpnia...

Clotilde nie mogła już dłużej tego czytać. Powstrzymała najpierw podchodzącą jej do gardła żółć, spróbowała znowu popatrzeć na akta, potem rzuciła się gwałtownie do okrągłego basenu, uklękła i opróżniła wnętrzności.

Cesareu podał jej papierową chusteczkę.

– Przepraszam, przykro mi – sumitowała się Clotilde.

– No i słusznie, że ci przykro. Zapowiadają na dzisiaj trzydzieści siedem stopni. A służby zajmujące się utrzymaniem mojego basenu są na wakacjach do dwudziestego pierwszego sierpnia.

Spojrzenie Clotilde zatrzymało się na czerpaku do liści opartym o płot. Sierżant przytrzymał ją za ramię.

– Zostaw, Clotilde. Wygłupiam się, to nic takiego. To moja wina, ale chciałem, żebyś obejrzała do końca... Aż do...

– Aż do zdjęć mamy?

Cesareu potrząsnął głową. Clotilde, wciąż klęcząc, podniosła na żandarma wzrok Marii Magdaleny kontemplującej zmartwychwstałego Chrystusa.

– Mama nie umarła. Tak?

Domyśliła się tego. To było oczywiste. Poszlaki były tak oczywiste, wszystko się zgadzało. Ten list, który wyraźnie przywoływał czarny pokój, *camera obscura*, ścierka Orsu, labrador o imieniu Pasza. Tyle tajemniczych spraw, których nie można tłumaczyć inaczej niż obecnością jej matki tutaj, matki żyjącej. Cesareu Garcia miał klucz do rozwiązania tego nieprawdopodobnego równania: jak Palma Idrissi mogła przeżyć wypadek?

– Moja matka nie umarła? – powtórzyła Clotilde.

Cesareu popatrzył na nią tak, jakby wypowiedziała bluźnierstwo.

– Co ty opowiadasz, Clotilde? – Wyglądał na szczerze zmartwionego. – Nie waż się wbijać sobie do głowy takich rzeczy, dziewczyno. Przecież nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Twoja matka zginęła w wąwozie Petry Cody razem z twoim ojcem i bratem. Umierali na twoich oczach. Ja też widziałem ich zwłoki, to było najgorsze doświadczenie w moim życiu, tak jak w życiu kilkudziesięciu innych świadków. Nie, oczywiście nie po to cię tu sprowadziłem, żeby cię powiadomić, że twoja matka powróciła do życia.

Clotilde zacisnęła wargi, żeby się nie rozkleić. Nie rozplakać się.

Wykrztusić coś.

– A... więc?

– Popatrz na następną stronę. Za zdjęciami.

Clotilde wzięła akta, przerzuciła stronę z Nicolasem, ale zdobyła się na to, by obejrzeć stronę matki, sześć zdjęć jej rozczłonkowanych zwłok, sześć powiększeń fotografii jej ciała, jakby poćwiartowanego. Po czym przewróciła kartkę.

Zmiażdżone ciała zastąpiła zgnieciona blacha. Zobaczyła zdjęcia fuego. Najpierw całego, potem fotografie wdzieraly się w intymność wraku silnika, we wnętrze samochodu. Clotilde oglądała, nie rozumiejąc, zbliżenia paska klinowego, wałka rozrządu, drążka kierowniczego, wahacza, przewodu hamulcowego – przynajmniej tak przypuszczała. Chyba tylko raz w życiu otworzyła maskę silnika, w środku zimy, żeby oczyścić świece zapłonowe, i tamtego dnia zadziwiła sama siebie, że udaje jej się jakby instynktownie połapać w tej ogromnej stalowej łamigłówce.

Odłożyła akta i odwróciła się do żandarma, jej oczy znajdowały się dokładnie na wysokości jego brzucha. Clotilde odniosła wrażenie, że ciało sierżanta w dalszym ciągu roztapia się w słońcu, spływając kroplami, że on nie kłamał i że jeśli zbyt długo będzie przebywał poza swoją wodną dziurą, zamieni się cały w galaretowatą i lepka kałużę.

Obrzydzenie. W jej żołądku wzbierało potworne obrzydzenie. O mało nie zawyła.

– Na Boga, do czego pan zmierza?

– Ta ostatnia strona, Clotilde, te ostatnie zdjęcia nie są oficjalne. Jeśli sprawdzisz datę, zobaczysz, że zostały zrobione kilka tygodni po wypadku, kiedy śledztwo było już oficjalnie zamknięte. Oczekałem, aż wszystko się uspokoiło, i poprosiłem kumpla, żeby zbadał to, co pozostało z fuego. Przy zachowaniu dyskrecji, po cichu. Ibrahim ma warsztat w Calenzanie. Znamy się od dziecka. W porządku gość, chociaż nie został zaprzysiężony przez sąd.

– Dlaczego czekał pan tyle czasu?

Uśmiechnął się.

– Mówiłem ci, Clotilde, była cholerna presja. Syn, wnuk, synowa Cassanu

Idrissiego, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę. Doszło to aż do deputowanego Pasquiniego i do przewodniczącego Zgromadzenia Rocca Serra. No więc szybko powierzono sprawę jednemu frajerowi, żeby zamknął śledztwo. Mnie. Sierżantowi Garcii. Śledztwo, w którym ostatnie słowo zostało już powiedziane. WYPADEK.

Clotilde usiłowała odegnać obrazy fuego, które rozwała barierę, pogrąża się w przepaść, koziółkuje trzy razy, zabija trzy osoby.

Wypadek, oczywiście. Do czego zmierza ten otyły gliniarz?

– Popatrz na trzecie zdjęcie, Clotilde. To jest przekładnia kierownicza. Z drążkami kierowniczymi i końcówkami z obu stron.

Ona nie widziała nic poza żelaznym prętem, metalową stożkową częścią i wielką nakrętką.

– Wypięła się jedna z końcówek. Nagle. W chwili gdy twój ojciec chciał skrócić, tuż przed wąwozem Petry Cody.

Ojciec nie skręcił.

Widziała fuego wystrzelone w powietrze niczym kula. To nie było samobójstwo. Tylko nawalił układ kierowniczy. Głos jej złagodniał.

– A więc to wypadek?

– Tak. Jak ci mówiłem, jest to w oficjalnym raporcie tuż przed słowem KONIEC. Wypięła się końcówka. Jedyne winowajca to wóz. Tylko że według mojego kumpla Ibrahima...

Na jego kałdunie perliły się gęste krople, nie potu, tłuszczu.

– Tylko że według mojego kumpla – powtórzył – to uszkodzenie końcówki nie było, jak ci to powiedzieć... nie było naturalne.

– Nie było naturalne?

Pochylił się ku niej. Brzuch opadł mu niczym fartuch na kolana.

– Powiem ci więcej, Clotilde. Setki razy o tym myślałem, dyskutowałem o tym z Ibrahimem, obejrzałem dokładnie zdjęcia i dowody rzeczowe. I nabrałem przekonania.

– Do cholery, niech pan to wreszcie z siebie wydusi!

– Układ kierowniczy został celowo uszkodzony, Clotilde! Nakrętka końcówki została odkręcona dokładnie tyle, by mieć pewność, że wskutek wibracji wypadnie po kilku zakrętach, że drążek kierowniczy rozepnie się w jednej chwili, kierowca będzie kręcił kierownicą w próżni i straci nagle panowanie nad pojazdem.

Clotilde milczała.

Wstała powoli i umieściła pośladki na mokrym cemencie. Skulona, rękami objęła kolana. Przybita.

Tym razem słońce ukradł jej cień gruboskórego tłuszciocha. On też wstał.

– Musiałem ci to powiedzieć, Clotilde.

Było jej zimno. Drżała. Ciągnęło ją do studni. Żeby tylko nie miała dna. Żeby mogła tonąć w nieskończoność.

– Dziękuję, Cesareu.

Zapanowało długie milczenie, zanim wymówiła kolejne słowo.

– Kto... kto jeszcze o tym wie?

– Jedna jedyna osoba... Jedyna, która powinna wiedzieć. Twój dziadek, Clotilde. Dałem kopię całej dokumentacji Cassanu Idrissiemu.

Przygryzła wargi. Do krwi.

– Co powiedział?

– Nic, Clotilde. Nic a nic. W ogóle nie zareagował. Tak jakby zawsze o tym wiedział. Tak sobie wtedy pomyślałem. Że zawsze o tym wiedział.

Sierżant nic więcej nie dodał. Zajął się zapinaniem szlafroka, co trwało całą wieczność, przyjrzał się niezbyt czystej powierzchni swojego basenu, po czym jeszcze wolniej poszedł w stronę opartej o ogrodzenie siatki do czyszczenia wody. Po raz ostatni odwrócił się do Clotilde.

– Idź zobaczyć się z Aurélią, uciesz się.

Iść do tej żoły? Też pomysł!

– To niedaleko. Na pewno pamiętasz drogę. Ona mieszka na Punta Rossa, pod latarnią morską na Revellacie.

Słowa mieszały się porywane przez wir. Studnia była garnkiem, do którego wrzucił je Cesareu.

Ta żoła Aurélia.

Punta Rossa.

Latarnia morska na Revellacie.

Cesareu zsunął do tyłu czapkę, jakby po to, by głębiej spojrzeć w oczy Clotilde.

– Spodziewałem się, że będziesz zaskoczona, pięknotko. Ja też, gdyby mi to ktoś powiedział dwadzieścia lat temu, tobym mu nie uwierzył. No tak, Aurélia tam mieszka. Od tamtego czasu. Wiesz, co to znaczy, ślicznotko, nie muszę ci tłumaczyć. – Zostawił jednak Clotilde czas, żeby skojarzyła. – Aurélia żyje z Natalem.

Clotilde zachwiała się nad betonowym basenem. Właśnie wpadła do studni bez dna po raz drugi w ciągu niespełna dziesięciu minut. I ten drugi raz sparaliżował ją jeszcze bardziej niż pierwszy.

Boleśniej.

O ileż boleśniej.

*Środa 16 sierpnia 1989 roku,
dziesiąty dzień wakacji, niebo jak błękitna wróżka*

Była sobie raz...

Była sobie raz mała księżniczka z Kalabrii.

Maria-Chjara Giordano.

Zaczyna się jak bajka, bo Maria-Chjara jest prawdziwą księżniczką. Urodziła się trzy lata przede mną, w tym samym roku co mój brat, w 1971, w małej wiosce Pianopoli koło Catanzaro we Włoszech.

Jej ojciec kieruje największym przedsiębiorstwem zbioru brokułów w Kalabrii, podobno brokuły zielone to tamtejsza specjalność. Ma on już sześćdziesiąt lat i sześćdziesiąt milionów lirów na koncie w banku, kiedy rodzi się Maria-Chjara; jej ojciec jest przystojny, stary przystojniak, jak mówią, to znaczy ładne ma tylko brązowe oczy i kręconą srebrzystą czuprynę; jej matka ma dziewiętnaście lat mniej niż mąż i dziewiętnaście centymetrów więcej bez obcasów; jest modelką dla Ungaro i aktorką w serialach klasy B kręconych w Cinecittà, z których żaden nigdy nie szedł we Francji. Sprawdziłam to, nie myślcie sobie!

Lepiej podlewana niż warzywa taty, Maria-Chjara szybko urosła.

W każdym razie szybciej niż ja. Mając piętnaście lat, mierzyła już ponad metr siedemdziesiąt. W następnych latach nieco zwolniła, aż w końcu osiągnęła metr siedemdziesiąt pięć, ale te centymetry, które nie zdołały wydłużyć bardziej jej ud, pleców czy kostek, rozbuchały się gdzie indziej, nadymając jej piersi, zaokrąglając biodra, uwypuklając pośladki. Małe harmonijne чудо, kształty bohaterki włoskiego komiksu, tego, który tata wciska na regale między Tintina a Asteriksa. Dziewczyna stworzona przez Mila Manarę.

Ten typ laski...

Tata Giordano, zapewne po to, by zapomnieć zapach brokułów i wykorzystać trochę dziewiętnaście centymetrów swojej gwiazdki filmowej, kupił willę na wzgórzach Revellaty, żeby spędzać tam lato. Mała kalabryjska księżniczka, jedyna spadkobierczyni, nudziła się sama w kamiennym pałacu, więc od czasu do czasu, potem coraz częściej i na coraz dłużej, terenowe suzuki jej taty zawoziło ją i zostawiało gdzieś między plażą Alga a kempingiem Euproctes, żeby się pobawiła ze swoimi rówieśniczkami. Rówieśniczkami... i rówieśnikami.

Tego lata 1989 roku *papà* i *mamma* Giordano wyruszyli na rejs dookoła Sardynii swoim jachtem, zakotwiczonym przez cały rok w zatoce koło Calvi, a księżniczka Chjara, która świeżo osiągnęła pełnoletność, dała im do zrozumienia, że nie ma mowy, żeby przez cały miesiąc nudziła się z nimi w pływającym więzieniu o powierzchni trzydziestu metrów na dziesięć.

Sama sobie poradzi. I ojciec wręczył jej klucze od willi.

Chjara nie żartowała.

Bardzo dobrze sobie radziła sama.

Tańczyć lambadę lepiej niż Kaoma. Śpiewać *Una storia importante* lepiej niż Eros Ramazzotti. Recytować repliki z *Kina Paradiso*, z pocałunkami włącznie, lepiej niż Agnese Nano.

Zaprogramowana, żeby zostać gwiazdą!

Błyszczec w galaktyce, zanim wszystkie gwiazdy znikną.

Uwieść albo polec!

Maria-Chjara. Historia księżniczki...

Wciąż siedzę tu w cieniu, na swoim kawałku plaży, na skraju sosnowego lasu, igły mnie kłują w pośladki, na kolanach trzymam otwarte *Niebezpieczne związki*. Maria-Chjara zerwała się jednym susem z ręcznika z chińskimi cieniami, a Hermann cyklop został z wysmarowanymi rękami w górze, pieszcząc pustkę.

Nie dość *speed* ten Hermann... Ach ach ach!

Maria-Chjara wstała, tak jak leżała, nie włożywszy góry od kostiumu. Poszła zamówić coca-colę na drugim końcu plaży i cała plaża na nią patrzyła. Przysięgam ci, z mojego punktu obserwacyjnego, nieco z góry, spektakl był przejmujący, wyglądało to jak pole słoneczników obracających się zgodnie z wędrówką słońca, ale tysiąc razy szybciej. Wraz z makami, chabrami i kłosami zboża, które też wykręcają swoje łodygi.

Ja specjalnie spuszcza wzrok na książkę.

Pomyliłam się faktycznie.

Valmont to nie jest mój brat! Valmont to Maria-Chjara.

W osiemnastym wieku rozpustny uwodziciel nie mógł być kobietą. Ale dzisiaj oczywiście może! Dziewczynami, które się szanuje, które się podziwia, są te, które przyjmują na siebie odpowiedzialność, które dodają otuchy, które robią co chcą ze swoim ciałem i sercem, które robią co chcą z facetami.

Cholera, mnie do tego daleko!

Maria-Chjara jest dziewicą. Chodzą takie słuchy. W namiotach, na plaży, pod prysznicami w łazience dla kobiet i w sraczach dla chłopaków. Trzeba przyznać, że prawie to wykrzyczała do głośnika przypiętego na tablicy ogłoszeń kempingu.

Jestem dziewicą... i nie zamierzam nią zostać.

Maria-Chjara złożyła ślub nie-czystości.

Ogłosiła to niemal jak zawody w grze w bule, rozgrywki w ping-ponga czy wieczór lotto. Zafunduje sobie faceta. Pierwszego. Jedyne! Przed końcem lata.

I od tamtej pory Maria-Chjara paraduje w stringach z piersiami na wierzchu, a to po gałkę lodów pistacjowych, a to po bagietkę, a to po „Młodą i piękną”. Jak Valérie Kaprisky w *Roku meduzy*, żeby dać wam przedsmak.

O, już wraca z colą.

Trzy kroki naprzód, zwolnić, odchylić szyję, łyk, naprzód, ciało wygięte, kołysać biodrami, falować miednicą, pozwolić dyskretnie spłynąć kilku kroplom, jak gdyby nigdy nic, otrzeć słodką skórę wierzchem dłoni.

Dalej.

Na oczach tych wszystkich mężczyzn leżących u jej stóp. Łopatki w rękach tatusiów nieruchomieją nad zamkami z piasku, puszek z zimnym piwem zastygają przy ustach, piłki do siatkówki toczą się po piasku i żaden facet za nimi nie biegnie. Estefan, Magnus, Filip jak rażeni gromem!

Ohyda, nieprzyzwoitość!

Nie mogę nie patrzeć na nią z podziwem...

Nie zazdrościć jej...

Nie cierpieć jej.

Nie nienawidzić tych męskich spojrzeń na jej piersi, które rzucają wyzwanie prawu powszechnego ciężenia.

Ja jestem bez szans, chociaż mam jedną teorię na ten temat. Chcesz ją poznać? Zresztą nie pytam cię o zdanie, dobrze mi to zrobi, jak ci ją zdradzę! Spotykam się z dziewczyną, która ma małe piersi, znaczy z dziewczyną, z którą chce się ułożyć sobie życie, dziewczyną taką jak ja na przykład, to inwestycja długoterminowa. Z gwarancją na trzydzieści lat. Wybór, którego się nie będzie żałować po dziesięcioleciach pożycia, gdy tymczasem duże piersi w końcu na pewno zawiodą, opadną. To oczywiste, prawda? Oczywiście jak w matematyce, w fizyce! Wobec tego chociaż ta mała gorąca laska Maria-Chjara wyprzedziła mnie, to w końcu ją dogonię, w swoim tempie, truchcikiem.

Wystarczy uzbroić się w cierpliwość.

W górę serduszka, w górę małe pupki, w górę małe piersi!

Jeszcze o tym pogadamy, Chjaro?

Później, dużo później, bo na razie to ty podbijasz stawkę na licytacji. Wysoko, bardzo wysoko.

Piękna Włoszka wróciła już na swój ręcznik, obszedłszy go wokół trzy razy tak jak nieufna kotka. Cervonemu, też ukrytemu pod sosnami, z ręką jakby przyklejoną do żywicy skapującej po pniu, nic a nic nie umknęło. Cyklop znieruchomiał jak mumia egipska, odwrócony do swojej bogini (Bastet, bogini kotki, mój nieoświecony czytelniku!) i nawet mój Nico, mój piękny obojętny, skryty za swoimi ray-banami, tym razem zdobył się na ledwie uchwytny ruch szyi.

On też spisany na straty.
Była sobie raz...
Była sobie raz mała napalona księżniczka z Kalabrii...
Wiesz, na co.
* * *

Popatrzył na plakat, zawahał się, czy go nie zerwać.
Po co, tyle ich było po drodze, całe dziesiątki.
Dziś wieczorem. Godz. 22.00. Plaża Oscelluccia. Dyskoteka Tropi-Kalliste.
Wybierze się tam.
Nie po to, żeby usłyszeć śpiew Marii-Chjary.
Żeby zamknąć jej usta.

15.00

Plakaty, przyklejone scotchem, wisiały wszędzie, nawet na drzwiach sanitariatów, na ogrodzeniu parkingu i na altanie śmietnika. Valentine zatrzymała się przed tym, który wisiał na wprost ich miejsca kempingowego. Zrolowała pareo wokół talii, jej klapki uderzały o podeszwy stóp tak, jak stukają szpilki na parkiecie w sali balowej; z bagietką wciśniętą pod pachę wyglądała jak mażoretka. Clotilde stała koło córki, niecierpliwiąc się; w obu rękach niosła plastikowe torby z resztą zakupów, a grejpfruty, pomarańcze, melony i połówka arbuza ważyły tonę.

Valentine uniosła podbródek i przeczytała.

Wieczór przebojów z lat osiemdziesiątych

Godz. 22.00. Dyskoteka Tropi-Kalliste

Plaża Oscelluccia

Na plakacie z ogromnego basenu na plaży wylewała się wielobarwna piana. Z niej wynurzała się w deszczu złotych cekinów dziewczyna w kostiumie kąpielowym.

– Zdaje się, że to dawna sława kempingu – dopytywała Valou, wpatrzona w dziewczynę. – Wszyscy mówią tylko o tym. Ona spędzała tu wakacje, potem została we Włoszech prawdziwą gwiazdą.

Clotilde, zdziwiona, przeniosła wzrok z błyszczących oczu Valou i skupiła się na plakacie. Twarz syreny była nierozpoznawalna pod mocnym makijażem, jej idealne ciało przypominało tysiące innych ciał, które wyświetlają się w internecie po jednym kliknięciu hasła *starlette* (gwiazdka), albo *bikini*, ale jej sceniczny pseudonim uderzył w nią jak nowy przyływ wspomnień z dzieciństwa.

Maria-Chjara.

Plastikowe uszy toreb wypchanych cytrusami wpijały się w palce Clotilde.

– Cervone powiedział mi nawet, że znałaś ją, mamó! Że pięć czy sześć razy spędzałyście tu razem wakacje, że wujek Nico też ją dobrze znał.

No, proszę, teraz sobie przypominałaś, że masz rodzinę?

Clotilde niewiele słyszała o Marii-Chjarze po sierpniu 1989 roku. Rozpoznała ją raz, prawie dwadzieścia lat temu, w filmie telewizyjnym, który szedł w programie trzecim, grała drugoplanową rolę, dziewczyny jadącej na rowerze ulicami Lukki, z powiewającą na wietrze spódnicą. Przeczytała też jej nazwisko

i rozpoznała jej twarz podczas pobytu w Wenecji z Franckiem, szesnaście lat temu, przed przyjsciem na świat Valou. Stare CD za cztery euro w skrzynce z płytami w promocji: jaskrawe kolory, nieznane piosenki. Sława Marii-Chjary była zapewne bardzo względna, również we Włoszech.

– Wiesz, Valou... Ona miała wtedy osiemnaście lat. Chyba jest już bardzo... niedzisiejsza.

Valentine to nie obchodziło. Liczył się pretekst.

– Nie chciałabyś jej zobaczyć?

Plaża Oscelluccia usytuowana była tuż pod kempingiem Euproctes, schodziło się na nią bezpośrednio stromą ścieżką wzdłuż brzegu. Clotilde patrzyła na plakat, na pianę morską, basen, bikini z takim samym zainteresowaniem, jakby oglądała zapowiedź korridy.

– Żartujesz?

– A jak bym poszła z tobą? Ja pójdę dla klimatu, a ty dla swojej kumpelki.

Mała spryciula...

Clotilde już miała jej odpowiedzieć „Później, kochanie, zobaczymy później, muszę najpierw zanieść te torby z owocami, bo mi w końcu obie ręce odpadną”, kiedy za jej plecami pojawił się Franck. Naturalnym gestem wziął z rąk Clotilde torby z zakupami, bez jednego słowa, bez żadnego widocznego wysiłku, jakby w ogóle nawet o tym nie myślał.

Uprzejmy. Męski. Idealny facet. Czego więcej chcesz, stara?

– Co się dzieje, moje kochane?

Valentine wyjaśniła, *la fiesta a la playa*, gwiazda półwyspu Revellata, koleżanka mamy z dzieciństwa...

– Poszłabyś? – spytał Franck, odwracając się do Clotilde. – Chciałabyś zobaczyć tę laskę?

Czemu nie? Właściwie czemu nie?

Franck położył rękę na ramionach córki.

– Nie ma mowy, żebyś poszła sama na tę zabawę na plaży. Ale jeśli mama z tobą pójdzie...

– Dzięki, tato.

I ta niewdzięcznica rzuciła się na szyję ojca, bohatera, bez słowa podziękowania dla matki, która miała znieść noc *eighties*, od początku wieczoru aż po demony północy. Od wieków jej noga nie postąpiła w nocnym lokalu.

Przez resztę dnia Clotilde już o tym nie myślała. Między plażą a bungalowem, między leżakiem a ręcznikiem, z głową zanurzoną w Morzu Śródziemnym czy pod prysznicem, nękały ją w kółko trzy pytania. Dała sobie czas do wieczora, żeby sformułować trzy definitywne odpowiedzi.

Tak albo nie.

Najpierw zadzwonić do dziadka Cassanu i doprowadzić do rodzinnego

spotkania z babcią Lisabetą, może nawet z tą czarownicą Speranzą i jej wnukiem Orsu. Wezwać też psa Paszę, zebrać całe to towarzystwo pod zielonym dębem na podwórzu w Arcanu i wyjawić im to odkrycie, które jej psuje krew: jej rodzice nie byli ofiarami wypadku, układ kierowniczy fuego został celowo uszkodzony.

Odpowiedź: TAK, nawet jeśli tryb zwołania trzeba jeszcze określić.

Następnie porozmawiać z Franckiem. Porozmawiać z nim o rewelacjach tego gliniarza. Pokazać mu zdjęcia nakrętki tej pieprzonej końcówki, zapytać go o zdanie, o radę, on potrafi rozpoznać wszystkie te metalowe rzeczy pod maską.

Odpowiedź: NIE! Nie ma mowy, żeby znowu musiała znosić te jego sarkastyczne uwagi, pełną poirytowania litość, a w najlepszym razie te jego dwa możliwe rozwiązania: wnieść oskarżenie albo dać sobie spokój.

Na koniec przejść się do Punta Rossa, ścieżką celników z Revellaty, jak gdyby nigdy nic, że niby to spacer do latarni morskiej, podziwianie panoramicznego widoku, tak jak dziesiątki innych turystów, i może, czemu nie, spotkać tam Natalego zajętego naprawianiem sieci, paleniem papierosa na swoim tarasie, obserwowaniem, jak świat się kręci.

Odpowiedź: NIE. Definitywnie NIE!

»

Głośniki wypluwały krzykliwe *Life is life*, co nie przeszkadzało tłumowi, który odpowiadał zgodnym chórem.

La la la la la

Clotilde i Valou weszły w tłum tańczących na małej plaży Oscelluccia. Niewielka zatoczka wciśnięta między dwa skalne występy była jeszcze jednym z tych przytulnych rajskich zakątków zaanektowanych przez Spinella. W miarę zbliżania się do morza kamienie i drobne kamyczki na ścieżce, pokruszone przez tysiące stóp turystów spieszących do wody, przez te wszystkie lata zamieniły się w gruby piasek, którego sypkość była zależna od natężenia tego ruchu pieszego.

O ile z plaży nie widać było jeszcze murów budowanej mariny Roc e Mare, o tyle trudno było nie dostrzec Tropi-Kalliste, chałupy usytuowanej na północnym krańcu, z ogródkiem, barem i bambusową podłogą, całość zapewne można było prędko zdemontować w razie nadciągającej nawałnicy czy wizyty nowego nadgorliwego prefekta. Gra słów autorstwa Spinella przywoływała zarazem tropikalny nocny upał z głośną muzyką i starożytną nazwą Korsyki, *Kalliste...* najpiękniejsza! Dyskoteka sprowadzała się do tej chaty, na której powieszono reflektorki i lasery, oświetlające mocnym światłem wielkie głośniki ustawione bezpośrednio na piasku, pływający parkiet dziesięć metrów na dziesięć, na którym tańczyła mniej niż jedna czwarta tłumy, i wyjątkowo tego wieczoru wysoką na dwa metry podłużną estradę niczym wybieg na pokazie mody albo szeroka trampolina. Poza tym pod estradą ustawiono duży nadmuchiwany basen, oświetlony na

niebiesko i pilnowany przez trzech czarnych stojących nieruchomo ochroniarzy, którzy niespecjalnie zdawali się zachwyceni chórkami Opusa.

Life is life

La la la la la

Raz przynajmniej Cervone sypnął groszem, chociaż przy cenach 7 euro za wstęp, 9 euro za mojito i 15 euro za wielki kufel korsykańskiego piwa Pietra, chyba wychodził na swoje.

Relax, polecił Frankie Goes to Hollywood rozszalałej publiczności. Clotilde oszacowała tłum na dwieście czy trzysta osób. W różnym wieku. Młodzi, którzy znali chyba na pamięć te przestarzałe piosenki z czasów, kiedy ssali jeszcze smoczek, rozhisteryzowane nastolatki, niektóre chyba już pijane; również pary i kilka grupiek starych.

Starych w porównaniu z większością publiczności.

Starych w jej wieku, jej rówieśników.

– Idę, mam!

Clotilde obserwowała córkę, nic nie rozumiejąc.

– Jest Clara, Justin, Nils i Tahir. O, tam, z przodu. Mam komórkę. Przyślesz mi esemesa, jak będziemy wychodzić?

Valou zniknęła w tłumie.

Gdyby cokolwiek się stało, gdyby Franck się tylko dowiedział, pewnie by ją zatłukł. Nie córkę, żonę!

Clotilde miała to gdzieś.

Niech Valou się bawi... Mój Boże, niech się bawi! Co jej się może stać?

Odeszła trochę dalej od tańczących, poszła w stronę morza, wyminęła kilka leżących ciał, jakby wyrzuconych na brzeg podczas przyływu. Parę metrów od plaży na wodzie unosiła się łódź przycumowana do zardzewiałej żelaznej obręczy przytwierdzonej do skały. Latarką swojej komórki Clotilde oświetliła łuszczący się kadłub łodzi rybackiej.

„Aryon”.

Ledwo już można było odczytać A, Y i N; tylko ona zdawała się jeszcze zdolna odcyfrować tę nazwę. Kadłub wydawał się przegniły, cuma przetarta, szwert pęknięty. Ani wiosła, ani żagla, ani silnika. Łódź przypominała uciekające zwierzę, któremu założono na szyję smycz i zostawiono tu, zapominając o nim. Takie przynajmniej wrażenie odnosiła Clotilde, powstrzymując łzy, które napływały jej do oczu na widok tego kolejnego opuszczonego wraku napotkanego na drodze jej nostalgicznej podróży.

Muzyka nagle ustała. Plażę na moment ogarnęła ciemność, po czym zielony laser wystrzelił w tłum, a stroboskop zamienił go w chmurę podrygujących epileptycznie zombi.

Maria-Chjara pojawiła się na estradzie, ubrana w długą, wąską suknię

przybraną cekinami, raczej prostą, skromną, wyjąwszy wyszukany, wystylizowany dekolt.

Pierwsze taneczne kroki postawiła w rytm muzyki płynącej z syntezatora.

Oho oho oho oho

Zanim przywarła ustami do mikrofonu, by zaśpiewać pierwsze nuty *Future Brain*, światowego przeboju Dena Harrowa, króla *italo disco* lat osiemdziesiątych... kompletnie już zapomnianego.

A co Clotilde sobie myślała!

Oho, oho, oho, oho – skandował tłum.

Staroświeckie szlagiery są wieczne.

Odkąd Clotilde przyjechała znowu na Korsykę, nie była jeszcze na plaży Oscelluccia. Dręczyło ją zbyt wiele pytań. Dlaczego, skoro ten rajski kawałek plaży wciąż należy do Cassanu Idrissiego, jej dziadek pozwolił Cervonemu Spinellowi postawić tu ten wstrętny lokal nocny? Dlaczego ta łódź kołysze się tu, porzucona i zardzewiała? Dlaczego toleruje się ten hałas niczym szkodliwy narkotyk, ten zafascynowany tłum, te hipnotyczne światła? Dlaczego nie zwyciężyła cisza? Skoro nie zwyciężyła tutaj, na plaży Oscelluccia, to gdzie by mogła zwyciężyć?

Oho oho oho oho

Dlaczego duży zły wilk nie podszedł do tej słomianej chałupy postawionej na plaży, wilk kumpel jej dziadka, nawet nie trzeba było kominiarki i bomby, kanistra i zapalniczki, wystarczyło na nią dmuchnąć. Wystarczyło trochę wiatru, tego wiatru, który zamiast zmieść chałupę, niósł decybele aż do Calvi.

Maria-Chjara śpiewała dalej. W blasku reflektorów, w grze światła i cieni, pod warstwą makijażu nie sposób było określić jej wieku.

Czterdzieści pięć lat. Dokładnie. Clotilde wiedziała.

Niezła była Maria-Chjara. Kawałki leciały jeden po drugim. Włoskie, angielskie, francuskie, hiszpańskie.

Valou pokazywała się, znikwała.

Clotilde się nudziła.

Po *Tarzan Boy* przeciągającym w nieskończoność *ho ho ho* zapiaszczonych chórków, zdolnych obudzić wszystkie ssaki morskie w Sanktuarium Pelagos aż po wybrzeże Monako, światło nagle przygasło, syntezatory przycichły i Maria-Chjara wyszeptała do mikrofonu z silnym włoskim akcentem:

– Zaśpiewam wam teraz piosenkę, którą się śpiewa bez muzyki. Bez instrumentu. Tylko mój głos. To jest piosenka, którą na pewno znacie, nosi tytuł *Forever Young*, ale tym razem proszę, żebyście nie śpiewali jej razem ze mną. Poza tymi, którzy potrafią. – Posłała tłumowi uśmiech przypominający pocałunek. – Będę ją śpiewała po korsykańsku. Dla was. *Sempre giovanu*.

Biały reflektor zatrzymał się na Marii-Chjarze. Włoska piosenkarka

przymknęła oczy, jej czysty głos rzucał wyzwanie falom, wznosił się coraz wyżej, przyprawiając księżyc o płacz.

Sempre giovanu

Melodia, niesiona przez brzmienie sopranu o czystości przekraczającej wszelkie wyobrażenie, stawała się hymnem, tłum zadrżał w ciemności, bez niespokojnych chichotów, jakby zdarzył się mały cud, jakby każdy zrozumiał, że piosenkarka zgodziła się na cały ten cyrk tylko po to, żeby jej dano te cztery minuty, żeby ją zostawiono w spokoju na czas jej modlitwy, jej credo a capella.

Sempre giovanu

Nawias.

Który się zamknął.

Dźwięk automatu perkusyjnego buchnął, zanim nawet Maria-Chjara otworzyła oczy, zanim nawet ostatnia oktawa wydostała się z jej w półotwartych warg z następującą po niej banalną nutą syntezatora, którą jednak wszyscy plażowicze rozpoznali od pierwszego akordu.

Trans po dreszczu.

Suknia Marii-Chjary opadła. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki objawiła się w kostiumie kąpielowym.

Białym. Nieskazitelny. Obcisłym.

Boys, boys, boys, wył tłum, jeszcze zanim puszczono nagraną taśmę.

Maria-Chjara włączyła się, zakołysała, uśmiechnęła, podeszła bliżej, cofnęła się, wzięła rozbieg.

Boys boys boys.

Zanurkowała.

I wynurzyła się z basenu pod sceną w deszczu świecącego brokatu, z posklejаныmi włosami, rozmytym makijażem, z podkładem pełnym bruzd, nieważne, liczyło się co innego: jej zmoczona góra od kostiumu zsuwała się, niepokojąco przezroczysta, dokładnie taka sama jak ta z legendy, niemal jak zastrzeżona marka fabryczna.

Boys boys boys, powtarzała w nieskończoność Maria-Chjara. Przyniesiono jej drugi mikrofon, wielki plastikowy tęczowy balon, armatki zdmuchiwały pianę. Piosenkarka wyciągnęła rękę, żeby posłać całusy i wyszeptać:

– *Come with me.*

Zgodnie ze zreżymowaną choreografią trzech ochroniarze wreszcie się usunęli i na plażę pofrunął deszcz ubrań. Wkrótce w małym basenie było sto osób śpiewających po raz tysięczny *Boys boys boys*.

Summertime love.

Najodważniejsze zrzuciły góry od kostiumu.

Maria-Chjara nie.

Można by pomyśleć, że wiek jej na to nie pozwala.

Tylko stare szlagiery się nie starzeją.

»

– Jestem przyjaciółką Marii-Chjary. Przyjaciółką z dzieciństwa.

Wysoki czarnoskóry facet nie wyglądał na przekonanego.

Thum tańczył ciągle na drugim końcu plaży w rytm muzyki techno, która nie miała już wiele wspólnego z latami osiemdziesiątymi.

Zostajemy jeszcze, mamo?

Tak, trochę, odpowiedziała Clotilde na zaniepokojonego esemesa córki po ostatniej piosence Włoszki. To było dwadzieścia minut temu. Przez cały ten czas czekała przed przyczepą stojącą na parkingu ziemnym, który odgrywał rolę kulis. Nie stała w kolejce tłoczących się fanek, nie, Clotilde była sama, ale przed zamkniętymi drzwiami, a ochroniarz o niczym nie chciał słyszeć.

– Niech pan przynajmniej zapuka do drzwi. Proszę jej powiedzieć, że jedna fanka chce z nią porozmawiać, ucieszy się.

Ochroniarz uśmiechnął się półgębkiem, chyba się zlitował. W końcu zastukał w blaszaną ścianę.

– Pani Giordano. Ktoś do pani...

Maria-Chjara wychyliła głowę po kilku sekundach. Zarzuciła na ramiona peniuar i ręcznik na włosy. Ani śladu makijażu, kremu czy innego kosmetyku. Z lekka tylko uchyliła drzwi i zwróciła się do Clotilde.

– Tak? Słucham?

Wciąż była piękna. Clotilde nie spodziewała się tego. Na pewno zrobiła sobie lifting, liposukcję, inne operacje plastyczne, wstrzyknęła silikon, ale bardzo dobrze z tym wyglądała. Jak odnowiony samochód dostosowany do potrzeb klienta, pomyślała Clotilde, trochę wulgarna, ale oryginalna, dumna ze swojej odmienności, dumna, że przyciąga spojrzenia. Pełne podziwu czy zakłopotania, miała to gdzieś. Potwór czy ikona, jakie to ma znaczenie?

– Dasz mi fajkę?

Umieśniony stróż, który miał chyba dwadzieścia pięć lat mniej niż ona, wyjął nerwowo papierosa, zapalił go, przybierając minę drżącego Johna Wayne'a, przytknął do warg Marii-Chjary, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

Mały nieśmiały chłopczyk stojący przed nauczycielką.

– A więc tak – powiedziała Maria-Chjara, zwracając się wreszcie do Clotilde – jesteś moją ostatnią fanką? I myślisz, że otworzę ci drzwi? Nawet na to nie licz, kochana, ja nie jestem taka jak te wszystkie obciążające laski, które przemieniają się w przymilne ssące koteczki, kiedy faceci zaczynają się od nich odwracać.

Wybuchnęła śmiechem.

W jej ruchach, w jej pazurach, w jej wydłużonych oczach było coś kociego. Chociaż Clotilde nie cierpiała słowa kuguar, to określało ją właściwie.

Albo tygrysica.

– Jestem Clotilde. Siostra Nicolasa. Nicolas Idrissi, pamiętasz?

Maria-Chjara zmrużyła oczy, sprawiając wrażenie, że szuka głęboko w pamięci. Clotilde przysięgłaby jednak, że gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, piosenkarka ją rozpoznała. Nieznaczne przyciśnięcie palców do drzwi przyczepy, przykurczenie kciuka i palca wskazującego na chropowatym wybrzuszonym metalu.

Maria-Chjara potrząsnęła głową.

– Nie pamiętam. Mój eks?

Wyglądała na szczerą. I pomyśleć, że Berlusconi zatrudnił swoje figurantki ze względu na ich talent aktorski. Clotilde żałowała, że nie pomyślała o tym, by wziąć ze sobą zdjęcie Nicolasa.

– Lato osiemdziesiątego dziewiątego roku. I pięć poprzednich.

Maria-Chjara wypuściła dym prosto w twarz stróża, wepchnęła mokry kosmyk pod ręcznik, pozwoliła, by peniuar zsunął jej się z karku, odsłaniając wytatuowaną różę pośród czarnych cierni schodzących na ramię i dalej na rękę.

– Lato osiemdziesiąt dziewięć! – zdziwiła się gwiazdka. – No, wiesz, laleczko, to nas nie odmładza. Wtedy to ja byłam bomba, łakoma bomba, faceci byli trochę jak lukrecjowe żelki Haribo, więc w tym wszystkim twój braciszek...

To był rok twojego rozdziewiczenia, koteczko! Nie kręć mi tu, tego się nie zapomina!

– Wysoki blondyn. Miły. Lato lambady. Tańczył nie tak dobrze jak ty.

Maria-Chjara wypluła peta. Czerwonym paznokciem kciuka skrobała nerwowo farbę blaszanej łoży.

– Przykro mi, kochana. Mam pięć tysięcy fanów na *Petits-copains-d'avant*. A mówię ci tylko o tych, co mnie zaciągali do łóżka, nie o tych wszystkich prawiczkach, co mnie obmacywali.

Kłamała. Clotilde nie miała wyboru. Wzięła głęboki oddech, napełniając płuca powietrzem, po czym wypuściła je hałaśliwie, jakby chciała zdmuchnąć ten domek z żelaza.

– Mówię ci o tym, który umarł, Mario. Umarł na drodze prowadzącej na Revellatę. Tego wieczoru, kiedy mieliście to robić po raz pierwszy, ty i mój brat Nicolas.

Czerwony paznokieć się złamał. Nagle.

Ale nie uśmiech Marii-Chjary. Zimny.

Grand prix za grę aktorską na festiwalu filmowym La Mostra w Wenecji.
Chapeau bas!

– Przykro mi. Nie pamiętam. Jestem wykończona, padam. Przyjdź później.
Bye.

*Czwartek 17 sierpnia 1989 roku,
jedenasty dzień wakacji, niebo jak Wielki błękit*

Port Stareso to betonowe nabrzeże i trzy domy. Ten kameralny port pod latarnią morską na półwyspie Revellata był długo, jak się zdaje, prawie niedostępny dla publiczności, ponieważ na jego terenie gościła mała baza naukowa prowadząca badania na Morzu Śródziemnym. Ale tego lata otworzyli to miejsce, by przyjąć kilku gości, kilku nurków, kilku rybaków, a nawet raz na tydzień z piętnastu wędrownych kupców, którzy przyjeżdżają sprzedawać swoje lokalne produkty na falochronie.

Mama nie mogła tego przepuścić. Mama uwieeeeeelbia targi.

Uwielbia odgrywać piękność w kapeluszu, spacerować, włóczyć się, interesować, zapalać się, dyskutować, złożyć, odchodzić, żałować, wracać, negocjować, targować się, kupować, rozmyślać się. W ciągu tygodnia naszego pobytu w Marrakeszu, w roku, w którym skończyłam dwanaście lat, myślałam, że umrę ze wstydu na suku i przez cały tydzień nie wyjdę z naszego riadu. A dziś rano przy śniadaniu, fatalny błąd, zgodziłam się pójść z mamą na targ. Zajmie nam to całe przedpołudnie! Kiedy miałam już dość popychania przez wczasowiczów, a nawet miażdżenia stóp przez wózek, który wymusił na nas pierwszeństwo, usiadłam na jedynej ławce, jaka tu była. W pełnym słońcu. Ubranie ochronne. Słuchawki i Manu Chao w uszach, i dla odmiany gazeta na kolanach, „Corse-Matin”, w której zaintrygował mnie bardzo tytuł pisany grubą czcionką.

WYPADŁ Z ŁODZI?

Niejaki Drago Bianchi został uznany za zaginionego. To przedsiębiorca z Nicei, jak przeczytałam w kilku linijkach na pierwszej stronie. Znalezione jego jacht, ale jego nie, tylko wędkę, która wciąż tkwiła w wodzie, nie mając nic na końcu. Facet zrobił majątek w branży budowlanej, taki typ, co to zamieni beton w złoto. Może pomylił wzór, może całe złoto, które miał w kieszeniach, stało się z powrotem betonem i poszedł prosto na dno. Inne wydarzenia na wyspie, o których pisali w gazecie, szybko mnie znużyły, wolę podziwiać krajobraz, który mam przed sobą.

Mam ci go opisać? Spróbuję znaleźć słowa.

A więc na wprost mnie stoi mały kuter rybacki, niebiesko-biały, który bardziej przypomina dużą łódź niż trawler. Nie ma żagli, tylko silnik, żelazne

koszyki, więcierze, piętrzące się wszędzie, a przede wszystkim pastelowozielone sieci, tworzące ogromny kokon na falochronie, w którym uwięziona jest olbrzymia gąsienica o ciele z żółtych boi. Kiedy sieć zostanie rozplątana, może wyleci z niej największy na świecie motyl.

Rybak na pewno potrafiłby to zrobić.

Prawie godzinę już go podglądam zza swoich okularów Lolity.

Jego też mam ci opisać? Mówiłam ci już o *Wielkim błękanie*? Pamiętasz Jeana-Marca Barra, człowieka-delfina o oczach ze wszystkimi odcieniami niebieskiego, jak rozgwieżdzone otchłanie, jak dwie szklane kule, w których zmieściłby się cały wszechświat? No więc mam przed sobą jego sobowtóra. Rybak tak samo magnetyzujący jak on: ta sama okrągła głowa niemowlaka ogolona trzy dni temu maszynką, od czaszki do podbródka, ta sama poezja w spojrzeniu. Takim samym spojrzeniu, mówię ci! Tak samo rozmarzonym, tak samo nieobecnym. Tyle tylko, że on najwyraźniej nie spędza całych dni na bezdechu pod wodą, on raczej spędza je nad wodą. Cały czas ma zajęte ręce, pracuje, rozplątuje dzielnie tę swoją obrzydliwą sieć i smaży się na słońcu.

Czekam.

Ile on ma? Maksimum dziesięć lat więcej ode mnie?

Czekam jak mała szelma, czekam, aż słońce go upiecze w sam raz, wyobrażam sobie, jak opalonymi rękami ściąga przez głowę swój mokry T-shirt, jak jego wilgotne mięśnie wykręcają tkaninę, jego ręce się...

– Podejdź tu.

Przemówił do mnie. Cholera... Wpadłam!

– Podejdź tu – powtórzył. – Potrzebuję twojej rady. Chodź, zobacz.

Co byś zrobił na moim miejscu?

Nie graj ze mną w spryciula, nie udawaj mądrzejszego, mój przyszły czytelniku. Jesteś oczywiście taki sam jak ja! No więc odłożyłam książkę i walkmana, podniosłam okulary na czoło i stanęłam na jego łodzi niczym zabawka Playmobil.

– Potrzebuję twojej opinii. Popatrz, co o tym myślisz?

I w tej chwili, nawet jak mi nie uwierzysz, trudno, mam to gdzieś, człowiek-delfin, tak właśnie, to był naprawdę człowiek-delfin, tak jakbym wyczytała to gdzieś na jego twarzy, a on to odebrał. Tak, coś w rodzaju telepatii, ten sam sposób porozumiewania się, jaki mają walenie, za pomocą echolokacji, bezpośrednio z mózgu do mózgu. No, dobrze, od mojej ławki do jego łodzi było niecałe pięć metrów, ale dopiero zaczynamy... Z moim mężczyzną-delfinem będziemy ćwiczyć, dojdziemy do wprawy, w końcu będziemy mogli porozumiewać się między oceanami.

– No to jak, spojrzysz?

Pokazuje mi mały niebieski afisz reklamowy namalowany na sklejce, na

którym trzy ciemne sylwetki delfinów narysowane są na połyskującym morzu.

Morskie safari – pływanie z delfinami

Codziennie do końca sierpnia

„Aryon”

Port de Stareso

04 95 15 65 42

– Co o tym myślisz?

– Dobrze.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że jego afisz jest po prostu ściągnięty z plakatu *Wielkiego błękitu*, nie wysilił się, Besson mógłby mu nawet wytoczyć proces.

Po czym jeszcze dorzucam:

– Tylko że to jest ściema!

Lubię prowokacje. Człowiek-delfin gapi się jak zamurowany na sfinksa z trupa czaszką zamiast głowy, wydrukowanego na moim T-shircie. Robi do mnie minę wędrownego poety, który natrafił na mur ze szkła.

– Tak pomyślałaś, czytając to?

– Tak.

Kładzie obie dłonie na twarzy, ściskając ją z obu stron, jakby chciał ją spłaszczyć, ale ta twarz pozostaje tak doskonała jak krągły owoc, który chciałoby się schrupać. Uwielbiam, kiedy jego facjatę przecina uśmiech.

– Cholera! Właśnie dlatego cię zapytałem. Chcę tu przyciągnąć takie syreny jak ty. – Dwa owoce liczi mrugają nad ustami w kształcie półokrągłych porcji arbuza. – Syreny, które marzą, żeby pływać z delfinami! Na pełnym morzu.

Patrzę z niedowierzaniem na mojego rybaka, łowcę syren. Przynęta jest trochę mało subtelna!

– Pan żartuje?

Potwierdza. Wybucha śmiechem. Domyśliłam się tego sekundę wcześniej dzięki telepatii.

– Nie, wcale nie. W Morzu Śródziemnym żyją tysiące delfinów. A w okolicach Korsyki setki. Organizatorzy wycieczek morskich z Porto, Cargèse, Girolaty obiecują spotkanie z nimi w czasie rejsu wzdłuż rezerwatu przyrody Scandola, ale biorąc pod uwagę ogromne zagęszczenie łajb, nie ma żadnych szans, nawet jednej na sto, żeby dostrzec choćby płetwę. Delfiny wolą statki rybackie, bo mogą przegryzać sieci i kraść ryby.

– Pan już je spotkał?

Kiwa głową, tak jakby to było oczywiste.

– Jak wszyscy rybacy na Morzu Śródziemnym. Ale na ogół rybacy i delfiny nie są dobrymi kumplami.

Wywróciłam oczami tak samo jak mama, kiedy się targuje na bazarze.

– Ale pan tak! I będzie mi pan opowiadał, że je pan oswoił.

– To nie takie trudne. To inteligentne zwierzęta, umieją rozpoznawać odgłosy statku, głos istoty ludzkiej. Żeby zdobyć ich zaufanie, potrzeba tylko trochę cierpliwości.

– I pan zdobył ich zaufanie?

– Tak...

– Nie wierzę panu!

Znowu się do mnie uśmiechnął. Myślę, że mu się to podoba, kiedy się stawiam. Myślę, że mówi prawdę. Myślę, że mój rybak jest małym dzieckiem, które spędziło życie, marząc o delfinach, samo w swoim pokoju, i w końcu je znalazło, zbliżyło się do nich, pokochało je. Myślę, że...

– Masz rację, Clotilde. Nigdy nie należy ufać od razu. Nikomu.

Wow, i w dodatku zna moje imię!

– Twój dziadek chyba cię tego nauczył. Trzeba czasu, żeby się oswoić.

– Mój dziadek?

– Jesteś wnuczką Cassanu, prawda? Wiesz, Idrissi są tu dość znani. A ty jesteś jeszcze mniej niezauważalna w tym swoim przebraniu.

Moje przebranie? Byłabym gotowa wyrwać mu rzęsy z braku włosów czy zarostu... Gdyby nie chroniły ich tak piękne oczy.

Moje przebranie!

Ten prowincjusz na pewno nigdy nie widział *Soku z żuka*! Nigdy nie był w kinie, nigdy nie otworzył książki, nic się dla niego nie liczy poza jego rybami, poza jego pasją...

Atakuję go.

– A co jest nie tak z moim przebraniem?

– Nic. Ale nie jestem pewny, czy mogłabyś się zbliżyć do delfinów z trupią czaszką na T-shircie.

– Co by pan wolał? Odblaskowe słoneczko? Różową chmurkę? Złote aniołki?

– A, bo ty masz to wszystko pod T-shirtem? Naprawdę chowasz wszystkie te kolory?

Drań! Zdemaskował mnie po trzech słowach, które wymieniliśmy. Jak dziewczynkę pozbawioną podwieczorku, która ma jeszcze nutellę wokół ust.

Kiedy szykuję ripostę, łódź zaczyna się kołysać.

– Czy ona panu nie przeszkadza?

Nie do wiary!

To moja matka. Weszła po prostu na łódź, nie krępując się, i wtrynia się do rozmowy.

I od tej chwili wszystko się zmienia.

Najpierw on.

Robi się tak, jakby na łodzi była już tylko moja matka, Palma Mama, z tą

swoją miną wystraszonej łani stojącej na tratwie, z obcasami wplątanymi w sieć, sukienką zaczepioną o koszyk, popiskująca jak przerażona mysz.

Tak jakby o mnie już zapomniał.

Gorzej nawet.

Tak jakby zaprosił mnie tylko po to, żeby zwabić moją matkę na swój stateczek. Widziałam przecież duży siermiężny haczyk u wędki, ale nic nie rozumiałam. Nie rybą jestem, tylko przynętą.

Robakiem, dżdżownicą!

Dżdżownicą do zwabienia mojej matki.

– Niech pan jej nie opowiada tych historyjek o delfinach – mizdrzy się Palma Mama, spuszczać wzrok, spoglądając na afisz z *Wielkim błękitem*. – Pod tą jej buntowniczą miną kryje się sama słodycz.

Sama słodycz, teraz! To wszystko, co moja matka znalazła do włożenia na swój własny haczyk.

Nienawidzę jej!

– Ja nie żartuję, pani Idrissi – odpowiada rybak z marzeń. – Może się to wydać dziwne, ale delfiny to mój prawdziwy biznes. Jedna para z młodymi zamieszkała niedaleko Revellaty. Mają do mnie zaufanie. Naprawdę mogę zawieźć pani córkę, żeby je zobaczyła, jeśli ma ochotę.

Moja matka usiadła. Gołe nogi jedna przy drugiej. Widzę wyraźnie, że usiłuje skrzyżować broń z wiązkami lasera wysyłanymi z oczu gwiazdnego wędrowca.

– To ją trzeba spytać.

Krzyżuje nogi.

Ja krzyżuję ramiona, nadąsana. Idiotka. Beznadziejna.

I trwa to tak dobrą chwilę.

– Może innym razem! – mówi wreszcie, wstając. – Idziemy, kochanie?

Idziemy.

On nic nie dodaje, ale nie musi.

Wyciąga do mamy rękę, żeby jej pomóc wyjść na nabrzeże. Drugą rękę kładzie na talii mamy, a ona wspiera się na gołym, opalonym ramieniu swojego rycerza. Kończąc ten balet, mama funduje sobie wielki szpagat z łodzi na nabrzeże z podwiewającą w górę spódnicą, z nogami rozwartymi jak cyrkiel. Jakby wykonywali zaimprovizowany taniec, który może już kiedyś ćwiczyli.

– Jeśli Clotilde zmieni zdanie, mogę się z panem skontaktować?

– Z przyjemnością, pani Idrissi.

– Palma. Proszę mi mówić Palma. Pani Idrissi brzmi tutaj jak imię królowej matki.

– Raczej księżniczki.

Gdacze jak indyczka ta księżniczka. Ale trzeba przyznać, że potrafi się

odciąć, na wszystko ma odpowiedź.

– Ale księżniczka prawie nigdy nie zostaje królową – dodaje. – To delfin zostaje królem... prawda... panie... panie?

– Angeli. Natale Angeli.

W drodze powrotnej przeżywam swoją pewność.

Jak objawienie.

Tak, moja matka jest zdolna do tego, żeby zdradzić ojca.

Zdradzić go z tym mężczyzną.

Natale. Natale Angeli. Król poławiający syreny, księżniczki i delfiny.

Podczas gdy... tak mi trudno napisać te ostatnie słowa.

Ostatecznie mam to gdzieś!

Nikt ich nie przeczyta. Wiem to dobrze, mój czytelniku z przyszłości, że nie istniejesz.

A tymczasem... A tymczasem on mnie kocha. Ja kocham jego.

Wiedziałam to od pierwszego wejrzenia.

Nie śmieć się ze mnie, błagam. Nie śmieć się ze mnie, to poważna sprawa, tak poważna, że mogę wypłakać wszystkie łzy na ten zeszyt.

Kocham Natalego.

Kocham po raz pierwszy.

I żaden inny mężczyzna nigdy nic nie wskóra przeciw temu.

* * *

Zamknął pofałdowaną od wilgoci stronę zeszytu i siedział tak jeszcze chwilę.

Aż tutaj słyhać było echa muzyki techno, która dobiegała z plaży Oscelluccia.

Przeszedł kawałek alei, żeby lepiej słyszeć.

2.30

Franck spojrział na zegarek.

Co one wyprawiają?

Wiatr od morza niósł dźwięki muzyki elektronicznej, w której odróżniało się tylko głuchą basową perkusję, monotonna, natrętna, tak jakby skóra bębna została odwrócona przodem do morza i uderzała w nią każda fala. Nigdy niekończący się rytm.

Bum bum bum bum...

Jednak na kempingu wszyscy spali. Franck musiał to przyznać, że przy zamkniętych drzwiach i oknach hałas był prawie niesłyszalny w bungalowach, domkach fińskich i przyczepach kempingowych. Tym gorzej dla obozowiczów. Dyskoteka to był może dodatkowy sposób na wykurzenie ich stąd i zastąpienie miejsc kempingowych wynajmem lokali z betonu, co zwiększyłoby dziesięciokrotnie rentowność parceli.

Co one wyprawiają? Clotilde przecież nie tańczy do tego terkoczącego techno?

Franck czekał jeszcze prawie pół godziny, włącząc się po kempingu, spotykając jedynie kilka cieni, innych cierpiących na bezsenność, właścicieli wyprowadzających swoje psy, emerytów uczulonych na DJ Davida Guette, zaniepokojonych rodziców.

Latarka w komórce Clo oświetliła kawałek drogi dokładnie o godzinie 03:04. Franck mógłby to przysiąc gliniarzowi z dokładnością co do minuty, sprawdzał czas na swojej komórce prawie bez przerwy. Rozpoznał ją natychmiast, kiedy przechodziła pod latarnią przy wejściu na ich teren.

– Gdzie jest Valou?

Franck od razu pożałował, że nie zadał żadnego innego pytania, nawet pro forma: no i jak impreza? jak ta Włoszka? jak ten lokal nad morzem?

Ale Clo była sama.

Wyglądała na wyczerpaną. Oczy zapadnięte. Zmęczony chód. Jakby miała zaraz zwalić się z nóg, nie opowiedziawszy nic, nic nie wytłumaczywszy. Jutro, jutro, teraz padam. Franckowi nie spodobała się ta postawa, ta nonszalancja, prawie pogarda. Nie znosił tego poczucia, że został wykluczony z gry i że w dodatku ma

się jeszcze usprawiedliwiać.

– Gdzie jest Valou? – powtórzył.

Clotilde osunęła się na krzesło. Drażnił ją, to było widać.

Odpowiedź żony wreszcie padła, bo tak było trzeba. Powoli, z ociąganiem.

– Została tam. Z kumpelkami. Kumpelkami z kempingu. Wrócą razem.

– Masz mnie za durnia?

Te słowa, jego słowa, wyrwały mu się tak po prostu, bez wyrachowania; z rozpędu. A za nimi pędził cały peleton.

– Do jasnej cholery, ona ma piętnaście lat! Nieprzytomna jesteś czy co?

Peleton czy raczej pluton egzekucyjny.

Sporunował ją wzrokiem.

– Idę tam. Idę po nią.

Clotilde nie zareagowała, kiedy Franck zniknął w ciemnościach nocy.

»

Kiedy Franck wrócił, Clotilde spała.

W każdym razie leżała w pościeli, zawinięta w swój T-shirt z napisem *Charlie et la chocolaterie*.

Z zamkniętymi oczami.

Okno bungalowu zostawiła otwarte, Franck nie śmiał go zamknąć.

Rozebrał się pospiesznie, w półmroku, przylgnął ciałem do ciała żony.

– Już dobrze. Valou poszła spać.

Z zaciśniętymi ustami.

Franck położył głowę na nagim ramieniu Clo, wsunął pod nie rękę i uwięził jej lewą pierś.

Serce zaryglowane na kłódkę.

Czuł, jak bije pod jego dłonią, echo muzyki techno wpadające przez otwarte okno dawało mu złudzenie, że słyszy, jak ono wali, powiększone tysiąc razy.

– Przepraszam, Clo. Przepraszam, że tak się do ciebie odezwałem. Po prostu bałem się o Valentine. Na dole byli zalani faceci. Shit, trawka. Plaża, morze, skały.

Serce powoli się uspokoiło, podczas gdy muzyka zaczęła przyspieszać.

Usta rozchylone, wreszcie...

– Co powiedziała?

– Valou? Nic. Myślę, że była zdziwiona, że mogła zostać tak długo.

Bum bum bum bum.

Na zewnątrz.

Tym razem oczy szeroko otwarte.

Clotilde obróciła się powoli, wbiła wzrok w jego oczy, przy samej poduszce.

– Po prostu się przestraszyłeś, w porządku. Nie mówmy już o tym. Jesteś... jesteś wspaniałym ojcem.

Ręce Francka zapuszczały się głębiej pod T-shirt, ta bardziej śmiała wdrapała się na drugą pierś.

– I beznadziejnym mężem?

Pozwoliła mu na pieszczoty, na to, by serce jej nabrzmiewało powoli z pożądania, usta od westchnień, łono z rozkoszy, zanim puściły jeden po drugim ostatnie rygle i zanim wyszeptała:

– Cicho, idioto!

Kochali się w milczeniu. Żeby ich nie było słychać. Na zewnątrz, w pokoju Valou, tak jakby to oni byli małolatami.

W pośpiechu.

Clotilde prawie natychmiast się odwróciła.

Plecami do niego. W zmiętej pościeli. Zwinięta w kłębek.

Członek Francka oklapł.

Clotilde mu się wymykała.

Czy wszystko zostało zapisane od początku?

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie prawie dwadzieścia lat temu, wieczór przebierańców u wspólnego przyjaciela, kiedy to oboje dopiero co się rozstali ze swoimi partnerami, ją przebraną za Morticię Addams i siebie za Drakulę. Gdyby nie to makabryczne podobieństwo, Clotilde chyba by go nawet nie zauważyła. Od czego zależy życie człowieka? Od maski, którą się nosi lub nie? Aż do wieczoru poprzedzającego to spotkanie on szukał kostiumu Piotrusia Pana, w który mógłby znowu się wcisnąć...

Członek Francka był już tylko czymś miękkim, wilgotnym, brzydkim, co najchętniej by wyrwał. Spotkania biorą się ze zbiegów okoliczności, rozmyślał dalej. Z rzutu kostkami. Jeśli pary są ze sobą po tym, jak połączył je przypadek, to znaczy, że równie dobrze mogłoby to tak samo zadziałać z inną dziewczyną, gdyby los tak zdecydował. A zatem oznacza to, że żadna historia miłosna nie jest warta więcej od innej, że życie mogło się być ułożyć na tysiąc innych sposobów, może lepiej, może gorzej. W gruncie rzeczy, myślał Franck, wpatrując się przez okno w czworobok nieba, którego nie rozświetlała żadna gwiazda, jedyne prawdziwe historie miłosne to są te, w których jedno z dwojga oszukuje na początku, przygotowuje szczęśliwy przypadek, przebiera się, wkłada właściwy kostium, nosi właściwą maskę i paraduje w nich przez lata, zanim je zrzuci. Żeby przez ten czas drugie się przyzwyczaiło, uzależniło, wpadło w sidła.

– I jak ta twoja piękna Włoszka? – zapytał łagodnie Franck, zwracając się do odwróconych pleców.

– Piękna. Wciąż piękna...

Coś mu się majaczyło. Clo jest tylko zmartwiona. Skołowana. Ich małżeństwo wyjdzie z tego cało. On musi utrzymywać właściwy kurs. Jego palec sunął w górę wzdłuż kręgosłupa żony.

– Piękna – ciągnęła. – Ale dziwna. Nie pamięta Nicolasa.

Jego palec zaczął trochę zbaczać, posuwał się teraz lekkimi zygzakami.

– Po dwudziestu siedmiu latach? Uważasz, że to dziwne? A ty? Pamiętasz swoich przyjaciół? Swoich przyjaciół z czasów, kiedy miałaś piętnaście lat?

Zawahała się.

– Nie, masz rację.

Franck zatrzymał swój palec trochę poniżej karku Clotilde. Zawiedziony.

Wiedział, że ona kłamie.

*Sobota 19 czerwca 1989 roku,
trzynasty dzień wakacji,
niebo atramentowoniebieskie, koloru twoich oczu*

Drogi przyszły czytelniku!

Piszę do ciebie kartkę pocztową z Korsyki, krótką kartkę pocztową, bo muszę ci się przyznać, że w ciągu najbliższych dni mam coś więcej do roboty niż pisanie do ciebie.

Jestem bardzo zajęta.

Nie robieniem czegoś. Tylko marzeniem.

A więc zmuszam się, po dwóch dniach zaniedbywania cię, ślę ci wiadomości, trochę tak jak wtedy, kiedy jedyny raz pojechałam na kolonie w góry Vercors i mama wcisnęła mi koperty ze znaczkami pocztowymi do całej rodziny, każąc mi pisać do cioć, wujków, kuzynów...

A więc skoro trzeba...

Kochani!

Jestem wciąż na Korsyce.

Tutaj wszystko dobrze, bawię się niezłe, mam mnóstwo kumpli.

Ukochanego też. Od przedwczoraj.

Łowcę delfinów. Cały czas o nim myślę.

On tego nie wie. Nigdy się nie dowie. Nigdy mnie nie pokocha.

Może zamiast mnie pokocha moją mamę.

Moje życie jest niczym innym jak ogromnym nieporozumieniem.

Poza tym wszystko w porządku.

Całuję Was.

Clo

Tak, wiem, to krótki list... Przepraszam!

Od dwóch dni, trzeba przyznać, odkąd Natale się na mnie zwałił, odkąd moje serce kołysze się w rytm jego łodzi, trochę zerwałam z bandą nastolatków i ich tarapatami. Widzę z daleka idącą Marię-Chjarę, to dziwne, pomalowała sobie pośladki na niebiesko, na kolor dżinsów, tuż nad udami, z kieszeniami, rozporkiem, postrzępione, super, jak prawdziwe, jak autentyczny materiał, tylko że to niemożliwe, bo nie wyobrażam sobie, jak by mogła wcisnąć swój ładny tyłeczek w takie miniszorty, tak obcisłe, przylegające jak druga skóra... Faceci latają za nią

jak bezańskie psy, które nie mogłyby się powstrzymać i jej nie obwąchać... Zapach świeżej farby... Maria-Chjara pilnuje ich w swoim małym lusterku wstecznym i odgrywa Tomcia Palucha w wersji żeńskiej, rozsiewając swoje staniki i majtki w wielkim lesie, jakby grała w podchody z całą armią pretendentów, ze swymi dziesięcioma małymi wygłodniałymi ogami.

Maria-Chjara wciąż jeszcze nie straciła dziewictwa, ale zapowiedziała, że 25 sierpnia wsiada do samolotu do Bari, i potwierdziła, że pozbędzie się dziewictwa, zanim dotrze do pasa startowego. Za sześć dni. Chodzi o to, żeby podnieść jeszcze o kilka stopni temperaturę tych małych samców oszołomionych swoim dojrzewaniem.

Chcesz wiedzieć, co ja sędzę? Mój faworyt, ten, który wyprzedza wszystkich o całą długość, to ten, który biegnie najwolniej. Który pozwala innym się męczyć. Mój brat Nicolas! Założę się, że to jego wybierze Maria-Chjara. W odpowiednim momencie. On to wie. Jest trochę dumny z tego ten mój braciszek. Zachowuje się nawet trochę jak mądrała, trochę jak fiut.

Ale nie jestem obiektywna.

Jestem zakochana.

Chcę zobaczyć znowu Natalego. Chcę, żeby mnie wziął na łódź. Chcę, żeby mnie zauważył.

Nie wiedziałam, że coś takiego jest możliwe, żeby patrzeć na mężczyznę przez kwadrans, zamienić z nim trzy słowa i nie myśleć już potem o niczym innym, tylko o nim, dzień i noc.

Właśnie to jest miłość, tak?

Cierpieć męczarnie z powodu mężczyzny, z którym nie ma się nic wspólnego, który pewnie już mnie zapomniał, który mnie zagadnął, żeby zbliżyć się do mojej matki.

No, powiedz?

Zresztą mama też wyprzedza o jedną długość tatę, rozmawiali wczoraj o wieczorze 23 sierpnia, negocjacje były trudne i tata ustąpił, pójdziemy wszyscy razem na aperitif do dziadków na farmę Arcanu, zanim moi rodzice wyruszą pod górę do Casa di Stella, by świętować rocznicę poznania się.

Wszyscy kuzyni pójda na koncert A Filetta... Oprócz nas.

Mama wygrała, dostanie swój bukiet kwiatów dzikiej róży w dniu świętej Róży. Ona też zachowuje się trochę jak dumna kobieta, trochę jak pipa.

Ale przynajmniej unikniemy śpiewów polifonicznych, teraz to pewne.

Opowiem ci, ale najpierw muszę ci powiedzieć o 19 sierpnia.

O tym, co się stało tego 19 sierpnia 1989 roku... Dzisiaj.

Daleko, bardzo daleko stąd.

Blisko, bardzo blisko serca mamy.

Prawdziwe szaleństwo.

* * *

Dziewiętnastego sierpnia 1989 roku..., pomyślał znowu.

Po tym dniu nigdzie na świecie nic nigdy nie będzie już takie jak przedtem, chociaż nikt tak naprawdę nie pojął znaczenia tego dnia. Największe rewolucje, te, które wstrząsają ludzkością, odbywają się w maskach, w ukryciu.

Dziewiętnastego sierpnia 1989 roku. Świt nowego świata.

Wszyscy jednak to olewali, wszyscy byli na wakacjach.

Wszyscy to olewali tamtego dnia, wszyscy oprócz Palmy.

10.00

– Czekałem na ciebie, Clotilde. Myślałem nawet, że przyjdiesz wcześniej. Że najpierw będziesz chciała zobaczyć się ze mną.

Clotilde obserwowała morze przez szerokie oszklone drzwi willi Punta Rossa. Punkt widokowy wciąż był oszałamiający. Dom sprawiał wrażenie jakby zawieszono go na klifie, jakby wystarczyło otworzyć drzwi balkonowe, żeby zanurzyć się w Morzu Śródziemnym. Gdy patrzyło się przez szybę z przeciwnej strony, dostrzegało się wierzchołki gór regionu Balagne, z Notre-Dame de la Serra na pierwszym planie, Capu di a Veta na drugim i Monte Cinto najdalej.

Ponadczasowy cud natury.

Tylko Natale się postarzał.

Ładnie się postarzał.

Przeszła parę kroków wzdłuż tarasu zawieszono nad skałami Punta Rossa, uważając jednak, by nie zauważyło jej tych kilku turystów, którzy stali nieopodal latarni morskiej. Franckowi naopowiadała, że idzie do gliniarzy z brygady w Calvi, żeby zapytać kapitana Cadenata, czy są jakieś nowe wieści w sprawie jej portfela. W końcu skłamała tylko w połowie, bo córka gliniarza mieszkała tutaj, przynajmniej wtedy, kiedy nie miała dyżurów w lokalnej stacji Pogotowia Ratunkowego regionu Balagne. Aurélia Garcia została pielęgniarką w Centrum Szpitalnym w Calvi, zaczyna pracę wcześniej, nie wróci przed dwunastą.

Natale zaproponował jej kawę. Nie odmówiła.

Natale się ociągał.

Przełamywanie lodów trochę potrwa.

Clotilde czuła, jak wiatr targa jej włosy. Dobrze jej było tu, na tarasie. Wcale nie miała ochoty wchodzić z powrotem do środka. Zazwyczaj, pomyślała, domy od zewnątrz są banalne, czy to bliźniacze domki na jednolicie zabudowanych osiedlach, czy to podobne do siebie jak kropla wody apartamentowce, nawet w najbogatszych dzielnicach. Ale za tymi posępnymi fasadami kryją się prywatne intymne ludzkie sprawy, pomieszczenia, w których każdy leżący przedmiot, każda wisząca ramka, każda wyeksponowana książka zdradzają czyjąś tożsamość. Gust. Duszę.

Całkiem inaczej niż w Punta Rossa!

Dziwna góraska chata stojąca na czerwonych skałach, zbudowana wyłącznie z drewna i szkła, została wzniesiona przez Natalego deska po desce, szyba po szybie, kiedy miał on zaledwie dwadzieścia lat; mogła ją zamieszkiwać tylko jakaś wyjątkowa istota, przynajmniej w mniemaniu wycieczkowiczów, którzy dostrzegali tę budowlę ze ścieżki celników. Każdy detal został pomyślany oryginalnie, od muszelek, którymi były wysadzone filary, do delfinów wyrzeźbionych na belkach. Willa Punta Rossa była tysiące razy fotografowana, została wrzucona na Google'a i na Facebooka, Clotilde mogła się o tym przekonać przez wszystkie te lata, wpisując Punta Rossa w przeglądarce i snując marzenia o tym małym cudzie architektury... i o jego budowniczym. Czy jednak któryś z wycieczkowiczów mógłby podejrzewać, że w tym domku kryje się najbardziej kiczowaty, najbanalniejszy, najbardziej wątpliwy z wystrojów wewnątrz? Nad sześciennymi segmentami z Ikei występującymi pod najróżniejszymi postaciami, regału na książki, szafki, stolika pod telewizor, kredensu, taboretów, niskiego stolika, wisiało kilka plakatów, którymi próbowano ubarwić lakierowaną biel umeblowania: pocałunki Klimta, lekcje pianina Renoira, nenufary Moneta.

– Twoja kawa, Clotilde.

Natale powiedział jej, że trochę się spieszy. Zaczyna dyżur o jedenastej. Jest kierownikiem działu rybnego w markecie Super U w Lumio.

– Nie patrz tak na mnie, Clotilde.

– Jak...

– Jakbyś się czuła zawiedziona... tym wszystkim. Mną.

– Dlaczego? Dlaczego miałabym się czuć zawiedziona?

– Nie pogarszaj sprawy!

Odszedł i wrócił po kilku sekundach ze szklaneczką w ręce, kieliszeczkim bez nóżki wielkości naparstka, napełnionym po brzegi różowym płynem.

Likier czy lekarstwo?

Natale miał pewnie niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Clotilde uważała, że wciąż jest przystojny. Jeszcze bardziej niż wtedy, gdy miał dwadzieścia pięć lat. Pozbawiony złudzeń. Melancholijny. Niemal cyniczny. Zeszła z werandy i udała się za nim w głąb willi. Nad kredensem z przesuwaną szybą, w którym wystawiona była kolekcja kieliszków do jajek, kółek do serwetek i puszek na herbatę, wisiała fotografia Aurélii. Clotilde zaczęła wpatrywać się ostentacyjnie w zdjęcie. Aurélia się uśmiechała. Markowa suknia. Opalone ciało. Brwi wyskubane.

– Nie jestem zawiedziona, Natale, tylko nigdy bym nie uwierzyła.

– Ja też nie.

Odwrócił się. Jego naparstek był pusty i już po chwili znów pełny. Clotilde dostrzegła tym razem butelkę i wcale nie na półce w apteczce.

Nalewka z mirtu. 40 procent, z piwnic Damiani.

Clotilde nie mogła na tym poprzestać. Po wszystkich tych latach.

– Natale...

Za późno, żeby się wycofać. Odwróciła oczy od portretu Aurélii.

– Natale, mogę ci to powiedzieć teraz, kiedy nastąpiło przedawnienie, jak to się mówi. Wiesz, przez wszystkie te lata, chociaż nigdy do siebie nie pisywaliśmy, nie telefonowaliśmy ani nie mieliśmy kontaktów, byłeś jednak obecny. Towarzyszyłeś mi. Nie mówię o tym lecie osiemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy miałam piętnaście lat, ani o naszych przejażdżkach łodzią po zatoce Revellaty. Mówię o tym, co później. O moim późniejszym życiu. Byłeś dowodem na to, że wszystko jest możliwe, Natale. Jak ci to powiedzieć... Czymś w rodzaju busoli, która wskazywałaby piątą stronę świata, gdzieś w kierunku gwiazd.

Odpowiedź ją dotknęła.

– Nie powinnaś była, Clotilde. Nie zasługiwałam na to... Takie jest życie, patrzeć, jak nasi idole z młodości starzeją się wcześniej od nas. Patrzeć, jak nas zawodzą. Patrzeć, jak umierają wcześniej niż my.

Skoro już tak daleko zabrnęłam, pomyślała Clotilde, lepiej opróżnić do dna starą skrzynkę z zabawkami.

– Tak czy owak, byłam w tobie zakochana...

Kolejny naporstek został opróżniony.

– Wiem. Ale miałaś wtedy piętnaście lat.

– No tak. I kolekcjonowałam trupie czaszki. Ubierałam się jak zombi.

Lubiłam upiory.

Natale tylko potrząsnął głową, Clotilde mówiła dalej.

– A ty byłeś zakochany w mojej matce. To mnie doprowadzało do szału. Z powodu ojca.

Natale podszedł do Clotilde. Wydawało się, że się waha, czy położyć rękę na jej ramieniu.

– Za bardzo nienawidziłaś matki. I za bardzo kochałaś ojca. Logicznie rzecz biorąc, powinno być odwrotnie, ale mając piętnaście lat, nie wszystko rozumiałaś.

Clotilde cofnęła się, prawie aż na taras. Zaskoczyła ją sugestia kryjąca się w słowach Natalego.

Nie wszystko rozumiałaś.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, Clotilde. Nic. Nie ma sensu rzucać teraz światła na dawne strefy cienia. Pozwól swoim rodzicom spoczywać w spokoju.

Spojrzenie Natalego opuściło Morze Śródziemne, skierowało się w stronę gór, gubiąc się gdzieś daleko w okolicach Capu di a Veta.

– Ja nie nienawidziłam matki – ciągnęła Clotilde. – Byłam zazdrosna, to wszystko. To było żałosne, jak o tym pomyśleć. Tak bardzo żałosne w obliczu tego, co się stało.

Oczy Natalego na moment rozbłysły i Clotilde poczuła się, jakby znowu

miała piętnaście lat. Natale odpowiedział jej, odwracając wzrok.

– Przede wszystkim byłaś głupia! Bardzo mi się podobałaś w tych swoich czarnych strojach, z tym swoim wyglądem zbuntowanej nastolatki, z zeszytem i książkami, które ścisłaś pod pachą. Niepokorna tak jak ja. W inny sposób, w innych barwach.

W głowie Clotilde kołatały się inne słowa, słowa wypowiedziane przez Natalego w innym życiu na plaży Oscelluccia, słowa, których nigdy nie zapomniała.

Jesteśmy z tej samej gliny, Clotilde. Poławiacze marzeń przeciw reszcie świata.

Natale znowu napełnił naparstek, zasiadł w okropnym fotelu obitym fioletowym aksamitem i mówił dalej.

– Widziałem później *Sok z żuka...* Obejrzałem też jeszcze raz *Edwarda nożycorękiego*. Za każdym razem myślałem o tobie. O tej zwariowanej Lydii Deetz, która rozmawiała z duchami. Czy w dalszym ciągu tak szalejesz na punkcie Winony Rider?

Jeszcze jak, mój ukochany!

– Zdecydowanie. Widziałam ją później w *Czarnym łabędziu*, razem z moją córką Valentine. Pięć lat temu. Jej się nie podobało, ani film, ani aktorki. Ja byłam zachwycona.

Kolejny naparstek. To już zaczynało być dużo, chociaż poziom płynu w butelce z piwnic Damiani bardzo się nie obniżył. Clotilde pociągnęła wąż dalej; powracały resztki wzajemnego porozumienia.

– Wiesz, że Winona Ryder zakochała się w Johnnym Deppie, kiedy nie miała jeszcze osiemnastu lat, a on miał prawie trzydzieści. Byli ze sobą cztery lata. Zaręczyli się. Johnny Depp był tak szalenie zakochany, że zrobił sobie na ramieniu tatuaż *Winona Forever*, masz pojęcie?

Natale nic nie odpowiedział. To była już jakaś forma odpowiedzi, zwłaszcza kiedy się znało dalszy ciąg historii, zerwanie Winony i Johnny'ego. Johnny'ego, który poprawia swój tatuaż, jako że nie może się go pozbyć, i zmienia go na *Wino Forever...*

„Pijak na zawsze”.

Mity wieku dojrzewania.

Wierzyć w to, zawieść, upaść.

Mity, które toną w mircie.

Natale nie miał nic więcej do powiedzenia.

Clotilde tak. Nie wycofa się tak łatwo. Obserwowała Natalego siedzącego w za niskim dla niego fotelu; nie była pewna, czy będzie mógł się podnieść, żeby pójść sprzedawać trąbiki, ślimaki i dorsze w swoim dziale mrożonek.

– Widziałam wczoraj wieczorem Marię-Chjarę. Śpiewała na plaży

Oscelluccia.

– Wiem. Nie sposób było nie zauważyć plakatów.

– Śpiewała zresztą dość dobrze. Widziałam też znowu „Aryona”.

– Domyślam się. Wciąż jest przycumowany. Zdaje się, że on też stara się przetrwać.

Natale trzymał swój miniaturowy kieliszek pusty, jakby nie miał już dość siły, żeby go napęlić.

– Widziałam się też z Cervonem. Prawdę mówiąc, widuję go codziennie, mieszkam na kempingu Euproctes. Orsu też, chociaż go nie rozpoznałam. Oczywiście dziadka Cassanu, babcię Lisabette. Nie pamiętałam też Speranzy, ale...

– O co ci chodzi, Clo? Czego ty chcesz?

Sprovokować cię. Zmusić do reagowania. Rozwalić tę butelkę mirtu o ścianę i wrzucić cię do Morza Śródziemnego, żebyś wytrzeźwiał. Powiedzieć ci o wszystkich tych tajemnicach, od których flaki mi się wywracają, poprosić, żebyś mi pomógł, ty, ty jedyny, bo tylko do ciebie mam zaufanie.

– O prawdę? Może być, to ci odpowiada, Natale? O prawdę! Mogę ci tu wszystko wyłożyć, jak chcesz. Wszystko, co mi nie gra, odkąd wróciłam na Revellatę. Sierżant Garcia, twój teść, który mnie informuje, że układ kierowniczy fuego moich rodziców został celowo uszkodzony. Skradziono mi też dokumenty z zamkniętego sejfu w naszym bungalowie. Nie było włamania. To nieprawdopodobne, ale jednak się zdarzyło. Ale to i tak wydaje się prawie normalne w porównaniu z resztą. Listy. Ty też powiesz, że zwariowałam, ale trudno! Otrzymałam wiadomości z zaświatów. Wiadomości od Palmy.

Natale cały się trząsł. Jego ręka odstawiła napałek na najbliższy stół. Tak jakby go parzył.

– Powtórz to.

– List czekał na mnie w bungalowie C29. Przyniesiony tam tydzień temu. List, który mogła do mnie napisać tylko moja matka. – Zaśmiała się wymuszonym śmiechem. – Można by po czymś takim zacząć wierzyć w duchy, nie uważasz, Natale? Gdybym tylko miała jeszcze ten dar co Lydia.

Natale wstał. Podszedł do niej zdeterminowany, jakby nagle wytrzeźwiał.

– One istnieją, Lydia...

– Lydia?

– Znaczą, Clotilde. Istnieją.

– Kto?

– Duchy.

Nie, najwyraźniej nie wytrzeźwiał.

– Zwierzę ci się z czegoś, Clotilde. Z czegoś, czego nigdy nie ośmieliłem się nikomu opowiedzieć, zwłaszcza Aurélii czy jej ojcu. Jeśli mieszkam w tym domu jak w więzieniu, jeśli żyję z Aurélią, jeśli zrezygnowałem po kolei ze wszystkich

swoich projektów, to z powodu duchów. Zwłaszcza z powodu jednego ducha. To ty miałaś rację, Clotilde czy Lydio, jak tam chcesz. Duchy istnieją. I zatrują nam życie! Wiem, że na pewno weźmiesz mnie za wariata, ale mam to gdzieś. Teraz musisz już iść. Aurélia wraca koło dwunastej. Nie sądzę, żeby była zachwycona, jak cię tu zastanie.

Nie ma mowy.

Natale kpił sobie z niej!

– Co ona ma do tego? I nie opowiadaj mi o duchach.

Podniósł oczy i przez oszklone drzwi wbił wzrok w krzyż na szczycie Capu di a Veta.

– To zabawne, Clotilde. W gruncie rzeczy postarzałaś się bardziej niż ja. Dzisiaj to ty już nie wierzysz w to, co dziwne, w to, co irracjonalne. Mimo wszelkich znaków. Ale skoro nie chcesz słyszeć o tym duchu, powiem ci tylko, że miałem swoje powody, by ulec awansom Aurélii. Mocne powody, powody naglące.

Przelotna iskierka w jego oczach zgasła definitywnie.

– Wiesz, Clotilde – ciągnął – to małżeństwa z rozsądku, pary, które się łączą nie z powodu pociągu, nie z powodu złudzeń, są tymi, które trwają najdłużej. Z prostej przyczyny. Przyczyny nieubłaganej prostej, oczywistej. Bo nie występuje tu rozczarowanie! Bo w rezultacie jest lepiej, niż oczekiwaliśmy. Czy można to powiedzieć o historii miłosnej, co? Czy można to powiedzieć o namiętności? Że lepiej jest pod koniec niż na początku?

Jakiś głos zawył w głowie Clotilde. Na pomoc! Nie ty, Natale, nie ty. Każdy inny ma prawo wstawiać mi taką mowę, każdy kretyn... ale nie ty!

Przez te lata, kiedy źle się działo, myślała o nim. O Natalem Angelim, poławiaczu syren, który oswajał delfiny, mężczyźnie, który wierzył w gwiazdy, w swoje marzenie wielkie jak ocean. Zdolnym przekazać tę wiarę dziewczynce. Zdolnym sprawić, by uwierzyła, że nic nie jest stracone z góry.

Natale Angeli.

Który odstawia naparstek, a w nim zatopione złudzenia, i idzie na swoją zmianę w Super U. Z wciąż tym samym bojaźliwym spojrzeniem wędrującym od jednej szyby do drugiej, jak traszka uwięziona w wiwarium, między *mare* a *monti*, tak jakby nie wiedział, z której strony zjawią się duchy, by go porwać.

– A ty, Clotilde, jesteś szczęśliwa w małżeństwie?

No i bach! A co myślała?

Zgrywając mądrą, trochę zrozumiała, o krok od głupoty.

Zbuntowana dziewczynka, trupie czaszki, kruczoczarne włosy.

Co sobie myślała?

Że Natale tak samo jak ona nie czuje się zawiedziony?

*Sobota 19 sierpnia 1989 roku,
trzynasty dzień wakacji, niebo błękit pruski*

To dziwne.

Jest popołudnie, a ludzie siedzą przed telewizorami. To znaczy, niektórzy.

Wpatrzeni w ekran, tak jakby wydarzyło się coś poważnego. Próbowałam podejrzeć, idąc aleją, zaglądając przez szybę domku kempingowego Włochów, tych, co ustawili sobie olbrzymi ekran, zbudowali cementowe schody przed drzwiami, wyłożyli alejkę płytkami i wokół swojego terenu posadzili bratki i geranium. Mieszkają tu przez dziewięć miesięcy w roku.

Nic. Nie widzę niczego specjalnego na ekranie.

Właściwie tak, ale to są banalne obrazki, niemające absolutnie nic wspólnego z jakimś zamachem czy właśnie wypowiedzianą wojną. Nie uwierzysz: widzę ludzi siedzących na trawie na kawałkach płótna, którzy się pożywiają, jak na pikniku, a wokół nich pagórki i doliny.

I to właśnie ludzie oglądają! Inni ludzie, którzy też się pożywiają!

W końcu głos zabiera dziennikarz, ale nie słyszę, co mówi, mogę tylko przeczytać tekst u dołu ekranu.

„Na żywo z Sopronu”.

Sopron?

Ciebie ani innych to na pewno nie rusza, ale mnie tak... To niesamowite czytać tę nazwę. Z tego, co wiem, Sopron to nazwa miasteczka na Węgrzech, sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, położonego przy granicy austriackiej. Nie myśl tylko, że jestem taka superdobra z geografii, po prostu Sopron, jak może pamiętasz, to miasto, z którego pochodzi moja rodzina ze strony matki.

Niesamowite, co? Uprzedzałam.

Z jakiego to niby powodu wszystkie kamery świata umówiły się na spotkanie w tej miejscowości?

Pędzę, wierz mi, pędzę, dobiegam do naszego C29.

Wszyscy są w 25, obok, u Niemców, Jakoba i Anke Schreiberów, rodziców Hermanna.

Wszyscy są w 25, bo u nich jest telewizor. U nas nie ma.

– Co się dzieje, mam...

Palma Mama nakazuje mi palcem ciii! Nikt się nie odwraca w moją stronę,

wszyscy siedzą na plastikowych krzesłach i wpatrują się w ekran, a tam wciąż te rodziny w dresach zajadają kurze udka i piją piwo. Co to za szaleństwo? Co się dzieje na Węgrzech?

Sisi zmartwychwstała?

Koniec świata?

Latający talerz spadł na piknik z małutkimi Obcymi wielkości mrówek?

Potrzebuję wielu długich minut, żeby zrozumieć, dlaczego cały świat ma oczy wlepione w tych prostaków, którzy się pożywiają. Prostacy to Niemcy spędzający wakacje na Węgrzech. Ściślej Niemcy wschodni. A pagórki są austriackie.

Kapujesz?

Niezupełnie? No to ci wszystko zaraz wyłożę.

Dzisiaj, 19 sierpnia 1989 roku, władze węgierskie postanowiły otworzyć granice. Granice żelaznej kurtyny. Dla Węgrów są otwarte już od kilku tygodni i na ogół robią oni krótki wypad na Zachód i wracają do domu. Ale teraz znieśli granice dla wszystkich, bez względu na pochodzenie. Operacja otwartych szlabanów! Przez trzy godziny, od piętnastej do osiemnastej, tak żeby można było zorganizować gigantyczny piknik, piknik paneuropejski, jak mówią. Żołnierze podali sobie ręce.

No i wieść rozeszła się szeroko i Niemcy wschodni nie dali się długo prosić.

Ponad sześciuset z nich, ci, co przypadkiem spędzali wakacje w tym zakątku Węgier, przekroczyli granicę, zanim zamknięto szlabany. I według tego, co mówią dziennikarze, wcale nie zamierzają wracać.

Dziennikarze dużo o tym opowiadają, to historyczny moment, pierwszy wyłom w murze między Zachodem a Wschodem, nawet jeśli to tylko test na reakcję Rosjan.

Wszystko jasne.

Żadnej reakcji.

Gorbaczow ma to gdzieś.

Jedyni, którzy się denerwują, jeśli wierzyć telewizji, to przywódcy wschodnioniemieccy. Kilka razy pokazali zdjęcia wielkiego szefa NRD, Ericha Honeckera, który wygląda na rozwścieczonego. I we wszystkich telewizjach, na żywo z Berlina Wschodniego, wyrzaskuje cały czas, z ręką na sercu, z palcem na szwie, trzymając daszek od czapki między kciukiem a palcem wskazującym, stojąc przed armią funkcjonariuszy Stasi kiwających z tyłu głowami:

Mur berliński wytrzyma jeszcze co najmniej sto lat!

Die Mauer bleibt noch 100 Jahre!

Powtarza.

Die Mauer bleibt noch 100 Jahre!

Niczym prawdę historyczną.

Którą należy zapamiętać, głosić, wyryć.

Die Mauer bleibt noch 100 Jahre!
Złotymi zgłoskami w annałach głupoty.
* * *

Jeszcze raz wyrecytował w myśli, niemal rozbawiony.
Die Mauer bleibt noch 100 Jahre.

9.00

W bungalowach panował już niemal taki upał, że nie było czym oddychać, bo promienie słoneczne przeszły nad drzewami oliwnymi i nagrzewały blaszany sześcian, który był zupełnie jak puszka z konserwą zostawiona na pełnym słońcu. Clotilde lubiła się tak gotować jak *cannelloni* w bumarze, uwielbiała wylegiwać się w łóżku sama, czuć, jak temperatura wzrasta, aż w końcu staje się nie do zniesienia, aż całe jej ciało spływa potem. Brakowało tylko prysznicza albo, jeszcze lepiej, basenu, żeby wskoczyć do niego zaraz po przebudzeniu.

Franck poszedł już pobiegać. Valou jeszcze spała, usłużny tata zarezerwował jej pokój w cieniu aż do południa. Jego kochanie...

Tylko że to ona, Clotilde, czuła się jak podniecona nastolatka. Jej palce znowu biegały po klawiszach telefonu komórkowego. Jeszcze raz odczytała trzy linijki wiadomości, która przyszła w nocy. O 4.05.

Cieszę się, że cię zobaczyłem.

Bardzo wypiękniałaś, Clotilde, chociaż wolalem cię jako Lydię Deetz.

Pewnie dlatego, że od tamtej pory nauczyłem się żyć z duchami.

Natale

Kilka razy przeczytała te trzy linijki, długo ważyła każde słowo swojej odpowiedzi.

Cieszę się, że Cię zobaczyłam.

Wciąż jesteś taki przystojny, Natale, chociaż wolałam Cię jako łowcę delfinów.

Od tamtej pory nauczyłam się żyć bez duchów.

Clo

Ogarnęło ją cudowne uczucie euforii. Natale, co prawda, nie miał już wiele wspólnego z mężczyzną, którego wspomnienie kultywowała, ale dziwnym trafem uczucie zawodu powoli zniknęło, ulatniało się. Trochę tak, jakby idol jej młodości, jakiś doskonale zbudowany piosenkarz widniejący na błyszczącym papierze, zszedł z plakatu i każda z jego niedoskonałości czyniła go jeszcze bardziej uroczym, pociągającym. Bardziej ludzkim. Milszym.

Clotilde pamiętała tego Natalego, za którym szalała. Niedostępne zjawisko, niespełnione marzenie piętnastolatki, którą wtedy była. Dzisiaj odkrywała

kruchego mężczyznę. Którego wszystkie marzenia pierzchły. Niezrozumiany. Niekochany. Złe ożeniony.

Krótko mówiąc, wciąż wolny!

Wciąż wolny! Clotilde z głębi swojego łóżka uznała to wyrażenie za paradoksalne. Natale wciąż jest wolny... ponieważ kobieta ukradła mu wolność. Zaśmiała się sama do siebie. Przecież, w gruncie rzeczy, wszystkie ukochane to złodziejki wolności. Marzą o tym, żeby spotkać księcia z bajki... żeby go uwięzić w piwnicy.

Położyła telefon na nocnej szafce i z powrotem zapadła w półsen, owinięta w ciepłą i wilgotną pościel, tak jak się zawija w ręcznik w łaźni tureckiej.

Ile czasu upłynęło do chwili, gdy poderwał ją głos Francka?

– Dziękuję za śniadanie.

Przeszło pół godziny!

Clotilde obudziła się nagle, przyjęła pocałunek Francka w czoło. Pot za pot, wysiłki Francka, by pobiec truchtem aż do Notre-Dame de la Serra, i leniuchowanie Clotilde pod piecem.

Trudno jej było uchwycić przyczynę tego niecodziennego pocałunku.

Dziękuję za śniadanie?

Wstała zdziwiona.

Stół nakryty!

Świeże pieczywo, rogaliki; kawa, herbata, miseczki i miód. Sok owocowy i konfitury.

Franck? Franck nakrył do stołu, żeby ją zadziwić! Jego „Dziękuję za śniadanie” było ironiczną formułą, żeby ją zachęcić do wstania? On, dzielny sportowiec, łajał leniwą ciamajdę?

Spojrzenie Clotilde, zabarwione lekkim poczuciem winy, padło na telefon komórkowy leżący na szafce.

Nie zepsuć wszystkiego...

Teraz ona złożyła pocałunek na szyi Francka.

– Dziękuję.

Franck zrobił zdziwioną minę.

– Za co?

– Za to królewskie śniadanie. Brakuje tylko róży w wazonie.

Franck tym razem zrobił zupełnie ogłupiałą minę.

– To nie ty?

– Nie... ja spałam.

– A ja dopiero wróciłem.

Ich dwa niedowierzające spojrzenia skierowały się równocześnie w stronę zastony w pokoju ich córki.

Valou?

Trudniej chyba było uwierzyć w to, że ona mogła okazać takie względy rodzicom, niż w dyskretne poczynania domowych elfów. Potwierdzenie tego w postaci pomruku zza grobu usłyszał Franck, jak tylko pociągnął zasłonę od pokoju dziewczyny.

Ani Valou, ani Franck, ani ona...

To kto?

Clotilde wciągnęła koszulę i patrzyła na zastawiony stół, zaniepokojona szczegółami, których początkowo nie zauważyła. Na małym kempingowym stole, jak policzyła, były nie trzy miseczki, nakrycia i serwetki, lecz cztery. Ta liczba nie miała jednak żadnego znaczenia w porównaniu z innymi zbieżnymi okolicznościami.

Kiedy Franck wychodził z pokoju Valentine, Clotilde pokazała mu szklankę z różowo-pomarańczowym sokiem owocowym i stojącą obok białą miseczkę.

– Tutaj, na końcu stołu, zawsze siedział Nicolas. I na śniadanie pił niezmiennie sok z grejpfruta i miseczkę mleka.

Franck nie odpowiedział, Clotilde mówiła dalej, wskazując filiżankę i gorący jeszcze dzbanek z kawą.

– Tata siadał naprzeciwko, tam. Wypijał czarną kawę.

Czajnik, dwie torebki.

– Mama i ja piłyśmy herbatę. Kupowała też konfitury na targu w porcie Stareso, figowe i z owoców poziomkowca.

Obróciła delikatnie słoiki stojące koło koszyka z pieczywem.

Figowe i z owoców poziomkowca.

Clotilde położyła rękę na stole.

– Wszystko tu jest, Franck. Wszystko. Tak jak wtedy...

Franck przewrócił oczami.

– Tak jak wtedy, dwadzieścia siedem lat temu, Clo? Jak możesz pamiętać smaki konfitur, które jedliście na śniadanie dwadzieścia siedem lat temu? Markę herbaty? I...

Clotilde popatrzyła na niego prawie ze złością.

– Jak? To były ostatnie chwile, które przeżyłam z rodziną! To były ostatnie posiłki, które jedliśmy razem. Myślałam o nich po nocach, przez tysiące nocy i tysiące dni, duchy mamy, taty i Nica siadały koło mnie przy moim stole podczas śniadania przez wszystkie te poranki, kiedy byłam sama, kiedy ty byłeś już daleko, w pracy. No więc tak, Franck, pamiętam to wszystko. Każdy szczegół.

Franck szybko ustąpił. Żeby łatwiej mu było zmienić kąć ataku.

– Okej, Clo, okej, ale zgódź się, że to po prostu tylko zbieg okoliczności. Herbata, kawa, sok owocowy, lokalne konfitury. Dziewięć rodzin na dziesięć je to na śniadanie.

– A stół? Kto zastawił stół?

– Nie mam pojęcia. Może to Valou odgrywa przed nami komedię. Albo ty. Albo ja? Albo to tylko głupi żart. Delikatne zabiegi twojego przyjaciela Spinella czy oddanego mu Hagrida? Przecież wygląda na to, że on cię uwielbia.

Clotilde podskoczyła, usłyszawszy przezwisko Orsu. Oparła się pokusie, by dać wielkiego kopa w cztery aluminiowe nogi, żeby wszystko wylądowało w gejzerze zimnej kawy i rozpuszczonego masła.

Spokój Francka usposabiał ją jeszcze gorzej.

– Ktoś chce, żebyś cały czas myślała o przeszłości, Clo. Nie wdawaj się w to. Nie staraj się nawet dowiedzieć, kto...

Clotilde nie słuchała już dalszych argumentów męża. Zobaczyła właśnie na krześle złożoną na pół gazetę.

„Le Monde”. Dzisiejszy.

Popatrzyła na niego, jakby zaraz miał stanąć w ogniu.

– A... ta gazeta?

– Tak samo – ciągnął Franck. – Wyreżyserowane. Zakładam, że twoi rodzice codziennie rano czytali gazetę, tak jak wszyscy na wakacjach.

– Nie, nigdy!

– No to widzisz. Tajemniczy kelner popełnił błąd. To świadczy o tym, że...

– Nigdy – ucięła Clotilde. – Moi rodzice nigdy nie czytali gazety na wakacjach. Tylko raz. Jeden jedyny raz. Tata pojechał po „Le Monde” do kiosku w Calvi i przywiózł go, jeszcze zanim mama się obudziła. Wsunął go na jej krzesło. To było ostatnie rodzinne śniadanie, które zjedliśmy razem. Nasz ostatni posiłek we czworo. Następnego dnia tata pojechał z kuzynami na trzy dni na żagle w kierunku Krwawych Wysp, wrócił dopiero dwudziestego trzeciego, w dniu wypadku.

Franck patrzył, nie rozumiejąc, na dziennik, który walał się na fotelu.

– Dziewiętnastego sierpnia osiemdziesiątego dziewiątego roku Węgrzy po raz pierwszy zwalili żelazną kurtynę. W Sopronie, na granicy austriackiej, mieście rodzinnym mojej matki. Pierwszy raz w życiu mama przeczytała gazetę, gazetę, którą przyniósł jej ojciec. Z dziewiętnastego sierpnia, Franck, dziewiętnastego sierpnia, tak jak dzisiaj. To nie może być zwykły zbieg okoliczności! A przecież...

– A przecież co?

Clotilde przez chwilę miała wrażenie, że Franck odgrywa przed nią komedię, że wie wszystko, że nikt inny poza nim nie mógłby ustawić tego stołu, nie budząc jej. Odegnała tę głupią myśl i mówiła dalej, tak jakby nie usłyszała pytania męża.

– A przecież nikt inny nie mógł tego wiedzieć. Nikt inny, tylko Nicolas, mama, tata i ja. To zwykła rodzinna historia. Tata kupił tę gazetę sam, bez żadnych zamiarów, mama przeczytała półstronicowy artykuł w pięć minut, potem położyła dziennik pod grillem i koło południa go spaliliśmy. Nikt nie mógł znać tego szczegółu. Nikt poza naszą czwórką. Rozumiesz, Franck? Ten, kto położył tę

gazetę na krzesło mojej mamy, jest siłą rzeczy jednym z naszej czwórki. Jednym z naszej czwórki, żyjącym.

– To nie jest krzesło twojej matki, Clo...

Jest, miała odpowiedzieć Clotilde. Jest, miała krzyknąć.

Uprzedziła ją Valou.

– Przestaniecie się kłócić?

Stała opatulona w szlafrok Betty Boop, z potarganymi włosami i ściągniętymi rysami twarzy. Usiadła przy stole na miejscu ducha Nicolasa. Wyciągnęła rękę, by złapać gazetę, drugą podniosła kawę do ust i wykrzywiła się.

– Fuj. Zimna!

Clotilde obserwowała ją skonsternowana.

– Trzeba pobrać odciski, Franck.

Westchnął. Patrzył z lubością na córkę, a na żonę spoglądał tak, jakby zwariowała. Jakby jedna definitywnie zajęła miejsce drugiej, zabrała jej młodość, urodę, radość życia... rozum.

Córka otworzyła słoik z konfiturą energicznym ruchem dłoni, z apetytem spałaszowała chleb, z apetytem pałaszowała życie, szykowała się do pożarcia całego dnia z wielkim apetytem, leniuchowanie, stół ze śniadaniem w słońcu. Złociste wakacje. Wymarzone życie! A jednak Clotilde nie mogła się pozbyć tej myśli: Valou profanuje każdy przedmiot, którego dotyka. Każdym ruchem niszczy tajemny, uświęcony porządek.

Franck ma rację; popada w szaleństwo.

»

– Pani męża nie ma?

– Nie, pojechał nurkować w zatoce koło Galerii.

Kapitan Cadenat przyjechał dopiero po trzech godzinach. Franck zrezygnował z czekania po niecałej godzinie. Żandarm wyraźnie powiedział przez telefon, że nic nie rozumie z tej historii ze stołem i śniadaniem, ale że jednak przyjedzie przede wszystkim po to, żeby ostatecznie podsumować tę historię ze skradzionym portfelem. Przeprowadził coś w rodzaju śledztwa. Nic nie znalazł. Żadnej poszlaki, żadnego śladu.

Od niecałych dwóch minut kręcił się koło bungalowu.

– A pani córka?

– Musiała wyjechać, bierze udział w kanioningu.

Obok stał Cervone Spinello; szef kempingu potwierdził skinieniem głowy. Połowa młodzieży z kempingu pojechała mikrobusem spędzić popołudnie w kanionie Zoïcu.

– Nie bardzo wiem, co bym mógł jeszcze zrobić, pani Baron.

Pobrać odciski palców, kretynie! Potem porównać je ze wszystkimi

odciskami turystów z tego kempingu, bo to na pewno jeden z nich zrobił mi ten kawał. Przepytać świadków, wszystkich tych, którzy przechodzili koło mojego bungalowu dziś rano. A zwłaszcza przestać mnie brać za debilkę.

Ten rugbista zesłany na Wyspę Piękna patrzył na nią, stojąc z założonymi rękami. Oczywiście Cervone wszystko mu opowiedział. Wypadek sprzed dwudziestu siedmiu lat, powracające wspomnienia i że ta, która ocalała, traci trochę głowę.

Cervone położył rękę na ramieniu żandarma. Między nami facetami. Błyskawiczne porozumienie w przerwie meczu między spragnionym sportowcem a tym, który funduje kolejkę.

– Napije się pan na odchodnym?

Żandarm rugbysta nie odmówił.

Patrząc, jak się oddalają, Clotilde zrozumiała, że nie może liczyć na pomoc policji ani nikogo innego. Że będzie musiała sama sobie poradzić. Sama, chociaż miała pilnie zaplanować długą serię spotkań, świadków, z którymi musi się zobaczyć, których ma przepytać, skłonić do mówienia.

Ta dziwka Maria-Chjara, która jej zatrzasnęła drzwi przed nosem, jakby zobaczyła ducha.

Dziadek Cassanu, który od początku wiedział o uszkodzeniu samochodu jej rodziców.

Natale. Natale, który też miał jej do przedstawienia ducha.

Im bardziej gęstniały tajemnice wokół tej sprawy, tym bardziej Clotilde była przekonana, że rozwiązanie znajduje się w jej wspomnieniach, wspomnieniach z lata 1989 roku, ale ona zachowała tylko ich strzępki, jakieś wrażenia, przebłyski, które potem zostały przefiltrowane przez jej koszmary. Jak im ufać? Potrzebowała konkretnych wspomnień, namacalnych faktów, wiarygodnych świadków. Wiele by dała, żeby mieć swój dziennik intymny, ten, w którym wszystko zapisała tamtego lata. Ten, którego jej nigdy nie oddano.

Dlaczego?

Potrzebny jej był punkt wyjścia, koniec nici, żeby rozplątać kłębek, prawdziwy początek filmu, żeby zobaczyć resztę obrazów. I wiedziała, gdzie go znaleźć!

Clotilde znowu utkwiała wzrok w stole ze śniadaniem. Kawałek dalej w alejce stał Orsu, trzymając grabie i łopatę, i obserwował ją, tak jakby czekał, żeby sprzątnąć ze stołu. Tak jakby wiedział. Tak jakby wszystko widział, ale nie mógł nic powiedzieć.

To może poczekać. To nie Orsu jest w posiadaniu dowodów. Ani Maria-Chjara. Ani Cassanu.

Oni też czekają.

Clotilde była wściekła, że nie pomyślała o tym wcześniej. Sto metrów od

niej, dwie alejki i trzy domki kempingowe dalej, znajduje się zarchiwizowana cała pamięć kempingu Euproctes. Wszystkie fakty i czyny. Wszystkie twarze. Wszystkie spojrzenia.

Pięćdziesiąt lat historii.

Wystarczy przekonać strażnika muzeum, żeby jej otworzył te magiczne księgi.

*Sobota 19 sierpnia 1989 roku,
trzynasty dzień wakacji, niebo gorączkowo niebieskie*

No i znowu, mój niewidzialny powierniku, tym samym ołówkiem, który wciąż trzymam w ręce, piszę do ciebie, już trzeci raz dzisiaj. Gorączka wokół Sopronu opadła, jak się zdaje, szlabany żelaznej kurtyny się zamknęły, tym lepiej dla tych, którzy zostali po dobrej stronie. Palma Mama wróciła na plażę, żeby się opalać, jak tylko w telewizji przestali pokazywać obrazki z jej austro-węgierskich pagórków i zastąpili je platformą dyskusyjną geopolitologów, a ja zesłam do grotty Veaux Marins, żeby poczekać tam do zachodu słońca. Nie wyjaśniłam ci jeszcze, że *veaux marins*, morskie cielaki, to gatunek fok, foki pospolite, które są zmarzluchami, lubią, kiedy woda ma dwadzieścia pięć stopni, lubią też się opalać na skałach... Wszystkie one zostały przed laty zabite, a ja zajmuję ich pustostany, czyli skłoty! Trzeba tylko wdrapać się po kilku skałach i znaleźć tę jaskinię, w której czuć trochę siuškami, popiołem i słonymi algami, i do której morze podpływa lizać nam stopy. Z tej grotty można wszystko zobaczyć, nie będąc widzianym, jeśli nie liczyć rybaków, którzy zbierają jeżowce, langusty czy inne skorupiaki.

Ja jestem raczej jak te pierwsze.

Jak jeżowiec.

I mam ochotę rzucać słowa tak po prostu, byle jak. Nawet nie tworząc zdań, nie mam już na to siły. Zostawiam to innym, tym, co mają dużo do powiedzenia, dziennikarzom „Le Monde”, którzy opowiadają, że jakaś kurtyna się rozpada na drugim końcu świata; tym z „Corse-Matin”, którzy ciągle mówią o przedsiębiorcy budowlanym z Nicei, Drago Bianchim, którego ciało odnaleziono, w każdym razie jakieś ciało w resztkach ubrania. Dostał się podobno pod prom w zatoce koło Ajaccio.

– Coś nie tak, Clotilde?

Najpierw widzę sterczący kawałek wędki, potem u jej końca odkrywam Basilego Spinella. Szefa kempingu. Kumpla dziadka.

Ostatecznie mogę z nim porozmawiać. A potem ci opowiedzieć. Ostatecznie.

– Co ci jest, Clotilde?

– ...

– To do ciebie niepodobne, Clotilde, ta melancholia. A zwłaszcza jej

demonstrowanie.

Wypowiedział chyba jakieś magiczne zdanie. Nie wiem, dlaczego opowiadam mu o swoim życiu.

– Jestem zakochana.

– To normalne w twoim wieku, dziewczyno.

– Właśnie że nie. Nie jestem zakochana w jakimś kretynie w moim wieku.

– A ten kretyn w twoim wieku, o którym mówisz, to właściwie kto?

– ...

– Mój syn? Cervone?

– Nie tylko on!

Basile wybuchła śmiechem. Bardzo lubię ten jego śmiech mamuta, który może oderwać stalaktyty w mojej grotcie.

– Wiesz, kochanie – mówi, puszczając do mnie oko – Korsykanie mają tylko jedną wadę: kochają swoją rodzinę. To nienaruszalna, żelazna zasada...

Tu przerywa, ale dobrze widzę, czego nie ośmiela się powiedzieć.

Korsykanie kochają swoją rodzinę, to nienaruszalna, żelazna zasada.

Ale jak masz syna kretyna, to masz syna kretyna!

Basile odwraca uwagę.

– No to w kim jesteś zakochana?

Wyrywa mi się to prawie wbrew woli.

– W Natalem Angelim.

– Ach!

– Znasz go?

– Tak... Mogłaś wpaść gorzej. Natale się nie leni, jest niegłupi, niebrzydki.

No i z dobrej rodziny. Jego ojciec, Pancrace, był długo głównym szefem kliniki w Calvi, zanim się rozwiódł i uciekł, by otworzyć kolejną klinikę na Riwierze. Podobno Antoni Idrissi, twój pradziadek, podarował mu tysiąc metrów kwadratowych na Punta Rossa w zamian za wszczepienie bajpasów, dzięki którym zyskał pięć lat życia. Natale pokłócił się z ojcem w czasie rozvodu rodziców, ale tutaj rodzina to rodzina, więc zanim Pancrace wyjechał do Włoch, zostawił Punta Rossa synowi. Tutejsi ludzie biorą Natalego za łagodnie nawiedzonego z powodu jego willi Punta Rossa zbudowanej koło latarni morskiej i tych historii z delfinami. Uważają go za idealistę, trochę bajeranta. Ale jak chcesz znać moje zdanie, to myślę, że Natale ukrywa swoje zamiary, udaje marzyciela, żeby się go nie bali. Jego projekt rezerwatu dla delfinów i rejsów po morzu, z oglądaniem waleni z bliska, może się powieść. Natale jest szczery, ludzie to wyczuwają, gotowi są drogo za to płacić. Szczerość. Autentyzm. Tak, dziewczyno, twój Natale jest trochę jak poszukiwacz złota, który odkrył złotą żyłę i w dalszym ciągu pogwizduje sobie, jakby się nic nie stało, żeby nie ściągnąć wszystkich za sobą. Ale Natale jest też starym kawalerem, o wiele za starym dla ciebie, moja Clo.

Basile powiedział mi to z ujmującą miną, strasznie rozczulającą.

– Wiem... wiem. Ale właśnie takiego faceta jak on bym chciała.

– Znajdziesz go. Jeśli będziesz cierpliwa. Jeśli umiesz czekać. Nie obniżając swoich ambicji.

– Zaproponował mi rejs po morzu koło Revellaty jutro rano i oglądanie delfinów.

– No to zgódź się. Dalej! Może zresztą on cię potrzebuje.

– Mnie? Dlaczego?

– Zastanów się dobrze. Wszystko można o tobie powiedzieć, ale nie to, że jesteś idiotką. Dlaczego mógłby cię potrzebować? I na pewno też twojej mamy.

Czy Basile wie już, że coś iskrzy między Natalem a moją matką? Czy aż do tego stopnia jestem głupia? To się dzieje pod moim nosem, wszyscy to wiedzą, a ja nic nie widzę?

– Pomyśl, Clotilde. Natale ma wielki projekt. Rezerwat dla delfinów i instytut morski służący do badań nad nimi, ich ochronie, dbaniu o nie, coś w rodzaju muzeum waleni. Ekologiczny budynek włączony do środowiska morskiego. Pomyśl, jaki zawód ma twoja matka?

– Architekt...

– A do kogo należy teren pod rezerwat?

– Do mojego dziadka...

– Zgadza się, do mojego kumpla Cassanu. Dobrze znam tego starego wariata. Projekt Natalego Angelego może być całkiem niezły, ale Cassanu jest nieufny, ostrożny. Niełatwo będzie go przekonać, on nie za bardzo lubi zmiany.

Jeśli dobrze rozumiem, Natale miałby się posłużyć mną i mamą, żeby pozyskać dziadka?

Czy też Basile opowiada bzdury...

– Papé słusznie ma się na baczności, zgodzisz się ze mną, Basile? Ja, chociaż przyjeżdżam tu tylko raz na rok, mam fioła na punkcie tego zakątka, Euproctes, plaży Oscellucia, cypla Revellaty. Chciałabym, żeby wszystko było takie samo, kiedy przyjadę następnego lata, żeby nikt nie miał prawa tknąć tego przez pozostałe jedenaście miesięcy w roku. Tak jak w *Śpiącej królownie*, hop, biorę czarodziejską różdżkę i przed wyjazdem we wrześniu usypiam wszystkich, a budzę ich dopiero w lipcu.

– A jednak wszystko się zmienia, Clotilde. Ty też, zobaczysz. Zmienisz się. Szybciej niż tutejszy krajobraz.

– Niekoniecznie. Ty, Basile, się nie zmieniłeś.

Basile docenił to.

– Nie, to prawda! Ale to raczej wada niż zaleta. Może to wielka wada Korsykanów, że nie umieją się zmieniać. To mamy wspólnego z twoim dziadkiem. Szacunek, honor, tradycja. Ale jednak wszystko się pozmienia wbrew nam. Bo nie

jesteśmy wieczni, ani on, ani ja. Po mnie wszystko się zawali. – Omiótł wzrokiem całą panoramę aż do namiotów na kempingu, gdzie sterczał maszt. – I powiem ci więcej, wołałbym już tu nie być, żeby na to nie patrzeć.

Tylko że jeszcze tu był.

I już to widział.

Dróżką, która biegła nad grotą i schodziła do morza, przechodziła procesja nastolatków, spiesząc się, by zdążyć przed zachodem słońca. Na czele szła Maria-Chjara, cała w białych koronkach, za nią Hermann w charakterze cyklopa, z radiem na ramieniu wyjąłym *You're My Heart, You're My Soul* duetu Modern Talking; radio zmieniało ramię zależnie od slalomów Marii na ścieżce. Cervone i Estefan, idący z tyłu, ciągnęli niewielki wózek ze zgrzewkami piwa. Nicolas włókł się nieco za nimi. Aurélia wyłoniła się z zaledwie kilkumetrowym opóźnieniem w stosunku do mojego brata. Potem przeszli Tess, Steph, Lars, Filip, Candy, Ludo...

Stado wędrowało w kierunku plaży Alga, tak przypuszczałam.

* * *

Zamknął zeszyt i położył dłoń na zimnym kamieniu groty.

Basile słusznie zrobił, że pozwolił, aby zabrał go rak okrężnicy.

Zaraz potem rajem zawładnęli idioci.

15.00

Wszystko w porządku

Valou

Do wiadomości było dołączone zdjęcie Valentine w kasku, w uprząży wspinaczkowej, stojącej z grupą nastolatków nad wspaniałym, widowiskowym wodospadem. Clotilde nie miała powodów do obaw, kanioning był organizowany przez sprawdzonych instruktorów, a Valentine była wysportowaną dziewczyną. Nie potrafiła jednak całkowicie pozbyć się przeczucia, które ją dręczyło, które brała na karb tych nagromadzonych tajemnic, tej dziwnej i posepnej presji krążącej wokół nich. Franck, który pojechał na cały dzień nurkować koło Galerii, w jednym punkcie przynajmniej miał rację. Nie powinna tego wszystkiego roztrząsać. Powinna iść naprzód.

Szła żwirowaną dróżką, z różowymi kamykami, prowadzącą do domku A31, który uchodził za najlepiej utrzymany na kempingu. Właściciel terenu posunął zagospodarowanie działki aż do zainstalowania na dachu paneli słonecznych, zbiornika na wodę i małej turbiny wiatrowej na górze masztu, tuż obok flagi niemieckiej.

Jakob Schreiber był najstarszym rezydentem kempingu Euproctes. Pierwszy raz przyjechał tu z żoną na początku lat sześćdziesiątych, na motocyklu, każde ze swoim plecakiem. Później, w latach siedemdziesiątych, przyjechał znowu, samochodem Audi 100 z trzyosobowym kanadyjskim namiotem. Ich syn Hermann nie miał jeszcze trzech miesięcy. Przyjeżdżali potem co roku, po raz pierwszy wynajęli domek kempingowy A31 w 1977 roku, a w 81 go kupili. To były najlepsze lata, Jakob wprowadził osobiste elementy do swojej posiadłości, uprawiał ogród, zbudował werandę. Od lat dziewięćdziesiątych historia się odwróciła. Najpierw Jakob i Anke znowu spędzali wakacje we dwoje, odkąd Hermann skończył dziewiętnaście lat i zostawał w mieszkaniu w Leverkusen, bo przez dwa letnie miesiące pracował w firmie Bayer. Potem, począwszy od 2009 roku, kiedy to Anke na zawsze zamknęła oczy w Klinikum, Jakob spędzał na kempingu ponad trzy miesiące w roku. Odtąd sam.

Tak jak w każdym miasteczku żyje stary erudyta, który jest strażnikiem jego historii, tak jak w przedsiębiorstwach stary dokumentalista strzeże archiwów, tak

na kempingu żył stary turysta, który przechowywał jego obrazy.

Prawie sześćdziesiąt letnich wakacji, od 1961 roku.

Najpiękniejsze obrazy Jakob podarował szefom, wisiały w recepcji, w barze, pod pergolą; obrazy czarno-białe, zdjęcia niegdysiejszych bikini, tańca na plaży w spodniach dzwonych, wieczornych meczów Francja–Niemcy od 1962 roku do 2014, uśmiechniętych dzieci, gigantycznych biesiad przy grillu... Jakob Schreiber był zapalonym fotografem. To była jego mania i obsesja. Z czasem stał się prawie niemy świadkiem.

Jakob Schreiber zaprosił Clotilde do środka z nieco staroświecką kurtuazją. Większość ścian jego domku była pokryta najróżniejszymi rzeczami, istny groch z kapustą, a na nich wisiały setki fotografii bez żadnego widocznego ładu. W pierwszym odruchu Clotilde chciała od razu przelecieć je wzrokiem na chybił trafił, żeby znaleźć interesujące ją lata. Przez grzeczność powstrzymała się od tego.

– Panie Schreiber, chciałabym odnaleźć zdjęcia z lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

– Z tego roku, kiedy był wypadek pani rodziców i pani brata?

Jakob mówił z silnym akcentem niemieckim. Wypowiadał słowa głośno, żeby przekrzyczeć radio, niemiecką stację, która nie nadawała żadnej muzyki, tylko monotony głos spikera.

– Rozumiem, rozumiem.

I nie przestając mówić, schwycił swoją komórkę i zaczął naciskać klawisze. Trwało to ponad trzydzieści sekund, aż Clotilde zawahała się, czy nie odpowiedzieć na to jego niegrzeczne zachowanie i wstać, żeby znaleźć bezpośrednio na ścianach zdjęcia, których szukała.

– Przykro mi, pani Idrissi – powiedział Jakob, kiedy ona już miała wstać – jestem tylko emerytowanym wdowcem z maniami małego chłopca. Czy zna pani program *Kto zostanie milionerem*?

Clotilde potrząsnęła przecząco głową.

– To taka sama gra jak w telewizji, ale na użytek radia. Trzeba się zarejestrować telefonicznie, ściągnąć aplikację. Następnie prowadzący stawia pytania, trzeba odpowiedzieć w niecałe trzy sekundy, za szybko, żeby można było szukać rozwiązania w internecie... Nacisnąć A, B, C albo D. Jeśli dobrze się nacisnęło, można grać dalej. Tylko przy trzech ostatnich pytaniach nie ma żadnych podpowiedzi.

– Naprawdę wygrywa się milion, jak się na wszystko dobrze odpowie?

– Tak, na to wygląda. Wszystko finansuje reklama. Program ma wielkie powodzenie w Niemczech, setki tysięcy uczestników. Ale ja nigdy nie wyszedłem poza dziesiąte pytanie, tak jak olbrzymia większość Niemców.

– No i?

– Jestem przy dziewiątym, a do drugiego etapu przechodzi się przy

dwunastym. Ale ja mam czas, następne pytanie zostanie postawione najwcześniej za piętnaście minut. Reklama, mówię pani! A zatem chodzi o lato osiemdziesiąt dziewięć, tak?

Jakob wstał. Siedemdziesięciolatek wydawał się jeszcze dość zwały. Wszedł do drugiego pomieszczenia domku kempingowego.

– Pokój Hermanna – wyjaśnił. – W latach dziewięćdziesiątych przerobiłem go na studio fotograficzne.

Na półkach stały równiutko poustawiane dziesiątki pudełek, wszystkie z etykietkami i numerami.

Lato 61.

Lato 62...

I tak dalej aż do 2015 roku. Ostatnie lata były zarchiwizowane w kilku teczkach.

– Robię kilkaset zdjęć rocznie – wyjaśnił Jakob. – Zwłaszcza odkąd mam aparat cyfrowy. Ale nawet już przedtem każdego lata zużywałem kilkadziesiąt filmów. Poszukajmy, osiemdziesiąt dziewięć...

Wszedł na taboret, wyciągnął pudełko z archiwum i obrócił się do Clotilde.

– Gdyby pani rodzice nie zginęli w wypadku, tylko zostali zamordowani, istnieją wszelkie szanse, że głowa mordercy byłaby na jednym z tych zdjęć.

W pierwszej chwili pomyślała, że on mówi poważnie, zanim stary Niemiec uśmiechnął się do niej.

– A ja byłbym świadkiem do wyeliminowania... Ale domyślam się, że przyszła pani z powodu nostalgii. To się czasem zdarza, dawni turyści proszą mnie o stare fotografie na ślub, na urodziny.

Znowu spojrzał na telefon komórkowy. To było niemal natręctwo obsesyjno-kompulsywne, bo radio wciąż nadawało serię dżingli po niemiecku. Potem otworzył pudło.

Clotilde przez sekundę myślała, że Jakob zaraz umrze, tu, na jej oczach, że padnie na atak serca.

»

Valentine czekała na swoją kolej, by rzucić się w przepaść. Nie wyglądało to na bardzo trudne. Najpierw trzeba było zejść z liną siedem pierwszych metrów, zawisnąć na niewielkiej platformie w połowie wodospadu, potem nabrać dużo powietrza, zatkać nos i skoczyć. Basen na dole, najszerszy z naturalnych basenów w przełomie Zoïcu, był głęboki na trzy metry według instruktorów.

Nils i Clara już zeszli. Przed nią był już tylko Tahir.

Valentine nie mogła wiedzieć. Może zresztą tak było lepiej.

Valentine nie mogła wiedzieć, że karabińczyk spinający uprząż, ten, do którego przymocowana była lina mająca ją przytrzymać, mógł w każdej chwili

puścić. Że przy najmniejszym zbyt gwałtownym ruchu zabezpieczenie nie zadziała i karabińczyk puści.

Valentine obserwowała przepaść z podnieceniem, w którym nie było miejsca na żadne obawy. Tahir właśnie skoczył z platformy do wodospadu. Jego niemal zwierzęcy krzyk przeszedł w potężny wybuch śmiechu, gdy tylko wychynął na powierzchnię.

Pełnia szczęścia. Adrenalina pasowała do imienia Valentine.

Valentine nie mogła wiedzieć, że sprzęt, który jej powierzono kilka minut przed wyruszeniem, został uszkodzony.

Nadeszła jej kolej.

Jérôme, instruktor od kanioningu, położył rękę na jej nadgarstku, poprowadził ją ku przepaści, owijając linę wokół jej talii.

»

Karton był pusty.

Lato 89.

Pudło opróżnione.

Ani jednego zdjęcia, ani jednego negatywu.

– Nie... nie rozumiem – wyjąkał Jakob.

Włożył rękę do pudełka, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma tam podwójnego dna. Było to prawie komiczne. Wszedł znowu na taboret, wyciągnął sąsiednie pudła, sprawdzając, czy coś nie spadło z tyłu za nimi, ale nic nie znalazł.

Niezniechęcony, otworzył kartony stojące obok, mrucząc pod nosem różne *Scheisse* i *verdammte*. Luka w tej dokumentacji oznaczała, że całe ustatkowane życie zostało wywrócone do góry nogami, jakby teraz z kolei zawartość wszystkich tych pudełek z archiwami miała się ulotnić, jakby miał nastąpić efekt domina. Clotilde zawahała się, czy powiedzieć Jakobowi, żeby dał sobie spokój. Że przecież nie chodzi tu o jego sposób układania, że nie popełnił żadnego błędu. Że te archiwa zostały po prostu skradzione. Że przeszedł tędy jakiś duch.

Tak jak było z jej portfelem w sejfie, tak jak z tym listem od matki, tak jak ze stołem i śniadaniem.

– Nie rozumiem – powtarzał w nieskończoność Jakob.

Dżingiel w radiu wyrwał go wreszcie z jego obsesyjnego impasu: zaraz miał się znowu odezwać głos prowadzącego grę *Kto zostanie milionerem?*

Dziesiąte pytanie.

Jakob nagle znieruchomiał. Prowadzący zadał jakieś niezrozumiałe pytanie, wymawiając słowa z surrealistyczną prędkością, potem jeszcze szybciej rzucił odpowiedź:

a. Goethe, b. Mann, c. Kafka, d. Musil.

Ein, Zwei, Drei...

Z komórki Jakoba rozległ się bip!

– *Ja, Antwort b*, tylko Tomasz Mann przebywał w sanatorium w Davos, nie ma wątpliwości!

Trwał tak w radosnej euforii przez kilka chwil, zanim stojący u jego stóp karton sprowadził go do smutnej rzeczywistości.

– Może ja tracę głowę, pani Idrissi. Całe dni spędzam na porządkowaniu tych przeklętych materiałów, a kiedy ktoś mnie prosi o któryś z nich...

– Proszę się nie przejmować, panie Schreiber. Tak jak pan powiedział, to tylko nostalgia.

– Chyba zwariowałem. Ale przecież widziała pani, *Fräulein*, dbam o tę *verdammte* pamięć.

W radio prowadzący potwierdził, *Antwort b, Thomas Mann*, po czym znowu nastąpiły niekończące się reklamy.

Clotilde wstała.

Znowu zabrnęła w ślepy zaułek. Pozostało już tylko przepytac Marię-Chjarę i Cassanu. Wrócić również do sierżanta Cesareu Garcii i zadać mu pytania albo, nawet jeszcze lepiej, porozmawiać z jego córką Aurélią.

Bip.

Tym razem wiadomość przyszła na komórkę Clotilde.

Natale.

Poczuła, że się czerwieni aż po uszy i, w odruchu dziewczynki przyłapanej na rozmowie z ukochanym, wyłączyła telefon. Później. Później przeczyta jego wiadomość. Może, czemu nie, w ukryciu, w swojej grocie *Veaux Marins*?

– Powtarzam, niech się pan nie przejmuj, panie Schreiber.

Niemiec drapał się po głowie, skubiąc te nieliczne siwe włosy, które mu jeszcze zostały.

– Jeśli się pani bardzo nie spieszy, będę mógł odnaleźć to wszystko, czego pani szuka, na *My Cloud*.

– Na czym?

– *My Cloud*. To bezpieczny magazyn danych w internecie. Zajęło mi to wiele lat, ale zeskanowałem wszystkie zdjęcia od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku i zmagazynowałem je w tym wirtualnym bunkrze. Wyobraża pani sobie to? Gdyby mój *Landhaus* się spalił albo został zmieciony przez nawałnicę? Na *My Cloud* dane są zarchiwizowane na wieki, tak jak koncesja na posiadanie grobu na własność na cmentarzu. Potrzebne jest mi tylko dobre połączenie wi-fi, pendrive, a będę chyba mógł odnaleźć to wszystko dla pani.

Clotilde nie bardzo się znała na informatyce, ale wydawało jej się, że trudno by było niewidzialnemu duchowi błądzącemu po kempingu wmieszać się również w chmury, żeby wykraść z nich zbiory strzeżone przez anioły.

Odzyskiwała nadzieję.

– Muszę pójść z moim laptopem do recepcji – dodał Jakob – bo tam najłatwiej się mogę połączyć. Poproszę Cervonego, żeby mi przygotował miejsce na wieczór. Mam tutaj drukarkę, więc mogę wydrukować. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostanie pani zdjęcia jutro rano. Może być?

Clotilde omal nie rzuciła mu się na szyję.

Powstrzymała się. Radio w dalszym ciągu wyrzaskiwało głupawe dzingle. Miała nadzieję, że prowadzący zada następne pytanie, dając jej pretekst do opuszczenia emeryta.

Jak najszybciej. Żeby mogła włączyć komórkę i pobiec do groty, by odczytać wiadomość.

W radiu po raz pierwszy leciała piosenka.

– Napije się pani herbaty?

»

Jérôme ubezpieczał zejście Valentine. Owinął linę asekuracyjną wokół jej talii i luzował ją powoli krótkimi odcinkami, po dziesięć centymetrów.

Rutyna. Dziewczyna była spokojna, świetnie sobie radziła. Valentine.

Przystojna dziewczyna, kawał niezłej baby, która niczego się nie boi, nie wie, co to lęk.

Sprawdził zejście wzrokiem. Jeszcze pięć metrów i dojdzie do platformy, na której może puścić linę, by rzucić się do wodospadu, tak jak ich uczono, sztywne, wyprostowane jak świeca, żeby najpierw stopy zanurzyły się w wodzie, aby nie roztrzaskać sobie pleców czy karku przy uderzeniu.

Mała Valentine jest naprawdę ładna.

Jérôme zagapił się przez krótką chwilę. Gdyby zagapił się na dłużej, i tak by to nic nie zmieniło.

Poczuł najpierw, jak lina mięknie, jakby już nie przytrzymywała żadnego ciężaru. I w tej samej sekundzie zobaczył, że zwisa w próżni, jak długi wąż, który się wymknał.

I że ciało Valentine leci w dół.

Nie tak jak świeca. Spada zwinięte w kłębek, z głową w dół, jak kamień.

*Sobota 19 sierpnia 1989 roku,
trzynasty dzień wakacji,
niebo niebieskie jak smurf Zgrywus*

Godzina: punkt północ

Miejsce: kemping Euproctes, plaża Alga, z dala od rodziców

Porządek obrad: spisek 23 sierpnia 1989 roku

Obecni: wszyscy, których zaprosił naczelny spiskowiec

Uważaj, mój niewidzialny powierniku, to jest plan, tajny plan, więc opowiem ci wszystko, ponieważ ci ufam, ale nikt inny nie powinien się dowiedzieć!

Przysięgasz na wszystko?

No, dobrze, są wszelkie szanse na to, że przeczytasz ten dziennik jakiś czas po 23 sierpnia 1989 roku, choć nigdy nie wiadomo, może przeczytasz go po roku 2000, ale wtedy wynajdą już coś w rodzaju maszyny do cofania czasu, która ci pozwoli wrócić do 1989 roku, kilka dni przed spiskiem, i zainterweniować...

Zapewniam cię, to nie jest też żaden zabójczy plan.

Mózgiem bandy jest Nicolas. Tak, mój brat! Mały Nico, który się kryje ze swoimi zamiarami. Taki miły dla rodziców, dla dorosłych, dla dziewczyn. Ale wszelkie machinacje to on. Inspirator, pomysłodawca, wykonawca to on.

Słowem, Nicolas ma plan na wieczór w dniu świętej Róży.

Wszystko obmyślane. Skok doskonały. Czas został precyzyjnie wyliczony, jak przy próbie generalnej skoku na największe kasyno w Las Vegas.

Od godziny 19.00...

Aperitif u dziadka Cassanu i babci Lisabetty na farmie Arcanu z rodzicami, kuzynami, sąsiadami.

Między godzinami 20.00 a 21.00...

Rodzice jadą na kolację do Casa di Stella. Zostają tam na noc. Budzą się następnego ranka późno, zakochani.

Od godziny 21.00...

Prawie wszyscy Korsykanie mieszkający nad zatoką Revellaty, a zwłaszcza ci, co jedzą i piją w Arcanu, ewakuują się i pędzą na koncert muzyki polifonicznej do kościoła Santa Lucia w sercu makii. A zważywszy na wielkość kaplicy, nie powinni się spóźnić, jeśli chcą mieć miejsce siedzące, żeby słuchać A Filetta.

Po godzinie 21.00, w skrócie:

Freedom!

Freiheit!

Libertad!

Libertà!

To jedyna okazja w ciągu całych wakacji bez rodziców na karku, zapodał Nico, przybierając ton mafiosa. Nie możemy jej przepuścić. Jak tylko rodzice spuszcza nas z oczu, Nico zaplanował wypad do największego w okolicy lokalu nocnego, Camargue, przy drodze wzdłuż lasu sosnowego, za Calvi. No więc Nico programuje, rozważa, przewiduje, planuje. Pozostaje mu już tylko sformować komando, tak jak w *Mission: Impossible*, wybrać innych małolatów, którzy pojedą stłoczeni we fuego.

Biedaki, głupki, idioci.

Nie rozumieją, że tak jak we wszystkich filmach o napadzie rabunkowym, jedynym celem mózgu bandy jest wykiwać ich, bo za tajnym planem jest inny tajny plan. Celem Nicolasa nie jest zawiezenie czterech pryszczatych nastolatków do Camargue, żeby się pokręcili na parkiecie. Nico ma w nosie nocny lokal, imprezę z nurzaniem się w pianie i lambadę. Jedyne skarby, który chce skraść, jedyny diament, w którego posiadanie chce wejść tego wieczoru, to ten, który ukryty jest pod stringami Marii-Chjary.

Dwudziesty trzeci sierpnia to ma być pamiętny wieczór, przejście do czynu, wieczór pierwszej wygranej na wielkiej loterii.

On to wie.

Ona to wie.

Oni to wiedzą.

Taki jest ich tajny plan.

Tajemnica świętej Róży. Nicolas zawsze lubił robić wszystko tak jak tata.

A ja?

Dziękuję, mój przyszły czytelniku, że się o mnie niepokoisz... Jesteś jedyny.

A ja? A ja a ja a ja?

Jak zwyk...

Zadowolam się rolą niemego świadka. Jestem tą, która milczy. Która roztrząsa przez całą noc, a jutro wstaje o świcie, by podążyć za jednym bajerantem, który jej wmawia, że będzie pływała z delfinami. Świadek, który wie wszystko, ale nic nie mówi, no, wiesz, w filmie to ten nadmiernie ciekawski, którego trzeba sprzątnąć.

Piętnaście lat.

Jestem za młoda, żeby jechać z nimi, wiem, Nicolas dał mi to do zrozumienia, nie musiał nawet się specjalnie wysilać.

Wkurza mnie.

W ostateczności chciałabym, żeby przed tym wieczorem dwudziestego trzeciego, tuż przed, wpadli w ręce gliniarzy.

* * *

Zamknął zeszyt i wstał.

Nie powinien się rozpraszać. Powoli, stopniowo Clotilde zbliżała się do prawdy.

Nie mógł poprzestać na obserwowaniu, musiał działać.

Zrobić coś.

Uciszyć kogoś.

18.00

Clotilde po raz piąty próbowała dodzwonić się do szpitala.

– Odbierzcie, proszę. Odbierzcie!

Stała oparta o drzewo oliwkowe, ze łzami w oczach, plecy ją bolały, serce o mało nie pękło. Trwało to przeszło dziesięć minut, przeklinała pocztę głosową, wciskała 1, potem 2, potem #, potem *, trafiała nie tam, gdzie trzeba, wymyślała pielęgniarkę, która nie mogła nic zrobić, nic nie wiedziała, miała spróbować połączyć ją z recepcją.

Bip bip bip...

– Chcę mówić z córką, do cholery...

Telefonista kazał jej czekać i w tym momencie otrzymała drugie połączenie.

Franck. Wreszcie.

– Franck? Gdzie jesteś?

Odpowiedź męża wydała jej się bardziej pogardliwa niż odpowiedź słynnego chirurga, któremu ktoś by zwracał głowę krostką trądzikową.

– W szpitalu w Calvi! Z Valentine.

– Jak ona się czuje?

Odpowiedz, do cholery, odpowiedz mi!

– Jestem tu z Cervonem Spinellim. To on przywiózł z kempingu Valou na ostry dyżur terenowym touaregiem. Cervone próbował się do ciebie dodzwonić przez prawie godzinę, za każdym razem włączała się poczta głosowa. Cholera, Clo, dlaczego twój telefon był wyłączony? Jesteś nieodpowiedzialna! Zostawiłem ci Valentine. Gdzie byłaś?

Siedziała godzinę, rozmawiając z Jakobem Schreiberem, zapomniała, że wyłączyła telefon. Nie sposób było uwolnić się od starego Niemca, mówił tylko o sobie i o swoim synu Hermannie, o jego sukcesach, cyklop został inżynierem, pracuje w filii zdrowotnej Bayera, HealthCare AG, ożenił się ze śpiewaczką operową, jest ojcem trojga dzieci, blondynów tak jak wszystkie pokolenia Schreiberów od czasów Wilhelma II. Wyszła nawet od niego z numerem telefonu synalka. Hermann też był jednym ze świadków w lecie 89.

– Gdzie byłaś? – powtórzył Franck.

Skupić się. Nie pękać. W końcu Franck też był niedostępny. Nikt nie

wiedział, gdzie się podziewa, to Cervone musiał się zająć Valou. Clotilde zapytała ponownie, nie podnosząc głosu:

– Jak się czuje Valentine?

Franck jakby nic nie słyszał... ale jakby czytał w jej myślach.

– Na szczęście mnie Cervonemu udało się zawiadomić! W końcu dodzwonił się do kogoś w centrali klubu nurków, kto z kolei skontaktował się z instruktorem na łodzi. Wyciągnęli mnie, natychmiast odwieźli wszystkich do Galerii, piętnaście osób, które zapłaciły za możliwość nurkowania w tym zakątku. Popędziłem do niej. Kiedy Valentine spadła, Clo, ja byłem dziesięć metrów pod wodą. Ty byłaś na kempingu, a jednak to ja...

Na wszystko ma odpowiedź! Tylko nie na jedno jedyne pytanie. Tym razem głos Clotilde eksplodował.

– Do cholery, jak się czuje Valou?

– Teraz się o nią troszczysz?

Szczypta ironii w głosie Francka podziałała tak, jakby na jej serce spadła kropla kwasu siarkowego.

Ty draniu! Powiedz mi tylko, jak się czuje moja córka!

– Franck, proszę cię – powiedziała błagalnym głosem Clotilde.

Dostałeś to, co chciałeś! Usłyszałeś mój szloch. No więc, dobrze, odpowiedz mi.

– Czuje się dobrze – przyznał Franck. – Ma tylko kilka kontuzji, na łokciach i na sklepieniu stopy. Jej instruktor od kanioningu, Jérôme, nie szczędzi jej pochwał. W ciągu zaledwie kilku sekund zdołała przyjąć wyprostowaną postawę, nie panikując. Skok z dziesięciu metrów bez jednego zadrapania. Jest zdolna. Niewiele dziewcząt wyszłoby z tego tak jak ona, również niewielu chłopców. Masz nadzwyczajną córkę, wiesz. Wyjątkową. Piękną. Odważną. Z głową na karku.

Starczy już, Franck, przekaz jest wyraźny. Twoja kochana córeczka jest doskonała. Jej matka musi więc przestać się jej czepiać.

– Kiedy wracacie?

– Nie tak szybko. Doktorzy chcą jednak ją trochę zatrzymać. Trzeba też wypełnić tonę papierów. To mogła być bardzo poważna sprawa, Clo, straszliwa, dramat... Nie zdajesz sobie sprawy!

Owszem... draniu!

»

Clotilde zauważyła passata zaparkowanego przed bungalowem, kiedy wracała spod prysznic. Była prawie dwudziesta. Przyspieszyła kroku, natomiast Valentine zwolniła. Clotilde wzięła córkę w ramiona bez namysłu, bez kalkulowania. Jej twarz sięgała zaledwie do szyi tej wielkiej tyki, Valou, ale nie przeszkodziło jej to, by powtarzać: „Moja córeczko, moja biedna mała córeczko,

dzięki Bogu nic ci nie jest”.

Valentine wydawała się raczej zakłopotana.

– Cała jesteś mokra, mammo.

Clotilde w końcu odsunęła się od córki. Ręcznik, którym była owinięta, zmoczył T-shirt Adidasa Valou. Nic takiego.

– Przebiorę się.

Niecałe dwie minuty później Valentine wymieniła T-shirt na zielony top fluo, spodnie od dresu ucięte przy kostkach na spódniczkę do połowy uda; upięła włosy w zgrabnie potargany kok, umalowała usta i oczy.

– Idę do nich.

Otarła się o śmierć i najwyraźniej miała to w nosie. Śmierć była dla niej zapewne starszą panią, której trzeba grzecznie mówić dzień dobry, gdy się ją spotyka; starszą panią, której już nigdy nie zobaczy. Gdy się ma piętnaście lat, jest się nieśmiertelnym.

– Do kogo?

– Do Tahira, Nilsa, Justina. Mam ci pokazać ich legitymacje?

Clotilde nic nie odpowiedziała. Po raz kolejny trudno jej było odegnąć to przeczucie, to wrażenie niebezpieczeństwa, które wokół nich krążyło.

Franck nalał sobie pietry. Widać było, że godziny spędzone w szpitalu go wykończyły. Clotilde nie potrafiła jednak zdobyć się na prawdziwe współczucie. Wciąż nie mogła przetrwać jego aluzji rzucanych przez telefon. Przecież nie miał monopolu na lęk, serce pękało jej tak samo jak Franckowi, kiedy dowiedziała się o wypadku Valou. Tak samo się zamartwiała. Jeszcze teraz trudno jej się uspokoić, to co on sobie myśli?

Franck układał zielone, czerwone i niebieskie cukierki w Candy Crush Saga, odpowiadając beznamyślnie na pytania Clotilde, tak jak się odpowiada po całym wyczerpującym dniu pracy.

Tak, karabińczyk puścił, nie, nie wiadomo dlaczego, prawdopodobnie materiał był zużyty, ale nic wcześniej nie zauważyli podczas sprawdzania, nie, instruktor kanioningu nie wchodzi w grę, przeciwnie, on raczej zabezpieczył, tak, wszystkim naprawdę było przykro, ale to się może zdarzyć, no nie, nie miał ochoty robić skandalu, wnosić skargi czy posuwać się jeszcze dalej, tak, wszystko się dobrze skończyło i nie ma o czym mówić, koniec tematu.

Tamte słowa wciąż tłukły się jeszcze po głowie Clotilde.

Nieodpowiedzialna. Nie zdajesz sobie sprawy? Gdzie byłaś?

Tym razem rzuciwszy sztyletem, Franck zostawił ten sztylet wbity; kiedy opadły emocje, nie wypowiedział ani słowa przeprosin. Ona powstrzymała łzy. Pamiętała przeczytane gdzieś zdanie. Kobieta, która płacze w obecności swojego kochającego mężczyzny, otrzymuje od niego wszystko, co chce; kobieta, która płacze w obecności mężczyzny, który już jej nie kocha, jest stracona.

Zawahała się, po czym rzuciła.

– Mamy pewność, że to wypadek?

Franck za jednym zamachem rozrzucił niczym konfetti swoje słodczyce, które miały być ułożone po trzy. Nie zdążył całkiem odwrócić głowy, a już cała jego postawa, ton głosu i spojrzenie zmieniły się, przechodząc od znużenia do agresji.

– Co masz na myśli?

– Nic... To tylko nagromadzenie tych różnych zdarzeń, zbiegów okoliczności. Ten upadek Valou, zepsuty karabińczyk. Sześć dni temu kradzież moich papierów... Dziś rano stół ze śniadaniem.

– Przestań!

Gwałtownie położył swój telefon komórkowy na stole kempingowym, tak że aż zadrżały plastikowe nogi wbite w ziemię, wzbijając do góry drobinki kurzu.

– Przestań! Twoja córka była o włos od śmierci, Clo, zejź na ziemię i przestań bredzić, zostaw te swoje stare historie, te stare listy, tych twoich straconych i odnalezionych przyjaciół. Do diabła, Clotilde, skończ z tym cyrkiem, bo nie wytrzymam.

Kiedy wstawał, plastikowe krzesło zatańczyło.

Franck tracił nerwy. W jego przypadku to coś bardzo niecodziennego. Bo zapewne był u kresu, bo czymś bardzo niecodziennym była również myśl, że jego córka nie żyje czy też ma być sparaliżowana do końca życia.

Bo Clotilde też powinna być w takim posttraumatycznym stanie?

Niegodna matka?

Franck zgarnął swoją komórkę, wsunął ją do kieszeni i się oddalił.

– I jeszcze coś. Kiedy pójdziesz pod prysznic, nie zapomnij swojego telefonu, nie zostawiaj go na łóżku.

Cholera!

Clotilde natychmiast pomyślała o wiadomościach od Natalego. Kiedy już się dowiedziała o stanie zdrowia córki, wymieniła z nim kilka esemesów, zanim poszła do łazienki. Miała się z nim zobaczyć nazajutrz; zaprosił ducha na herbatę, to jego słowa, ducha, który chciał rozmawiać tylko o Lydii Deetz. W ich esemesach nie było nic bardzo kompromitującego, ale Franck nie był głupi, a w każdym zdaniu kryło się jakieś niedomówienie.

Clotilde również potrafiła tracić nerwy. A jeśli trzeba – gryźć.

– Zostawiłam telefon na łóżku? Włączyłeś go, zaglądałeś do niego?

– A co, masz coś do ukrycia?

Czy się ośmielił?

Franck zrobił trzy kroki w ciemność.

– W barze organizują pokera. Będzie kilku stałych bywalców, Cervone mnie zaprosił. Chyba tam pójde.

Zanim ostatecznie zniknął w mroku nocy, odwrócił się.

– Clotilde, ostatni raz cię proszę, błagam, zapomnij! Zajmij się córką. Zajmij się mężem. Zajmij się tym, co dzieje się teraz. A o całej reszcie zapomnij!

*Niedziela 20 sierpnia 1989 roku,
czternasty dzień wakacji,
niebo błękit w odcieniu morskich otchłani*

To bajerant. Wszyscy mężczyźni to bajeranci.

To oszukaństwo, bujda, chwyt i kit.

Taki plan, żeby mnie usidlić.

A „Aryon” wciąż się kołysze, Natale wciąż rozprawia, jest niezmordowany w opowiadaniu o delfinach, białych wielorybach, narwalach, morświnach, o wszystkich waleniach Morza Śródziemnego, ich środowisku naturalnym, ich inteligencji, która wcale nie jest legendą, ich zdolności uczenia się. Tłumaczy mi, jak się je znajduje; używając skomplikowanego słowa *upwelling*! To słowo oznacza, że trzeba znaleźć w oceanie zakątek, w którym jest głębokie dno i jednocześnie silny prąd morski, jeśli dobrze zrozumiałam, wypychający wodę na powierzchnię, co pozwala na podnoszenie się mas wodnych z niższych warstw, z głębokości, czyli wód głębinowych... wraz z substancjami pokarmowymi. Chociaż prądy cały czas się przemieszczają, delfiny są sprytnie i potrafią je namierzyć. Natale również! A zwłaszcza ten najważniejszy, prąd liguryjsko-prowansalski, który, tak się szczęśliwie składa, przepływa niecałe dziesięć kilometrów od Revellaty.

Kto by mógł w to wszystko uwierzyć?

W każdym razie nie ja. Znajdzie sobie panienki, które to połkną, uwierzą, że naprawdę będą nurkować pośród delfinów, takie panienki ubrane w stroje Hello Kitty, w bikini Barbie i w czapeczki w stylu Myszki Minnie. Ale mnie, mimo swojego spojrzenia pirata, mięśni dzielnego wojownika i uśmiechu łupieżcy tonących statków, nie nabierze. Powiedział mi zresztą, żebym zmieniła ubranie, niby żeby nie straszyć jego oswojonych waleni, no więc zobaczył, że ja nie jestem z tych, co zmieniają mundurek. Wciągnęłam czarne dżinsy, T-shirt ze *Szczękami* i czapkę z *Sharkiem*. Ten strój bardziej się nadaje do podrywania rekinów niż delfinów.

Przybyliśmy na sam środek jego sanktuarium. Czułam tylko bardziej wiatr na policzkach, może bardziej kołysało. Za nami latarnia morska na Revellacie była już tylko wykałaczką wbity w pływającą wyspę. Natale wyłączył silnik „Aryona” i zaczął się modlić czy coś w tym rodzaju.

Znałam tę modlitwę.
Kiedy już tu jesteś, w ciszy, zostajesz tu.
A jeśli zdecydujesz, że chcesz dla nich umrzeć,
Zostać z nimi na wieczność,
To one podpływają do ciebie i wąż swoją miłość.

Dalej recytowałam ja. Natale był pod wrażeniem.
Jeśli jest szczerą
Jeśli jest czystą
I jeśli im się podobasz

Pozwoliłam mu dokończyć.
Wtedy one zabiorą cię na zawsze[6].

To było jednak wariactwo, nie wiem, czy sobie to wyobrażasz, recytować tak słowa z *Wielkiego błękitu*, gdy wokół nic nie ma, tylko morze, wszędzie morze.

Natale zapalił papierosa. Mnie nie poczęstował. To był jakby dodatkowy znak, że dla niego jestem tylko smarkulą.

– Nie będziemy długo czekać – rzucił mi między jednym zaciągnięciem a drugim. – Znasz historię Małego Księcia? Tę z oswojaniem lisa? Pamiętasz, co było najważniejsze?

– ...

– Przychodzić codziennie o tej samej godzinie, żeby móc się przygotować. Zobaczysz, moja księżniczko, delfiny są jak lisy, kiedy się je oswoja. One też się przygotowują i zjawiają zawsze o tej samej godzinie. Zobacz...

I powoli wyciąga palec w lewo.

Nic nie widzę. To bajer. To ciągle bajer, kiedy bierze mnie za rękę i kieruje ją w obranym przez siebie kierunku.

– Tam... Nie ruszaj się...

Są tam, o Boże... Widziałam je.

Tak, tak jak ci mówię, tak jak w tej chwili, teraz, gdy ci to opowiadam, widzę to pióro i tę stronę, widziałaaaam je!

Cztery delfiny, dwa duże i dwa mniejsze, widziałam nie tylko kawałki płetw, widziałam, jak pływają i wyskakują, nurkują, znowu się wynurzają, z powrotem nurkują.

I rozplakałam się.

Przysięgam, zalałam się łzami, jak idiotka, podczas gdy Natale do nich przemawiał, rzucał im ryby. Wycierałam oczy, jakby po to, żeby to ukryć, i ukradkiem zerkałam na moje palce, które przybierały węglisty kolor mojego spływającego od łez makijażu.

– Mój Orofinie, głodny jesteś? Zostaw trochę swojej ukochanej! Twoim małym! No, Idril, łap! Galdor, Tatië, ruszcie się trochę.

Przysięgam, cztery delfiny były niecałe trzy metry od nas i wydawały te swoje piski. Nie byliśmy w żadnym marinelandzie ani żadnym kretyńskim parku, byliśmy u nich, sami na świecie, a one były tam i domagały się kolejnego wiadra mrożonych ryb.

– Chcesz się z nimi spotkać?

Popatrzyłam na niego tymi zalanymi przyczernionymi oczami, jeszcze głupsza niż kiedykolwiek.

– Mogę?

– Oczywiście, jeżeli umiesz pływać...

Jeśli umiem pływać, coś takiego!

Ściągnęłam czarne dżinsy, w których się gotowałam, T-shirt z wielkimi zębami i Natale nie mógł powstrzymać uśmiechu, zobaczywszy mnie w bikini. Uśmiechu, który nie miał w sobie nic perwersyjnego, był raczej jak uśmiech tatusia, który odkrywa, że jego córeczka włożyła piżamę na strój księżniczki.

Nie czekałam, aż zdąży przyjrzeć się niebieskim refleksom indygo mojego kostiumu, szafirowym dżetom i kwiatkom ozdobionym perłami.

Zanurkowałam.

Nawet ich dotknęłam. Zwłaszcza małych, Galdora i Tatië.

Nie wierzysz mi? Nie szkodzi, przeżyłam to! Przejechałam ręką po ich płetwach, dłonią po ich gładkiej skórze, próbując wyczuć drobne deformacje, nieregularności, patrzyłam pod wodę, kiedy, ruszając ogonem, uciekały na głębokość dziesięciu metrów, widziałam, jak podpływają w górę dwoma falistymi ruchami, otarłam się o nie, kiedy wyskakiwały i rozbryzgiwały dokoła wodę. To nawet nie marzenie, mój przyszły czytelniku, to coś więcej... Więcej niż wszystko, co można przeżyć.

Pływałam z delfinami!

– Chodź – powiedział mi Natale, włączając silnik – muszę ci coś pokazać.

* * *

Słońce właśnie zaszło za bungalowami w alei C.

Zamknął zeszyt i przyjrzał się fotografii z lata 61 wiszącej nad barem. Najwyższy czas z tym skończyć. Uciszyć definitywnie przeszłość; ułożyć z wszystkich jej śladów stos, spalić ją, rozrzucić jej popioły.

Tak jakby nigdy nie istniała.

6 Dialogi z filmu *Wielki błękit* w reżyserii Luca Bessona (© 1988, Gaumont).

20.00

– Piwo dla pana, Herr Schreiber.

Marco, młody kelner w barze na kempingu Euproctes upewnił się, czy butelka jest chłodna, zanim podał bitburgera Jakobowi. Szef zamawiał każdego lata osiem zgrzewek tego piwa jedynie na użytek najstarszego klienta kempingu, coś w rodzaju cesarskiego przywileju sięgającego do czasów Bismarcka.

– *Danke*.

Niemiec nawet nie oderwał oczu od komputera. Schreiber był dokładnie takim rodzajem klienta, jakiego Marco nie znosił. Klienta, który uważa, że jest interesujący. Który się uśmiecha z pogardliwą miną, który tłumaczy dlaczego i jak, a zwłaszcza że dawniej było lepiej, dawni kelnerzy, dawne espresso, dawne motocykle, dawne Morze Śródziemne... Tylko jednej rzeczy nie można było zarzucić Jakobowi Schreiberowi: w wieku ponad siedemdziesięciu lat zachowywał energię i ciekawość młodzieńca, przekonując o wyższości kul do gry ze stali węglowej nad kulami ze stali nierdzewnej, o wyższości fotografii tradycyjnej nad fotografią cyfrową, piwa warzonego ręcznie nad przemysłowym.

Jego dni na kempingu były zorganizowane ściśle z rygorystyczną dyscypliną jak w piłkarskim ustawieniu taktycznym 4-4-2. Partia petanki rano, dziesięć do dwudziestu zdjęć po południu i trzydzieści trzy centylitry piwa wieczorem. Niezmienna higiena życia.

Można było pomyśleć, że spędzi tu jeszcze ze dwadzieścia letnich wakacji, wkurzając wszystkich.

Nie był z tych, co by uczestniczyli w partii pokera rozgrywanej przez turystów w sąsiednim pomieszczeniu.

Tego wieczoru jednak Jakob denerwował się, siedząc przed ekranem. W jego wieku niespodzianki były niewskazane. *67% elementów skopiowanych*, wskazywał szary pasek pobierania, który zabarwiał się powoli na błyszczącą zieleń. Pliki migwały błyskawicznie w jego komputerze, jak w nowych serialach kryminalnych, w których przelatuje tyle samo obrazów w czołówce, ile w całym odcinku Derricka. Według Jakoba to nie szło jeszcze wystarczająco szybko. Wyliczył, że musi przenieść z My Cloud jakieś osiemset zdjęć, wszystkie z lata 89, przechowywane w rozdzielczości 300 dpi. Jego stary laptop męczył się albo też

połączenie wi-fi w barze na kempingu pozostawiało wiele do życzenia.

Ładowanie... zostało 11 minut, pokazywał ekran, ale ta informacja przypominała kłamliwą reklamę, przewidywany czas oczekiwania w kolejce albo w korku na jałowym biegu. Natomiast sekundnik zegarka Jakoba zasuwiał w kółko, nie zwalniając, po tarczy.

Godz. 21.12

Następne pytanie w *Kto zostanie milionerem w swoim salonie?*, ostatnie tego dnia, będzie zadane za niecałe pół godziny.

Kopiowanie... 73% elementów skopiowanych.

Czekał, rozdrażniony, z głową zadartą w stronę pięciu wielkich plakatów, które zdobiły ściany w barze, sześć zdjęć, które podarował Cervonemu Spinellowi, a kiedyś jego ojcu Basilemu, nie żądając w zamian nic innego, jak tylko podania sobie piwa, precelków i kiełbasek Knacker importowanych prosto z Nadrenii.

Lato 1961, 71, 81, 91, 2001.

Jakob podziwiał z nieskrywaną dumą te pięć zdjęć, które przedstawiały synoptyczną wizję upływającego czasu, od pierwszych namiotów kanadyjskich po namioty samorozkładające się, od śpiworów na plaży po materace samopompujące, od ognisk po samopieczące grille. W najmniej oczekiwanym momencie ściąganie plików nagle przyspieszyło, z 76 procent zrobiło się 100 procent, zanim zdążył skończyć swojego bitburgera.

Scheisse!

Wypił jednym haustem, zgarnął w jedną rękę garść precelków, laptopa pod pachę, w drugą rękę etui z kulami, jako że nigdy się nie rozstawał z tymi swoimi półtwardymi bulami ze stali węglowej Prestige Carbone 125, które według niego warte były tyle co złoto tej samej wagi. Złośliwi twierdzili, że *Herr Schreiber* sypiał ze swoimi kulami do gry pod materacem, niczym księżniczka na ziarnku grochu.

Zbliżała się noc. Świerszcze ukryte w drzewach oliwnych ogłaszały koniec dnia niczym tysiąc muezzinów siedzących w tyłach minaretach. W tym hałasie, w półmroku Jakob Schreiber nie zwrócił uwagi na odgłos kroków za sobą. Szedł szybko i zdecydowanie.

Jego stopy w chroniących je miękkich skarpetkach i jego skarpetki w solidnych skórzanych sandałach same byłyby zdolne odnaleźć bungalow. Zresztą zrobiły to już raz, w dniu 8 lipca 1990 roku, kiedy Jakob za jednym zamachem opróżnił osiem paków bitburgera razem z turystami wszelkich możliwych narodowości, w wieczór zwycięstwa Niemiec na mistrzostwach świata w piłce nożnej. Hermann i Anke wtedy jeszcze tam byli. Resztę lata spędzili na picciu piety z beczki i przysięgli sobie, że już nigdy nie pozwolą sobie na taką rozrzutność. Dwa lata temu, już samotnie w swoim domku kempingowym, Jakob uczestniczył w kolejnym zwycięstwie swojego kraju. Tym razem nie zdjął kapsla nawet z jednej

butelki, żeby uczcić gola Maria Götzego strzelonego w dogrywce.

Hermann i Anke już nie było.

Gdy tylko Jakob otworzył drzwi swojego domku kempingowego, położył bule pod stołem i włączył tranzystor. Miał trochę czasu, żeby się przygotować, radio nadawało jeszcze reklamy, dwunaste pytanie nie padnie wcześniej niż za dziewięć minut. Usiadł przy stole w salonie i włączył laptopa. Kliknął machinalnie w plik *Lato 89*, myśląc o pytaniach nr 9, 10 i 11; odpowiedział na nie z łatwością, która jego samego zadziwiła. Bo przecież w ciągu siedmiu lat, odkąd słuchał tego programu, nigdy nie przekroczył dziesiątego pytania... Może mała Clotilde Idrissi przynosi mu szczęście? Po dziesiątym pytaniu wygrał encyklopedię Brockhaus w dwudziestu czterech tomach, którą miał już w trzech egzemplarzach, czyli siedemdziesiąt dwie grube książki do umieszczenia w domu, i myślał poważnie o przywiezieniu jednej z nich tutaj, do swojego letniego domu o powierzchni dwudziestu ośmiu metrów kwadratowych.

Dwunaste pytanie rozpoczynało trzeci etap, do którego przystępował mniej niż jeden gracz na milion według danych statystycznych udostępnionych przez stronę internetową. W tym etapie wygrywano nie pieniądze, lecz wstęp dla VIP-ów do Pinakoteki, monumentalnego zespołu monachijskich muzeów, wraz ze zwiedzaniem części niedostępnych dla publiczności, uczestnictwem w warsztatach konserwacji, a przede wszystkim na odchodnym zostawiało się swoje popiersie ulepione przez rzeźbiarza, które miało być wystawione w specjalnej sali. Do tej pory tylko siedemnastu łebskich Niemców przeszło tym sposobem do potomności.

Jakobowi brakowało jednego pytania, by zostać osiemnastym...

Przeglądał bezmyślnie fotografie z lata 89. Wspomnienia twarzy pozostały zadziwiająco wyraźne. Z łatwością rozpoznał małą Clotilde, Nicolasa Idrissiego, Marię-Chjarę Giordano, Aurélię Garcję, Cervonego Spinella, trochę gorzej tych, którzy przyjechali tylko na jedno lato, ale przypomniał sobie kilka imion, Estefan, Magnus, Filip. Przejrzał pospiesznie fotografie, na których widniały krajobrazy, dorośli, scenki z życia, i skupił się jedynie na zdjęciach małolatów.

Niepokoilo go to, że skradziono mu zdjęcia, bo nie ulegało wątpliwości, że je skradziono. Jest na pewno jakiś związek między tą kradzieżą a przyjazdem na wyspę Clotilde Idrissi, ale nie rozumie jaki. Nie wszystko naraz, zreflektował się, musi się skupić na konkursie, zdjęciami zajmie się potem.

Skupić się bardziej niż kiedykolwiek.

Za bardzo, żeby usłyszeć chrzęst żwiru przed swoim domkiem.

Prowadzący grę w radiu zapowiedział, że za niecałą minutę zada słynne dwunaste pytanie. Podczas gdy prawa ręka Jakoba trzymała mocno telefon komórkowy, jego lewa dłoń lekko zadrżała i, jakby po to, by przewyciężyć strach, zacisnęła się na myszy, żeby dalej przesuwając zdjęcia.

Ukazywało się lato 89. Plaża Alga o zachodzie słońca, grota Veaux Marins o świcie, gra w bule, tańczący nastolatki, recepcja na kempingu, parking.

Noch 30 Sekunden, uprzedził tranzystor.

Jakob zmarszczył czoło, coś go zaintrygowało na zdjęciu.

Nie usłyszał, jak drzwi bungalowu powoli się uchylały.

Noch 15 Sekunden

Jakob jak zahipnotyzowany wpatrywał się w kilka samochodów zaparkowanych na kempingu Euproctes, wśród których stało wyraźnie rozpoznawalne czerwone Fuego Idrissich. To, które za niecałą dobę miało się rozbić na skałach Petry Cody. 23 sierpnia 1989, głosił podpis pod zdjęciem, ale to nie samochód intrygował starego Niemca, to chłopak, który się weń wpatrywał, spojrzeniem kogoś, kto...

Noch 5 Sekunden

...spojrzeniem kogoś, kto wie z góry, co się wydarzy.

Noch eine Sekunde

Jakob zamknął oczy, uniósł lekko kciuk, żeby skupić się jedynie na pytaniu, które prowadzący wyrzucił z siebie jak karabin maszynowy MG 08. Trzy sekundy na odpowiedź.

Antwort a. Mönchengladbach, b. Kaiserslautern, c. Hamburg, d. Köln.

Ein

Jakob znał odpowiedź!

Zwei

Nie miał wątpliwości, choć z natury był ostrożny. Jak we śnie zobaczył swój palec dotykający ekranu na właściwej odpowiedzi, dziennikarzy, którzy go obiegają, swoje nazwisko rozciągające się na trzy kolumny w lokalnej gazecie.

Swoją głowę z brązu wystawioną w długiej alei w Neue Pinakothek.

Drei

To był przedostatni obraz, jaki wytworzył jego mózg.

Jakob nigdy nie przejdzie do trzeciego etapu.

Jego kciuk zatrzymał się kilka milimetrów od ekranu dotykowego, dokładnie w chwili, gdy etui z bulami Prestige Carbone 125 Demi-dure walnęło w jego prawą skroń. Jakob osunął się na podłogę, a wraz z nim stół, laptop i telefon.

Leżał z roztrzaskaną głową w wąskim korytarzyku bungalowu A31, we krwi.

Oczy Niemca, zanim się zamknęły, zalane szkarłatnym płynem tryskającym ze źródła na jego czole, utkwione były w ostatni obraz wyświetlający się na laptopie, który upadł obok niego, kilka centymetrów od jego twarzy.

Wciąż to samo zdjęcie z samochodem Fuego stojącym na parkingu i chłopakiem, który obserwował pojazd, tak jakby wiedział, że jego układ kierowniczy nawali. Chłopakiem, którego znał, którego spotkał jeszcze tego wieczoru, który uściśnął mu dłoń, który zapytał go nawet, dlaczego o tak późnej

porze potrzebne mu wi-fi.

Cervone Spinello.

»

Wahał się przez długie minuty, zbyt długie minuty.

Pozbyć się zdjęć będzie dziecinnie łatwo, wystarczy je usunąć, wyjść z laptopem, wrzucić go do pierwszego lepszego pojemnika na śmieci, nie zostanie żaden ślad, żaden dowód. Pozbyć się kul do gry nie będzie rzeczą bardziej skomplikowaną. Nigdy nie znajdą narzędzia zbrodni.

Ale pozbyć się ciała starego Niemca?

Pod osłoną nocy? Kiedy wokół jest pusto?

Za późno, już za późno.

Na zewnątrz aleją A szła głośnie grupa, zapewne pokerzyści od jednego stolika, którzy skończyli partię i rozprawiali jeszcze o blefowaniu, szczęściarzach i desperackich zagrywkach *all-in*. Zaraz będą szli następni, wszystkie stoły się opróżnią.

Musi wymyślić coś innego. Teraz, kiedy wszystko już jest załatwione, potrzebny mu spokój.

Starł krew z rąk, z kul do gry, wytarł szkarłatne plamy z podłogi, wyszedł z domku kempingowego, oddalił się, poszukał samotnie stojącej latarni, zanim znowu otworzył dziennik.

Czerwień, wszystko było czerwone.

Z wyjątkiem tego zeszytu, tych niebieskich, głęboko niebieskich słów.

* * *

*Niedziela 20 sierpnia 1989 roku,
czternasty dzień wakacji, niebo jak delfinidyna*

Delfinidyna, mój przyszły czytelniku, to uczona nazwa niebieskiego barwnika kwiatów. Niesamowite, co? Tego barwnika brakuje różom. Dlatego żadna prawdziwa róża nigdy nie będzie niebieska!

Nie jestem różą.

Suszę się na skałach plaży Oscelluccia. Nie ubrałam się jeszcze. Tym razem Natale może sobie podglądać do woli mój kostium kąpielowy naiwnej najady, bez trupiej czaszki, bez szkieletu, bez odrobiny czerni, same odcienie niebieskiego.

„Aryon” stoi przy brzegu, przywiązany do metalowego pierścienia wbitego w skałę. Plaża Oscelluccia nie jest żadnym sekretnym miejscem, do którego można się dostać tylko od strony morza, nie, można też wąską ścieżką, która prawie bezpośrednio prowadzi na kemping Euproctes, stromym zboczem, zbyt stromym, żeby schodzić po nim w plażowych klapkach i z parasolem, toteż ten zakątek jest mniej uczęszczany niż plaża Alga.

No i właśnie jesteśmy sami.

Natale Angeli wciąż mówi, bajeruje. Tylko że tym razem go słucham.

– Widzisz, Clotilde, tutaj byłoby idealne miejsce na mój rezerwat. Na początek wystarczyłoby zorganizować przystań, kilka lin cumowniczych, kasę i może barek z przekąskami. Wzorowałbym się na zatoce Tamarin na wyspie Mauritius, słyszałaś może o niej?

Potrząsam głową. Zamykam oczy. Może mi opowiadać, co chce...

– To zatoka, w której zamieszkały dziesiątki delfinów. Codziennie rano organizowane są rejsy po morzu, świetnie im to idzie, zmuszeni są nawet ograniczać liczbę statków. Działa to już na skałę przemysłową, ale tutaj nie tak będziemy postępować. Ograniczymy safari. Zrobimy licytację, to będzie przywilej,

będzie mnóstwo zawiedzionych, a tylko kilku wybrańców. No i jeśli to się uda, jeśli pieniądze będą wpływać, to rozszerzymy działalność. Solidny budynek, basen z wodą morską, ośrodek leczniczy, mała ekipa badawcza...

W tym momencie czuję, że odwraca się do mnie, podchodzi, rzucając na mnie chłodny cień.

– Porozmawiałabyś o tym ze swoim dziadkiem? Zrobiłabyś to dla mnie?

Otwieram oczy. To znaczy Natale mi je otwiera.

Stoi tu, w samych bokserkach, piękny jak nieuchwytny pirat z tą swoją opalenizną, w bandanie na ogolonej głowie, z bosymi stopami, które zostawiają ślady w piasku. Cholera, ten facet, który mnie prosi o przysługę, potrafi rozmawiać z delfinami! Wyszedł prosto z powieści, z filmu, i wziął mnie za rękę, i wprowadził do środka.

– Oczywiście... Dlaczego dziadek miałby odmówić?

– Bo nie obchodzą go ani walenie, ani turyści, ani ja. Ale jeśli jego zakochana w delfinach wnuczka go poprosi...

W tym momencie myślę, że powinnam zacząć stroić miny, negocjować, postawić warunki, ale nie jestem do tego zdolna, więc mu tylko przyklaskuję.

– Wszystko, co zechcesz! Gdzie byś zrobił to swoje muzeum?

Natale, znowu niezmordowany, zaczyna gadać jak najęty, używa słów, z których nic nie rozumiem, cytuje normy ochrony środowiska, jakieś ISO[7], różne materiały, systemy recyklingu, zaczyna nawet mówić o budżecie, okropnie to wszystko techniczne, więc się wyłączam, do chwili kiedy wtrąca słowo, od którego cała podskakuję pośród jego wywodów na temat planu amortyzacji za tysiące franków. *Mama.*

Chyba po raz pierwszy zwracam się do niego per ty.

– Mówiłeś o tym mamie?

– Oczywiście. Twoja mama jest architektem, specjalistką od budynków ekologicznych. Ma prawdziwy zmysł praktyczny. Według niej można osiągnąć samowystarczalność energetyczną, po prostu ustawiając tu i ówdzie panele słoneczne...

Wyciąga palec w stronę bardziej płaskich skał.

Nie wierzę!

– Przyprowadziłeś ją tutaj?

Świetnie naśladuje granika wielkiego, czyli ten gatunek ryby, który ma bardzo okrągłe oczy.

– Tak. Twoja matka jest kompetentna, wręcz wybitna. Gdyby mój projekt miał zostać zrealizowany, myślę, że ona byłaby najbardziej odpowiednią osobą, żeby go opracować...

Przerywam mu.

– Skoro mama jest taka mocna, dlaczego nie poprosisz jej, żeby

porozmawiała o tym z dziadkiem?

Siada obok mnie, niczym Robinson Crusoe. Uwielbiam ten jego luz, sposób, w jaki się kuli, widzę w tym mieszaninę siły i dziecięcej niewinności, pewnego siebie mężczyznę, a jednak w każdym gości wciąż jeszcze małego chłopczyka.

Jeden taki jest na świecie i ja go znalazłam. Tylko że urodziłam się dziesięć lat za późno.

– Twoja mama, powiedzmy, nie jest uwielbianą synową... Jak by ci to wytłumaczyć? Fakt, że nie jest Korsykanką, to już jakiś rodzaj kalectwa. Które można przezwyciężyć, zgoda. Ale na domiar złego zaciągnęła twojego tatę na kontynent i to nie do Aix czy Marsylii, lecz na daleką północ za Paryżem. Zdaniem tutejszych Idrissich właściwie ukradła im twojego tatę.

– Ja też mieszkam na północ od Paryża.

– Tak, ale ty masz trochę korsykańskiej krwi. Jesteś w prostej linii jedną z Idrissich! Może nawet kiedyś odziedziczysz to wszystko, osiemdziesiąt hektarów. Może to wystarczy, żeby przekonać twojego dziadka...

Jeśli mam być całkiem szczerą, jeżeli jeszcze nie zrozumiałeś, właśnie zakochiwałam się na dobre. Poznawałam to uczucie, które każe dać wszystko jednemu mężczyźnie, wszystko dla niego poświęcić, wszystkie swoje wartości, cały honor, wszystkie ważne przysięgi złożone przez wolną kobietę samej sobie. Zaczynałam właśnie pojmować to wszystko hurtem, a jednocześnie, jakby w instynktownym kobiecym odruchu zgodnie z teorią Darwina, oparłam się temu twardo, jakby przez wszystkie te tysiąclecia przetrwały tylko kobiety najbardziej nieufne, a te impulsywne, naiwne i spontaniczne wyginęły, i jakby ostrożność stała się u końca łańcucha ewolucji niemal ich drugą naturą zapewniającą przeżycie.

– Dlaczego miałabym ci pomóc, Natale? Uwielbiasz moją matkę. Jestem pewna, że pokazałeś jej ten numer z delfinami, że wzięłeś ją w rejs, po drodze było kołysanie, nurkowanie z dala od brzegu, zanim ją odwozłeś na tę plażę. Dlaczego ja miałabym ci pomóc, skoro ją wolisz, a mnie masz właściwie w nosie?

Natale utkwiał we mnie spojrzenie, które rejestrowałam, nie umiając go rozszyfrować, chociaż wiedziałam już, że chciałabym, aby przez całe życie jakiś mężczyzna rzucał mi właśnie takie. Spojrzenie zdziwione, zaintrygowane, niespokojne, a zarazem zafascynowane. Spojrzenie pokerzysty, który się zastanawia, jak zagra partner, i który wciąż podbija stawkę, żeby zobaczyć...

W końcu poszedł na całość.

– Clotilde, zagrajmy w otwarte karty, ty masz piętnaście lat. No, tak, prawda, jesteś bardziej dojrzała niż inne dziewczynki w twoim wieku, jesteś oryginalna, zbuntowana, pełna fantazji, takie właśnie lubię, podobają mi się dziewczyny dokładnie z takim charakterem; ale masz piętnaście lat. A więc moja propozycja jest taka, żebyś była moją współniczką. Zgoda? Żebyśmy zostali dobrymi współpracownikami, odpowiada ci to? Żebyśmy dzielili to wspólne marzenie, tylko

tyle, nic więcej. Ratować delfiny, ratować ziemię, ratować wszechświat; mogę ci powiedzieć, że niewiele jest dziewczyn, którym to kiedykolwiek proponowałem.

I wyciąga do mnie rękę jak wychowawca na kolonii, który właśnie wygrał w dwa ognie, więc przybijam mu piątkę.

A marzy mi się, żeby zostawił swoją dłoń w mojej.

Żeby przyłożył swoje usta do moich.

Żeby przywarł do mnie całym ciałem.

– Jesteśmy z tej samej gliny, prawda, Clotilde? Poławiacze marzeń przeciw reszcie świata.

Sprowadził tu mamę.

Może ją pocałował.

Może ją rozebrał, może się kochali.

Może pożąda ciała mamy, bo który mężczyzna mógłby jej nie pożądać, ale to o mnie myślał, kiedy ją pieścił, kiedy szeptał jej do ucha, że ją uwielbia, kiedy w nią wchodził.

To mnie kochał, chociaż moralność mu tego zabraniała.

– Chcę mieć umowę, Natale. Umowę, która cię zwiąże na trzydzieści lat. Chcę trzydzieści procent zysków z twojego przedsięwzięcia, łódź w przyszłości na moje nazwisko, gabinet, cały oszklony, z widokiem na morze, parę delfinów tylko dla siebie, chcę też móc się ubierać tak, jak chcę, a jeśli mi to wszystko zapewnisz, to pójdę do dziadka Cassanu, wskoczę mu na kolana, żeby wynegocjować z nim twój szalony pomysł.

Wybuchnął śmiechem.

– I to już będzie wszystko?

– Tak... Plus całus w policzek.

7 ISO – Międzynarodowa Organizacja Normalizacyjna (przyp. tłum.).

8.00

Na morzu unosiły się puste butelki, mokre konfetti, podarte serpentyny, niczym marzenia porzucone pod koniec nocy przez wyczerpanych tancerzy, przez zdołowanych imprezowiczów, a które rankiem fale wyrzucały na brzeg. Rozmokłe, wyblakłe.

Bardzo wczesnym rankiem.

„Aryon” kołysał się pośród odpadków. Natale, zamyślony, wydawał się tym nie przejmować, tak jakby już bardzo dawno porzucił wszelką nadzieję, że morze wypłuje mu butelkę wrzuconą do niego przed laty.

Clotilde była spóźniona. Zatrzymała się jednak na chwilę tuż przed zejściem na plażę Oscelluccia. Kilka sekund, żeby cofnąć czas. To był ten sam piasek co dwadzieścia siedem lat temu, te same kamienie, ta sama piana, te same bryzgi, ta sama morska mgiełka zmieszana z ostrymi i słonymi zapachami kwiatów rosnących w zagłębieniach skalnych. Nic się nie zmieniło, jeśli nie patrzyło się w stronę słomianego Tropi-Kalliste albo placu budowy mariny Roc e Mare. Znowu coś chybotą jej sercem, coś nim kołysało, tak jak ta łódź poruszana martwą falą.

Mój Boże, jaki ten Natale ładny.

Wystarczyło, że był tu, drań jeden, że siedział sobie i obserwował horyzont swoimi niebieskimi jak laguna oczami, swoim spojrzeniem, które mogło rozsądzić wszystkie przybrzeżne rafy koralowe świata i uwolnić rogatnice i ryby-klauny, błazenki mające za zadanie ubarwiać i rozweselać oceany.

Natale miał na sobie łososiową bluzę z kapturem. Trochę za duże dzinsy. Skórzane sandały. Clotilde domyślała się, że chyba często zastygłał tak niczym posąg, zatrzymywał się; że zachował ze swoich płonnych, niespełnionych marzeń magiczną moc, moc przemieniania w myślach rzeczywistości, na kilka ulotnych sekund, w coś piękniejszego. Że nauczył się tym zadowalać. Przemieniać dział rybny Super U w Lumio w nieskażone cywilizacją morskie sanktuarium. Przejazd zatłoczoną samochodami aleją Napoleona w Ajaccio w samotny rejs przez Atlantyck. Pospieszny uścisk w ciemności z kobietą, która każdej nocy zasypia u jego boku, w rozgwieżdżoną miłosną noc z jedną z dawnych przelotnych znajomości. Jedną z zabranych kiedyś na pokład pasażerek „Aryona”.

Przystojny. Mocny. Kruchy.

– Natale?

Włożyła liliową sukienkę, która powiewała na jej udach, niosła swoje sandały, które kołysały się w powietrzu, stąpając boso po zimnym jeszcze, prawie mokrym piasku.

Odwrócił się. Utkwił wzrok w jej oczach.

Przystojny. Mocny. Kruchy.

Niebezpieczny.

Nic bardziej niebezpiecznego niż mężczyźni ze spojrzeniem jak laguna, pomyślała Clotilde. Rozsadzić przybrzeżną rafę koralową oznaczało też wypuścić wszystkie morskie potwory do strefy ochronnej, tej, w której rodziny mogą bezpiecznie się taplać w wodzie.

Podeszli do siebie, nie przekraczając ostatniego metra, który ich dzielił.

– Igrałaś z ogniem, umawiając się ze mną na spotkanie tutaj – powiedział Natale. – Obiecałem sobie, że nigdy więcej nie postawię nogi na tej plaży.

– Obiecałeś też dużo innych rzeczy...

Nie odpowiedział. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po „Aryonie”, ciągle przycumowanym do skał.

– Miałaś też szczęście. Dzisiaj mam wolne, dopiero jutro rano idę do pracy.

Clotilde przygryzła wargi.

– Ja nie. Mój mąż poszedł biegać, pół godziny, najwyżej godzinę, aż do Notre-Dame de la Serra. Muszę wrócić na kemping mniej więcej w tym samym czasie co on. To... to skomplikowane. Powiedziałam mu, że zgubiłam tu kolczyk. Duże posrebrzane kółko. To zresztą nie tylko pretekst, naprawdę go zgubiłam tamtej nocy podczas koncertu.

Wszystkie maleńkie zmarszczki na twarzy Natalego zaczęły się poruszać jednocześnie, harmonijnie, tak jakby przez wszystkie te lata ćwiczyły choreografię służącą jedynie do tego, by jego uśmiech stał się czarujący i uwodzicielski.

– Pomogę ci go szukać, dobrze?

Wziął ją za rękę. Ten gest miał w sobie coś naturalnego. Ruszyli powoli, ze spuszczonej oczami.

– Pamiętasz?

– Oczywiście. Myślisz, że często sprowadzałem dziewczyny do swojego sanktuarium?

Och, tak, mój piękny łowco syren, wtedy chyba sobie nie odmawiałeś!

Wpatrywała się w morze.

– Są jeszcze delfiny?

Natale nie spuszczał oczu z piasku. Nie odpowiedział. Clotilde mówiła dalej. Później już nic nie powie, obiecuje. Pozwoli mówić jemu. Pozwoli mu tłumaczyć. I będzie tylko słuchać, tak jak dawniej.

– Galdor i Tatië powinny jeszcze żyć – powiedziała. – Orofin i Idril również,

podobno delfiny żyją przeszło pięćdziesiąt lat. I podobno mają pamięć jak słonie! Silniejsze są nawet niż gruboskóre, mają najpojemniejszą ze wszystkich ssaków pamięć miłosną. Czytałam, że potrafią rozpoznać partnerkę tylko po głosie po ponad dwudziestu latach od rozstania się z nią. Znasz jakiegoś mężczyznę, który byłby do tego zdolny?

Oczy wbite w piasek. Wciąż.

Po co mówiła o tym cholernym kolczyku?

Popatrzyła uważnie na zamkniętą słomianą chatę Tropi-Kalliste na wprost nich, piętrzące się śmieci, szarą przyczepę zamkniętą na kłódkę. Plakaty informowały, że Maria-Chjara odbywa teraz tournée na zachodzie wyspy, wczoraj wieczorem była w Sartène, dziś wieczór w Propriano, ale za dwa dni wraca do Calvi.

Jeszcze mocniej ścisnęła rękę Natalego, jakby uprzedzając go przed tym, co miała powiedzieć.

– Cóż to za szaleństwo? Ten wstrętny lokal nocny? Te ohydne baraki? Przecież twój pomost, twój rezerwat, twoje muzeum waleni miały być tutaj. Powiedz, wytłumacz mi, Natale. Wytłumacz mi, dlaczego wygrał Cervone Spinello. Wygrał z twoim projektem.

Wokół fruwały podarte torby plastikowe, turlały się butelki i puszki po piwie, trzeba by wielu godzin, żeby ekipa od terenów zielonych to wszystko oczyściła, a dwa dni później i tak wszystko zacznie się od nowa. Jak jej dziadek Cassanu mógł się zgodzić na to świętokradztwo? To nie do pomyślenia, że wolał zezwolić, by kwitł tu ten interes zamieniający plażę w śmietnisko niż na urządzenie rezerwatu delfinów Angelego.

– To stara historia, Clotilde. To już przeszłość. Proszę cię.

OK, OK, nie dociskać go.

– Przeprowadziłeś tu też moją matkę.

Zwariowałaś! Clotilde natychmiast tego pożałowała. To ma się nazywać niedociskanie go!

Tym razem jednak Natale zareagował. Jego stopy przeszukiwały plażę, tak jakby wciąż miał nadzieję, że znajdzie kolczyk.

– Tak... A ty byłaś gotowa wyciągnąć pazury, kły i kolce, niczym jeż, szalejąc z zazdrości o matkę.

– Miałam o co być zazdrosna, no nie?

– Nie!

Przystanęli, obrócili się, znaleźli się na wprost „Aryona”.

– Miałam piętnaście lat, Natale, ale nie byłam zupełną idiotką. Patrzyłeś na moją matkę spojrzeniem, które... jakby... które ją rozbierało! I ona też patrzyła na ciebie z tym samym pożądaniem, nigdy przedtem nie widziałam jej patrzącej tak na innego mężczyznę... nawet na tatę.

Kciuk Natalego delikatnie pieścił jej dłoń. Tak jak trzepotanie skrzydeł motyla sprowadzającego tsunami na drugi koniec świata, te nieznaczne tarcia na jej skórze wywoływały rykoszety doznań sięgające aż do trzewi.

Tsunamiłość? Czy coś takiego istnieje?

– Zgoda, Clotilde – powiedział Natale, podnosząc gwałtownie głos. – Zdejmijmy maski. Pewnie są one od dawna tak samo zniszczone, jak pomarszczone są nasze twarze. Wtedy, w lecie osiemdziesiątego dziewiątego roku, miałem dwadzieścia pięć lat, twoja matka miała czterdzieści. Mieliśmy się ku sobie, przyznaję. Fizycznie, jeśli ci to trzeba dopowiedzieć. Ale twoja matka była wierna i nic więcej między nami nie zaszło, wierz mi, chociaż ją kusiło.

– Grzeczne aniołki – rzuciła ironicznie Clotilde.

Natale mówił dalej, tak jakby nic nie usłyszał.

– Jeśli kusiło ją, żeby zdradzić twojego ojca, to nie dlatego, że się we mnie zakochała, a tym bardziej nie dlatego, że już nie kochała twojego taty. – Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. – Było nawet wprost przeciwnie.

– Wprost przeciwnie?

– Twoja matka zbliżyła się do mnie, twoja matka mnie poderwała, rozpałała, spacerowała ze mną, żeby wszyscy to widzieli, wiedzieli, żeby mówiono o tym w okolicy... ale kochała twojego ojca! Teraz rozumiesz?

– Wciąż nie rozumiem. Przepraszam...

– Twoja matka chciała, żeby twój ojciec był zazdrosny! To bardzo proste, Clotilde. Nic jej nie obchodził mój rezerwat, moje delfiny i moje ręce, które czuć było rybami, chciała tylko wywołać reakcję twojego ojca.

Clotilde puściła rękę Natalego. Pozwoliła, by wiatr smagał jej twarz, pieścił łydki, tak jak żaden mężczyzna nigdy tego nie będzie robił z taką cierpliwością.

– Trochę się też komplikowały sprawy między twoim ojcem a twoją matką.

Nie chciała już więcej słuchać. Nie tutaj. Nie teraz.

– To historia stara jak świat, Clotilde. Pamiętasz *Niebezpieczne związki*, książkę, którą czytałaś na ławce w porcie Stareso, na wprost „Aryona”. Twoja matka pogrywała ze mną, posłużyła się mną, ponieważ kochała innego... a ja jak dureń nic nie widziałem, wpadłem w sidła. Palma miała dużo wdzięku, klasę, interesowała się moim projektem, jako architekt miała bardzo konkretne pomysły. Prawie uwierzyłem, że będziemy mogli zrealizować je razem. Odnosiłem wrażenie, że rodzi się między nami nic porozumienia. Podczas gdy w rzeczywistości...

Teraz z kolei Clotilde przeszukiwała plażę wzrokiem. Żadnego zakopanego klejnotu, nic tylko pety, kapsle od piwa i może nawet prezerwatywy, jak pogrzebać trochę w piasku.

– Podczas gdy w rzeczywistości – ciągnął Natale – to między tobą a mną snuła się ta nic porozumienia... nie z Palmą... z tobą... Myślę, że to też się liczyło.

Clotilde poszukała w próżni ręki Natalego, złapała ją w locie, pociągnęła,

żeby się odwrócił, stanął do niej twarzą. W końcu, skoro to koniec karnawału, skoro wyrzucamy maski do morza...

– Marzyć o matce, pozwalając córce marzyć o tobie, to był trochę pokrętny plan, nie uważasz?

– Nie, Clotilde... Nie... Oczywiście, ty byłaś bardzo apetyczna, gdy miałaś te swoje piętnaście lat, chociaż wyglądałaś na trzynaście. Ale nie było żadnej niejasności. Żadnej. Po prostu już odgadłem.

– Odgadłeś co?

Grzebał stopą w piasku. Zażenowany. Cudownie zażenowany.

– Odgadłem, kim zostaniesz... z czasem. Dziewczyną pełną fantazji, dziewczyną żywą i inteligentną, błyskotliwą, tryskającą energią, wspaniałą dziewczyną, która będzie żyć pełnią życia. Dziewczyną, która, nawet kiedy się zestarzeje, będzie na nie patrzeć przez te same okulary co ja.

W głowie Clotilde pobrzmiwał niczym echo jakiś odległy głos. *Jesteśmy z tej samej gliny. Poławiacze marzeń przeciw reszcie świata.*

– Ale ja miałem o dziesięć lat za dużo, Clotilde, to niby nic, dziesięć lat, ale dla nas to były dwie krzywe, które się mijały, twoja szła w górę po drabinie uroku młodości. A moja zaczynała już spadać w dół.

– Przestań!

Schylił się raptownie, jakby nie chciał, by go dosięgły jej ramiona.

– Przestań, Natale. Przestań wszystko zaczerpnąć. Niszczyć siebie samego. Bardzo dobrze wiesz, że...

Podniósł się, nie dając jej dokończyć. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał srebrne kółko.

– To twój?

Nie do wiary!

Magia! Czysta magia.

– Dziękuję.

Nigdy nie należy walczyć z magią, pomyślała Clotilde. To przynosi nieszczęście. Jej myśli w jednej chwili się uporządkowały, tak samo jak urocze zmarszczki na twarzy Natalego.

Jak coś oczywistego. Pocałować go.

Tylko jeden całus. Aby rozliczyć dwudziestosiedmioletnią umowę.

Tylko jeden całus, żeby zamknąć dwudziestosiedmioletnie marzenia.

Tylko jeden całus i to wszystko.

Żeby nie umrzeć jako idiotka, żeby nie żałować tego przez wszystkie kolejne lata, kiedy jej ciało zacznie popadać w ruinę.

Po prostu poczuć smak jego ust...

Clotilde przytknęła delikatnie usta do ust Natalego.

Na moment, tylko na moment.

Potem ich usta odkleiły się od siebie, tak jak to było ustalone, tak jak przystało.

Na moment, tylko na moment.

Po czym ich dziesięć połączonych palców zaczęło szalony taniec wokół srebrnego kółka, ręka Clotilde zawładnęła karkiem Natalego, a ręka Natalego jej lędźwiami, po czym ich usta zlały się w jedno, ich języki nadrabiały stracony czas, a ciała przywierały do siebie, tak jakby od zawsze były sobie pisane.

Tak jakby nic innego poza nimi nie mogło istnieć.

Trwali tak długie minuty w uścisku, miażdżąc jej piersi o jego tors. Nie wiedząc już, co robić, by zatrzymać czas. Clotilde oparła głowę na ramieniu Natalego i wpatrywała się w „Aryona” uwiązane na linie cumowniczej. Palce rybaka biegały po jej plecach pospiesznie, niezmordowanie, nieporadnie niczym malutkie pięcioraczki, które właśnie nauczyły się chodzić.

– Spuść go na wodę, Natale. Wsiądźmy, popłynemy z delfinami, nakręćmy dalszy ciąg filmu, *Szczęki* miały co najmniej pięć kontynuacji, my możemy wymyślić *Wielki błękit* numer dwa...

Na jego twarzy pojawił się zarys smutnego uśmiechu.

– To niemożliwe, Clotilde.

– Dlaczego?

Pocałowała go znowu, mocno, niemal tracąc oddech. Tak bardzo czuła, że żyje.

– To niemożliwe, nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego? Dlaczego uwięziłeś „Aryona”, Natale? Dlaczego ożeniłeś się z Aurélią? Dlaczego to ty boisz się dzisiaj duchów?

– Dlatego że je widziałem, to całkiem proste, Clotilde.

– Cholera, Natale, duchy nie istnieją! Nawet wtedy, mając piętnaście lat, nawet przebrana za Lydię nie wierzyłam w nie. To była gra. Duchy to przeciwieństwo wampirów. Jeden pocałunek i znikają.

I pocałowała go.

– Widziałem ją, Clotilde.

– Kogo, kogo widziałeś?

Zbliżyła znowu usta, ale on się odwrócił, położył tylko dłoń na jej lędźwiach, żeby ją przytulić do siebie.

– Pomyślisz, że zwariowałem.

– Wymyśl coś innego, to już się stało.

– Nie żartuję. Nigdy nikomu tego nie opowiadałem, nigdy, nawet Aurélii. A przecież od tamtej pory żyję z tym, to mnie prześladowuje.

– Od kiedy?

– Od dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Osunęła się, przytrzymując się jego ramienia.

– Opowiedz mi, Natale. Opowiedz.

– Byłem w Punta Rossa. W domu. Sam. Piłem. Mniej niż dzisiaj, ale już wtedy piłem. Przynajmniej tamtego wieczoru. Wiedziałem, że tamtego dnia nie zobaczę się z Palmą. Oczywiście wiesz dlaczego, to była rocznica poznania się twoich rodziców. Dzień świętej Róży. Ich święty dzień. Topiłem więc moją żalostną zazdrość w mircie, a oczy miałem zwrócone w stronę szczytu Capu di a Veta. Duch ukazał się o dwudziestej pierwszej dwie wysoko na wzgórzu, nie mam żadnych wątpliwości co do godziny, Clotilde, telewizor był włączony, zaczynała się właśnie *Thalassa* i na ekranie widać było dokładną godzinę. Dwudziestą pierwszą dwie. Duch stał około stu metrów od domu na ścieżce celników. Nieruchomy.

21.02... 23 sierpnia 1989 roku.

Clotilde zadrżała, przytuliła się do rozpalonego ciała Natalego; ukryła policzek w kapturze bluzy.

Fuego spadło w przepaść dokładnie o 21.02, stwierdzano to kategorycznie we wszystkich raportach żandarmerii i strażaków.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, Clotilde, wiem, że weźmiesz mnie za wariata, ale w tej sekundzie, w której samochód twoich rodziców rozbijał się na skałach Petry Cody, w tej samej sekundzie, w której twój brat, twój ojciec i twoja matka ginęli, zobaczyłem ją, ukazała się w moim oknie, zobaczyłem twoją matkę tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie. Wpatrywała się we mnie, tak jakby chciała popatrzeć na mnie ostatni raz, zanim uleci. Stała tak długie minuty, nie ośmielając się przejść tych ostatnich metrów, które ją ode mnie dzieliły. Kiedy pojąłem, że się nie ruszy z miejsca, postanowiłem do niej pójść. Przez ten czas, kiedy odstawiałem kieliszek, otwierałem drzwi i biegłem ku niej, ona zniknęła.

Jego palce zacisnęły się na palcach Clotilde, pięcioraczki miały już teraz siłę gigantów.

– O wypadku twoich rodziców dowiedziałem się dopiero kilka godzin później – ciągnął Natale. – Dopiero wtedy zrozumiałem. To nie mogła być twoja matka. W chwili gdy mi się ukazywała, właśnie umierała cztery kilometry stąd. To mógł być tylko jej duch... Kto by w to uwierzył?

– Ja.

Ja ci wierzę!, powtórzyła dobitnie Clotilde swojemu mózgowi, żeby to przyjął. Oczywiście, że ci wierzę. Przecież ten duch do mnie napisał. Przecież ten duch patrzył na mnie, jak stałam pod dębem w Arcanu. Przecież ten duch zjadł wczoraj u mnie śniadanie, przeczytał gazetę, przecież ten duch zaadoptował psa, żeby się nie nudzić.

Clotilde złożyła długi pocałunek na szyi Natalego. Po czym łagodnie rozluźniła uścisk.

Z żalem.

– Muszę już iść... Franck zaraz wróci. Wszystko... wszystko się pokomplikuje... Nasze następne spotkanie. Prawdziwe spotkanie.

Zmusiła się do uśmiechu i ciągnęła.

– To powinna być zasada numer jeden wszystkich podręczników niewierności dla początkujących, nigdy nie brać sobie kochanka podczas rodzinnych wakacji z mężem i córką.

– Jutro rano pracuję – powiedział Natale z pewnością siebie, która ją onieśmieliła. – Ale po południu jestem wolny. Możemy się spotkać.

– Nie mogę, Natale. – Pomachała mu przed oczami srebrnym kółkiem. – Nie znajdę innych wiarygodnych pretekstów. Franck jest czujny i...

– Taras widokowy Marcone – przerwał jej rybak. – O trzynastej. Twój mąż pozwoli, żebyś tam poszła sama.

Taras widokowy Marcone.

Natale miał rację.

Franck nigdy by się nie domyślił, że ona udaje się tam na spotkanie z kochankiem.

To ostatnie miejsce, w którym miałyby ochotę go zdradzić.

Punkt widokowy Marcone był znany z cmentarza, który się tam znajdował. Z licznych mauzoleów najbogatszych dynastii korsykańskich z regionu Balagne; i z tego najbardziej monumentalnego ze wszystkich, mauzoleum rodziny Idrissich.

Grobu jej rodziców.

*Poniedziałek 21 sierpnia 1989 roku,
piętnasty dzień wakacji,
niebo niebieskie jak dym bez ognia*

Dziś rano nie będę nic pisać. Będę tylko przepisywać!
Naprawdę.

To było w „Corse-Matin” dzisiaj. Wciąż ta sprawa nicejskiego przedsiębiorcy, który poszedł na dno z kieszeniami pełnymi betonu czy swojego złota, już nie wiem. Według dziennikarzy historia, która wydarza się w samą porę. Dlatego takie coś wolę przepisać, bo nie za bardzo wiem, co o tym myśleć. Jest cała dokumentacja na temat nabytków organizacji chroniącej obszary przybrzeżne mórz i jezior, na temat trwających bez końca procedur związanych z planami zajmowania gruntów, na temat dokładnej granicy stref ochrony biologicznej różnorodności. Przeczytałam dzisiejszy „Corse-Matin” i teraz nie wiem, czy powinnam jeszcze bardziej kochać swojego dziadka... czy jednak trochę się go bać. Zostawiam cię z tym, żebyś sam sobie wyrobił opinię.

Fragment „Corse-Matin” z 21 sierpnia 1989 roku

Szczęśliwa gwiazda pasterza. Kim jest Cassanu Idrissi?

Wywiad przeprowadził Alexandre Palazzo

„Cassanu” jest najstarszym słowem oznaczającym dąb, pochodzi z celtyckiego, oksytańskiego, starokorsykańskiego. W 1926 roku nieodżałowanej pamięci Pancrace Idrissi obdarował tym imieniem swojego syna jedynaka na cześć trzystuletniego dębu, który rośnie pośrodku farmy Arcanu, żeby syn czerpał od niego siłę, długowieczność, korzenie.

Sześćdziesiąt trzy lata później życzenie starego patriarchy dynastii Idrissich spełniło się, zapewne ponad jego oczekiwania. Cassanu Idrissi stał się jedną z symbolicznych postaci regionu Balagne, jedną z najbardziej wpływowych, mimo że pozostaje postacią niedającą się zaklasyfikować i nietypową. Pasterz z Arcanu nie jest merem żadnego miasteczka, w jego rodzinie nie ma żadnego radnego regionu, żadnego posła, żadnego przewodniczącego stowarzyszenia. Cassanu przedstawia się jako zwykły owczarz, pasterz, który włada osiemdziesięcioma hektarami, na pustkowiu u wrót Calvi, gdzie znajduje się tylko kemping i trzy wille. Cassanu Idrissi jest samotnikiem.

Spokojny emeryt o postawie atlety przyjmuje na swojej farmie Arcanu

z niesłychanie wyszukaną gościnnością. Podczas gdy jego dyskretna małżonka Lisabetta szykuje suty podwieczorek, on oprowadza po posiadłości, żeby pokazać, że jak okiem sięgnąć, wszystko, czy prawie wszystko, należy do niego.

A w następnej sekundzie tłumaczy, że to wszystko znaczy tyle co nic... że w rzeczywistości nic do niego nie należy, tak samo jak pustynia nie należy do Tuaregów, a step do Mongołów; że on jest tu tylko strażnikiem. Nie odziedziczył tej ziemi, bo odziedziczyć znaczyłoby, że ją posiada, że może ją odstąpić, sprzedać, podzielić na kawałki; nie, Cassanu Idrissi tłumaczy, pokazując swoją łaską szczyt Capu di a Veta, że ta ziemia została mu powierzona, że jest po prostu za nią odpowiedzialny. Następnie, kiedy Lisabetta przynosi gościom kasztanową herbatę, fiadone i canistrelli[8] z migdałami i rodzynkami, Cassanu rozkłada na stole stare papiery, tytuły własności, niektóre z czasów Pascala Paoli, Sampiera Corso czy Napoleona Bonaparte, i przekonuje, że to nie ma żadnego znaczenia. Według niego aktualne dokumenty urbanistyczne, które administracja z lubością gromadzi, nie mają większej wartości. W gruncie rzeczy chodzi tylko o granice wytyczone przez ludzi, kontury nakreślone za pomocą linijki na wielkich arkuszach papieru, tak jakby ludzie przebywający przelotnie na tej ziemi mogli posiadać choćby gram piasku, kroplę wody czy źdźbło trawy i zabrać je ze sobą w zaświaty. Tak jakby, w przypadku gdyby za sprawą jakiegoś niebywałego cudu istniał raj, można było wejść do niego z walizami. Jakby po nas ta ziemia miała przestać istnieć. Bo o ile woda i ogień, korzenie drzew i skrzydła wiatru potrafią uporać się z największymi, najwyższymi murami, spowodować pęknięcie genueńskich wież i kamiennych mostów nad potokami, to co mogą robić z liniami narysowanymi piórem na papierze? Natura kpi sobie z dziedzictwa, które jakoby chronimy w jej imieniu.

A więc, zapala się owczarz, wymachując rękami, podczas gdy jego żona ochrania szklanki i filiżanki, zakreślajcie sobie, ile chcecie, strefy, obwody i granice, podzielcie między siebie oceany i ławice lodowe, niebo i gwiazdy, góry i rzeki, zdecydujcie, do kogo należy każdy kamyk, każda pestka oliwki i każdy płatek kwiatów orlika, jeśli was to bawi, dodaje wam powagi, nadaje sens waszemu życiu... ale i tak nie zmienicie ani trochę tej jedynej prawdy. Ziemia zostaje nam powierzona. Moja ziemia została mi powierzona. I żadne ludzkie prawo nigdy mnie nie skłoni, bym wyrzekł się swej powinności oddania jej w takim stanie, w jakim ją zastałem.

„Corse-Matin”: Właśnie, panie Idrissi, skoro przywołuje pan ludzkie prawo. W ostatnich dniach dużo się mówi w prasie o zabójstwie Draga Bianchiego, tego przedsiębiorcy z Nicei, który planował wybudowanie luksusowego hotelu w górach na przykładzie Revellaty i który niecały miesiąc temu na łamach tejże gazety chwalił się, że otrzymał wsparcie prefekta, lokalnych władz i okręgowego czy regionalnego komitetu turystyki. Jakie uczucia budzi w panu to zabójstwo?

– Takie jak w większości tutejszych Korsykanów. Nie rozplakałem się na

wieść o jego śmierci, nie posłałem wieńca na jego pogrzeb, a zresztą nie przypominam też sobie, żeby jego przyjaciele, prefekt, szef lokalnych władz czy okręgowego komitetu turystyki pofatygowali się na cmentarz. Trzeba uważać na to, co się czyta w gazetach, i na protekcje, które rzekomo mamy. Taka jest moja odpowiedź, ale może w pana pytaniu był jakiś podtekst? Jeśli tak, to przykro mi, to znaczy, że było źle postawione. I niepotrzebne. (Uśmiech). Chyba jednak nie sądzi pan, że wyznam, w porze podwieczorku, degustując upieczone przez moją żonę canistrelli, że to ja go zabiłem?

„Corse-Matin”: Oczywiście. Oczywiście, panie Idrissi. Zapomnijmy o tej sprawie i pozostanmy przy ideach, zasadach, wartościach. Jak daleko mógłby się pan posunąć, by chronić swoją ziemię? Czy mógłby pan się posunąć, mówiąc nieco brutalnie... aż do tego, żeby zabić?

– Dlaczego miałyby to być brutalne! Zadaje mi pan ponownie to samo pytanie, tak? (Znowu uśmiech). I, nie chcę pana urazić, jest ono znowu źle sformułowane. Jak mógłbym pragnąć, żeby jakiś facet został zmiażdżony na pełnym morzu przez pięćsettonowy prom, zabity w kawiarnianym ogródku na oczach narzeczonej, żeby pod jego samochodem wybuchła bomba zaraz po tym, jak odwiózł dzieci do szkoły? Kto mógłby pragnąć, pochwalać, zlecać takie nieszczęścia? Na pewno nie stary człowiek, który dąży tylko do tego, żeby żyć w spokoju. Niech pan nie szuka zła u mnie. Niech pan go szuka u ludzi, którzy uganiają się za czym innym, odczuwają dziwną potrzebę władzy, pieniędzy, kobiet. Tu, na Korsyce, władza, pieniądze, kobiety zależą często od dóbr, które się posiada, to znaczy nieruchomości, od ziemi, od kamieni. No więc jeśli ci ludzie zamiast się zadowalać tym, co życie im powierzyło, wolą pożądać, zagarniać, spekulować... to co ja na to mogę poradzić? Co mogę poradzić, jeśli oni widzą sens swojego życia tylko wtedy, gdy jest ono zagrożone, jak ci szaleńcy, którzy uprawiają sporty ekstremalne? Jeśli myślą, że mogą lekceważyć porządek rzeczy, wyzywać na pojedynki naturę. Czyż oskarża się falę, że zabiła nieuważnego surfera? Zmurszały kamień, że okazał się zdradziecki dla nieostrożnego alpinisty? Ostry zakręt, że zabił niecierpliwego kierowcę?

„Corse-Matin”: Dziękuję, panie Idrissi, ja też myślę, że mogę czytać między pana słowami. Czy wobec tak wielkiej zachłanności wokół nie boi się pan, pan, który posiada, o, przepraszam, któremu zostało powierzonych tyle dóbr, że ktoś zechce ich pana pozbawić? A bardziej prozaicznie, że ktoś może zechcieć pana zabić?

– Nie, panie Palazzo. Nie. (Krótkie milczenie). Mógłbym się słusznie bać, gdybym posiadał cokolwiek, co mógłbym stracić. Ale skoro jestem tylko strażnikiem, gdybym poległ, ktoś inny zająłby moje miejsce, a potem znowu kto inny albo też inna, przyjaciel, krewny, jakiś mężczyzna czy jakaś kobieta, którzy wyznają te same wartości, tak samo pojmują honor. Ludzie z mojej rodziny, a do mojej

rodziny włączam też ludzi niespokrewnionych ze mną, którzy będą wiedzieli, co mają robić, jeśli kiedyś zdarzy mi się nieszczęście. (Długie milczenie). Tak samo jak ja wiem, co mam robić, jeśli kiedyś ich dotknie nieszczęście.

„Corse-Matin”: *Wendeta? Zgadza się? Czy mogę streścić pana odpowiedź tym słowem?*

– *Wendeta? O, Boże, a kto o niej mówi? (Westchnienie). Kto jeszcze mówi o niej oprócz was, dziennikarzy? Morderstwa, które się reklamuje na waszych łamach, są popełniane przez bandytów, łobuzów, mafiosów dla kilku banknotów, kilku gramów narkotyku, kilku skradzionych samochodów. Co ja miałbym mieć z tym wspólnego? Co miałby mieć z tym wspólnego emeryt żyjący na uboczu w swojej owczarni, który nie wie nawet, jak wygląda działka marihuany, jugosłowiańska prostytutka czy terminale Minitela^[9], których całe pudło wypadło z kontenera w porcie w Ajaccio? Wendeta, mój Boże, to dobre dla turystów, którzy czytają Colombę Prospera Mérimégo. (Znowu uśmiech). Wszystko jest o wiele prostsze. Nie ruszajcie mojej ziemi. Nie ruszajcie mojej rodziny. A wtedy będę najspokojniejszym, najbardziej nieszkodliwym pasterzem na świecie.*

„Corse-Matin”: *A jak nie? Jeśli ktoś ruszy pana ziemię albo pana rodzinę?*

– *Jak nie? Jak nie, to co? Pana pytanie znowu jest źle sformułowane, panie Palazzo. (Śmiech). To tak jak pytać generała ze sztabu generalnego, czy w wypadku ataku nacisnąłby czerwony guzik, żeby spowodować wybuch bomby atomowej, a wraz z nim zniszczenie całej ziemi. Nie odpowie, bo to się nie zdarzy. Niech pan zrozumie, nie wierzę, żeby ludzie chcieli ruszać moją ziemię, a tym bardziej moją rodzinę, a jeśli pana gazeta może do czegoś posłużyć, to przynajmniej do tego, żeby wasi czytelnicy o tym pamiętali. Proszę, niech pan weźmie sobie jeszcze canistrelli, to dla pana upiekła je moja żona.*

„Corse-Matin” (z pełnymi ustami): *Dziękuję, panie Idriszi...*

To ja dodałam zakończenie, ostatnią replikę, przedostatnią też. Śmieszne by to było, nie uważasz, gdyby dziennikarz naprawdę ośmielił się to napisać? Ale myślę, że dziennikarz, kiedy już zadał ostatnie pytanie, bardziej miał ochotę zwiać stamtąd, niż częstować się jeszcze ciastkami babci.

* * *

Zamknął zeszyt.

Nieszkodliwy emeryt...

Koń by się uśmieł!

8 Tradycyjne wypieki korsykańskie; *fiadone* – rodzaj sernika, *canistrelli* – rodzaj herbatników (przyp. tłum.).

9 Minitel – francuski poprzednik internetu (przyp. tłum.).

11.00

Franck nie zrobił żadnego komentarza, kiedy Clotilde wróciła do bungalowu. Trudno jej było odgadnąć, jak dawno przyszedł, wziął już prysznic, rzucił strój do biegania, połknął kawę.

– Znalazłam go – poinformowała tylko Clotilde, pokazując srebrne kółko.

Trudno również zinterpretować jego ironiczny uśmiech.

Clotilde zrobiła jedynie to, co robią wszystkie żony na świecie, kiedy mężczyzna kuli się w swojej skorupie, odmawiając porozumiewania się, zacina się na dłuższą chwilę niczym sfatygowany sprzęt domowy, który trzeba tylko wyłączyć, żeby odpoczął: wypełniła ciszę, mówiła o wszystkim i o niczym, tak jakby wszystko było normalnie, jakby wszystko było w porządku, mówiła o Valentine, mówiła nawet o kuchni.

– Marynata? Macie ochotę? Lecę na targ, zrobimy sobie na obiad! Zawsze to coś innego niż tacki z frytkami.

Franck w gruncie rzeczy na to właśnie czekał. Żeby wszystko było z powrotem normalnie. Żeby była normalną żoną. Żeby prowadzili normalne życie. Dzisiaj, przynajmniej dzisiaj, mogła odgrywać komedię.

– Idziecie ze mną? Valou? Franck?

Bez odpowiedzi. Sama będzie robić zakupy. Cel osiągnięty. Normalne życie.

»

Chociaż torba z zakupami ważyła tonę, Clotilde była szczególnie dumna ze swoich znalezisk: papryka i oliwa z oliwek do paprykarzu, żeberka wołowe marynowane na sposób *stufatu*, mango i ananas na sałatkę owocową. Poprosi Francka, żeby rozpalił grill, chodzi o to, żeby każdy grał aż do końca swoją rolę w słonecznej sztuce teatralnej o wakacjach rodziny Baronów. Czekając w ogonku do kasy w Intermarché w Calvi, który 80 procent swoich obrotów handlowych załatwiał chyba w ciągu dwóch letnich miesięcy, co tłumaczyło tę niekończącą się kolejkę, Clotilde nagryzmoła na odwrocie listy zakupów listę pytań. Bez odpowiedzi.

Kto napisał do niej ten list podpisany P.?

Kto ukradł jej portfel?

Kto nazwał psa z Arcanu Pasza?

Kto nakrył wczoraj stół do śniadania?

Kto nauczył Orsu sprzątania ścierką?

Kto uszkodził układ kierowniczy fuego jej rodziców?

Kto uszkodził karabińczyk Valentine?

Kto jest tym duchem, którego widział Natale o 21.02 23 sierpnia 1989 roku w Punta Rossa?

Niemożliwe, żeby to była ta sama osoba. Niemożliwe, żeby to była jej matka.

Niemożliwe, żeby to nie była jej matka, przynajmniej w połowie odpowiedzi na jej pytania...

Franck zapewne miał rację: żeby być szczęśliwą, lepiej było spisywać listę zakupów, a nie pytań, skupić się raczej na wyliczeniu niewinnych składników niż na odwrotnej stronie.

Czytać tylko przednią stronę życia.

Ewentualnie wrzucić kochanka do koszyka.

Gdy ważyła konsekwencje swoich postanowień, nie udało jej się w drodze powrotnej nie zboczyć na chwilę z tej ścieżki rozsądku; niecałe trzydzieści metrów, pójść aleją A zamiast C i przejść koło domku A31, rzucić tylko okiem, zobaczyć, czy Jakob Schreiber tam jest, czy zdążył już odzyskać zdjęcia z lata 89 z tej swojej słynnej chmury.

Nie żeby je oglądać; tylko go zapytać.

Nikogo.

– Jakob?

Może stary Niemiec jest głuchy? Może słucha tego swojego durnego radia? Siedemdziesiąte drugie pytanie, do wygrania podróż na Księżyc.

– Jakob?

Zastukała w drzwi jego domku. Na tyle mocno, żeby same się otworzyły. Wystarczyło je pchnąć.

– Jakob?

To do niego niepodobne, do tego Niemca, żeby wyszedł z domu, zostawiając wszystko otwarte. Trudno jednak było sobie wyobrazić, że chowa się gdzieś na tych dwudziestu ośmiu metrach kwadratowych stojących na pustakach. Dziwne... Clotilde pomyślała sobie, że gdyby Herr Schreiber wrócił z kulami do gry w ręce czy z aparatem na szyi, to ona mogłaby wszystko popsuć. Stary Niemiec nie był z tych, co by się ucieszyli, że ktoś wchodzi do ich domu bez pozwolenia; zwłaszcza jeśli część wieczoru spędził, oddając jej przysługę, na poszukiwaniu starych zdjęć.

Zmykaj stąd w te pędy, głuptasie, idź do domu obierać paprykę, przyjdź tu po południu albo jutro...

Clotilde już miała wyjść, kiedy jej uwagę przykuła jedna z fotografii

przyklejonych na ścianie.

Jej brat Nicolas.

Clotilde podeszła bliżej. W rzeczywistości pośród setek fotografii przytwierdzonych taśmą samoprzylepną do ścian domku kempingowego nietrudno było znaleźć te, które ją najbardziej interesowały, z lat 1976–1989. Ani opalone ciała, ani sceneria się nie zmieniały, morze, piasek, fale, cytadela w Calvi na pierwszym planie, Capicorsu w tle, ale ubrania, choć często były to tylko kostiumy kąpielowe, wyraźnie wskazywały, w którym dziesięcioleciu zrobiono zdjęcie. Długość szortów, marka czapki, materiał zakrywający pośladki i piersi. Było to nawet zdumiewające, że wszystkie zmiany w ubraniowych detalach, podczas gdy z roku na rok najwyraźniej nic się nie zmieniało i Clotilde zawsze miała wrażenie, że w czerwcu wyjmuje te same ciuchy, które schowała we wrześniu poprzedniego roku.

Zmykaj stąd, głuptionsie.

Postawiła torbę z zakupami. Słyszała, jak aleją A przechodzą letnicy.

Nicolas na zdjęciu miał mniej niż pięć lat. To zdjęcie bardzo ją poruszyło. Zobaczyła też siebie u mamy na rękach, nie miała jeszcze roku, policzki czerwone jak jabłka, okropny granatowy kapelusik z gumką pod brodą, która chyba ją irytowała, i te pulchne stópki, które, jak się zdawało, czekały tylko, żeby pochodzić po ciepłym piasku czy po zimnej wodzie. Na tym zdjęciu nie było taty, szukała go. Znalazła go na innym, Nicolas miał na nim jedenaście lat, o ona osiem, to było 15 sierpnia podczas fajerwerków, kiedy cały kemping przeniósł się na plażę Oscelluccia. W scenerii nie było wtedy żadnej słomianej chaty, ale w tłumie twarzy Clotilde rozpoznała Natalego, niebywale przystojnego w wieku osiemnastu lat, trzymającego za rękę subtelną blondynkę z włosami do pupy, dziewczynę, której ona nigdy nie widziała; rozpoznała też Basilego Spinella, sierżanta Cesareu Garcię, Lisabettę i tuż koło niej Speranzę.

Słyszała jakieś kroki na zewnątrz, bardzo blisko, ale nie zwracała na nie uwagi. Na kempingu trzeba się przyzwyczaić do tego wrażenia, że sąsiedzi mieszkają w twoim domu. Jej oczy w dalszym ciągu oglądały uważnie ścianę pokrytą zdjęciami. Wypatrzyła inne fotografie z lata 89, była tego pewna. Rozpoznała czarną suknię firmy Benoa, tę w czerwone róże, którą tata kupił mamie w Calvi. Zdjęcie zostało zrobione zapewne na kilka dni przed wypadkiem.

– Piękna była twoja matka.

Clotilde odwróciła się raptownie.

Na jej nagim ramieniu spoczęła lodowata ręka.

– Spokojnie, Clotilde, spokojnie. Naprawdę nie uważasz, że twoja mama była piękna?

Cervone Spinello! Kierownik kempingu we własnej osobie.

Ten wąż wpełznął tu. Po cichu. Czego chciał, co tu robił? Gorzej, dlaczego

nie zadawał jej pytań? Powinien był się zdziwić, że ją tu zastał. A on przeciwnie, zdawało się, że interesuje go wszystko oprócz niej, że z niepokojem obserwuje każdy kąt tego domku.

– Czy Jakob tu jest? – zapytał tylko.

Clotilde potrząsnęła przecząco głową.

– Cholera – zaklął Cervone. – Gdzie się podziewa ten Prusak? Serge, Christian i Maurice czekają na niego na placu do gry w bule. Ani razu od trzydziestu lat się nie spóźnił.

Wzruszył ramionami, spuścił oczy, tak jakby sprawdzał czystość podłogi.

– Przecież nie jest już w tym wieku, żeby uganiać się za jakąś przyjezdną turystką po makii, ale jednak trochę poczekamy, zanim wezwiemy posiłki.

Cervone popatrzył na ścianę ze zdjęciami.

– A może po prostu miał już dosyć fotografowania wciąż tego samego miejsca i wybrał się ze swoim aparatem gdzieś dalej.

Clotilde nadal nic nie mówiła, Cervone ciągnął.

– Bo wprawdzie ten stary Szwab jest najbardziej upierdliwym klientem na tym kempingu, ale trzeba przyznać, że ma zdolności do portretowania. Udaje mu się przywołać wspomnienia lepiej, niż gdyby to wszystko filmował. Popatrz...

Cervone wskazywał palcem kolejne migawki.

Grupa nastolatków stała przy ognisku. Clotilde pamiętała to, zdjęcie zostało zrobione w przeddzień wypadku, późnym wieczorem na plaży Alga. Nicolas próbował grać na gitarze, Maria-Chjara położyła mu głowę na ramieniu; można było rozpoznać całą ich paczkę wokół płomieni; Estefan z djembe między nogami, Hermann ze skrzypcami w rękach, Aurélia pożerająca swoimi oliwkowymi oczami, spod grubych brwi, muzyków, a zwłaszcza Nicolasa.

– To były nasze lata!

Cervone wydawał się szczęśliwy jak dzieciak, ale nagle, widząc zaciętą twarz Clotilde, znieruchomiał.

– Przepraszam, Clotilde. Czasami jestem strasznym kretynem.

Czasami...

– Nasze lata... mam na myśli swoje lata dojrzewania, dziewczyny, fiesty, ale ty...

– Przestań, Cervone. Gdybym nie chciała o tym słyszeć, nie powinnam była przyjeżdżać na twój kemping Euproctes.

– Tylko że chciałaś poznać prawdę.

Tym razem Clotilde zaczęła się intensywnie w niego wpatrywać.

– A co ty wiesz o prawdzie?

Cervone pchnął nogą drzwi, żeby je zamknąć. W ręce trzymał pudełko z trzema bulami do gry pokryte w połowie rdzą. Jeżeli to jest broń, pomyślała Clotilde, ona sama z tą swoją siatką i trzema paprykami nie będzie zbyt groźna.

Zmuszała się do dowcipkowania, szef kempingu ją niepokoił. Co on tu robił? Czy ją śledził? Gdyby spróbował coś jej zrobić w tym domku z blachy i desek, zawsze będzie mogła krzyczeć, usłyszą ją. Pierwsza twarz, która jej się nasunęła, była twarzą Francka, nie Natalego. Bo Franck był bliżej. Tak właśnie, głupio, pomyślała.

– Popatrz.

W pograżonym w półmroku domku kempingowym Cervone wskazał palcem jedną fotografię. Przed samochodami stojącymi na parkingu Euproctes mężczyźni grali w bule. Clotilde nie poznawała ich, ale za nimi stał samochód. Nieskazitelny, nietknięty. Zachwiała się z wrażenia. Czerwone fuego.

– Byłaś u sierżanta Garcii? Mówił ci o swoim przekonaniu, jak sądzę.

Cervone wiedział? Cervone wiedział o uszkodzeniu układu kierowniczego? Przecież sierżant Cesareu Garcia twierdził, że jego śledztwo było konfidencyjne, że powiadomił tylko Cassanu Idrissiego. Nikogo więcej. Nawet swojej córki. Jaka rolę odgrywał w całej tej historii Cervone Spinello?

Grać na zwłokę.

– O jakiej koncepcji? – zapytała Clotilde, starając się udawać niewiniątko.

Szef kempingu uśmiechnął się, nie spuszczać oczu z fuego.

– Że nawalił układ kierowniczy w samochodzie twojego ojca. Nagle. I że nie był to nieszczęśliwy wypadek.

Paf!

– Tylko że stary sierżant nie wie wszystkiego – dodał Cervone.

Palec wskazujący Spinella przesuwiał się po fotografii. Zatrzymał się na facecie stojącym tyłem wśród innych mężczyzn.

– Przyjrzyj się dobrze twojemu ojcu. I popatrz, kto jest z tyłu, za nim, ledwo widoczny...

Miał rację. To był jej ojciec, zbierał bule. A trochę dalej, między graczami... nie można było nie poznać, chociaż prawie całe jego ciało było zasłonięte.

Nicolas.

Mój brat nie interesował się grą. Ale zaparkowanym samochodem, tak.

Cervone promieniał.

– Niesamowite są te zdjęcia, nie uważasz? Jeśli im się dokładnie przyjrzeć, pierwszy plan, dalszy plan, spojrzenia, postawy, opowiadają całą historię. Prawie każde z nich odkrywa jakąś tajemnicę.

– Do czego zmierzasz, Cervone?

Jego ręka drugi raz spoczęła na jej odsłoniętym ramieniu, tak jakby chciał zsunąć ramiączko jej sukni. Tak jakby chciał negocjować, ale, oczywiście, wyobrażała sobie nie wiadomo co.

– Do niczego, Clotilde. Do niczego. Dobrze wiem, że nie przepadasz za mną, że nie cierpisz mnie tak bardzo, jak bardzo lubiłaś mojego ojca. Że dla ciebie ja

przedstawiam sobą prawie wszystko to, czego ty żałujesz w życiu, tak jakbym był ucieleśnieniem twoich straconych złudzeń, obietnic z młodości, które gasną jedna po drugiej, i tych drani, którzy dochodzą do władzy w gównianym świecie. Nie będę się z tego usprawiedliwiał, Clotilde. Nie będę przeproszał za to, że lepiej się urządziłem, że lepiej się przystosowałem. Bo ja nie mam żadnych rozczarowań, Clotilde, niczego nie żałuję. – Popatrzył przez chwilę na zdjęcie z ogniskiem, zanim wrócił do tego z grą w bule na parkingu. – Jestem dzisiaj bardziej szczęśliwy niż przedtem, wraz z upływem czasu stałem się bardziej ufny, silniejszy, bardziej wpływowy, bogatszy, nawet przystojniejszy. A więc nie będę się z tego tłumaczył, bo żeby do tego dojść, musiałem znieść niejedno. I dlatego, widzisz, jeśli ty mnie nie lubisz, to nie jest to wzajemne. Nie ma we mnie żadnej nienawiści, żadnego zgorzknienia, jest raczej sympatia do wszystkich, to sympatia kogoś, komu się powiodło. Również sympatia do ciebie.

Odłożył bule. Druga jego dłoń już miała spocząć na jej drugim odsłoniętym ramieniu. Każda z rąk Spinella wydawała się zdolna do większej śmiałości, żeby zadziwić drugą. Clotilde cofnęła się o krok. W końcu może to nie był taki zły pomysł, żeby go walnąć papryką w twarz.

– Dobrze, Cervone. Oszczędź mi tych kazań. Co wiesz?

– Nie odbieraj tego ze złością, Clotilde. Wierz mi. I to ty masz odpowiedzieć na pytanie, jedno jedyne pytanie. Czy chcesz znać prawdę?

– Ty ją znasz?

– Nie jesteśmy w sądzie, Clotilde. Więc zdejmij kostium, zrzuć maskę i tylko po prostu odpowiedz na moje pytanie. Czy chcesz znać prawdę?

– Na... na temat wypadku moich rodziców? Tego cholernego układu kierowniczego? Dowiedzieć się, kto go załatwił?

– Tak...

– Ty wiesz?

– Tak... Ale tobie to się nie spodoba. Wcale ci się nie spodoba prawda.

– Przez te wszystkie lata tak naprawdę kłamstwa też mi się nie podobały.

Uśmiechnął się, ostatni raz obejrzał zdjęcia.

– Usiądź, Clotilde. Usiądź. Opowiem ci.

II

Święta Róża

*Poniedziałek 21 sierpnia 1989 roku,
piętnasty dzień wakacji,
niebo sinawe jak kwiat lotosu i zasznurowane usta*

Była chyba prawie dwunasta, siedziałam sobie spokojnie w mojej grocie Veaux Marins, w chłodzie, i czytałam po kryjomu *Niekończącą się historię*, z *Niebezpiecznymi związkami* pod pupą, i wtedy dopadł mnie Nicolas. Kiedy wszedł do mojej jaskini, wyglądał jak wielki niedźwiedź, który zasłania mi słońce, żeby najpierw mnie wystraszyć.

A następnie nie dać mi czytać. Skorzystałam jednak z ciemności, żeby raz dwa podmienić Bastiana z fryzurą pazia na Valmonta i jego markizę. Jak tylko Nico się poruszał, jego czarna sylwetka odcinała się w słońcu padającym mu na plecy, tak jak w filmie, kiedy inspektor kieruje żarówkę lampy na oczy oskarżonego.

– Muszę z tobą pogadać, Clo.

No, dobra, dawaj...

Tu robi tę swoją poważną minę, za którą na ogół kryje się jakaś monumentalna głupota.

– Wiem, że uwielbiasz mieszać się do cudzych spraw, myszkować i zapisywać wszystko w zeszycie, ale tym razem będziesz musiała się trzymać z dala. Nie chodzi nawet o to, żebyś milczała, chodzi o coś więcej, żebyś nawet nie próbowała się dowiedzieć.

– Żeby nie próbowała się dowiedzieć czego?

Uwielbiam doprowadzać mojego starszego brata do wściekłości.

– Clo, ja mówię poważnie.

Pochyla się trochę, jakby pod ciężarem jakiejś rewelacji, albo po prostu żeby nie uderzyć głową o sklepienie mojej groty. Wychodzi na jedno, słońce wali mi prosto w twarz i wtedy mój inspektor Fajtłapa dodaje:

– Jestem zakochany!

Tylko tyle.

– A w kim to? W Chjarze?

Nie spodobało mu się, że ją tak nazwałam, on pewnie nazywa ją tylko Maria czy Mary, czy MC, z angielska, Aime-Si[10].

Nie podobał mu się też, i to wcale, sposób, w jaki na niego spojrzałam.

Trochę tak, jakby powiedział rodzicom, że chce rzucić liceum i zostać zawodowym piłkarzem. Od razu więc nakrzyczałam na niego, wymachując mu przed oczami swoją książką.

– Nie należy tego mylić, to nie jest miłość, braciszku, to tylko podniecenie. Podniecenie wśród chłopaków z powodu rywalizacji, współzawodnictwa o to, który pierwszy dotknie jej cyców.

Uwielbiam takie wulgarne odzywki w rozmowie z moim starszym bratem.

– No, faceci na pewno nie będą się ścigać, żeby dotknąć twoich jajek sadzonych...

Drań! Piszę to tylko dlatego, że on naprawdę to powiedział, mam nadzieję, że wzrusza cię moja szczerość, mój czytelniku z głębi galaktyki.

Ale zapominamy o tym. Uwielbiam się godzić z moim starszym bratem.

– Okej, Casanova, to co chcesz ode mnie?

– Nic... Tylko żebyś mi się nie kręciła pod nogami, żebyś się zachowywała dyskretnie, trzymała na odległość, żebyś nie ściągала na mnie uwagi rodziców... A nawet, w razie potrzeby, żebyś ich powstrzymywała, opowiadała im jakieś ściemy, kiedy mnie nie ma, że brzdąkamy sobie na gitarze koło plaży Oscelluccia albo że budujemy szałas w lesie Belloni z Filipem i Estefanem, wszystko jedno co, proszę cię tylko, żebyś mnie kryła przez dwa dni aż do wieczora dwudziestego trzeciego.

– Do świętej Róży? A co ma być tego wieczoru? Będziesz zrywał *Rosa canina* na bukiet, tak jak tata? Bukiet zdobywcy? Głównego zwycięzcy loterii? Najpierw lambada, a potem wsadzisz w jej szparkę gada?

Naprawdę uwielbiam być wulgarna wobec mojego starszego brata. On nic nie może powiedzieć, sam mnie wszystkiego nauczył.

– Tego wieczoru odlatuję, siostrzyczko, i nie ma mowy, żebyś się dowiedziała w jakim kierunku. Może po latach dostaniesz czarną skrzynkę.

– Kiedy już będziesz po ślubie z twoją Chjarą i pojawią się bachory? Tak?

Nico przesuwa się, znowu mi zasłania słońce i zamienia się w negatyw filmu.

Sam cień.

– Tak, zgadza się. Zaprosimy cię.

Waham się, czy dalej pytać.

– Taaa... I naprawdę jesteś pewny?

– Czego?

– Że jako pierwszy będziesz spijał nektar ze swojej pięknej orchidei? Konkurencja jest silna, no nie?

– Tak, jestem pewny!

– A konkurencja?

– To jak gra strategiczna, siostrzyczko, trzeba mieć trochę przewagi.

– Wytlumaczysz mi? Tę twoją strategię?

Cień się pochyla, siada koło mnie, otacza mnie opiekuńczym ramieniem. Nicolas wszystkiego mnie nauczył, otwiera przede mną drogę w makii mojego życia.

– Stosuję sztuczki, jestem przebiegły, siostrzyczko. Wiesz, tak jak w tej książce, którą udajesz, że czytasz, *Niebezpieczne związki*. Wymyślam intrygi, jakiś plan, mam w głowie schemat, prosty schemat, takie koło z imionami całej bandy, chłopak dziewczyna, chłopak dziewczyna, chłopak dziewczyna, i strzałki, które ich łączą, tak jak w tej grze z killerem, gdzie każdy musi zabić kogoś, sam będąc zabijany przez kogo innego. To niesamowite, jakie to łatwe, wystarczy szepnąć dziewczynie, że jakiś chłopak za nią szaleje, albo chłopakowi, że dziewczyna go przyuważyła, i już, sprawa załatwiona. Nakręciłem Aurélię, która bardzo by chciała chodzić ze mną, na Hermanna cyklopa, który z kolei wolałby chodzić z Marią. A ponieważ Maria bardzo lubiła Cervonego, chociaż zastanawiam się, co ona może widzieć w tym Spinellu juniorze, nakręciłem tego tatusiowego synka na tatusiową córeczkę, bardziej zalotną, niż myślisz: na Aurélię. I hop, kółko się zamknęło...

Aurélia! Z tą swoją miną świętej niedotykalskiej i tymi wielkimi brwiami byłaby gotowa skoczyć na wszystko, co się rusza? Podczas gdy Chjara, udając łatwą, rozwiązała laskę, nie chciałaby spać z nikim innym, tylko z moim Nicolasem? Czy ten mój Valmont buszujący po kempingu nie żyje przypadkiem w jakimś filmie, nie wyobraża sobie zbyt wiele? Według mnie jego czarodziejskie palce nie tknęły jeszcze nawet gumki jej stringów.

Chociaż on w to wierzy.

– No więc obiecujesz? Pomożesz mi? Będziesz mnie kryła?

– A gdyby było odwrotnie, gdybym ja miała ukochanego, zrobiłbyś to dla mnie?

– Zrobię to... W dniu, w którym urosną ci piersi.

Dupek!

Uwielbiam rzucać się na niego i udawać, że okładam go pięściami. Zazwyczaj w swoim pokoju ciskam w niego wszystkimi moimi maskotkami, ale tutaj ich nie ma. Toteż nie mam innego wyjścia jak skoczyć na niego, by stoczyć z nim pieszczotliwe zapasy.

OK, mój starszy bracie. Przyznaję ci wolność na dwa dni, do 23 sierpnia. Normalnie to bym ci wszystko obiecała i mimo to bym cię szpiegowała, ale teraz mam to gdzieś. Mam gdzieś to wasze kółko młodych, w którym wszyscy chcą chodzić ze wszystkimi. O, proszę, to dobre słowo. Chodzić. Nieważne z kim chodzić. Liczy się to, żeby chodząc, wyjść z kółka.

No więc, zostawiam was, kolesie, usiądźcie sobie dokoła i pograjcie w butelkę.

Godzina pierwsza, listonosz jeszcze nie przyszedł... Dwie godziny, trzy

godziny...

Ja mam ciekawsze rzeczy w głowie. Mam umowę!

Całus w policzek.

Mężczyzny, który nigdy nie wstąpi do żadnego kółka, który nigdy nie da się zamknąć, który nauczy mnie, co to jest prawdziwa wolność.

Mam umowę. Mam misję. Powierzył mi ją Natale Angeli.

Przekonać mojego dziadka Cassanu. I wierz mi, jeżeli jeszcze mnie nie znasz:

To mi się uda!

* * *

Zamknął zeszyt i ukrył go pod kurtką.

Killer, gra śmierci, zapowiedział Nicolas Idrissi, pan gry.

To była sama prawda.

10 Aime-Si (dosł. Kocha-Owszem) – gra słów, francuski zapis angielskiej wymowy inicjałów MC (przyp. tłum.).

12.00

Clotilde czekała.

Cervone Spinello dopiero po pięciu minutach wyszedł z toalety. Może poprawiał sobie urodę albo może był to tylko manewr, żeby zostawić ją w gorączce oczekiwania. Kilka minut dorzuconych do minionych dwudziestu siedmiu lat. Ostatnia i małostkowa zemsta?

Gdy tylko Cervone pojawił się w korytarzu domku, Clotilde odwróciła się w jego stronę, nie starając się ukryć zniecierpliwienia. Szef kempingu zastygł ze zmartwioną miną, z palcem wycelowanym w stronę fotografii starego Niemca.

– Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć, co naprawdę się zdarzyło?

Nie czekał na odpowiedź, nie spojrzał na Clotilde, nadal wpatrywał się w zdjęcia.

– Pamiętasz, Clotilde, w noc dwudziestego trzeciego sierpnia twój brat Nicolas planował wypad do klubu nocnego, Camargue, pod Calvi, w czasie kiedy twoi rodzice mieli spędzać czas w Casa di Stella. Ustalili, że dojdą tam na piechotę, a fuego zostawią zaparkowane na drodze do farmy Arcanu. Nicolas zamierzał pożyczyc sobie dyskretnie samochód rodziców i zabrać na przejażdżkę wszystkich, którzy się w nim zmieszczą. Pamiętasz też, że jego pomysł mieścił w sobie również plan B, zostawić ich wszystkich na parkiecie i zarezerwować wraz z Marią-Chjarą kanapę. Miał nadzieję, że z pomocą mojitos i skrętów zaciągnie swoją piękną Włoszkę w miejsce może mniej wygodne, ale za to dużo bardziej dyskretne. Pamiętasz to wszystko, Clotilde?

Dotąd tak.

– Tak.

– Ciąg dalszy... Jak ci to powiedzieć? Nicolas mniej się tym chwalił. Zwłaszcza przed swoją ukochaną siostrzyczką. Bo tak naprawdę Maria-Chjara się ociągała. Nie chodziło o kanapę, konopie, rum ani o to, co oboje mieli ochotę zrobić potem. Do tego wszystkiego Maria-Chjara była nastawiona raczej dobrze.

Jego palec przejechał po zdjęciu z ogniskiem, z plażą Alga, z Marią-Chjarą, która opierała głowę na ramieniu Nicolasa uczonego swojej gitary. Palec wskazujący Cervonego przesunął się po długich, czarnych, rozpuszczonych włosach Włoszki, potem po jej krótkiej, białej, wydekoltowanej koszuli, po jej

miedzianej od słońca skórze.

– Nie, Clotilde – mówił dalej – Maria-Chjara ociągała się z jednego jedyne go powodu: samochodu. Nicolas nie miał prawa jazdy! Jedynie z dziesięć godzin kursu i kilkaset kilometrów przejechanych w towarzystwie swojego taty. To bardzo proste. Maria-Chjara myślała o wąskich drogach, o zakrętach, o wąwozach, o dzikich zwierzętach żyjących na wolności, słowem, bała się, że się rozwałą!

– A więc nie pojechali tam.

– Nie, nie tego wieczoru dwudziestego trzeciego sierpnia, to wiesz i wiesz dlaczego. Ale nikt nie wie, co się wydarzyło wcześniej. Aby przekonać Marię-Chjarę, Nicolas zaproponował po prostu, że jej udowodni, iż nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Ciało Clotilde powoli ogarniał paraliż. Zaczynało się to od armii niewidzialnych owadów, które unieruchamiały jej stopy.

– Przez kilka godzin przed wyprawą do Arcanu twoi rodzice byli bardzo zajęci. Matka przygotowywała się do rocznicowego romantycznego wieczoru, a ojciec po powrocie z żaglówki czytał dokumenty, o których miał porozmawiać z dziadkiem Cassanu. To była wymarzona okazja, zresztą jedyna. Twój brat wziął po prostu kluczyki od fuego i poprosił Marię-Chjarę, żeby usiadła na miejscu pasażera. Taka mała przejażdżka, kilka kilometrów, w stronę Galerii, parę ostrych zakrętów, żeby udowodnić swojej ślicznotce, że panuje nad pojazdem, że nie potrzebuje świstka papieru, żeby trzymać kierownicę, że jeździ ostrożnie.

Ludożercze owady wspinały się po udach Clotilde. Innym udało się dostać do płuc, kłębiły się tam całe ich roje, blokując jej oddech.

– Wrócili po dziesięciu minutach. Nicolas zaparkował fuego dokładnie w tym samym miejscu. Oboje wysiedli. Miałem wtedy dyżur w recepcji kempingu, byłem jedyną osobą, która ich widziała.

Owady, stłoczone w górnej części tchawicy Clotilde, przepuściły tylko śmieszny cienki głosik.

– Co widziałeś?

– Widziałem ich i słyszałem. Nicolas schylił się, żeby zajrzeć do silnika samochodu, po czym zapewnił Marię-Chjarę: „Nic się nie stało, nic się nie stało”. Kiedy zbliżył czarne od brudu ręce do jej białej koronkowej sukienki, Maria się cofnęła, tak jakby był zadżumiony, i wygarnęła mu kilka słów prawdy. Słuchałem ich i rozumiałem, co się stało.

Clotilde przełknęła ślinę. Tysiące odnóży kłębiły się w jej gardle, podchodziły do skroni, żądła przekłuwały jej bębniaki ogłuszającym brzęczeniem. Jednak nie dość głośnym. Nie dość głośnym, by zagłuszyć słowa, których nigdy nie chciała usłyszeć.

– Nicolas wypadł z drogi! Przed trzecim zakrętem pojechał prosto przed siebie i uderzył dolną częścią nadwozia fuego w skały tarasu widokowego Capo

Cavallo. One go zatrzymały, samochód o mało nie został unieruchomiony. Nicolas musiał forsować, cofać na siłę, nie wiedząc, co trze, co się rusza i wykrzywia, co się odrywa pod maską, pod kołami, skąd ten potworny hałas żelastwa, który niesie się po górach.

Pluć. Wymiotować. Rozpuścić owady w magmie kwasu żołądkowego.

– Skojarzyłem dopiero po paru dniach, kiedy kilku tutejszych gości zaczęło napomykać po cichu o rozpiętym drażku kierowniczym, o końcówce, która wypadła, o odkręconej nakrętce.

Clotilde zwymiotowała prosto przed siebie, na starą winylową posadzkę domku, na swoje torby z papryką i marynowaną wołowiną, na swoje buty. Cervone nie odwrócił wzroku.

Nie wierzyć mu.

Ani przez chwilę nie wyobrażać sobie, że to może być prawda.

Że Nicolas mógł nic nie powiedzieć, nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa, że wołał odłożyć po cichu kluczyki od samochodu i nie narażać się na opieprz.

– Chciałaś znać prawdę, Clotilde. Prosiłaś mnie o nią. Przykro mi.

Nicolas ukazał się jej przed oczami, jego twarz na kilka chwil przed uderzeniem, tuż przed tym, kiedy fuego znalazło się w stanie nieważkości nad przepaścią. To uporczywe wrażenie, które prześladowało ją przez wszystkie te lata: Nicolas wiedział. Nicolas wiedział coś, czego ona nie wiedziała. Nicolas nie zdziwił się, kiedy samochód nie skręcił, tak jakby zrozumiał, dlaczego umrzemy.

Oczywiście wszystko stawało się jasne.

To on ich wszystkich zabił!

»

– Nie jesz?

W pytaniu Francka była jakaś forma ironii.

Clotilde wszystko wywaliła, papryki, żeberka wołowe *stufatu*, egzotyczne owoce. Obiecana uczta usługowej małżonki zamieniła się w kostki szynki, pokrojone pomidory i kukurydzę z puszki, ledwo odsączoną.

Franck wręczył Valou dwadzieścia euro, żeby poszła kupić w recepcji pudełko frytek, kawowe lody Magnum, Cornetto Strawberry, a ty Clo, co zjesz?

– Dziękuję. Dla mnie nic.

Clotilde postanowiła nic nie mówić. Nie od razu. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Miała tylko jedno pragnienie.

Paść w solidne ramiona. Walić z całych sił obydwoma pięściami w tors mężczyzny, wypłakać potok łez w zagłębieniu jego ramienia, przeklinać życie, wyjąc w ucho czyjejś twarzy, która by jej szeptała w odpowiedzi kojące słowa

miłości. Oddać się całkowicie mężczyźnie, który ją zrozumie, a potem będzie milczał, który będzie ją kochał.

Franck nie był tym mężczyzną.

Wstała, zebrała talerze, sprzątnęła ze stołu, chwyciła gąbkę, wanienkę do naczyń, ścierkę.

– Idę na grób rodziców. Tylko pozmywam. Taras widokowy Marcone. Nie będę tam długo.

»

Korsykanie wierzą w duchy. Świadczą o tym ich groby. Bo inaczej po co budowałiby takie monumentalne grobowce? Rodzinne mauzolea, nieraz jeszcze bardziej okazałe niż domy, w których mieszkali? Dlaczego mieliby wyznaczać najpiękniejsze tereny pod te wspaniałe daczki, w których siedem pokoleń przechowuje w ścisku swoje szkielety? Po co wybieraliby dla swoich cmentarzy najpiękniejsze panoramy, jeśli nie po to, żeby zmarli też mogli cieszyć się z nadmorskiej mgły na linii grzbietu górskiego, z sylwetek dzwonnicy na zboczach górskich, z zachodów słońca nad cytadelą w Calvi? Przynajmniej ci, którzy mają na to środki, nie ci relegowani w głąb cmentarzy, w niezacienione żwirowiska, w koryta wezbranych wód i rumowisk, gdzie każda burza grozi zalaniem grobów potokami błota, o ile nie porwaniem trumien.

Grobowiec rodziny Idrissich mógł po wsze czasy lekceważyć zakłócenia pogodowe. Wznosił dumnie ponad mur cmentarza Marcone swoją lazurową kopułę, swe kolumny korynckie, aby żaden przechodzień zdążający drogą nad urwiskiem nie mógł zapomnieć tego nazwiska i tego sławnego rodu. Wśród najstarszych Idrissich figurowali admirał (1760–1823), poseł (1812–1887), pradziadek Clotilde Pancrace (1898–1979).

Jak również trójka anonimowych.

Paul Idrissi (1945–1989)

Palma Idrissi (1947–1989)

Nicolas Idrissi (1971–1989)

Natale czekał w głębi cmentarza, niewidoczny z drogi, w cieniu muru z gipsu i cementu. Clotilde padła mu w ramiona, płakała, płakała, płakała, osunęła się w końcu pod najbliższe drzewo, cis z pniem skrzyconym od wiatru wiejącego od morza, nie zważając nawet na płaskie igły kłujące ją w gołe uda. Cmentarz był pusty, wyjąwszy starą kobietę pochyloną nad najdalej położonymi grobami, która z trudem dźwigała konewkę napełnioną właśnie u źródła.

Clotilde w końcu przemówiła. Natale usiadł obok i trzymał ją za rękę. Ich ciała się nie dotykały, tylko palce były złączone. Clotilde wyrzuciła z siebie wszystko. Rewelacje Cesareu Garcii na temat samochodu jej rodziców, swoje życie, które było jak wielka camera obscura, miłość do Francka, która się strzępi,

córka, która jej się wymyka, która nigdy nie będzie do niej podobna, tak że nawet zaczyna się zastanawiać, czy naprawdę ją kocha, a również przeszłość, ta przeszłość, która była jak jarzmo, matka, o którą była zazdrosna, ojciec, którego uwielbiała, ten facet, który przemawiał do delfinów i którego nigdy nie zapomniała (zaraz po tym, jak to powiedziała, pocałowała go), i jej brat Nicolas, jej starszy brat, który wprowadzał ją w życie, torując jej drogę, nosząc ją na barana, kiedy zbocze było zbyt strome, ucząc chodzić na skróty, ten brat, który ją porzucił tu na Revellacie, który ją prosił o zachowanie tajemnicy, który nie ośmielił się mówić, wołał bez słowa wsiąść do samochodu, jak się okazało, śmiertelnej pułapki. Nieświadomość, to było to, nieświadomość.

Clotilde wyrzuciła z siebie wszystkie lęki, wszystkie urazy, tak jakby ważyły tonę, a wydalając je, stawała się z powrotem lżejsza. Zresztą ręka Natalego trzymała ją tak, jak się trzyma balon napęczniony helem, trochę za mocno, tak jak się chwyta zbyt słabe stworzenie.

Grób Idrissich był cały w kwiatach. Bukiet dzikiej róży, lilii, storczyków, w większości świeżo ściętych. Najbarwniejszy z całego cmentarza. Cassanu i Lisabetta nie byli z tych, co by kazali duchom Idrissich, od dalekiego admirała po ich syna jedynaka, wdychać zapachy zwiędłych kwiatów stojących w wazonach z gnijącą wodą. Przed nimi w pełnym słońcu zbliżała się stara kobieta z konewką.

Clotilde w dalszym ciągu zastanawiała się, wykręcając palce Natalego, jej ciało zdawało się chcieć odzyskać wolność, dlaczego Nicolas nic nie powiedział. Rozsądny Nicolas, mądry Nicolas, Nicolas niczym kowadło, który znosił ciosy wszystkich, Nicolas wzór, Nicolas prosty jak I, okrągły jak O, przystojny, miły, Nicolas, który miał wszystko dla siebie. Dlaczego Nicolas ukradł kluczyki do fuego? Prowadził samochód bez prawa jazdy? Miał ten szalony plan nocnego wypadu do lokalu?

Odpowiedź była prosta, okrutna, żalosna, godna pogardy, plugawa.

Dla jednej dziwki. Żeby zaimponować dziewczynie, której nawet nie kochał. Żeby potrzymać w rękach dwie piersi. Żeby wpakować swojego penisa do waginy, która odmawiała innym, ale może nie jemu. Bo mózgowiec Nicolas był jednak tylko zwierzątkiem, tak jak wszyscy inni mężczyźni, i wszystkie jego zasady, cała edukacja, wszystkie lektury i jego kultura nie stanowiły przeciwwagi dla kształtów opalonego ciała, dwojga oczu pantery utkwionych w jego oczach, rozchylonych warg pełnych niemych obietnic. Tak, to było żalosne. Nicolas zabił ojca i matkę, zabił siebie, ją skazał na dożywocie, żeby po raz pierwszy posiąść dziewczynę, dziewczynę, która na to nie zasługiwała, nawet zresztą nie dziewczynę, tylko jej ciało, tylko materialny obiekt, w najlepszym razie lalkę.

Przypomniała sobie przerażone spojrzenie Marii-Chjary pod drzwiami jej przebieralni w ten wieczór, kiedy wypowiedziała imię Nicolasa, wspomniała o wypadku. Jej milczenie. Jej odmowę. Jej ucieczkę. Rozumiała, teraz rozumiała,

jak bardzo ta tajemnica musiała ciążyć Marii-Chjarze. Jej, która o nic nie prosiła! Jej, która to wszystko spowodowała. Która nie zrobiła nic innego, tylko rzuciła peta. Cóż mogła poradzić, że świeciło słońce, że wiatr rozwiewał suche trawy i martwy las?

Pyrowoman, a jednocześnie niewinna.

Nie będziemy potępiać przedmiotu, nawet lalki.

– Przyrzeknij mi, Natale. Przyrzeknij mi, że nie wszyscy mężczyźni są tacy, że...

Ich usta zatrzymały się kilka centymetrów od siebie.

– Przepraszam.

Polewaczka starej kobiety zostawiała za sobą krople wody, które po kilku sekundach zniknęły jakby za sprawą magii na brunatnoczerwonej polnej drodze. Clotilde rozpoznała jej twarz w czarnym woalu, tego samego koloru co jej suknia.

Speranza. Czarownica z Arcanu. Babka Orsu. Kobieta do wszystkiego Lisabetty i Cassanu.

Nie raczywszy nawet na nich spojrzeć, Speranza wylała wodę z jednego z pięciu wazonów stojących na grobowcu, wyjęła z niego wszystkie kwiaty po kolei i z niezwykłą delikatnością napełniła wazon świeżą wodą, przebrała kwiaty, urwała kilka liści, z głębi kieszeni wydobyła sekator i przycięła kilka zwiędłych łodyg, po czym powoli podeszła do drugiego bukietu.

Nagle, jakby jej precyzyjne i mechaniczne gesty skrywały jakieś intensywne wahanie, odwróciła się.

Jej słowa wdarły się w ciszę.

– Nie powinnaś tu być!

Clotilde zadrżała.

Speranza patrzyła tylko na nią, tak jakby Natale nie istniał. Odstawiła konewkę i przejechała powoli palcem po literach wykutych na mauzoleum.

Palma Idrissi (1947–1989)

– Ona też!

Wydawało się, że Speranzę najtrudniej było wypluć z siebie pierwsze słowa, tak jak bąbelki alkoholu pod korkiem, który trudno wyciągnąć. Buchnęły następne słowa.

– Ona nie powinna tu być. Nie ma tu miejsca na jej imię wyryte razem z nazwiskiem Idrissich. To nie ja jestem *streia*, czarownica z gór, to twoja matka! Ty nic nie wiesz, nie było cię jeszcze na świecie (zrobiła pospiesznie znak krzyża), ale twoja matka rzuciła na niego urok.

Oczy Speranzę utkwione były w napis *Paul Idrissi* wykuty na grobowcu.

– Wierz mi, kobiety są do tego zdolne. Twoja matka rzuciła urok na waszego ojca i odkąd nad nim zapanowała, ukradła go nam. Uprowadziła go w swoich sidłach daleko, z dala od wszystkich, którzy go kochali.

Daleko, pomyślała Clotilde, to znaczy do Vexin, garbatego czy nie, na północ od Paryża, żeby sprzedawać tam hektary trawników. Nigdy się nie zastanawiała, do jakiego stopnia wybór życiowy ojca musiał być dla jego rodziny trudny do zaakceptowania.

Natale ścisnął jej rękę, kojący i ostrożny, nie wtrącając się. Speranza wylała ze wściekłością wodę z drugiego wazonu; zwiędłe płatki spadły niczym pastelowe konfetti na jej czarną sukienkę.

– Gdyby twój ojciec jej nie spotkał – ciągnęła Speranza, wywijając sekatorem – ożeniłby się tutaj. Miałby dzieci tutaj. Tutaj by założył rodzinę. Gdyby twoja matka nie wylądowała tutaj prosto z piekła, żeby go porwać i tam ze sobą zabrać.

Jej ręka ścisnęła głowy trzem różom, dwóm pomarańczowym liliom i dzikiemu storczykowi. Głos po raz pierwszy jej złagodniał.

– Ty nie jesteś niczemu winna, Clotilde. Jesteś cudzoziemką. Nie znasz się na Korsyce. Nie jesteś podobna do swojej matki. Twoja córka tak. Twoja duża córka jest taka jak ona i też stanie się czarownicą. Ale ty masz takie oczy jak twój ojciec, taki sam sposób patrzenia na sprawy, wierzenia w to, w co inni nie wierzą. Do ciebie nie mam żalu.

Oczy Speranzy po raz pierwszy zatrzymały się na Angelim. Jej pomarszczona i nerwowa ręka zacisnęła się na sekatorze, który otwierał się i zamykał w pustce, jakby tnąc tlen, którym oddychali. Potem zdecydowanym ruchem oparła ostrze narzędzia na marmurze grobowca, przejechała nim, zazgrzytała, starając się wymazać imię Palmy Idrissi z grobowej płyty. Stał sekatora zostawiła białą szramę w szarym kamieniu, dwie litery się wykruszyły, A i M.

Oczy starej kobiety podniosły się w górę na napis wykuty powyżej.

Paul Idrissi

Speranza znowu się przeżegnała.

– Paul powinien być żyć tutaj, gdyby twoja matka go nie zabiła. Żyć tutaj, rozumiesz? Żyć tutaj. A nie wrócić, żeby tu umrzeć.

»

Natale odprowadził Clotilde do samochodu. Kiedy już wyszli z cmentarza, jakby wypędzeni przez ducha, któremu zakłócono spokój, stara Speranza pomstowała jeszcze, znieważając pamięć Palmy.

Długo się całowali koło otwartych drzwi passata. Betonowa balustrada stojąca wzdłuż drogi przywodziła na myśl peron na dworcu, można było prawie pomyśleć, że zaraz da się słyszeć dźwięk gwizdka zapowiadający odjazd pociągu. Clotilde zdobyła się na dowcipkowanie.

– Moja matka chyba nie bardzo była tutaj ceniona. Nie bardziej za życia niż

jako duch. Ty byłeś jedynym Korsykaninem, który ją kochał, można powiedzieć...

– Nie jedynym. Twój ojciec też ją kochał.

Zabolało!

– Muszę już jechać.

Ostatni pocałunek. Na peronie Morza Śródziemnego.

– Rozumiem, zadzwonię...

Ośmieliła się zadać ostatnie pytanie. W końcu to ona prowadziła parowóz.

– Nienawiść Korsykanów, Natale, nienawiść Korsykanów do mojej matki, kiedy ona i ty byliście, powiedzmy, bardzo sobie bliscy. Twoja opuszczona łódź. Twoje małżeństwo z córką gliniarza, czy to ma coś wspólnego z tą historią? Z tym ciężarem, z tą presją, z tym, że wszystkie stare Korsykanki groziły, że rzucą na ciebie urok?

On tylko się uśmiechnął.

– Jedź, moja księżniczko, jedź do swojej wieży, w której jesteś zamknięta. Uciekaj, podczas gdy twój rycerz zatrzyma czarownice.

»

Clotilde prowadziła samochód z oczami wilgotnymi od łez. Skały zmieniały kształty, osuwały się, jak rozcieńczone w morzu. Na każdym zakręcie drogi widać było cypel Revellaty zatopiony we mgle, która istniała tylko w jej spojrzeniu. Wilgotny krajobraz się rozmywał, mokre słupy elektryczne skręcały się, ale Clotilde prowadziła na tyle wolno, mniej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, że mogła rozpoznać twarz Marii-Chjary na plakatach przyklejonych na co drugim słupie.

Koncert przebojów z lat osiemdziesiątych, Tropi-Kalliste, 22 sierpnia, plaża Oscelluccia.

Pojutrze... ten sam program co cztery dni temu. Cervone nie miał żadnego powodu, by zmieniać dochodową recepturę, zwłaszcza dla letników, którzy rzadko zostawali na dłużej w tym samym miejscu.

Clotilde nie mogła przepuścić takiej okazji! Powinna wrócić i zobaczyć włoską piosenkarkę. Powinna znaleźć sposób, by z nią porozmawiać, by pozbyć się ochroniarza stojącego pod jej drzwiami, wyciągnąć od niej, co się zdarzyło z jej bratem Nicolasem owego 23 sierpnia 1989 roku. Wypadnięcie z drogi, uszkodzony układ kierowniczy, ich zmowa milczenia... Jedynie Maria-Chjara mogła potwierdzić wersję Cervonego. Ale jak ją do tego zmusić? Dla Włoszki takie wyznanie byłoby przyznaniem się do współnictwa, uznaniem po latach swojej bezpośredniej odpowiedzialności za śmierć trzech osób. Na pewno zaprzeczy. Nawet jeśli jakimś cudem uda się Clotilde z nią porozmawiać, to ona zaprzeczy.

Nigdy więc nie pozna całej prawdy.

Łzy płynęły w najlepsze, jechała teraz mniej niż dwadzieścia kilometrów na

godzinę, olbrzymi kamper za nią z rejestracją NL niecierpliwił się, podjeżdżał za blisko, zdawał się gotów zepchnąć ją w przepaść, jeżeli jeszcze zwolni. W głupim odruchu, jakby chcąc oczyścić rozmyty krajobraz, uruchomiła wycieraczki.

I wtedy zobaczyła kopertę na przedniej szybie. Ulotka? Kartka papieru, która trzymała się już tylko pod samym koniuszkiem wycieraczki, po ostatnim jej ruchu odfrunęła.

Clotilde zahamowała gwałtownie.

Holenderski kamper włączył klakson, który był jeszcze głośniejszy niż syrena na promie wpływającym do portu w Bastii, zjechał na bok i ją wyminął, ruda na fotelu pasażera zwymyślała ją po flamandzku, a wszystkie dzieciaki z tyłu przykleiły nosy do szyby i patrzyły na Clotilde jak na dziwne zwierzę.

Ale ona nic sobie z tego nie robiła. Zaparkowała pospiesznie *passata* na poboczu, z dwoma kołami na asfalcie. Zostawiła otwarte drzwi i pobiegła za kopertą, która fruwała od skały do skały. Złapała ją przy krzaku jeżyn, kalecząc sobie ręce, przeklinając swoje szaleństwo. Franck miał rację, traciła wszelkie poczucie miary. Traciła też kontrolę nad emocjami. O mało nie dała się zabić dla jakiejś reklamy – uroczyste otwarcie w najbliższą niedzielę pobliskiego supermarketu albo targowiska, jakiś koncert, może nawet ten koncert Marii-Chjary.

Kawałek papieru!

Ręka jej zadrżała.

Koperta była cała biała, nie licząc dwóch słów.

Dla Clo.

Kobiece pismo. Pismo, które rozpoznałaby wśród wszystkich innych.

Pismo jej matki.

*Poniedziałek 21 sierpnia 1989 roku,
piętnasty dzień wakacji,
niebo niebieskie jak stłuczony kryształ*

– Posłuchałam twoich rad, Basile, wybrałam się z Natalem zobaczyć delfiny. I chyba przesadziłam z gadaniem, możesz mi wierzyć. Bar na kempingu pęka w szwach, to pora aperitif, casanis i pietra leją się strumieniami; na półmiskach leży tyle oliwek, że chyba wszystkie drzewa oliwne we wschodniej części wyspy zostały ogołoczone.

Jest tu ze dwudziestu klientów. Sami mężczyźni. Więc wszystko im opowiadam, całą przejażdżkę „Aryonem”, z Orofinem, Idril i ich małymi Galdorem i Tatië, potwierdzam, że Natale mówi do nich, pewnie jest trochę magikiem, i jak kto głupi dodaje opowieść o *Wielkim błękanie*, którego żaden z nich nie widział, może z wyjątkiem najmłodszych, którzy zapamiętają zadarty nos Rosanny Arquette i piegi na jej pośladkach.

Go. Go and see, my love![11]

Jestem sprytna, przygotowałam swój numer. Myślę, że zaskakuję trochę tę armię owłosionych, wąsatych, brodatych, brzuchatych bydlaków swoim T-shirtem, który specjalnie wybrałam, jest biało-czarny, z krwistoczerwonym WWF i na dole z pandą bez głowy.

– Najtrudniejszą sprawą w tym projekcie – mówię z niewinną miną, która kontrastuje z moim krwawym ubraniem – będzie nie to, żeby przekonać delfiny, lecz zbudowanie rezerwatu.

Klientów mało to obchodzi, nie wierzą ani w safari z delfinami, ani w zmartwychwstanie morświnów.

– Ja też jestem Korsykanką, tak jak Natale Angeli, więc nie ma mowy o betonie. Trzeba wymyślić coś innego, inne materiały budowlane, drewno, szkło, kamień, coś pięknego! Nie ma mowy, żeby oszpecić krajobraz, to teren Papé.

To mi się udało. Nazwać dziadka „Papé” wobec tych wszystkich mężczyzn, którzy naprawiają świat, Korsykę i makię w oparach anyżu, mirtu i tytoniu. Mam wrażenie, że dla nich Cassanu Idrissi jest kimś w rodzaju głównego generała, którego imienia nie mają prawa wymówić, nie zamieniwszy się w kamienny posąg. Ja pojawiając się na wyspie z tym swoim wyglądem zombi, a ich najwyższy imperator zostaje nazwany przeze mnie Papé!

A i tak... Nie wyciągnęłam jeszcze swojej tajnej broni.

– Na szczęście – mówię wreszcie – będziemy pracować w rodzinie! Papé dostarcza teren, a moja matka, która jest architektem, może zbudować dom dla delfinów.

Waham się, czy powiedzieć więcej. Boję się, żeby to nie było za mocne, zbyt grubiańskie. Ale nie, mężczyźni, którzy w stadzie gaszą pragnienie jak zebrzy wodopoju, rzadko bywają subtelnymi osobnikami.

– Moja matka i Natale chyba dobrze się rozumieją! Macie tu toaletę?

I wesolutka schodzę na dół. Toaleta w tym barze jest trzysta stopni poniżej, na końcu bezkresnego tunelu, prawie tak jakby umieścili sracz aż na kontynencie... Tylko że ja schodzę nie więcej niż dziesięć stopni i czekam, żeby zgasło światło, żeby wejść z powrotem siedem stopni. Dobrze, przyznaję, to beznadziejny wybieg, marny, prawie niezdrowy. No więc na swoją obronę muszę wszystko wyznać.

Tak, jestem zazdrosna! Tak, gdy myślę o mojej mamie, to prawie nabieram chęci zabijania. Tak, chcę wiedzieć, czy moja matka sypia z Natalem. Tak, wolałabym, żeby mama należała tylko do taty, a Natale tylko do mnie. Czekam więc w ciemności, jak ciekawska, trochę bojaźliwa myszka.

Nie tak długo czekam. Mężczyźni, którzy w stadzie gaszą pragnienie, są gadatliwi. W tym punkcie jedyna różnica między mężczyznami a kobietami to może procent alkoholu. Co do reszty, jak tylko zaczynają opowiadać o seksie...

Pierwszy głos atakuje. Głos trochę zbyt ostry jak na człowieka z makii, w rodzaju dźwięków wydawanych przez płaczącego niemowlaka, trochę jak głos Elmera Fudda, głupawego myśliwego z kreskówek Texa Avery'ego.

– Odważny ten Natale. Porywać się na synową Cassanu...

Słyszę grupowe śmiechy, nie do zidentyfikowania. Facet o nosowym głosie kaczora dorzuca swoje.

– Muszę powiedzieć, że z żoną Paula chętnie bym się nawrócił na ekologię.

Milczenie i lekki niepokój wokół misek z oliwkami bez pestek.

– Już dwadzieścia lat ekolodzy chcą odbudować populację wilka – dodaje Kaczor Daffy. – Jeśli to jej wilk, to ja chętnie.

Ale mają ubaw, nie muszę ci mówić. Rozpoznaję głos Basilego, który zaprowadza nieco porządku w lokalu.

– Może on naprawdę potrzebuje architekta – uspokaja szef kempingu. – A nawet jeśli Palma krąży trochę za blisko koło tego ładnego dzieciaka Natalego, to jednak ma jakieś powody...

Malutki myśliwy, który jest chyba w moim wieku i który jeszcze nie przeszedł mutacji, pozwala sobie wtrącić się do dysputy dorosłych. Ten ma głos Ptaśka Ćwirka. Ale jestem mu wdzięczna. Zadaje takie pytanie, jakbym to ja mu je podpowiedziała.

– Dlaczego niby ma mieć jakieś powody?

Kaczor Daffy najwyraźniej szykuje kolejną świetną ripostę. Pęka ze śmiechu, jeszcze zanim rzuci odpowiedź, która zdaje się, jest jedną z jego ulubionych.

– Wiesz, mały, mamy tutaj takie powiedzenie: Na Revellacie pasterze spędzają swoje zwierzęta w zimie, a swoje kobiety w lecie, kiedy Paul Idrissi schodzi z promu.

Śmiechy buchają mi prosto w twarz niczym podmuch od bomby.

Elmer rzuca kolejny granat, zanim zdążę odruchowo wcisnąć głowę, twarz, uszy w ramiona.

– Trzeba go zrozumieć. Paul nudzi się tam ze swoimi paryżankami, które się chowają w metrze. My na naszej pięknej wyspie przez cały rok mamy zwierzynę łowną na wolności.

– Mimo to jednak to on zdobył najpiękniejsze trofea, chociaż poluje tylko dwa miesiące w roku.

– Mógłby się podzielić z kumplami, przecież daje się psom odprawę.

Nalot bombowy. Wokół mnie walą się mury. Rozlega się syrena, ale nie mogę się ruszyć, uciec, schronić się w jakimś zacisznym miejscu. W szczelnej komorze. W ciszy.

W tym zaćmieniu wynurza się głos Basilego.

– Palma jest przecież ładna...

– Tak. – Odbezpiecza znowu zawleczkę kaczor. – On jej pokazał swoje delfiny, a ona mu pokazała fiszbiny... te od góry kostiumu kąpielowego.

Wybuchy śmiechu, tysiące wybuchów, które trafiają w moje rozszarpane ciało.

– Mimo wszystko – ciągnie Elmer – Natale mógłby sobie znaleźć młodszą. A zwłaszcza mniej zamężną...

Nagle cisza.

– Ciii – szepce jakiś głos.

Przez chwilę myślałam, że mnie namierzili. Ale nie, sekundę później słyszę krzyki niemowlaka. Jedyne znany mi noworodek to mały niepełnosprawny chłopczyk, którego babcia, ta, która sprząta u mojego dziadka i babci, wozi wszędzie w wózku.

Skończone.

Żadnego hałasu więcej.

Schodzę, zataczam się na każdym stopniu czarnych schodów, zagłębiam się w tunel bez końca, trwa to całą wieczność, przemierzam po omacku to, co zostało jeszcze z mojego dzieciństwa, a kiedy dochodzę do toalety, upłynęło już prawie całe życie, zamykam się w niej z wrażeniem, że przeszłam na drugą stronę Morza Śródziemnego, ludzkości, Drogi Mlecznej. Siadam na muszli klozetowej, nie zapaliwszy światła, zadowolając się odrobiną jasności; wydaję notatnik i zapisuję

wszystkie słowa, które właśnie buchnęły w ciemności, kreślę litery, z odnóżami, które zdają się żywe, ruchliwe.

Przepisuję.

Linijki, mnóstwo linijek. Żeby się ukarać. Żeby zmazać rodzinną winę.

Przepisz. Przepisz mi to milion razy.

Mój ojciec zdradza moją matkę.

Mój ojciec zdradza moją matkę.

Mój ojciec zdradza moją matkę.

Mój ojciec zdradza moją matkę.

Mój ojciec zdradza moją matkę.

* * *

Były tego trzy strony.

Przewracał je, bawiło go to.

Gdyby kiedyś ten dziennik został opublikowany, ile z tego wydawca ośmieliłby się zachować?

11 Dialogi z filmu *Wielki błękit*, op. cit.

15.00

Samochody jechały, wyjąc klaksonami, zbaczając w stronę przepaści, urągając nieprzytomnej właścicielce zaparkowanego passata, który zajmował połowę szerokości tej nadbrzeżnej drogi z kiepską widocznością.

Clotilde ich nie słyszała.

Trzymała w palcach kopertę, jakby ją piorun poraził. Otworzyła ją delikatnie.

Czytała, odcyfrowywała, z powolnością dziecka z pierwszej klasy, słowa skreślone pismem emerytowanej nauczycielki.

Moja Clo!

Dziękuję, dziękuję, że się zgodziłaś. Dziękuję, że byłaś pod dębem. Bo inaczej nie wiem, czybym cię rozpoznała. Stałaś się bardzo ładną kobietą. Twoja córka również, może jeszcze piękniejszą. Chyba jest do mnie podobna. Przynajmniej jest podobna do kobiety, którą byłam.

Tak bym chciała z tobą porozmawiać.

Dziś wieczorem. Dziś wieczorem jest to możliwe, jeśli zechcesz.

O północy stań na ścieżce, która prowadzi do Casa di Stella.

Zaczekaj tam. On przyjdzie i cię poprowadzi.

Ubierz się ciepło, pewnie będzie trochę zimno.

On cię zaprowadzi do mojego czarnego pokoju. Nie będę mogła otworzyć ci drzwi. Ale może ściany będą dość cienkie, żebym mogła usłyszeć twój głos.

Do północy. Przy świetle Betelgezy.

Całuję cię.

P.

»

Przez całą resztę dnia Clotilde zmuszała się do wesołości.

Franck nie zrobił żadnej uwagi na temat jej milczenia przy stole podczas obiadu, na temat tej nagłej chęci pójścia na grób rodziców, na temat jej zmian nastroju, zapomnianego telefonu komórkowego ani wiadomości, które mógł w nim przeczytać. Popołudnie spędzili jak dzień na przepustce w czasie wojny, niespiesznie, ale nie delektując się nim naprawdę. Siedzenie na plaży aż do

znudzenia, powrót na piechotę, rozwieszanie mokrych ręczników, wymiatanie piasku z tarasu, obieranie owoców na sałatkę i uznanie za prawie przyjemny tego czasu straconego na codzienne obowiązki, które zazwyczaj zaprzatają nam głowę.

Clotilde pozwoliła sobie przejechać ręką po ramieniu Francka. Patrzyła na niego niemal z rozczeniem, kiedy klęczał, walcząc z koloniami mrówek, które codziennie otwierały nowe drogi do półek ze śniadaniem, ustawiając wszystko, cukier, kawę, herbatniki, sprawdzając szczelność opakowań i dociskając każdy węzeł każdej torebki. Jak mały chłopczyk prawie bezbronny wobec podstępnych i nieustępliwych owadów.

Clotilde trzymała rękę na jego nagim ramieniu. W jej głosie było trochę poczucia winy, trochę strachu i dużo strategii. Nie w związku z Natalem, nie w tym momencie, w związku ze spotkaniem o północy.

To wszystko było również w jej głosie.

– Potrzeba mi tylko trochę czasu, Franck. Niedługo ci wytłumaczę. Dostałam informacje. Nowe informacje.

Zawahała się, może za bardzo, ale Franck przykucnął, odwrócony do niej tyłem, i przemawiał do mrówek.

– To nie żadne historie z duchami, Franck, mówię ci. Sama prawda. Stare zdjęcia, relacje, brutalna prawda.

Zawahała się, schyliła i pocałowała go w szyję. W tym momencie okazała się dziwnie szczera. Bardziej niż przedtem, zanim się zjawił kochanek. Franck się odwrócił, popatrzył na nią przez długą chwilę, jakby starał się zrozumieć jej myśli, obserwując kolonie mrówek przemierzających mózg tej wariatki, z którą się ożenił, jakby mówił sobie, że jej szalone myśli też można chronić, umieszczając je w hermetycznie zamkniętych torebkach.

– Jak chcesz, Clo. Jak chcesz.

»

Czy to pułapka?

Clotilde gubiła się w myślach.

– Podasz mi majonez, mamó?

O północy stań przy ścieżce, która prowadzi do Casa di Stella.

Zaczekaj tam. On przyjdzie i cię poprowadzi.

– Dziewczyny, to jedziemy jutro na żagle?

Tak bym chciała z tobą porozmawiać.

Dziś wieczorem. Dziś wieczorem jest to możliwe, jeśli zechcesz.

Czy to nowa ordynarna pułapka, w którą wpadnie, pędząc na oślep?

Rondo pytań w jej głowie kręciło się jak w farandoli, pytań, które ktoś rozmyślnie wywołał, po kolei, z premedytacją: ta pierwsza koperta w bungalowie C29, kradzież jej dokumentów, ten pies, który nosił imię jej psa z innego życia, to

śniadanie na stole, ten nowy list na przedniej szybie samochodu...

– Clo, Valou, słyszycie? Zarezerwowałem czterystasiedemdziesiątkę na cały dzień. Zobaczycie, będziecie zachwycone. Wiatr, cisza, wolność...

Wynurzenia Cervonego nie dostarczały żadnej odpowiedzi na te pytania, chociaż w dalszym ciągu rozdzierały jej serce, chociaż ostatnie spojrzenie Nicolasa wciąż ją prześladowało, to spojrzenie, które mogła teraz zinterpretować: zrozumiał, że jest mordercą, i w tej samej sekundzie, że umrze, ponosząc karę. Jak to wytłumaczyć, jaki może istnieć związek między tymi dwoma szaleństwami, planem Nicolasa, żeby uwieść Marię-Chjarę, a tymi listami z zaświatów?

Jedyne wytłumaczenie, myślała Clotilde. Jedno jedyne, jeszcze bardziej szalone.

Jej matka żyje.

»

23.00

Franck, spędziwszy wieczór na sprawdzaniu swojej busoli, map morskich, na przeglądaniu podręczników idealnego marynarza, poszedł spać. Jutro muszą wstać wcześniej. Prawie sześć miesięcy temu zarezerwował tę czterystasiedemdziesiątkę na 21 sierpnia. Franck nie zdawał się na los szczęścia, zasięgnął informacji, zebrał dokumentację, potrenował i jeszcze wczoraj przez dużą część dnia wszystko przeglądał. Clotilde siedziała i liczyła linijki swojej powieści z takim przekonaniem jak ziarnka piasku w klepsydrze, pozwalała myślom błądzić wokół męża, którego jednocześnie obserwowała. Kiedy zna się dobrze tych żądnych przygód ludzi, to w gruncie rzeczy są oni chyba dość nudni. To faceci drobiazgowi, skrupulatni, którzy nigdy nie zdają się na przypadek, nie ruszają w nieznane, wszystko musi być przewidziane, żadnych niespodzianek, niezależnie od tego, czy są alpinistami, surferami czy skipperami.

Patrzyła na męża, jak składa na czworo ręcznik, odstawia miotełkę, kładzie delikatnie swoją czapkę z daszkiem.

Odwrotnie się nie zdarzało.

Wszyscy maniacy nie są facetami żądnymi przygód.

– Idziemy spać?

Frank właśnie skończył odhaczać swoją checklistę jednodniowego marynarza.

– Zaraz przyjdę. Jeszcze trochę poczytam.

– Jutro wstajemy bardzo wcześniej, Clo.

Ledwo ukryty wyrzut. Clotilde przyjęła go z uśmiechem. Zdziwiła ją jej pewność siebie. Jej łatwość kłamania, a przynajmniej niemówienia całej prawdy.

– Wiem... Jutro fundujesz mi dzień opalania na pokładzie swojego statku, bez kostiumu, z troskliwym mężczyzną, który będzie mi podawał mrożone mojito.

Taki właśnie był deal, kiedy robiłeś tę rezerwację w zimie? Kiedy się zgodziłam. Nie zapomniałeś, kochanie?

23.45.

Clotilde położyła otwartą książkę na stole ogrodowym, pozostawiła na swoim miejscu filiżankę herbaty, której ledwie spróbowała, tak jakby chciała dać do zrozumienia, że jest niedaleko, że zaraz wraca. Franck chrapał.

Delikatnie, po cichu oddaliła się w ciemność.

»

Kiedy opuszczała Euproctes i wchodziła na opustoszałą drogę pod oliwkami, ciszę panującą na kempingu od razu zastąpiły odgłosy nocy. Budziły się wszystkie brzydkie i nieśmiałe stworzenia, które boją się słońca. Bojaźliwe myszy polne, szpiegujące sowy, zakochane ropuchy.

Clotilde szła dziesięć minut przy świetle latarki iPhone'a, aż dotarła do ścieżki prowadzącej do Casa di Stella; drogę wskazywała duża drewniana tablica, stojąca na małym ziemnym parkingu.

Clotilde się zatrzymała.

Zaczekaj tam. On przyjdzie i cię poprowadzi.

Ubierz się ciepło, pewnie będzie trochę zimno.

Włożyła bawełniany sweter w kolorze écru, jak mała posłuszna dziewczynka, tak jakby to naprawdę duch jej mamy wydawał te polecenia.

Żałosne!

Zdążyłaby jeszcze pobiec, rozebrać się, przytulić do Francka, pokazać mu ten list, zastanowić się.

Żałosne...

Już sześć miesięcy temu zakreślił w swoim kalendarzu datę 21 sierpnia. Nic nie byłoby w stanie przeszkodzić jej mężowi, by popływał po morzu ze swoją rodziną, nawet ten list. Nawet gdyby mu wyznała, że ma kochankę.

Daleko w lesie skrzeczała ropucha. Zawodzący krzyk miłości albo agonii.

Kochanek, pomyślała znowu Clotilde. Czy nie byłoby najlepszym wyjściem wysłać esemesa do Natalego? Wytłumaczyć mu, co się dzieje, poprosić, żeby zostawił wszystko i przyszedł tu do niej, dotrzymać jej towarzystwa, chronić ją?

Żałosne.

O tej godzinie jej rycerz spał w ramionach córki gliniarza, która kładła się wcześniej, bo o świcie wstawała, żeby stawić się w klinice w Calvi, podczas gdy on odbierał pudła z mrożonymi rybami.

Żałosne.

Całe jej życie było tylko maskaradą. W powieściach, które ośmielają się wymyślać historie równie surrealistyczne jak jej historia, po iluś tam stronach okazuje się, że bohaterka jest szalona, że cierpi na schizofrenię, na rozdwojenie

osobowości, że te adresowane do niej listy sama wymyśliła, sama napisała, sama...

Nie usłyszała żadnego odgłosu, nie dostrzegła żadnego cienia. Po prostu ta noc rozpościerająca się przed nią wydała jej się nagle czarniejsza, głębsza, intensywniejsza, ale nie umiała tego wytłumaczyć.

Światła zatoki w Calvi i latarni morskiej na Revellacie nieoczekiwanie zniknęły.

Pojawiły się nagle z powrotem, gdy gasły gwiazdy jachtów na Morzu Śródziemnym.

Czarna noc się przemieszczała!

Kulejąc, teraz ją słyszała.

Ogromne cielsko, które zasłaniało nocne światła, stało na wprost niej. Clotilde rozpoznała je dopiero wtedy, gdy wycelowwała latarkę w jego nieruchome ramię, w jego szyję, w twarz.

Hagrid... Hagrid, to imię nasunęło jej się mimo woli i bardzo jej się to nie spodobało.

– Orsu? – szepnęła.

Olbrzym nie odpowiedział. Wyciągnął tylko sprawną rękę i popatrzył na nią z przerażoną miną słonia poruszającego trąbą przed myszą, po czym wskazał ścieżkę.

Zapalił dużą latarkę, która oświetlała dziesięć metrów dalej niż telefon Clotilde, po czym pierwszy wszedł na drogę, maszerując z zadziwiającą szybkością mimo sztywnej nogi, używając jej prawie jak laski. Po kilku minutach zeszedł z oznakowanej ścieżki, która prowadziła do Casa di Stella, i zagłębili się w zarośla. Miękkie gałęzie janowców i poziomkowców głąskały ją w ciemności. Wspinaczka zdawała się nie mieć końca. Orsu ani razu słowem się nie odezwał. Clotilde zawahała się na początku ich drogi, czy go nie przepytac.

Dokąd idziemy? Kto na nas czeka? Czy znasz moją matkę?

Nic nie powiedziała, na pewno dlatego, że wiedziała, że Orsu jej nie odpowie, a może też żeby nie zakłócić uroczystej powagi chwili, tak jakby ten marsz musiał się odbywać w milczeniu, by można było w pełni docenić jego sens, jego cel, jego głębokie znaczenie. Żeby pojawiła się jakaś wewnętrzna pewność.

Ta, która na nią czeka, to jest jej mama.

Zaprowadzi cię do mojego czarnego pokoju.

Któż inny mógłby użyć tych słów?

Przeszli przez małą rzeczkę i wspięli się po stromym zboczku porośniętym niskimi zaroślami. Orsu często się odwracał, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie. Clotilde instynktownie robiła to samo. Niemożliwe, żeby ktoś za nimi szedł! Ich latarki świeciły im pod nogi, szli teraz prawie sto metrów nad ścieżką, nie sposób było w tej czarnej nocy posuwać się naprzód bez światła. Każde inne światełko, nawet w oddali, dałoby się zauważyć, tak jak Gwiazda Wieczorna po

zachodzie słońca.

Jedno jest pewne, pomyślała Clotilde. Są sami.

Po drugie: ona postradała zmysły.

Z własnej nieprzymuszonej woli zagłębiała się w makię, aby odpowiedzieć na wezwanie zza grobu, w towarzystwie kulawego i milczącego ogra, któremu zaufała od pierwszej chwili. Pielgrzymka do miejsca, rytuału, Boga, o którym nic nie wiedziała, trwała jeszcze ponad godzinę.

Posuwali się teraz po zboczach wzgórza wśród niskich, gęstych chaszczyc. Na wprost nich odległa oświetlona cytadela w Calvi wydawała się ufortyfikowaną wyspą połączoną z ziemią jedynie przez sznur neonów portowych barów. Szli jeszcze długie minuty zwróceniem tyłem do morza, znowu zagłębili się w las, po czym doszli do małej polany. Orsu oświetlił drogę prowadzącą przez dywan kwiatów czystka, wszedł po kilku schodkach wykutych w zboczu i stanął. Poświecił przed sobą latarką.

Serce Clotilde waliło tak, że o mało nie pękło.

Wiązka światła olbrzymia omiatała mały domek pasterski stojący pośród nicości, na pustkowiu, tak jej się przynajmniej wydawało. Może Orsu kazał jej krążyć w kółko nocą, żeby przyprowadzić ją z powrotem nieopodal jej punktu wyjścia. Domek wydawał się dobrze utrzymany, Orsu kierował światło tak, jakby chciał, żeby podziwiać stan budynku, idealnie wyszlifowane suche kamienie, dach z gliny, zamknięte okiennice, drzwi z surowego drewna. Clotilde chciała pobiec w stronę domku, wyrwać mu latarkę z ręki, albo jeszcze lepiej rzucić ją na ziemię i stłuc, żeby sprawdzić, czy pod drzwiami, przez szpary w okiennicach przezierają cienka strużka światła. Ale się powstrzymała.

Bo w środku ktoś mieszkał.

Bo ktoś na nią czekał.

Ona.

Palma.

Mama.

Tuż, tuż, czuła to.

Orsu był jej sprzymierzeńcem.

Nie będę mogła otworzyć ci drzwi. Ale może ściany będą dość cienkie, żebym mogła usłyszeć twój głos.

Przed drzwiami domku teren był pusty. Orsu, jakby czytał w jej myślach, cofnął się o krok i zgasił latarkę. Clotilde szła dalej, mrużąc oczy, aby dojrzeć promień światła, spodziewając się, że zobaczy, jak otwierają się drzwi.

Jak będzie wyglądała jej matka?

Dziwne, ale nigdy nie policzyła, w jakim wieku jest ona dzisiaj. Będzie miała oczywiście siwe włosy, pomarszczoną twarz, przygarbione plecy? Chyba że jej duch się nie zestarzał, że wciąż jest taką wspaniałą kobietą, jaką pamięta,

o którą była zazdrosna, w której Natale był zakochany.

Stałaś się bardzo ładną kobietą.

Twoja córka również, może jeszcze piękniejszą.

Chyba jest do mnie podobna.

Tak, tylko jej matka, tylko jej wiecznie młody duch mógł napisać do córki tak raniące słowa. Zaraz jednak otworzą się drzwi i obie rzucą się sobie w ramiona. Clotilde zrobiła krok do przodu.

Światło nie wydobywało się z domku na wprost niej ani z latarki Orsu z tyłu. Padło na nią z boku, na samą skroń, potem zatrzymało się między jej oczami, niczym celownik snajpera.

Kroki.

Szybkie. Nerwowe. Zdyszane.

Dudnienie stóp, zadyszka, podniecenie, wszystko w zbliżającym się cieniu zdradzało taką wściekłość, że mógłby on połamać po drodze gałęzie, skruszyć kamienie pod nogami.

Gorzej niż wściekłość, nienawiść.

W jej stronę pędziła bestia. Wściekła bestia.

To była pułapka. Orsu zniknął. Po prostu przyprowadził ją w to miejsce dla kilku banknotów.

Zostało jej tylko trzydzieści metrów do przejścia, ale nie dojdzie nigdy do drzwi tego domku pasterskiego. Bestia nagle stanęła na wprost niej.

Clotilde ją rozpoznała.

Nie pomyliła się ani co do wściekłości, ani co do nienawiści.

A przecież nie dało się iść za nimi przez zarośla; bestia czekała na nich tutaj...

Skąd wiedziała?

Teraz to już nieważne. Clotilde była stracona.

Mój ojciec zdradza matkę

Przeleciał wzrokiem słowa, linijki, całe strony zapisane recto verso, powtarzające to proste zdanie w nieskończoność, po czym ostrożnie przyjrzał się czarnym rysunkom w zeszytach, pająkom, pajęczynom, jak gdyby wyschnięty atrament mógł go ukąsić mimo upływu tylu lat.

Charakter pisma uspokajał się. Strona po stronie. Jak gniew, który powoli się wycisza.

Ale nie jego gniew.

* * *

*Poniedziałek 21 sierpnia 1989 roku,
piętnasty dzień wakacji,
niebo niebieskie jak wypatroszony śmietnik*

Zdradzam

Zdradasz

On albo ona zdradza

Jestem na plaży, przewracam strony.

Mama się opala, a tata śpi.

Tata nalegał, żeby nas zabrać na plażę w zatoczce Port'Agro, nad niemal sekretną zatoczkę ukrytą za skałami Petry Cody. Żeby się tu dostać, trzeba pójść ścieżką dla osłów i kóz pośród makii, wspinając się nieco pod górę, przeciskając między igłami jałowców, które kłują człowieka bardziej niż cały regiment komarów, minąć zrujnowaną genueską wieżę, potem iść niemal kilometr w słońcu bez odrobiny cienia, wykręcając sobie kostki na zakurzonym stromym zboczu, pokonać piaszczystą drogę i dopiero wtedy, za ostatnimi wydymami, wyłania się słynna rajska plaża, do której w ciągu dnia odważyło się dotrzeć mniej niż dziesięciu piechurów.

Niemal niedostępna, wyobraź sobie!

Ostatni wysiłek, zanim zaczniemy odgrywać Robinsonów w raju...

I wtedy, przysięgam ci, że to prawda, na plaży widzę setki turystów. Na wprost nas horyzont zasłaniają nam żaglówki, jachty, motorówki Zodiac, naliczam ich dziesiątki, zakotwiczonych za linią boi, która wyznacza obszar kąpieliska. Kadłuby i białe żagle statków zanieczyszczają pejzaż tak samo jak podarte skrawki

papieru rzucone do rynsztoka. Bawić się w Robinsonów? To chyba żart! Chyba że w wersji korsykańskiej, latem. W Robinsona, który wysłał tysiące butelek w morze, i co za pech, wszystkie zostały znalezione!

Zdradzamy

Zdradzacie

Oni albo one zdradzają

Palma Mama położyła swój ręcznik naprzeciwko największych jachtów. A my za nią. „Blu Castello”, patrzę na jego polakierowany pokład od trzech godzin, na panią z pieskiem chihuahua, na pana w panamie, na Gina w marynarskiej bluzie i czapce kapitana, na grubą Teresę, która nosi miotełkę i ręczniki, na nastolatkę w moim wieku, która nie ruszyła się ze swojego leżaka, i moja ocena jest nieodwołalna.

Na jachcie jest cholernie nudno!

To prawda, gdy się o tym pomyśli, najmniejsze miejsce na najbardziej głównianym kempingu jest większe od najogromniejszego statku wycieczkowego. Przecież nawet na jachcie długim na trzydzieści metrów dość szybko człowiek zaczyna chodzić w kółko. Trochę tak jak w bungalowie, w którym byłby zamknięty na całe lato. I nie ma mowy, żeby się odizolować, żeby otworzyć bulaj i wymknąć się na podryw albo żeby trzasnąć drzwiami i dać nogę, dookoła jest woda, wyłącznie woda, kilometry wody. Im dłużej patrzę na „Blu Castella” zacumowanego na morzu, tym mocniej pojmuję tę szaloną oczywistość: ci, co na tej ziemi posiadają najwięcej forsy, zamykają się w więzieniach, więzieniach, które sami sobie kupili, więzieniach, które kosztują miliony, tylko dlatego, że jak się ma grube miliony, to nie można chodzić pieszo na plażę, spać na kempingu obok rodziny z płaczącym niemowlęciem, dzielić zapachu smażonych kiełbasek. A ponieważ to oni czują się najbardziej zażenowani, opuszczają wyspę, udają się na wygnanie. Ja w gruncie rzeczy sądzę, że to raczej spoko, że się arystokratów wrzuca z powrotem do wody, chociaż psują trochę człowiekowi horyzont.

Nastolatek na „Blu Castello” wstał z leżaka, przeszedł kilka kroków, zamienił parę słów z rodzicami, którzy stoją przytuleni na pokładzie, przeszedł od lewej do prawej burty ze trzy albo cztery razy, po czym wrócił na leżak.

Nie chciałabym być na jego miejscu. Nawet jeśli jego rodzice się kochają. Może chociaż do tego forsa się przydaje.

Zdradziłem

Zdradzasz

On albo ona zdradzi

Mama śpi, a tata łypie wkoło.

Jak można zdradzić?

Zdradzić kogoś, z kim się żyje. I żyć mimo wszystko?

Czy człowiek zdradza drugiego, bo sam pomylił się? Wybrał niewłaściwą

kobietę, niewłaściwe życie, niewłaściwe marzenia?

Czy ja też wybiorę niewłaściwe?

Czy ja też pewnego dnia kogoś zdradzę?

północ

– To ty?

– Spodziewałaś się kogoś innego?

Clotilde wahała się, czy odpowiedzieć, czy wykrzyknąć swoją złość w ciemność.

Stali na wprost siebie przed pasterską chatą, mierząc siły niczym dwaj prężący pierś bokserzy.

Suka i wilk

Ofiara i drapieżnik

Złodziejka i żandarm

Żona i mąż

Ona i Franck

Kiedy osłupienie minęło, Clotilde spróbowała zebrać myśli rozproszone w głowie niczym stado wróbli po wystrzale z dubeltówki, ustawić jedno za drugim kłębiące się bezładnie pytania. Po pytaniu „Kto?” skupiła się na pytaniu „Skąd?”.

Skąd Franck mógł wiedzieć, że ona tu jest? Że tu będzie, bo przecież nie mógł jej śledzić, nie będąc zauważony w tych zaroślach. A zatem jej mąż czekał na nich pod tą chatą zagubioną w makii; znał miejsce spotkania. Ujrzała go znowu w myślach, jak spał i chrapał, gdy przed godziną na palcach wymykała się z kempingu. Udawał. Wszystko ukartował.

Franck uderzył jednak pierwszy.

– Wystygnie ci herbata. Zostawiłaś ją na stole przed wyjściem.

– Co ty tu robisz?

Wybuchnął śmiechem.

– Nie, Clotilde. Nie, nie tym razem. Nie odwracaj ról.

– Co ty tu robisz? – powtórzyła Clotilde.

– Przestań, Clo... Kiedy złodziej zostaje przyłapany na gorącym uczynku, nie pyta policyjnego patrolu, dlaczego jest na właściwym miejscu o właściwej porze.

– Nie wyszłam za mąż za gliniarza! Więc powiedz mi, skąd wiedziałeś?

– Śledziłem cię.

– Niemożliwe, wymyśl coś innego!

Przez chwilę Franck wyglądał na wstrząśniętego, jakby się wahał, czy nie zawrócić bez słowa. Powstrzymał się.

– Proszę cię, Clotilde...

– Proszę cię, o co?

– Okej, chcesz, żebym postawił kropkę nad i? No to do dzieła. Moja kochana żona przez cały dzień dostaje esemesy i odpisuje na nie; moja kochana żona wymyśla tysiące pretekstów, łącznie z grobem rodziców, żeby móc się spotkać z kochankiem; a ponieważ wciąż mają za mało czasu, moja kochana żona czeka, aż zasną, by pójść spędzić z nim noc.

Clotilde wybuchnęła.

– Chciałeś mnie przyłapać? Tak? Ten list, list, który znalazłam zatknięty za wycieraczkę przedniej szyby, to ty go napisałeś? Wzorując się na pierwszym?

Franck westchnął.

– Naturalnie, Clotilde, jeśli ci tak wygodnie, to myśl sobie, że to ja od samego początku przybieram wszystkie tożsamości, twojego męża, ojca twojej córki, twojej zmartwychwstałej matki... Twojego kochanka. Esesemesy, które wysyłał do ciebie ten Natale Angeli, może też ja napisałem?

Franck grzebał w jej wiadomościach w komórce! Przyznał się. Gorzej, brał za to pełną odpowiedzialność.

– Wiem, że cię rozczarowuję, Clo. Zmuszasz mnie do robienia rzeczy, z których nie jestem dumny. Nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś będę je robił. Tak, grzebałem w twoim telefonie, żeby poczytać, o czym pisze ten Angeli, przynajmniej do chwili, zanim zaczniesz wszędzie zabierać ze sobą komórkę.

Zapłaci jej za to, obiecała sobie Clotilde. Franck zapłaci jej za to. Później! Nie przestając z nią rozmawiać, Franck chwycił Clotilde za ramię i teraz zmuszał ją, by szła z nim na dół. Clotilde opierała się, jak mogła, obserwując pasterską chatę, która była już tylko cieniem w mroku. Orsu rozpląnął się w górach.

Jej mąż winien był jej wyjaśnienie.

– Nie mogłeś mnie śledzić dziś wieczorem, Franck. Nikt by nie zdołał bez światła, które bym na pewno spostrzegła. Znałeś miejsce, do którego szłam. Więc proszę cię, Franck, odpowiedz mi. Muszę wiedzieć, czy to ty wysłałeś ten list, żeby mnie tu zwabić... Czy to ty...

Była u kresu wytrzymałości. Ktoś chciał ją doprowadzić do szaleństwa. Komuś się to udawało.

– Pieprzyć to. Chcę wiedzieć, czy to ty, czy to moja matka do mnie napisała!

Franck spojrzał na nią, osłupiały, niemal przerażony. Cięń pogłębiał ich zmarszczki, wyglądali jak dwoje starych, źle oświetlonych aktorów w czarno-białym filmie.

– Kurwa, Clotilde! Zareaguj! Właśnie daję ci do zrozumienia, że cię zostawię, bo całujesz się z innym facetem, kiedy tylko się odwrócę, bo idziesz

kochać się z tym bydlakiem, kiedy ja już leżę w łóżku. Valou śpi w domu, niczego się nie domyślając. Wszystko właśnie rozwalasz. Wszystko właśnie rozwalamy, jeśli wolisz, tu i teraz, a ciebie interesuje wyłącznie twoja matka. Gorzej, duch twojej matki! Do diabła... – Zaśmiała się na siłę. – Wiem, że istnieją mężczyźni, którzy rzucają żony z powodu teściowej... Ale nie teściowej zmarłej dwadzieścia siedem lat temu.

Znowu się cofnął i pociągnął żonę za ramię; chata zniknęła w ciemnościach.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia, Clo? Do kurwy nędzy, pochowaj wreszcie zmarłych! Nawet jeśli chcesz rozwalić nasz związek, to przecież masz córkę. Nie może ci to zwisać aż do tego stopnia.

W umyśle Clotilde opadła jakaś zasłona.

Mężczyzna, który do niej mówił, który na nią warczał, był zupełnie obcym człowiekiem. To on poderwał ją tamtego wieczoru na imprezie, na której dziwnym trafem przebrany był za Drakulę. To on chciał się z nią ożenić. To on chciał z nią być. Ona od lat jedynie zgadzała się na jego obecność.

Zgadzać się, uśmiechać, milczeć.

– Nie zwisa mi, Franck, jestem kompletnie zdezorientowana. Rozumiesz to? Zdezorientowana! Więc w obecnym stanie mogę ci wszystko wygarnąć: tak, sędzę, że moja matka żyje. A jednak wiem, że to niemożliwe... Boję się już z tobą rozmawiać, Franck. Wiem, kto zabił moich rodziców, kto rozpieprzył układ kierowniczy fuego, kto...

– Mam to gdzieś, Clotilde!

Franck podniósł głos.

– Mam gdzieś ten wypadek, mam gdzieś twoich zmarłych dwadzieścia siedem lat temu rodziców, mam gdzieś twojego brata, którego nie widziałem na oczy. Mam to wszystko gdzieś! Jedyne, co się liczy, jedyne, co mnie doprowadza do szału, to to, że całowałaś się z jakimś facetem, że on cię obmacywał i że umówiliście się dziś wieczorem, żeby się pieprzyć. Nie mogę się na to zgodzić, Clo. Nie mogę. Wszystko zepsułaś, chcąc tu znowu przyjechać, Clo. Wszystko psujesz!

W czasie całej ich długiej drogi powrotnej na dół nie wypowiedzieli już ani słowa.

»

Franck ze ściągniętymi rysami twarzy siedział nad swoją kawą. Valou, świeża jak róża, nad miseczką z mlekiem czekoladowym przykrytym górą płatków, nad dwoma sadzonymi jajkami i sokiem pomarańczowym.

Clotilde krzątała się za ich plecami. Franck wypił łyk kawy, zanim się odezwał.

– Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość, Valou? Tę żagłówkę,

czterystasiedemdziesiątkę, którą wypożyczyłem na jeden dzień, możemy zatrzymać na dłużej, na dwa, trzy dni, cały tydzień. Wynegocjowałem to, załatwione.

Valou przekłuła dwoje żółtych oczu na swoim talerzu.

– Spędzimy tydzień na żaglówce we troje?

– We dwoje, Valou. We dwoje. Mama nie jedzie. Będziemy robić postoje. Ajaccio, Porticcio, Propriano... Nie mówiąc o zatoczkach dostępnych wyłącznie od morza.

Valou wytarła jajko sadzone kawałkiem świeżego chleba, nie prosząc o dalsze wyjaśnienia, wyjęła tylko komórkę, zupełnie jak jakiś prezes firmy, który musi pilnie odwołać spotkanie umówione na najbliższe dni.

Clotilde krążyła za ich plecami, pakując do torby Valou ciepłe ubrania, lekarstwa, szczoteczki do zębów, krem do opalania, jej ulubione ciastka i ulubione ciastka Francka, w ilości wystarczającej dla obojga. Czy odgrywanie roli doskonałej żony, uprzedzającej i troskliwej, mogło pomóc wszystko naprawić?

Idiotka!

Dlaczego właśnie dzisiaj miałyby uznawać, że odgrywa rolę, skoro te same codzienne gesty wykonuje od lat?

Franck wstał.

– Zostawcie – powiedziała Clotilde. – Ja posprzątam.

Godzina 8.57. Kempingowy mikrobus już na nich czekał. Clotilde i Franck szli w stronę parkingu Euproctes, obładowani ciężkimi torbami. Valentine dreptała za nimi, ze wzrokiem utkwionym w telefon komórkowy, jakby ściągnęła sobie aplikację GPS pozwalającą nie zgubić się na kempingu.

Franck uciekał.

Dawał nogę, zaszywał się w makii, wypływał szalupą w morze, kiedy tonął statek. Czy takie rozumowanie, zastanawiała się Clotilde, to był jej sposób, by zanegować fakt, że to ona go zdradziła? Że to ona sprowokowała to wszystko? Nie potrafiła jednak czuć się winna. To wszystko, co się działo, zdawało się zaplanowane od lat; ona była jedynie zabawką. Nie mogła się powstrzymać od myśli, że Franck ją śledził, że zataił przed nią część prawdy, że w gruncie rzeczy był najlepszym kandydatem do ukartowania tego wszystkiego, począwszy od kradzieży dokumentów z ich sejfu aż po inscenizację śniadania. Że chciał doprowadzić ją do obłędu. Że wczoraj uniemożliwił jej spotkanie z matką. Że dzisiaj wykradał jej córkę. Że wyrzucał jej to, że uciekła na parę godzin, by spotkać się z Natalem, ale to on zniknął teraz na kilka dni w nieznanym jej kierunku.

To Franck wymógł to rozstanie, żeby dać sobie czas na przemyślenie sytuacji. Żeby chronić Valou, jak twierdził. Clotilde się nie sprzeciwiła. Ostatecznie tego właśnie chciała. Czasu na swoje śledztwo, żeby dowiedzieć się prawdy.

Kierowca Marco stał przy kempingowym mikrobusie.

– Musimy już jechać...

Clotilde pocałowała Valentine i stała jak idiotka przed mężem.

– Zadzwońcie do mnie? Obiecacie, zadzwońcie?

– Jeśli będziemy mieć zasięg w Trójkącie Bermudzkim – odparła Valou, nie odrywając wzroku od komórki.

Mikrobus zniknął na końcu drogi. Franck załatwił ze Spinellem transport do portu w Calvi, gdzie mieli odebrać czterystasiedemdziesiątkę, po to, by móc zostawić passata Clotilde. Jedyne słowa, jakie skierował dziś rano do żony, dotyczyły wozu, dokumentów w schowku, poziomu oleju, ciśnienia w oponach, kluczyka do baku; słuchała jednym uchem, sprawiając wrażenie osoby, która wie doskonale, jak działa silnik, Franck też odgrywał rolę, rolę urażonego w swej dumie męża, który jednak stawia sobie za punkt honoru, by nadal być troskliwym.

Jej alter ego w męskim wydaniu.

Równie głupie jak jej własne. Na dodatek może i cyniczne. Pośród innych zaleceń, w razie gdyby miała się wybrać samochodem na przejażdżkę, nie omieszkął pokazać jej, jak się odchyła siedzenia.

Drogą wiodącą do Calvi przejeżdżały różne pojazdy sportowe, kampery i inne samochody z rodzinami. Clotilde poczuła silny ucisk w żołądku. A przecież nie po raz pierwszy ją opuszczali. Co sobotę Franck zawoził Valou na koszykówkę. Na kilka godzin, nie na kilka dni. Kilka godzin, z których Clotilde korzystała, żeby się oderwać; leżąc z powieścią. Nie z kochankiem.

Clotilde straciła z oczu mikrobus wiele sekund temu, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie mogła powstrzymać myśli o ojcu, który też wypłynął w morze na żaglówce, parę dni przed wypadkiem nad urwiskiem Petra Coda. Tak przynajmniej jej powiedziano. Wrócił dopiero w dniu świętej Róży, 23 sierpnia.

Pojutrze...

Jakaś ręka musnęła jej ramię, Clotilde odwróciła się. Za nią stał Cervone Spinello. Przekazał instrukcje swojemu pracownikowi, zapewnił darmowy transport Franckowi i Valou.

– Nie narzekaj, Clotilde, twój mąż wyjechał z twoją córką. Większość facetów prysnęłaby, zostawiając ci dzieciaka na głowie.

– Daj spokój, Cervone.

Szef kempingu się nie obraził. Ale nie cofnął też palców z jej ramienia. Clotilde przygryzła wargi. Nie ma mowy, by rozpląkała się przed tym draniem! Nie ma mowy, by to on podawał jej chusteczkę. Kiedy szukała wyjścia awaryjnego, by uniknąć jego gadania, pomyślała, że od samego rana nie widziała Orsu na kempingu. Gdzie on się podziewał od czasu nocnego marszu do pasterskiej chaty? Oczywiście mogła zapytać Spinella, ale nie miała najmniejszej ochoty wtajemniczać kierownika kempingu w swoje sprawy. Zadała zupełnie inne pytanie.

– Wciąż żadnych wieści od Jakoba Schreiberera?

– Żadnych – odparł Cervone. – Jeśli dziś do wieczora stary Niemiec nie da znaku życia, zawiadomię żandarmerię.

Clotilde zastanowiła się: dlaczego nie zrobił tego wcześniej? Cervone sprawiał wrażenie dość dobrego kumpla kapitana Cadenata. Właśnie miała mu to powiedzieć, ale Spinello ją uprzedził.

– Mam dla ciebie wiadomość, Clotilde. Od twojej babci Lisabetty. Dzwoniła do recepcji. Wydawała się okropnie zdenerwowana. Dziadek Cassanu chce się z tobą widzieć, najszybciej jak to możliwe.

– W Arcanu?

– Nie...

Przez kilka sekund trzymał ją w niepewności, po czym wyjaśnił:

– Tam na górze.

Popatrzył na chmury uczone górze w okolicach Capu di a Veta. Clotilde również przebiegła wzrokiem linię grani i zatrzymała go na małym czarnym krzyżu, który odcinał się na tle nieba.

Wspomnienia wracały do niej, czyste i lekkie, ale Cervone zdołał je zatruć jednym zdaniem.

– O ile nie każe się tam podzucić helikopterem, ten stary wariat wykituje pod krzyżem.

*Wtorek 22 sierpnia 1989 roku,
szesnasty dzień wakacji,
niebo niebieskie jak Ziemia widziana z kosmosu*

Hej, nie śpisz już, mój powierniku?

Jak forma? Mogę ci opowiedzieć o moich porannych marzeniach i koszmarach? Bardzo porannych! Jak ci powiem, która jest godzina, zdembiejesz.

Pamiętasz moją misję, moją umowę, całus w policzek od Natalego pod warunkiem, że uda mi się przekonać dziadka Cassanu? Nie stchórzyłam, umówiłam się na spotkanie, na spotkanie biznesowe, jak zaznaczyłam, i dziadek się zgodził. W Arcanu, to akurat żadna niespodzianka, ale o piątej rano!

Ja, której rodzice nigdy nie widzą wynurzającej się ze snu przed południem.

Piąta rano? Zakład, dziadku, zjawiłam się... Nie wiedząc, co mnie czeka.

Muszę powiedzieć ci, mój mądry i dyskretny czytelniku, że przeżywam w trakcie tych wakacji niezwykle emocje, jakby wszystko zmieniało się co dnia, od najgorszego i tych szarych stron, które zapelniam pajęczynami utkanymi z nici kłamstwa dorosłych, do najlepszego, jak tamto pływanie z delfinami i to, co przeżywam dzisiaj, tak wolna i lekka, że niemal mogłabym łapać chmury i ciągnąć za ogon orły królewskie.

Mam ci wszystko powiedzieć?

A więc o godzinie piątej rano, na długo przed wschodem słońca, Papé czekał na mnie na podwórzu w Arcanu, pod zielonym dębem, z kosturem w ręku, z lornetką, którą zdjął z szyi i zawiesił na mojej.

– Spójrz.

Polecił mi biec wzrokiem wzdłuż grani w kierunku południowym, w stronę Asco, powyżej Notre-Dame de la Serra i jeszcze wyżej.

Krzyż!

Albo to, co z niego zostało.

– Porozmawiamy pod krzyżem, Clotilde. Jesteś gotowa?

I z rozbawioną miną przyjrzał się mojej bluzie *Guns N' Roses* i moim trampkom.

Udałam, że szykuję się do sprintu...

– Mam na ciebie poczekać na górze?

Prędko się uspokoilaam.

Siedemset trzy metry! A że tak powiem, startowaliśmy z poziomu morza.

Czterogodzinna wspinaczka, najpierw łagodnym zboczem, potem coraz bardziej urwistym, a na koniec, na dwustu ostatnich metrach, szaloną stromizną, którą pokonaliśmy na czworakach, jak muflony. W milczeniu. Dziadek nie odzywał się prawie przez całą drogę. Zrobiliśmy sobie tylko przerwę w połowie wspinaczki, żeby coś przekąsić, kozi ser i *coppa*, dokładnie w chwili gdy słońce wzeszło nad Capicorsu. Wyglądało to jak sceneria z Tolkiena. Wielki ognisty pierścień wznoszący się nad długim zwęglonym palcem.

Teraz, gdy do Ciebie piszę, jestem już uspokojona. Moje serce zaczyna bić normalnie, moje uda powoli znów zaczynają mnie słuchać, moje stopy nie trzęsą się już tak okropnie, że mogłyby ześlizgnąć się w szczeliny skalnych rumowisk, moja głowa już nie wiruje. Siedzę pod krzyżem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, dziadek wyjaśnił mi, że zwie się go krzyżem Austriaków, dlatego że to alpinisci z Wiednia przetarli drogę na ten szczyt jakieś pięćdziesiąt lat temu. Krzyż pochodzi z 1969 roku i przez te dwadzieścia lat został nieźle poobijany. Mam wrażenie, że lekki podmuch wiatru mógłby go poderwać w powietrze.

Krzyż Austriaków bardzo dziadka bawi. Powiedział mi, że tutejsi Korsykanie nie czekali na wiedeńczyków, żeby wejść na Capu di a Veta, że sam nie miał jeszcze ośmiu lat, gdy wdrapał się po raz pierwszy na szczyt z moim pradziadkiem Pancracem.

Rozumiem dlaczego.

Nie jest mi łatwo wytłumaczyć ci to za pomocą słów, ale gdy już się człowiek znajdzie na górze, na tej małej kamiennej kopule, gdzie siedzimy oboje, ma wrażenie... że panuje nad światem. Wiatr szumi nam w uszach, zapraszając, byśmy kręcili się bez końca, ciesząc się niewiarygodnym widokiem dookoła, trzysta sześćdziesiąt stopni. Jak giganci. Czy raczej jak dzieci, dzieci, które zbudowały z plasteliny wyspę.

Wrażenie, że unoszę się w powietrzu. Wrażenie, że jestem sama na świecie z moim Papé, który nie wygląda na zdyszanego i który czekał na mnie co dwadzieścia metrów w trakcie wspinaczki. Wrażenie, że mogę mu wszystko powiedzieć.

Już mnie znasz, domyślasz się, że nie odmówiłam sobie.

– Jest coś, dziadku, co mnie dziwi. Mam wrażenie, że tutaj wszyscy się Ciebie boją. A ja uważam, że jesteś dobry.

Operacja Białucha. Nie mogłam zapomnieć. Jeśli w ten właśnie sposób miałam nadzieję go ugłaskać...

– Zły. Dobry. To nic nie znaczy, wnusiu. Z dobroci można spowodować katastrofę, z dobroci można zmarnować sobie życie, można nawet zabić z dobroci.

Zabić z dobroci?

OK, Papé, zapisuję to w swoim zeszycie. Pomyślę nad tym w klasie

maturalnej, kiedy będę miała zajęcia z filozofii.

Obróciłam głowę, żeby popodziwiać pejzaż, jak w kinie z hemisferycznym ekranem w Centrum Nauki (licealna wycieczka ROKU!).

– Dziadku, dokąd sięga teren, który do ciebie należy?

– Który *do nas* należy, Clotilde. Nigdy nic nie należy tylko do jednej osoby. Co by z tym robiła? Pomyśl tylko, kim byłby najbogatszy facet w dziejach świata? Kimś, kto wyeliminowałby całą resztę? Kto żyłby sam na ziemi, z wszelkimi nigdy niewyprodukowanymi bogactwami? Byłby najbogatszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia, ale też i najbiedniejszym, bo żadna istota na świecie nie posiadałaby mniej niż on. Żeby mówić o bogactwie, potrzeba co najmniej dwojga ludzi, to jak z osadnikami w westernach, z małżonkami, którzy osiedlają się na pustyni, na kompletnym odludziu, którzy budują tam sobie schronienie, żeby w nim zamieszkać i mieć dziecko. Bogactwo powiększa się wraz z rodziną, wraz z następnymi dziećmi, wnukami, tak aby ziemia, dom, pamięć mogły być przekazane. I tak dalej, bogactwo, co do zasady, powinno też należeć do klanu, do wszystkich tych, którzy nawzajem sobie pomagali. Należy do wyspy, do kraju, do całej ziemi, gdyby tylko ludzkość była zdolna do solidarności równej tej, jaka łączy małżonków, rodzinę czy klan. – I w tym momencie dziadek patrzy mi prosto w oczy. – Ale tak nie jest. Nigdy tak nie będzie, musimy bronić tego, co do nas należy. Jesteśmy strażnikami równowagi pomiędzy egoizmem każdej jednostki a szaleństwem świata. A zatem odpowiadając na twoje pytanie, moja wnuczko, oto wszystko, co do nas należy.

Pokazuje mi palcem cały półwysep Revellata aż po latarnię morską, aż po kemping Euproctes i plażę Alga. Jego palec zatrzymuje się u wjazdu do Calvi na północy i na skałach Petry Cody na południu, potem wyjaśnia mi, że kilkaset metrów kwadratowych należy do Inspektoratu Ochrony Wybrzeża albo do naukowców z portu Stareso. Co ciekawe, nie mówi ani o enklawie Punta Rossa ofiarowanej przez jego ojca ojcu Natalego, ani o terenie nad plażą Oscelluccia, na którym wyleciała w powietrze marina Roc e Mare.

Moja głowa w kinie z hemisferycznym ekranem rozpoczyna nowy bieg.

Sto dziewięćdziesiąt stopni. Widok na cały łańcuch górski Monte Cinto, szczyt Korsyki. Dwa tysiące siedemset sześć metrów. Podobno jeśli dodać kilkusetmetrowy rów morski w Morzu Śródziemnym, skąd wznoszą się do góry ulubione substancje odżywcze delfinów, to różnica wysokości wynosi ponad trzy tysiące pięćset metrów, tyle samo co alpejskie szczyty!

Odwracam się w stronę dziadka.

– Bardzo cię lubię, Papé. Kiedy tak gawędzisz, wyglądasz jak żywcem wyjęty z jakiegoś filmu. Wiesz, z filmów o ojcach chrzestnych, którzy bronią swojego klanu.

– Ja też bardzo cię lubię, Clotilde. Dojdiesz do czegoś w życiu, do czegoś

dobrego. Masz ambicje, przekonania. Ale...

– Ale co?

– Ale... nie obrazisz się? Nie zostawisz mnie tu i nie polecisz sama na dół?

– Ale co, dziadku?

– Nie jesteś Korsykanką! Znaczą prawdziwą Korsykanką. Tutaj kobiety ubrane na czarno nie noszą na sukienkach trupich czaszek. Tutaj kobiety są dyskretne, milczą, tutaj kobiety rządzą domem, nie resztą. Wiem dobrze, moja mała buntowniczo, że to, co mówię, wyprowadza cię z równowagi, ale co robić, tak jestem przyzwyczajony. Przyzwyczałem się do kochania takich kobiet. Wszystko, co sobą prezentujesz, przerasta mnie, Clotilde, chociaż ja również stawiam wolność ponad wszystko. Gdybym urodził się czterdzieści lat później, być może poślubiłbym kobietę taką jak ty...

– Tak właśnie zrobił tata!

– Nie, wnusiu. Nie. Palma nie jest taka jak ty. – Przez dłuższą chwilę milczał. – A więc przejdźmy do rzeczy, o co mnie chcesz poprosić?

Czterdzieści pięć stopni. Widok z lotu ptaka na Balagne. Panoramiczny widok ogrodu Korsyki rozciąga się od Calvi do L’Ile-Rousse. Przy odrobinie wyobraźni można nawet odgadnąć w oddali pustynię Agriates i port Saint-Florent u nasady Capicorsu. Patrzę na morze, jakbym chciała zaczerpnąć powietrza, nim zanurkuje, wstrzymawszy oddech, po czym wyjaśniam całą sprawę. Mówię o delfinach, Orofinie, Idril i ich dzieciach, o Natalem, który z nimi rozmawia, o „Aryonie”, o przystani, żeby można go było przycumować, o większej przystani, później, żeby można było przycumować większy statek, o rezerwacie na pełnym morzu i o tarasie i barku z przekąskami na brzegu... I tu się zatrzymuję. Nie od razu mówię o domu delfinów, a zwłaszcza o kobiecie architekcie, z którą Natalem się kontaktował.

Dziadek słuchał mnie bez słowa.

Trzysta dwadzieścia stopni. Bezpośredni widok na Revellatę. Półwysep przypomina stąd śpiącego krokodyla! Przysięgam ci. Szarozielona skóra, grube łapy utworzone przez cyple – te przy plażach Punta Rossa i Oscelluccia, i unosząca się na wodzie paszcza ukształtowana przez czubek półwyspu. Tysiąc białych skał sterczących w jednej linii jak zęby i latarnia morska, niczym pryszcz na nosie.

I w końcu dziadek zaczyna mówić. Z uśmiechkiem na ustach.

– Co jest takiego niezwykłego w delfinach? Spodziewałem się wszystkiego oprócz tego!

Więc wracam do tematu, próbuję mu wytłumaczyć, co czułam na „Aryonie”, kiedy zanurkowałam, kiedy pływałam z waleniami. Musi dobrze poczuć moje wzruszenie, wystarczy, że o tym pomyślę, a nawet teraz trzęsą mi się ręce, a łzy kręcą się w oczach. Wykorzystuję to, skoro jestem szczera, niech to będzie widać.

– Zgódź się, Papé, zgódź. Zgódź się choćby dla szczęścia tych wszystkich

ludzi, którzy będą nurkować tak jak ja. Natale chce tylko podzielić się tym skarbem.

No i znów to samo, nie powinnam była nigdy łączyć w jednym zdaniu słów „dzielić się” i „skarb”, dziadek znowu przemawia do mnie jak stary mędrzec z białą brodą, jakby chciał uczynić z mojego sekretnej zeszytu, w którym zapisuję jego słowa, księgę z zaklęciami.

– Widzisz, wnusiu, od zawsze istnieją tylko trzy możliwe postawy w obliczu skarbu, czy tym skarbem jest kobieta, diament, ziemia, czy magiczna formuła: pożądanie go, posiadanie albo chronienie go. Tak samo jak istnieją tylko trzy rodzaje ludzi, zawistnicy, egoiści i kustosze. Nikt nie dzieli się skarbem, Clotilde, nikt...

Z początku tyrady dziadka mi się podobały. Ale teraz zaczynam mieć ich dość! Poza tym nie chciałabym go urazić, ale naprawdę nie widzę różnicy między egoistami, którzy posiadają, a kustoszami, którzy chronią, nie dzieląc się. Milczę. Mam inny, sprytniejszy pomysł, żeby zmusić go do reakcji.

– Jak uważasz, dziadku. Jak uważasz. Ale myślę przede wszystkim, że prawdziwym powodem jest w gruncie rzeczy to, że tak jak wszyscy Korsykanie nie lubisz morza. Nie lubisz delfinów. Nie lubisz Morza Śródziemnego. Nie lubisz spoglądać w tamtą stronę, w stronę horyzontu. Gdyby Korsykanie naprawdę lubili morze, nie zostawiliby go Włochom na jachtach.

Zaśmiał się.

Moje ostatnie zdanie było niepotrzebne. Debilne, będzie się ze mnie naigrywał zamiast się rozzłościć.

– Podoba mi się twój obraz Włochów, ale mylisz się, Clotilde. Co do Korsykanów i Morza Śródziemnego. Widzisz, ja nie zawsze byłem pasterzem. Przez pięć lat służyłem w marynarce handlowej, trzy razy opłynąłem dokoła świata...

Bystrzacha z ciebie, moja Clo, podziałało!

Dwieście pięćdziesiąt stopni. Mam wrażenie, że patrząc na linię wybrzeża w kierunku południowym, dostrzegam nawet rezerwat Scandola i Girolatę, tam gdzie skały robią się czerwone i gdzie rybołowy budują na ostrych szczytach wulkanicznych skał szalone gniazda przypominające biciańce.

– Spójrz prosto przed siebie, Clotilde, w stronę Arcanu. Jeśli pójdziesz dalej w linii prostej, w kierunku morza, dojdiesz do klifów Petry Cody. Te najwyższe mają trzydzieści metrów. Kiedy byłem w twoim wieku, wszyscy młodzi Korsykanie, ci, którzy według ciebie boją się wody, skakali stamtąd. Choć, przyznaję, twój dziadek był ze wszystkich najodważniejszy. Mój rekord to dwadzieścia cztery metry. Z wiekiem skakałem z coraz mniejszej wysokości. Piętnaście metrów... dziesięć metrów... Ale nadal pływam tak często, jak mogę, od Petry Cody do grotty Veaux Marins, czasami aż do cypla Punta Rossa.

Zrezygnować z morza to zrezygnować z młodości, nie inaczej.

– Więc zgódź się, Papé, zgódź się na delfiny, zgódź się na moją młodość, zgódź się, tylko dla mnie.

Uśmiechnął się.

– Nigdy się nie poddajesz, moja wnuczko? Byłabyś dobrą adwokatką. Zastanowię się, obiecuję ci. Daj mi tylko trochę czasu. – Tym razem się zaśmiał. – Wszystko dzieje się za szybko. Kobiety zmieniają się i zabierają głos. – Znowu się zaśmiał. – Delfiny się zmieniają i zaczynają rozmawiać z rybakami. Nie chciałbym, żeby moja Korsyka zmieniała się tak szybko...

– A więc zgadzasz się?

– Jeszcze nie. Pozostaje jedna kwestia, kwestia, której nie poruszyłaś, kochanie.

Teraz krzyż rzuca na nas cień.

– Ten Natale Angeli, nie wiem, czy możemy mu zaufać.

* * *

Wymamrotał pod nosem.

Dostałeś, Papé.

Dostałeś odpowiedź na swoje pytanie.

Ale nie taką, jakiej oczekiwałeś.

12.00

– Ominął cię wschód słońca, Clotilde. Wstawałaś o wiele wcześniej, kiedy miałaś piętnaście lat.

Cassanu siedział oparty plecami o drewniany krzyż, osłonięty cieniem tego siedmiometrowego pomnika stojącego na szczycie Capu di a Veta. Wyglądał jak pielgrzym, który wniósł swój krzyż na dach świata, żeby go tam wbić, wykopać przed nim swój grób i w nim spocząć.

Clotilde nie odpowiedziała na uwagę dziadka. Miała za sobą czterogodziną wspinaczkę i ledwie łapała oddech, zdumiona, że niemal dziewięćdziesięcioletni starzec mógł wdrapać się tak wysoko, gdy tymczasem ona dotarła na górę kompletnie wyczerpana.

Wyczerpana... i zdenerwowana! Przez cały czas samotnej wędrówki pod górę, mimo zapierającego dech w piersiach piękna widoków, nie zdołała oczyścić umysłu, rozkoszować się chwilą, wiatrem, zapachami lentyszka, cytronu i dzikiej figi. Wręcz przeciwnie, w jej głowie kłębiły się pytania, a wszystkie sprowadzały się do jednego: czy jej matka czekała na nią zeszłego wieczoru w pasterskiej chacie? Żałowała, że nie odważyła się podejść i zastukać do drzwi, po tym, jak zjawił się Franck. Miała do niego żal też i o to, że zepsuł magię chwili. Przez niemal całą noc nie zmrużyła oka, zastanawiała się, sięgała do wspomnień w nadziei, że znajdzie odpowiedź na to dręczące ją pytanie.

Jakim cudem jej matka mogłaby żyć?

Przewijając w głowie obrazy z 23 sierpnia 1989 roku, widziała tylko trzy możliwości.

Matki nie było we fuego...

Tylko że jej matka siedziała na fotelu pasażera, Nicolas z tyłu, a ojciec za kierownicą. Widziała ją, zanim wsiadła do samochodu i po tym, jak ruszyli, podczas jazdy. Uśmiechali się do siebie, rozmawiali. Nie było najmniejszych wątpliwości, wszyscy czworo wyjechali z Arcanu.

Matka wysiadła z fuego przed wypadkiem...

Tylko że fuego się nie zatrzymywało, niemal nie zwalniało w drodze z farmy na dół, Clotilde była pewna, że nie usnęła w trakcie jazdy aż do Petry Cody, zresztą to było tylko parę kilometrów, i że jej matka wciąż była w samochodzie, kiedy

fuego wypadło z drogi tuż przed rozbiciem się. Tata chwycił ją za rękę...

Matka przeżyła wypadek...

To była jedyna wiarygodna hipoteza, chociaż fuego trzykrotnie przekeziolkowało, za każdym razem zabijając, chociaż widziała wystawione trzy zmasakrowane ciała, które następnie zapakowano w plastikowe worki i zabrano... Była w stanie szoku. Może jej matka jeszcze żyła? Może sanitariusz pogotowia dokonał cudu? Ale dlaczego wobec tego ogłaszano by jej zgon? Z jakiego powodu personel reanimacyjny miałby uratować pacjenta, nikogo o tym nie zawiadamiając? Nawet córki. Po co robiono by z niej sierotę? Żeby chronić jej matkę? Dlatego że to ją ktoś chciał zabić? Zaczynała majaczyć! Nie wiedziała już, komu ufać. Czy Cervone mówił prawdę na temat jej brata Nicolasa i wypadku rodziców? Czy jej mąż Franck prowadził jakąś nieprawdopodobną podwójną grę? Czy Natale naprawdę widział ducha jej matki? Co wiedział dziadek Cassanu? Kto od samego początku pociągał za sznurki?

Niemal co minutę sięgała po komórkę, jak nastolatka zaciągnięta przez rodziców wbrew własnej woli na pieszą wycieczkę. Dobrą część wspinaczki spędziła z telefonem, usiłując dodzwonić się do trzech osób.

Najpierw żeby się dowiedzieć, co u Francka i Valou. Na próżno. Żadnej odpowiedzi. Tylko niema automatyczna sekretarka, która pozwalała się obrażać, nie reagując.

Potem udało się jej dodzwonić do Natalego. Na samym początku wspinaczki nalegała, żeby do niej dołączył, żeby jej towarzyszył na szczyt Capu di a Veta, ale poławiacz marzeń odmówił udziału w eskapadzie. To niemożliwe, Clo, niemożliwe aż do wieczora, cały dzień pracuję w sklepie, ale Aurélia ma dziś nocny dyżur w klinice, więc, tak, Clotilde, dzisiaj wieczorem, jeżeli możesz, jeżeli chcesz.

OK, do zobaczenia wieczorem, mój rycerzu...

Clotilde odniosła wrażenie, że choć minęło tyle lat, Natale nie chciał przede wszystkim spotkać Cassanu. Kiepski góral z tego jej pirata, a nawet może trochę i tchórz.

A przecież nie było czego się bać. Dziadek Cassanu wydawał się całkiem nieszkodliwy. Wsparty o ogromną belkę, sprawiał wrażenie, jakby już nigdy nie miał stanąć na nogi po tej ostatniej i szalonej wspinaczce. Obydwoje sapali, jakby niezdolni wypowiedzieć słowa.

W połowie drogi Clotilde wykonała ostatni telefon, najbardziej nieoczekiwany z trzech, i tym razem jej rozmówca odebrał już po dwóch sygnałach, odzywając się w niemal idealnej francuszczyźnie, z odrobinę tylko mocniejszym niż u jego ojca niemieckim akcentem.

– Clotilde Idrissi? *Mein Gott*, to takie dziwne rozmawiać z panią po tylu latach.

Clotilde była zdziwiona, Hermann Schreiber nie wydawał się zaskoczony jej

telefonem.

– Zadzwoił do mnie wczoraj ojciec – wyjaśnił Niemiec. – Po pani wizycie. Rozmawialiśmy trochę o tamtym słynnym lecie osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Zwracał się do niej per pani. Jego głos miał dosyć nieprzyjemny władczy ton. Clotilde zastanawiała się, czy Hermann pamięta swoje przezwisko, cyklop. Odparła szaloną chęć, by zwrócić się do niego per ty i palnąć mu ten przydomek.

– Pamięta pan tamto lato? – spytała tylko.

– Tak, wszystkie nazwiska, wszystkie imiona, nawet twarze. Cokolwiek by mówić, to było nieco traumatyczne lato, prawda? Dla nas wszystkich.

Zwłaszcza dla mnie, Ydioto!

Postanowiła nie owijać w bawełnę i powiedzieć Hermannowi wprost, dlaczego dzwoni, streszczając mu w kilku słowach rewelacje Cervonego Spinella: na temat jej brata Nicolasa, który rozwaliał się samochodem kilka godzin przed wypadkiem i, nie wiedząc o tym, uszkodził zawieszenie. Hermann wydawał się zdziwiony, jakby w to nie wierzył. A po chwili zastanowienia odezwał się niemal uroczystym głosem:

– To my powinniśmy byli wtedy zginąć. Cała nasza piątka. Nicolas, Maria-Chjara, Aurélia, Cervone i ja. Mieliśmy wszyscy wsiąść o północy do samochodu pani rodziców i pojechać, z pani bratem za kierownicą, do tego klubu nocnego. – Przez dłuższą chwilę jakby się nad czymś zastanawiał, po czym mówił dalej: – Tak, to, co pani mówi, wiele zmienia. To nawet dziwne, po tak długim czasie. To trochę tak, jakby spóźnić się na samolot, który ma spaść. – Znów przez chwilę się zastanawiał. – Tak, to my, cała nasza piątka, powinniśmy byli skończyć w wąwozie. To, że żyję, zależy od jednego pytania, Clotilde, pytania, na które tylko pani zna odpowiedź: dlaczego pani ojciec tamtego wieczoru zmienił zdanie? Dlaczego postanowił pojechać z rodziną samochodem na ten koncert pieśni polifonicznych?

– Ja... ja nie wiem.

– Nic nie dzieje się przez przypadek. Jeśli sięgnie pani do wspomnień, na pewno znajdzie pani wyjaśnienie.

Ton Hermanna znów stał się ostry. To był ton faceta przyzwyczajonego do posłuchu. Clotilde domyślała się, że jego jedynym zajęciem od dwudziestu siedmiu lat było serwowanie innym upokorzeń, jakie sam znosił w wieku dorastania. Miał jednak rację, ważne było tylko to jedno kluczowe pytanie, dlaczego jej ojciec zmienił plany na wieczór 23 sierpnia? Nie znajdowała żadnego wytłumaczenia. Studnia jej pamięci była rozpaczliwie wyschnięta. Może rozwiązanie było zapisane w jej dzienniku intymnym z lata 89 roku, w tym zeszytce, który zapełniała literami aż do ostatnich sekund spędzonych na ławce w Arcanu? Może ochroniła własne wspomnienia, ukrywając je w tym notatniku? A może, przeciwnie, nie było w nim

nic albo same wymysły, wymysły kłamliwej, zazdrosnej i sfrustrowanej nastolatki. Nastolatki, którą wtedy była.

– Tropów zapewne pani nie brakuje – ciągnął Hermann Schreiber. – Korsyka jest skomplikowana, ziemia i rodzina, życie i śmierć, pieniądze i władza. Ale przede wszystkim, Clotilde, czy jest pani pewna, że można temu Spinellowi ufać? Czy odnalazła pani innych świadków? Z tamtej piątki? Wszyscy chyba jeszcze żyją?

Poza Nicolasem, pomyślała Clotilde. Cyklop pozostał królem taktu... Zrewanżowała mu się tym samym.

– Widziałam się z Marią-Chjarą.

Hermann wybuchnął szczerym śmiechem.

– Ach, Maria-Chjara! Byłem w niej piekielnie zadurzony. Sądziłem wówczas, że wystarczy zacytować Goethego i zagrać Liszta na skrzypcach, żeby uwieść dziewczynę. Właściwie to powinienem jej dziękować, tak ciężko harowałem właśnie po to, by podobać się dziewczynom takim jak ona. – Znowu wybuchnął śmiechem. – To znaczy takim pięknym dziewczynom jak ona. Moja żona jest do niej podobna, też blondynka. Tylko że ona jest sopranem w Operze Kolońskiej, a nie piosenkarką w telewizyjnych programach *reality show*.

Clotilde naszła nagle ochota, żeby przerwać rozmowę. Szargać wszystko, co kochało się w okresie dorastania, czy to była jakaś klątwa?

– No to trudno, Hermannie, jeśli nie ma pan innych tropów.

– Owszem, być może. Niech pani spotka się ponownie z moim ojcem. Przez wszystkie te lata nie poprzestał na zbieraniu zdjęć, rozmawiał z każdym na kempingu. Sądzę, że skonstruował coś w rodzaju teorii. Coś go niepokoiło od wypadku pani rodziców, coś mu nie grało, ale rozmawiał o tym tylko z Anke, moją matką, nawet ze mną nie.

Clotilde nie śmiała mu wyznać, że od wczoraj nie miała od Jakoba Schreibera żadnych wieści. Poczula jeszcze większy lęk, kiedy Hermann dodał:

– Prawdę mówiąc, czasami trochę się niepokoję o ojca. Nasza chorwacka willa na wyspie Pag stoi dla niego otworem, z basenem, z synem i wnukami, a ten uparty osioł wciąż woli spędzać wakacje na Korsyce, sam, w swoim domku kempingowym.

Wyniosła pewność siebie cyklopa znowu poirytowała Clotilde. Kto z jego otoczenia mógłby wyobrazić sobie nieśmiałego i lęklivego nastolatka, jakim był w przeszłości? Hermann wymazał przeszłość; jak wszyscy, od nowa napisał historię własnego życia. Clotilde miała ochotę przypomnieć mu jego przezwisko, drogie oblicze jego przeszłości. Niemiec nie pozostawił jej na to czasu.

– Niech pani spotka się ponownie z moim ojcem – powtórzył. – Przez całe życie bawił się tym swoim cholernym aparatem w przyszpilanie przeszłości, tak jak inni przyszpilają motyle. Taki rodzaj szpiega z zoomem wycelowanym we

wszystko, co mogło wydać mu się osobliwe, jego obiektyw to było jego jedyne oko, chociaż dla pani to ja byłem cyklopem!

»

– Usiądź, Clotilde.

Słowa Cassanu wyrwały ją z zamyślenia. Później. Później przemyśli pytania, które zadał jej Hermann Schreiber. Jej dziadek zdawał się oddychać już lepiej. Polecił jej powolnym ruchem ręki, by usadowiła się na kamieniu tuż przy nim. Daleko w dole, na północy, cytadela w Calvi wydawała się śmiesznie mała w porównaniu z miastem, którego zabudowania podgryzały zbocza Balagne. Clotilde nie miała takiego wrażenia dwadzieścia siedem lat wcześniej.

Głos nie drżał dziadkowi. Wykręcił szyję i spojrzał w górę na ogromną belkę, o którą się opierał.

– Pamiętasz, wnuczko, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, poprzedni krzyż? Drewno było zbutwiałe, gwoździe zardzewiałe, groził zawaleniem się na nas. Od tamtej pory postawili nowy, który nie wytrzymał za długo, potem następny, a ten tutaj niecałe trzy lata temu. Austriacy są wytrwali.

– Dlaczego się tu ze mną umówiłeś?

– Dla tego.

Objął spojrzeniem panoramę. Rozpoznała śpiącego krokodyla. Linia brzegowa, od L’Ile-Rousse do Calvi, od Revellaty do Galerii, przypominała obszyty białą nicią rąbek, delikatną koronkę, czystą kreskę narysowaną pewną ręką. Wiedziała jednak, że to tylko złudzenie, kwestia skali. W rzeczywistości brzeg był poszarpany, a białe skały, spiczaste i ostre, sterczały w kierunku morza niczym tysiąc naostrzonych noży.

– Dla tego? – powtórzyła Clotilde.

– Dla tego. Tego widoku. Tego krajobrazu. Dla przywileju podziwiania go ostatni raz. Z tobą. Możesz nazwać nasze małe rodzinne zebranie, jak zechcesz, błogosławieństwem, przekazaniem. Jesteś naszą jedyną spadkobierczynią w linii prostej, Clotilde. To wszystko – jego ramię zatoczyło szeroki łuk... – to wszystko pewnego dnia będzie twoje.

Clotilde nie odpowiedziała. Taki spadek wydawał jej się tak nierzeczywisty, tak odległy, tak obcy wobec tego, co przeżywała, i ważnych spraw, które domagały się pilnego rozwiązania. Wahala się, czy nie powinna od razu sprowokować dziadka, pytając go o uszkodzony układ kierowniczy fuego, ale postanowiła trzymać się swojego planu. Najpierw sprawdzać, potem oskarżać. Jak każda dobra adwokatka. Sprawdzić, czy Cervone Spinello mówił prawdę. Dopiero potem oskarżyć swojego brata Nicolasa. I do tego potrzebny był jej Cassanu. Przybrała ton rozgniewanej pielęgniarki, szacując siedemset metrów różnicy wysokości.

– Uważasz, że to mądre podejmować się takich wyczynów w twoim wieku?

– Jaki tam wyczyn! Czytałem, że jeden Japończyk wspiął się na Mount Everest w wieku ponad osiemdziesięciu lat i że, jeszcze wcześniej, jego ojciec zjechał na nartach z Mont Blanc w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Więc wejście na szczyt tej koziej górki...

Cassanu podniósł głos. Sprawiał wrażenie, jakby był w zdumiewającej formie, ale bez wątpienia czuł się bardziej utrudzony, niż chciał to okazać. Przez dłuższą chwilę kasłał, potem znów zaczął mówić:

– Po raz pierwszy wspiąłem się tu w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku, potem od trzydziestego dziewiątego wchodziłem na górę kilka razy dziennie, pomagając partyzantom; nosiłem im jedzenie, broń, amunicję. Jako pierwsi wykopaliśmy nazistów z kraju, tu, na Korsyce, na długo przed lądowaniem w Normandii i bez pomocy Amerykanów! Pierwszy wyzwolony francuski departament, ale o tym w książkach do historii się nie pamięta. Ty, moja wnuczko, wdrapałaś się tutaj po raz pierwszy, kiedy miałaś piętnaście lat. Pamiętasz? Oczywiście, że pamiętasz, to było tuż przed...

Dziadek nie zdołał dokończyć zdania. Naturalnie, że Clotilde pamiętała. Miała na szyi lornetkę, niosła suchy prowiant z serem *brocciu*, wschodziło słońce, na niebie latały wędrowne sokoły, Cassanu już wtedy wydawał jej się stary. A przecież był niezniszczalny, bardziej niezniszczalny niż Boże krzyże.

Przyjrzała się lakierowanemu, już popękkanemu drewnu. Już zardzewiałym żelaznym gwoździom.

Jej dziadek przeżyje i ten krzyż.

Może.

– Lisabetta umiera z niepokoju – powiedziała.

– Od sześćdziesięciu lat umiera z niepokoju...

Uśmiechnęła się.

– Mam do ciebie kilka pytań.

– Domyślam się.

Clotilde powędrowała wzrokiem siedemset metrów niżej. Wybrzeże było jedynie ciągiem półwyspów, szarych, pokrytych mchem odnóży, jakby wyhodowanych przez jakiegoś boga w celu rozmnożenia sekretnych zatoczek, kotwicowisk i ścieżek celników. Skorumpowanego boga, który pojął, jaki zysk będzie można pewnego dnia z nich wyciągnąć.

Zanim Clotilde przystąpiła do indagacji, spojrzała na wschód, w stronę morza, zatrzymując tam na chwilę wzrok. Widać było bungalowy kempingu Euproctes, fundamenty mariny Roc e Mare, cień słomianego baru Tropi-Kalliste na plaży Oscelluccia.

– Ostatnim razem, kiedy siedzieliśmy tu we dwoje, nic tam nie było, Cassanu. Tylko drzewa oliwne, pod którymi można było rozbić namioty, piaszczysta ścieżka prowadząca na plażę, przycumowana łódź rybacka, a w zatoce

Revellaty delfiny. Jak mogłeś pozwolić na rozkwit ciemnych interesów Spinella juniora? Jego ambicji, jego betonu. Opowiada wszystkim, że wszechpotężny Idrissi je mu z ręki.

Cassanu się nie obraził.

– To skomplikowane, moja mała. To skomplikowane. Wszystko zmieniło się lata temu, bardzo się zmieniło. Ale można to streścić jednym słowem. Za pomocą czterech liter. Kasa, Clotilde. Kasa.

– Nie wierzę ci! Masz gdzieś pieniądze. Więc wymyśl coś innego. Wymyśl coś innego, żeby mi wytłumaczyć, dlaczego słomiany bar młodego Spinella nie spłonął. Dlaczego fundamenty jego hotelu nie wyleciały w powietrze.

Najwyraźniej nic nie wymyślił.

Wydawało się, że oddychanie sprawia mu niejakie trudności.

Clotilde sprawdziła, czy jej telefon ma zasięg na szczycie, czy nie dostała żadnych nowych wiadomości, a przede wszystkim, czy będzie mogła wybrać w razie czego numer 15. Z Calvi helikopter doleciałby tu pewnie w niecałe pięć minut. Pomaganie turystom, którzy zgubili się w górach, to była codzienność korsykańskich ratowników. Uspokojona, dalej prowokowała dziadka, jak gdyby upłynęło nie dwadzieścia siedem lat, ale dwadzieścia siedem sekund, odkąd odbyła taką samą rozmowę. Tu, w tym samym miejscu. Z nim.

– Cassanu, dlaczego wolałeś projekty tej kanałii Spinella od ekologicznego rezerwatu Angelego? Prawie mi obiecałeś. Prawie się zgodziłeś. Dlaczego zmieniłeś zdanie? Dlatego że Natale był zakochany w mojej matce? Dlatego że, zbliżając się do żony twojego syna, brukał honor rodziny?

– Honor, Clotilde, jest tym, co zostaje, kiedy się wszystko straciło.

Clotilde patrzyła na ogromny teren przed nimi, osiemdziesiąt hektarów gruntu należącego do Idrissich.

– Wszystko straciło? Chyba coś zostało, prawda? Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Cassanu. W rodzinie Idrissich kobieta nie może zdradzić męża, zgadza się? To zabronione! Mężczyzna natomiast...

Spodziewała się, że Cassanu zareaguje.

Nic, czekał.

OK, Papé, jeśli naprawdę chcesz, żebym ci wygarnęła, co sądzę na temat rodzinnych sekretów...

– Nie jestem już małą dziewczynką, Cassanu. Wiem, że mój ojciec zdradzał matkę. Wszyscy to wiedzieli, wszyscy tutejsi mieszkańcy żartowali sobie z tego. Więc dlaczego mieć pretensję do Natalego i Palmy?

W końcu starzec zareagował.

– Problem leży gdzie indziej, Clotilde. Zaczął się wcześniej niż to wszystko, zaczął się na długo przed twoimi narodzinami. Problem tkwi w tym, że twój ojciec nie powinien był nigdy żenić się z twoją matką.

No i wszystko jasne. Po dwudziestu siedmiu latach wszystko jasne.

– Bo nie była Korsykanką?

– Nie, bo twój ojciec był już zaręczony z inną dziewczyną. Zanim poznał twoją matkę, zanim się w niej zakochał, zanim wszystko dla niej porzucił.

– Oczywiście z korsykańską dziewczyną?

– Miała na imię Salomé. Należała do naszego klanu, praktycznie do naszej rodziny. Była mu wierna, pozostałaby mu wierna. Paul pozostałby wierny swej wyspie. Twoja matka nie była kobietą, jakiej potrzebował. Oto i cały bałagan, Clotilde! Twoja matka nie była taką kobietą, jak myślałaś.

Słowa unosiły się w ciszy, jak gdyby przywiane wiatrem uczepliły się szczytu, słowa Speranzy z cmentarza Marcone.

Wierz mi, kobiety są do tego zdolne. Twoja matka rzuciła urok na waszego ojca. Uprowadziła go w swoich sidłach daleko, z dala od wszystkich, którzy go kochali.

Mieszały się ze śmiechami mężczyzn z kempingowego baru, a ona wtedy miała piętnaście lat i dowiedziała się o niewierności ojca...

Paul powinien był żyć tutaj, gdyby twoja matka go nie zabiła. Żyć tutaj, rozumiesz? Żyć tutaj. A nie wracać, żeby tu umrzeć.

Cassanu zakasłał głośno jak grzmiąca armata, która rozwiała głosy przeszłości.

– To proste, moja wnuczko, twój ojciec nie powinien był żenić się z twoją matką. Żałował tego. Wszyscy wiedzieliśmy, że będzie tego żałował. Ale wtedy było już za późno.

– Za późno na co?

Popatrzył na Clotilde, jakby mu było przykro.

– Urodziliście się. Ty i Nicolas.

– I co z tego?

Zamknął oczy i przez dłuższą chwilę trwał tak, jakby się wahał, czy powiedzieć więcej, wreszcie się zdecydował.

– I co z tego? Palma weszła w krąg rodzinny jak robak w owoc. Nikt już nie mógł wówczas zapobiec tragedii.

Tragedii?

Czy dziadek mówił o wypadku?

Najpierw oskarżano jej brata, a teraz matkę?

– Nie próbuj dowiedzieć się więcej – dodał Cassanu. – Przykro mi, Clotilde, mimo więzów krwi, mimo ziemi, którą odziedziczysz, nigdy nie będziesz należeć do naszego klanu. Żeby tak było, trzeba tu żyć. Są rzeczy, których nie zrozumiesz, rzeczy, których się nie dowiesz.

Clotilde chciała zaprotestować, ale Cassanu dał jej znak, żeby pozwoliła mu mówić.

– Widzisz, moja wnuczko, w tej chwili patrzysz na mnie z takim politowaniem, jakbym miał umrzeć pod tym krzyżem. Nikt tutaj, nikt z klanu nie patrzy na mnie z litością. Nikt nigdy nie nazwał mnie Papé.

Zaczynała rozumieć, że nic więcej nie wydobędzie od dziadka; żadnego wyznania, żadnej spowiedzi; nieważne, spodziewała się tego, nie po to tutaj przyszła.

– Ja też, nie wiem, czy zauważyłeś, nie nazywam cię już Papé. Mała dziewczynka, która nazywała cię Papé, umarła, Cassanu, dwudziestego trzeciego sierpnia osiemdziesiątego dziewiątego roku, na skałach Petry Cody. Umarła jej rodzina. Umarło jej dzieciństwo. Tamtego dnia umarło wszystko. Mamy przynajmniej jedną wspólną rzecz, Cassanu, obydwójce straciliśmy tamtego wieczoru złudzenia. Więc jeśli weszłam tu, żeby się z tobą spotkać, to nie po to, żebyś łamał zмовę milczenia, a tym bardziej nie z litości. – Położyła nacisk na to ostatnie słowo. – Potrzebuję cię. Potrzebuję, byś wyświadczył mi przysługę.

Ponure oczy starca znowu rozbłysły.

– Jaką?

– Przysługę, którą mógłby mi wyświadczyć tylko ktoś, kto nie obawia się policji. Ktoś, kto nie bałby się stanąć własnego prawa.

– Co każe ci tak sądzić?

– Być może nie należę do waszego klanu, jednak wydaje mi się oczywiste, że nie przepadacie za oficjalnym wymiarem sprawiedliwości, że nie ufacie zbyt wiele prefektowi, notariuszom, żandarmom...

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Staralem się, jak mogłem, przez całe życie naprawiać niesprawiedliwości.

Położyła palec na ustach.

– Ciii... Pamiętasz słowa, które wypowiedziałeś tutaj dwadzieścia siedem lat temu? Takie zwykłe zdanie, mniej niż dwadzieścia słów: „Nigdy się nie poddajesz, moja wnuczko? Byłabyś dobrą adwokatką”. Zostałam nią ostatecznie, być może dzięki twojej radzie. Zatem wypowiadasz się w dniu, w którym potrzebne ci będą moje umiejętności zawodowe, ale do tego czasu nie chcę nic wiedzieć o handlarzach betonem, którzy poszli na dno, o willach, które poszły z dymem, o tych niezidentyfikowanych zwłokach, które znaleziono w zatoce Crovani według radia dziś rano, o ciężarówkach, które eksplodowały na drodze w Algajoli, razem z ładunkiem... Choć myślę, że to szkoda, że Cervone Spinello nie był na liście.

Znowu nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Dziadkowi wracały siły, może nawet będzie mógł uniknąć powrotu helikopterem. Wyjaśniła, pewna siebie:

– To nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Potrzebuję cię do pewnej operacji. Operacji nie do końca legalnej. Potencjalnie niebezpiecznej. Potrzebuję, byś zwrócił się do garstki ludzi zdecydowanych. Uzbrojonych.

Przyglądał się jej z uwagą. Zdziwiony. Może nawet rewidował swój osąd.

Mówiąc sobie, że w żyłach wnuczki płynie trochę jego krwi. Że może nawet wśliźnie się ona jednym palcem do jego klanu.

– Uzbrojonych? Jestem starcem, nie mam już żadnych wpływów. Kogo miałbym...

– Trata ta ta... – Clotilde podała mu swój telefon. – Jestem pewna, że wystarczy, byś wykonał jeden czy dwa telefony. Że Korsykańcy walą drzwiami i oknami do takiej roboty.

– Wszystko zależy, co to za robota...

– Unieszkodliwienie strażnika. Być może dwóch, umięśnionego strażnika, ale raczej nieuzbrojonego.

Zamknął oczy. Wyobraził sobie scenę.

– Gdzie by to miało być?

– To ci odświeży wspomnienia. – Spojrzała w stronę cienia obejmującego plażę, siedemset metrów niżej. – Słomiany bar Tropi-Kalliste, plaża Oscelluccia. Nie jestem pewna, czy zwróciłeś uwagę na plakaty, ale chciałabym móc zbliżyć się do Marii-Chjary Giordano.

– Do tej dziwki?

Tak, najwyraźniej zwrócił uwagę na plakaty.

– Czego chcesz się od niej dowiedzieć?

Odparła oschle, jakby spuszczała gilotynę:

– Prawdy! Prawdy na temat śmierci twojego syna. Mojego ojca. Mojej matki i mojego brata. Tylko ona ją zna. Prawdy, której nie znasz nawet ty.

Tym razem cios uderzył w Cassanu z wielką siłą, z większą niż Clotilde mogła przypuszczać. Wyglądał, jakby kręciło mu się w głowie, mrugał oczami, sapał, kasłał, osunął się powoli z kończynami rozrzuconymi na boki, jakby chciał umrzeć na tym szczycie z rozpostartymi ramionami, rzucając wyzwanie krzyżowi Austriaków.

Clotilde wzięła go za rękę, pytając: „Wszystko w porządku, dziadku, wszystko w porządku?”, zawahała się, czy nie wezwać pomocy, dała mu pić, „Spokojnie, dziadku, spokojnie”, uspokoiła jego drżące nogi, uspokoiła jego serce, które łomotało jak oszalałe, „Już dobrze, dziadku, już dobrze”, ścisnęła jego dziesięć palców w swoich, jak gdyby jego życie było ptakiem gotowym wyfrunąć z wnętrza jej dłoni. Minęło kilka dobrych minut, zanim Cassanu w pełni doszedł do siebie, tak jak gdyby wcześniej analizował wszystkie aspekty problemu słabo przewietrzoną głową, zanim znowu mógł normalnie oddychać, nim znów usiadł prosto i chwycił swoją laskę.

– Pomóż mi się podnieść, Clotilde. Zejście zajmie nam dobrą godzinę. Po drodze pożyczysz mi swój telefon. Jeśli chodzi o tych twoich uzbrojonych gości w kominiarkach, chyba będę mógł ci to załatwić.

*Wtorek 22 sierpnia 1989 roku,
szesnasty dzień wakacji,
niebo jak porcelanowy błękit*

We are the world... We are the children.

Jak inni, płynę z falą, śpiewam, trzymając za rękę sąsiada i lekko się bujając, wszyscy razem wokół ogniska na plaży Alga, w imię wielkiej wspólnoty wielkich uczuć. Nicolas stoi na środku, licząc zapewne na to, że światło płomieni pomoże mu odcyfrować gitarowe tabulatury, których i tak nie zna. Trzyma rytm, jak może, mój Brother in Arms, gdyby grał jak Mark Knopfler, wszyscy by o tym wiedzieli. Estefan ma się za Manu Katché i przygrywa mu na djembe.

Jest prawie północ pod niebem rozgwieżdżonym Betelgezą i jej towarzyszkami. Dziś mamy wieczorek dla grzecznych dzieci. Smażymy cukrowe pianki, śpiewamy Boba Marleya, Le Forestiera i tematy z telewizyjnych czołówek. *Voici venu le temps des rires et des chants...*[12]

Nadszedł i już przeminął czas wyspy dzieci.

Dzisiaj jest wieczorek, który ma uspokoić rodziców, który ma kryć ten jutrzejszy; wypad do Camargue organizowany przez Nica, taki dla dorosłych i pełnoletnich, z laserowymi kulami zamiast gwiazd, z muzyką techno zamiast gitary i z jointami, od których wiruje w głowie, zamiast haribo.

Taki właśnie jest plan Nica, wejść z dzieciństwa w dorosłość w równe dwadzieścia cztery godziny.

Trochę zbyt prędko, nie uważasz, mój zaufany czytelniku?

Jak gdyby nie wiedzieli, jak to się skończy. Wygląda na to, że wszystkim im się spieszy, żeby poflirtować, żeby przespać się z kim popadnie, potem żeby sypiać zawsze z tą samą, zawsze z tym samym, żeby się ustatkować, żeby się ożenić, żeby sypiać ze sobą już rzadziej, raz na miesiąc, raz na rok, w rocznicę pierwszego razu, żeby to wspominać, żeby o tym marzyć, żeby przespać się z inną, już zajęłą. Jakby im się spieszyło, żeby pójść tą samą drogą w dół, co ich rodzice. Moi rodzice. Jakby im się spieszyło, żeby zacząć udawać.

We are the children

Maria-Chjara myśli, że jest Cindy Lauper i wrzeszczy *Well, well, well*, przekrzykując chórki. Ma piękny głos, tego nie można jej odmówić. Tylko

Hermann się dąsa. Chciał, żebyśmy zaśpiewali *99 Luftballons*, ale jedynie on, razem z Tess i Magnusem, którzy są Holendrami, rozumie piosenkę Neny po niemiecku. Więc stoi tam jak palant. Przyniósł nawet swoje skrzypce, ale wywołał tylko gwizdy, kiedy zaproponował, że będzie nam na nich akompaniować. To już wolimy lipne akordy Nicolasa i nie mówię tego, dlatego że to mój brat! Więc Hermann trzyma za rękę swoją sąsiadkę Aurélię, a Aurélia trzyma za rękę Cervonego, który trzyma za rękę Candy. W kółeczku serca tańczą, zanim się rozplaczą.

We are the ones... We are the children...

I już leci:

Co z oczu, to z serca...

Z kasby dziewczuszko mała

Świat jest błękitny jak ty cała

W klubie Macumba, Macumba

Wybiorę się tam i ja...

I tak aż do momentu, kiedy górę bierze cisza. Aż do momentu, kiedy Hermann, wykorzystując sytuację, wyłamuje się z koła, wyjmując swoje skrzypce, wyciąga smyczek i, nim zdążymy zaprotestować czy zadrwić, wydobywa z nich płaczliwe i ogniste nuty.

Gra dobrze, tego nie można mu odmówić. Chociaż nie od razu rozpoznajemy melodię. To Maria-Chjara załapuje jako pierwsza. Zaczyna śpiewać i tym razem wszyscy zamykają buzie na kłódkę. Można by pomyśleć, że oboje, on i Chjara, przez całe lato mieli próby.

Forever young, I want to be forever young

Głos Chjary i skrzypce Hermanna pomagają sobie nawzajem, by dźwięk mógł wspiąć się do nieba. Nikt już nic nie mówi. Są takie chwile, kiedy słowa przestają czemukolwiek służyć, nawet najzdolniejszemu pisarzowi. Chciałabym tylko, żebyś mógł tu być i posłuchać, jak skrzypce Hermanna zawodzą i jak głos Marii-Chjary je pociesza.

To głupie, piosenki, jeśli są dobrze zaśpiewane, zwłaszcza te najbardziej kretyńskie, te mówiące o miłości, wywołują u człowieka dreszcz, nawet jeśli nosi T-shirt *Back in Black*.

Nicolas w sportowym geście rzucił gitarę w piasek. Aurélia nie ma takiej klasy, gapi się na Niemca i Włoszkę wzrokiem zazdrosnej gliniary, która chętnie wsadziłaby ich do paki za zakłócanie ciszy nocnej, za przekroczenie dozwolonej liczby uderzeń serca na minutę i brak pasów bezpieczeństwa w ich rękawiczkach lecących w kierunku Drogi Mlecznej. Rzuca zakochane spojrzenia Nicolasowi, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że mój brat ciamajda je pochwyci.

Oto ostatnie dźwięki skrzypiec gubią się w nieskończoności i koniec.

Wszyscy biją brawo.

Wiecznie młody...

Widzę, że z tym też koniec.

Hermann ma dość wycucia, by nie przeciągnąć struny i wrócić do kręgu, chwycić ponownie rękę Aurélii, która chwyta rękę Cervonego i tak dalej... Nicolas patrzy na mnie spod oka i wiem dlaczego, mam przepustkę Kopciuszka i już dawno skończył mi się czas! Muszę też przyznać, że w rzeczywistości przed balem nie przyszła do mnie dobra wróżka, tylko Palma Mama z przestrożą.

O północy do łóżka!

Niechętnie ruszam pod górę w kierunku kempingu, pozostawiając trzy lata starszych ode mnie małych mężczyzn i małe kobietki z ich utopijnymi fantazjami. Ostatni widok, kiedy już jestem ponad plażą, to rozproszony krąg, rozsypany jak konfetti, przeważnie parami. Ręka Hermanna ściskająca rękę Aurélii. Głowa Marii-Chjary oparta na ramieniu Nicolasa. Cervone między Tess a Candy.

Docieram do bungalowu, powłócząc nogami po żwirze, specjalnie hałasuję drzwiami lodówki, kiedy nalewam sobie wody, moim paskiem z trupa czaszką o drzwiczki szafki, pierścionkami, które kręcą się jak bączki na nocnym stoliku, odpowiadam „Dobrze”, kiedy Palma pyta mnie, jak było, i zamykam stopą drzwi do mojego pokoiku dla lalek, zostaję w T-shircie, otwieram okno, bo w środku panuje koszmarny upał, kładę się do łóżka, nie mogę zasnąć, staram się, przysięgam ci, próbuję, trwa to pewnie parę godzin, ale sen zamknięty jest w małżeńskim pokoju obok, więc podnoszę się i tym razem przysięgam ci, że wstając, nie robię tyle hałasu, ile specjalnie robiłam, kładąc się...

Czterdzieści kilo, tak szczupła jak Barbie, ale bez wystających piersi i tyłka, w sam raz, żeby wymknąć się przez okno z pokoiku dla lalek.

Jest czwarta rano. Wiem, wiem, obiecałam Nicolasowi, że nie będę bawić się w małą myszkę, że nie będę szpiegować, przynajmniej do dnia świętej Róży, czyli do jutra, zgodziłam się, szczerze, miałam lepsze rzeczy do roboty, przekonać dziadka do delfinów i całej reszty...

Tylko że to już załatwione! Mój dziadek zgodził się dziś rano, Natale padnie z wrażenia.

Więc chyba mnie rozumiesz, nie będę tu przecież leżeć i się nudzić?

Plaża jest pusta, niemal wszystkie nastolatki już poszły, ognisko prawie zgasło. Został tylko Nicolas, siedzi przy rozżarzonych polanach i brzdąka sam w ciemnościach. Brzmi to jak odgłosy nieśmiałej cykady, ćwiczącej przed wschodem słońca.

Gdzie są wszyscy? Poszli spać?

Gdzie jest ona?

Jakiś głos mi odpowiada, wychodzi z wody, jak jakaś nimfa albo syrena,

albo najada, nigdy za bardzo nie wiedziałam, czym różnią się od siebie wszystkie te wodne stworzenia o kobiecych ciałach, które kończą w sieciach marynarzy.

– Idziesz?

Maria-Chjara wychodzi z wody i w świetle resztek ogniska na plaży i księżycy na niebie dostrzegam najpierw jej cień, potem jej sylwetkę i w końcu cienie na jej sylwetce. Stoi nadal w wodzie aż po pępek.

– Idziesz, Nico?

– Zwariowałaś, na pewno jest lodowata.

Ja, ukryta w ciemnościach, obserwuję jak zaczarowana. Uczę się. Uczę się tych rzeczy, których mamy nie uczyć.

– Chodź i łap!

Nie zdążyłam nawet spostrzec ruchu jej ramion, a już góra od kostiumu kąpielowego Marii-Chjary powiewa w jej ręce.

– No dalej, chodź i łap.

Tańczy, a każdy jej ruch zdaje się obliczony na to, by cień podszedł i przywarł do jej krągłości, pieścił ją, zasłania piersi, by za chwilę znienacka je odsłonić, zakrywa sutki, by w następnej chwili je obnażyć, wygląda to, jakby dwie dłonie w czarnych rękawiczkach kładły się na piersiach, ściskając je, unosząc, gniotąc. Bawiąc się nimi w sposób zdolny rozpalić noc.

Nicolas wstaje.

A więc tak to działa? Zaloty, uwodzenie. Wirowanie, zawrót głowy, wymachiwanie pomponem? To samo od czasów pierwszej gierki?

– Za późno – wdzięczy się głos Włoszki.

Góra od bikini tańczy w powietrzu. To zresztą nie jest strój kąpielowy, to koronkowy biustonosz, który osiada na mokrym piasku jak meduza.

Pospiesz się, mój mały Nico... Mój brat wielki kretyn w ogóle się nie spieszy, zdejmując koszulę i układając ją u swych stóp. Chyba że ta wystudiowana powolność to także część baletu.

Nigdy nie będę umiała... Z miejsca rzuciłabym się na faceta!

– *Seconda possibilità?*[13]

I znów, za sprawą tej samej magii, kolejny małeńki skrawek przezroczystej koronki buja w powietrzu w palcach Marii-Chjary. Woda wciąż sięga jej do pasa. Stoi tak, pokazując swoje trofeum, po czym robi kilka kroków do przodu, do miejsca, w którym jej rozwarte i mocno tkwiące w piasku uda tworzą, tuż nad wodą, most delikatnie lizany falami i morską pianą.

Nicolas wyzbył się wszelkiej cierpliwości. Gatki opadają razem ze spodniami. Wybacz mi, mój nocny czytelniku, że zostawiam cię na łodzi, ale gdy tylko spostrzegam kawałek pośladków mojego brata, zamykam oczy.

Kiedy je otwieram, już ich nie widać, słyszę tylko, jak się śmieją w wodzie, jak igrają, brną do przodu i gruchają. Obiecuję sobie, że jak tylko śmiechy ustaną,

zatkam sobie uszy, zasznurowuję powieki albo po prostu pójdę sobie.

Zresztą muszę to właśnie zrobić, wiem o tym...

Za późno! Maria-Chjara wychodzi z wody pierwsza. Naga. Piękna do niemożliwości, tak jak ja nigdy nie będę, jak niemal żadna dziewczyna nigdy nie będzie. Tak piękna, że mogłyby ją przekląć wszystkie dziewczyny z galaktyki.

Nadal się śmieje, trochę histerycznie, brzmi to równie fałszywie jak dźwięki gitary Nica, uważam, że jest przez to trochę mniej seksowna, ale i tak ma wciąż przewagę nad całym peletonem.

Podnosi swoją górę, swój dół, swoją białą lnianą koszulę, leżącą dwa metry dalej.

Pospiesz się, mój Nico, bo ci się wymknie!

Powoli zaczynam rozumieć tę grę... Dziękuję, Chjaro.

Jest już ubrana, kiedy Nicolas wychodzi z wody, nieco zawstydzony swą nagością. Podczas gdy wsuwa stopę, a potem udo w džinsy, jak czapla na jednej nodze, Maria-Chjara całuje go długo... A potem szybko się zmywa.

Żeby ją dogonić, Nicolas musiałby być mistrzem świata w skakaniu na jednej nodze.

– *A domani, amore mio* – chichocze piękna Włoszka. – *Domani, t'offrirò la mia chiave*[14].

I biegnąc, gubi łajdaczka jeden but.

Nicolas podnosi go kilka sekund później, kiedy już jej nie widać w ciemnościach. Mój braciszek z jej klapkiem w ręce stoi jak kretyn, jak księżę z bajki z kempingu w krainie Kopciuszków w bikini.

Oddalam się po cichu.

– Do jutra...

Będzie 23 sierpnia.

Chociaż nie, jest piąta rano. Ten dzień, od którego wszystko zależy, już nastał.

* * *

Forever Young – wyszeptał.

Let us die young or let us live forever

Pozwólcie nam umrzeć młodo albo pozwólcie nam żyć wiecznie.

Nie pozostawiono im nawet wyboru.

12 *Nadszedł czas śmiechów i śpiewów...* Początek piosenki z czołówki francuskiego serialu telewizyjnego dla dzieci pt. *L'Île aux enfants* (Wyspa dzieci), skomponowanej przez Rogera Pouly do słów Christophe'a Izarda (przyp. tłum.).

13 Po włosku: – Druga szansa? (przyp. tłum.).

14 Po włosku: – Do jutra, kochanie. Jutro podaruję ci swój klucz (przyp. tłum.).

20.00

Można by sądzić, że do ukrytego za żywoplotem ochroniarza trzymającego wartość przy przyczepie, nieco na uboczu plaży Oscelluccia, dołączyło trzech kumpli równie barczystych i umięśnionych jak on, ale w ubraniach jakby z innej bajki. Ochroniarz przydzielony do pilnowania włoskiej piosenkarki miał na sobie nienaganny antracytowy garnitur, tymczasem dwóch otaczających go mężczyzn ubranych było w myśliwskie stroje w panterkę, a trzeci w ciemny dres. Gdyby ktoś podszedł blisko, szybko pojąłby swą pomyłkę, ale plaża była niemal pusta, a przyczepa stała na uboczu.

Cztery ciemne twarze, to pewne... Jeden czarnoskóry i trzech typów w kominiarkach.

Maria-Chjara obserwowała ich chwilę przez świetlik swojej garderoby, po czym odwróciła się w stronę swego gościa, stojącego przy skórzanym fotelu w malinowym kolorze.

– Nie musiała pani sprowadzać z makii swoich goryli – odezwała się Włoszka. – I bez nich otworzyłabym pani drzwi.

Clotilde podeszła i też oceniła przez okienko czterech mężczyzn, którzy raczyli się kawą z termosu i już się chyba prawie polubili. Ich strzelby stały skromnie oparte o dwa pojemniki na śmieci.

Papé był skuteczny! W trakcie powolnego zejścia z Capu di a Veta skorzystał z telefonu komórkowego Clotilde, żeby zadzwonić do kilku przyjaciół zdolnych dyskretnie obezwładnić ochroniarza Marii-Chjary. Bardziej niepokoił ją dalszy ciąg. Cassanu dotarł na farmę Arcanu wycieńczony, po dwugodzinnym marszu. Runął na krzesło ustawione pośrodku podwórza w cieniu zielonego dębu. Babcia Lisabetta wykorzystała jego chrapliwy oddech, który nie pozwalał mu zaprotestować, żeby sprowadzić doktora Pinheiro, z którym przeważnie nie zgadzał się spotkać w innym celu niż zaszczepienie się na grypę; Pinheiro natychmiast zadzwonił po karetkę i zalecił głowie rodu z Arcanu dłuższą obserwację oraz przymusowy odpoczynek na oddziale szpitalnym. Z góry współczuła nieszczęsnej pielęgniarki, która będzie miała za zadanie jako pierwsza obwieścić wypoczętemu już Cassanu, że musi jednak pozostać w łóżku jeszcze przez kilka dni. W wieku prawie dziewięćdziesięciu lat sędziwy Korsykanin nadal codziennie pokonywał

pieszo kilka kilometrów albo przepływał kilkaset metrów.

Clotilde odwróciła wzrok od okienka.

– Mario, przyszedłam się z panią zobaczyć wtedy po koncercie bez obstawy i nie chciała pani ze mną porozmawiać.

– Ale tamtego dnia nie towarzyszył pani Brad Pitt.

Spojrzenie Włoszki utkwiło w oczach Natalego siedzącego na drugim fotelu, w kolorze zielonego jabłuszka.

Nieogolony, z rozczochraną blond czupryną Natale, spiesząc się do niej, wciągnął szybko dziurawe džinsy i białą koszulkę polo. Piękny, spokojny, emanował kocią siłą, która kontrastowała z wulgarnością stojących pod drzwiami brunatnych niedźwiedzi pod rozkazami Cassanu. Clotilde próbowała ugasić rozżarzone węgielki zazdrości, które paliły ją od środka, ale Maria-Chjara zajęła się ich podsycaniem. Usadowiła się na małym taborecie stojącym przed jej toaletką: wielkie lustro, zwykła umywalka i dziesiątki kolorowych, brokatowych, bursztynowych szklanych flakoników, pędzelków, kredek we wszystkich odcieniach czerwieni, purpury i ochry.

– Jak miło – ciągnęła piosenkarka – starzy przyjaciele wpadają niespodzianie na herbatę. Wybaczcie mi, ale muszę się przygotować. Mój koncert zaczyna się za dwie godziny... Publiczność na mnie czeka!

Puściła, rozbawiona, oko do lustra, najwyraźniej świadoma motywacji dojrzewających nastolatków przychodzących popatrzeć, jak nurkuje w basenie w białym prześwitującym kostiumie kąpielowym. Clotilde rzuciła ostatni raz okiem na zewnątrz, w stronę mężczyzn w kominiarkach, po czym zaciągnęła zasłonę w przyczepie.

– Przykro mi – powiedziała. – Musiałam uciec się do siły, żeby się z panią spotkać, ale...

Piosenkarka zsunęła z ramion peniuar w lamparcie cętki. Zwisał z krzesła jak porzucone myśliwskie trofeum, gdy tymczasem ona, w samych tylko czerwonych majtkach i staniku, ukazywała im nieprzesłonięty niczym widok swoich pleców, wytatuowanej róży schodzącej krzywo od karku aż do bruzdy pośladkowej. Lustro buduaru eksponowało jej przód w sposób jeszcze bardziej nieprzyzwoity.

Natale, niczym imitacja marmuru, trwał równie niewzruszony jak meble dookoła. Stół, komoda, gerydon, posążek Wenus i Kupidyna. Bezmiar kiczu. Tak zapewne wygląda wnętrze mieszkania luksusowej prostytutki dla forsiastych pierników, pomyślała z odrobiną złośliwości Clotilde. Przyciemniony nastrój, imitowana skóra, sklejka i draperie dla zamaskowania nędzy.

– Wiecie – zażartowała Maria-Chjara – przez dwadzieścia lat odgrywania gwiazdek na Canale 5 napatrzyłam się na różnego rodzaju karabinierów.

Pędzelki, waciki, podkład śmigwały w jej doświadczonych palcach. Dwie godziny na pozbycie się zmarszczek.

– Skoro to takie pilne – ciągnęła piosenkarka – to proszę, niech pani nie traci czasu.

Clotilde zaczęła mówić. Wszystko opowiedziała, a Maria-Chjara ani razu jej nie przerwała. Łączyła szczegóły przywołane przez Cervonego Spinella z własnymi wspomnieniami, dzień 23 sierpnia 1989 roku, wypad do Camargue precyzyjnie zaplanowany przez Nicolasa, fuego, które pożyczył, które próbował prowadzić z Marią-Chjarą siedzącą na fotelu pasażera, wypadek, najwyraźniej niegroźny. Samochód był cały, ucierpiał tylko układ kierowniczy, końcówka, nakrętka, drążek kierowniczy...

Kiedy Clotilde skończyła opowiadać, włoska piosenkarka siedząca na taborecie na kółkach obróciła się eleganckim gestem. Podczas swojego monologu Clotilde nie patrzyła, jak Maria-Chjara robi sobie makijaż. Efekt był zdumiewający. Umalowała się na trzydziestoletnią diwę. Pełne, aksamitnie czerwone wargi, wielkie czarne oczy, wyraziste i świetliste kości policzkowe, gładkie i wypukłe czoło. Młodość, która mogłaby nurkować w fontannie di Trevi pod okiem kamer Felliniego, a nie w plastikowym baseniku, uwieczniana obiektami iPhone'ów w trybie wideo.

Podjechała taboretom po wykładzinie jaśminowego koloru; ujęła Clotilde za rękę, zanim odpowiedziała.

– Oczywiście, moja droga, że pamiętam pani brata. Nicolas był wzruszający, inny, piękny. Nawet więcej. Miał w sobie rodzaj rozbijającej dobroci. Jak wtedy gdy chciał uwodzić, ale mu nie wychodziło, gdy tak kiepsko grał na gitarze, kiedy się rozbierał, popisując się, a przecież czuło się, że jest nieśmiały jak małe dziecko. Był taki wzruszający w przeddzień wypadku. Tu, na plaży Oscelluccia, przy ognisku.

Clotilde ucięła oschle.

– A dlaczego ten tak czarujący, tak wzruszający chłopak, Nicolas, nic nie powiedział? Dlaczego nie odważył się porozmawiać z ojcem? Dlaczego wolał wsiąść do tego samochodu kilka godzin później, niż powiedzieć o waszym wypadku?

– Nicolas nie byłby do tego zdolny.

Ręka Clotilde drgnęła. Dłoń Marii-Chjary przytrzymała ją stanowczo.

– Nicolas nie byłby do tego zdolny – powtórzyła gwiazdka. – I dobrze pani o tym wie...

W oczach Clotilde stanęły łzy. Jej lewa ręka szukała dłoni Natalego na fotelu obok. Prawa pozostawała w ciepłym uścisku Włoszki, uwięziona w szponach orlicy o pazurach pomalowanych na karminową czerwień.

– Cervone Spinello ma rację co do jednego, chciałam być pewna, że Nicolas umie prowadzić, zanim zgodzę się na ucieczkę fuego. Pani brat naprawdę ukradł kluczyki od samochodu waszego ojca, naprawdę zaproponował mi tę próbną

kilkuminutową jazdę aż do Galerii. Ale dalszy ciąg różni się nieco od wersji kierownika kempingu. Nicolas prowadził ostrożnie, spokojnie, zdecydowanie. – Szpony ścisnęły delikatnie palce Clotilde, Maria-Chjara miała chowające się paznokcie kotki. – A jednak mogę panią zapewnić, że posunęłam test do ostatecznej granicy, pocałunki w szyję, pieszczoty pod jego szortami. Albo moimi. Ale dowiózł nas szczęśliwie na parking kempingu. Nie wypadając ani razu z drogi.

Clotilde przypominała sobie słowa wypowiedziane przez Cervonego, jak Nicolas pochylony pod silnikiem samochodu mówi „Nic się nie stało. Nic się nie stało”, jak zbliża umazane na czarno ręce do białych koronek Marii, która się cofa, wyzywa go, ucieka.

Kto kłamał?

Jej głos zadrżał.

– Cervone widział, jak rozmawiacie na parkingu.

– Zgadza się... Nie pamiętam już dokładnie słów, ale kiedy wysiadłam z samochodu, powiedziałam Nicolasowi, że test się powiodł, że zgadzam się wsiąść z nim do auta, gdy zapadnie zmrok. Ale pod jednym warunkiem...

Palce Marii-Chjary zacisnęły się na palcach Clotilde i jakby przewodząc prąd elektryczny, sprawiły, że palce Clotilde zacisnęły się na dłoni Natalego.

– Pod jednym warunkiem – ciągnęła gwiazdka. – Że udamy się tam sami, we dwoje, bez wszystkich tych kretynów z kempingu.

Słowa Marii-Chjary miały cudowną zaletę, moc potężnej aspiryny, działającej natychmiastowo na najgorszą migrenę.

Cervone Spinello wszystko wymyślił!

Nicolas nie był niczemu winny, nie był za nic odpowiedzialny! Ta opowieść o wypadku była tylko monstualnym oszczerstwem.

W ostatniej chwili Clotilde udało się powstrzymać łzy i teraz przepajała ją słodka euforia. Maria-Chjara wprost przeciwnie, pozwoliła, by łzy zalały jej oczy, a potem spłynęły, pustosząc w kilka sekund efekt cierplivej pracy bellissimy, by nałożyć puder z ochry na każdą zmarszczkę.

– Czekałam na pani brata, Clotilde, czekałam na niego następnego dnia. Włożyłam swoją najpiękniejszą sukienkę, wokół oczu miałam deszcz gwiazd, we włosach róże, czekałam na niego całą noc. Chciałam, żeby to on był moim pierwszym. On i żaden inny. Tak, czekałam na niego pod niebem pełnym gwiazd, dopóki nie zaczęły gasnąć jedna po drugiej. Kiedy zniknęła ostatnia, pomyślałam o nim jak o najgorszym draniu. Poszłam spać z uczuciem ostatecznej pogardy dla mężczyzn. A nazajutrz rano, po przebudzeniu, dowiedziałam się. Wypadek... Coś niewyobrażalnego... – Karminowe paznokcie wbiły się w rękę Clotilde, ale ona jej nie cofnęła. – Przysięgam pani, Clotilde, przysięgam to pani, za każdym razem, kiedy się z kimś Kocham, a Bóg mi świadkiem, że zdarza mi się to często z różnymi mężczyznami, zawsze myślę o pani bracie. Gdybym była pisarką, sądzę,

że to przypominałoby dedykację czy coś w tym rodzaju. Tak, Clotilde, nigdy nie zapominam zadedykować mu tej małej śmierci, której nigdy nie zaznał. Tego, że odmówiłam mu na złość, przez głupotę. I być może, jeśli dzisiaj z rzadka mówię „nie”, nawet dupkom, jeśli z rzadka przekładam na następny dzień tego, z którym mogłabym wskoczyć do łóżka jeszcze tego samego wieczoru, to po to, żeby Nicolas mi wybaczył.

Maria-Chjara nadal wypłakiwała łzy i słowa, lecz Clotilde już jej nie słuchała. Jej mózg koncentrował się wyłącznie na kilku prawdach.

Maria-Chjara nie kłamała, to było oczywiste.

A zatem Cervone Spinello wszystko wymyślił...

Dlaczego?

Przez zazdrość? Przez złośliwość?

A może gra Cervonego była jeszcze prostsza? Wystarczyło połączyć dwa fakty, dwa dowiedzione fakty: Cervone wymyślił opowieść o wypadku, żeby wytłumaczyć, dlaczego układ kierowniczy fuego był uszkodzony. Ale sierżant Cesareu Garcia wyraził się jasno i stanowczo: nakrętka została odkręcona, końcówka wypadła, a zresztą żandarm nie mówił nic o wygiętym drażku. Mówił o celowym uszkodzeniu. Kto mógł mieć powód, żeby kłamać na temat przyczyn wypadku jej rodziców, jeśli nie sprawca celowego uszkodzenia?

Maria-Chjara wstała i uśmiechając się, przyglądała się w lustrze katastrofie.

– Na kilka minut przed koncertem trudno będzie namalować kolejne dzieło sztuki. – Pokazała język do lustra. – Oni i tak mają to gdzieś, nie dla pięknych oczu przecież przychodzą mnie oglądać.

Ruchem rzemieślnika przywykłego do codziennie powtarzanego gestu zrzuciła z siebie stanik, jednocześnie łapiąc drugą ręką biały kostium kąpielowy z wieszaka.

– Artykuł pierwszy mojego kontraktu zastrzega po francusku, po włosku i po angielsku, że muszę wskoczyć do basenu dokładnie na koniec drugiej zwrotki *Boys Boys Boys*, ubrana w bikini, akapit „a” artykułu pierwszego precyzuje: bikini w rozmiarze osiemdziesiąt C.

Wypięła ostentacyjnie piersi w stronę Natalego, ale tym razem Clotilde nie poczuła żadnej zazdrości. Rewelacje Marii-Chjary wzbudziły w niej niezachwianą sympatię do Włoszki.

– No dalej, Brad, śmiało, niech pan sobie popatrzy. Prywatny seans. Nie są moje, więc niech pan korzysta... To znaczy jeszcze nie, przy trzech i pół tysiąca euro za każdy cycek musiałam się zapożyczyć na dziesięć lat. Płacić w ratach za własną młodość to isticie sakramencki wynalazek, nieprawdaż?

Wykręcając tułów, aby wciągnąć na siebie skąpą górę od białego kostiumu kąpielowego, Maria-Chjara zwróciła się do Clotilde:

– Proszę nie mieć mi za złe, moja droga. Jest pani zapewne w podobnym

wieku co ja, ledwie parę lat różnicy, jest pani śliczna jak z obrazka, zjawia się pani u mnie ze swoim ukochanym o czarodziejskim spojrzeniu, więc niech mi pani nie ma za złe. Panią mężczyźni kochają za pani uśmiech, za energię, za elegancję... Tymczasem u mnie, odkąd skończyłam czternaście lat, zawsze patrzyli tylko na piersi. One są, jak by to powiedzieć, moją tożsamością... Moją podwójną tożsamością!

Wybuchnęła śmiechem.

Tym razem to Clotilde ujęła jej rękę.

– Dobrze pani śpiewa, Mario. Słuchałam wczoraj pani wykonania *Sempre giovanu*. Zawsze cudownie pani śpiewała. To właśnie przyciągało mężczyzn, pani śpiew, nie pani ciało.

Clotilde natychmiast pożałowała, że powiedziała to w czasie przeszłym, lecz Maria-Chjara tego nie zauważyła albo nie miała jej za złe.

– Dziękuję, moja droga. To miłe. A teraz wybaczcie mi, mam basen...

Wybuchnęła znowu śmiechem, jeszcze raz utkwiała spojrzenie w Natalem, poprawiając jednocześnie kostium kąpielowy, który już się zsuwał, odsłaniając zgodnie z przemyślaną symetrią dwa ciemne sutki, po czym odwróciła się, pogwizdując i nie patrząc tym razem w lustro.

Boys boys boys.

»

Jak tylko wyszli z przyczepy, strażnicy w kominiarkach rozplnęli się w nocy. Natale wziął Clotilde za rękę, aby pomóc jej stawić czoło tłumowi, który już zaczynał tłoczyć się na plaży. Szli w odwrotnym kierunku niż grupki młodych podnieconych tancerzy, zmierzających w stronę sceny, trochę tak, jak człowiek, który usiłuje zawrócić w podziemnym korytarzu metra. Clotilde, zatopiona w myślach, pozwalała się prowadzić.

Nastolatki i dorosła młodzież, głośni, migoczący, świecący w ciemnościach, tworzyli wokół niej rodzaj karnawałowego tłumu, który zamiast ją atakować czy rozpraszać, przedłużał uczucie spokoju wynoszące jej serce ponad tę kipiącą falę, czynił z niej ukojoną obserwatorkę tego stada.

Nicolas nie zabił swoich rodziców.

Układ kierowniczy fuego został faktycznie celowo uszkodzony.

Cervone Spinello stawał się więcej niż podejrzanym. Wszystko wskazywało na jego winę. Śmierć jej ojca, matki i brata zostanie pomszczona. Niejasne kwestie zostaną wyjaśnione. Ta kanalia Spinello będzie musiał zapłacić, przyznać się, wytłumaczyć. Dlaczego ukradł jej portfel z bungalowu? Przygotował tamto śniadanie? Podpisał tamte listy inicjałem P.? Żeby ukryć morderstwo jej rodziny sprzed dwudziestu siedmiu lat? Nareszcie Clotilde się dowie, zrozumie, odżyje.

Tłum na plaży przeredzał się w miarę, jak oddalali się od neonów

Tropi-Kalliste. Spotykali już tylko rozproszone grupki nastolatków. Clotilde wykorzystała to, żeby wyjąć telefon.

Cervonem zajmie się później.

Jutro rano o świcie.

Przedtem chciała nacieszyć się nocą.

Puściła rękę Natalego i odeszła kilka kroków. Trzymał się trochę na uboczu, obserwując grupki nastolatków i śledząc jakby z zazdrością butelki alkoholu krążące z ust do ust, między dziewczynami i chłopakami, bez różnicy.

Gdzie jesteś?

Clotilde wcisnęła po prostu klawisz „wyślij ponownie” w swoim telefonie; wysłała tę wiadomość do Francka i Valentine już z dziesięć razy w ciągu dnia, bez żadnej odpowiedzi ze strony córki czy męża. Czekala przez dłuższą chwilę. Na próżno. Żadna wiadomość zwrotna się nie wyświetliła.

OK, na pełnym morzu niekoniecznie mieli zasięg, ale Franck i Valou nie żeglowali nocą. Obojętność Valentine była normalką, rzadko odpowiadała matce wcześniej niż na dziesiąty wysłany do niej esemes, jeszcze rzadziej w ciągu dnia.

Franck jednak...

Clotilde jeszcze raz spojrzała na pusty ekran komórki, po czym podniosła wzrok ku opustoszałej, tonącej w ciemnościach części plaży, którą zamykały postrzępione skały wyglądające jak włochate potwory. Pośród pierwszych bloków skalnych, które pokonywali, pod jej stopami chrzęściły kępy morskiego kopru. Kilka metrów od brzegu, u stóp śpiących raf, tańczył cień małej przycumowanej łodzi rybackiej. Przymocowany zużyta liną do zardzewiałego pierścienia „Aryon” czekał, kołysany spokojnymi falami.

Muzyka dobiegająca z za ich pleców pchała ich w stronę morza mocniej, niż mógłby to zrobić wiatr wiejący od lądu.

Clotilde ścisnęła dłoń Natalego.

– Zabierz mnie na statek.

Natale spojrzał na nią, uśmiechnął się. Bez słowa podciągnął spodnie powyżej kolan. Prowadził Clotilde po nocy za rękę, jak gdyby znał na pamięć każdą nierówność piasku, każdą skałę, na którą się wspinali w ciemnościach, a potem nagle, nim zanurzył się w wodzie, uniósł ją w ramionach, tak aby pokonała suchą stopą ostatnie metry, które dzieliły ich od łodzi.

Kiedy umieścił Clotilde w „Aryonie”, niczym ładunek dynamitu, którego w żadnym razie nie należało zamoczyć, woda sięgała mu do piersi, a jego dynamit, choć niesiony na rękach, był już tylko mokrą petardą. Jednakowo przemoczeni, wdrapali się do łodzi i runęli na dno kadłuba. Reling „Aryona” sprawiał, że w tej leżącej pozycji byli idealnie niewidoczni dla setek tancerzy na plaży.

Elektroniczna muzyka Depeche Mode rytmizowała odgłos fal.

Wiatr od morza przenikał ich chłodem.

Clotilde odurzało uczucie upojenia, wrażenie, że przeżywa ostatnie chwile długiego koszmaru, że za kilka godzin prawda nagle wyjdzie na jaw. I że może, choć to było głupie, Cervone przyparty do mury w końcu wyzna, że jej matka wciąż żyje, że czekała na nią przez wszystkie te lata.

Nadal w pozycji leżącej Clotilde ostatni raz rzuciła okiem na swój niemy telefon komórkowy, po czym wyslizgnęła się przez nogi z przemoczonego letniego kombinezonu, wijącym się ruchem węża zrzucającego skórę. Uważała, że jest o wiele mniej uzdolnioną striptizerką niż Maria-Chjara. Pokryła to autoironią.

– Podnieciła cię piękna Włoszka?

Natale ruchem równie gadzim co ona usiłował odkleić od ud bokserki. Jego koszulka polo, którą zdążył już zdjąć przez głowę, posłużyła mu do przetarcia torsu, po czym zawisła, po ostrożnym jej umieszczeniu, na relingu.

– Hmm... *Molto molto* – odpowiedział Natale. – Zresztą gdybyś nadal mogła mówić do mnie Brad...

– Nie ma mowy! Dla mnie jesteś i pozostaniesz Jeanem-Markiem. I to jeszcze moim Jeanem-Markiem w jego jednej jedynej roli człowieka-delfina.

Ułożyli się jedno obok drugiego, nic już nie mówiąc, rozrzucając w milczeniu ostatnie części bielizny. Przywierając zimnym i mokrym ciałem do ciała Natalego, Clotilde zrozumiała, że powinni się kochać właśnie tak, leżąc obok siebie, a nie jedno na drugim. Wyobraziła sobie, że gdyby kiedyś znów mieli się kochać, gdzieś indziej, powinni zawsze tak to robić, leżąc jak sardynki w puszce (ten obraz wywołał jej uśmiech) i wymyślać najdziwniejsze miejsca do kochania się w tej pozycji, w polu wysokich traw na skraju uczęszczanej drogi, na najwyższej kuszetce, niemal pod sufitem wagonu sypialnego pędzącego do Wenecji, pod sceną teatru w środku przedstawienia...

Statkiem lekko huśtało.

Jej życiem też.

»

– A gdybyśmy tak odczepili cumy?

Clotilde i Natale leżeli nadzy na plecach, na dnie „Aryona”; w kołysce pod niebem usianym gwiazdami, którymi morze delikatnie wstrząsało. Clotilde nie potrafiła rozpoznać dzisiaj Betelgezy pośród setek gwiazd.

– A gdybyśmy odczepili cumy? – powtórzyła Clotilde.

„Aryon” przytrzymała tylko jedna lina. Jedno cięcie scyzorykiem, zębami czy długim paznokciem wystarczyłoby, aby przerwać kontakt z ziemią.

W oddali, w absolutnej ciszy, Maria-Chjara zaczynała śpiewać a cappella *Sempre giovanu*. Clotilde próbowała dotrzeć aż do tej pieśni, zanim odda się całkowicie Natalemu, wyobrażając sobie intensywność przyszłej rozkoszy; jeszcze tylko odrobina cierpliwości, w oczekiwaniu tej chwili, jej fantazji z okresu

dorastania, fantazji jej życia od niemal trzydziestu lat. Nie udało się. Nie zdołała wytrwać kilku minut dłużej i doszła w trakcie refrenu *Joe le taxi*.

Tyle zachodu i tylko tyle.

A gdybyśmy tak odczepili cumy?, powtórzyła jeszcze raz, tym razem w myślach, Clotilde.

Natale nie odpowiedział na jej pytanie.

Clotilde nie zamierzała ponownie go zadawać.

Trwali w milczeniu, wypatrując, czy jakaś gwiazda ośmieli się spaść. Zatracali poczucie czasu.

Przynajmniej Clotilde.

– Muszę już iść, Clo...

Gwiazdy tańczyły, jak gdyby jakiś bóg żartowniś bawił się, mieszając je.

– Do siebie?

– Moja żona kończy zmianę o północy. Muszę być w domu, zanim wróci Aurélia.

Odnaleźć Betelgezę pośród rozsypanych gwiazd, planetę Małego Księcia, Kastora i Polluksa, jakąkolwiek gwiazdę budzącą miłość od niepamiętnych czasów.

– Dlaczego, Natale?

Statek znowu się zakołysał, lecz tym razem to dlatego, że Natale, pełzając, szukał swoich bokserów i paska, niczym wciąż pijany o świcie kochanek.

– Dlaczego przez wszystkie te lata z nią byłeś? Z kobietą taką jak ona?

Zaoferował jej swój uśmiech, uśmiech oznaczający „Naprawdę chcesz wiedzieć?”, uśmiech, którego nie odrzuciła.

– Chociaż trudno ci to przyjąć, Clo, Aurélia włożyła wiele wysiłku w to, by mi towarzyszyć. Towarzyszyć mojemu życiu, ułożyć je, uporządkować. Aurélia jest zorganizowana, Aurélia jest troskliwa, uczciwa, prawa, godna zaufania, pokrzepiająca, obecna, kochająca...

Clotilde usiłowała wypalić sobie siatkówki, wpatrując się w najbardziej oślepiającą z gwiazd. Nie panowała nad dźwiękiem swojego głosu, który brzmiał świdrująco jak metalowe ostrze ślizgające się po stalowej płycie.

– Dobrze, rozumiem, wierzę ci.

Na siłę uspokoiła, obniżyła głos, zanim zaczęła mówić dalej.

– Ale to nie zmienia mojego pytania, Natale. Cokolwiek mi powiesz o Aurélii, niczego to nie zmienia, bo ja wiem, że jej nie kochasz.

– I co z tego, Clo? I co z tego?

»

Go... Go and see, my love...[15]

»

Natale poszedł. Clotilde była już od kilku minut ubrana, kiedy w jej telefonie rozległ się sygnał nadchodzącej wiadomości.

Franck.

Wszystko dobrze.

Wracamy za parę dni, zgodnie z planem.

Zależy mi na Tobie.

Słowa wymienione z Natalem wciąż tłukły się jej po głowie. Jak lustrzane odbicie jej własnego życia.

– *Wiem, że jej nie kochasz.*

– *I co z tego?*

15 Dialogi z filmu *Wielki błękit*, op. cit.

*Środa 23 sierpnia 1989 roku,
siedemnasty dzień wakacji, niebo akwamarynowe*

Dziś jest ten dzień!

Od dawna mówię ci o tym 23 sierpnia, mój wczorajszy i jutrzejszy czytelniku, i oto nadszedł.

Dzień świętej Róży, świt czułości, wieczór obietnic, noc pieszczot.

Dzień D jak Dochodzić dla mojego kretyńskiego starszego brata Nicolasa, o tym nie muszę ci przypominać. Środa Ś jak Ściema dla taty i mamy, którzy w swoją rocznicę będą prawić sobie kłamstwa, przysięgać, że nadal się kochają, że miłość istnieje, ależ tak, oczywiście, że to ona, miłość, przynosi prezenty pod kominek, między wymięte i zimne prześcieradła, gdy kochankowie śpią. Miłość to Święty Mikołaj dla dorosłych.

Mam to gdzieś! Ja w niego wierzę!

Jako dziecko nie chciałam słuchać, kiedy koledzy na szkolnym podwórku zarzekali się, że Świętego Mikołaja nie ma.

Może kiedyś jakiś kochanek, opuszczając mnie, będzie się zarzekał, że miłość nie istnieje, a ja zatkam sobie uszy.

Przysięgam, że wierzę w Świętego Mikołaja, w mieszkańców gwiazd, w jednorożce, w syreny i delfiny, które rozmawiają z ludźmi.

Natale też w nie wierzy.

Lecę do niego.

Umówiłam się z nim w porcie Stareso, aby mu oznajmić, że ugłaskałam, zaczarowałam, dopieściłam Papé Cassanu, stary dąb z Arcanu, niedźwiedzia z Balagne, sokoła z Capu di a Veta, strażnika Revellaty, i że jeśli chodzi o projekt rezerwatu delfinów przy plaży Oscelluccia, to się zgodzi. Więc Natale jest mi winien nie jednego całusa, ale całusa każdego dnia, plus rejs „Aryonem”, niekończącą się kąpiel z Idril i Orofinem, i wiele innych obietnic na później, kiedy będę już duża i przestanę wierzyć w Świętego Mikołaja, ale wciąż będę wierzyć w Miłość.

Podążam właśnie ścieżką, która biegnie wzdłuż grani Revellaty, po czym gwałtownie schodzi do portu Stareso od północnego wschodu do Punta Rossa od północnego zachodu i do latarni morskiej na Revellacie na wprost mnie. To najwyższa i najwęższa część półwyspu, człowiek góruje tu nad morzem ze

wszystkich stron. Gdybym zrobiła teraz siusiu, tuż pod stopami, nie byłabym w stanie odgadnąć, którędy mój mały deszczyk spłynąłby do morza. Od zachodu, ze szczytu klifu, kaskadą, czy od wschodu, strumieniem, w kierunku plaży?

Na samą myśl o tym zwolniłam. Tak jak przed każdym przepięknym widokiem. Zastanawiając się, z jakiej gigantycznej palety mogą pochodzić te wszystkie odcienie czerwieni na półwyspie i turkus w wodzie. Czy Bóg to brodaty malarz, który stworzył świat za pomocą trzech pędzli i sztalug? Fajny pomysł! Wpatruję się w niemal niewidoczne na tle różowych skał ściany domów portu Stareso, wtopionych w klif jak skalne domostwa, tylko w wersji sześcienniej, nad miniaturowym nabrzeżem. „Aryon” nie jest przycumowany.

Tym razem przystaję, skupiam wzrok na morzu, które jest puste, jeśli nie liczyć jednego promu, tak żółtego, jakby to był kawałek słońca, który się oderwał. Waham się. Myślę sobie, że idealnie byłoby pozostać tu, na szczycie Revellaty, w palącym słońcu, na wietrze, i obserwować horyzont. Łódź Natalego na pewno wróci niebawem do portu. Muszę tylko wcisnąć mocniej na uszy czapkę z Bon Jovim, zsunąć okulary przeciwsłoneczne na oczy i usadowić się na jakimś kamieniu.

– Czekasz na swojego ukochanego?

Podskoczyłam na dźwięk głosu za moimi plecami.

– Na kogo?

– Twojego ukochanego! Tego starego.

To głos Cervonego Spinella, a ja orientuję się, że ten drań śledził mnie, że wszystko już wie o Natalem. Chyba że to jego ojciec Basile się wygadał. Nie sądzę.

– Mojego ukochanego? Też coś! Robimy tylko interesy z Natalem Angelim.

– Mam taką nadzieję dla twojego dobra. Bo Angeli lubi zwłaszcza stare.

Ten dupek nawet nie zasługuje na to, żebym się broniła. Jego spojrzenie przykute jest do zatoczki Recisa na południu Revellaty, skolonizowanej z powodu wiatru przez windsurferów, najlepszej lokalizacji w Balagne według gości w kombinezonach, którzy czasami korzystają na dziko z sanitariatów Euproctes.

– Chociaż – ciągnie Cervone – rozumiem Angelego. To właśnie stare mają forszę. Widzisz tę zatoczkę tam dalej, tę, z której wypływają deski windsurfingowe? Cóż, jak tylko będę mógł, to właśnie tam się przeniosę.

Ma rację, ten dupek. Balet windsurferów na morzu jest po prostu nie z tej ziemi, wariacki taniec kolorowych skrzydeł. Jednak nie za bardzo widzę, gdzie ten kretyn Cervone mógłby się tam zainstalować, zatoka Recisa to same skały, kamienie i raczej ziemia niż piasek, chłostana wiatrem i naszpikowana wydymami, które nieustannie zmieniają miejsce.

Nadal zerkam z mojego półwyspu to na jeden, to na drugi kraniec morza, wciąż wypatrując powrotu „Aryona”.

– Nic nie ma na tej twojej plaży Recisa.

– No właśnie, otworzę tam słomiany bar. Z parasolami, pod którymi można by czytać w cieniu, i z placem zabaw dla dzieci.

Pewnie spojrzalam na niego dziwnie. Czytanie, dzieciaki, to niespecjalnie jest w stylu Cervonego.

– Zamierzasz w ten sposób zbić forszę?

– A kto mówi o forsie? Mój plan to po prostu megaplan podrywu.

I zaczyna snuć swoją wizję. Opowieść będzie trochę przydługa i nie gwarantuję Ci, że to będą dokładne słowa Cervonego, ale chodzi o to, żebyś zrozumiał, jaki on jest, to na swój sposób też rodzaj geniusza, geniusza z pokręconymi pomysłami, które jednak mogłyby zadziałać, z pomysłami, które mogłyby przynieść korzyści jemu, i tylko jemu.

To przeciwieństwo dziadka. To także przeciwieństwo Natalego.

– Wiesz, Clotilde, od lat godzinami obserwuję tę zatoczkę. Ci, którzy przyjeżdżają popływać na desce windsurfingowej po raz pierwszy w zatoce Recisa, to ludzie młodzi, bez żony czy męża, bez dzieci. To umięśnieni, opaleni faceci o wyglądzie poszukiwaczy przygód i wysportowane dziewczyny, gorące laski w typie Kalifornijek, Australijek czy Hawajek, choć przyjeżdżają z Lyonu, Strasburga czy Brukseli. Tutaj się spotykają, dzielą razem pasję, myślą o sobie nawzajem, że są piękni i fajni, zakochują się w sobie, kochają się jak szaleni, wchodzą w związek, robią dziecko, potem następne, kupują sobie vana, żeby załadować na dach deski i zapakować dzieciaki do środka, i oczywiście wracają co roku na tę samą plażę, w to samo miejsce, żeby poślizgać się na desce. Tylko że, i to jest fakt, obserwowałem to każdego lata, facet nigdy nie zrezygnuje ze swojej pasji. Nigdy! A więc to kobieta zostaje na plaży z dzieckiem. Gdzie jest tatuś? Tam, widzisz, ten duży czerwony żagiel, który pędzi, to tatuś! Siedzi i czeka na niego, z łopatką i wiaderkiem, butelką wody, książką, w cieniu słomianego parasola, jeśli tam jakiś jest; nudzi się, ma czas, żeby pogadać z facetem, jeśli jakiś tam jest, sympatycznym kelnerem, jakimś tubylcem, zwłaszcza jeśli jej dzieciak jest zajęty zabawą na małym placu zabaw, który tam urządzono. Zresztą jej dwuletni blondynek już zaczyna wdrapywać się na karuzelę i ona już wie, że swojego małego księcia, który klapnął na piasek, zatrzyma w ramionach do szóstego, maksimum do ósmego roku życia, zanim ten bohater dołączy do swojego ojca na falach; a kiedy wyjdzie z wody, powie jej: „Gdybyś to widziała, mamo, świetnie się bawiliśmy z tatą”, wtedy ona się uśmiechnie i poczuje szczęśliwa, szczęśliwa przynajmniej z ich powodu, ona, która od dziesięciu lat nie pływała w ogóle na desce, która przez cały rok czeka na te trzy tygodnie wakacji i która siedzi tu sama na plaży tylko po to, by znowu czekać na swojego syna i na swojego mężczyznę; a wieczorem rozwiesi ich kombinezony i opatrzy ich skaleczenia. Mógłbym podać ci dalsze szczegóły, Clotilde, ale sądzę, że zrozumiałaś plan ataku. Możesz mi wymienić chociaż jedno miejsce na ziemi, gdzie najpiękniejsze

dziewczyny świata tak się same nudzą? Nie! Tylko tu, w tej poczekalni na plaży, moja stara, kiedy mężczyźni o szerokich ramionach są na morzu! To szansa dla mężczyzn, którzy nie mają żadnych szans, oprócz tej, że są w odpowiednim miejscu.

W połowie mojego wahadłowego ruchu oczyma, to na jedną stronę półwyspu, to na drugą i z powrotem, spoglądam na niego z niedowierzaniem, słysząc te jego socjologiczne brednie. Nadal ani śladu „Aryona”.

I w tym momencie zamyka mi usta.

– Nie wierz mi, Clotilde. Nie wierz mi. Weź sobie surfera, odkrywcę albo kosmonautę, który obiecuje ci gwiazdy na niebie, i wtedy pogadamy. Ale ja właśnie w zatoczce Recisa znajdę sobie dziewczynę ładniejszą ode mnie, miłszą, robotną i kochającą.

– Jesteś naprawdę kompletnie popieprzony!

Nie powinnam była, wiem, ale wymknęło mi się. Z miejsca poczułam się trochę jak przedstawicielka żon wszystkich surferów, a jeszcze bardziej żon marynarzy, kierowców tirów, żołnierzy, wszystkich tych kobiet, które przez całe życie czekają na swoich ukochanych.

Najwyraźniej Cervone jest urażony!

– Pipa! A ty czego się spodziewasz z tym twoim staruchem? Przestań się gapić w horyzont, on nieprędko wróci. Chcesz, żebym ci powiedział, gdzie popłynął „Aryon”? Gdzie popłynął twój Natale Angeli? Na morską przejażdżkę z twoją mamusią! Właśnie tak, moja stara, jedyne, co delfiny dostaną do żarcia, to stanik i stringi twojej matki, które twój anioł im rzuci.

Chcę, żeby zamilkł. Zawieszam wzrok, jak jakaś idiotka, na białych żaglach, które suną powoli na horyzoncie. Żaglówki, wyłącznie żaglówki, żadnego kutra. Ale Cervone już się rozkręcił.

– Nie smuć się, kochanie. Nie możesz mieć pretensji do mamy. Jest ładna. Seksowna. Byłaby niemądra, gdyby sobie odmówiła. A poza tym jest na tyle delikatna, że wypływa na pełne morze, żeby dać się przelecieć Angelemu. Nie tak jak twój ojciec...

– Co mój ojciec?

I wtedy ten drań Cervone triumfuje. Nie odzywa się już ani słowem, spogląda tylko na port Stareso, po swojej prawej stronie, skąd wymknął się „Aryon”, a następnie biegnie wzrokiem wzdłuż drogi celników, aby w końcu zatrzymać go dokładnie na wprost, na końcu półwyspu, na latarni morskiej Revellaty.

Po czym mówi mi:

– Z latarnią jest jak z całą resztą tutaj, należy do Idrissich. Myślę, że twój ojciec musi mieć do niej klucz.

Zostawiłam go,

poszłam ścieżką w kierunku latarni sto metrów dalej,
pchnęłam drzwi, nie były zamknięte,
weszłam do środka, usłyszałam zduszone śmiechy,
uniosłam wzrok,
zaczęłam wspinać się powoli po krętych schodach, dopóki nie zakręciło mi
się w głowie, nie z powodu wirujących stopni, gorąca, wysokości, stromizny, jakiej
można się było domyślić, przechodząc obok otworów strzelniczych,
dopóki nie zakręciło mi się w głowie,
bo w mojej naiwności spodziewałam się, że będą we dwoje,
tata i jego kochanka.
Tylko we dwoje.
* * *

Dziś jest ten dzień, powtórzył, zamykając zeszyt.
Dzień, w którym świadkowie muszą wyznać prawdę... albo zamilknąć na
zawsze.

8.00

Cervone Spinello lubił wcześnie wstawać, chodzić po kempingu, zanim obudzą się turyści, spacerować pustymi alejkami, słuchać pochrapywań w namiotach, czasem westchnień, liczyć puste butelki po winie u stóp zimnych grillów, mijać bezszelestnie zakopanych w śpiworach obozowiczów. Wyobrażał sobie, że wygląda jak kasztelan przemierzający swą posiadłość, pozdrawiający swoich ludzi, swoich wieśniaków, oszacowujący przyszłe obiecujące zbiory; zapewniający porządek i harmonię samą swoją obecnością.

Cervone lubił wstawać wcześnie, ale nie za wcześnie.

7.30, pobudka; 7.45, już na nogach.

Anika, jego żona, była co rano w operacyjnej gotowości dobrą godzinę przed nim i siedziała w recepcji, dopinając rachunki, zarządzając zapasami, odnotowując przyjazdy i wyjazdy; rytuał pozwalający jej być już od świtu do absolutnej dyspozycji obozowiczów, którzy pierwsi przyjdą domagać się śniadania, porannej gazety czy pomysłów na całodzienną wycieczkę.

Doskonała.

Anika nie uniosła głowy znad tabelki Excela, gdy Cervone mijał ją z kawą. Cervone wiedział, że ludzie zadają sobie za jego plecami pytania. Anika dopiero co świętowała swoje czterdzieste urodziny i miała energię nastoletniej animatorki, była władcza i twarda w interesach z dostawcami, czuła i cierpliwa wobec dzieci, ponętna i roześmiana w obecności mężczyzn, uprzejma i rozmowna wobec kobiet, konwersowała w sześciu europejskich językach, w tym po korsykańsku i katalońsku. Anika była kiedyś windsurferką, przyjechała pewnego lata z Czarnogóry i osiadła na stałe w zatoczce Recisa; Cervone wydarł ją jej chłopakowi, kosowskiemu parweniuszowi, który odjechał sam swoim chevroletem z napędem na cztery koła. Logicznie rzecz biorąc, ludzie zadawali sobie pytania. Co tak czarująca, kompetentna i inteligentna kobieta robi z takim palantem?

Z nim!

Szczerze mówiąc, Cervone każdego ranka zadawał sobie to samo pytanie. Że mógł ją uwieść dwadzieścia lat temu, zagubioną na plaży, powiedzmy. Ale że z nim została? Z czasem na pewno się zorientowała, że jest łgarzem, wyrachowanym bajerantem. Trzeba było więc przyznać, że najdoskonalsze kobiety

mogą kochać tylko pokiereszowanych, udręczonych, popaprzanych gości. To trochę jak miliarderzy, którzy uprawiają dobroczynność. Może nawet Anika była z nim z litości.

– O Boże – jęknęła nagle Anika, nie odrywając oczu od ekranu.

Obok innych porannych zadań miała też zwyczaj przeglądać lokalne informacje.

– Co?

– Zidentyfikowali topielca z zatoki Crovani. Właśnie tego się od wczoraj obawialiśmy. To Jakob Schreiber.

Cervone skrzywił się.

– Cholera... Wiedzą, co się stało?

– Nie mam pojęcia, na stronie „Corse-Matin” są tylko trzy linijki.

Cervone wepchnął prawą rękę do kieszeni, zaciskając pięść na pęku kluczy, który ją zniekształcał. Musiał coś powiedzieć, szybko, coś, co jego żonie wydałoby się naturalne.

– Wpadnę jeszcze dziś rano do żandarmerii w Calvi, zapytam kapitana Cadenata, powie mi coś więcej.

Wyszedł pośpiesznie z recepcji, wiedział, że Anika jest przywiązana do starego Niemca, podobnie jak do wszystkich wiernych klientów kempingu. Nie miał ochoty odgrywać przed nią komedii, przynajmniej nie dziś rano.

Oddalił się najbliższą alejką, próbując dokonać bilansu sytuacji. W ostatnich dniach dzięki zniknięciu Niemca zdołał zyskać na czasie, podobnie jak dzięki świętynom, które nagadał Clotilde o jej bracie. Ale teraz pętla się zacieśniała, zbyt wiele osób zbliżało się do prawdy. Niemniej nie był to czas, żeby wszystko schrzanić! Jego luksusowy hotel Roc e Mare wyłaniał się z ziemi, stary Cassanu został zabrany przez pogotowie do szpitala, krótko mówiąc, przyszłość zapowiadała się świetliście, wystarczyło tylko jeszcze trochę wytrzymać.

Szedł, kontynuując inspekcję, i zatrzymał się przed śmietnikiem: koty przedziurawiły worki, rozrzucając tłuste kawałki papieru, styropianowe okruchy, zgniecione kartony po mleku. Łajzy! Co drugą noc te włóczące się bydlaki robiły to samo.

Uniósł wzrok. Inny pracownik Euproctes był już na nogach i to wcześniej od niego: Orsu. Kaleki ogr szedł, ciągnąc nieskończenie długi wąż; miał za zadanie podlać cały kemping między godziną 9 wieczorem a 9 rano, zanim słońce zacznie osuszać w jednej chwili każdą kroplę wylaną na splekaną ziemię.

Dyrektor kempingu zaczekał, aż Orsu podejdzie.

– Cholera, mówiłem ci przecież o kotach!

Kaleka patrzył na swojego szefa, nie odpowiadając. Nie reagując.

– Kurwa, codziennie rano to samo.

Cervone nie mógł ochrzanić kotów, a przecież winny musiał się znaleźć.

Rozrzucił stopą odpadki.

– Obrzydlistwo!

Nie musiał nawet kazać mu nic robić, wystarczyło zamanifestować choćby lekkie wkurzenie, a ten debil Orsu był gotów rozłożyć łóżko polowe przy śmietniku i pilnować kotów przez całą noc. Będzie miał zajęcie... Orsu uwielbiał być przydatny, uwielbiał być posłuszny, uwielbiał dostawać ochrzan.

– Trzeba się pozbyć tych gadzin!

O nic nie prosić, tylko zasugerować. Orsu, jakkolwiek był głupi, wychował się na farmie; musiał wiedzieć, jak się to robi ze szkodnikami, jak się je łapie, dusi, zarzyna.

– To twoja praca, do cholery.

Oczy Orsu zwięzły się, Cervone odgadł w nich załęczek uśmiechu, jak gdyby ten kretyn obmyślał już plan schwywania kociaków, okrutny sposób zadawania im cierpienia. Orsu wyglądał jak morderca. Zawsze go przerażał, już od maleńkości. Pewnego dnia zamorduje kogoś, jeśli jeszcze tego nie zrobił, jeśli Cassanu jeszcze mu nie kazał tego zrobić.

Ostatecznie, uspokajał sam siebie Cervone, oddalając się, wykorzystując tego potwora, zajmując go, sugerując mu, żeby rozładował swoje popędy na kotach, wyświadczał społeczeństwu przysługę. Odwrócił się na chwilę w kierunku lasu sosnowego, który opadał łagodnym zboczem ku grocie Veaux Marins, zamknął oczy, tak jak robił to każdego dnia, i zamienił w myślach chude jak szkielety drzewa na górujący nad Morzem Śródziemnym basen z ukrytą krawędzią o powierzchni sześciuset metrów kwadratowych, którego projekt sporządził dla niego już wcześniej architekt z Ajaccio; brakowało mu tylko pożyczki z banku... i pozwolenia na budowę. Tak, zapowiadała się świetlana przyszłość.

Jednak kiedy szef Euproctes mijiał pomieszczenie, w którym upchnięty był sprzęt sportowy i rekreacyjny, zapaliło mu się kolejne ostrzegawcze światelko. Drzwi nie były zamknięte! Jeszcze jedna rzecz, której Orsu nie dopilnował. Każdy mógł wejść i coś zabrać, a był tam sprzęt między innymi do nurkowania, do kanioningu czy kajaki, wszystko warte dziesiątki tysięcy euro.

Zaklął. Wszedł do środka. Podniósł z ziemi splątaną linę asekuracyjną. Przez chwilę myślał o karabińczyku od uprząży, który puścił w przełomie Zoïcu, po tym, jak Valentine włożyła ten zabezpieczający ją strój. Odczuwał dzisiaj mniej skrępowań niż wtedy, kiedy poluzowywał ten kawałek mosiądzu, wyginając zapięcie dokładnie tyle, ile było trzeba; ostatecznie wszystko potoczyło się zgodnie z planem, wszystko dobrze się skończyło. Mała Valentine wyszła z tego mocno przestraszona, na tyle, miał nadzieję, aby oddalić tę małą szpiclówkę Clotilde. Guzik! Dziewczynka, owszem, wyjechała, ale z ojcem, zostawiając mu źródło tarapatów na karku.

Źródło tarapatów, które w końcu do wszystkiego dojdzie...

Jakie miał teraz wyjście? Kradzież portfela z sejfu z ich bungalowu też nie dała, tyle tylko że dowiedział się trochę więcej o wnuczce Cassanu. Jakie inne miał wyjście niż to, żeby jej też się pozbyć? Tylko że, o ile rzeczą, którą jego mózg mógł wziąć pod uwagę, było sprowokowanie niekontrolowanego upadku nastolatki z dużej wysokości, zlecenie ukatrupienia kotów czy nawet niemal przypadkowe walnięcie bulą do gry w skroń starego, niedołęznego Niemca, o tyle czym innym było stanie się zimnokrwistym zabójcą. Cała ta gadka o Korsykanach, o wendetach i zabójstwach, o omercie, którą zapewniają sobie strzałami z berett, o upodobaniu do przemocy płynącym rzekomo w żyłach wyspiarzy, toż to obłąd! Na jednego zimnego i zdeterminowanego Cassanu Idrissiego rodziło się między Ajaccio a Calvi dziewięćdziesięciu dziewięciu gości niezdolnych do zastrzelenia czegokolwiek innego poza dzikiem czy słońką. Musiał jednak znaleźć jakiś sposób na pozbycie się tej zbyt ciekawskiej adwokatki.

Obrócił głowę, spoglądając na zewnątrz. Orsu zniknął mu z pola widzenia. Czyżby już poszedł zapolować na kociaki? Odruchowo Cervone Spinello pochylił się nad skafandrami nurkowymi; ten instruktor bumelant nic nie sprzątnął, ani kombinezonów z neoprenu, ani masek, ani fajek. Nawet pistolety harpunowe leżały w nieładzie. Każdy mógł wynieść taki pistolet.

Szef kempingu schylił się, powkładał z powrotem sprzęt do skrzyń lub odwiesił go na kołki, posortował, przeliczył sztuki. Posiadał pełny ekwipunek do podwodnych połowów dla ośmiu dorosłych nurków.

Właściwie brakowało jednego...

Osiem skafandrów, osiem sprzężarek, osiem pasów balastowych, ale siedem pistoletów harpunowych. Schylił się, zajrzał pod stół, pod szafę.

Nic.

– Tego szukasz?

Naturalnie Cervone rozpoznał głos. Chwilę później rozpoznał też pistolet harpunowy, ten, którego brakowało.

Wycelowany w jego serce.

– Powinieneś trzymać swoje rzeczy w większym porządku, Cervone. Powinieneś lepiej traktować swój niższy personel. Powinieneś też dzielić się bardziej swoimi tajemnicami. To ryzykowne strzec takiego skarbu samemu.

Trwało to trzy minuty. Jedna minuta na to, by Cervone zdecydował się mówić, niemal dwie, by wyznał rzeczy niewyobrażalne i niecała sekunda ciszy po skończonym wyznaniu, by miał nadzieję na przebaczenie.

A jednak jak tylko skończył, zrozumiał, że jego szczerłość nie ocali mu życia. Ostatnim obrazem, który przyszedł mu do głowy, była Anika wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy w zatoce Recisa, miała dwadzieścia trzy lata, czytała *List od nieznanjomej* Stefana Zweiga, była piękna jak kwiat, którego nie ma się odwagi zerwać. On znalazł odwagę. Cała reszta, wszystko, co od tamtej pory robił,

wszystko, czego próbował i co mu nie wyszło, robił, żeby jej zaimponować.

Palec przycisnął spust.

Czy Anika będzie przynajmniej go żałowała?

Harpun utkwił w sercu Cervonego.

A zatem zabić to tylko tyle?
 Trząść się.
 Przyjść po cichu, wbić strzałę, odejść.
 Uznać, że problem rozwiązany.
 Zapomnieć.
 Usiadł spokojnie i znów otworzył dziennik.
 * * *

*Środa 23 sierpnia 1989 roku,
 siedemnasty dzień wakacji, niebo akwamarynowe*

Nadal wspinałam się na górę latarni, kilka krętych stopni, żeby lepiej widzieć, jak operator kamery kręcący parę gwiazd. Teraz przyglądam im się z ukosa. Zatrzymuję się, stoję jakieś dwadzieścia stopni niżej od nich; z tej pozycji widzę tylko szczyt latarni, żelazną balustradę i ich dwie sylwetki odcinające się na tle nieba.

Dwa olbrzymie cienie.

Ze względu na perspektywę tata wydaje się niemal równie wysoki jak zabytek. Włożył wiatrówkę i jej odbłaskowoniebieski kaptur powiewa na wietrze jak kiepsko przytroczona torebka, która zaraz odfrunie. Nie mogę się powstrzymać, pokonuję jeszcze trzy stopnie do góry, jak mała cicha myszka; mam wprawę, kiedy chcę, potrafię być najdyskretniejszym szpiegiem, nawet jeśli to, co szpieguję, mnie niszczy.

Stoi na wprost mojego ojca. Przesuwa rękę po jego plecach, rękę, która pnie się aż na kark, która drażni nieliczne włoski na jego szyi, po czym kładzie się na jego ramieniu. A raczej chwyta je mocno, jakby ojciec chciał wyskoczyć przez balustradę, uciec i sam też odfrunąć. Z mojego stanowiska, z żabiej perspektywy, jak to się mówi w filmach, ona też wydaje mi się wysoka, być może tak wysoka jak mój ojciec, choć trudno to ocenić ze względu na perspektywę.

Całują się. W usta.

W razie gdybym miała jeszcze jakieś wątpliwości.

Wciąż słyszę, jak się śmieją, ci wszyscy myśliwi w barze u Basilego. Mam nadzieję, że jest tu jakiś podziemny tunel prowadzący z latarni donikąd. Później. Tym razem nie uciekam, nie od razu. Wspinałam się. Jeszcze dwa stopnie. Jeśli

spojrzą w dół, nie mogą mnie nie zobaczyć. Bez obaw! Za bardzo zajęci są obściskiwaniem się, przywieraniem do siebie, niczym dwa przybrzeżne drzewa, które splatają swe korzenie, by skuteczniej stawić opór morskim wiatrom.

Stoi odwrócona do mnie nieco plecami, ale mimo to widzę ją, po raz pierwszy. Jest brunetką, bardzo piękną, ma na sobie długą jasną sukienkę, jednocześnie prostą i seksowną. Tajemnicza, zalotna, zakochana. Dokładnie taka, jak wyobrażamy sobie kochankę, desperacko zmysłowa; dokładnie taka, jakiej nie sposób nie nienawidzić, tak przypuszczam...

Tylko że mama nie jest od niej mniej piękna.

Rzekłabym, remis.

Niemal byłabym gotowa podziwiać ojca, gdybym tylko nie miała tak wielkiej ochoty go udusić. Mój tatuścio sprzedawca trawników, Korsykanin, kiedy mu wygodnie, mąż i tata, kiedy mu pasuje, zdolny rzucić do swych stóp najpiękniejsze dziewczyny.

Ostatni stopień...

Ostatni stopień, obiecuję ci.

Najpierw spostrzegam jedno koło, później drugie, potem jeszcze dwa, wreszcie cały wózek. A potem, oczywiście, widzę niemowlę. Nie powiedziałam ci, ale zauważyłam je już na samym początku.

Jak go nie dostrzec?

Nie mam zbyt wielkich zdolności w określaniu wieku noworodków, ale powiedziałabym, tak mniej więcej, że ma kilka miesięcy, w każdym razie mniej niż sześć. Ale jeśli mam być z tobą szczerą, po tym, jak minął pierwszy szok, to nie dziecko mnie zaskakuje.

Zaskakuje mnie to, że zmysłowa brunetka, brunetka, która całuje mojego tatę, nie trzyma swego dzieciaka w objęciach.

Rozumiesz już teraz? Jeśli to nie ona trzyma niemowlę, to kto?

Mój tata.

9.00

Clotilde zasnęła. Na dnie „Aryona”, głęboko. Nad ranem, gdy już ucichli imprezowicze z plaży Oscelluccia, gdy pogasły już światła Tropi-Kalliste, gdy Maria-Chjara zarzuciła już na siebie szlafrok, gdy rozwiały się już ostatnie echa muzyki techno, zatopione, zmyte przez kojący, jednostajny szum fal.

„Aryon” kołysał się łagodnie. Clotilde zwinęła się w kłębek pod starym brudnym kocem, który walał się w kącie kadłuba i pachniał mieszaniną jodu i mazutu. Po długich godzinach półprzytomności spędzonych na patrzeniu w gwiazdy, pod ostrzałem zielonych i fioletowych laserów stroboskopów przymocowanych do słomianej chaty. Na zastanawianiu się, czy jej matka wróciła na planetę i czy czasami z niej schodzi. Na marzeniu o mężczyznach-kometach, którzy ją opuszczają. Na badaniu czarnych dziur swoich wspomnień, owych wspomnień ukrytych za big-bangiem urwiska Petra Coda. Po tym długim półśnie Clotilde się zapadła.

Obudził ją dzwonek telefonu.

Natale!

Ten drań, który zostawił ją zniecka, żeby pojechać do żony, z chwostem między nogami. A raczej kikutkiem. Który zostawił na lodzie jej marzenia, na dnie „Aryona”, spała w nich, pachniały mazutem i odchodami mew. Ten drań, który zostawił na lodzie jej życie z powodu ducha architektki. A przecież była gotowa wetknąć nos w porzucone projekty, wetknąć w nie swoje usta, swój język, wszystko, co miała w sercu, w bebechach i między udami, stać się adwokatem chybionego losu, ale przybyła za późno, o wiele za późno, niemal trzydzieści lat za późno.

Przynajmniej Natale był na tyle elegancki, żeby do niej zadzwonić i ją przeprosić.

– Clotilde? Mówi Natale. Mój teść chce się z tobą zobaczyć.

Zabawny sposób na przeprosiny!

– Sierżant Garcia? Gdzie? W jego jacuzzi?

Clotilde wynurzała się. Wokół niej pluskała woda. Czuła się lekka, wolna, niewiele brakowało, a odcumowałyby „Aryona”.

– Nie, u mnie. W Punta Rossa.

Clotilde miała co najmniej ochotę zażartować.

– Obwieściłeś mi, że odtrącisz jego córkę i poprosisz mnie o rękę?

– Clo, mówię poważnie. Dziś rano popełniono morderstwo. Na kempingu Euproctes.

Ręka Clotilde zacisnęła się na zapyziałym kocu.

Nie wiedząc czemu, natychmiast pomyślała o Valentine.

– Cervone Spinello – ciągnął Natale. – Cervone został zamordowany.

Przycisnęła cuchnący materiał do twarzy.

Cervone Spinello okłamał ją co do jej brata Nicolasa, to prawdopodobnie Cervone uszkodził układ kierowniczy samochodu jej rodziców. Zamordowany, zabierał tajemnicę ze sobą.

Zablokowała w gardle kwaśne torsje. Jej palce, jej ramiona, jej ciało cuchnęły benzyną, solą i gównem. Każde buknięcie „Aryona” potęgowało jej odruch wymiotny.

– Szpic harpuna w serce – uściślił Natale. – Spinello umarł od razu. Mój teść Cesareu chce pogadać z tobą w cztery oczy. Ma ci coś do wyjawienia, coś ważnego o twojej rodzinie. Woli ci to powiedzieć, zanim zostaniesz wezwana do żandarmerii.

– Spałam na twojej łodzi podczas morderstwa. Sama. Nie rozumiem, w jaki sposób mogę pomóc glinom w znalezieniu zabójcy.

– Nie o to chodzi, Clotilde, gliniarze nie potrzebują twojej pomocy.

– Jak to?

– Złapali już zabójcę.

Clotilde odrzuciła daleko koc. Wstała, zataczając się w „Aryonie”, gapiąc się w morze, jak rozbitek zagubiony na tratwie tysiące kilometrów od najbliższego lądu.

– Kto... kto zabił Spinella?

– Facet złota rączka z kempingu. Pewnie go znasz, musiałś go mijać, siłą rzeczy musiałś go zauważyć, to brodaty olbrzym, ma martwe jedno ramię, jedną nogę i pół twarzy. Zabójcą jest Orsu Romani. Żandarmi już go zabrali.

»

Aurélia trzymała Natalego za rękę, stali przed swoim domem otoczonym morzem, wznoszącym się na Punta Rossa. Cesareu Garcia stał dwa kroki na lewo. Parkując passata parę metrów dalej, Clotilde pomyślała, że ta scenka przypomina widokówkę, dekorację z czasopisma, obraz skomponowany do zdjęcia na błyszczącym papierze. Dom marzeń, przed nim przystojny blondyn, lazuruwa szkatułka, autentyzm starego kamienia połączony z nowoczesnością drewna i szkła. Nawet Aurélia nie szpeciła całości: o ile pozostała kobietą bez uroku, to jej strzelista sylwetka mogła sugerować, że kiedyś dawnymi czasy, była piękna;

światlista twarz, cienkie narysowane brwi, wąska talia, długie nogi, wygląd zapewne utrzymany za cenę zarówno fizycznych, jak i finansowych wyrzeczeń, sądząc po jej nienagannej i szykownej sukience, po pończochach niczym druga opalona skóra, po jej wysokich obcasach, które nosiła z nieco arogancką elegancją. Komuś, kto nie znał Aurélii, gdy miała piętnaście lat, trudno byłoby odgadnąć, widząc oznaki tej kielkującej starości, jak nieszczęśliwa była jej młodość.

Clotilde miała świadomość, że kontrast z nią jest uderzający. Przyjechała prosto z plaży Oscelluccia po nocy spędzonej w ładowni „Aryona”. Nie wzięwszy prysznic, nieumalowana, niewyperfumowana, mając wciąż na sobie smak pocałunków Natalego, na sobie ślady jego pieszczot, w sobie ciepło jego spermy.

Aurélia zmierzyła ją wzrokiem z góry na dół.

Czy kobieta może zwietrzyć to u swojej rywalki? Zapach potajemnej miłości?

Nieważne, nawet jeśli Clotilde nie prezentowała się korzystnie, podobała jej się ta rola pantery, dachowej kotki włamującej się na terytorium swej rywalki angory, żeby zrobić tam bałagan.

Nie przywitali się z nią, Cesareu Garcia nie zostawił im czasu. Wyminął córkę i zięcia, przytłaczając swoją masywną sylwetką pocztówkowy krajobraz.

– Chodź, Clotilde. Chodź... Nie mamy zbyt wiele czasu. Aurélio, daj mi klucze.

Chwytał pęk kluczy z rąk córki i zaciągnął Clotilde do szopy parę metrów od domu. Budynek przypominał ciemny garaż, bez okien i bez ozdób. Cztery kamienne ściany i goła żarówka zwisająca z sufitu. Krzesło. Stół. Oraz stłoczone na żelaznych półkach przytwierdzonych do ścian dziesiątki tekturowych pudełek, które były chyba lepiej posegregowane w tym zamkniętym pomieszczeniu niż stare wina w piwniczce sommeliera.

– Praktyczne są te chatki – zaznaczył emerytowany żandarm, zamykając za nimi drzwi. – Pełno ich na wybrzeżu, stanowiły schronienie dla pasterzy podczas sezonowych przegonów stad bydła na nadmorskie pastwiska. Grube pięćdziesięciocentymetrowe ściany, płaski dach z ubitej ziemi, nie potrzeba w środku żadnej klimatyzacji, a człowiek czuje się tu bezpieczniej niż w bunkrze. Trzymam tu całe swoje archiwum, sprzęt, pamiątki, wszystko, czego nie mogłem zostawić w żandarmerii, kiedy odchodziłem. Od czasu do czasu przychodzę tu pracować. Mam tu więcej miejsca niż w domu i siedzę sobie w chłodzie. Do mojego cholernego domu słońce wdziera się z każdej strony. – Omiótł wzrokiem ślepe ściany oświetlone jedynie sztucznym światłem. – Tak, wiem, co sobie myślisz, że to głupota przybyć na Punta Rossa, mieć widok na morze aż po horyzont i zamknąć się w grobowcu. Więc powiem ci, Clotilde, i potraktuj to jak zwierzenie: od ciągłego patrzenia na morze mam go po dziurki w nosie! No wiesz, to trochę jak z kobietą, nawet bardzo piękną, którą widzi się każdego ranka.

Nie mamy zbyt wiele czasu, powtórzyła w myślach Clotilde. Wyglądało jednak na to, że emerytowany żandarm będzie mówił o wszystkim, tylko nie o sprawie. Postanowiła przejść prosto do sedna.

– Orsu jest niewinny – rzuciła niespodziewanie. – Nie wiem, kto zabił Cervonego Spinella, ale to nie Orsu.

Cesareu tylko się uśmiechnął.

– Co ty o tym możesz wiedzieć? Nawet cię tam nie było.

To prawda... Co ona mogła o tym wiedzieć?

– Jak zwał, tak zwał! Intuicja, przekonanie...

Twarz Orsu przewinęła się jej przed oczyma, jego wygląd, jego ułomność: był idealną ofiarą, naturalnym łupem dla katów.

Cesareu Garcia podsunął Clotilde teczkę.

– Jego odciski palców były na narzędziu zbrodni. To pistolet-harpun. Ten, z którego został zabity Cervone Spinello.

Adwokackie odruchy Clotilde zaczynały brać górę, nawet jeśli od lat jej kompetencje ograniczały się do prowadzenia nudnych spraw rozwodowych. Cieszyła się całkiem niezłą reputacją, zwłaszcza u mężczyzn, i podejmowała się niemal zawsze tylko przygotowywania wniosków o separację za porozumieniem stron. To logiczne, żaden mężczyzna, chcący twardo negocjować alimenty albo opiekę nad dziećmi, nie odważyłby się zatrudnić kobiety na swego obrońcę.

– Odciski palców Orsu? – Wzięła go w obronę. – Musieli je znaleźć wszędzie na kempingu Euproctes, to on tam wszystko porządkuje. Sprzęt do nurkowania, podobnie jak całą resztę.

– Był jedną z niewielu osób na nogach w momencie zbrodni – nalegał Cesareu Garcia. – Cervone Spinello opieprzył go parę minut przed zabójstwem. Słowo „upokorzył” byłoby zresztą bardziej właściwe.

– Gdyby wszyscy pracownicy upokorzeni przez swojego pracodawcę wbijali mu w serce pierwszy lepszy ostry przedmiot, jaki wpadłby im w ręce, moi koledzy z Sądu Pracy byłiby bezrobotni.

Sierżant Garcia ponownie się uśmiechnął, po czym otworzył leżącą przed nim teczkę. W pomieszczeniu panował chłód, jednak pot zalewał białą koszulę obciskającą ciało żandarma.

– Jest coś jeszcze, Clotilde. Gliniarze przeszukali mieszkanie Orsu. Znaleźli u niego... bule do gry.

– Wow... Bule do gry? Jednoręcy nie mają prawa ich posiadać? Czy na Korsyce to zbrodnia? Żadnych strzałów z rotacją wsteczną, żadnych świnek?

– To rzadkie kule, Clotilde. Prestige Carbone 125. Nietrudno było je zidentyfikować. Tylko jeden mieszkaniec kempingu je posiadał...

Milczenie.

– Jakob Schreiber. Stary Niemiec, który zniknął trzy dni temu. A na bulach

do gry – żandarm otarł ręką koszuli krople potu spływające po jego skroni, odsłaniając bezwstydnie tłusty brzuch leżący niemal na stole – śledczy znaleźli ślady krwi. Spore ilości krwi. Krwi i siwych włosów. Bez wątplenia należących do starego Niemca.

– Nie... nie wierzę w to...

– Orsu nie jest aniołem, Clotilde. To nie jest biedny maltretowany kaleka. Robił straszne głupstwa, był wielokrotnie skazywany, za przemoc, za pobicia, nawet jeśli – przyznaję to – nie jest wykluczone, że kazano mu to robić. Orsu to łatwy cel do manipulowania: matka popełniła samobójstwo, zanim zdążył ją zapamiętać, ojca nigdy nie poznał, babka Speranza robiła, co mogła, żeby go wychować.

Powrócił do niej zamazany obraz Orsu jako niemowlaka w dziecięcym wózku, pod zielonym dębem na farmie w Arcanu. Spokojnego, cichego niemowlęcia. Clotilde miała wtedy piętnaście lat i nie zwróciła na tego noworodka uwagi bardziej, niż gdyby chodziło o lalkę w wózek.

Jedno pytanie paliło, gryzło Clotilde w gardło jak kwas.

– Czy... czy wiadomo, kto jest ojcem Orsu?

Pytanie, na które znała już odpowiedź.

– To tajemnica poliszynela – odparł gliniarz. – Tajemnica poliszynela zamknięta w szufladzie...

Zaśmiał się wymuszonym śmiechem. Przy każdym ruchu szyi lub jednego z ramion mokra plama na tkaninie pod pachami przyklejała się i odklejała od jego ciała. Pozwolił przezroczystym włóknom przywrzeć z powrotem do owłosionej i wilgotnej skóry, po czym mówił dalej:

– W szufladzie, którą niezbyt wielu ludzi ma ochotę otworzyć. Dlatego właśnie chciałem, żebyś tu przyjechała. Od czasu pobytów w więzieniu za pobicia i spowodowanie obrażeń Orsu jest zarejestrowany w Krajowej Bazie Danych DNA. Nie miałem trudności ze sprawdzeniem pogłoski krążącej od jego narodzin.

Niech to się wreszcie skończy! Czy ten stary glina zdetonuje wreszcie tę swoją bombę?

– O ile sobie tego nie przypomniałaś, już to odgadłaś, Clotilde. Nie ma żadnych wątpliwości. Ty i Orsu macie tego samego ojca! Twój tata miał go z Salomé Romani, córką Speranzy, spłodził go w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Dziecko urodziło się piątego maja osiemdziesiątego dziewiątego roku, mogło się zetknąć z ojcem podczas dwóch tygodni, a dokładnie szesnastu dni. Zresztą „zetknąć się” to zbyt wielkie słowo, Paul był żonaty, miał żonę i dwójkę dorastających dzieci, Nicolasa i ciebie. Nie jestem nawet pewny, czy Paul się z nim widział, czy go rozpoznał, czy w ogóle wiedział o tym dzieciaku.

Odległe obrazy kłębiły się w głowie Clotilde, spiralne schody, latarnia

morska, niemowlę w ramionach jej ojca. Obrazy tak często wypierane, nigdy jednak niezapomniane, być może wyselekcjonowane. Jak opowieść, w której brakuje stron. Zwłaszcza tych ostatnich, tych, które tłumaczą wszystko.

– Czy on... czy Orsu urodził się kaleką?

– Tak. Salomé nie chciała go zatrzymać. U Romanich aborcji się nie robi, nie istnieje bardziej od nich katolicka rodzina. Więc próbowała go oddać, jak się mówiło w dawnych czasach. Wiesz, jak w *Manon u źródeł*, kiedy Le Papet pyta na końcu książki: „Urodził się żywy? – Żywy, owszem, ale garbaty”. Orsu ma martwe ramię, martwą nogę oraz część twarzy i bez wątpienia także część mózgu, tę, która zawiaduje mową.

Orsu? Jej przyrodnim bratem? Clotilde nie potrafiła sobie tego uzmysłować. Miała wrażenie, że przestawia swój umysł na autopilota, że odwołuje się do zawodowych odruchów warunkowych: musi się skupić wyłącznie na morderstwie Cervonego Spinella, na bilans przyjdzie czas później, dopiero potem będzie się zastanawiać, co pociąga za sobą w jej życiu obecność przyrodniego brata.

– Okej, okej – rzuciła emerytowanemu żandarmowi. – Orsu jest niechcianym dzieckiem. Ale to nie czyni z niego mordercy.

Sierżant Garcia wyglądał, jakby mu ulżyło. On najtrudniejsze miał już za sobą.

– Mówisz tak z powodu więzów krwi? – Zaśmiał się nerwowo, jakby miał czkawkę, co sprawiło, że koszula, odklejając się od tłustego brzucha, wydała niemiły odgłos. – To prawda, że u Idrissich donoszenie na siebie nie jest codziennością.

Clotilde podniosła naraz głos.

– Baron! Moje nazwisko brzmi Baron! Mecenas Baron. A tymczasem Orsu zwyczajnie potrzebny jest adwokat.

Garcia poszukał suchego skrawka koszuli, żeby otrzeć pot, ale nie znalazł. Gdyby rozmowa miała potrwać dłużej, stary gliniarz usechłby na miejscu, odwodniony jak kaszalot wyrzucony na brzeg.

– Ja natomiast potrzebuję pańskiej pomocy – dodała Clotilde.

Wstała raptownie i przemierzając pomieszczenie, przyjrzała się ścianom, teczkom, poukładanym skrzyniom. Po upływie kilku minut odwróciła się i poprosiła sierżanta Garcię, by pozwolił pożyczyć jej od siebie jedną z najmniejszych walizeczek leżących na półkach i zawierających wszystko, co niezbędne do pobrania odcisków palców: pędzelek i trochę proszku magnetycznego z tlenku glinu i tlenku miedzi.

– Clotilde, zapewniam cię, odciski na pistolecie to odciski Orsu, ale jeśli sprawi ci to frajdę...

– Cesareu, chcę też jego akta. Albo przynajmniej kopię odcisków palców Orsu.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle!

Stary żandarm wstał i powoli poszedł szukać odpowiedniej teczki pod literą R.

– Mam kopie wszystkiego – żartował. – Oczywiście, to zabronione, ale na Korsyce, dla gliniarza, który całą swoją służbę odbył tutaj, to ubezpieczenie na życie.

Otworzył teczkę i wyciągnął z niej zwykłą czarno-białą kliszę.

Kciuk i trzy place.

– Masz, podpis twojego braciszka. Ręka, którą rozpoznasz wśród tysiąca innych. Ręka ogra, który ma więcej siły niż ręce dwóch w pełni sprawnych mężczyzn.

– Dziękuję.

Podeszła do drzwi, zawahała się, po czym w końcu się odwróciła.

Ostatecznie to sierżant Garcia zaczął otwierać skrzynkę z tajemnicami.

– Swoją drogą, jak ona to zrobiła, ta pana córka, że usidliła Natalego?

Atak był brutalny, niespodziewany, ale sierżant Garcia nawet nie drgnął. Ze spokojem odłożył na miejsce teczkę, po czym usiadł niespiesznie, jak gdyby wysiłek przejścia paru metrów wystarczył mu na cały dzień. Jego szyja ociekała potem.

– Aurélia go kochała. Kochała go naprawdę. Moja córka jest kobietą rozsądną, wielce rozsądną, niemal pod każdym względem. Ale, rzecz dziwna, w sferze uczuć zawsze pociągali ją niezwyčajni mężczyźni, uliczni artyści, cyrkowcy, trubadurzy, tak jak światło przyciąga szarą ćmę. Może to jej pielęgniarzkie oblicze. No, ale gdzie według ciebie moja biedna Aurélia miałaby znaleźć odrobinę fantazji w życiu, jeśli nie zaciągając Księżycowego Pierrota do łóżka?

– Nie o to pytałam, Cesareu – odparła oschle Clotilde. – Pytam pana, dlaczego Natale powiedział „tak”. Dlaczego ożenił się z taką kobietą jak ona? Bez obrazy dla Aurélii, mógł mieć wszystkie inne dziewczyny, gdyby chciał, te najładniejsze, najzabawniejsze, najmłodsze.

Żandarm błędził wzrokiem po ścianie pokrytej teczkami, jego ubezpieczeniu na życie, jak przed chwilą żartował. Zdawał się wahać, co odpowiedzieć, w końcu walnął prosto z mostu.

– Żeby się chronić, Clotilde. To całkiem proste. Poślubić córkę gliniarza tutaj znaczy ulokować się pod ochroną żandarmerii, czyli wojska, państwa, Francji.

– Chronić się przed kim?

– Nie bądź naiwna, Clotilde. Chronić się, naturalnie, przed twoim dziadkiem. Chronić się przed Cassanu! Po śmiertelnym wypadku twoich rodziców Natale całymi tygodniami cierpiał z powodu irracjonalnego, przytłaczającego,

paralizującego lęku...

Clotilde wspomniała słowa Natalego, niemal bezsensowne, wypowiedziane tu, w tym miejscu, na Punta Rossa.

W chwili, kiedy samochód twoich rodziców rozbijał się o skały Petry Cody, kiedy twój brat, twój ojciec i twoja matka umierali, zobaczyłem ją przez okno, widziałem twoją matkę tak wyraźnie, jak widzę teraz ciebie. Popatrzyła na mnie, jakby chciała mnie zobaczyć po raz ostatni, zanim odfrunie.

Czy to śmierć jej matki, a później tamto obłądne przywidzenie sprawiły, że oszalał?

Nawet gdyby Palma przeżyła jakimś niewiarygodnym cudem wypadek nad urwiskiem Petra Coda, gdyby wciąż żywą zabrano ją ambulansem w stronę Calvi, nie mogła była zerwać kroplówek w czasie jazdy i znaleźć się o własnych nogach i z uśmiechem na ustach przed domem w Punta Rossa.

– Bał się o swój plan? – wysunęła hipotezę Clotilde, sama w nią nie wierząc.
– O swój rezerwat dla delfinów? Po śmierci moich rodziców Cassanu nie chciał więcej o nim słyszeć?

Żandarm ruchem ręki oddalił argument i prychnął na pobliskie pudła.

– Cassanu miał w dupie delfiny. Chodziło o wypadek. Zresztą nie powinienem mówić o wypadku, bo chodzi przecież o celowe uszkodzenie. Nakrętka końcówki drążka kierowniczego sama się nie odkręca. Dla Cassanu, jak i dla mnie, to zwyczajne zabójstwo. I szukał właśnie zabójcy.

Clotilde zakręciło się w głowie.

Natale? W roli mordercy? Uszkodził układ kierowniczy samochodu, żeby wyeliminować rywala? Żeby pozbyć się mojego ojca, dlatego że kochał moją matkę? To się nie trzymało kupy.

– A... a Cassanu nie podejrzewał nigdy Cervonego Spinella?

– Syna swojego najlepszego przyjaciela? Cervone nie miał wtedy osiemnastu lat. Nie, Clotilde, nie, nic mi o tym nie wiadomo. Po co, po co ten dzieciak miałby to zrobić?

– Po nic... Po nic...

Otworzyła drzwi. Nie miała ochoty wyjawiać więcej. Musiała jak najszybciej udać się do Calvi. Musiała przepytac Orsu. Jednak przedtem musiała sprawdzić pewne przeczucie, wykonać prosty test, który zajmie jej zaledwie kilka sekund.

Już miała wyjść, kiedy zatrzymał ją donośny głos sierżanta Garcii.

– Jeszcze jedno, Clotilde. Myślę, że lepiej, byś to wiedziała, skoro grzebiesz w przeszłości. Aurélia przez wszystkie te lata pytała o to Natalego, tak nalegała, że w końcu jej powiedział, przysiągł jej, był absolutnie jednoznaczny i ja mu wierzę. Dwadzieścia siedem lat temu między nim a twoją matką nic się nie wydarzyło. Twoja matka była wierna ojcu, chciała tylko wzbudzić w nim zazdrość, ale nie kochała Natalego. – Zamilkł na chwilę. – I Natale też jej nie kochał.

Sprzeczne obrazy napływały jej do głowy. Dawne obrazy, które wzbudzały wątpliwości. Położyła rękę na kłamce. Głos żandarma zrobił się niemal władczy.

– Proszę cię, Clotilde, jeszcze sekunda, zanim otworzysz. Natale wyznał to Aurélii lata temu, więc wolę cię uprzedzić, zanim dasz się zastrzelić.

– Co wyznał?

– Wyznał, bo myślał, że już nigdy cię nie zobaczy. Wyznał jej, bo upłynęło wiele lat i myślał, że to już przeszłość. – Jego twarz rozjaśnił przepraszający uśmiech. – Wyznał jej, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku osobą, którą kochał, byłaś ty.

Słońce eksplodowało, jak tylko Clotilde wyszła z ciemnego pomieszczenia. Odbijało się od każdej fali morza otaczającego półwysep, niczym teatralna rampa oślepiająca każdego wychodzącego na scenę aktora. Kilka sekund upłynęło, nim cienie na wprost niej stały się wyraźne.

Aurélia stała kurczowo uczeplona ramienia Natalego, jak gdyby był cennym przedmiotem należącym do niej, egzotycznym skarbem przywiezionym z końca świata i zazdrośnie strzeżonym. W przebłysku pamięci zobaczyła Aurélię wiszącą na ramieniu jej brata dwadzieścia siedem lat wcześniej, na plaży Oscelluccia. Dokładnie ten sam gest. Natale, nieruchomy, wpatrywał się w horyzont, jak gdyby morze wokół niego było jedynie przekleństwem.

W tej chwili Clotilde miała pewność, że Aurélia wie.

O dzisiejszej nocy, w „Aryonie”, z jej mężem.

Trudno.

Tym lepiej.

Sama już nie wiedziała. Musiała odjechać z Punta Rossa, musiała skupić się na Orsu, na zabójstwie Cervonego Spinella, na zabójstwie Jakoba Schreiber, na celowym uszkodzeniu samochodu jej rodziców. To wszystko było ze sobą powiązane, musiało być ze sobą powiązane.

Trzeba też było zadzwonić do Francka i Valentine, nie miała od nich wieści od tamtego zwięzłego nocnego esemesa.

Wszystko dobrze.

Wracamy za parę dni, zgodnie z planem.

Zależy mi na Tobie.

Szła w stronę passata bez słowa, nie mogąc ustrzec się przed pewnym pytaniem.

Czy po raz ostatni widzi Natalego?

W filmach zakochani mężczyźni wyrrywają się z objęć tej, której nie kochają, i rzucają się w ramiona tej drugiej, i wszyscy tylko na to czekają, wszyscy mu wybaczą, nikt w najmniejszym stopniu nie przejmuje się porzuconą żoną. W filmach wszyscy stają po stronie serca, mają gdzieś rozsądek.

Natale się nie ruszył. Nie wykonał ani jednego gestu, aby uwolnić się

z uścisku Aurélii.

Clotilde wsiadła do samochodu.

Może wysła jej esemesa?

Może raz w życiu, choć jeden raz, Natale będzie w stanie wykazać się odwagą?

Może ośmieli się odzepić cumy?

Było to ostatnie pytanie, jakie Clotilde sobie zadała.

Ruszyła.

»

Clotilde, jak tylko pokonała jakieś dziesięć wiraży, zaparkowała passata na poboczu drogi, przy wjeździe do Calvi, kilkaset metrów przed żandarmerią. Gorączkowo odpięła pasy i pochyliła się nad swoją torebką leżącą na fotelu pasażera. Przeklęła się w duchu za niewyobrażalny śmietnik, jaki w niej zgromadziła, głównie papiery, stare bilety, karteczki samoprzylepne, na których coś nabazgrała i o których zapomniała, wygniecione mętne ulotki rozdawane na ulicy, wszystko, czego nie śmiała wyrzucić na ziemię albo nie miała odwagi zanieść do kosza. Wysypała wszystko na siedzenie, rozgrzebała zawartość i opuszkami palców złapała to, co ją interesowało.

List, którego początek przeczytała.

Moja Clo!

Nie wiem, czy jesteś dzisiaj równie uparta jak wtedy, kiedy byłaś mała, ale chciałabym cię o coś poprosić.

Ochłonąć. Działać metodycznie, choć raz. Położyła list na desce rozdzielczej i wyjęła z walizeczki pędzelek i proszek do zdejmowania odcisków palców. Widziała raz czy dwa, jak robili to gliniarze z nakazu sędziego z sądu rodzinnego, sprowadzając cudowne listy miłosne do plugawych dowodów rzeczowych niedozwolonego związku.

Trzeba było kilka sekund poczekać, Clotilde wykorzystała je, grzebiąc znowu w kieszeniach. Dmuchnęła delikatnie na list tak, żeby do papieru przyczepiło się ledwie parę ziarenek czarnego proszku, po czym chwyciła róg kartki kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki. W lewej trzymała biało-czarny karton powierzony jej przez Cesareu Garcję.

Przybliżyła je do siebie, tak by jej oczy mogły je porównać, ponieważ nie mogła ich na siebie nałożyć.

To trwało sekundę, wystarczyła sekunda, żeby mieć pewność; później już za bardzo trzęsły jej się palce. Słowa tańczyły jak oszalałe.

Całe moje życie to camera obscura.

Całuję Cię.

P.

Pośród innych rozmazanych odcisków palców pojawiły się odciski ręki ogra.
Ręki Orsu.
To Orsu, ten analfabeta, napisał ów list.
Albo przynajmniej go dostarczył.

*Środa, 23 sierpnia 1989 roku,
siedemnasty dzień wakacji,
niebo jak marszczony papier*

20.00...

Wszystko wróciło do normy...

„Aryon” wrócił do portu...

Tata wrócił z latarni morskiej...

I wszyscy, zgodnie z planem, zasiadają przy wielkim stole rodzinnym, nakrytym pod dębem na podwórzu farmy Arcanu, z dziadkiem Cassanu u jednego końca stołu w roli głowy rodziny i z babcią Lisabettą na nogach w roli dyrygentki.

Przekąski pojawiają się jedne po drugich, słone i słodkie anyżowe ciasteczka *canistrelli*, słone ciasteczka *saliti* z wędzoną czosnkową kielbasą *figatellu*, plastry boczku *panzetta*, surowej suszonej szynki *prisuttu* i marynowanej w winie i ziołach wędliny *coppa* ze schabu karkowego, korsykański pasztet *terrines du maquis*, wszystko to przynoszone i donoszone przez Lisabettę i jej starą służącą, której imienia nie znam. Są tu też dalecy kuzyni, których nigdy wcześniej nie widziałam, w najróżniejszym wieku, najstarsi piją wino, słynne Clos Columbu produkowane przez dziadka stryjecznego, a najmłodszy colę. Innego wyboru nie ma, choć dziadkowi najwyraźniej się to nie podoba. Jest korsykańskie wino, ale lokalnej wody sodowej nie ma!

Doliczam się jakichś piętnastu Idrissich przy stole. Stół jest długi i wąski i sprowadza się do dużego blatu ustawionego na czterech koźlach, jego wielkość została obliczona dokładnie tak, żeby różne grupy nie mogły się ze sobą mieszać. Na jednym końcu mężczyźni rozmawiają o polityce, o środowisku, o dziedzictwie, o rzeczach, które bardzo chciałabym usłyszeć, a których nie słyszę, może tylko jakieś wyrwane słowa... podatki od nieruchomości, spekulacja, pierwokup. Na drugim końcu siedzą nastolatki i dzieci, a pośrodku kobiety, niemal ukryte za wielkimi bukietami żółtych róż przyniesionymi przez tatę; rozmawiają między sobą, ale na pewno na inne tematy i większość mówi po korsykańsku. Specjalnie żeby mama nie rozumiała?

Mama ziewa, w swojej czarnej sukience w czerwone róże, tej, którą tata kupił jej w Calvi. Mama się nudzi. Nikt by nigdy nie pomyślał, że za niecałą godzinę, po aperitifie, opuści razem z nim klan Idrissich i wyruszy w górę, by

spędzić z nim miłosną randkę w Casa di Stella, gdy tymczasem reszta rodziny, z wyjątkiem obcych dodatków jak ja i Nicolas, pojedzie samochodami do kościoła Santa Lucia na obowiązkowy koncert A Filetta.

Prawdę mówiąc, widać, że mama chętnie wyniosłaby się stąd natychmiast, a tata chętnie zostałby trochę dłużej. Widziana z tej perspektywy ich rocznicowa noc poślubna przypomina trochę kompromis. Rodzaj kompromisu, który nikogo nie satysfakcjonuje.

Czy na tym właśnie, mój powierniku, polega życie małżeńskie? Czy na tym właśnie polega życie dorosłych: na kompromisach? Na zadowalaniu się uszczuploną o połowę wolnością?

O czym będą rozmawiać ci moi pełni tajemnic rodzice, jak już się znajdą tam na górze? O liguryjsko-prowansalskim prądzie i o delfinach oglądanych z „Aryona”? O latarni morskiej na półwyspie Revellata i jej błyskowym systemie sygnalizacji świetlnej? A może będą rozmawiać o wszystkim i o niczym, o nas. Zrobią sobie białe flagi z obrusa, na którym będą jedli, z pościeli, w której będą się kochać, rozejm raz na rok, jak pokój na świecie w noc wigilijną?

Nie wiem. Mam to trochę gdzieś. Prawdę mówiąc, sama już dałam nogę, siedzę na swojej ławce, w ukryciu, ze słuchawkami mocno wkręconymi w uszy i muzyką Mano Negry puszczoną na cały regulator, żeby móc pisać w spokoju. W tej chwili aperitif pewnie właśnie dobiega końca; niebawem zajdzie słońce. Nawet mnie, po wczorajszej niemal nieprzespanej nocy, zaczyna opadać głowa.

Odczytuję swoje własne słowa.

Może nawet przysnęłam między jednym a drugim.

Dokoła było spokojnie, moje zdania bez zarzutu, muzyka kołysała mnie, aż nagle usłyszałam krzyki.

Wygląda to na kłótnię na podwórzu farmy; słyszę chyba odgłosy przepychanki, płacz.

Waham się, czy iść sprawdzić. Ale niezbyt długo. Porachunki u Idrissich też mam gdzieś. Zakładam z powrotem słuchawki, ustawiam głośność na większą, na o wiele większą.

Może nawet znowu zasypiam.

* * *

Przewrócił kartkę.

Znalazł jeszcze jedną odręcznie zapisaną stronę.

Ostatnią.

Dalej wszystkie były puste.

10.00

Kiedy Clotilde weszła do żandarmerii w Calvi, przy Route de Porto, w środku zdawała się panować raczej rozluźniona atmosfera. Nie za bardzo przypominało to kwaterę główną rozgorączkowanej ekipy śledczych; najwyraźniej eksperci z Calvi nie przejmowali się tak bardzo, jak ci z Miami. Kapitan Cadenat czytał „L'Equipe” przy puszcze corsica coli. Podniósł oczy i chyba szczerze ucieszył się na jej widok.

– Pani Baron? – odezwał się z zawodową uprzejmością handlowca witającego swoją pierwszą poranną klientkę.

Hmm hmm...

Piękna pani adwokat nie wydawała się w nastroju do żartów. Żandarm złożył gazetę, odstawił colę i poczuł się w obowiązku wyjaśnić swoją bezczynność.

– Przyszła pani w sprawie Orsu Romaniego? Jest w pokoju obok, w doborowym towarzystwie! Regionalna Komenda Policji Kryminalnej w Ajaccio przysłała nam dziś rano dwóch inspektorów. Przejmują sprawę. Najwyraźniej Cervone Spinello miał jakieś kontakty i jego zabójstwo narobiło hałasu. Więc my tu, z lokalnej brygady, jesteśmy jak wąż strażacki, żeby w razie czego gasić pożar, którego oni najwyraźniej się obawiają.

Żandarm myślał, że już wszystko załatwił i będzie mógł wrócić do lektury gazety, ale Clotilde ruszyła do przodu, kładąc rękę na klamce drzwi do pokoju, w którym przesłuchiwany był Orsu. Cadenat w jednej chwili wpadł w panikę.

– Pani Baron, nie...

Zaklął, rzucił z wściekłością gazetę, przewracając corsica colę.

– Nie wolno tam wchodzić! Te dwie szychy właśnie go przyciskają.

Clotilde wbiła w niego wzrok.

– Jestem jego adwokatem!

Nie zrobiło to chyba wrażenia na żandarmie rugbiście.

– Aha? Od kiedy?

– Od zaraz! Swoją drogą mój klient jeszcze o tym nie wie.

Cadenat się zawahał. Clotilde Baron nie blefowała, wiedział, jaki ma zawód, od chwili jej zgłoszenia dziesięć dni temu. Poza tym niespecjalnie mu to przeszkadzało, że wtargnięcie tej adwokatki do sali przesłuchań może pokrzyżować

niewco plany gliniarzy z Ajaccio.

– Niech pani sobie sama z nimi radzi – zawyrokował. – I jeśli Jednostki Specjalne Korsyki Południowej pani nie wykopią, powodzenia... Pani klient nie jest najbardziej rozmownym świadkiem, jaki chodzi po tej wyspie. On nawet wynosi omertę do poziomu ocierającego się o piękno: według wstępnych doniesień ze śledztwa, odkąd się urodził, nigdy nie wymówił więcej niż trzy słowa z rzędu.

Clotilde weszła do pomieszczenia. Orsu siedział do niej przodem. Dwaj gliniarze, w szarych garniturach i miękkich krawatach, stali do niej tyłem. Obaj jednocześnie obrócili się całym ciałem, zaskoczeni niczym pokerzyści w saloonie na dźwięk otwierających się z hukiem drzwi wahadłowych, niewiele brakowało, żeby jeszcze wywrócili stół dla osłony, wyciągając spluwy.

Szybcy... Ale nie dość!

Clotilde dobyła swoją broń pierwsza.

– Mecenas Idrissi!

Podetknęła im pod nos swoją legitymację, legitymację z tytułem mecenas Clotilde Baron, ale i tak jej nie przeczytali; tytuł i nazwisko, które rzuciła wcześniej, zrobiły swoje.

Starszy z nich, ten w cienkich, prostokątnych okularach, zdążył się już pozbierać.

– O ile mi wiadomo, pan Romani nie wspominał o żadnym adwokacie.

Choćby spróbować? Przebić go, natychmiast!

Orsu tkwił nadal w tej samej pozie bez wyrazu, ale wykorzystwała mglisty ruch jego ręki, by zatryumfować.

– No to teraz wspomina! Dwa wyjaśnienia, dwa istotne uściślenia. Po pierwsze, tak się składa, że pan Orsu Romani, odtąd mój klient, jest również moim przyrodnim bratem. Po drugie, co oczywiste, mój klient jest niewinny.

Po tych dwóch wyjaśnieniach nastąpiło milczenie.

To było zbyt wiele naraz.

Po pierwsze, nazwisko Idrissi. Dwaj inspektorzy mieli w rękach idealnego sprawcę, idiotę, któremu postawiono już zarzuty, okoliczności go obciążały, nikt nie wzięłby w obronę praktycznie niemego wyrzutka... A tu proszę, wyciągał im z rękawa adwokata, adwokata, którego nazwisko określało rangę: blisko spokrewnionego z nim adwokata!

Jednak Clotilde nie wygrała jeszcze tej partii, znała prawo. W przypadku przestępstw kwalifikowanych jako kryminalne adwokat nie miał obowiązku być na pierwszym przesłuchaniu: śledczy musieli jedynie zapewnić mu bieżący wgląd do akt sprawy. Mógł porozmawiać z oskarżonym dopiero po zakończeniu przesłuchania, nie dłużej niż trzydzieści minut. W starciu z dwoma pokerzystami nie miała innego wyjścia, jak zablokować.

– Sądzę, że zdążyli już panowie odbyć pierwsze przesłuchanie z moim

klientem? Chciałabym móc z nim pomówić, na osobności.

– Nie skończyliśmy jeszcze – zaproponował młodszy z nich, ten z kozią bródką.

W tłumaczeniu: Ten kaleki sukinsyn nie odezwał się do nas ani słowem przez całą godzinę, odkąd go przyciskamy.

– Mój klient będzie z wami rozmawiał. Mój klient porozmawia z wami, kiedy ja odbędę z nim rozmowę.

Pomijając jego oczy, wpatrujące się w Clotilde, Orsu nie wykazywał żadnych oznak zgody.

Gliniarze popatrzyli po sobie.

Nazwisko Idrissi obligowało ich do ostrożnej gry, mieli świadomość, że stąpają po grzaskim gruncie. Podejrzany zdawał się na najlepszej drodze, aby wytrzymać czterdzieści osiem, a nawet siedemdziesiąt dwie godziny aresztu, nie otwierając ust, choćby tylko po to, by poprosić o zgodę na wysikanie się. Co mieli do stracenia, pozwalając tej adwokatce, która spadła z nieba, spróbować im pomóc?

– Trzydzieści minut i ani jednej dłużej – odezwał się gliniarz w okularach. Wyszli.

Zostawili Clotilde z przyrodnim bratem sam na sam.

Sam na sam? Nie do końca. Orsu miał jeszcze jedną przyjaciółkę, mrówkę, która wędrowała przed nim po stole. Jego jedynym zmartwieniem wydawało się ustawienie w odpowiednim miejscu własnego palca tak, żeby owad zgodził się po nim wdrapać. Clotilde spodziewała się monologu. Nie była do tego przyzwyczajona. Zwykle w sprawach rozwodowych, bo takimi się zajmowała, jej klientki mówiły właściwie w nieskończoność o wyłącznych winach swoich lepszych połówek, z którymi chciały się rozstać.

– Zagramy w otwarte karty, Orsu. O tacie pogadamy później, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Najpierw zajmijmy się pilniejszą sprawą.

Tylko jego lewy palec wskazujący się poruszył, żeby odciąć mrówce wszelką drogę ucieczki.

– Primo, wiem, że nie zabiłeś tego sukinsyna, więc wyciągnę cię stąd, możesz mi zaufać.

Mrówka desperacko kluczyła, żeby się wydostać. Kciuk i palec środkowy tworzyły zamknięte koło.

– Secundo, wiem, że rozumiesz o wiele więcej, niż się o tobie gada wszędzie dokoła, że nie chcesz się z tym zdradzać. Że wiesz o wiele więcej, niż okazujesz. Coś jak Bernardo w *Zorro*. Więc jeśli chcesz, żebym ci pomogła, młodszy braciszku, też musisz mi pomóc.

Mrówka kręciła się w kółko. Po raz pierwszy Orsu podniósł na Clotilde wzrok, ten sam co wtedy, gdy ochrzaniła bezczelnych nastoletków w sanitariatach

Euproctes. Nieśmiały, zażenowany wzrok, błagający, żeby na tym poprzestać, który zdawał się szeptać „Niech pani da spokój”, „Nie zasługuję na to”, „Tak czy inaczej, dziękuję, ale nie musiała pani zadawać sobie tyle trudu”. Wyrażenie tego wszystkiego jednym spojrzeniem już było dowodem na to, że zaskarbiła sobie jego zaufanie, nawet jeśli to nie wystarczało, żeby Orsu zaczął rozmawiać z nieznajomą.

Pogrzebała w torebce i położyła na stole dwie kartki, przejechała palcem wzdłuż ostatnich linijek pierwszej z nich.

Całe moje życie to camera obscura.

Całuję cię.

P.

Potem po drugiej.

Zaczekaj tam. On przyjdzie i cię poprowadzi.

Ubierz się ciepło, pewnie będzie trochę zimno.

On cię zaprowadzi do mojego czarnego pokoju.

Wreszcie podniosła wzrok.

– Chcę tylko jednej odpowiedzi, Orsu. Tylko jednego nazwiska. Kto to napisał?

Gadaj zdrów, interesowała go tylko mrówka.

– Czy to moja matka? Czy to Palma napisała te listy?

Zadać jeszcze raz pytanie, porozumiewając się czułkami?

– Znasz ją? Widziałeś się z nią? Wiesz, gdzie ona jest?

Mrówka, uwięziona, przyparta do muru, szalała ze strachu. Clotilde zawahała się, czy nie rozgnieść jej kciukiem po to tylko, by wywołać jakąś reakcję u tego mięczaka.

– Do cholery, Orsu, to jej charakter pisma, tu są twoje odciski palców, przyniosłeś mi te listy, zaprowadziłeś mnie o północy do tej chatki w makii. Ale... ale ja widziałam, jak moja matka zginęła w wypadku samochodowym, widziałam, jak rozbiła się o skały. Więc błagam cię, jeżeli znasz prawdę, wyjaśnij mi to, zanim zwariuję.

Niespodziewanie, zawahawszy się ostatni raz, mrówka wspięła się na owłosiony palec wskazujący Orsu.

– *Campa sempre.*

Clotilde nic nie rozumiała.

– *Campa sempre* – powtórzył jej przyrodni brat.

– Nie mówię po korsykańsku, bracie, co to znaczy? – Podsunęła mu jedną z kartek, chwyciła leżący na stole długopis. – Napisz to!

Powoli, chwiejnym dziecięcym pismem Orsu wypisał swoje słowa, uważając, aby nie przeszkodzić mrówce, która biegła po jego przedramieniu.

Campa sempre

Clotilde wypadła jak szalona z pokoju i podetknęła dwóm gliniarzom

z Ajaccio kartkę pod nos.

– Co to znaczy?

Gliniarze spojrzeli, ocenili, pokiwali głowami, jak gdyby tekst był napisany pismem klinowym. Clotilde zaklęła, nie miała najmniejszej chęci słuchać ich wymówek, słuchać, jak opowiadają, że są funkcjonariuszami od niedawna przeniesionymi tu z kontynentu, że nie znają ani słowa po korsykańsku, angielski owszem, włoski w ostateczności, ale ten pieprzony język wyspiarski... Wyminęła rugbistę z południa Francji, nawet się nie zatrzymując. On też do niczego nie mógł jej się przydać.

Campa sempre

Cholera, to był już jednak szczyt, znaleźć się w żandarmerii w Calvi, nie mając pod ręką nikogo, kto mógłby jej przetłumaczyć dwa słowa po korsykańsku. Przyszło jej do głowy, żeby wybiec na ulicę, stanąć na środku jezdni i zatrzymać pierwszego lepszego, który się napatoczy, żeby jej przetłumaczył.

Campa sempre

Dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia odgłosy spłoszyły ją.

Otworzyły się drzwi do ubikacji. Wyszła z niej sprzątaczką. W chuście na głowie, w niebieskiej wyszywanej złotą nitką tunice; Marokanka, jak jedna mieszkanka na dziesięć w tym regionie. Ze swoim wiadrem i szczotką nieuchronnie skojarzyła jej się z Orsu. Clotilde podeszła do niej i uniosła na wysokość jej oczu kartkę z nagryzmołonymi słowami.

– *Campa sempre* – przeczytała Marokanka z czystym korsykańskim akcentem.

Clotilde odzyskała nadzieję.

– Proszę pani. Co to znaczy?

Kobieta spojrzała na nią, jakby to była oczywistość.

– Ona żyje. Ona wciąż żyje.

*Środa 23 sierpnia 1989 roku,
siedemnasty dzień wakacji,
niebo w kolorze wybroczyn*

– Clo?

Zsuwam słuchawki z uszu, nadąsana. Wolę głos Manu od głosu mojego brata.

– Tak?

– Jedziemy.

Dokąd jedziemy?

Wzdycham. Budzę się. Wciąż jeszcze jestem trochę nieprzytomna. Kamienie muru wpijają mi się w plecy, a drzazgi z ławki drapią mnie po udach. Na farmie Arcanu panuje cisza, brzmi to niemal tak, jakby wszyscy odjechali.

Dokąd?

Zamykam oczy, widzę znowu twarze członków klanu Idrissich przy stole, żółte róże, wino Clos Columbu, ich głośną rozmowę. Otwieram oczy, Nico stoi przede mną, z tą swoją facjatą przywódcy związkowego. Negocjatora z Grupy Operacyjnej Żandarmerii Narodowej, faceta prowadzącego rokowania z rabusiami, którzy utknęli w banku, by uwolnić zakładników jednego po drugim.

Ze mną to nie przejdzie!

Se la traga mi corazón, wrzeszczy Manu Chao. Podgłaśniam jeszcze dźwięk. Nie mam ochoty rozstawać się z moim dziwnym snem. Siadam, biorę swój zeszyt i pióro.

Wciąż jestem jeszcze oszołomiona, nie bardzo wiem, ile czasu spałam ani gdzie jestem. Już prawie zapadł zmrok, kiedy usnęłam, było jeszcze widno.

Wynurzam się powoli...

A więc ten sen, opowiedzieć ci go, nim się ulotni? Nim znów zasnę? Zdziwię cię!

Wiesz co?

Byłeś w nim, mój gościu z przyszłości. Byłeś w moim śnie!

Tak, naprawdę, to znaczy nie ty, nie do końca ty, ale ten dziwny sen rozgrywał się w twoich czasach, w dalekiej przyszłości! Nie za dziesięć lat, nie za trzydzieści, ale w jeszcze dalszej przyszłości, powiedziałabym, że co najmniej za pięćdziesiąt lat.

Nicolas wciąż stoi przede mną. Wygląda na wkurzonego.

– Clo, wszyscy na ciebie czekają. Tata nie będzie...

Tata? Ominęło mnie coś? Tata zmienił plany?

Mój wzrok wędruje przez moment na księżyc wiszący na niebie, na jego bliźniacze odbicie w morzu, i zaczynam pisać jeszcze szybciej; nie miej mi tego za złe, mój ukochany czytelniku, jeśli nie zdążę skończyć jakiegoś zdania, jeśli jedno ze słów pozostanie w zawieszeniu, jeśli zostawię cię na brzegu. To dlatego, że dorwie mnie mój tata, wyrwie mi ramię i będę musiała za nim iść, zostawiając tu swój zeszyt i pióro. Więc od razu posyłam ci całusa i mówię ci do rychłego zobaczenia, gdyby nie było później czasu na uściski.

I wciąż piszę.

Nicolas, który stoi przede mną, ma dziwną minę, można by niemal pomyśleć, że kiedy śniłam, na wyspie zdarzyło się coś w rodzaju apokalipsy, że pośrodku farmy spadł meteoryt, że tsunami wyrwało z korzeniami ogromny dąb.

Prędko... Nie rozpraszać się, bo inaczej mój sen ucieknie...

Mój sen rozgrywa się tuż obok, ale w bardzo odległej przyszłości, na plaży Oscelluccia, rozpoznałam skały, piasek, kształt zatoki, wciąż są takie same. Ja nie, ja się postarzałam. Staruszka! Cała reszta też jest inna. Na czerwonych skałach wyrosły dziwne budynki, zbudowane z osobliwych, niemal przezroczystych materiałów, jak na filmach science fiction, przypominających trochę te, które rysuje mama. Tylko basen podobny jest do tego dzisiejszego, wielki basen, w którym moczę swoje stare, pomarszczone stopy.

Przypieszam, OK, przypieszam, słyszę zbliżające się kroki, kroki taty.

W moim śnie o przyszłości jest też Natale. W basenie są dzieci, być może to moje dzieci, dzieci albo wnuki, nie jestem pewna. Wiem tylko, że jestem szczęśliwa, że nikogo nie brakuje przy mnie, że wszyscy tam są, tak jakby przez pięćdziesiąt lat nic się nie zmieniło, jakby nikt nie umarł, jak gdyby, ostatecznie, czas, który upływa, był niewinny, może mylimy się, oskarżając go, nazywając go mordercą...

* * *

Jego wzrok przesunął się w pustkę.

Dziennik kończył się na tym słowie.

Morderca

Przeczytał je raz jeszcze, po czym zamknął zeszyt.

10.30

Clotilde już tu była, ale w nocy.

W nocy, prowadzona przez Orsu.

W dzień nie miała pojęcia, jak odnaleźć chatę pasterską. Jej punkty orientacyjne były nieprecyzyjne, przejść przez rzekę, następnie wspiąć się po stromym zboczu, przebyć niekończące się zarośla.

Krążyła po makii od wielu minut ciągnących się w nieskończoność, samochód zaparkowała wcześniej u podnóża szlaku prowadzącego do Casa di Stella, w tym samym dokładnie miejscu, w którym czekała o północy na Orsu; z otwartymi drzwiami, z kluczykiem w stacyjce, miała to gdzieś. Gliniarzy zostawiła w żandarmerii w Calvi z niczym.

Campa sempre

Nie udało jej się wyciągnąć nic więcej od Orsu, ale to nie miało znaczenia, najważniejszego się dowiedziała. Jej matka żyje!

Chociaż widziała, jak ginie na jej oczach, chociaż Orsu niczego nie wyjaśnił. Jej przyrodni brat potwierdził tylko to, czego była pewna, odkąd wróciła na Korsykę; tę tajemnicę, którą nosiła głęboko w sobie, od zawsze.

Ona żyje.

Czekała na nią.

W tej pasterskiej chacie.

Wspięła się na niewielki pagórek, skąd widać było podwórze farmy Arcanu jakieś sto metrów niżej, zatrzymała się.

Postój kilka minut pod zielonym dębem, zanim się ściemni, żebym mogła cię zobaczyć.

Mam nadzieję, że cię rozpoznam.

Naturalnie jej matka ukryła się gdzieś w górach, żeby ją obserwować, wciąż się tam ukrywała; z któregośkolwiek miejsca w górach, w makii, pośród janowców i wrzosów sięgających jej aż do pasa, można było widzieć, nie będąc widzianym, można było słyszeć, nie będąc słyszonym, śledzić, nie budząc podejrzeń. Niemądrze wyobrażała sobie, że jak już dotrze na miejsce, w biały dzień, to przypomni sobie, rozpozna nocne cienie, odnajdzie punkty orientacyjne, kształt kamienia, łuk pnia, kolce dzikiej róży. Niemożliwe. Nie sposób było zorientować

się w tym labiryncie kasztanowców i dębów, otoczonych krzewami janowca, poziomkowcami, wrzosami. W tej ciągnącej się aż po horyzont makii, od której zapachu kręciło jej się w głowie.

Miała już zrezygnować, zejść z powrotem na dół, wrócić do Calvi, zaledwie pięć minut drogi, jeśli się wciśnie gaz do dechy, żeby przekonać gliniarzy z Ajaccio, aby pozwolili jej na jeszcze jedną rozmowę, aby zgodzili się wypuścić Orsu razem z nią z żandarmerii; żeby poprowadził ją tak jak tamtej nocy. Nawet jeśli to była najbardziej niedorzeczna iluzja. Jej przyrodni brat siedział w areszcie z powodu morderstwa. Zanim uzyskałaby pomoc prawną sędziego śledczego i zanim ten zgodziłby się zorganizować rekonstrukcję, minęłyby całe tygodnie.

Miała się właśnie poddać, kiedy ją zobaczyła.

Plamkę, purpurową plamkę pośród jagód poziomkowca.

Kroplę krwi.

Potem drugą, metr dalej, która tym razem skapnęła na suchą ziemię. Trzecią, która przywarła do pnia cedru. Tak jak gdyby Tomcio Paluch, któremu skończyły się okruchy chleba czy białe kamyki, pociął sobie żyły.

Żeby jej wskazać drogę?

Instynktownie podążyła krwawym szlakiem. Po raz kolejny czuła się głupia. To mogło być jakiegokolwiek ranne zwierzę, lis, dzik, jelen. Przejechała palcem po szkarłatnych śladach. Krew była jeszcze świeża.

Co jeszcze przyjdzie jej do głowy? Że ktoś kilka minut przed nią chciał dotrzeć do pasterskiej chaty? Ktoś, kto krwawił, a kto mimo to chciał ją wyprzedzić? To nie miało żadnego sensu. Zastanawiała się, idąc po śladach w makii; liście wrzosów wyglądały na odgarnięte, niektóre gałązki były połamane.

Chyba że było odwrotnie?, pomyślała nagle. Chyba że ten ktoś ranny nie szedł pod górę do chaty, tylko z niej wracał na dół! Nieważne, im dłużej szła po śladach, tym bardziej była pewna, że doprowadzą ją do tamtej polany, na której znalazła się trzy dni temu, gdzie Orsu ją zostawił, gdzie Franck do niej doszedł; jej mąż też wiedział, jak tam dojść, choć nie rozumiała dlaczego i jakim cudem, ale dzisiaj od samego rana nie mogła się z nim połączyć, mimo że nieustannie do niego wydzwaniała.

Ciągnący się w nieskończoność sygnał.

Poczta głosowa.

Proszę Cię, Franck, oddzwoń do mnie.

Oddzwoń do mnie.

Oddzwoń do mnie.

Później, później będzie sobie zadawać te pytania.

Campa sempre

Tylko to się liczyło. Musiała iść do przodu. Przypominała sobie teraz niektóre szczegóły, niektóre punkty orientacyjne, ścieżkę pnącą się nieco łagodniej

do góry, rzednącą makie, wielki dąb korkowy. Przeszła jeszcze kilka metrów, ślady krwi, które ją prowadziły, były coraz gęstsze; nagle makia się skończyła i Clotilde ujrzała pasterską chatę.

Jej serce o mało nie eksplodowało.

Boże!

Żołądek podszedł jej do gardła, przełknęła ślinę, oparła się chęci, by zrobić w tył zwrot i puścić się biegiem. Tomcio Paluch tam był, leżał jak długi: nie pociął sobie żył, by ją prowadzić.

Został zadźgany nożem! Jego prawy bok leżał w ogromnej brunatnej kałuży.

Był martwy, zapewne od wielu minut, leżał na dywanie zwiędłych płatków jasnofioletowego i białego czystka. Gdyby Clotilde nie przyszła po jego krwawych śladach, mogłaby pomyśleć, że śpi.

Podeszła. Zawahała się, czy się schylić. Zawahała się, czy się odezwać.

– Pasza?

W szyi labradora tkwił harpun. To ten pies, który nosił imię innego, tamtego, który był osłoda jej młodości. Jakby ktoś chciał go ją pozbawić po raz drugi.

Drzwi chaty były otwarte.

Osy brzęczały wokół ścierwa, już się wpraszając na piknik padlinożerców. Clotilde podeszła do kamiennego budynku. Nocą nie zdążyła zauważyć grubego rygla blokującego drewniane drzwi, metalowego zamka niczym w lochu średniowiecznej warowni, równie niemożliwego do pokonania jak kraty osadzone w jedynym oknie, podwójnie zamykanym wielką okiennicą z masywnego dębowego drewna.

Kamienne więzienie było zamieszkane. Ktoś tam był. Ktoś płakał.

Czy jej matka była tam ukryta? Zamurowana? Żywcem?

Clotilde weszła. Drżąca.

Cała ta scena, wszystko, co przeżywała od pięciu dni, przekraczało wszelkie wyobrażenie. Zobaczyła łóżko. Drewniany stół. Kilka uschniętych kwiatów. Odbiornik radiowy. Książki, dziesiątki książek upchniętych na drewnianych półkach, leżących na ziemi, zmniejszających rozmiary pomieszczenia, i tak już ciasnego, niemal o połowę.

A w kącie, plecami do niej, starą, zgarbioną kobietę na taborecie.

Długie siwe włosy spływały jej kaskadami do pasa, jak mądrej babce, która zdejmując wstążkę z włosów, zdradza, jaka była niegdyś piękna; ujawnia to lustru, swoim wnukom, dawnemu kochankowi.

Nic podobnego nie działo się w tym jedynym pomieszczeniu.

Stara kobieta, niemal na klęczkach, zwierzała się kamiennemu kątowi, zimnemu i ciemnemu kątowi, który tworzyły dwie ślepe ściany. Jak ukarana dziewczynka, taki obraz przyszedł na myśl Clotilde. Ukarana dziewczynka, o której zapomniano na całe życie, po którą nikt nigdy nie przyjdzie, ale która tam zostanie,

zestarzeje się tam, bo jest posłuszna i dlatego, że kazano jej się nie ruszać.

– Mama?

Stara kobieta obróciła się powoli.

Miała ślady krwi na rękach, na ramionach, na szyi.

– Mama?

Serce Clotilde waliło, jakby miało wyskoczyć jej z piersi. Tylko czy to było możliwe? Narzucał jej się inny obraz, ten, który prześladował ją przez wszystkie te lata, obraz ciała matki, dwadzieścia siedem lat wcześniej, też całego we krwi. Zanim zmiażdżyła je skała. A przecież jej matka stała teraz przed nią, żywa, mimo pozorów i oczywistości.

Nie mogło być inaczej.

W końcu stara kobieta się odwróciła.

Clotilde wiedziała, czuła to, to była ona.

Mama?

Jednak tym razem słowa uwięzły jej w gardle.

Stara kobieta, która patrzyła na nią błagalnym wzrokiem, wzrokiem błagającym o wybaczenie, miała ponad osiemdziesiąt lat, lecz wciąż była piękna, pełna godności, dumy. Przez wszystkie te lata jakże ogromnie musiała cierpieć.

Ale ta stara kobieta nie była jej matką.

III

Sempre giovanu

Wyglądali jak dwaj bracia bliźniacy, którzy starzeli się w innym tempie. Jeden miał na sobie golf, a drugi aż po łopatkę wytatuowanego węża, ten pierwszy nosił grube okulary krótkowidza, a drugi srebrny piercing w nosie. Pierwszy włożył wytarty sztruksowy garnitur w kolorze butelkowej zieleni, a drugi biało-czerwony dres, w barwach Ajaccio, odrobinę zbyt obcisły.

Bracia Castani, używane samochody i części zamienne, informowało ogłoszenie.

Facet w golfie przyjechał ciężarówką, ten z tatuażem czerwonym wozem.

Facet w golfie liczył banknoty, ten z tatuażem podnosił wgniecioną maskę.

– Za tysiąc pięćset euro – orzekł, wycierając ręce w swój nieskazitelnie czysty dres. – Niech pan nie liczy, że przejedzie nim pan cały kontynent.

Klient nie był rozmowny, ale płacił gotówką. Zażądał tylko, żeby spotkali się w dyskretnym miejscu, na parkingu przy zbiorniku wody, na skraju lasu Bocca Serria. W gruncie rzeczy nie było to nie w smak braciom Castani: żadnego przeglądu technicznego, żadnej karty wozu, żadnej rejestracji, tylko wymiana paru banknotów na antyk ledwo co nadający się jeszcze do jazdy.

Gość w golfie wsunął banknoty do kieszeni.

– Mimo wszystko niech pan uważa... Samochód przeleżał na złomowisku wiele lat, nie chciałbym, żeby pan się rozbił.

Ten z tatuażem zatrzasnął maskę.

– Sprawdziłem, co mogłem, układ kierowniczy, geometrię kół, hamulce, przez jakiś czas powinny dać radę. Ale niech się pan nie da złapać glinom!

Wręczył mu kluczyki.

– Pańska kolej.

Facet z tatuażem mrugnął okiem do tego w golfie i dwaj bracia wsiedli do ciężarówki, nie zadając żadnych pytań. Zwykle kiedy sprzedawali stare zabytkowe wozy majsterkowiczom, mechanikom amatorom, obsesjonatom tuningu. Ale najwyraźniej mechanika to nie był konik tego klienta. Gość z tatuażem przyspieszył, tymczasem ten w golfie patrzył na typa znikającego we wstecznym lusterku. W gruncie rzeczy bracia Castani mieli gdzieś, co facet zrobi z tą antyczną bryką.

»

Zaczekał, aż ciężarówka braci Castani zniknie za przylądkiem Cap Cavallo,

i przez chwilę, niemal z niedowierzaniem, przyglądał się samochodowi. W kilka godzin, na jakiegokolwiek stronie internetowej z ogłoszeniami, zarówno na Korsyce, jak gdzie indziej, można było znaleźć to, czego nawet dżin z cudownej lampy nie mógłby człowiekowi dostarczyć. Podszedł do terenówki zaparkowanej z tyłu za sosnami czarnymi, w lesie. Nie przez przypadek wybrał ten zakątek na spotkanie ze złomiarzami: miejsce było odludne, można tu było zaparkować na tyłach. Otworzył drzwi samochodu i chwycił zeszyt z fotela pasażera, po czym położył go na przednim siedzeniu samochodu, który właśnie kupił.

Tak na rozgrzewkę.

Najgorsze miał jeszcze przed sobą.

Otworzył bagażnik samochodu terenowego stojącego pod sosnami, nie bacząc na ukłucia igieł, rozsunął parę gałęzi i się pochylił.

– Zmieniamy brykę?

Wybałuszyła oczy, rozprostowała ramiona i nogi, cała zdrętwiała od wielogodzinnego czekania. Wdychała zapach sosen.

„Zmieniamy brykę?”, powiedział.

Z jakiego powodu?

Cała była obolała, niemal sparaliżowana od tkwienia w skulonej pozycji w bagażniku terenówki. Pomógł jej wyjść, przejść kilka kroków. Nie rozumiała tej zamiany samochodów, szła na oślep. Mrugała oczami, oszołomiona światłem, z trudem mierząc się z blaskiem słońca.

Stopniowo się przyzwyczajała.

I wtedy zobaczyła samochód; tuż przed sobą.

Czerwone fuego. Model GTS.

Poczuł, jak kobieta, którą podtrzymywał ramieniem, chwieje się na nogach.

Przytrzymał ją, przewidział jej zaskoczenie.

– Coś to pani przypomina, pani Idrissi?

11.00

Ta stara kobieta nie była jej matką.

Wpatrywała się w Clotilde, jej twarz umazana była krwią, która wciąż ściekała; chyba że były to zabarwione na czerwono łyzy znaczące smugami jej opuchnięte sińce. Ocierała je swoimi długimi siwymi włosami, niczym Maria Magdalena grzesznica.

Nie, pomyślała Clotilde, sięgając do swoich wspomnień, zapłakana kobieta na wprost niej nie mogła być jej matką.

Kobieta na wprost niej była starsza. Starsza o pokolenie.

Kobieta na wprost niej to była Lisabetta, jej babka.

Kolejna tajemnica, iluzja, nieszczęście.

Clotilde nie miała dłużej czasu się zastanawiać, pasterska chata zatonęła nagle w mroku, jak gdyby ktoś zaciągnął czarną zasłonę w drzwiach. Clotilde się odwróciła; nie pomyliła się, a jeśli nawet, to niewiele, to nie zasłona, lecz czarna suknia zaciemniała pomieszczenie. Suknia więdźmy Speranzy, której cień przemieniał izbę w jaskinię tak, aby szczury, pająki i chrząszcze wyszły ze szczelin w kamieniach, by uczcić jej przybycie.

Speranza zwróciła się do Lisabetty, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność Clotilde.

– Oni zabrali Orsu. Nie ma już nikogo.

Jacy oni? – wrzeszczał jakiś głos w głowie Clotilde.

– Zabiła Paszę – ciągnęła Speranza.

Jaka ona?

Słowa kołatały się jej po głowie. Może więdźmy porozumiewają się telepatycznie, może jeśli będzie bardzo mocno myślała o swoim pytaniu, więdźmy jej odpowiedzą.

– Drzwi były otwarte, kiedy przyszłam – odezwała się Lisabetta.

– Kto taki? – spytała łagodnie Clotilde. – O kim mówicie?

Żadnej odpowiedzi.

Może więdźmy są głuche. Może duchy nie noszą aparatów słuchowych.

Tym razem Clotilde wrzasnęła.

– Gdzie jest moja matka? Orsu powiedział mi, że ona żyje! *Campa sempre.*

Gdzie jest moja matka?

Lisabetta podniosła się powoli. Clotilde sądziła, że jej odpowie, ale to głos Speranzy rozbrzmiał w pasterskiej chacie.

– Nie tutaj, Lisa. Nie tutaj. Jeśli chcesz z nią porozmawiać, porozmawiaj z nią na dole.

Lisabetta się wahała. Wiedźma zwróciła jej uwagę:

– Niebawem wróci Cassanu. Karetka podwiezie go przed południem do Arcanu. Nic nie jest gotowe, Lisa. Nic nie jest przygotowane.

»

Nic nie jest przygotowane.

Clotilde wtedy nie zrozumiała.

Zeszły wszystkie trzy w milczeniu na farmę Arcanu, nie zamieniając ani słowa. Stare kobiety szły szybko, niemal szybciej od Clotilde. Zdawały się znać tu każdą gałąź, wiedziały, której się przytrzymać pomarszczonymi rękami, na którym kamieniu postawić stopę. Ich nogi były przyzwyczajone, a ich chude ciała nigdy nie były równie lekkie.

Nic nie jest przygotowane.

Niemal wpadły w panikę. Raz jedna, raz druga spoglądała na swój ręczny zegarek. Gdy tylko dotarły na miejsce, obie kobiety jakby zapomniały o Clotilde. Adwokatka szła tylko za nimi, czując się zbędna, jak gość, który zjawił się za wcześnie i którego zostawia się samemu sobie, by dokończyć przygotowań. Obie kobiety pomknęły prosto do kuchni.

Lisabetta otworzyła lodówkę.

– *Figatellu* z soczewicą.

To były pierwsze słowa, jakie wymówiła od blisko trzydziestu minut. Speranza nie odpowiedziała, nachyliła się tylko nad skrzynkami pełnymi warzyw i chwyciła pomidory i cebule. Babka zdążyła już założyć fartuch, wyjąć deskę do krojenia, wyłożyć panzettę i *figatellu*. W końcu, jakby uspokojona, odwróciła się w stronę wnuczki.

– Usiądź, Clotilde. Cassanu spędził ponad dwadzieścia cztery godziny w szpitalu w Calvi. Na pewno nic nie jadł, pomyśl tylko, ta ich pakowana próżniowo szynka, te ich jogurty i to ich purée... – Spojrzała na zegar wahadłowy.

– Ani razu przez tych siedemdziesiąt lat, ani razu, Clotilde, nie zdarzyło się, żeby posiłek nie był gotowy, kiedy Cassanu siadał do stołu.

Uśmiechnęła się, myjąc ręce.

– Trudno ci to zrozumieć, kochanie? W Paryżu to tak nie działa. Ale tutaj tak jest i to nawet nie wina mężczyzn, to my ich tak wychowujemy, od maleńkiego.

– Gdzie jest moja mama, babciu? Gdzie jest Palma?

Lisabetta spojrzała znowu na zegar, po czym chwyciła ogromny nóż.

– Mówię ci, usiądź, kochanie. Wszystko ci opowiem. Zanim zjawi się twój dziadek. Korsykańskie kobiety to umieją, zapewniam cię, umieją zajmować się domem i rozmawiać.

Może Lisa. Ale nie Speranza. Gosposia ze spuszczonym wzrokiem kroiała zdecydowanym ruchem ręki panzettę w kostkę.

– To długa historia, Clotilde. To również twoja historia, choć zaczęła się na długo, przed twoim urodzeniem.

Podniosła wzrok z noża na wiedźmę, która precyzyjnym ruchem oddzielała tłuszcz od mięsa, po czym mówiła dalej:

– Pięćdziesiąt lat temu Speranza pracowała już w Arcanu, choć „pracowała” nie jest właściwym słowem. Już tutaj mieszkała, żyła tu i tak jak dzisiaj zajmowała się wszystkim razem ze mną, sprzątaniami, posiłkami, ogrodem, zwierzętami. Córka Speranzy, mała Salomé, urodziła się w Arcanu, w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Trzy lata po twoim tacie. Salomé i Paul razem dorastali, byli nierozłączni. – Znów wbiła wzrok w Speranzę, która zdawała się skupiona wyłącznie na wielkości kostek krojonego wędzonego mięsa. – Wszyscy tu wiedzieli, że w końcu ich ze sobą ożenimy. Tak to było, tak było pisane... Z biegiem lat Salomé stawała się coraz piękniejsza. Wysoka, brunetka, z włosami sięgającymi do pasa. Oczy jak u sarny z lasu d’Aitone, wdzięk kózki i śmiech zdolny skruszyć cytadelę w Calvi. Bajka, kochanie, książę Paul, dziedzic na osiemdziesięciu hektarach makii, i Salomé, piękny Kopciuszek bez grosza przy duszy, ale u nas ludzie o to nie dbają, liczy się tylko klan, niezależnie od rangi. Kiedy skończyła piętnaście lat, zaręczyliliśmy ich. Tak, kochanie, istna bajka, pewnego razu na Revellacie, Paul i Salomé pobraliby się i mieliby dużo dzieci.

Przerwała. Pewną ręką przekroiła *figatellu* na cztery równiuteńkie części.

Kolejne zerknięcie na zegar.

11.27

– Wszystko zmieniło się latem sześćdziesiątego ósmego – ciągnęła łagodnie Lisabetta, zdawało się, że obliczyła czas opowiadania z tą samą dokładnością co czas gotowania. – Choć niczego nie podejrzewaliśmy. Prawdę mówiąc, kiedy twój ojciec zaczął flirtować z tą młodą francusko-węgierską turystką obozującą na polu, które miało stać się wkrótce kempingiem Euproctes, nie za bardzo się martwiliśmy. Tutaj Korsykanie polują na korsykańskie jaskółki zimą, a latem na kontynentalne. Palma wyjechałaby pod koniec sierpnia, podobnie jak inne dziewczyny. Paul popłakałby trochę przed promem, a tydzień później byłoby po wszystkim. Tak sądziłam, wszyscy tak sądziliśmy. Tymczasem oni zaczęli do siebie pisywać. Gdybyś wiedziała, kochanie, jak wielką miałam ochotę wrzucić do ognia te listy z paryskim stemplem, które listonosz przywoził do Arcanu. Gdybym tak zrobiła, skarbie, oczywiście nie siedziałabyś tu teraz, słuchając mnie, dziwnie mi mówić to tobie, ale oszczędziłoby to tylu dramatów i śmierci. Gdybyś wiedziała, biedactwo

moje, ile razy przeklinałam się za to, że ich nie spaliłam. – Zostawiła na chwilę soczewicę, którą przebierała, by wziąć wnuczkę łagodnie za rękę. – Paul pojechał do Palmy po raz pierwszy do Paryża na Boże Narodzenie w sześćdziesiątym dziewiątym roku, później znowu na Wielkanoc, potem na święto Wniebowstąpienia, w końcu tam został i nie widzieliśmy go całe lato, spędził je na Cykladach, przysyłał nam pocztówki z Naksos, z Sifnos, z Santorynu, jakby chciał wzbudzić zazdrość naszej wyspy, myślał może, że nie dość jeszcze jesteśmy zazdrośni. To był koniec, zrozumieliśmy to wszyscy. Wszyscy z wyjątkiem Salomé. Nieszczęsne biedactwo, wszyscy zdawali sobie sprawę, że nigdy nie uda jej się zapomnieć o Paulu. A nawet gdyby próbowała, jej ukochany z dzieciństwa przyjeżdżał tu każdego lata, najpierw ze swoją żoną, później, od siedemdziesiątego pierwszego roku z żoną i synkiem, a od siedemdziesiątego czwartego z żoną, twoim bratem i tobą; i tak każdego kolejnego lata. Goszcząc was w Arcanu, staraliśmy się robić dobre wrażenie, uczyłam nawet twoją mamę, jak zrobić *figatelli*, ciasto *fiadone* i potrawkę z dzika. Speranza chodziła z nią zbierać zioła, oregano, mięte, dzięgiel. Przyjmowaliśmy ją gościnnie, bo należała do rodziny, mimo że ukradła nam syna, mimo że mieliśmy o to do niej żal, mimo że w głębi duszy, choćby tylko z tego powodu, nigdy jej nie kochaliśmy.

Z niepokojem spojrzała na zegar, 11.32, puściła rękę Clotilde i wrzuciła soczewicę do wrzącej wody w garnku. Speranza obierała cebulę, nie okazując absolutnie żadnych emocji.

– Każdego lata – ciągnęła Lisabetta, omijając wzrokiem Speranzę – Salomé oddalała się, żeby się wypłakać. – Była dumną dziewczyną, więc wołała się chować, żeby nie widzieć Paula całującego żonę na plaży Alga. Żeby nie widzieć, jak bawi się ze swoimi dziećmi. By nie wylupić sobie oczu na widok tego szczęścia, które powinno być jej szczęściem. To dlatego, kochanie, niemal nigdy jej nie widywałam. – Wrzuciła boczek i cebulę na patelnię, dołała oliwy z oliwek. – Ale czas był sprzymierzeńcem Salomé, takiej nadziei przynajmniej się czepiała. Pośród Penelop i zdzir w końcu zawsze triumfują te pierwsze.

Clotilde zadrżała, słysząc słowo „zdzira” w ustach starej Lisabetty. Jak straszną nienawiść musiała żywić jej babka, by użyć tak ordynarnego określenia? Speranza akcentowała słowa brzękiem talerzy, które układała na stosie.

– Po jakichś dziesięciu latach – ciągnęła Lisabetta – wszystkie atuty Palmy wyparowały. Wszystko, co uwiodło twojego ojca. Nieznane, inność, egzotyka, nazywaj to, jak chcesz. Ulotniły się... Tutaj zawsze tak jest. Korsykanie zostają marynarzami, profesorami, handlowcami, żeby wyjechać, bo są młodzi i mają wrażenie, że duszą się na swojej wyspie. Gdzie indziej szukają oddechu, nowych zapachów, lecz ostatecznie ostają się jedynie zapachy dzieciństwa. Rozumiesz, kochanie? Zamiast w pałacu, jego austriacko-węgierska księżniczka skazała go na życie w małym domku na normandzkich przedmieściach. Z ogródkiem

o powierzchni czterystu metrów kwadratowych, kiedy tutaj czekało na niego osiemdziesiąt hektarów makii. Z widokiem na pola kukurydziane zamiast widoku na Morze Śródziemne, nie wspominając o słońcu, o przyjaciółach z dzieciństwa czy o jego pracy sprzedawcy trawników. A więc tak, brakowało mu Korsyki, ale był uziemiony i naturalnie obwinił o to, nieświadomie, właśnie Palmę.

Zajrzała do potrawy na ogniu, dodała pokrojone pomidory, po czym znów delikatnie ujęła Clotilde za rękę.

– Nic więcej nie wiem, kochanie. Czy to twój ojciec dał znak Salomé? Czy może to ona się do niego zbliżyła? Nie umiem powiedzieć ci, którego lata zaczęli znowu ze sobą rozmawiać, którego lata znowu się pocałowali, którego lata znów się kochali, czy to było tego samego dnia, czy trwało to kilka lat. – Spojrzała przelotnie na Speranzę. – Nie potrafię nawet powiedzieć ci, czy twój ojciec był szczery, czy wciąż kochał twoją matkę, czy nie, czy znowu kochał Salomé, nic na ten temat nie wiem, nikt o tym nie wiedział, ani ja, ani Speranza, kiedy w Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku Salomé rzuciła się z latarni morskiej na Revellacie. Doktor Pinheiro wziął nas na stronę i powiedział, że Salomé z tego wyjdzie, że nic jej nie jest, że krzewy janowca złagodziły jej upadek... ale że mimo wszystko musi przejść dodatkowe badania, nie ze swojego powodu, wyjaśnił, nie ze swojego powodu, ale z powodu dziecka. Niepokoił się o dziecko.

Speranza otarła fartuchem kąciaki oczu, odsuwając łupiny cebuli i skórki pomidorów.

– Salomé była w ciąży. Za późno było na aborcję, dziecko się utrzymało. Urodziło się piątego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Przyszło na świat, nie wydając nawet krzyku, z jedną ręką, jedną nogą i połową twarzy bez życia. Wtedy Salomé przyjęła inną strategię, strategię samotnej matki, która nie ma już nic do stracenia, a tym bardziej nie swój honor, ale która odważy się na wszystko, aby ocalić honor swojego syna. Tamtego lata po raz pierwszy Salomé przestała się chować. Pokazywała się na plaży, kładła swój ręcznik o metr od ręcznika twojej matki, odpinała górę od kostiumu po to, żeby niby nakarmić synka; spacerowała w lekkiej sukience po targu w porcie Stareso, posunęła się nawet do tego, że przejechała wózkiem po pantoflach Palmy. Oczywiście twoja matka wiedziała, kim jest Salomé. Oczywiście wiedziała, kto jest ojcem dziecka. Tak, latem osiemdziesiątego dziewiątego roku, choć ty, wówczas piętnastoletnia, tego właściwie nie zauważyłaś, Salomé doprowadziła twoją matkę do ostateczności i to zadziałało niewątpliwie w sposób, którego się nie spodziewała.

11.36

Lisabetta wsypała *figatelli* na skwierzącą patelnię, posypała je tymiankiem, wrzuciła pół liścia laurowego.

– Twoja matka wzięła sobie kochanka...

Clotilde chciała zaprotestować, nie, babciu, to nie było tak, między Natalem Angelim i mamą nic się nie wydarzyło, ale jej babka energicznie postawiła na gazie garnek, co zabrzmiało jak gong, który w jej wyobraźni nakazywał milczenie.

– Salomé przypomniła twojemu ojcu o jego obowiązkach. Przyciskała małego Orsu do piersi, w chuście obwiązanej wokół bioder. Odtąd było dziecko przeciw dzieciom, kobieta przeciwko kobiecie, Korsyka przeciw kontynentowi. Twoja matka nosiła nazwisko Idrissi, siedem liter u dołu aktu stanu cywilnego, ale całą resztę, wszystko, co nazwisko Idrissi reprezentowało, miała Salomé.

Po głowie przemknęła Clotilde myśl. Że tamtego lata, w 89 roku, tata mógł myśleć o ich porzuceniu, o pozwoleniu im na powrót z mamą na kontynent i pozostaniu tam, w Arcanu, by wychowywać inne dziecko, by założyć inną rodzinę.

Lisabetta odkorkowała butelkę wina Clos Columbu, rocznik 2007.

– Wszystko zmieniło się w sześćdziesiątym ósmym roku, dwudziestego trzeciego sierpnia, w dniu, w którym Palma rozbiła swój namiot na Revellacie. Wszystko musiało oczywiście znów się rozegrać tego samego dnia.

Spróbowała wina, skrzywiła się, po czym mówiła dalej.

– Twoja matka nadal miała przewagę, zapewniam cię. Twój ojciec zaś miał poczucie obowiązku. Nigdy by was nie zostawił. Nigdy nie pozwoliłby waszej matce popłynąć z wami promem. Samej. Bez niego... Palma wygrałaby jak co roku. Tamtego dnia, dwudziestego trzeciego sierpnia, ozdobił stół żółtymi różami, gdy tymczasem we wcześniejszych latach były zawsze krwistoczerwone. Kolor żółty w języku róż oznacza prośbę o przebaczenie winy, zdrady. W dzień świętej Róży poszłaby z twoim ojcem na kolację do Casa di Stella, spędziliby tam wieczór i noc, pogodziliby się, na rok, do następnego lata. Salomé nie miała innego wyjścia, musiała postawić wszystko na ten wieczór. Pewnie pamiętasz ten ostatni wieczór, kochanie, siedzieliśmy nas z piętnaścioro przy stole, przyjaciele, kuzyni, napoje i przystawki przed wycieczką na koncert pieśni polifonicznych w kościele Santa Lucia w Prezzunie. Ale nie możesz wiedzieć, co było potem, odeszłaś od stołu, zasnąłaś na ławce z muzyką na uszach.

Clotilde pamiętała te ostatnie chwile. Jej otwarty zeszyt, szalone rytmy Mano Negry, krzyki na podwórzu, na które nie zwróciła większej uwagi.

– Kiedy Salomé zjawiała się na podwórzu w Arcanu, z niemowłębem na rękach, wszystkim nam zapało dech w piersiach.

Zapadło milczenie. Lisabetta wahała się, czy opowiadać dalej. Speranza podniosła się niespiesznie i wyszła do sąsiedniego pokoju. Kiedy wróciła, przesunęła tylko mankietem skrawki mięsa i postawiła na stole jakąś ramkę. Nie mówiąc ani słowa. Był to portret. Kobiety, bardzo pięknej. Lekko opalona skóra. Czarne wąsko wykrojone oczy, schodzące ku cienkiemu, prostemu, odrobinę zbyt wydatnemu nosowi, niczym dumna linia grzbietu górskiego opadającego gwałtownie nad jej rozchyłonymi ustami.

Na pewno Salomé. Clotilde poczuła się zdezorientowana na widok tej nieznajomej, której twarz, sylwetka zdawały się zaskakująco znajome. Lisabetta uniosła nóż, wycelowując go w zdjęcie.

– Tak, twoja matka i Salomé były do siebie podobne. To zapewne dlatego twój ojciec ją zauważył tamtego lata w sześćdziesiątym ósmym roku. Te same oczy, ten sam wzrost, ten sam uśmiech, ten sam wdzięk, ale z dodatkiem tajemnicy.

Clotilde wpatrywała się w portret. Obrazy wylaniały się z mroku, obrazy, które niemal wymazała z pamięci, obrazy z tego jedyne go razu, kiedy widziała Salomé, w przeddzień wypadku, z ojcem, w latarni morskiej na Revellacie. Od tyłu, nigdy z przodu.

11.42

Lisabetta pewnym ruchem ręki mieszała kawałeczki panzetty, pokrojone *figatelli*, cebulę, tymianek, pomidory, trzymając w jednej ręce drewnianą łopatkę, drugą ręką dolewając oliwy. Przez chwilę wydawała się skupiać na gotowaniu, po czym wreszcie zmniejszyła gaz pod patelnią i odwróciła się do Clotilde.

– Tak, kochanie. Wszystkim nam zapało dech w piersiach. Twoja matka musiała odebrać nasze milczenie jako poparcie dla Salomé, ale myślę, że to był przede wszystkim efekt zaskoczenia. Salomé zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę, żeby dać twojej matce do zrozumienia, że nie jest tu, w Arcanu, na swoim miejscu i że nigdy nie była. Że niezależnie od tego, jak Palma jest piękna, może zostać odtrącona, zastąpiona przez inną. Jak dotąd Salomé, żeby odzyskać twojego ojca, walczyła sukienką przeciw sukience, bikini przeciw bikini, ciałem przeciw ciału, by udowodnić, że może być równie piękna. Ale tamtego wieczoru posunęła się w prowokacji jeszcze dalej. Kiedy szła przez podwórze farmy Arcanu, Salomé miała taką samą fryzurę jak twoja matka, kok upięty z tyłu głowy czarną wstążką, taki sam makijaż, usta pociągnięte tą samą ciemną szminką, taką samą bransoletkę, taki sam rubinowy naszyjnik, takie same perfumy, Imiza, o zapachu nieśmiertelników. Twoja matka spędziła zapewne ponad godzinę przed lustrem, chcąc być najpiękniejsza tego wieczoru w Casa di Stella, żeby podobać się twojemu ojcu... a Salomé postarała się dokładnie tak samo. Toczka w toczkę. Jota w jotę. Salomé ośmieliła się posunąć swoje zuchwalstwo nawet jeszcze dalej. Na pewno to pamiętasz, Clotilde, tamtego wieczoru twoja mama miała na sobie sukienkę Benoa, czarną w czerwone róże, tę, którą twój ojciec kupił w Calvi. Salomé miała na sobie identyczną! Wydała blisko trzysta franków, dowiedziałam się tego później, żeby mieć identyczny strój jak jej rywalka, żeby pokazać Paulowi, że w tej krótkiej i wydekoltowanej sukience może wyglądać równie atrakcyjnie. Podniecająco nawet. Jak tylko przybyła, Salomé oddała niemowlę babce, nie odzywając się do Speranzy ani słowem. Rozmowy urwały się nagle, a przecież to prawdziwa sztuka uciszyć piętnastu Korsykanów, którzy opróżnili już pięć butelek Clos Columbu. Tylko Cassanu odważył się odezwać. „Siadaj, Salomé. Siadaj”.

Wstał i przysunął krzesło, dokładnie między sobą a mną.

Clotilde patrzyła przez okno w kuchni na puste podwórze, na pergolę, na wielki zielony dąb. Nie mogła uwierzyć, że wszystko rozegrało się tutaj, owego 23 sierpnia 1989 roku, w ciągu kilku minut, kiedy ona spała, dlatego że poprzedniego dnia przez całą noc śledziła swojego brata, dlatego że lubiła się izolować, dlatego że nienawidziła tych niekończących się rodzinnych spotkań. Za jej plecami Speranza wstała, żeby wyrzucić do kosza odpadki, po czym znów usiadła, z fartuchem na szyi i nożem w ręce, słuchając w milczeniu dalszego ciągu opowieści Lisabetty.

– To była taka prowokacja, kochanie. Takie upokorzenie dla Palmy. To nie było przez nas zaplanowane, ale nie zrobiliśmy nic, żeby ją powstrzymać. Szczerze mówiąc, wzięłam nawet w tym udział, nalałam Salomé kieliszek wina. Jak twoja matka mogła zareagować na widok tej dziewczyny, która przyszła zająć jej miejsce, jakby ona nie istniała, jakby nigdy nie istniała? Tej dziewczyny, która ją kamienowała, nie odzywając się nawet do niej? Co twoja matka mogła powiedzieć, kochanie? Milczeć? Jak my wszyscy? Pamiętasz ją, Clotilde, milczenie niezupełnie leżało w jej charakterze. Twoja matka wstała, pamiętam, jakby to było wczoraj, pamiętam każde słowo, każdy oddech, każdy dźwięk. Od tamtej pory tyleśmy rozmyślali o każdym z nich, możesz mi wierzyć, nie było dnia, żebym o tym nie myślała, żebym się nie zastanawiała, czy nie zrobiliśmy wtedy największego głupstwa w naszym życiu...

Clotilde trzęsa się z zimna. Choć siedziała na krześle, kręciło jej się w głowie. Żeby odzyskać równowagę, oparła zimne palce o nieskazitelnie czyste kafelki najbliższej ściany. Za jej plecami Speranza ścisnęła w rękach nóż. Lisabetta nadal stała przy kuchence.

– Twoja matka odsunęła swoje krzesło – mówiła dalej – odwróciła się do twojego ojca i po prostu zażądała od niego: „Kaź jej odejść”.

Ojciec nie odpowiedział, więc twoja matka powtórzyła głośniejszym głosem: „Kaź jej odejść”.

Wszyscy kuzyni, cała rodzina, wszyscy przyjaciele na nią patrzyli. Wszyscy nieprzychylni twojej matce. Wszyscy przeciwko niemu, gdyby wziął jej stronę. „Nie prosz mnie o to, Palmo”. – „Jestem tutaj u siebie. Wśród rodziny. Kaź jej odejść”.

Wciąż pamiętam tę ciszę, moja biedna Clotilde. Ucichły nawet ptaki, nawet wiatr w gałęziach dębu. Minęła cała wieczność, zanim twój ojciec odpowiedział. Jak gdyby od tego zależało jego życie. Skądinąd zależało. W końcu powiedział: „Palmo, proszę cię. To nie jest łatwe dla nikogo. Wszyscy musimy się starać”.

Kiedy przypominam sobie twarz twojej matki, widzę wściekłość. Wszyscy wtedy zobaczyliśmy to jej wściekłe spojrzenie. Nienawistne. To miało znaczenie. Miało ogromne znaczenie. Chyba tylko twój ojciec go nie dostrzegł. To, że może

stracić żonę, nie liczyło się w tamtej chwili, o tym, że może stracić Palmę, nawet nie pomyślał. W tamtym momencie jedyną rzeczą, którą bał się stracić, był jego honor, jego honor w oczach rodziny. Więc wyjaśnił: „Wszyscy musimy się starać. Ja. Ty. Ja dzisiaj wieczorem opuszczam rodzinę, żeby spędzić z tobą wieczór”. – „Starać się? Dzisiaj?”.

Wtedy Palma wywróciła stojące przy niej krzesło, najbliższy wazon z żółtymi różami i butelkę Clos Columbu. Może wtedy usłyszałaś jakiś hałas, jakieś krzyki? Może się obudziłaś?

Clotilde znów zobaczyła samą siebie, jak wzrusza ramionami, podgłaśnia muzykę w walkmanie, powraca do swoich marzeń.

Lisabetta zgasiła ogień pod patelnią, zajrzała do gotującej się soczewicy, zaczęła nakrywać do stołu. 11.57. Idealnie.

– Potem niewiele już padło słów, kochanie. Cztery zdania, ani jednego więcej, wszystkie wykrzyczane przez Palmę. Cztery zdania, które w tamtej chwili wydały nam się normalne, cztery zdania, których się spodziewaliśmy, cztery zdania, na które nawet liczyliśmy. Dopiero później, po wypadku, kiedy odtwarzaliśmy je jak niekończącą się taśmę. Dopiero wtedy nabrały takiej wagi.

– Babciu, co powiedziała moja mama?

– Mówię ci, cztery zdania, ani jednego więcej... A przy każdym oddalała się o krok, wchodząc coraz głębiej w mrok zapadający nad górami.

Jedź sobie na ten twój koncert. Jedź tam z nią!

Jeden krok.

Ustąpię miejsca, skoro tego właśnie chcecie. Chcecie tego wszyscy.

Kolejny krok i tym razem się odwróciła.

Ale ostrzegam cię, nie zabieraj ze sobą dzieci.

Ostatni krok, zanim wyszła z podwórza.

Słyszysz, jedź sobie, jedź sobie z nią. Ale nie waż się pakować dzieci do samochodu. Nie mieszaj ich do tego wszystkiego.

Moje kochane biedactwo, tyle rozmyślałam o tych dwóch ostatnich zdaniach. Często mówiłam sobie, że na tej farmie, w obliczu nas, w obliczu klanu, ty i Nicolas byliście wszystkim, co podtrzymywało ją na duchu, i że jeśli Korsyka odbierała jej męża, Palma nigdy by nie pozwoliła, żeby odebrała jej dzieci. Jej jedyną walką byłaby walka o to, żeby was mieć po swojej stronie. Nawet gdyby ta dziewczyna zajęła jej miejsce, wszystko jej ukradła, nigdy nie tknęłaby jej dzieci! Tak właśnie po wszystkich tych latach myślałam, zapewne dlatego, że sama jestem matką i że ja też zareagowałabym w ten sposób. To dlatego właśnie, jak sądzę, Palma tak nalegała, żeby twój ojciec i Salomé nie zabrali was na koncert pieśni polifonicznych.

Za jej plecami Speranza postawiła z hukiem na stole stos talerzy. Clotilde nie odwróciła się. Lisabetta mówiła dalej.

– Ale ani Cassanu, ani Speranza, ani chyba nikt inny nie myślał tak jak ja. Twoja matka zniknęła nam z oczu, idąc pieszo ścieżką w dół, tam, gdzie stał zaparkowany samochód. Kiedy już nie było jej widać, Salomé odepchnęła swoje krzesło, podeszła do Paula, żeby go pocałować, położyć mu rękę na plecach, jak gdyby nic się nie wydarzyło przez te ostatnie piętnaście minut, przez te ostatnie piętnaście lat, jak gdyby to był zwykły nawias, który zamykała. Stała tak dłuższą chwilę, nie mówiąc ani słowa, potem, niespiesznie, skierowała się w stronę drogi, przy której stało zaparkowane fuego, aby usiąść na siedzeniu pasażera. Wygrała!

Speranza ustawiała z hałasem na stole każdy z osobna kieliszek, każdy widelec, każdy nóż.

– Dalszy ciąg znasz, kochanie. Twój tata z pewnością się wahał, czy nie pobiec za twoją matką, z pewnością by to zrobił, gdyby nie wlepione w niego piętnaście par oczu, nie wyłączając oczu jego własnego ojca. Właśnie utracił całą godność. Zarówno w rękach Palmy, jak i Salomé był tylko zabawką. Więc próbował odzyskać resztki autorytetu, zrobił to, co robią wszyscy mężczyźni, kiedy czują się upokorzeni, podnoszą głos na własne dzieci, czasem rękę, ale tego, wiesz o tym, twój ojciec nigdy nie zrobił. Wydają rozkazy, nawet niesprawiedliwe, aby dowieść samym sobie, że im też ktoś może być posłuszny. Tak, znasz ciąg dalszy, kochanie, cały klan czekał jak w teatrze, żeby zobaczyć, jak zareaguje twój ojciec, dziedzic Arcanu. Jego kochanka czekała w samochodzie. Twój ojciec wstał i podniósł głos na Nicolasa, kazał mu iść po siostrę, wsiąść z tyłu do fuego i nie odzywać się ani słowem.

Lisabetta przerwała na chwilę i spojrzała wnuczce prosto w oczy.

– Nie wiem, co twój brat zaplanował na tamten wieczór, może wypad z kolegami albo ze swoją dziewczyną. Ach, jaki on był zawiedziony! Mój Boże, kiedy przypomnę sobie jego zmartwioną twarz, wyglądał, jakby spadł na niego jakiś grom, jakby odejście matki było w porównaniu z tym niczym. Ale nie sprzeciwił się. Zbyt słabo znałam twój biedny brata, by wiedzieć, po kim odziedziczył tę dumę, to poczucie obowiązku; po ojcu czy po matce, może po obojgu, ale bez względu na to, jak ogromny czuł zawód, urazę, krzywdę, nie powiedział ani słowa, nie targował się i poszedł po ciebie.

Clotilde przypomniała sobie znowu ostatnie słowa brata, siebie samą, tkwiącą uparcie bez ruchu na swojej ławce, znów zobaczyła rękę ojca, chwytającą jej nadgarstek, ciągnącą ją, zadającą jej ból, jak nigdy wcześniej.

Teraz rozumiała.

– Wynurzałaś się z krainy snów, kochanie. Nikt nie wymówił ani słowa. Jak mogłabyś się domyślić, że kobieta siedząca w samochodzie na miejscu twojej matki, kobieta uczesana jak twoja matka, ubrana jak twojej matka, kobieta, której makijaż perfekcyjnie podkreślał jej uderzające podobieństwo do twojej matki; ta kobieta, która trzymała za rękę twój ojca; jak mogłabyś się domyślić, że ta

kobieta nie jest twoją mamą?

Obrazy przewijały się przed oczami Clotilde.

Cisza w samochodzie, ledwie zakłócana nielicznymi słowami taty lub Nicolasa. To, co mogła zobaczyć u kobiety znajdującej się przed nią, kok, kark, kolczyk, sukienkę, udo. Resztę, twarz, uśmiech własnej matki wymyśliła z biegiem lat, dokleiła je do tej siedzącej w samochodzie kobiety, która mogła być tylko nią. Tą kobietą, której ojciec ścisnął rękę tuż przed tym, jak fuego rozbiło się na skałach.

Nicolas wiedział. Nicolas widział, słyszał, rozumiał rozgrywający się dramat.

Ale ona, jak mogłaby choć przez chwilę tak myśleć?

12.00

Lisabetta wstała i ruszyła w kierunku podwórza.

– Karetki są punktualne. Giovanni, kierowca, to stary przyjaciel. Wie, że Cassanu nie lubi czekać.

Clotilde nie mogła oderwać wzroku od portretu Salomé w ramce. Głos Lisabetty, która nie przestawała obserwować z niepokojem zegara, stał się łagodny.

– Rozumiesz teraz, kochanie, że to nie na trumnie twojej matki Speranza codziennie kładzie kwiaty w rodzinnym grobowcu Idrissich. Tylko na... na trumnie swojej córki.

Clotilde przypomniała sobie Speranzę idącą z konewką przez cmentarz, wbijającą swój sekator w marmur nagrobka, skreślającą nazwisko Palmy Idrissi, znów usłyszała zniewagi starej wiedźmy.

Ona nie powinna tu być. Nie ma tu miejsca na jej imię wyryte razem z nazwiskiem Idrissich.

Za jej plecami, jak echo, przemówiła po raz pierwszy Speranza.

– Nie wahałam się, Clotilde. Nie zawahałam się nawet przez chwilę pochować moją córkę pod nazwiskiem innej, by spoczywała przy twoim ojcu w grobowcu Idrissich. Udawać, że Salomé zniknęła, że po wypadku popełniła samobójstwo, pogrzebać pustą trumnę na cmentarzu Marcone. Dlatego że ona tego właśnie by chciała. Być częścią waszej rodziny, o tym właśnie zawsze marzyła. – Wbiła nóż, który trzymała w ręce, w okrągły bochen chleba leżący na stole. – Spełniła swoje marzenie... tracąc życie! Zostawiając mi swoje dziecko. Dlatego że... – Emocje ją dławily, wbiła wzrok w Clotilde z tą samą determinacją, z jaką wbiła nóż w bochenek. – Dlatego że twoja matka ją zabiła!

12.01

Karetka wjechała na podwórze na jałowym biegu i dla obu kobiet wszystko inne nagle jakby przestało się liczyć. Obrzuciły wzrokiem kuchnię, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu, odwiesiły fartuchy na kołki i wyszły.

Clotilde została sama.

Ostatnie słowa wciąż rozbrzmiewały jej w uszach.

Dlatego że twoja matka ją zabiła.

Instynktownie chwyciła telefon w kieszeni. Dostała wiadomość. Franck, nareszcie. Jej mąż próbował się z nią skontaktować.

Dowiedzieliśmy się o zabójstwie szefa kempingu.

Wracamy.

Dojeżdżamy do Euproctes, gdzie jesteście?

Do rychłego zobaczenia

Franck

Wiadomość została wysłana prawie trzy kwadranse temu. Na podwórzu Lisabetta podawała Cassanu rękę i laskę. Speranza wróciła już do środka, jakby chciała dopilnować gotujących się potraw czy uprzedzić życzenie głowy rodziny.

Rzuciła jej wilcze spojrzenie.

Dlatego że twoja matka ją zabiła.

Clotilde stanęła tuż przed nią, zagradzając jej drogę, nie przejmując się tym, że *figatelli* się przypala.

– Nie odpowiedziała mi pani. Opowiedziała mi pani swoją historię, ale ani babcia, ani pani nie odpowiedziałyście mi na pytanie. Gdzie jest moja matka? Gdzie jest moja matka?

– Uciekła, kochanie – odparła cierpko Speranza. – Zarznęła Paszę i uciekła.

23 sierpnia 2016 roku

Dla obozowiczów z Euproctes przekroczenie bramy kempingu w celu udania się na plażę stało się bardziej skomplikowane niż przekroczenie wyjazdu z Tijuany dla Meksykanina pragnącego dostać się do Stanów Zjednoczonych. Dwóch młodych i uśmiechniętych, lecz nieustępliwych żandarmów zaglądało do każdej torby plażowej, rozwijało każdy ręcznik, sprawdzało tożsamość każdej osoby, notowało, kto kiedy wychodzi i wchodzi, brakowało im chyba tylko wykrywaczy metalu do sprawdzania opalonych dziewczyn, czekających w kostiumach kąpielowych. To tylko strata czasu, narzekali ci, którym było najbardziej spieszo. Czego oni szukają? Skoro znaleźli narzędzie zbrodni. Skoro zapuszkowali winowajcę. W najlepszym razie turyści, którzy wynajęli bungalowy za 1200 euro tygodniowo, zastanawiali się jedynie nad tym, kto posprząta dzisiaj kible, skoro dozorca mopów siedzi w więzieniu w Calvi, i kto zatrudni jego następcę, skoro zarządca kempingu leży w kostnicy w Ajaccio.

W sercu katastrofy, za kontuarem recepcji, z twarzą opuchniętą od łez, Anika Spinello trzymała fason. Uspokajała. We wszystkich językach świata wyjaśniała, że tak, wszyscy mieszkańcy kempingu zostaną przesłuchani, że nie, namioty nie będą przeszukiwane, że tak, kemping będzie nadal czynny, że nic się nie zmieni, że nadal mogą cieszyć się piaskiem i słońcem, że nie, nie będzie dzisiaj żadnych zajęć, ani nurkowania, ani gry w bule, że nie, nie spała, że tak, dziękuję Marco, chętnie zapali papierosa, weźmie chusteczkę, całą paczkę, że nie, nie chce odpocząć, pójsć się położyć, wziąć czegoś na sen, że tak, chce trwać na miejscu jak kapitan u steru statku widma, bo ten kemping był całym życiem Cervonego, jego dziełem, jego królestwem, i że kiedy go już nie ma, teraz ona jest tutaj kwatermistrzem, że nie, kemping nie zostanie zamknięty, to jakby drugi raz zabić Cervonego, że tak, moja mała, to miłe, doceniam to...

Valentine położyła na kontuarze recepcji bukiet macierzanki, którą sama zerwała, i karteczkę z kondolencjami, którą sama napisała.

– Lubiłam pani męża – powiedziała nastolatka. – Chociaż w mojej rodzinie nikt specjalnie nie podzielał mojego zdania. Wróciliśmy, jak tylko się dowiedzieliśmy.

Anika posłała jej szczery uśmiech.

– Fajnie było na desce?

– Taaa...

Odpowiedź była mniej fajna.

– Taty nie ma?

– Nie wiem.

Anika nie miała siły kontynuować rozmowy, znowu odpłynęła gdzieś myślami, daleko, lata wstecz, do czasów, kiedy zrezygnowała z windsurfingu, niczym syrena wyrzucona na brzeg; zanim wszystko poszło nie tak, tylko Cervone potrafił ją wyławiać.

– Chciała mnie pani widzieć, pani Aniko?

Szefowa kempingu jakby już zdążyła zapomnieć. Postarała się skupić.

– A tak, przepraszam cię. Jest dla ciebie wiadomość. Masz iść do Arcanu. To pilne, twoja mama na ciebie czeka.

»

Przed kempingiem stały trzy furgonetki żandarmerii, ale za zakrętem drogi nie widać było żywego ducha. Kontrast był uderzający. Jak gdyby świerszcze, koniki polne i pasikoniki żyły własnym życiem, mając gdzieś całe to zamieszanie. Valentine rozumiała, dlaczego tak łatwo było się ukryć w makii: wystarczyło uciec glinom parę metrów, dopaść krzaków, hop i po sprawie, nikt by już człowieka więcej nie szukał. Nawet pies policyjny; wszystkie te pachnące kwiaty zdawały się tam rosnać tylko po to, by zacierać trop zbiegów.

Jak dotąd szła ścieżką pod górę bezpośrednio do Arcanu. Za zakrętem, w miejscu, gdzie szlak przecinał asfaltową drogę, zobaczyła zaparkowany samochód. Z początku nie skojarzyła, chociaż wóz ją intrygował, przywoływał jakieś stare wspomnienie. Raczej obraz. Jego kształt, kolor. Na pewno chodziło o gablotę w stylu vintage jednego z bohaterów jakiegoś serialu w telewizji. Szła dalej w kierunku drogi, zastanawiając się, co też mama może od niej chcieć. „To pilne”, twierdziła Anika Spinello. Westchnęła. Miała już po dziurki w nosie tych wszystkich historii, Arcanu, dziadków, pradziadków, mamy, duchów, umarłych...

O!

To jest to, przypomniała sobie. Samochód! Widziała go na starych zdjęciach, mama czasami wyjmowała je w domu. Samochód... Valentine zezłościła się na siebie, miała nazwę na końcu języka. Jak się nazywał ten przeklęty czerwono-czarny samochód? Miał dziwną nazwę, coś jakby latynoskiego...

Podeszła. Stara kobieta siedziała, sama, na fotelu pasażera. Valentine nigdy wcześniej jej nie widziała, lecz kiedy jej wzrok spoczął na niej, nastolatkę przeszył dreszcz.

Właśnie zobaczyła ducha.

Usiłowała odpędzić nieznośne wrażenie: ta stara kobieta była do niej podobna! Przez chwilę Valentine zdawało się, że patrzy w lustro, postarzające

lustro; że widzi samą siebie, ale za sześćdziesiąt lat.

Idiotyzm.

Dać spokój, iść dalej! Miała przed sobą jeszcze ze dwieście metrów pod górę, nim klapnie pod dębem w Arcanu. Wbrew sobie obejrzała się jeszcze raz na czerwony samochód i napotkała spojrzenie starej. Zdawała się ją o coś błagać, usilnie prosić, jej oczy próbowały wyrazić coś, czego nie mogły wymówić usta. Dokoła nie było nikogo. Tylko wieczorne cykanie owadów. Ta cisza wydała jej się nagle niepokojąca.

– Cholera – szepnęła Valentine dla kurażu – jak się nazywała ta bryka? Ta z wypadku, którą nas ciągle faszeruje mama.

– Fuego. – Usłyszała głos za plecami.

12.00

Cassanu Idrissi nie chwycił ręki, którą podawała mu żona, by mu pomóc wysiąść z karetki, kierowcy Giovanniemu wręczył przed odjazdem banknot dwudziestoeurowy i z jeszcze większym rozdrażnieniem odepchnął laskę, którą wyciągała w jego stronę.

– Nie trzeba, Liso, mam wciąż obie nogi.

Wspiął się na stopień i wszedł do owczarni, przyjrzał się nakrytemu stołowi, sztuccom, talerzom, kieliszkom. Ustawionym dla czterech osób.

Dopiero wtedy odwrócił się i dostrzegł Clotilde stojącą w kącie kuchni.

– Mamy gościa – odezwała się łagodnie Lisabetta.

Speranza stała już z powrotem przy kuchni. Wydawało się, że nic poza gotowaniem dania nie ma dla niej znaczenia. Czy zapomniała już o całej reszcie? O wieczorze świętej Róży, o śmierci swojej córki, o ostatnich słowach, którymi ta wiedźma splunęła Clotilde w twarz?

Uciekła, kochanie. Zarznęła Paszę i uciekła.

Nie!

Clotilde nie mogła w to uwierzyć. Jej matka czekałaby przez dwadzieścia siedem lat, sama pośród makii, by uciec dokładnie w dniu, w którym jej córka biegła się z nią spotkać, dokładnie w chwili, gdy jej córka szła pod górę do jej miejsca schronienia? Po tym, jak wysłała listy z jednoznacznym zaproszeniem?

To się nie trzymało kupy.

– Jednego gościa – zażartował Cassanu. – Wielka mi sprawa! Kiedy dzieci tu były, kiedy wpadali na moment czy zostawali na dłużej przyjaciele i kuzyni, kiedy rodzina wciąż jeszcze coś znaczyła, nie widziałem nigdy przy tym stole mniej niż dziesięć osób.

Lisa stała, wykręcając sobie palce.

– Ona... ona uciekła...

Cassanu spojrział na nią dziwnie, nic nie mówiąc.

– Ona uciekła – powtórzyła Speranza. – Zabiła Paszę i uciekła. A... Orsu...

– Orsu jest w więzieniu – uciął stary Korsykanin. – Wiem o tym. Giovanni opowiedział mi wszystko po drodze, policja twierdzi, że zamordował Cervonego.

Opróżnił duszkiem kieliszek Clos Columbu i ułożył na stole nóż między

talerzem a pierścieniem na serwetkę. Gdy miał już odsunąć krzesło, stwarzając wrażenie, że te informacje go nie wzruszają lub że wydał już wszystkie polecenia, Clotilde przytrzymała dziadka za rękaw i wybuchła.

– Orsu nic nie grozi. To ja go bronię. Jestem jego adwokatem, Orsu jest niewinny!

Cassanu odstawił kieliszek.

– Niewinny? – powtórzył z leciutkim uśmiechem, który stłumił, wycierając usta serwetką.

Jasne, proszę bardzo, możesz mnie brać za naiwną małąotę. Z całym szacunkiem dla twojego słabego serca, Papé, z całym szacunkiem dla twojego pitraszenia, Mamy, ale ja też mam coś do powiedzenia i nie będę owijać w bawełnę.

– Niewinny! – powtórzyła Clotilde, podnosząc głos. – Orsu nie byłby w stanie skrzywdzić mrówki. Wiem to... i nie dlatego, że jest moim bratem. – Przez chwilę oceniała efekt rzuconej przez siebie bomby. – Wiem to, bo tylko on kochał moją matkę. Tylko on pomagał jej przez wszystkie te lata.

Porażająca bomba, pomyślała Clotilde. Sześć rąk zastygłych w bezruchu. Zmumifikowane ciała. Wyżłobione zmarszczki. Tylko soczewica, tymianek i wawrzyn bulgotały w garnku, porzucone przez wiedźmę, którą nieznanne zaklęcie zamieniło w posąg.

– Chcę znać prawdę, dziadku, błagam cię. Powiedz mi, co się stało.

Cassanu Idrissi wahał się przez dłuższą chwilę, patrzył na Speranzę, na Lisabettę, na garnek, na butelkę z winem, na chleb, na cztery talerze, na nóż, aż w końcu odepchnął swoje krzesło.

– Chodź, chodź ze mną.

»

Tym razem Cassanu zadbał, by wziąć swoją laskę. Wyszli na podwórze i skierowali się w stronę ścieżki obrosniętej z obu stron krzewami czarnego bzu, która pięła się za stodołą. Przechodząc obok kuchennego okna, usłyszeli brzęk przestawianych naczyń. Stary Korsykanin odwrócił się do wnuczki.

– Cztery talerze... to tylko początek końca. Te dwie stare wariatki będą musiały się przyzwyczaić do samotnego jedania we dwie, ja niedługo tu już zabawię. Tak już jest, taki jest los kobiet, zajmować się mężczyznami, którzy odchodzą, towarzyszyć im, czekać na nich, odwiedzać ich. Wybrać dom blisko szkoły, kiedy są młode, blisko cmentarza, kiedy są stare.

Clotilde tylko się uśmiechnęła. Przez chwilę wahała się, czy nie wziąć dziadka pod rękę, ale Cassanu wskazał ścieżkę przed nimi.

– Zapewniam cię, nie będziemy wchodzić na Capu di a Veta, nawet jeśli doktor Pinheiro jest kretynem. Moje nogi dalej będą szły nawet wtedy, gdy serce

się zatrzyma. Wszystko ci wytłumaczę, Clotilde, i mówiąc, pokażę ci Korsykę, jej historię, to ci pomoże zrozumieć naszą własną... Chodź... i powiedz mi, co te dwie wariatki ci naopowiadały.

Szli wąską dróżką. Clotilde powtórzyła mu to, o czym się właśnie dowiedziała, o kochance i ukrywanym dziecku ojca, o Salomé, która wieczorem 23 sierpnia zajęła miejsce jej matki, o wypadku, o wątpliwościach Lisabetty na temat ostatnich słów wypowiedzianych przez Palmę.

Cassanu przytaknął.

– Lisabetta nigdy się ze mną nie zgadzała. Miała, powiedzmy, odmienne przekonania. Ale nic nie powiedziała. Lisa jest lojalną żoną. Uszanowała naszą decyzję.

– Decyzję mężczyzn?

– Powiedzmy, Clotilde... ale Speranza była po naszej stronie.

– Co się wydarzyło, dziadku? Co się wydarzyło po wypadku?

Laska starego Korsykanina uderzała o ziemię, jak gdyby sprawdzała jej wytrzymałość, Cassanu mówił równie powoli, jak szedł.

– Tamtego wieczoru wszystko potoczyło się bardzo szybko. O wypadku dowiedzieliśmy się trochę po dziewiątej wieczorem, to Cesareu Garcia do mnie zadzwonił, był na miejscu, powiedział mi, co zaszło. Samochód na dnie urwiska Petra Coda. Brak ocalałych, poza tobą. Co do reszty, nic nie wiedzieliśmy. Wypadek? Zamach? Wendeta? Miałem wtedy paru wrogów. – Po twarzy przemknął mu krótki zagadkowy uśmiech. – W tamtym momencie rozważałem wszystkie ewentualności, ale moją pierwszą decyzją było schwytanie twojej matki. Uciekła piechotą z farmy Arcanu, ostatnie słowa, jakie wykrzyczała pod dębem, wciąż rozbrzmiewały w mojej głowie, „Jedź sobie z nią, ale nie waż się pakować dzieci do samochodu”, jak groźba, jak gdyby wiedziała, co się stanie.

Clotilde nie skomentowała. Odwróciła się i spojrzała w dół w kierunku cypla Revellaty, kilkaset metrów niżej. Z tej odległości porośnięty lasem półwysep, obrzeżony miniaturowymi plażami, rozrzuconymi tu i ówdzie nielicznymi willami i białymi dróżkami, mógł uchodzić za rajskie schronienie. Ale nic bardziej złudnego. Półwysep to ślepa uliczka.

Cassanu podążył za jej wzrokiem.

– Nietrudno było się domyślić, dokąd udała się twoja matka. Posłałem dwóch ludzi, Miguela i Simeonego, dopadli ją niedaleko latarni morskiej na Revellacie, zanim dotarła do swego kochanka, dokładnie nad domem Natalego, jakieś sto metrów dalej.

Duch, pomyślała Clotilde, duch, którego Natale widział tamtego wieczoru. Owa zjawy, która prześladowała go przez całe życie. Tymczasem prawda była tak prosta. Tak oczywista. Natale nie śnił. To właśnie Palma się do niego uśmiechała na zboczu Punta Rossa, zanim aresztowali ją ludzie Cassanu. To właśnie Palma

szła się z nim spotkać, zapewne żeby mu się oddać tamtego wieczoru albo żeby tylko wypłakać się w jego ramionach. Któż mógłby to wiedzieć? Nikt, nawet oni sami.

Nadal posuwali się wąską ścieżką, na której pachniało lawendą. Po prawej minęli skałę podziurawioną od kul. Cassanu starannie wybrał trasę, Clotilde pamiętała, że nazywano ją Skałą Federatów z powodu korsykańskich partyzantów, którzy zostali tu straceni we wrześniu 1943 roku, na kilka tygodni przed wyzwoleniem Korsyki. Cassanu przejechał tylko palcami po wgłębieniach od kul, nie przerywając opowieści.

– Twoja matka biegła do kochanka. Rozumiesz, Clotilde, to rzuciła całkiem nowe światło na wydarzenia sprzed wypadku. Przed nami wszystkimi, na podwórzu w Arcanu, przed Salomé, twoja matka odegrała urażoną ofiarę, wyrecytowała swój monolog upokorzonej kobiety. Przez całe wakacje miała obsesję na punkcie dnia świętej Róży, słynnej rocznicowej kolacji z twoim ojcem w Casa di Stella, tymczasem wszystko to był tylko teatr. Twoja matka pragnęła jednego: spotkać się z Natalem Angelim! I pomyśleć, skarbie, że omal cię wtedy nie posłuchałem. Przekonałaś mnie tam na górze, dałbym mu kawałek terenu na te jego delfiny. Moje biedactwo, ty też byłaś tylko pionkiem. Oni dwoje byli współnikami, choć nigdy nie zdobyłem dowodów na Angelego. Czy wiedział o planie swojej kochanki? Czy brał udział w zabójstwie mojego syna? Czy mógł temu zapobiec? W razie wątpliwości, tak, z całą pewnością, kazałbym go zabić. Zacząłem mu grozić, żeby wydobyc z niego prawdę, żeby mieć pewność. Może za bardzo go nastraszyłem. Ten tchórz ożenił się z Aurélią, córką Cesareu... Sierżant Garcia przymykał oczy na wiele rzeczy w tym zakątku wyspy, ale nie przymknąłby ich na zamordowanie własnego zięcia. Z czasem, nie powiem, że wybaczyłem Natalemu, o nie, ale doszedłem do wniosku, że on też został zmanipulowany, że temu alkoholikowi z tą jego piękną gębą w gruncie rzeczy brakowało jaj zabójcy. Czy nawet współnika.

Clotilde pociągnęła dziadka za ramię.

– Wspólnika czego?

Cassanu nie odpowiedział i szedł dalej. Z drogi, w trakcie całej wspinaczki, widać było na wschodzie granicę między makią a podgryzającymi ją willami Calvi, z basenami i balkonami z widokiem na Morze Śródziemne.

– Ekspertyzę fuego przeprowadzono już następnego dnia, a wieczorem wydano oficjalną opinię: wypadek. Sprawa zamknięta. Ciała zwrócone rodzinom. Można było je pochować i zapomnieć. Władze odetchnęły. Gdyby chodziło o zabójstwo, o porachunki, wojna klanów byłaby zapewniona w Balagne, Idrissi przeciw Pinellim, Casasoprana, Poggiolim... Oficjalna wersja, niekontrolowane wypadnięcie z drogi, zmęczenie, zbyt duża prędkość, alkohol, przeznaczenie, urządziła wszystkich. Ale Aldo Navarri, mechanik rzeczoznawca z Calvi, to stary

przyjaciel. Mój ojciec i jego ojciec wyzwalali razem Korsykę. Zanim nawet powiedział o tym glinom, wyjawiał mi swoje wnioski: samochód mojego syna został celowo uszkodzony, ktoś odkręcił nakrętkę końcówki drążka kierowniczego; dla Alda to nie była hipoteza, tylko pewnik. Drążek kierowniczy był nienaruszony, bez najmniejszego wykrzywienia, dowód na to, że układ kierowniczy rozpiął się nagle, nim samochód wypadł z drogi, a nie po upadku. Poprosiłem go, żeby siedział cicho, żeby powiedział glinom to, co wszyscy chcieli usłyszeć, że nie znalazł żadnych nieprawidłowości. Aldo nie zawahał się dostarczyć policji nieprawdziwy raport, bawił się w eksperta dla gliniarzy niecałe trzy razy do roku i w pełni się ze mną zgadzał, niektóre sprawy rodzinne ich nie dotyczyły.

Nie odwrócił twarzy do Clotilde, przebiegł tylko wzrokiem wioski uczezione wybrzeża Balagne. Montemaggiore. Moncale. Calenzanę.

– Cesareu Garcii zajęło to całe miesiące, zanim doszedł do tego samego wniosku co ja. Zlecił kontrospertyzę jednemu z przyjaciół... Za późno, o wiele za późno.

Clotilde patrzyła na niego, przerażona, łudząc się, że nie odgadła, co dziadek zamierza jej wyznać.

– Zatrudniłście własną policję? Wymierzyliście własną sprawiedliwość?

– Własną sprawiedliwość? O jaką inną sprawiedliwość ci chodzi? O tę wymierzaną przez biurokratów z kontynentu? Przez wybranych losowo przysięgłych, których to nie dotyczy, którym w kółko przypomina się zasadę domniemania niewinności? Wbrew oczywistym faktom? Z braku dowodów, uniewinnienie! Jesteś adwokatem, skarbie, wiesz, o czym rozmawiamy, korzystałem wystarczająco wiele razy z tej maskarady, żeby o tym wiedzieć. Nie, Clotilde, nigdy nie wierzyłem w tę sprawiedliwość. Nigdy nie wierzyłem w to prawo. Ani w to prawo, ani w prawo urbanistyczne, ani w prawo handlowe, a już tym bardziej w prawo karne.

Clotilde się zataczała. Przed nią rozciągał się widok na niemal idealne zakole zatoki Calvi.

– Więc wymierzyłeś sprawiedliwość sam?

– Nie. Twoja matka miała proces. Tak samo sprawiedliwy, jak ten, który zorganizowałby francuski wymiar sprawiedliwości.

Clotilde spytała z ironią w głosie:

– Moja matka miała adwokata, który by ją bronił?

Cassanu zmierzył ją wzrokiem. W jego głosie nie było ani szczypty cynizmu.

– Przykro mi, Clotilde, ale nigdy nie rozumiałem, po co jest adwokat. Nie mówię tego z twojego powodu, bez obaw. Ty się zajmujesz rozwodami, opieką nad dziećmi, alimentami, to dobrze, takie mamy czasy, nie istnieją dobrzy i źli, potrzebny jest sędzia, który rozstrzygałby takie sprawy. Ale ja mówię o zbrodni. Po co jest adwokat w tym przypadku? Jest śledztwo, są poszlaki, są dowody, są akta,

waży się, na którą stronę przechyla się szala prawdy, i w zależności od faktów wymierza się karę albo nie. Po co jest adwokat, jeśli nie po to, żeby przechylić szalę obiektywnych dowodów na złą stronę? Po co winnym adwokaci?

– A niewinnym?

Tym razem Cassanu zaśmiał się grubiańsko.

– Niewinnym? Znam sprawiedliwość tego kraju, skarbie. Niewinny to winny, który ma dobrego adwokata.

Clotilde zacisnęła pięści i powstrzymała buzujące w jej głowie myśli. Masz szczęście, Papé, masz szczęście, że chcę się dowiedzieć, jak daleko zapędziłeś się w tym szaleństwie, bo powiedziałabym ci parę słów na temat tej twojej koncepcji sprawiedliwości i pogadałabym też z tobą o twoim wnuku, który dokładnie w tym momencie gnije w więzieniu i któremu jako pierwszy opłacisz najznakomitszego adwokata, jeśli mi nie zaufasz.

– No to mów, Papé, opowiedz mi o tym sprawiedliwym procesie.

Cassanu wbił wzrok w drzewo na wprost nich i stanął. Clotilde pamiętała tę starą legendę. To rzekomo tutaj kondotier Sampiero Corso kazał powiesić członków rodziny własnych teściów, którzy go zdradzili i sprzedali Genueńczykom; wobec swojej żony Vaniny okazał się bardziej łaskawy i udusił ją własnymi rękami.

– Zebrałem przyjaciół, ludzi z okolicy i utworzyłem ławę przysięgłych w Arcanu, ludzi godnych zaufania, ludzi honorowych, z klanu, z rodziny. W sumie z dziesięć osób.

– Basile Spinello był wśród nich?

– Tak...

– Kto jeszcze? Kuzyni? Świadkowie przybycia Salomé tamtego wieczoru w dniu świętej Róży?

Cassanu nie odpowiedział. Przynajmniej nie na to pytanie.

– Wiem, co myślisz, Clotilde. Jesteś przekonana, że twoja matka była z góry skazana. Ale się mylisz. Chciałem prawdziwego procesu. Chciałem, żeby przysięgli zobaczyli dowody z bliska, żeby podjęli decyzję, mając pełną świadomość faktów. Żeby wydali wyrok na podstawie faktów, wyłącznie faktów. To był proces w sprawie zabójstwa mojego syna, mojego wnuka. Nie szukałem winnego, Clotilde. Szukałem ich zabójcy.

– I znalazłeś Palmę? Moją matkę? Wczołgującą się pod nasz samochód, aby odkręcić nakrętkę, która powinna być dokręcona na maksa? Znalazłeś dziesięciu przysięgłych, którzy w to uwierzyli?

– Twoja matka była architektem, Clotilde, to męski zawód, znała się na mechanice, a co najważniejsze, sprawdziłem wszystkie inne tropy. Rodzina Casasoprana, rodzina Pinellich i pozostałe klany zapewniały mnie, że nie miały z tym nic wspólnego, przysięgając na własny honor, i ja im uwierzyłem. Na

Korsyce nie załatwia się rodzinnych kłótni, uszkadzając celowo samochód i zabijając dzieci, własnego wroga zabija się z bliska. Zastanów się dobrze, moja wnuczko, w aktach jest tylko jedna pewna rzecz: ktoś celowo uszkodził układ kierowniczy w samochodzie twojego ojca. Ktoś, kto wiedział, że fuego może wypaść z drogi na jakimkolwiek zakręcie. A zatem skoro chodzi o zabójstwo z premedytacją, wszystko sprowadza się do dwóch pytań: kto miał motyw, żeby zabić twojego ojca, i kto mógł wiedzieć, że on wsiądzie do samochodu? Odpowiedź, skarbie, jest prosta, oczywista, nawet jeśli ci się nie podoba. Tylko jedna osoba. Twoja matka! Twoja matka, która nie zgodziła się wsiąść do fuego tamtego wieczoru. Twoja matka, która popchnęła swą rywalkę do tego, by w nim zasiadła obok mężczyzny, który już jej nie kochał, mężczyzny, który miał ją opuścić, mężczyzny, który miał jej zabrać dzieci, bo nie zostałyby nigdy na Korsyce z Salomé i Orsu bez Nicolasa i ciebie. Mężczyzny, przez którego, gdyby zażądał rozwodu, wszystko by straciła, włącznie z majątkiem Idrissich, jaki pewnego dnia by odziedziczył. Natomiast gdyby zginął w wypadku, kiedy wciąż jeszcze byli małżeństwem...

Cassanu, nie przerywając sobie, podniósł wzrok ku najwyższym gałęziom drzewa wisielców Sampiera Corso.

– Tamtego wieczoru twoja matka nakazała ojcu nie wsadzać was do samochodu. Ani ciebie, ani Nicolasa. Upomniała go dwa razy, potem się oddaliła.

Wędrowali dalej, pozwalając sobie na kilka sekund milczenia przy przekraczaniu bloku skalnego. Pokonali w słońcu jakieś trzydzieści metrów, nim znów dotarli do cieniejszej makii. Cassanu odpoczywał, opierając się ostrożnie ręką o płaskie i gorące kamienie. A jeśli on ma rację? – pomyślała Clotilde. Cassanu artykułował swoje argumenty mocno i z taką szczerością. A jeśli adwokaci naprawdę są tylko po to, aby w złej wierze obalać niepodważalne dowody? By przedstawiać oczywiste dowody jako zbiegi okoliczności? By za pomocą emocji zachwiać przekonaniem? Ona jeszcze bardziej niż jakikolwiek inny adwokat.

– Nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości – ciągnął Cassanu, jakby czytał jej w myślach. – Tylko twoja matka decydowała o tym, kto ma wsiąść czy nie wsiąść do samochodu tamtego wieczoru. Twoja matka miała motyw, nawet kilka, miłość, pieniądze, swoje dzieci. Twoja matka miała się spotkać tamtego wieczoru ze swoim kochankiem. Twoja matka, chroniąc was, sama się oskarżyła, ale nie miała innego wyjścia.

Odwrócił się i po raz pierwszy wziął wnuczkę za rękę. Dłoń Cassanu była pomarszczona i lekka, jakby opróżniona z tkanki i krwi. Jak kora dębu korkowego.

– Zapewniam cię, Clotilde. Szukałem. Szukałem innych możliwych winnych, innych wyjaśnień, ale żadne nie było wiarygodne.

W końcu Clotilde zabrała głos.

– Wina mojej matki nie jest bardziej wiarygodnym tropem.

Cassanu westchnął. Dochodzili do wyplewionego pola, na którym pasło się parę wolno chodzących kóz.

– No i właśnie, Clotilde! Dlatego właśnie nie chciałem adwokata. Dlatego właśnie chciałem prawdziwej sprawiedliwości. Wymiar sprawiedliwości tego kraju rozumowałby tak jak ty. Nie ma dowodów, więc nie ma winnego, nie ma wyroku. Wymiar sprawiedliwości tego kraju zamknąłby sprawę właśnie tak, stanęłoby na niewyjaśnionej zbrodni. Morderca mojego syna i mojego wnuka żyłby sobie dalej spokojnie, bezkarnie. Jak mógłbym się na to zgodzić? Ława przysięgłych w Arcanu miała skazać tego, przeciw komu nagromadziłoby się najwięcej dowodów. I ława przysięgłych w Arcanu nie wahała się. Wydała jednomyślny wyrok. Twoja matka była winna, nikt w to nigdy nie wątpił.

Mój Boże... Clotilde czuła, jak jej ciało drży z zimna. Jej krew toczyła sople lodu, które topiło stojące w zenicie słońce, przezierające przez chude gałązki wrzosów i poziomkowca, paląc jej skórę, mroząc jej żyły. Przed nimi rozpościerała się łąka. Cassanu usiadł na chwilę na granitowym kopcu. Clotilde pamiętała, że jako dziecko często przychodziła tu, na równinę Pasqualego Paolego; opowiadano, że niepodległościowiec zakopał tutaj skarb ze złotymi monetami, tymi, które kazał bić w Corte na krótko przed rewolucją, kiedy Korsyka nie była już włoska, a jeszcze nie była francuska. Skarb, który miał się przydać, kiedy wyspa uzyska prawdziwą niepodległość.

Nikt nigdy nie znalazł najmniejszej skrzyneczki, najmniejszej monety.

Legenda, pogłoska, ale dowodów nigdy!

– Ława przysięgłych z Arcanu – mówił dalej dziadek – uznała winę twojej matki. W innych czasach, czasach opisanych przez Mériméego, w czasach Colomby czy Matea Falconego, stracilibyśmy Palmę. – Jego korkowa dłoń w ręce Clotilde zeszywniała niczym wyschnięta gąbka. – Dwadzieścia siedem lat temu skazałbym ją na śmierć, bez żadnego wahania, ale inni się temu sprzeciwili. Lisabetta jako pierwsza, Basile również. Palma pozostawała mimo wszystko członkiem naszej rodziny, jedną z Idrissich, matką naszej wnuczki. A poza tym, to był argument Lisabetty, twoja matka się nie przyznała. A jeśli pewnego dnia poznamy inną prawdę? Basile, by ją ocalić, wysunął inny argument, uważał, że nie możemy postąpić w sposób mniej cywilizowany niż francuski wymiar sprawiedliwości, który nie skazywał już na śmierć nawet najgorszych kryminalistów. Więc wydano wyrok dożywotniego więzienia. W makii, powyżej Arcanu, nie brakowało miejsc, w których można było kogoś zamknąć na całe życie. Zresztą twoja matka nie protestowała. Chociaż nigdy się nie przyznała, nigdy się nie broniła. Nigdy nie próbowała uciec.

Aż do dzisiaj, pomyślała Clotilde. W czasie tego fikcyjnego procesu jej matka była świeżo po stracie męża i syna, w samochodzie, w którym powinna była się znajdować. Sama, wciąż w szoku, oskarżona, przyparta do muru, zżerana

poczuciem winy, skąd miała czerpać siłę, by się bronić?

Tamtego wieczoru straciła wszystko.

Wszystko oprócz córki.

Clotilde chciała już coś powiedzieć, ale Cassanu położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie jestem potworem, Clotilde. Twoja matka utraciła tylko wolność. To jedyna cena, jaką musiała zapłacić, taką samą jak pierwszy lepszy złodziej, pierwszy lepszy gwałcieciel czy morderca. Ale poza tym nie była źle traktowana. Wprost przeciwnie, była traktowana o wiele lepiej niż wszyscy ci więźniowie stłoczeni w zakładzie karnym w Borgo. Mogę cię zapewnić, że posiłki przygotowywane dla niej przez Lisabettę były lepsze od tych w stołówce zakładu karnego. Że jej strażnik, Orsu, okazywał jej więcej szacunku niż więzienni klawisze. Że jej pies, Pasza, był bardziej kochający od owczarków niemieckich wytresowanych do zabijania. Nie jesteśmy potworami, Clotilde, chcieliśmy jedynie wymierzyć sprawiedliwość.

Clotilde cofnęła się o jeden krok.

– A teraz? Teraz, kiedy uciekła? Co z tego będziesz miał? Polecisz do gliniarzy i was wyda.

Cassanu uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Gdyby to zrobiła, policja już by tu była. Nie, skarbie, twoja matka nie pobiegła do żandarmerii, żeby opowiedzieć swoją nieprawdopodobną historię. Przetrzymana latami w pasterskiej chacie! Nie poszła nas wydać, a przecież to właśnie zrobiłby każdy zakładnik, zgodzisz się ze mną? To kolejny dowód, Clotilde, kolejny dowód jej winy. – Jego spojrzenie kluczyło, usiłując napotkać wzrok wnuczki. – Poszukamy jej, znajdziemy ją. Będziesz mogła z nią porozmawiać. Korsykanin może zniknąć w makii na całe lata, ale nie cudzoziemka, nie cudzoziemka, która przez dwadzieścia siedem lat nie opuściła domu.

Przez chwilę, gdy ich spojrzenia się spotkały, Clotilde wyobraziła sobie, że myślała o tym samym. Może po prostu Palma poszła, tak jak tamtego dnia, 23 sierpnia 1989 roku, tam, dokąd nigdy nie dotarła, w tę samą stronę, w kierunku tego samego domu, spotkać się z mężczyzną, który tam mieszkał.

Natalem Angelim.

Przecież wciąż mieszkał w Punta Rossa.

– Chodź – powiedział Cassanu. – Wracamy do Arcanu.

Zawrócili w milczeniu, przeszli koło drzewa wisielców, obok Skały Federatów, nie zakłócając chwili skupienia zaplanowanej przez Cassanu, by dać jej czas na przyjęcie tego, co niedopuszczalne, na uwierzenie w to, co niewyobrażalne. Obrazy przewijały się w głowie Clotilde. Jej uwięziona matka, przyjaźń nawiązująca się powoli między nią a Orsu, milczącym chłopcem, którego zadaniem jest przynoszenie jej jedzenia. Ten psiak, który się rodzi i któremu ona wymyśla

imię. Urywki rozmów, które z pewnością niechętnie słyszy, być może parę słów zamienionych z Lisabetą, a po tych wszystkich latach życia w swoim czarnym pokoju, oświetlonym jedynie światłem Betelgezy w niektóre noce, dowiaduje się, że jej córka wróciła na Korsykę; używa Orsu jako posłańca, powierza mu krótki liścik, wystarczający, by dać córce dowód na to, że ona żyje, później zleca mu, by nakrył stół do śniadania identycznie jak dwadzieścia siedem lat temu, a potem, by przyprowadził ją o północy do jej więzienia. Żeby znów ją zobaczyć, tylko zobaczyć, nie narazić na niebezpieczeństwo.

Jakie niebezpieczeństwo?

Jaką tajemnicę skrywała jej matka?

Nigdy nie zarznąłaby Paszy. Nigdy nie uciekłyby w momencie, gdy miała się z nią znowu spotkać. Nigdy nie tknęłyby tamtego drażka kierowniczego w samochodzie. Nigdy nie mogłyby narazić życia swoich dzieci, zabić ich, nawet przez przypadek, tamtego wieczoru 23 sierpnia. W gruncie rzeczy wśród wszystkich tych nedorzecznych informacji, którymi ją dzisiaj zarzucono, liczyła się tylko jedna.

Jej matka żyje!

Campa sempre.

Teraz ruch należał do niej. To był jej zawód.

Udowodnić niewinność matki.

Cassanu przyspieszył kroku, może dlatego, że ścieżka schodziła łagodnie aż do samego Arcanu, może dlatego, że oczyścił sumienie i teraz myślał już tylko o czterech talerzach i o czekającym na niego *figatellu*.

Nie tak prędko, Papé, pomyślała Clotilde. Nie tak prędko. Jest wielce prawdopodobne, że twoja wnuczka odbierze ci apetyt.

Położyła dłoń na ręce dziadka opartej na lasce.

– Papé... A gdyby istniał inny trop? Inny możliwy winowajca?

Cassanu nie zatrzymał się, może nawet przyspieszył jeszcze kroku.

– Miałem rację – odparł tylko. – Lepiej było załatwić to bez adwokata.

Z wymuszoną ironią w głosie zapytała:

– Czyja to wina? To właśnie tobie zawdzięczam swoje powołanie!

Przypomnij sobie, dwadzieścia siedem lat temu, na szczycie Capu di a Veta. Może tak miało być, może podsunąłeś mi myśl o zostaniu adwokatem tylko po to, bym wiele lat później udowodniła ci, że popełniłeś największy błąd w swoim życiu.

Dziadek nawet się nie uśmiechnął.

– Uwierz mi, Clotilde, sprawdziliśmy wszystkie inne tropy.

– Nawet trop Cervonego Spinella?

Tym razem rytm marsza Cassanu, zgranych ruchów laski i jego prawej nogi, się rozstroił.

– Cervone Spinello? Co on ma wspólnego z tą historią? Miał wtedy

czternaście lat.

– Siedemnaście...

– Siedemnaście, jeśli wolisz. Był jeszcze dzieciakiem! Jaki to ma związek z celowym uszkodzeniem fuego? To jest ta metoda adwokatów z kontynentu? Wybrać gościa, który nie żyje od kilku godzin, i wszystko zwalić na niego?

Clotilde nie dała się zbić z tropu. Szli dalej, widać już było wierzchołek dębu w Arcanu. Przed dziadkiem, podobnie jak przed wszystkimi innymi mężczyznami, musiała blefować.

– Cervone wiedział o mojej matce, prawda, dziadku? O jej procesie, o jej dożywotnim wyroku? Cervone was szantażował?

Cassanu przewrócił oczami.

– To nie ma nic wspólnego z uszkodzeniem samochodu, ale owszem, wiele lat później Cervone słyszał, jak Basile, jego ojciec, rozmawia o tym z innym przysięgłym z Arcanu. Od zawsze ten szczywany lis Cervone wszystko podsłuchiwał. Po śmierci ojca w dwa tysiące trzecim roku, kiedy odziedziczył kemping, nie szantażował mnie, jak mówisz, tutaj nie używa się takich słów, to są słowa, przez które można zginać podziurawionym kulami na tarasie jakiegoś baru. Dał mi po prostu do zrozumienia, że wie. Nie musieliśmy nawet o tym rozmawiać, obaj znaliśmy warunki paktu. Gdyby wygadał to jakiemuś gliniarzowi, dziennikarzowi, komukolwiek, groziło mi więzienie, mnie i całej mojej rodzinie, a to oznaczało pozostawienie na zatracenie posiadłości w Arcanu. Cervone poprosił mnie po prostu, żebym mu pozwolił zbudować parę hektarów, odnowić Euproctes, powiększając restaurację, stawiając dodatkowe sanitariaty, domki fińskie, bungalowy, bar ze słomianym dachem na plaży Oscelluccia, poprosił o kilka gruntów, które wciąż do mnie należały, ale które on użytkował. Jeśli chodzi o grunt pod marinę Roc e Mare, to go kupił, ale powiedzmy, że prosił mnie o protekcję. Wiedział, jak zdecyduję, mając do wyboru honor rodziny albo parę wybetonowanych hektarów.

– Jeśli to nie jest szantaż, to jak to się nazywa?

– Negocjacje. Cervone wiedział, że nic mu nie grozi z mojej strony. Był synem mojego najlepszego przyjaciela.

– Więc to nie ty kazałeś go zabić?

Cassanu przewrócił oczami, zdziwiony. Dotarli na podwórze w Arcanu i dąb rzucał na nich swój nieproporcjonalnie wielki cień.

– Nie. Dlaczego miałbym zlecać to zabójstwo? Cervone Spinello był ambitny, pozbawiony skrupułów, miał bardziej żyłkę do interesów niż do rolnictwa, ale kochał Korsykę, na swój sposób. W inny sposób, pokoleniowo inny. Co do betonu, to może właśnie on miał nawet rację.

Clotilde nie odpowiedziała. W głębi duszy jej Papé był jak inni. Człowiekiem, który po drodze wyżył się złudzeń... Dlatego że świat, ta

gigantyczna maszyna do wyżymania utopii za szybko się zmieniał. Zawahała się, po czym w tej samej niemal chwili zrezygnowała z podawania dalszych szczegółów swojej wersji: Cervone Spinello, który odkręca nakrętkę końcówki drążka kierowniczego we fuego, bo jest przekonany, że tego wieczoru Paul i Palma Idrissi nim nie pojedą, że pójda, zgodnie z planem, ścieżką pod górę zanoćować w Casa di Stella. Bo tym, kto ma prowadzić samochód tego wieczoru, chociaż żaden dorosły o tym nie wie, jest Nicolas. Nicolas w towarzystwie Marii-Chjary. To ich chciał się pozbyć morderca. Przez zawiść, przez zazdrość, przez urażoną dumę. Tej hipotezy nie mógł wymyślić ani Cassanu, ani żadna z osób mająca ponad osiemnaście lat. Tajemnice bandy nastolatków są jeszcze trudniejsze do przeniknięcia niż tajemnice korsykańskiej wioski dotkniętej zmową milczenia.

Przeszli powoli przez podwórze farmy, obchodząc kwietniki z orchideami zasadzonymi przez Lisabettę. Wbrew temu, co myślała Clotilde, Cassanu nie pospieszył do kuchni, ale usiadł na ławce, na tej, na której dwadzieścia siedem lat temu zasnęła przed wypadkiem.

Nie, ciągnęła swoje rozumowanie, nikt nie mógłby się domyślić, co rozgrywało się tamtego lata w tej grupie nastolatków. Nikt, żaden świadek, żaden dorosły.

Chyba że...

Clotilde przyglądała się Cassanu oddychającemu powoli na ławce. Papé przypominał kota. Grubego śpiącego kota, który wydaje się zmęczony, bezkształtny, niezdolny do najmniejszego wysiłku, który jednak reaguje, zrywając się do skoku przy najmniejszej oznace niebezpieczeństwa. Szybki, precyzyjny, bezlitosny.

Lisabetta wyszła z domu i zbliżała się, zaniepokojona. Speranza trwała czujnie na progu.

– Wszystko w porządku, Cassanu?

Stary Korsykanin nie odpowiedział, przymykał delikatnie oczy, pozwalając słońcu się usypiać, ale tak, potwierdził kiwnięciem głowy, wszystko w porządku. Laska, kapelusz, jego owczarnia, jego dąb, jego klan.

Chyba że...

Myśli Clotilde zaczynały szaleć.

Siedziała tutaj, na miejscu Cassanu, parę minut przed wypadkiem. Zasnęła, słuchała Mano Negry, zapisała naprędce kilka ostatnich słów, zanim ojciec zmusił ją, żeby wsiadła do fuego...

Chyba że...

Żaden dorosły nie domyśliłby się dramatów, jakie rozgrywały się między nastolatkami tamtego lata 89 roku.

Chyba że jeden z nich przeczytał jej dziennik!

Babcia Lisabetta podeszła do niej, położyła jej rękę na ramieniu, uspokojona

stanem zdrowia męża. Nachyliła się do ucha wnuczki, jakby chciała zdradzić jej jakiś sekret. Jakby czytała w jej myślach.

– W wieczór wypadku, kochanie, zostawiłaś na tej ławce swój zeszyt.

Więc...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, w kieszeni Clotilde zawibrował telefon.

Franck!

Nareszcie.

Clotilde odeszła metr dalej.

– Franck. Wróciłeś?

Głos jej męża był urywany, zdyszany. Można by pomyśleć, że biegł wcześniej albo że wokół niego hula wiatr. Nie rozmawiali od dwóch dni, a on nawet się z nią nie przywitał.

– Valou jest z tobą?

– Nie, dlaczego?

– Jestem w Euproctes, z Aniką w recepcji. Zostawiłaś wiadomość dla Valentine, prosiłaś, żeby jak najszybciej przyszła do Arcanu.

Ziemia usunęła jej się spod nóg. Clotilde przytrzymała się ławki, by odzyskać równowagę.

– To nie ja, Franck! Nic nie wysyłałam.

– Zatem twój dziadek? Ktoś z Arcanu.

– Nie wiem, to dziwne. Poczekaj, dowiem się.

Clotilde stanęła przed Lisabettą, ale nim zapytała, babcia zdążyła dokończyć zdanie.

– W wieczór wypadku to ja wzięłam twój zeszyt.

Fuego jechało powoli wąską kamienistą drogą, chłostane sosnowymi igłami. Wiszące gałęzie rysowały karoserię niemal przy każdym kolejnym metrze, zostawiając na niej podłużne żelazne zadrapania pachnące żywicą. Braciom Castani nie spodobałby się sposób, w jaki on traktował antyk, który właśnie kupił.

Co jednak bardziej prawdopodobne, mieli to gdzieś.

On też.

19.48

Za kilka godzin co z niego zostanie, sama karoseria...

Za godzinę i czternaście minut, dokładnie.

Ten sam samochód.

Ta sama pora, co do minuty.

To samo miejsce.

Tacy sami pasażerowie.

Takie same trupy, kiedy je znajdą policjanci. Zdeformowane.

Skoro już trzeba to zakończyć, to niech się to dokona w wielkim stylu. To zakończmy ten dramat tak, jak się rozpoczął, żeby wziąć odwet na losie, by z niego zadrwić, by zatoczyć koło, by zamknąć sejf na podwójny zamek i zanurkować na samo dno Morza Śródziemnego.

Upewnił się, sprawdzając we wstecznym lusterku, że nie widać samochodu ani z drogi D81, ani z turystycznego szlaku biegnącego kilka metrów powyżej; droga była użytkowana wyłącznie przez maszyny inżynieryjne z kamieniołomu łupkowego, obecnie zamkniętego. Żaden turysta nie zapuści się tutaj. Tym bardziej żaden miejscowy. Zdążył zrobić rekonesans. Miał na to dwadzieścia siedem lat.

20.03

Zamierzał zaczekać tu do godziny „G”, w spokoju, w ciszy, z niezmaconym sercem. A gdyby dziewczyny się nudziły, przewidział lekturę.

Zwłaszcza dla Valentine.

Wybrał zacienione miejsce pod wielką sosną czarną, wyłączył stacyjkę, zaciągnął hamulec ręczny, po czym obrócił się na prawo.

– Przedostatni etap, pani Idrissi. Mam nadzieję, że się pani spodoba. Wszystko zaplanowałem, naprawdę wszystko, żeby nie była pani zawiedziona.

Palma Idrissi naturalnie mu nie odpowiedziała. Nachylił się do pasażerki siedzącej obok niego na fotelu.

– Przepraszam, Palmo.

Odpiął pasy, otworzył schowek, wyjął z niego plastikową torbę i odwrócił się. Valentine, z tyłu samochodu, ze skrzepowanymi rękoma, ze związanym ciałem, z ustami zaklejonymi bawełnianym plastrem w cielistym kolorze, który sprawiał, że jej twarz wyglądała jak pozbawiona warg, przewracała wściekle oczami, z trudem ukrywając paniczny strach.

– Nie miałem czasu zapakować prezentu, ale możesz go otworzyć, Valentine.

Niezgrabnie, związanymi rękoma, nastolatka wydobyła z plastikowej torby wyblakły niebieski zeszyt z pożółkłymi i zagiętymi od wilgoci stronami.

– Najpierw mała? Zgadza się pani, Palmo? Zresztą zna już pani zawartość tego dziennika, czyż nie?

Palma Idrissi znów nie odpowiedziała.

– Możesz ruszać nadgarstkami, Valentine. Oczami też. Więc jestem pewien, że ta książka cię zachwyci. Wszyscy o tym marzymy, prawda? O wniknięciu w myśli własnej matki.

Twojej matki, kiedy była w tym samym wieku co ty, dodał w myśli.

Valentine wahała się, jej palce zaciskały się na zamkniętym zeszycie, ale pewne było, że gdy tylko spuści oczy i rozpozna charakter pisma matki na okładce, nie oprze się chęci otwarcia go.

Od pierwszych przeczytanych linijek będzie wiedziała, że ten zeszyt naprawdę należy do Clotilde, chociaż zapisany został wiele lat przed jej własnymi narodzinami.

W końcu ona też miała prawo wiedzieć.

Wiedzieć, kim była jej matka. Wiedzieć, kim była jej babka.

Zanim zanurkuje.

Zanim utonie.

Podobnie jak cała reszta, jak ten samochód, jak ten zeszyt.

Jak tych troje pasażerów.

20.00

– Franck? Franck! Jesteś tam jeszcze?

Clotilde podniosła głos. Dźwięk zdawał się dochodzić z oddali, jak gdyby jej mąż wciąż żeglował jachtem po morzu, rozmawiał przez telefon, wynurzając się z seansu nurkowania, chyba że to tutaj, w Arcanu, pośrodku makii, łapało się zasięg tylko co jakiś czas.

– Franck! Nikt nie wysłał wiadomości do Valou. Ani ja, ani dziadek, ani babcia. Nikt nie kazał jej przychodzić do Arcanu!

– Jezu Chryste!

– Co to ma znaczyć, Franck? Valou nie była z tobą?

– Poszedłem... brałem prysznic, niecałe piętnaście minut. Zabójstwo kierownika kempingu wstrząsnęło Valentine. Chciała porozmawiać z Aniką, powiedzieć jej, jak bardzo lubiła Spinella, złożyć jej kondolencje, wiesz... Czowała się dość nieswojo. Kiedy wyszedłem spod prysznica, już jej nie było. Anika powiedziała mi o wiadomości. Zadzwoiłem do ciebie.

Ławka, dąb, podwórze i cała farma wirowały. Wyspa dryfowała. Cały masyw górski zdawał się zsuwać do Morza Śródziemnego.

– Kiedy to było? Może jest w drodze? Gdzieś na ścieżce? Idzie, nie spiesząc się?

Głos męża stał się jeszcze cichszy. Z powodu nieustających powiewów wiatru, które zakłócały rozmowę, prawie już go nie słyszała. Musiała przykleić telefon do ucha.

– Na ścieżce jej nie ma, Clotilde.

– Skąd wiesz?

– Wiem, gdzie jest Valou.

Czy dobrze słyszałam? Czy on robi sobie ze mnie jaja?

Clotilde wrzasnęła. Może jej słowa dotrą do męża szybciej poprzez dudniące echo górskie niż przez łącze telefoniczne.

– Co? O czym ty do diabła gadasz?

Lisabetta stała obok, chłonąc każde słowo słyszanej przez siebie połowy rozmowy. Cassanu, który wciąż drzemał, nie zarejestrował w ogóle okrzyku wnuczki. Speranza już wcześniej wróciła do owczarni.

– Valou znajduje się jakieś dziesięć kilometrów stąd! Gdzieś w lesie Bocca Serria, na północ od Galerii.

Przez chwilę Clotilde pomyślała, że jej mąż porwał Valentine. Że przetrzymuje ją gdzieś pośrodku makii, jak niegdyś dziadek jej matkę. Grozi jej, że już nigdy nie zobaczy swojej córki. Pozwoliła wybuchnąć swej złości, góry ponownie zadrżały.

– Wyjaśnij mi to, do cholery!

Czuła, jak po drugiej stronie telefonu Franck bąka coś pod nosem, jakby się wahał, czy wyznać jej bolesny sekret. Że targa nim jakaś rozterka i że nie może się zdecydować. Stojąca na wprost niej Lisabetta patrzyła na nią, zaniepokojona. Mgliście rozumiała, że Valentine zniknęła.

– Co ona tam, do diabła, robi? – powtórzyła Clotilde. – Skąd wiesz, że ona jest w tym lesie?

Wiatr dmuchnął w pustkę, nim do jej ucha dotarły jakieś szepty.

– Ja jej... zainstalowałem jej w telefonie pluskwę... Spytic... taki program szpiegowski, który pozwala ją śledzić, ustalać na bieżąco jej współrzędne geograficzne. – Tembr jego głosu stał się jeszcze niższy, jak u dziecka przyłapanego na gorącym uczynku. Docierały do niej tylko strzępki słów. – W razie gdyby... gdyby coś jej się miało stać... Jestem... Znasz mnie... Wiecznie się niepokoję... o Valou... Nie mówiłem ci o tym, nie zgodziłabyś się... Ale to właśnie się stało, Clo... Coś jej się stało.

Nicznym słońce, które znienacka wyłania się zza chmur, wszystko rozjaśniło się nagle w głowie Clotilde. Objawienie. W pierwszej chwili odczuła gwałtowny przypływ nienawiści, lecz niemal natychmiast wyparło ją ogromne uczucie ulgi.

– Ten twój Spytic... w moim też go zainstalowałeś?

– ...

– Dobra, nieważne, Franck, nie mamy na to czasu. Chcę się tylko dowiedzieć: mnie też wsadziłeś pluskwę do komórki i to dzięki temu znalazłeś mnie trzy noce temu w makii?

– Tak...

Zamknęła oczy i zacisnęła zęby, usiłując nie dopuścić, by strumień kwaśnych obelg wytrysnął z jej krtani.

– Dzwoń na policję, Franck! Dzwoń do glin i podaj im współrzędne z tego pieprzonego programu szpiegowskiego! Niech odetną okolicę, niech otoczą las Bocca Serria. Niech przynajmniej to twoje gówno się na coś przyda. Zaraz będę, schodzę do Euproctes. Gdzie jesteś?

Ale jej mąż już się rozłączył.

Lisabetta wciąż stała naprzeciw niej. Nic nie mówiąc. O nic nie pytając. Czekając jedynie, aż będzie potrzebna, niczym przydatny przedmiot, leżący grzecznie na swoim miejscu, którego wiadomo gdzie szukać. Mocna, prawie

niezużyta, trochę tylko zgarbiona.

W przeciwieństwie do babki, która zachowywała spokój, Clotilde była roztrzęsiona. Miała rozbiegane ręce, nie mogła się zdecydować, czy biec natychmiast do passata, czy zastanowić się chwilę i ocenić sytuację. Wszystko działo się zbyt szybko, zdarzenia napierały na siebie. Nie miała czasu uporządkować tych informacji, które jej przekazywano, jej matka, jej córka, zaginione, ale żywe; przynajmniej taką miała nadzieję. Musiała zgromadzić jak najwięcej wskazówek, fakty, fakty, fakty, może wszystko niespodzianie w odpowiedniej chwili ułożyć się w całość.

Cassanu z wolna się budził, odchylił kapelusz do tyłu i nie rozumiejąc poruszenia wokół siebie, pozwalał oslepić się słońcu, które chyliło się ku zachodowi.

Clotilde uwięziła ręce babki w swoich dłoniach jak w imadle.

– Babciu, ten zeszyt, mój pamiętnik, skoro ty go wzięłaś, to kto go zatrzymał? Babciu, musisz mi powiedzieć, to ważne. Komu jeszcze go pokazałaś? Kto jeszcze go czytał?

Jej ręce chciały się wyrwać, jak dwa uwięzione motyle.

– Ja... ja nie wiem, kochanie.

– Nikomu go nie pokazywałaś?

– Nie.

– Więc... ty... tylko ty go czytałaś?

W kącikach czarnych oczu starej kobiety iskrzyły się łzy. Rozmazany tusz do rzęs przydawał jej urodzie tragizmu. Po raz pierwszy jej oczy wyrażały złość.

– Moja wnuczko, za kogo ty mnie bierzesz? Wzięłam twój pamiętnik, rzecz jasna. Ale go nie otworzyłam! Należał do ciebie. Wyłącznie do ciebie. Odniosłam go z powrotem do Euproctes, do waszego bungalowu, z resztą twoich rzeczy, które zostały w Arcanu, kilkoma ubraniami, książkami, torbą. Byłaś w szpitalu. Nie mogłam zanieść ci tam tego wszystkiego.

– Babciu, kiedy wyszłam z kliniki, zabrano mnie stamtąd prosto na kontynent. Nigdy nie wróciłam na kemping.

– Wiem, kochanie, wiem... Basile Spinello pewnie pozbierał wszystkie twoje rzeczy pozostałe w bungalowie.

Teraz to Clotilde trzęsły się ręce, dłonie Lisabetty uspokoiły się, poskromione.

– Tak właśnie zrobił, babciu. – Na chwilę zamilkła. – Basile oddał mi wszystko. Z wyjątkiem zeszytu.

Rozdeptał komórkę obcasem na długim płaskim kamieniu. Chociaż nie znał się w ogóle na całej tej technologii, obejrzał wystarczająco dużo seriali kryminalnych, żeby się domyślić, że telefon komórkowy, nawet wyłączony, wystarczy, żeby ich zlokalizować. Z większą lub mniejszą dokładnością. A to miało zająć trochę czasu.

Nie spieszył się. Podczas gdy Valentine ze związanymi rękami, z zaklejonymi ustami i zapłakanymi oczami czytała dziennik swojej matki, długo przeglądał zawartość telefonu nastolatki.

Co za rozczarowanie! Niczego się nie nauczył.

Otworzył rejestr wysłanych i odebranych wiadomości, przeczytał wszystkie esemesy, wyświetlił zapisane zdjęcia, odsłuchał kilka fragmentów pobranych utworów muzycznych. Zanurzył się na kilka minut w świecie tej piętnastoletniej dziewczyny i nic nie znalazł. Ani jednego słowa za dużo na rodziców. Ani o centymetr za dużo obnażonego ciała na zdjęciach. Żadnej butelki w tle, żadnego chłopaka do czarowania, żadnej koleżanki do wkurzania.

Grzeczna panienska.

Dobrze czująca się we własnym ciele. Dobrze ułożona.

Bez nienawiści, bez problemów, jak gdyby życie było tylko podarowanym przez anonimowego dobroczyńcę prezentem, który należy rozpakować, docenić, uśmiechnąć się, podziękować, zdmuchnąć bez żalu świeczki, wierzyć, że Święty Mikołaj zawsze będzie z nami, z mamą i z tatą, dobrym Bogiem czy też Buddą. Nastolatka bez rys, bez pęknięć. Kontrast z zeszytem jej matki, pisanym w tym samym wieku, był uderzający!

Zwykła kwestia technologii?, zastanawiał się. W końcu komórka jest po to, by łączyć się ze światem, a pamiętnik po to, by się przed nim chronić.

Zwykła kwestia różnicy pokoleń?

Podniósł kamień i rozgniół nim to, co jeszcze zostało z samsunga. Tym razem był pewny, że gdyby próbowano zlokalizować go za pomocą tego aparatu, ostatnim wysłanym sygnałem byłby sygnał z tego lasu.

Nie zwlekać, uciekać w tej chwili. Rzucił okiem na zaryglowane drzwi flego, spojrział przez szybę na twarze obu kobiet, Palmy i Valentine. Ich podobieństwo było uderzające. Wysokie, drobne, wyprostowane. Obie miały tę klasyczną urodę, ten sposób trzymania głowy, to dumne spojrzenie, tę książęcą pewność siebie, którym lata, zmarszczki i kilogramy nie przynoszą uszczerbku.

Eleganckie, atrakcyjne, pokrzepiające.

Również pod tym względem kontrast z Clotilde rzucał się w oczy! Clotilde Idrissi też była ładna, ale jej urok miał swoje źródło w cechach właściwie odwrotnych. Niska. Energiczna. Nonkonformistyczna.

Może – wyobraził sobie, rzucając kamień daleko – czarodziej, który miesza geny przy narodzinach, ma tylko jeden ich zapas na rodzinę, więc musi rozdzielić jak najlepiej składniki między rodziców i dzieci, między braci i siostry, dopóki na nowo nie uwarzy swej mikstury. Tym sposobem geny często przeskakują jedno pokolenie.

Ruszył w stronę fuego, wciąż rozmyślając o córce, matce i babce. Clotilde nigdy nie umiała rozmawiać ze swoją matką, tak było napisane w jej pamiętniku. Z córką też nie lepiej jej się to udawało, wystarczająco długo ją obserwował, by móc to stwierdzić.

Cholerna ironia...

Bo jeśli chodzi o babkę i wnuczkę, toby się pokochały, doceniły, zrozumiały. To było widać jak na dłoni!

Szkoda...

Szkoda, że ich spotkanie sprowadza się do dwóch godzin spędzonych w porysowanym i poobijanym fuego, z ustami zbyt zakneblowanymi, by móc się ucałować, z rękami zbyt skrepowanymi, by móc się do siebie przytulić.

Zapominał się. Nie powinien dłużej się ociągać z opuszczeniem tego miejsca.

Otworzył drzwi fuego.

20.34

Idealnie, dotrze punktualnie na miejsce spotkania.

Popatrzył jeszcze raz na siedzącą z tyłu Valentine. Nadal przewracała strony pamiętnika matki, ale nie czytała ich. Nastolatka nie potrafiła już odróżnić linijek, z oczu leciały jej ciurkiem łzy. Czy ten zeszyt w końcu pomoże jej pokochać matkę? Czy jeszcze bardziej ją znienawidzić?

Nieważne.

Valentine nigdy nie będzie miała okazji jej tego wyznać.

Otworzył drzwi.

Nikt się nie poruszył.

– Już czas, pani Idrissi. Mamy spotkanie nad urwiskiem Petra Coda.

20.40

Clotilde stała przy passacie, cała w nerwach, desperacko szukając kluczyków do samochodu na dnie torby. W jej głowie panował mętlik, nie wiedziała nawet, dokąd jechać, gdy włączy stacyjkę. Gnać na żandarmerię? Do Euproctes? Jechać drogą w nadziei, że natknie się na Valentine? Na matkę? Nie potrafiła złożyć w całość wszystkich elementów układanki, czuła niejasno, że letni dramat z 89 roku rozegrał się zarówno pomiędzy dorosłymi, jak i między nastolatkami, dwa odrębne grona; i że ten stary zeszyt był jedynym ogniwem łączącym je oba.

Napisany przez nastolatkę, przez nią, zawierający wszystko, co wtedy zaobserwowała, odnotowała, a o czym teraz już nie pamiętała.

Przeczytany przez dorosłego. Ukradziony przez dorosłego, który znalazł na tych stronach prawdę, prawdę o sobie. Znalazł klucz w bałaganie tego pamiętnika. W bajzlu panującym w jej torbie nie potrafiła tego zrobić! Wyrzekała jak idiotka przed zamkniętymi drzwiami samochodu, żaloszny widok. Co za kretynka! Gdzie są te zasrane kluczyki?

Jej telefon zawibrował.

Przynajmniej wiedziała, gdzie go szukać.

– Clotilde? Mówi Anika! Co za nieszczęście, co za nieszczęście.

Anika pociągnęła nosem i zanosząc się szlochem, wyartykułowała kilka słów.

– Cervone, zabity, dziś rano. Pani córka, teraz, zaginiona.

Dusiły ją łzy. Ekswindsurferka była załamana; szefowa na wszystkich frontach, prowadząca kemping Euproctes tylko dzięki własnej sile, tylko dzięki własnej wierze w zmysł gościnności, traciła grunt pod nogami.

– Jest pani w Euproctes z Franckiem?

– Yyy... nie... Jestem sama, przy wejściu na kemping.

– Gdzie jest Franck?

– Nie wiem.

– Pojechał po gliniarzy?

– Nie wiem... może z nimi rozmawia, gliniarze są... są tu już. Od rana...

Z powodu Cervonego... – Szloch wybuchł ze zdwojoną siłą. – Wiem, Clotilde, że pani go nie lubiła, że nigdy go pani nie lubiła... ale Cervone zasługiwał na lep...

– Dzwoni pani do mnie, żeby mówić o swoim mężu? – przerwała jej oschle Clotilde.

Znalazła w końcu kluczyki. Musiała gnać. Nie blokować linii telefonicznej.

Anika odpowiedziała bez wrogości. Gościnność, bez względu na wszystko, aż do końca.

– Nie, Clotilde. Nie, dzwonię do pani, bo przypomniał mi się pewien szczegół.

Serce Clotilde waliło jak oszalałe, kluczyki uruchamiające zapłon zakleszczyły się w drzwiach passata.

– Ta wiadomość w recepcji, żeby zwabić Valentine do Arcanu, to był zwykły świstek papieru, kilka nabazgranych słów podpisanych pani imieniem. Powinnam być bardziej czujna, sprawdzić... ale, mój Boże, taka jestem zdruzgotana...

– Aniko, ten szczegół, co to było?

– Trochę przed tym czy trochę po tym, jak ktoś zostawił ten liścik, przed kempingiem stał zaparkowany samochód. Zwolnił, zatrzymał się, stał tam kilka minut. W tamtej chwili nie mogłam sobie przypomnieć. Dopiero przed chwilą skojarzyłam.

Clotilde otworzyła drzwi samochodu, wsunęła kluczyk do stacyjki, gotowa ruszyć, jak tylko Anika skończy mówić.

– Cervone wszystko mi opowiedział – ciągnęła kierowniczka kempingu. – Tyle razy... Ale to było tak dawno temu. Po prostu mnie to zaintrygowało, jak skojarzenie, które nie chce do końca zaskoczyć, potem znalazłam wiadomość, później zjawiła się Valou, zapomniałam o tym.

– Aniko, co było nie tak z tym samochodem?

– To było fuego. Czerwone. Takie jak to, o którym przez wszystkie te lata opowiadał mi Cervone. Takie jak to, w którym zginęli pani rodzice i pani brat.

»

Clotilde włączyła zapłon, silnik passata zawarczał, jednak nie wrzuciła wstecznego, nie wcisnęła gazu. Jałowy bieg! W jej głowie migają trzy sygnały alarmowe, trzy wyjące syreny, tworzące ognisty trójkąt.

Najpierw czerwone fuego.

Potem współrzędne geograficzne, te z programu szpiegowskiego w komórcie Valou, Franck mówił o lesie Bocca Serria, parę kilometrów poniżej Petry Cody.

Wreszcie jej matka i córka.

Wszystko wskazywało na jedno: ktoś rozmyślnie wypożyczył taki sam samochód jak jej rodziców, wsadził do niego jej matkę i córkę, i zdążył nad urwisko Petra Coda.

Clotilde nie wiedziała kto, jak i dlaczego, ale była pewna, że tam się to

stanie. Spojrzała z niepokojem na zegar na desce rozdzielczej.

20.44

Ktoś, jakiś szaleniec, jakiś chory człowiek zmierzał w kierunku urwiska Petra Coda, żeby wszystko rozegrało się dokładnie tak jak dwadzieścia siedem lat temu. 23 sierpnia. Bez niej, ale z inną piętnastolatką siedzącą z tyłu. Jej córką!

Przypomniała jej się droga nad urwiskiem sprzed dziesięciu dni. Bukiety macierzanki. Franck i Valou, których to nie obchodziło, samochody śmigające obok nich na wąskiej drodze. Teraz była już tego pewna, ten świr będzie tam punktualnie o 21.02. Żeby fuego przeleciało przez barierkę.

Cofnąć samochód. Wrzucić gaz do dechy. Zaalarmować wszystkich, do których zdoła się dozwonić.

Muszą tam być ludzie. Zanim on się tam zjawi. Zanim ona dojedzie.

Za osiemnaście minut, dokładnie.

Miała niewiele czasu.

Odruchowo spojrzała we wsteczne lusterko. I zahamowała!

Cassanu czekał, stojąc za samochodem, siwy i pomarszczony, z uniesioną laską, w odchylonym kapeluszu, niczym zagubiony Gandalf. Odniosła wrażenie, że wszystko słyszał. Wszystko zrozumiał, on też. Odezwała się niemal błagalnie:

– Papé, zejdź z drogi...

– Chcę jechać z tobą.

– Odejdź. Dosyć już narobiłeś głupstw.

Spod opon passata posypał się żwir. Cassanu ledwo zdążył się odsunąć, unikając przejechania przez cofający się samochód. W następnej sekundzie pojazd zniknął w tumanie pyłu unoszącego się z ziemi. Clotilde zerknęła ostatni raz w lusterko. Cassanu wciąż stał w miejscu, jakby zapuścił korzenie, jakby już nigdy nie miał się poruszyć, jakby już tylko miał nadzieję, na powrót do natury, stanie się drzewem, kamieniem; bycie już tylko nieszkodliwym przedmiotem, jakim od zawsze była jego żona Lisabetta.

Dojazd na Revellatę, potem parę kilometrów dalej droga nad urwiskiem Petra Coda, sprowadzały się do niekończącego się ciągu zakosów. Clotilde klęła na kilkukilometrowy objazd asfaltową drogą, którym musiała pojechać, by wydostać się z Arcanu i dotrzeć do drogi departamentalnej, prowadzącej do Euproctes, gdy tymczasem odległość w linii prostej, gdyby iść szlakiem, wynosiła tylko kilkaset metrów.

20.46

Przyspieszyła na bardzo krótkim odcinku prostej i zahamowała za mocno przy wejściu w zakręt.

– Cholera! – krzyknęła, z oczami zamglonymi od łez. – Uspokój się, uspokój się. Dojedziesz szybciej, jeśli zachowasz spokój.

Tylko że jej głowa była bliska implozji. Kim mógł być ten szaleniec?

Nieważne, musi dojechać do Petry Cody przed nim, przed nimi. A sama tam nie dojedzie. Nie zwalniając, przytrzymała kierownicę prawą ręką, a lewą wyjęła telefon. Jej oczy przeskakiwały raz po raz z wijącej się przed nią drogi na numer, który usiłowała wybrać. Dlaczego, na litość boską, nie odważyła się zapisać jego numeru, nawet pod fałszywym imieniem? Dlaczego go tylko zapamiętała!

06

Zakręt, skręciła.

25

Wrzucić dwójkę, przyspieszyć.

96

Nikogo naprzeciwko, nikogo w dole, trzy zakosy niżej, przejechać na lewą stronę, pokonać całą długość białej linii, zyskać parę sekund.

59

Jeszcze przyspieszyć.

13

Niech telefon dzwoni.

Odbierz, do cholery, odbierz!

Zahamować, stracić czas, przejść na jedynekę.

– Cholera, cholera, cholera. Odbierz!

Znowu przyspieszyć.

Wykrzyzczyć wiadomość.

Natale! Natale, posłuchaj mnie. Porwali mi córkę. Nie wiem kto. Nie wiem dlaczego. Porwali też Palmę. Wiem tylko, że jadą nad urwisko Petra Coda. Czerwonym fuego. Żeby je zabić, Natale. Żeby je posłać na dno Morza Śródziemnego. Natale, jesteś niedaleko. Jesteś tuż obok, możesz dotrzeć tam pierwszy.

Korzystając z ostatniej prostej przed wjazdem na drogę departamentalną, rozłączyła się i na chwilę się rozproszyła. W ostatniej chwili wcisnęła hamulec.

– Choolera!

Cassanu Idrissi tkwił na środku drogi! Ten stary wariat poszedł szlakiem na skrót. Trząśł się, zgarbiony, wsparty na swojej lasce, niczym maratończyk biegnący resztką sił. Błyskawicznie podjęła decyzję: więcej czasu zajmie jej wyminięcie stojącego na środku drogi starca niż pozwolenie mu, żeby wsiadł.

Nachyliła się i otworzyła drzwi.

– Do diabła! Sądzisz, że jeszcze nie dość narozrabiałeś. No dalej, wskakuj!

20.50

Straciła około trzydziestu sekund. Cassanu usiadł, ale nie odpowiedział. Łapał oddech, dyszał, kasłał, jakby serce miało mu zaraz wyskoczyć. Tylko tego brakowało, żeby wykorkował na fotelu pasażera! Dziadek pewnie ruszył biegiem, jak tylko passat zniknął mu z oczu, pocwałował, nie słuchając okrzyków Lisabetty,

pognał w dół szlakiem, który nie miał dla niego żadnych tajemnic, gdzie znał każdy kamień, każdą nierówność terenu.

Zakosy drogi wciąż ciągnęły się jeden za drugim. Stopniowo oddech starego Korsykanina wracał do normy, w przeciwieństwie do silnika samochodu, który chyba się przegrzewał. Zapach spalonego karmelu rozchodził się przez otwarte okna.

Hamulce? Opony? Skrzynia biegów?

Nieważne, samochód wytrzyma osiem kilometrów.

– Clotilde, myślę, że twoja matka nie uciekła.

Trochę za późno na żale, Papé...

Oстрым ruchem wykręciła kierownicę w lewo, kiedy zniesiony prędkością passat zbliżył się do krawędzi drogi, ocierając się przez kilka metrów o kamienną barierkę, która oddzielała ich od przepaści.

– Myślę... myślę, że została porwana.

Zadzwęczał telefon. Opony wydały pisk.

Natale?

Franck?

Clotilde odebrała w momencie, gdy samochód pędził prosto w przepaść.

– Zakręt w prawo – odezwał się cicho Cassanu. – Dwieście metrów, sto dwadzieścia stopni.

Skręciła w ostatniej chwili. Ostatecznie stary być może na coś jej się przyda. Zna na pamięć każdy metr tej drogi, mógłby służyć jej za pilota, o wiele skuteczniej niż najbardziej doświadczony rajdowiec Tour de Corse.

– Clotilde? Mówi Maria-Chjara!

Pod wpływem zaskoczenia kierująca pojazdem omal nie wjechała passatem w kamienny murek na wprost. Cudem uniknęła zderzenia z małą udekorowaną kwiatami kapliczką, Matka Boska, krzyż i trzy plastikowe kwiaty; pamiątka po innym samochodzie, po innym życiu, które pewnego dnia, pewnej nocy, tutaj zgasło?

– Zakręt w lewo, sto pięćdziesiąt metrów, bardzo ostry.

– Maria?

– Myślałam o naszej rozmowie. O kłamstwach Cervonego Spinella. O tej historii z uszkodzonym układem kierowniczym.

– Tak?

– Zakręt w prawo, ostry, sto metrów, sto sześćdziesiąt stopni.

– Tak naprawdę Cervone nie wymyślił tej swojej historii.

Umysł Clotilde rozdzierały błyskawice. Maria-Chjara wycofywała się z oskarżeń. Cervone, idealny winowajca, najpierw zabity, a następnie uniewinniony. Błyskawice, a zaraz po nich grom. Po uniewinnieniu Cervonego to jej brat Nicolas stawał się idealnym winowajcą?

– Twierdziła pani, że...
– Przemyślałam to. Staralam się przypomnieć sobie każdą minutę tamtego dnia, dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, każde słowo, każdy gest...

– Lekki zakręt w lewo, sto pięćdziesiąt metrów. Osiemdziesiąt stopni.
– Każdy gest, Mario? Po tak długim czasie?
– Proszę mnie posłuchać, Clotilde, niech mnie pani wysłucha. Przez wszystkie te lata byłam przekonana, że śmierć Nicolasa i pani rodziców to był wypadek. Ale jeśli trzeba znaleźć zabójcę, jeśli ktoś uszkodził celowo samochód, który pani brat i ja mieliśmy pożyczyć tamtego wieczoru, jeśli ktoś chciał oboje nas zabić, to nie mógł to być Cervone. To nie on umierał z zazdrości.

– Zakręt w lewo! – wrzasnął Cassanu.

Clotilde skrzyła w ostatniej chwili, nie upuszczając telefonu, jadąc skrajem drogi, syjąc zwiem i przez trzy metry przeczesując w deszczu żółtych parasoli gęstą kurtynę kopru olbrzymiego rosnącego na zboczu urwiska. Pot perlił się na jej czole.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości – ciągnęła Maria-Chjara. – Nie zapomnę do końca życia jego oczu patrzących na mnie i na Nicolasa w dniu wypadku, na plaży Oscelluccia, wieczorem po północy, kiedy wszyscy oprócz niego już poszli. A potem, tego samego spojrzenia, następnego dnia po tragedii, patrzącego tylko na mnie. Dzisiaj zrozumiałam. To... to dlatego, że chciał nas zabić... Dlatego że zabił Nicolasa.

– Prosta droga, czterysta pięćdziesiąt metrów, dawaj... Możesz dodać gazu.

– Kto, Mario? Kto tak na panią patrzył?

Clotilde usłyszała w telefonie śmiech. Słabo odegrany aktorski śmiech. Także Maria-Chjara uwalniała się od nienazwanego dotąd poczucia winy, które nosiła w sobie przez wszystkie te lata. Przyprawiła jakiegoś gościa o zazdrość do tego stopnia, że stał się zabójcą.

– Ty też mogłabyś go sobie przypomnieć, Clotilde, na pewno go pamiętasz. Jego oczy. Nawet jeśli najczęściej widziałaś tylko jedno z nich.

20.52

Zakosy następowały jeden po drugim niemal w zwolnionym tempie. Fuego przestrzegało ściśle ograniczeń prędkości, jego kierowca nie odczuwał potrzeby ani przyspieszania, ani zwalniania, nastawił GPS i wiedział, że jeśli nie popełni żadnego wykroczenia, jeśli będzie dokładnie stosował się do zaleceń głosu robota, który go prowadzi, to punktualnie o 21.02 fuego wejdzie w pierwszy zakręt drogi nad urwiskiem Petra Coda.

Za dziewięć minut będzie po wszystkim.

Dla niego trochę wcześniej, niż było to przewidziane.

Jego lekarz mówił raczej o dziewięciu miesiącach.

»

Passat zbliżał się do drogi departamentalnej nr 81. Wiła się mniej, oddalała się trochę od wybrzeża. Clotilde, nim ponownie musiała zwolnić, udało się wrzucić piąty bieg, pokonać kilkaset metrów, jadąc sto kilometrów na godzinę.

Wetknęła telefon komórkowy między uda.

– To Hermann! – krzyknęła zza kierownicy. – Ten skurwiel cyklop!

Cassanu obrócił się w jej stronę.

– Hermann Schreiber?

Clotilde nie spuszczała drogi z oczu.

– Tak, to on ich zabił. I znowu zabije za niecałe dziesięć minut, jeśli nie dojedziemy na czas. To on porwał Valou i mamę.

– Niemożliwe...

20.53

– O nie, Papé, możliwe! Rozmawiałam wczoraj z tym skurczybykiem Hermannem Schreiberem przez telefon i...

Dziadek położył rękę na jej udzie.

– To niemożliwe, Clo. Zapewniam cię. Nie mogłaś rozmawiać wczoraj z tym Niemcem. – Wziął głęboki oddech. – Hermann Schreiber zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, osiemnaście miesięcy po wypadku twoich rodziców. Nie skończył nawet dwudziestu lat.

»

20.54

Fuego mijają klif Capo Cavallo, sześć kilometrów na południe od Revellaty. *Dojazd na miejsce o 21.02*, wskazywał GPS przyczepiony do przedniej szyby.

Ekran nawigatora odwzorowywał w miniaturowej i uproszczonej wersji rozpościerający się przed nimi pejzaż. Jaskrawoniebieskie morze, szarozielone góry, niebo w kolorze kawy z mlekiem.

Wizualizacja zarazem mdła i krzykliwa, tak samo brzydka, pomyślał Jakob Schreiber, jak cudowna była rzeczywistość. Przed nim widniały Revellata, latarnia morska i cytadela w Calvi, czerwieniące się od zachodzącego słońca jak dziewczyna, której nieśmiałość dodaje uroku. Zwolnił trochę, by przez parę sekund móc się cieszyć panoramą. Pal lichy dokładne przestrzeganie wskazań chronometru w GPS-ie, nadgoni opóźnienie, przyspieszając za cyplem Cantatelli. Ten pejzaż był zapewne jedyną rzeczą na ziemi, za jaką będzie tęsknił.

Droga ponownie skręciła w stronę gór, ciągnąc się wzdłuż wysuszonej makii i chudych krów. Przyspieszył. W gruncie rzeczy myślenie w kategoriach żalu o najbliższych minutach, o wielkim saltie było głupotą. Nawet gdyby Clotilde Idrissi nie wróciła pięć dni temu i nie otworzyła ledwie zablźnionych ran, lato 2016 roku byłoby ostatnim latem. Najstarszy rezydent kempingu Euproctes i tak pożegnałby się z życiem tutaj, na Korsyce, zamiast dogorywać w Klinikum w Leverkusen. Już lepiej skasować tę kupę złomu w rajskiej scenerii, skoro nie można mieć pewności, czy istnieje takowa po śmierci.

Maksimum dziewięć miesięcy, powiedział mu lekarz.

Pierwsze ostrzeżenie, pierwszy guz pojawił się nieco powyżej wątroby osiem lat temu. Oczyszczili mu przełyk tak, jak się udrażnia rynnę wysokociśnieniowym węzem, ale kwaśny deszcz nie przestał padać, na trzustkę, na płuca, na żołądek. Nowotwór wygrał. Sądził nawet, że zatriumfuje wcześniej, zawsze myślał, że po przejściu na emeryturę nie pożyje więcej niż pięć lat, po tym, jak księgowy z Bayeru oznajmił mu, że po odejściu z przedsiębiorstwa co miesiąc będzie dostawał 300 marek premii ze względu na ciągły kontakt w pracy ze środkami toksycznymi, rozpuszczalnikami, zanieczyszczeniami. Pracował tam blisko piętnaście lat, był kierownikiem, nadzorował linie produkcyjne na ekranach. Na szczęście dla Bayera, kiedy zatrudnieni przy obróbce produktów i czyszczeniu zbiorników pracownicy odchodzili na emeryturę, kosztowali przedsiębiorstwo mniej niż on.

Zerknął w lusterko, zastanawiając się, czy pasażerki domyślają się, co je czeka. Palma naturalnie zrozumiała: czerwone fuego, wyświetlony w GPS-ie cel podróży, jej wnuczka z tyłu, wskazówki były jednoznaczne. Valentine zapewne też zdawała sobie sprawę, teraz wiedziała już wszystko, przeczytała zeszyt matki. Mimo to zachowywały spokój. No ale cóż innego mogły robić, skrępowane niczym dwie bożonarodzeniowe choinki w siatce? Mogły tylko mieć nadzieję, że ta

przejażdżka to jedynie blef, kiepski dowcip, inscenizacja... albo że od 1989 roku barierka na drodze nad urwiskiem Petra Coda została umocniona.

Jakob Schreiber dojeżdżał do wybrzeża zatoki Nichiareto, utrzymując stałą prędkość jazdy. Ponowna lektura, strona po stronie, dziennika Clotilde w ostatnich dniach roznieciła na nowo żar jego nienawiści, nawet jeśli ta nigdy w ciągu tych wszystkich lat całkowicie nie wygasła.

Jego syn, Hermann, niczemu nie był winien.

Latem 89 roku wszystko to była wina Marii-Chjary, Nicolasa, Cervonego, Aurélii i pozostałych nastolatków z bandy, ich pogardy, ich egoizmu. On tego nie zmyślił, Clotilde idealnie to opisała w swoim zeszycie. To oni podsycali tę złość, tę zazdrość, to szaleństwo. Gdyby nie to, nie doszłoby do tragedii. Jego syn był miłym chłopcem, poważnym, pracowitym, dobrze wychowanym. W katolickim gimnazjum Lise-Meitner-Schule, później w liceum Werner-Heisenberg w Leverkusen, w drużynie zuchów od szóstego roku życia, w organizacji pionierskiej przed skończeniem piętnastu lat, zawsze z korą do rzeźbienia w dłoni, z błyszczącym kamykiem w kieszeni, ze źdźbłem trawy w zębach.

Hermann był bardziej delikatny niż większość.

Kochał muzykę. Kochał piękno. Uczył się śpiewu z nut, gry na skrzypcach, malował sceny marynistyczne, widoki nieba, bardzo blade, o wyblakłych kolorach, w pracowni kierowanej przez emerytowanego akwarelistę z muzeum Morsbroich. Hermann był jedynakiem. Lubił tworzyć swój własny świat, budować go ze skarbów zebranych przypadkiem; nie okleił ścian swojego pokoju plakatami tenisistów, piosenkarzy czy kierowców Formuły 1, ale dziesiątkami stron z zielnika, który miesiąc w miesiąc wzbogacał. W wieku dziesięciu lat wpadł na pomysł cudownej kolekcji, kolekcji gwiazd, wszelkich, jakie mógł znaleźć, rozgwiazd, złotych gwiazdek, służących jako ozdoby na choinkę, gwiazd szeryfa, gwiazd sfotografowanych nocą w środku lasu, gwiazd wydrukowanych na flagach, na plakatach, na okładkach powieści. Hermann świetnie się uczył, dostał się na politechnikę w Monachium, na wydział sztuki użytkowej. Hermann był jednocześnie artystą i rzemieślnikiem. Interesowało go to, jak rzeczy działają, fizyka, mechanika, ale przede wszystkim pociągało go piękno, materialność piękna, był przekonany, że natura to największy geniusz twórczy, jaki kiedykolwiek istniał na ziemi, że tylko natura osiąga ostateczną harmonię, doskonałość, że ludzie mogą jedynie ją podziwiać, inspirować się nią, karmić nią.

Hermann był istotą prostą i prawą.

Często samotną. Nieśmiałą, skrytą, nierozumianą, lecz nie wiedział, co to kłamstwo. Nie wiedział, co to zło. To inni, cała reszta nauczyła go tego. Jego rówieśnicy. Hermann nie rozumiał ich zasad postępowania. Hermann był zbyt kruchy. Hermann chciał jedynie być taki jak oni, chciał akceptacji na czas tego jednego lata. Nie znał ich okrucieństwa. Gdyby nie ono, Hermann nigdy by nie

uszkodził układu kierowniczego w tym samochodzie, samochodzie, do którego mieli wsiąść Maria-Chjara i Nicolas. Hermann nigdy nie zamierzał ich zabić, chciał się tylko zemścić; chciał tylko, by ich ucieczka się nie powiodła, by samochód okazał się niezdolny do prowadzenia w środku nocy, żeby dalszą drogę musieli przejść na piechotę, żeby Nicolas schował do kieszeni tę swoją pogardliwą wyniosłość i żeby Maria mu się nie oddała. Chciał ich tylko nastraszyć, dać im nauczkę. On, który nigdy nie miał dziewczyny. Nie chciał, żeby ręce Nicolasa zbrukały piękno, wdzięk, doskonałość tej twarzy, tego ciała, na którego punkcie miał obsesję, ciała tej małej dziwki Marii-Chjary.

Jakob Schreiber popatrzył na skały, które wpadały kaskadą do Morza Śródziemnego, znów zwolnił.

Nie, naturalnie Hermann nie chciał zabić Marii i Nicolasa. Nicolas miał pożyczyć samochód rodziców tamtego wieczora i zgodnie z planem pojechać do Camargue, tego przekłętego klubu nocnego, z Aurélią, z Cervonem i z nim; Nicolas obiecał im to. Ale parę godzin wcześniej Hermann ich śledził. Kiedy zaparkowali na parkingu Euproctes, usłyszał, jak Maria-Chjara zgadza się pojechać z Nicolasem... Ale bez pozostałych idiotów z kempingu! Przejażdżka we dwoje. Która prędko się zakończy, wyobrażał sobie po prostu Hermann, kładąc się pod samochodem. Jak mógł przewidzieć taką zmianę planów? Że to Paul Idrissi usiądzie za kierownicą, z żoną i dziećmi? Że on spowoduje śmierć całej rodziny? Że okaże się zabójcą, nie mając jeszcze osiemnastu lat?

20.56

Dotarcie do celu o 21.02

Teraz, pomyślał Jakob Schreiber, można zaplanować własną śmierć co do minuty.

Hermann nic nie powiedział. Gliniarze stwierdzili wypadek.

Hermann nigdy się z tego nie otrząsnął. Był odpowiedzialny za śmierć trzech niewinnych osób.

Hermann spędził cały trymestr, nie chodząc na politechnikę, zamknięty w swoim pokoju, pośród swoich ziół i gwiazd. Trzeba było niemal trzydziestu seansów u psychoanalityka, zanim Hermann im się przyznał, zanim im wszystko opowiedział, wszystko, co od 23 sierpnia 1989 roku i tak on i Anke sami już zrozumieli.

Hermann dalej chodził do psychoanalityka. Znów zaczął grać na skrzypcach. Wrócił do zbierania ziół i obserwowania gwiazd. Jakob znalazł mu nową szkołę, mniej prestiżową od politechniki, prywatną szkołę marketingu, w której można było rozpocząć naukę w trakcie roku akademickiego, odbywać staże; wprowadził go do Bayera, nie tyle żeby pracował, co żeby się czymś zajął.

Hermann zaczął czuć się lepiej, Jakob tak myślał, chciał tak myśleć, przekonać o tym samego siebie.

Dwudziestego trzeciego lutego 1991 roku, dokładnie osiemnaście miesięcy po wypadku nad urwiskiem Petra Coda, Hermann za bardzo zbliżył się do zbiornika z ługiem sodowym na linii produkcyjnej, którą nadzorował. W parę sekund ciecz przeżarła mu skórę, jak na filmach science fiction, na których ciało przemienia się w bezkształtną parującą masę, po czym znika. Jakob chciał wierzyć, że to był wypadek, tylko wypadek. Jednak dziesięciu robotników z warsztatu B3 na linii nr 07 w fabryce Bayera widziało, jak Hermann przechyla kadełko i wylewa na siebie jej zawartość.

Hermann był delikatnym i zdolnym chłopcem. Hermann czekała świetlana przyszłość, zająłby ważne stanowisko w wielkim przedsiębiorstwie, oczarowałby wspaniałą kobietę, wiódłby życie w zgodzie z własnymi ideałami, życie, na które zasługiwał, takie jak to, o którym Jakob opowiadał przedwczoraj Clotilde Idrissi przez telefon, kiedy do niego zadzwoniła i kiedy podał się za swojego syna. Nic nie zmyślił. Opisał tylko życie, które mu skradziono.

Anke umarła kilka lat później. Umarła ze zgrzyoty. W sierpniu 1993 roku jego żona uparła się, by spędzili wakacje w Chorwacji, na wyspie Pag, która przypominała trochę Korsykę, jej klify i wioski. Pewnego ranka, jadąc mercedesem po chleb, nie skręciła na zakręcie nad urwiskiem. W portmonetce, której nie wzięła ze sobą, znajdował się liścik. *Entschuldigung*. Przepraszam.

Przeprowadzono dochodzenie.

Mercedes był starannie utrzymany. Układ kierowniczy idealnie sprawny.

Od tamtej pory Jakob zdążył to przemyśleć. Hermann i Anke zapłacili za zbrodnię, której nie popełnili.

Zdążył rozważyć, kto ponosił za to odpowiedzialność.

Tak, tragedia Schreiberów była warta tragedii Idrissich.

Kiedy po 23 sierpnia 1989 roku, już po wypadku, znalazł Hermann siedzącego w skulonej pozycji na stopniach domku kempingowego A31, Jakob odgadł, że jego syn ponosił częściową odpowiedzialność. Zostało im jeszcze osiem dni wakacji, ale już nazajutrz wrócili do Niemiec. Rankiem Jakob udał się do bungalowu C29, bungalowu Idrissich. Do pustego bungalowu. Zeszyt Clotilde, ocalałej małej, ten, z którym nigdy się nie rozstawała, leżał na kuchennym stole razem z resztą rzeczy, które Basile Spinello miał jej zawieźć do szpitala. Po prostu go wziął. Żeby zrozumieć. Żeby nikt poza nim go nie przeczytał, w razie gdyby między wierszami kryły się jakieś poszlaki, jakikolwiek dowód przeciwko jego synowi.

Czytał ten zeszyt wiele razy, kolejny raz tego lata. Nie, nic w nim nie wskazywało na Hermanną jako na zabójcę... chyba że było się niezwykle bystrym amatorem kryminałów. Clotilde Idrissi o niczym nie wiedziała.

Był jednak świadek, bezpośredni świadek. Cervone Spinello. 23 sierpnia 1989 roku, siedząc w recepcji kempingu, nie spuszczał Nicolasa i Marii-Chjary

z oczu, widział, jak Hermann wślizguje się pod fuego, później słyszał dorosłych mówiących o uszkodzonym układzie kierowniczym. Cervone postarał się dać staremu Schreiberowi do zrozumienia, że zna zabójcę Idrissich, ale nigdy nie oskarżył publicznie Hermanna, nigdy nie powiedział o tym policji ani Cassanu Idrissiemu. Jakob zastanawiał się dlaczego, dopóki nie wyrosły fundamenty nadmorskiego kurortu Roc e Mare, dopóki na plaży Oscelluccia nie powiał wiatr, nie wywiewając słomianego baru Tropi-Kalliste. Wyjaśnienie było jasne jak słońce. Cervone Spinello szantażował Cassanu Idrissiego! Trzymał go w garści, nawet jeśli Jakob nigdy się nie dowiedział, w jaki sposób, jaką wersję, jaką bajeczkę wymyślił. Wiedział tylko, że Cervone ma w ręku asa, porządny atut: znał rzeczywistego mordercę Paula i Nicolasa Idrissich. Cassanu nigdy nie mógłby podejrzewać Hermanna Schreibera, młodego niemieckiego turysty, o którego istnieniu nie wiedział.

Jakob rzucił okiem do tyłu. Valentine nie czytała już zeszytu, słyszał, jak chowa go ostrożnie z powrotem do plastikowej torby. Palma Idrissi i jej wnuczka siedziały nieruchomo, poruszały się tylko ich włosy, które rozwiewał wiatr wpadający przez uchylone na piętnaście centymetrów tylne szyby. Obie kobiety wpatrywały się w niego. Mogły widzieć jedynie jego kark, ramię, rękę. I jego dwoje oczu, które spotykały się z oczami pasażerek we wstecznym lusterku. Ze spokojem czekał na ten sierpniowy miesiąc, ostatni raz zobaczyć Morze Śródziemne, wypić ze znajomymi ostatnie piwo, rozegrać ostatnią partię buli. Według lekarzy rak dawał mu na to czas, na to ostatnie lato, jedno jedyne. A tu nagle zjawiała się Clotilde Idrissi, zaczęła węszyć, dochodzić, twierdzić rzeczy niemożliwe. Jej matka żyje! Fantazja, szaleństwo, jednak rozgrzebywała przeszłość, wypytywała Marię-Chjarę, Natalego Angelego, sierżanta Cesareu Garcię i jego córkę Aurélię, ożywiała wspomnienia, zdzierała całuny z duchów. Tak jak to przewidział, przyszła do niego, prosząc o wszystkie zdjęcia z lata 89 roku. Kto wie, czy z jednego z nich nie zdołałaby odgadnąć prawdy? Doskonale udał przed Clotilde Idrissi zaskoczenie, kiedy otworzył puste pudło z lata 89 roku. Gdyby chciał wydobyć zdjęcia przechowywane w chmurze, to po to, by na zawsze je zniszczyć.

Nie sądził, że zagrożenie nadejdzie ze strony Cervonego Spinella. Nie podejrzewał, że szef kempingu ma jeszcze więcej do stracenia niż on. Nim nacisnął spust, nim harpun utknął w jego sercu, Spinello wszystko mu wyznał. Szef kempingu przestraszył się w wieczór, kiedy Jakob przyszedł do niego zapytać o łącze bezprzewodowe do pobrania zdjęć. Cervone spanikował. Odkąd Clotilde Idrissi wróciła do Euproctes, robił wszystko, żeby ją przestraszyć, odsunąć ją, ale Clotilde była uparta, spostrzegawcza. Wzruszająca także. Cervone obawiał się, że mogłaby przekonać Jakoba do wyznania jej wszystkiego, że ta dwójka ocalałych z obu doświadczonych tragedią rodzin mogłaby paść sobie w ramiona, że w końcu

ulżyliby swojemu sumieniu.

Jakob Schreiber zacisnął ręce na kierownicy. Na wprost niego słońce tworzyło odwrócony do góry nogami ognisty wykrzyknik, którego laseczka podpałała morze. Tak, Cervone Spinello przestraszył się, że wszystko straci. Gdyby Clotilde odkryła prawdę, wydobyła ją na światło dzienne, ujawniła ją gliniarzom, Cassanu, cały jego interes by upadł. Gorzej nawet, gdyby stary Korsykanin z Arcanu dowiedział się, że dwadzieścia siedem lat temu Cervone był świadkiem uszkodzenia samochodu jego syna i że przez te wszystkie lata milczał, nie zawahałby się i kazałby go sprzątnąć, niezależnie od tego, czy był to, czy nie był syn jego najlepszego przyjaciela. Więc Cervone bez premedytacji i w pośpiechu powalił Jakoba, rozkwaszając mu skroń kulą do gry. Dobiłby go bez wątpienia, gdyby wracający z partyjki pokera mieszkańcy kempingu nie pojawili się w alejce i go nie zawołali. Nie było jak ukryć trupa, nie było czasu na posprzątanie miejsca zbrodni, Cervone musiał opuścić domek kempingowy A31. Zapewne zamierzał wrócić trochę później, w nocy, żeby dokończyć robotę. Tylko że Jakob zdołał uciec. Dowlókł się poza teren Euproctes, zabierając ze sobą środki niezbędne do zdezynfekowania rany. Od pięćdziesięciu lat przemierzał te okolice, on też dobrze znał makie.

Cóż mógł zrobić Cervone, jeśli nie symulować zdziwienie nazajutrz rano przed graczami w bule, którzy czekali na starego Niemca? Jeśli nie udać zaskoczenia przed Clotilde, zastając pusty domek kempingowy? Czy miał inne wyjście, niż czekać, trząść się i liczyć na to, że Niemiec zaszył się w jakimś kącie, żeby zdechnąć tam jak ranne zalęknione zwierzę?

Żadnego.

Jakob czekał spokojnie, pozwolił dojrzeć sprawie, żeby zabić go w odpowiedniej chwili.

Musiał tylko zyskać na czasie.

Ten niezidentyfikowany topielec znaleziony w zatoce Crovani stanowił wymarzoną okazję; zapewne jakiś nieostrożny pływak, wylawiano ich prawie każdego lata. To wystarczało, żeby Jakob zrzucił ze szczytu Mursetty parę ubrań, zegarek i dokumenty w miejsce, gdzie prąd morski był najsilniejszy. Gliniarze długo nie daliby się zwodzić, zidentyfikowanie nazwiska trupa lub przynajmniej dojście do tego, że rozkładające się zwłoki nie należą do niego, zajęłoby im jedynie kilka godzin, najwyżej dzień. Kilka godzin, to mu w zupełności wystarczało, by uśpić czujność Cervonego.

Szef kempingu nie mógł wiedzieć, że Jakob jest śmiertelnie chory, że ma gdzieś sposób, w jaki skończy. Że jego nienawiść nie jest zarezerwowana jedynie dla Idrissich, że planuje obdzielić nią wszystkich stąd, wszystkich tych, którzy ten raj skonfiskowali. Cervone nie mógł podejrzewać, że Jakob zwariował z bólu i samotności, że on też połowę emerytury oddawał psychoanalitykowi, że on też

zatrzymał się w alejce B3 linii produkcyjnej 07 w fabryce Bayera przy kadzi z ługiem sodowym; że wychylał się tak, że aż kręciło mu się w głowie, na białych skałach wyspy Pag, na czerwonych skałach urwiska Petra Coda, u podnóża Revellaty.

Jakob dopiero dziś rano dowiedział się o sekrecie Cervonego Spinella, tym, dzięki któremu korzystał z protekcji Cassanu Idrissiego.

Palma Idrissi. Żyje.

Skazana przez ławę przysięgłych zamiast Hermanna, uwięziona w pasterskiej chacie od lata 1989 roku.

Przez lata Cervone grał na dwa fronty, pozwalając każdemu wierzyć w swoją własną prawdę: Cassanu nie znał rzeczywistego sprawcy, Jakob Schreiber nie znał rzeczywistej oskarżonej. Cervone nie musiał nawet kłamać, jego milczenie wystarczyło, by uczynić go panem sytuacji. Aż do powrotu Clotilde Idrissi.

Cervone Spinello nie zasługiwał na śmierć, ale wbicie mu grotu w serce w gruncie rzeczy było jedynie cierpliwą formą samoobrony. Idrissi natomiast zasługiwali na śmierć. I na to, żeby cierpieć przed śmiercią. Gdyby nie kłamstwa ich trzech pokoleń, nic by się nie wydarzyło.

21.01

Słońce nie zniknęło jeszcze za zatoką Calvi, unosiło się nad cytadelą niczym oślepiająca lampa punktowa, przemieniająca świat w teatr cieni. Oczy Jakoba zachodziły mgłą. Od samego rana, od początku lata, od dwudziestu siedmiu lat powtarzał w myślach w kółko te same słowa.

Byliśmy zwyczajną rodziną, kochaliśmy proste rzeczy, przyjeżdżaliśmy spędzać wakacje na słońcu.

Na Wyspie Piękna.

Nie wiedzieliśmy, że to piękno parzy, gdy ktokolwiek się do niego zbliży, że to piękno kłamie, że wymyka się temu, kto chce go dotknąć.

Nie nauczyliśmy tego Hermanna. Że pożądamy go, można się zatracić.

Hermann był zbyt czysty, zbyt inny.

Nie mogli tego znieść.

Zabili go!

Dołączę do Anke. Dołączę do Hermanna.

23 sierpnia o 21.02.

Czerwone fuego.

Droga nad urwiskiem Petra Coda u nasady półwyspu Revellata.

Mężczyzna, kobieta, piętnastoletnia dziewczyna.

Trzy trupy.

I wszystko się zakończy.

W pięknym stylu.

21.01

Została tylko minuta.

Clotilde, z oczami zamglonymi od łez, przyspieszyła jeszcze bardziej.

Telefon tańczył na desce rozdzielczej, przez niego straciła tylko cenne sekundy. Przed nimi rozciągał się półwysep Revellata, ale trzeba było go objechać, wspinając się autem pod górę aż do środka, potem zjeżdżając jakieś pięćdziesiąt metrów w dół i pokonując około dwudziestu ostrych zakrętów.

Nie zdąży.

Chyba że Jakob Schreiber się spóźni. Że jego zegarek ręczny, zegar samochodowy, telefon nie są ustawione według uniwersalnego czasu, wystarczyłaby nawet jedna minuta, nawet parę sekund.

Dziadek Cassanu milczał w fotelu pasażera.

Krajobraz zniknął, kiedy jechali pnąc się zakrętami pod górę szosą półwyspu, mając Euproctes od południa i latarnię morską od północy. Clotilde ścinała zakręty, jadąc środkiem drogi, mając zerową widoczność, nie przejmując się, że jakiś samochód mógłby jej wyskoczyć z naprzeciwka. Biała linia była już tylko wstęgą uniemożliwiającą passatowi zjechanie na drugi pas, jak taśma samoprzylepna, do której przykleiłby się jej samochód.

Dotarli na samą górę i wzbijając chmurę pyłu, minęli kilka aut stacjonujących na przydrożnym parkingu. Turyści, którzy fotografowali punkt widokowy, zaklęli na beznadziejnego kierowcę, ale Clotilde ich nie zauważyła. Szosa była pusta przez prawie kilometr. Po pokonaniu dziesięciu zakrętów w dół widać już było drogę nad urwiskiem Petra Coda.

Clotilde zobaczyła go.

Poczuła, jak pomarszczona ręka Cassanu zaciska się na pasie bezpieczeństwa, kiedy wbrew wszelkiej ostrożności docisnęła do końca pedału gazu.

Czerwone fuego pojawiło się jakiś kilometr niżej, u wyjścia z drogi nad zatoką Port'Agro, i powoli zbliżało się w ich kierunku. Kilkaset metrów dzieliło fuego od Petry Cody.

Wchodząc w pierwszy zakręt na czwórce, z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, Clotilde miała wrażenie, że obydwie lewe koła za chwilę uniosą się w powietrze i passat się wywróci; w ostatniej chwili

wykręciła kierownicę w drugą stronę, za bardzo, tracąc w ten sposób kolejne sekundy, mniej jednak, niż gdyby wrzuciła niższy bieg. Znow docisnęła stopą prawy pedał. Musiała skupić się na drodze, nie patrzeć w dal na zbliżający się czerwony punkt.

To było jednak niemożliwe. Jej córka, jej matka siedziały w środku.

Z początku wydawało jej się, że czerwony samochód zwolnił. Poczła nagły przypływ nadziei, która zgasła jednak równie szybko jak płomień zapalniczki na wietrze. Fuego przyspieszyło nagle i jechało coraz szybciej po długiej prostej linii, która kończyła się zabójczym zakrętem wiszącym nad urwiskiem Petra Coda.

Clotilde zrobiła to samo i niemal całkiem przestała hamować. Zostały jej do pokonania już tylko cztery zakręty, jechała, czepiając się nadziei, że zdąży na czas, że znajdzie się naprzeciw czerwonego samochodu, że zajedzie mu drogę, że ten w nią uderzy, zrzuci ją z urwiska do wąwozu, gdzie kiedyś ocalała. Nieważne, jeśli tylko to zderzenie uratuje jej matkę. Jej córkę.

Fuego nabierało prędkości z podobną równomiernością co rakieta na platformie startowej.

Podwyższyli barierkę, przypomniała sobie Clotilde, zauważyła to, kiedy pojechali tam położyć bukiety macierzanki. Drewnianą balustradę zastąpiono kamiennym murkiem półmetrowej wysokości. Samochód, nawet rozpędzony, wbije się w mur, obróci wokół własnej osi, może przekoziołkuje, poturla się dalej drogą pomiędzy murkiem a górami, niczym szalona kulka w swojej rynience, ale nie przeleci przez niego.

Dwa ostatnie zakosy, tylko trzysta metrów.

Za późno.

Za sekundę fuego z pełnym impetem uderzy w murek odgradzający go od dwudziestometrowej przepaści, najeżonej tysiącem skał, czerwonych od krwi, czekających niecierpliwie od dwudziestu siedmiu lat, by ugasić pragnienie.

Clotilde zamknęła oczy.

Fuego wciąż tam było, pod jej zamkniętymi powiekami, szybowało w powietrzu, jej ojciec chwycił rękę, która wydawała jej się ręką matki, Nicolas wolał się uśmiechnąć, umrzeć z uśmiechem na ustach.

Cassanu krzyknął, jedną ręką chwycił kierownicę passata i wykręcił ją w lewo. Samochód uderzył w zbocze, ścinając kolejne gałęzie kopru olbrzymiego, który rozprysnął się złotym deszczem na przedniej szybie. Nie zatrzymał się jednak, ledwo co zwolnił.

21.02

Rozpędzonym passatem koszmarnie trzęsło, opony podskakiwały na nierównościach i kamieniach zbocza. Clotilde wbrew sobie otworzyła oczy.

Zobaczyła, jak fuego zbacza nieznacznie z obranego kursu, jakby nie chciało zderzyć się czołowo z kamiennym murkiem nad przepaścią. Przez chwilę myślała, że szalony wóz otrze się i zadrapie o kamienie, że odpadnie mu błotnik, drzwi, ale zmęczy się, wyhamuje i się zatrzyma.

Nie. Niczego nie zrozumiała. Jakob Schreiber na pewno ze sto razy fotografował ten zakręt, studiował go, ćwiczył swoje salto.

Niemiec nie wjechał w barierkę, jak niegdyś jej ojciec, skierował fuego tuż obok, na drewniane bale sterczące nie nad skałami, ale nad zatoczką, w miejscu, gdzie spadek terenu był jeszcze bardziej stromy.

Drewniane bale pękły. Przez jedną nierzeczywistą chwilę fuego wisiało w przestworzach, w stanie nieważkości.

Clotilde wiedziała, że jej matka jest w środku. Że jej córka jest w środku.

Fuego spadło. Runęło w zawrotną przepaść, tam, gdzie dwadzieścia metrów niżej morze niestrudzenie rozbijało się o skały.

To był koniec.

21.02

Passat dotarł do drogi nad urwiskiem Petra Coda niecałe dziesięć sekund później. Clotilde zahamowała gwałtownie. Samochód wpadł w poślizg, przejechał parę metrów po szosie, a w końcu zatrzymał się na samym środku drogi, blokując innym przejazd.

Clotilde porzuciła go tam, nie włączwszy nawet świateł awaryjnych, nie zgasiwszy silnika i nie zaciągnąwszy hamulca ręcznego. Otworzyła brutalnie drzwi i rzuciła się w kierunku drewnianej balustrady wyłamanej parę chwil temu przez fuego.

Czerwony samochód unosił się na wodzie, dwadzieścia metrów niżej, miotany wirami niczym korek wśród wystających skał. Nie sposób było z tak daleka ocenić stan karoserii, ale Clotilde wyobraziła sobie, że na pewno odbił się od skał, raz, dwa razy, dziesięć razy, mimo dużej prędkości szanse były niewielkie, że wpadł prosto do wąskiej i głębokiej zatoczki, w której sekunda po sekundzie coraz bardziej się pogrążał.

Fuego było już w dwóch trzecich zanurzone w morzu.

Jeszcze dwie czy trzy sekundy i definitywnie zatonie w turkusowej wodzie. Ku swojemu zaskoczeniu zaczęła żywić nadzieję, że Valentine i mama zginęły na miejscu, pod wpływem uderzenia, że nie zaznają powolnej agonii tonięcia.

Oczy paliły ją od wpatrywania się w ledwie widoczną nad powierzchnią wody blachę.

O Boże!

Tylko tylna szyba, zmywana falami, wystawała jeszcze z wody. Clotilde wydało się, że widzi w środku dwie sylwetki, dwa miotające się gorączkowo cienie.

Złudzenie?

Nigdy się tego nie dowie. Po chwili na powierzchni wody nie było już nic więcej prócz radosnej piany, która odzyskała swój plac zabaw i w najlepsze znowu bawiła się rozrzucaniem tysięcy ulotnych bąbelków na nagich skałach.

– Odsuń się!

Clotilde odsunęła się. Bez zastanowienia.

Cassanu podszedł na sam skraj urwiska. Po czym skoczył.

Jak w migawce Clotilde przypomniawszy sobie dawną rozmowę z dziadkiem: „Wszyscy młodzi Korsykanie skakali z tego miejsca, twój dziadek był najodważniejszy ze wszystkich”. Przygryzła wargi do krwi.

Czy ciało mogło po tylu latach pamiętać ten idealny balans, jaki należało osiągnąć, by skoczyć z wysokości dwudziestu metrów i nie roztrzaskać się o powierzchnię wody? Zachować tę zdolność koncentracji niezbędną, by panować nad własnym lotem w dół, by dobrze wycelować, by sięgnąć morza, nie zahaczywszy o szczęki klifu rozwarte jedynie na kilka metrów? Pozostać na tyle dalekowzrocznym, by tuż przed zderzeniem z wodą przewidzieć głębokość basenu i uniknąć zanurzonych części czerwonych icebergów wyrastających z morza niczym pale z fosy?

Tak.

Tak, ciało Cassanu niczego nie zapomniało.

Czy to przypadek, łut szczęścia, czy rzeczywiście dziadek był kiedyś niezwykle skoczkiem? Oddał idealnie prosty skok, tuż nad granitowymi iglicami, po czym zniknął w wirach dokładnie w tym miejscu, w którym przed chwilą zatonało fuego.

A potem nic.

Przez wiele ciągnących się w nieskończoność sekund Clotilde nie widziała nic więcej. Cassanu nie przeżył skoku, poświęcił swoje życie, nie skoczył, żeby je uratować, zabił się, by nie musieć mierzyć się z własnym poczuciem winy.

Za jej plecami zawyły syreny. Słysząc było odgłosy zatraskiwanych drzwi samochodowych. Asfaltowa szosa rozbrzmiała nerwowym dreptaniem. Clotilde niechętnie odwróciła głowę, na chwilę, tylko na chwilę, po czym ponownie zajęła się przeszukiwaniem wody wzrokiem.

Liczyła się tylko powierzchnia tego turkusowego basenu.

Módl się módl się módl się.

Módl się, żeby ujrzeć wynurzające się na powierzchnię ciało, głowę, rękę.

Nowo przybyli kłębili się za jej plecami. Clotilde zdążyła rozpoznać wśród czterech czy pięciu umundurowanych żandarmów kapitana Cadenata, sierżanta Cesareu Garcíę, jego córkę Aurélię i Francka.

Franck zrobił, co trzeba. Zaalarmował gliniarzy, przyjechali szybko; ale cóż znaczyła ich zdolność szybkiego reagowania? Dotarcie na miejsce o minutę za późno oznaczało wieczność.

Franck ujął ją za rękę. Clotilde nie broniła się.

Wieczność.

Morze Śródziemne nigdy nic nie oddaje.

Serce Clotilde zaczęło walić jak szalone.

– Tam!

Ze spienionych wirów wyłonił się tułów jej dziadka; Cassanu trzymał

w ramionach ciało. Clotilde widziała jego rozpaczliwe wysiłki, żeby wydzwignąć je na powierzchnię. W końcu jej głowa, jej szyja, jej ramiona wynurzyły się.

Valou!

Żywa.

Długie ciemne włosy córki unosiły się na wodzie wokół twarzy niczym macki ośmiornicy. Franck jeszcze mocniej ścisnął rękę Clotilde. Valou nie kasłała, nie wypluwała słonej wody z płuc, jej usta były zaklejone plastrem.

– Kurwa! – wrzasnął jej mąż. – Ma zakneblowane usta, jest związana, nie przeżyje!

Skały na dnie zatoczki były zbyt strome, niemal pionowe, bez wystających nierówności. Cassanu, a tym bardziej Valou, nie mogli się ich chwycić.

Stary Korsykanin zanurkował z powrotem.

Valou unosiła się na wodzie na tyle, na ile mogła, rzucając oszalałe spojrzenia, pomagając sobie zapewne nogami – Clotilde nie wiedziała, czy też są związane, czy nie, żeby utrzymać się na powierzchni.

– Nie przeżyje – powtórzył Franck. – Do kurwy nędzy, zrzućcie jej linę, koło ratunkowe, cokolwiek!

Żandarmi spojrzeli po sobie. Skonsternowani. Popędzili do swych furgonetek, jak tylko Franck do nich zadzwonił, w związku z porwaniem nastolatki, a nie w związku z operacją ratunkową na morzu. Nigdy by nie pomyśleli... Czekano na strażaków, zostali wezwani, już jechali.

Valou rozpaczliwie usiłowała utrzymać się w pozycji poziomej na powierzchni wody, ale miotaly nią zbyt silne fale, które na koniec rozbijały się na skałach. Każda mogła ją zatopić, przykrywała, ale Valentine wyłaniała się znowu, gdy tylko skłębiony wir się przetoczył.

Starła się utrzymać.

Jak można przytrzymać się pustki? Cieczy?

Clotilde wrzasnęła, skoro nie mogła krzyczeć jej córka.

– Do cholery jasnej, żaden z was nie skoczy?

Mężczyźni się wahali.

Prześwit w klifie był wąski, stromizna zawrotna, skały wystające z wody tak liczne, że trzeba by być zawodowym skoczkiem, by zaryzykować. Nawet wprawny amator nie miał żadnych szans skoczyć tak, by się nie zabić, nie zahaczyć o ścianę.

Franck pierwszy przeszedł przez barierkę.

– Na pewno można jakoś zejść. Znaleźć jakąś drogę, skoczyć z niższej wysokości.

Zsunął się na poślądkach kilka metrów w dół, przytrzymując się gałęzi nielicznych jałowców rosnących między skałami. Czterej gliniarze poszli za jego przykładem.

– Prędko! – krzyknęła znowu Clotilde.

Dziadek właśnie ponownie się wynurzył. Wyglądał na wyczerpanego, krztusił się od kaszlu, pluł wodą, krwią, flakami, ale trzymał kolejne ciało. Ostatkiem sił wydostał je na powierzchnię wody.

Mama!

Z zamkniętymi oczami. Bez życia.

Ale oddychała, na pewno oddychała. Jeśli dziadek tak starał się utrzymać ją przy życiu, ocalić kobietę, której tak nienawidził, którą skazał na dożywotnie więzienie, to dlatego, że żyła!

Tym razem Cassanu nie zanurkował z powrotem. Wsunął łokieć pod ramię Palmy, tak jak się holuje toból, który tylko połowicznie unosi się na wodzie, jak sflaczały materac, jak zbyt obciążone balastem koło ratunkowe. Drugą ręką usiłował dosięgnąć Valentine.

Wytrzymają tak tylko parę chwil.

Franck i żandarmi utknęli na zboczu. Próba zejścia to był najgorszy pomysł. Bez sprzętu powrót na górę był niemożliwy, więc, jak tylko skończyły się krzaki, których mogliby się przytrzymać, znaleźli się w pułapce. Ściany były prawie pionowe, ale wisiały nad innymi skałami. Nie można było skoczyć. Jedyna szczelina otwierająca się na zatoczkę, nieważne jak wąska, znajdowała się na wysokości szosy. Dopiero teraz zdali sobie z tego sprawę. Za późno. Musieli wrócić na górę.

Wciąż ani śladu strażaków.

To koniec, pomyślała Clotilde.

Skoro to i tak koniec... Ostatecznie Cassanu się udało.

Zbliżyła się, wzięła rozbieg. Nigdy w życiu nie skakała do wody z wysokości większej niż trzy metry...

Nieważne.

Czyjaś ręka przytrzymała ją stanowczo, chwytając za prawy nadgarstek.

Ręka olbrzyma, której nie stawia się oporu. Sierżant Cesareu Garcia nie puścił jej, nie odezwał się, zadowolił się spojrzeniem, które oznaczało: Nie, wystarczy tego, dosyć już trupów, kolejna ofiara w niczym nie pomoże.

Już tylko ich troje stało przed połamaną barierką.

Cesareu, Aurélia i ona.

– Niech pan mnie puści.

Szarpnęła się, sierżant nie ustąpił. Clotilde czuła, że za moment wpadnie w histerię, musiała działać, nie mogła pozwolić, by jej córka, jej matka zginęły w ten sposób.

– Słyszysz? – odezwała się Aurélia.

Słyszysz co?

Od morza wiał wiatr. Może spychał w stronę gór dźwięki syreny strażackiej? Wytężyła słuch. Nic nie było słychać. Nic oprócz wiatru, który wiał coraz mocniej

– takie przynajmniej odniosła wrażenie – który formował coraz wyższe, coraz silniejsze, coraz bardziej zabójcze fale.

Spojrzała w dół.

Cassanu dosięgnął ramienia Valou, wciąż trzymał mocno Palmę, byli tam wszyscy troje, ściśnięci jak baloty, które wypadły z frachtowca. Rozpaczliwie usiłowali utrzymać się na wodzie, ściągani na dno, tonęli, wynurzali się znowu, targani falami, przemoczeni, wyczerpani. Mieli tylko jedną nadzieję: wytrzymać, wytrzymać, wytrzymać.

Wytrzymać po co? Ile jeszcze? Kto mógł im podać rękę?

– Słyszysz? – powtórzyła Aurélia.

Clotilde wyrzucała to sobie przez długie lata. Nigdy tak naprawdę nie otrząsnęła się z tego uczucia upokorzenia: Aurélia rozpoznała ten odgłos przed nią, choć praktycznie nigdy go nie słyszała. Odgłos tego silnika.

W tej chwili, pod wpływem silnych emocji, Clotilde tylko wrzasnęła.

Wrzasnęła z całych sił.

– Tam! Tam!

I krzyknęła w stronę dziadka:

– Wytrzymajcie! Na miłość boską, wytrzymajcie, jesteście uratowani!

Jakieś sto metrów dalej, zza ostatniego skalnego cypla, który zasłaniał resztę półwyspu Revellata, grotę Veaux Marins, latarnię morską i Punta Rossa, wyłonił się mały stateczek.

Większy od łodzi, mniejszy od prawdziwego kutra rybackiego.

„Aryon”.

Płynął na pełnej mocy silnika, prując fale, z łatwością omijając slalomem wierzchołki podwodnych skał, które zdawał się znać na pamięć. Z Natalem w czerwonej wiatrówce, z rozwianymi na wietrze blond włosami, u steru.

Nigdy serce Clotilde nie biło tak mocno.

W kilka sekund Natale znalazł się obok trzech wynurzonych z wody ciał, wyłączył silnik i wychylił się, żeby chwycić najpierw Valentine.

Nie było to łatwe, potężne fale zaczęły rzucać stateczkiem, jak tylko silnik przestał pracować; Valou, skrepowana, nie była w stanie mu pomóc. Tylko Cassanu mógł popychać ciało nastolatki, ryzykując, że wypuści Palmę. Natale przechylił się nad relingiem tak, że omal nie wypadł z pokładu.

W końcu udało im się wciągnąć Valentine na dno łodzi.

Kolej Palmy.

Ruszała się. Ruszała się teraz. Na tyle, żeby jej ciało nie było jak zwykły tłumok, który trzeba podźwignąć do góry. Pomagała im najlepiej, jak mogła, skuliła się, Cassanu Idrissi objął od spodu jednym ramieniem jej talię, drugim uda, uniósł ją na wysokość rąk Natalego, tak jak nowożeniec przenosi swą oblubienicę przez próg domu, w którym mają przeżyć całe życie.

Clotilde odniosła wrażenie, że właśnie wtedy ich spojrzenia się spotkały. Że z ich ust padły jakieś słowa.

Na ustach dziadka wyczytała: „Przepraszam”.

Na ustach matki wyczytała: „Dziękuję”.

To było głupie, wargi matki były zakneblowane.

Ułożona na pokładzie „Aryona”, Palma dołączyła do swojej wnuczki.

Uratowane!

W końcu Natale wyciągnął rękę do Cassanu.

Przez niemal siedem minut dziadek walczył z morzem, z falami, z prądem, ze skałami.

To nie była równa walka. A jednak mu się udało. Wytrzymał.

Potem starcowi zabrakło sił.

Tak przynajmniej orzekli żandarmi, taki właśnie tytuł dali na pierwszą stronę gazet już następnego dnia korsykańscy dziennikarze, tak właśnie opowiadali z ogromną dumą myśliwi w barze na kempingu, tak właśnie nawet miała przez całe życie mówić Valou i Palmie Clotilde, za każdym razem, kiedy pytały ją, jak to się wszystko skończyło.

Dziadek walczył do ostatniego tchu.

Nigdy żaden świadek nie opowiedział tego, co, jak mu się zdawało, zobaczył.

Natale Angeli wyciągał do niego rękę. Była zaledwie o kilka centymetrów od ręki Cassanu.

Nie schwycił jej. Osunął się na dno.

21.30

Rzadko się zdarzało, by jednocześnie tylu ludzi znajdowało się na drodze nad urwiskiem Petra Coda.

Od co najmniej dwudziestu siedmiu lat nigdy.

Stacjonowały tam w największym bałaganie trzy wozy strażackie, dwie karetki, cztery furgonetki żandarmerii, ogromna liczba aut należących do turystów, którzy utknęli na jedynej drodze łączącej Ajaccio z Calvi, tylko nielicznym motorom i wieczornym sportsmanom, biegaczom i rowerzystom udawało się przecisnąć na zwolnionym biegu przez blokadę, a i oni odwracali głowy w kierunku przepaści.

Strażacy spuścili drabinę linową i zabezpieczali ją, wwiercając w skały stalowe zaczepy, ponton żandarmerii morskiej przeszukiwał wody zatoczki, w miejscu, gdzie zniknął Cassanu, na próżno. „Aryon” został solidnie przycumowany za pomocą stalowych łańcuchów, wzmacniających poliestrowe liny. Do tak ustabilizowanej łajby można było zbliżyć drabinę linową, a także wciągarkę i powoli Valentine oraz Palma wspięły się na górę, asekurowane przez ratowników zaprawionych w akcjach z użyciem helikoptera na korsykańskim szlaku pieszym GR 20.

Tak eskortowane dotarły do szosy, zmuszone niemal przeciskać się przez żywopłot gapiów, gliniarzy i bliskich: *Proszę się cofnąć, proszę się cofnąć*. Wnuczkę i babcię okryto złotymi kocami termicznymi. *Wszystko w porządku, wszystko w porządku*, stwierdził szybko lekarz pogotowia ratunkowego, który przypominał młodego Harrisona Forda, ale uparł się jednak, żeby przetransportować je do szpitala w Ajaccio. Karetka stała z otwartymi na oścież drzwiami, z wysuniętymi noszami, z włączonym silnikiem, kierowca pociągał peta, gotów ruszyć w każdej chwili. Palma uniosła zmęczoną rękę: *Ostrożnie, ostrożnie*. Clotilde ledwie zdążyła uściskać córkę i matkę, nim rozdzielili je sanitariusze: *Później, proszę pani, później*.

Natale jako ostatni dostał się na szosę po drabince linowej, bez pomocy wciągarki i bez eskorty. Cesareu Garcia pomógł mu, kiedy był już na ostatnim szczeblu, pewny uścisk dłoni, żeby wciągnąć go na górę, szczere klepnięcie po plecach, fizyczne, męskie, niemal milczące gratulacje: *Dobra robota, chłopie*,

takie, co wystarczają wycieńczonym mężczyznom, którzy wracają po wielkim wyczynie, wychodzą na powierzchnię z płonącego szybu czy schodzą z boiska jako zwycięzcy.

Franck oddalił się parę metrów w kierunku samochodów, by przynieść Valentine suche ubranie, sweter, spodnie, trampki.

Aurélia rozmawiała z Harrisonem Fordem, przybierając pozę przejętej pielęgniarki, która radzi sobie z sytuacją w sposób kompetentny i pełen współczucia.

Clotilde, choć wcale tego nie zaplanowała, znalazła się naprzeciw Natalego. Dzielili ich niecałe trzy metry. Wydał jej się niewiarygodnie seksowny, w tej swojej wiatrówce z rozsuniętym aż do pępka zamkiem błyskawicznym, z tymi swoimi niebieskimi oczami smaganymi pełnymi soli włosami, z tym swoim uśmiechem cichego bohatera. Poczwała nieodpartą chęć, by rzucić mu się na szyję, spontaniczny poryw, naturalny, oczywisty impuls, żeby wykrzyczeć mu do ucha *Dziękuję, dziękuję, dziękuję*, wyznać mu, że zawsze wiedziała, że odczepi cumy, że „Aryon” znów pozegluje, że wystarczy tylko zejść z powrotem po drabince linowej, postawić żagle, odpłynąć. Jej córka, jej matka były uratowane; odnalazły się. Sprawa załatwiona. Czas odbić od brzegu.

Zrobiła krok naprzód.

Jej chęć, by mocno przywrzeć ciałem do ciała Natalego, była dzika, zwierzęca, jakby tylko on jeden miał ową mieszaninę siły i spokoju zdolną wszystko ukoić.

Aurélia zostawiła Harrisona Forda i zrobiła dwa kroki.

Franck powierzył suche ubrania córki pierwszemu sanitariuszowi, którego spotkał, i zrobił trzy kroki.

Cesareu Garcia cofnął się, jak sędzia podczas zapasów, który zostawia ring zawodnikom.

– Natale! – krzyknęła Aurélia.

Nie poruszył się.

– Clo! – krzyknął Franck za jej plecami. – Clo!

Nie poruszyła się.

– Clo. Valou chce się z tobą widzieć.

Zawahala się.

– Ma coś... coś ważnego do przekazania tobie.

Kierowca otwartej na oścież karetki wypluł peta. Nadchodził sanitariusz z noszami. Zaczynał zapadać zmrok. Wozy strażackie już się zwijały. Ponton gliniarzy zataczał coraz szersze kręgi, przeszukując dalej położone obszary morza.

Serce Clotilde przesłoniła mgła.

Cóż innego mogła zrobić? Porzucić własną córkę?

Odwrociła się.

Valou i Palma siedziały jedna obok drugiej, z identycznymi złotymi kocami na udach, z identycznymi białymi ręcznikami okręconymi wokół głowy, w tej samej zgarbionej pozycji. Ich podobieństwo było zdumiewające.

– Tak, Valou?

– Mamo, mam... mam coś dla ciebie...

Valentine wstała, zachwiała się lekko i wyjęła plastikową torbę, którą ścisnęła między nogami, pod kocem. Zawahała się, po czym pochyliła się w stronę babci.

– Nie... To pani... to pani powinna go jej dać.

Głos Palmy drżał, z trudem wymówiła kilka sylab, przetykając ślinę i robiąc długie pauzy.

– Mów... mi... ty... ty... lub... bab... ciu...

Zdołała się uśmiechnąć, przytrzymała na kolanach tajemniczą plastikową torbę, nie wypuszczając z rąk dłoni wnuczki.

Clotilde podeszła.

Ich sześć rąk połączyło się, trzymając wspólnie paczuszkę, szeleszcząc nią niczym grzechotką z pomiętego papieru. Palma znów wysiliła głos.

– To... two... je...

Palma i Valou rozwarły dłonie. Płakały, obie płakały.

Clotilde powoli odpakowała prezent, nie rozumiejąc, co może wywoływać takie wzruszenie. Przez prześwitujący plastik dostrzegła najpierw niebieski wyblakły kolor; potem wyczuła pod palcami prostokątny kształt, książkę, miękką, nie, nie książkę, sądząc po objętości, raczej zeszyt.

Plastikowa torba pofrunęła w stronę Revellaty, ale nikt nie rzucił się, by ją złapać.

Dziennik z wakacji. Lato 89

Pismo na okładce zeszytu z czasów jej wczesnej młodości wciąż było czytelne.

Otworzyła go z największą ostrożnością, tak jak odkrywca, który rozwija zwoje papirusu znalezione w grobowcu faraona.

Poniedziałek 7 sierpnia 1989 roku, pierwszy dzień wakacji

Jestem Clotilde.

Przedstawiam się, bo to minimum grzeczności, nawet jeśli mi jej nie odwzajemnisz, ponieważ nie wiem, kim jesteś, ty, który mnie teraz czytasz.

Moim ukochanym, jedynym, tym, którego wybrałam na całe życie, któremu powierzę rano, trzęsąc się po moim pierwszym razie, swój dziennik intymny z lat dojrzewania?

Jakimś palantem, który go znalazł, bo skoro jestem bałaganiarą, musiało mi się to przydarzyć?

Z oczu Clotilde płynęły obficie łzy. Litery, słowa, linijki były całe, tylko

zagięte od wilgoci na brzegach, poślizgnięte w rogach, przeistaczały jej dziennik intymny w starą księgę czarów. Clotilde miała przez chwilę wrażenie, że spotkała samą siebie, samą siebie sprzed dwudziestu siedmiu lat, tak jak dwie bohaterki tej samej historii, opowiadające dwa równoległe losy, na koniec spotykają się w ostatnim rozdziale.

Valou rzuciła jej spojrzenie pełne dumy.

– Ocaliłam go, mamó. Ocaliłam go!

Płakały, płakały wszystkie trzy.

Czyjeś ramię objęło ją w talii, czyjaś ręka spoczęła pod jej piersią.

Franck.

Odwróciła się, musnęła ciało męża, oparła na nim głowę; Franck mógł to wziąć za oznakę czułości, ale ona tylko spoglądała mu przez ramię.

Aurélia wtuliła się w Natalego, schroniła w jego otwartej wiatrówce.

Clotilde przycisnęła delikatnie zeszyt do serca.

12.00

Lisabetta, rozbawiona, obserwowała tłum zebrany na podwórzu w Arcanu. Słońce stojące w zenicie przypiekało odświętnie ubranych ludzi, każdy szukał skrawka cienia dla osłony. Ale nie znajdował. Dali się wszyscy złapać w pułapkę. Cassanu byłby zachwycony.

Nigdy nie znosił tych ponurych inscenizacji, za którymi wciąż jeszcze przepadają niektórzy Korsykanie, kobiet w czerni wyśpiewujących żałobne pieśni, *lamenti* i *voceri*, wszystkich tych mitów dla odpędzenia śmierci, zaciągania zasłon w domu zmarłego, zasłaniania prześcieradłami luster. Cassanu nie chciał żadnej z tych rzeczy w dniu swojego pogrzebu, Lisabetta mu to obiecała.

Dotrzymała słowa.

Ale nie można było zapobiec przyjściu ludzi.

Wielu, zaciekawionych, milczących. Lisabetta patrzyła, jak spływają po nich całe litry potu, wyobraziła sobie, że pod ich stopami tworzą się od tego kałuże, strużki ściekające aż do Morza Śródziemnego.

Na podwórzu farmy nie było ani skrawka cienia.

Tłum czekał, przytłoczony palącym słońcem.

Wszyscy byli więźniami na tym podwórzu zamienionym w piec. Jak gdyby Korsyka brała na nich odwet.

Powoli, bardzo powoli, tłum ruszył.

Najpierw trumna, niesiona przez Orsu, Miguela, Simeonego i Tonia, najbliższych kuzynów. Jeden za drugim, jak ziarenka piasku w klepsydrze, członkowie zgromadzenia podążyli za nią, opuścili Arcanu w zbitym orszaku i weszli na szlak prowadzący nad urwisko na skraju morza i dalej do cmentarza Marcone. Wyglądało to, jakby niebywale długa czarna gąsienica pełzała powolutku do przodu. Na szlaku mieściły się obok siebie najwyżej dwie osoby, nie sposób było zachować odstępów, nie można było oddychać. Dopiero na ścieżce nad samym morzem, na ostatnim z trzech kilometrów, które musiał pokonać orszak żałobny z farmy do grobowca, dzięki nieśmiałej bryzie marsz stał się bardziej znośny. Kolumna rozciągała się na całej trasie; gdy trumna dotarła do cmentarza Marcone, ostatni przybysze nie opuścili jeszcze rozgrzanego podwórza w Arcanu.

Czekając w tłumie anonimowych osób, można było się zabawić, szukając

prefekta, czterech radców generalnych, siedmiu członków Zgromadzenia Korsyki, prezesa federacji łowieckiej Górnej Korsyki, dyrektora Parku Regionalnego... Tak, Korsyka Cassanu brała odwet. Im wyższej rangi był dygnitarz, tym ciaśniejszą miał na sobie koszulę, tym bardziej dopiętą marynarkę i wypolerowane buty, i tym bardziej cierpiał od upału, zazdroszcząc dzieciom w szortach, skąpo odzianym dziewczynom, kumplom w T-shirtach, którzy szli na cmentarz tak, jak się idzie grać w bule.

Jak ostatnie oko puszczone przez Cassanu na znak sprzeciwu wobec ustalonego porządku!

Większa część tłumu wciąż czekała w saunie podwórza w Arcanu.

Dąb był nagi. Lisabetta myślała o tym od lat; każdego dnia, godzinami, obserwując z okna kuchni ogromny zielony dąb na środku podwórza, wyobrażała sobie, że ceremonia może odbyć się tylko tak. Poprosiła Cassanu, żeby zapisał to w swoim testamencie.

Żadnych kwiatów, żadnych wieńców.

Dla wszystkich, dla niej, dąb w Arcanu, dąb półwyspu Revellata, to był Cassanu. Więc tak, jak to sobie obiecała, każdemu z przyjaciół, każdemu z gości, każdej z osób przybyłych złożyć hołd jej mężowi Lisabetta podarowała gałązkę zielonego dębu do położenia na grobie. Ponad tysiąc ludzi stało stłoczonych wokół pnia, który nie mógł dać im cienia, o jakim marzyli.

Wszystkie gałęzie trzystuletniego drzewa zostały ścięte.

Dąb stał ogołcony niczym w środku zimy. Sam szkielet. Olbrzymi odarty z ciała kościotrup.

Tego właśnie chciała Lisabetta. Ci afektowani ludzie byli bez znaczenia, bez znaczenia było, ilu ich jest, w rzeczywistości tylko to drzewo będzie nosiło żalobę.

Przez jedno lato.

A za kilka miesięcy zakwitnie znowu. Wówczas Arcanu będzie mogło odżyć. Na setki lat, bo przecież Cassanu i ten dąb byli jednym. To nie krew płynęła w jego żyłach, lecz roślinny sok. Sok Idrissich, od niepamiętnych czasów.

Lisabetta, pod wrażeniem, wciąż obserwowała taniec gałęzi niesionych przez tysiące czarnych mrówek. Ostatni uczestnicy procesji opuszczali podwórze. To właśnie ona zamknie pochód, tak postanowiła. Przed wyjściem z farmy Lisabetta rzuciła okiem na swój kwietnik, którego żaden z gości nie ośmielił się podeptać, na swój mały ogródek, na tych kilka kwiatów, które podlewała każdego ranka.

Pomyślała, że w dniu jej śmierci wystarczy na grobie jedna orchidea.

»

Lisabetta małymi kroczkami torowała sobie drogę wśród tłumu, który nie posuwał się do przodu, zablokowany już na pierwszym kilometrze: ci, którzy dotarli na miejsce jako pierwsi, mieścili się z trudem na maleńkim cmentarzu, więc

reszta procesji utknęła z tyłu; tłum rozstępował się jak podczas najpiękniejszego i najwolniejszego rajdu Korsyki. Brakowało tylko, by wachlował ją gałązkami dębu, wykrzykując alleluja. Nikt się nie ośmielił.

Przeprawa zajęła wdowie niemal godzinę.

Wznoszący się nad zatoką Revellaty grobowiec był otwarty. Pomimo piękna panoramy Lisabetta nie lubiła tych grobowców, zwłaszcza monumentalnych grobowców wielkich rodów. Pomimo całego ich przepychu, ich greckich kolumn czy osmańskich kopuł, były jedynie przestronnymi szafami, w których pokolenia piętrzyły się w szufladach. Pewnego dnia podzieli na zawsze z Cassanu piątą szufladę po prawej, licząc od dołu. Pochowana w należyтым porządku wraz z jego rodzicami, dziadkami, pradziadkami, prapradziadkami leżącymi na dolnych piętrach. Z ich synem, który na nią czekał wyżej.

Wkładam ją do szuflady, mówi mi, że tam mroku zbyt wielkie pokłady

Przegnała z myśli tę głupią piosenkę z dzieciństwa.

Ruszyła wolno w kierunku grobowca. Naturalnie to ona jako pierwsza rzuci gałązkę dębu na trumnę, postanowiła jednak podzielić się tym zaszczytem. Z wysiłkiem pokonała ostatnie metry, a przynajmniej tak sądził oczekujący niecierpliwie tłum. Lisabetta obróciła głowę w prawo, a Speranza w lot zrozumiała, dała krok do przodu i wzięła ją pod ramię, by jej pomóc. Ona też jako pierwsza podejdzie do mauzoleum.

Spoczywała tu jej córka, Salomé.

Lisabetta obróciła szyję w lewo i wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu zaprosiła Palmę, by się do nich przyłączyła, by wzięła ją z drugiej strony pod ramię.

Spoczywał tu jej mąż, Paul.

Podtrzymując się nawzajem, trzy kobiety podeszły do trumny.

Lisabetta podjęła się zadania. Wpadła na ten pomysł wczoraj, myślała nad nim całą noc. Doprowadzić do pojednania Palmy i Speranzy, choćby tylko na czas ceremonii. Zaprowadzić pokój. Kobiety na Korsyce mają ten dar.

Razem, jednocześnie, rzuciły swoje gałązki. Zielone liście wylądowały cicho na polakierowanych deskach, jakby dębowa trumna, za sprawą czystej magii, ożyła, zakwitła, zazieleniła się i jakby miano ją tak zostawić, w ziemi, nie zamykając w marmurowej szafie, do następnej wiosny; deski zamieniłyby się w pień, wypuściły korzenie, urodziły żołądź, zagnieździłyby się w nich rybołowy. Za nimi podeszli Clotilde i Orsu, trzymając się za ręce. Brat i siostra połączeni przez los, który być może miał do siebie żal za to, że ich osierocił. Nieśli we dwoje tylko jedną gałązkę, wsuniętą w prawą rękę Orsu, jedyną, którą mógł się posługiwać, jak dwoje zakochanych splatających palce wokół jednego kwiatu.

Po nich zaczęli podchodzić pozostali.

Ścięte gałęzie utworzyły górę, stary nagi dąb ofiarował wszystkie swoje

odcienie zieleni, od barwy mchu po tony jadeitu, od koloru porostów po barwy szkła mlecznego, jak gdyby obojętny na czerń ubiorów i na biel grobowca pragnął rzucić wyzwanie jedynie odcieniom błękitu Morza Śródziemnego i czerwieni skał Revellaty.

Wśród anonimowych osób i oficjeli, których twarzy i rangi często nie znała, Lisabetta rozpoznała niektóre osobistości, które były jej drogie lub których historię poznała, historię związaną z jej własną.

Anika stała długo nad grobem, niepokieszona. Poprzedniego dnia na tym samym cmentarzu, wraz z towarzyszącym jej dziesięciokrotnie mniej licznym tłumem, pochowała swojego męża. Lisabetta długo z nią rozmawiała, radziła jej zostać i nadal prowadzić kemping Euproctes. Zobacz, zobacz...

Maria-Chjara Giordano wyglądała pięknie i godnie, ubrana cała na czarno, od okularów po buty, od koronek sterzących ze skromnego dekoltu po obu goryli stojących u jej boku.

Franck rzucił swoją gałązkę skromnie, szybko, dyskretnie, po czym stanął nieco z tyłu, zostawiając Valentine samą. Nastolatka trwała w bezruchu przez całą wieczność, patrząc pustym wzrokiem; nie płakała, zdawało się, iż jej oczy mają moc przenikania desek trumny. Oglądania przez nie swej przeszłości. Ojciec musiał pociągnąć ją za rękaw, żeby zgodziła się odejść.

W końcu podeszła Aurélia u boku Cesareu Garcii. Sierżant był jedynym gościem, któremu oszczędzono oczekiwania w Arcanu, marszu szlakiem, wspinaczki do mauzoleum, ale i tak ciemna koszula emerytowanego żandarma cała pokryta była białymi i suchymi śladami potu.

Aurélia oddaliła się, idąc pod ramię z ojcem, posłała uśmiech Lisabecie, po czym zwróciła spojrzenie ku morzu.

Byli tam wszyscy.

Tylko Natale odmówił.

»

Tłum powoli się rozprasał. Po wyczałowaniu Lisabetty, co zabrało jej dłuższą chwilę, Clotilde oddaliła się w stronę ławki z widokiem na Morze Śródziemne. Siedziała na niej w milczeniu Palma. Mimo upału okryła ramiona cienkim czarnym jedwabnym szalem z kwiatowym wzorem dzikiej róży. Valentine usadowiła się obok niej, stukając palcami w ekran swojego telefonu komórkowego. Czy w swym więzieniu jej babka słyszała, że wynaleziono takie uzależniające nastolatki urządzenie?

Jej matka nie wiedziała tylu rzeczy. Ona nie wiedziała tylu rzeczy o swojej matce. Miały teraz mnóstwo czasu, żeby na nowo się ze sobą oswoić. To nie będzie łatwe. Od kiedy odzyskała wolność, Palma mówiła niewiele, niewiele opowiadała, najczęściej milczała. Słuchała.

Miała sześćdziesiąt osiem lat, była zmęczona tym nagłym światłem, hałasem, krzątaniem, pytaniami, wszystko działało się dla niej za szybko, musiała przyswoić zbyt wiele informacji. Zbyt wiele nazwisk, zbyt wiele imion.

Mylili się jej. Kiedy widziała Valentine, swoją wnuczkę, mówiła do niej Clotilde, jak gdyby czas się zatrzymał i stał w miejscu przez wszystkie lata jej niewoli, jak gdyby jej piętnastoletnia córka się przeobraziła.

Przeobraziła się tak, jak tego pragnęła. W córkę, która jest do niej podobna.

Clotilde miała to w nosie. Dzisiaj była spokojna.

Stała przy ławce, na której siedziały jej matka i córka, z oczami zwróconymi w stronę morza.

– On... odszedł – odezwała się Palma.

Clotilde myślała w pierwszej chwili, że jej matka mówi o Cassanu, potem zorientowała się, że ona też patrzy w dal za latarnią morską Revellaty.

Jakiś statek oddalał się od brzegu, obie rozpoznawały „Aryona”, przy sterze można było się domyślić pochylonej sylwetki Natalego Angelego.

– On... odszedł – powtórzyła Palma.

Po raz pierwszy, odkąd znalazła się na wolności, jej matka wypowiedziała gładko parę słów.

– Ja... dużo... o nim myślałam... Miałam... czterdzieści lat... kiedy weszłam do... swojego ciemnego pokoju... byłam wciąż... piękną kobietą... jak sądzę... Miałam lustro... zmusiłam się, żeby zapomnieć o... Natalem... Najbardziej... bałam się... że znów mnie zobaczy... Czas jest okrutny... niesprawiedliwy... dla kobiet... mężczyzna... pięćdziesięciopięcioletni... nie... kocha... kobiety... siedemdziesięcioletniej...

Clotilde nic nie odpowiedziała.

Co mogła odpowiedzieć?

Oddała się po prostu kontemplacji upajających widoków, tak jak uwielbiała to robić, pozwoliła swoim oczom błąkać się, zatrzymując najpierw na krzyżu Austriaków na szczycie Capu di a Veta, potem na cytadeli w Calvi, następnie, niżej, na Euproctes, na plażach Alga i Oscelluccia, na ruinach mariny Roc e Mare, na latarni morskiej Revellaty.

– Patrz, mamó – rzuciła Valentine, która w końcu podniosła oczy nad ekranu komórki.

– Co?

– Tam, na pełnym morzu, w prostej linii za latarnią.

Nic nie widziała.

– Niedaleko „Aryona”. Cztery czarne punkty.

Clotilde i Palma mrużyły oczy, nic nie dostrzegając.

– To one, mamó! Orofin i Idril, i Galdor, i Tatië. Twoje delfiny!

Clotilde doznała szoku, przez chwilę zastanawiała się, skąd Valentine zna te

imiona z jej dzieciństwa, aż wreszcie do niej dotarło. Zeszyt, oczywiście, ten zeszyt z letnich wakacji w 89 roku, jej córka przeczytała go, siedząc z zakneblowanymi ustami we fuego.

– Jestem tego prawie pewna, mamó! Nic dziwnego. Rozpoznały „Aryona”.

Czy jej córka, zwykle tak poważna, była zdolna wymyślić coś takiego? Delfiny, w tym samym miejscu, rozpoznające odgłosy silnika tego samego statku, dwadzieścia siedem lat później?

– Delfiny żyją ponad pięćdziesiąt lat – upierała się Valentine – i mają niewiarygodną pamięć, pamiętasz, mamó: „Najlepsza pamięć miłosna ze wszystkich ssaków. Zdolne rozpoznać partnerkę tylko po dźwięku jej głosu po ponad dwudziestu latach rozłąki”.

Clotilde badała wzrokiem horyzont, nie mogąc jednak wypatrzeć żadnych płetw.

– Za późno – orzekła po chwili Valou – już ich nie widzę.

Czy dzięki lekturze zeszytu jej córka w jakiś cudowny sposób nauczyła się blefować? Valou mówiła dalej, jakby nie wyłożyła jeszcze wszystkich kart na stół.

Spojrzała w dół w kierunku skał sterczących nad plażą Oscelluccia.

– Teraz, kiedy nie żyje Cervone, co będzie z ruinami Roc e Mare?

– Nie wiem, Valou. Pozostaną tu pewnie przez lata.

– Szkoda...

– Dlaczego szkoda?

Valentine obróciła się w stronę babci, potem w stronę grobowca, odcyfrowując każde imię wyryte w marmurze, nie tylko imiona wujka i dziadka, ale imiona wszystkich przodków od trzech wieków.

– Szkoda, że nie noszę nazwiska Idrissi.

Milczenie. Tym razem przerwała je Palma.

– Co byś... niby... robiła... z nazwiskiem... Idrissi?

Valentine przyjrzała jej się uważnie. Zdawała się szukać w pomarszczonych rysach twarzy babki uwodzicielskiej kobiety opisanej w zeszycie matki.

– Czy ty nie byłaś architektem, babciu?

– Owszem...

Znowu milczenie. Clotilde przysła matce z pomocą i powtórzyła jej pytanie.

– Po co by ci było nazwisko Idrissi, Valou?

Valou znów spojrzała na grobowiec, potem na morze, w miejsce, gdzie rzekomo widziała delfiny, później na marinę Roc e Mare.

– Żeby nie dopuścić, by to wszystko popadło w ruinę!

Dwadzieścia siedem lat później

– Babciu, możemy się pobawić w basenie?

Babcia powiedziała tak, posyłając wnuczkom porozumiewawczy uśmiech. To ją zawsze pytali o pozwolenie, nie matkę. Ich matka się nie zgadzała. Ich matka zawsze mówiła nie, zarówno gdy chodziło o kąpiel, jak i o całą resztę.

Za zimno, za gorąco, za mokro, zbyt niebezpiecznie.

Ich matka była trochę wkurzająca.

– Dziękujemy, babciu Clo!

Trzymając kolana pod brodą i obejmując nogi ramionami, Félix i Inès skoczyli, rozbryzgując powierzchnię wody. Clotilde pilnowała ich przez chwilę, po czym podniosła wzrok i skierowała go dalej, w stronę plaży Alga i przylądka Revellaty. Basen znajdował się nieco powyżej półwyspu. Butlonos, rezerwat delfinów, był otwarty już od piętnastu lat. Główny budynek, recepcja, muzeum, laboratoria i sale konferencyjne zostały w całości zbudowane z drewna sosny czarnej, wedle oryginalnych projektów Palmy. Małe arcydzieło architektury zintegrowanej ze środowiskiem naturalnym, energetycznej samowystarczalności z wykorzystaniem energii słonecznej, wiatrowej i morskiej, oraz pedagogicznego sukcesu. Nic nie pozostało z ruin mariny Roc e Mare, z wyjątkiem kamiennych płyt z Brando, które posłużyły do wyłożenia drogi i schodów prowadzących do basenu i do delfinarium.

– Nie wykąpiesz się, babciu Clo?

– Zostawcie babcię w spokoju! – krzyknęła do dzieci Valentine, po czym znów pograżyła się w kolumnach cyfr przewijających się na ekranie jej tabletu.

Clotilde się zawahała. Nadal pływała, niemal codziennie przez cały rok, często z Cirdanem i Eölem, delfinami z rezerwatu, albo z Aranelem, morświnem ocalonym z sieci rybaków z Centuri. I tylko latem z Félixem i Inès... W końcu wstała, zdecydowana nacieszyć się jedną z ostatnich kąpiei w towarzystwie swoich wnuków. Za dwa dni wracały z Valentine do swojego mieszkania w sercu Bercy-Village, z bezpośrednim widokiem na wielkie biuro taty. Clotilde zostanie sama. Pod koniec sierpnia turystów zaczynało ubywać, ale korytarze instytutu miały niebawem rozbrzmiewać śmiechami innych dzieci; z początkiem września rozpoczynało się oblężenie Butlonosa przez korsykańskie wycieczki szkolne. To był jej siódmy początek roku szkolnego. Od przejścia na emeryturę Clotilde nie opuszczała wyspy.

Spojrzała na uniwersalny zegar zawieszony nad basenem, na wieczny wskaźnik jakości wody, na zintegrowaną stację meteorologiczną, po czym jej

wzrok zatrzymał się na drewnianej tabliczce upamiętniającej architekta, przybitej gwoździami pod supernowoczesnymi innowacjami. Nazwisko jej matki otaczały dwa kwiaty dzikiej róży, identyczne jak te zasadzone wokół parku, zdobiące je wszystkimi odcieniami różu i fioletu od kwietnia do lipca.

Jej matka była pochowana u boku jej ojca, w grobowcu Idrissich. Po odzyskaniu wolności Palma mieszkała sama w małym ciemnym mieszkaniu w Vernon, z którego prawie nie wychodziła, i Clotilde żyła w strachu, że matka pewnego ranka się nie obudzi i nikt nie będzie o tym wiedział. Zrozumiała, że Palma będzie chciała odejść, jak tylko zakończy się budowa, więc dzwoniła do niej codziennie, nie wierzyła w jej zapewnienia, nalegała, żeby Valentine zastępowała ją w czasie wakacji. Clotilde nie wiedziała, czy odczuwa bardziej smutek, czy ulgę, kiedy pewnego wieczoru, wracając z sądu, zastała mamę w łóżku, wyglądała jakby spała, taka pogodna i spokojna; nie żyła od zaledwie kilku godzin, zapewniał lekarz.

Palma chciała być pochowana na Korsyce, obok męża. Zrobiono dla niej miejsce. W grobowcu, w jego łożu spała już inna kobieta! Postanowiono przenieść szczątki Salomé Romani kilka piętér niżej, obok szczątków jej matki. Speranza zasnęła pewnego majowego wieczoru 2020 roku, na podwórzu w Arcanu, w cieniu zielonego dębu, z koszem świeżo zebranego lentyszka, ziela anielskiego i majeranku u boku; Lisabetta zmarła trzy miesiące później, jej serce zatrzymało się bez uprzedzenia pewnego ranka, gdy wyrwała pokrzywy zarastające jej orchidee.

Clotilde odłożyła ręcznik i podeszła w kostiumie do basenu, odsłaniając bez kompleksów swoją figurę młodzietkiej siedemdziesięciolatki. Wciąż dobrze czuła się we własnym ciele i bez zazdrości podziwiała doskonale ciała młodych turystów, którzy czytali, spali albo całowali się na leżakach. Życie, pomyślała, sprowadza się do tego, by cieszyć się pięknem świata. Jego harmonią. Jego poezją. By kontemplować je, zanim wszystko zniknie. W gruncie rzeczy nie umieramy, tylko ślepiemy. Dociera do nas, że to koniec, kiedy wszystkie cuda wokół nas gasną.

Dzisiaj ciągle jeszcze błyszczały! W basenie na dole, który graniczył bezpośrednio z Morzem Śródziemnym, najmłodszy z delfinów, Eöl, pływał z wdziękiem przed karmiącym go Matteo, pięknie umięśnionym jasnowłosym aniołem; spokojne, precyzyjne ruchy młodzietkiego mężczyzny wydawały się idealnie zestrojone z tańcem walenia. Matteo miał kryształowy śmiech Małego Księcia, pierwszy raz usłyszała go jakieś dziesięć lat temu, kiedy spotkała chłopca na plaży Alga, zanurzonego w lekturze *Harry'ego Pottera*, i wyznała mu, że niegdyś jego ojca... przeżywano Hagridem! Dzisiaj nikt nie ośmieliłby się tak nazwać Orsu, poważnego i władczego kierownika kempingu Euproctes.

Clotilde zamoczyła stopę w wodzie. Pod parasolem, z twarzą ukrytą pod kapeluszem i szeroko otwartą książką, spał Natale. Powstrzymała dziką chęć, by do niego podejść i ochlapać go wodą! By poprosić Félix i Inès, żeby pomogli jej

przechylić jednym ruchem leżak i wrzucić go do wody albo by ich po prostu nakłonić, żeby skoczyli obok niego do basenu z wystarczającym impetem, by go opryskać.

Clotilde rozstała się z Franckiem kilka miesięcy po tym, jak Valentine osiągnęła pełnoletność. Podpisali orzeczenie rozwodowe w styczniu 2020 roku, za obopólną zgodą, oszczędzając na adwokacie. Potem, przez resztę zimy, przez całą wiosnę i cały lipiec Clotilde myślała obsesyjnie tylko o jednym: wrócić na Korsykę, zobaczyć się znowu z Natalem. Była wolna. „Aryon”, rezerwat, delfiny, teraz wszystko mogło stać się rzeczywistością, dzięki pieniądzom Lisabetty, projektom Palmy, umiejętnościom marketingowym Valentine, która zaczynała właśnie studia w Wyższej Szkole Handlowej.

Wieść się rozeszła i Clotilde dostała długi list od Aurélii, w którym ta wyjaśniała jej, że jeśli Clotilde wróci na Korsykę i jeśli Natale będzie chciał się z nią związać, jeśli tak wybierze, ona nie będzie się temu przeciwstawiać... – (W liście Aurélii było dużo „jeśli”). – Nawet jeśli nadal będzie kochać Natalego, nawet jeśli szczerze wierzy, że była kobietą, której potrzebował, nawet jeśli przez wszystkie te lata umiała ochronić go przed duchami, nawet jeśli chodziła przy nim na paluszkach, odkąd wrócił do życia. Nawet jeśli Natale nigdy jej nie kochał, nie mógł być szczęśliwszy z inną.

I to była prawda, Clotilde o tym wiedziała... To Aurélia była koordynatorką projektu Butlonos, wymyślonego przez Natalego. Wybudowała niemal wbrew niemu ten rezerwat delfinów; Natale tego chciał, ale brakowało mu energii. Natale nie miał w sobie determinacji. Był wyjątkowym kochankiem, wspominała Clotilde, ale człowiekiem, z którym bez wątpienia nigdy by nie wytrzymała. Jakże przeklinała jego płomienne listy, po których następowały długie miesiące ciszy; jego cudowne obietnice, o których tak prędko zapominał... Miłość przeminęła. Natale pozostanie współnikiem, mężczyzną, wobec którego zawsze będzie odczuwała bezbrzeżną czułość, lecz Aurélia kocha go o wiele mocniej. Po rozwodzie Clotilde miała paru kochanków, kilku towarzyszy podróży, przystojnych, inteligentnych, błyskotliwych. Niekiedy żonatych, niekiedy obcokrajowców. Kiedy akurat z kimś była, 23 sierpnia zabierała go do Casa di Stella i tam kochała się z nim przez całą noc. Pod rozgwieżdżonym niebem.

– Uwaga, babciu!

Clotilde drgnęła i uniosła wzrok w stronę wysokiej wieży do skoków, odcinającej się na tle absolutnie błękitnego nieba. Poczowała lekki strach. Nie potrafiła już patrzeć, jak ktoś rzuca się w pustkę, nie myśląc o Cassanu.

Turyści w klapkach zamarli dokoła basenu.

Ciało przeszło wodę niczym strzała, nie rozpryskując niemal żadnej kropli.

Wspaniały skok.

Zawodowca.

Syreny.

Maria-Chjara wynurzyła się kilka sekund później. Z przezroczyście białego kostiumu kąpielowego siedemdziesięcioletniej ondyny wyskoczyły dwie wyprężone jak szrapnele piersi.

Félix i Inès zaczęli bić brawo. Ubóstwiali ciocię Marię.

Clotilde wybuchła śmiechem. Ona i Maria-Chjara zostały przyjaciółkami. Maria lubiła opowiadać, że co roku przed nastaniem lata idzie napompować sobie piersi. W dniu jej śmierci ułożą ją na plecach w trumnie, ale z powodu biustu nie będą mogli zamknąć wieka!

I żadnych polifonicznych korsykańskich śpiewów, żadnych *lamenti* czy *voceri* w dniu jej pogrzebu.

Poprawiła sobie przezroczysty kostium na oczach mężczyzn o torsach wydepilowanych w serek, będących pod wrażeniem starszej pani. Na oczach ich oburzonych żon, uległych ofiar dyktatury piękna.

Czas jest mordercą. Niekiedy pojawiają się okoliczności łagodzące.

– Idziesz, babciu?! – wrzasnęli Félix i Inès.

Clotilde się uśmiechnęła i poddała uczuciu słodkiej melancholii, jakie ją ogarniało, gdy patrzyła na Natalego zagubionego w swoich snach, na Valentine skupioną na swych rachunkach i na Marię-Chjarę puszczającą oko do pięknego Mattea, który kończył właśnie karmić swoje delfinie maleństwo.

Sempre giovanu.

Podziękowania

Dla Luca Bessona i wytwórni filmowej Gaumont

